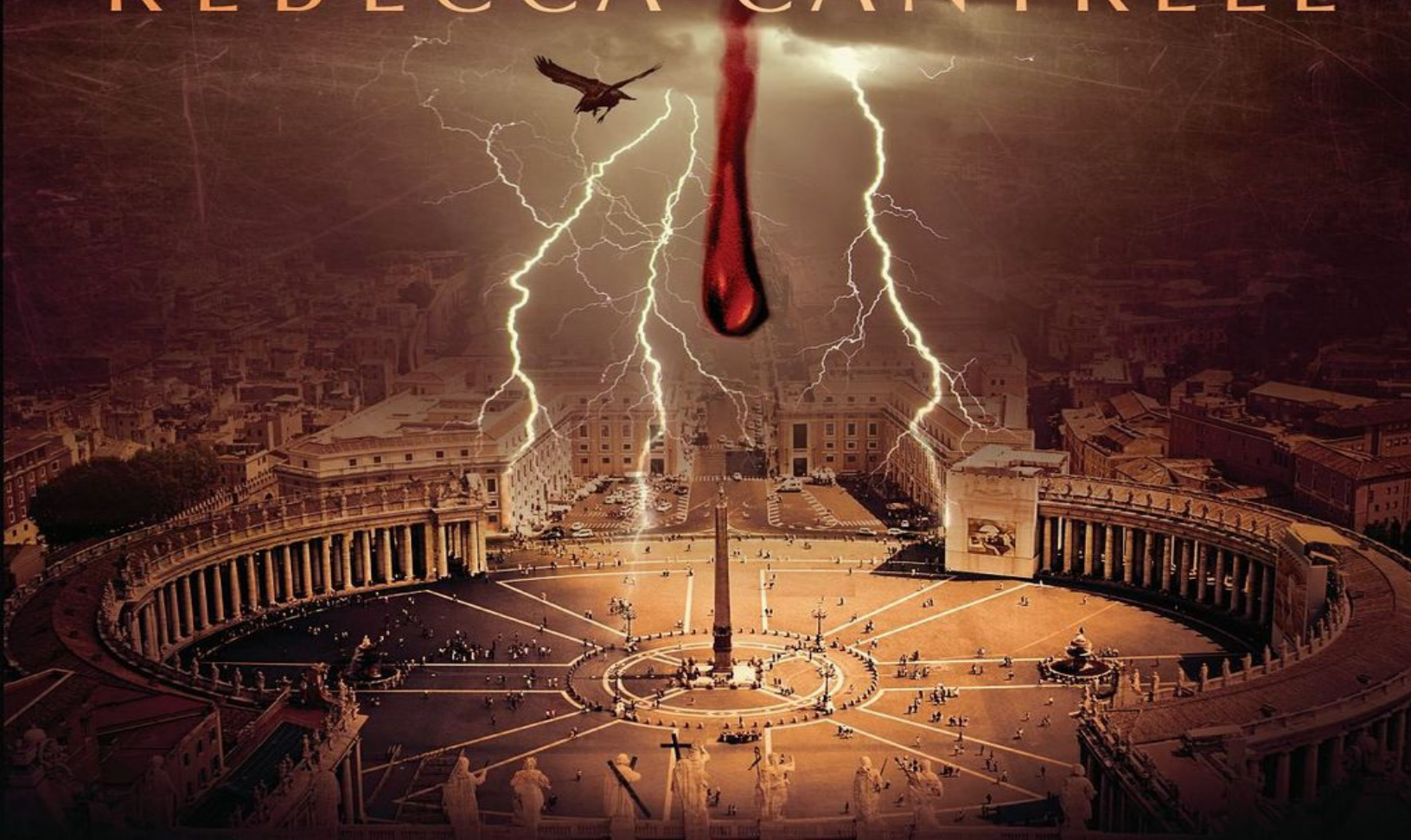


JAMES ROLLINS

REBECCA CANTRELL



EWANGELIA KRWI

Przyszłość jest naznaczona zbrodniami przeszłości

O książce

Na stanowisku wykopaliskowym w Izraelu doktor Erin Granger trafia na szczątki dzieci z czasów biblijnego króla Heroda. Nie umarły śmiercią naturalną, a na ich kościach widnieją ślady ludzkich zębów. Erin nie ma możliwości podążenia tym tropem, ponieważ wkrótce zostaje wbrew własnej woli przewieziona na górę Masada, na której doszło do tragedii podczas trzęsienia ziemi.

W podziemnej komnacie, do której można się dostać przez powstałą szczelinę, młoda archeolog, amerykański żołnierz oraz tajemniczy ksiądz odkrywają zwłoki ukrzyżowanej dziewczynki. Znaleźisko fascynuje Erin jako naukowca, ale przeraża jako człowieka. Trudno jej będzie pogodzić to, co widziała, z naukowym tokiem rozumowania. Zwłaszcza gdy dowie się o istnieniu tajemniczej księgi.

Chodzi o ukrytą przez świętego Piotra ewangelię spisaną krwią Chrystusa, którą ktoś zabrał z komnaty pod górą Masada. Trzeba ją zdobyć, zanim trafi w niepowołane ręce, bo wtedy świat pogrąży się w ciemności i chaosie.

Czy UCZONA NIEWIASTA, MAŻ WOJOWNIK i RYCERZ CHRYSYUSA wskazani w przepowiedni potrafią odmienić losy świata?

JAMES
ROLLINS
REBECCA CANTRELL

EWANGELIA KRWI

Z angielskiego przełożył
GRZEGORZ KOŁODZIEJCZYK

WYDANIE ELEKTRONICZNE



JAMES ROLLINS

Amerykański pisarz, z zawodu weterynarz, z zamiłowania pływacz i grotolarz. Absolwent University of Missouri, karierę literacką rozpoczął w 1999 r. powieścią o wyprawie do wnętrza Ziemi, **Subterrean**. Kolejne **Mapa Trzech Mędrców**, **Czarny zakon**, **Wirus Judasza**, **Klucz zagłady**, **Ołtarz Edenu**, **Kolonia Diabła** – których akcja toczy się często w niedostępnych rejonach świata – dżunglach, głębinach oceanów, podziemnych grotach oraz na pustyniach i lodowcach – odniosły międzynarodowe sukcesy.

www.jamesrollins.com

REBECCA CANTRELL

Autorka cyklu powieści kryminalnych **Hannah Vogel**, jest zdobywczynią nagrody Macavity. Jej powieść **iDrakula**, nominowana do nagrody Appy, według „Booklist” znalazła się wśród 10 najlepszych horrorów dla młodzieży w 2010 roku.

www.rebeccacantrell.com

Tego autora

LODOWA PUŁAPKA
BURZA PIASKOWA
AMAZONIA
OŁTARZ EDENU
EKSPEDYCJA
LINIA KRWI
PODZIEMNY LABIRYNT
OKO BOGA

Sigma

MAPA TRZECH MĘDRCÓW
CZARNY ZAKON
WIRUS JUDASZA
KLUCZ ZAGŁADY
OSTATNIA WYROCZNIA
KOLONIA DIABŁA

James Rollins, Rebecca Cantrell
EWANGELIA KRWI

Tytuł oryginału:
THE BLOOD GOSPEL

Copyright © James Czajkowski & Rebecca Cantrell 2013
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2014

Polish translation copyright © Grzegorz Kołodziejczyk 2014

Redakcja: Jerzy Lewiński

Zdjęcie na okładce: Sergiu Leustean/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: © Mariusz Banachowicz

ISBN 978-83-7985-172-0

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Magdalena Wojtas, [88em](#)

Spis treści

Rozdział

Prolog

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

CZĘŚĆ DRUGA

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

CZĘŚĆ TRZECIA

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

CZĘŚĆ CZWARTA

46

47

48

49

50

51

52

53

CZĘŚĆ PIĄTA

54

55

[56](#)

[57](#)

[58](#)

[59](#)

[60](#)

[61](#)

[62](#)

[63](#)

[64](#)

[65](#)

[66](#)

[Epilog](#)

[Przypisy](#)

Od Jamesa:

*Anne Rice za to,
że ukazała nam piękno ukryte w bestiach*

Od Rebekki:

*Mężowi i synowi za to,
że uchronili mnie przed bestiami*

Podziękowania

Książka ta ma na sobie ślady palców wielu osób, nie tylko dwojga autorów, których nazwiska figurują na okładce. Przede wszystkim pragnę podziękować tym, którzy poddali tekst krytycznej analizie, a byli to: Sally Barnes, Chris Crowe, Lee Garrett, Jane O'Riva, Denny Grayson, Leonard Little, Scott Smith, Penny Hill, Judy Prey, Dave Murray, Will Murray, Caroline Williams, John Keese, Christian Riley, Amy Rogers. Szczególne słowa podziękowania należą się Carolyn McCray, która tchnęła życie w fabułę powieści dzięki stawianiu trudnych pytań. A także, rzecz jasna, Davidowi Sylvianowi za to, że był moją prawą ręką na każdym etapie procesu wydawniczego i później. Chcę także wyrazić gorącą wdzięczność Joemu Konrathowi za jego starania, dzięki którym książka ogromnie zyskała. Na koniec pragnę w szczególny sposób podziękować czworgu osobom, które przyczyniły się do rozwoju mojej kariery pisarskiej. Są to: redaktorka Lyssa Keusch i jej koleżanka Amanda Bergeron oraz moi agenci Russ Galen i Danny Baror. Chciałbym podkreślić, że wszelkie niedociągnięcia, na które czytelnik być może natknie się w tekście, jak zawsze biorę na siebie.

Parę słów od Rebekki. Chcę podziękować wszystkim, którzy włożyli dużo pracy, aby ta książka, z moim nazwiskiem jako autorki, ujrzała światło dzienne. Dziękuję moim wspaniałym agentkom Elizabeth Evans, Mary Alice Kier i Annie Cottle, a także Lyssie Keusch z Wydawnictwa Harper. Ta powieść, podobnie jak reszta moich książek, zyskała na wartości dzięki fantastycznej grupie literackiej Kona Ink, w której skład wchodzi Kathryn Wadsworth, Judith Heath, Karen Hollinger i David Deardorff. To była niełatwa podróż i nie przeżyłabym jej bez wsparcia mojego niezłomnego męża oraz błyskotliwego syna, rodzinnego znawcy broni. Dziękuję także Jimowi za to, że zaprosił mnie do tej zabawy.

*I ujrzałem na prawej ręce Zasiadającego
na tronie
księgę zapisaną wewnątrz i na odwrocie
zapięczętowaną na siedem pieczęci.
I ujrzałem potężnego anioła, obwieszczającego
głosem donośnym:
„Kto godzien jest otworzyć księgę i złamać
jej pieczęcie?”
A nie mógł nikt —
na niebie ani na ziemi, ani pod ziemią —
otworzyć księgi ani na nią patrzeć...
„Godzien jesteś wziąć księgę i jej pieczęcie
otworzyć,
bo zostałeś zabity
i nabyłeś Bogu krwią swoją [ludzi] z każdego
pokolenia, języka, ludu i narodu...”*

Apokalipsa św. Jana 5, 1-3; 5, 9¹

*Jam Łazarz, powracam z krainy śmierci,
By wam powiedzieć wszystko, wszystko
powiem.*

T.S. Eliot, *Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocka*
Przekład Władysława Dulęby

Prolog

Wiosna 73 r.

Masada, Izrael

Umarli nie przestawali śpiewać.

Sto metrów nad głową Eleazara chór dziewięciuset żydowskich powstańców śpiewał, rzucając wyzwanie stojącemu u bram rzymskiemu legionowi. Obrońcy twierdzy złożyli uroczystą przysięgę, że odbiorą sobie życie, by nie pójść do niewoli. Ostatnie modlitwy, skierowane na szczycie ku niebiosom, niosły się echem do tuneli wykutych w sercu góry Masada.

Niech skazańcy pozostaną w gorzkim blasku słońca. Eleazar oderwał wzrok od dachu i skierował go na wydrążone w wapiennej skale przejście. Pragnął śpiewać wraz z nimi, oddać życie w ostatnim boju, lecz przeznaczony mu był inny los.

Inna była jego droga.

Objął ramionami rozgrzany słońcem drogocenny blok kamienia. Miał długość noworodka, sięgał od jego dłoni do łokcia. Tuląc go do piersi, Eleazar wcisnął się do topornie wykutego tunelu wcinającego się w serce góry. Zamurowano za nim wejście. Nikt żywy nie mógł podążać jego śladem.

Siedmiu towarzyszących mu żołnierzy parło przed siebie z pochodniami. Myślni na pewno byli ze swoimi braćmi, z tymi dziewięciuset powstańcami, którzy pozostali na spieczonym słońcem płaskim wierzchołku góry. Forteca broniła się od miesięcy. Dziesięć tysięcy rzymskich legionistów rozłożyło w pobliżu olbrzymie obozy i otoczyło tak szczelnie górę, że mysz

by się nie prześliznęła. Powstańcy, ukończywszy śpiewy, złożyli przysięgę, że najpierw odbiorą życie swoim bliskim, a później sami się zabiją, zanim Rzymianie sforsują mury. Modlili się i przygotowywali na chwilę, w której przyjdzie im odebrać życie niewinnym.

Mnie także jest to pisane.

Brzemie obowiązku ciążyło Eleazarowi nie mniej niż kamień, który dźwigał. Jego myśli wybiegły ku temu, co czekało na niego na dole. Grobowiec. Godzinami modlił się w podziemnej świątyni, przyciskając kolana do kamiennych bloków, dopasowanych tak ściśle, że nie przemknie między nimi nawet mrówka. Przyglądał się gładkim ścianom i wysokiemu łukowemu sklepieniu. Podziwiał zręczność rzemieślników, którzy swoim wysiłkiem stworzyli ten święty przybytek.

Nawet wówczas nie ośmielił się spojrzeć na sarkofag spoczywający w świątyni.

Na nieświętą kryptę, w której spocznie święte słowo Boga.

Mocniej przycisnął kamień do piersi.

Boże, błagam, uwolnij mnie od tego brzemienia.

Modlitwa, podobnie jak tysiące innych, pozostała bez odpowiedzi. Poświęcenie buntowników musi być uszanowane. Ich życiodajna krew, na którą spadnie klątwa, musi posłużyć wyższemu celowi.

Dotarł do łukowatej bramy świątyni i nie zdołał przekroczyć progu. Jego towarzysze przepchnęli się obok i zajęli posterunki. Eleazar oparł czoło o zimną ścianę, modląc się o pociechę.

Czekał nadaremnie.

Omiótł wzrokiem wewnątrz. Drgające płomienie pochodni rzucały cienie na kamienne cegły, które tworzyły łuki sklepienia. Dym wił się, szukając drogi ucieczki i jej nie znajdując.

Nikt nie zdoła uciec.

Jego oczy spoczęły na postaci klęczącej dziewczynki, którą trzymali żołnierze. Serce ścisnęło mu się z żalu, lecz nie porzuci powierzonego mu zadania. Miał nadzieję, że dziewczynka zamknie oczy, aby nie musiał w nie patrzeć.

Oczy jak woda...

Tak opisała je jego od dawna nieżyjąca siostra. Oczy swojej córki, małej Azuby.

Eleazar spoglądał w oczy siostrzenicy.

Były to oczy dziecka, lecz nie dziecko na niego patrzyło. Dziewczynka zobaczyła rzeczy, których dziecko nie powinno oglądać. Za chwilę przestanie widzieć cokolwiek.

Wybacz mi, Azubo.

Wypowiadając cicho ostatnią modlitwę, wszedł do oświetlonego pochodniami grobowca. Skaczące płomienie odbijały się w oczach siedmiu czekających żołnierzy. Wiele dni walczyli z Rzymianami; wiedzieli, że w końcu zginą, lecz nie mieli pojęcia, że tak będzie wyglądała ich śmierć. Skinął głową im i mężczyźni w płaszczu, który stał pośród nich. Dziewięciu dorosłych mężczyzn przygotowywało się do złożenia ofiary z dziecka.

Skinęli Eleazarowi głowami jak świątobliwemu mężowi. On zaś uważał się za do cna nieczystego. Wiedzieli o tym jedynie on oraz ten, któremu służył.

Wszyscy mężczyźni mieli na ciałach krwawe rany; niektóre zadali im Rzymianie, a inne dziewczynka, którą trzymali.

Siłą włożyli jej purpurową szatę, która była za duża i sprawiała, że ofiara wyglądała na jeszcze drobniejszą. W umorusanych rączkach trzymała jasnobrązową podartą laleczkę uszytą ze skóry — przypominającą kolorem judejską pustynię. Lalka nie miała jednego oka.

Ile to lat minęło od dnia, w którym podarował Azubie tę zabawkę? Pamiętał radość na małej buzi, kiedy uklęknął i podał siostrzenicy lalkę. Zdumiał się, że tyle blasku może się zmieścić w małym ciałku, że może rozbłysnąć tak jasno. Wystarczył prosty podarek, lalka ze szmatek i skóry.

Teraz patrzył i szukał tego samego światła.

Jednak zobaczył tylko ziejącą ciemność.

Syknęła, wyszczerzając zęby.

— Azubo — powiedział błagalnie.

Z oczu, niegdyś pięknych i spokojnych jak oczy młodej sarenki, wyzierała straszliwa nienawiść. Dziewczynka zaczerpnęła powietrza i splunęła mu w twarz gorącą krwią.

Zachwiał się. Krew miała miękkość jedwabiu i zapach żelaza. Drżącą ręką otarł twarz. Uklęknął i chustką delikatnie starł krew z jej brody, a potem odrzucił szmatkę.

Nagle usłyszał dźwięk.

Ona także go usłyszała.

Oboje zadarli głowy. Tylko oni spośród obecnych w grobowcu wyłowili słuchem krzyki dochodzące z wierzchołka góry. Tylko oni wiedzieli, że Rzymianie sforsowali mury twierdzy.

Rozpoczęła się rzeź.

Mężczyzna w płaszczu dostrzegł ruch ich głów i zrozumiał jego wymowę.

— Już czas.

Eleazar spojrział na sędziwego przywódcę w zakurzonej brązowej szacie, który zażądał, by dziecko zostało ochrzczone w tym straszliwym czasie zamętu i zbrodni. Jego okoloną brodą twarz znaczyły zmarszczki. Oczy były zamknięte, nieprzeniknione. Usta poruszały się w niemej modlitwie. Twarz płonęła pewnością człowieka wolnego od cienia wątpliwości.

W końcu oczy mężczyzny otworzyły się i poszukały twarzy Eleazara, jak gdyby chciały dojrzeć w niej duszę. Wzrok starca przywiódł mu na pamięć spojrzenie innego mężczyzny sprzed wielu, wielu lat.

Zawstydzony Eleazar odwrócił głowę.

Żołnierze zebrali się wokół otwartego kamiennego sarkofagu stojącego pośrodku grobowca. Wykuto go z jednego bloku piaskowca; był tak duży, że zmieściłoby się w nim trzech dorosłych mężczyzn.

Miał jednak stać się więzieniem jednej małej dziewczynki.

Obok narożników sarkofagu paliły się stosiki mirry i kadzidła. Wśród ich woni Eleazar wyczuł inny, ostrzejszy zapach soli i kwaśnych ziół, które zebrano zgodnie ze wskazówkami zawartymi w starożytnym tekście esseńczyków.

Wszystko czekało przygotowane i tchnęło grozą.

Eleazar jeszcze raz skłonił głowę, modląc się, by znalazł się inny sposób.

Weźcie mnie, nie ją.

Jednak obrzęd nakazywał każdemu odegrać swoją rolę.

Dziewczynka Odarta z Niewinności.

Rycerz Chrystusa.

Mąż Wojownik.

Człowiek w rytualnej szacie przemówił. Jego szorstki głos nawet nie zadrżał.

— To musi się dokonać z woli Boga, aby ocalić jej duszę i dusze innych. Brać ją!

Jednak nie wszyscy przybyli w to miejsce z własnej woli.

Azuba wyrwała się z rąk oprawców i skoczyła do drzwi zręcznie niczym sarna.

Tylko Eleazar okazał się wystarczająco szybki, żeby ją pochwycić. Zacisnął dłoń na chudym nadgarstku. Szarpała się, ale był silniejszy. Pozostali mężczyźni ich otoczyli. Przycisnęła lalkę do piersi i opadła na kolana. Wyglądała żałośnie.

Przywódca skinął na najbliższego żołnierza.

— To musi się dokonać.

Żołnierz podszedł i złapał Azubę za rękę. Wyrwał jej lalkę i odrzucił na bok.

— Nie! — krzyknęła dziewczynka. To było pierwsze słowo, które wydobyło się z jej wychudłego gardła. Zabrzmiała w nim rozpacz porzuconego dziecka.

Ponownie wyrwała się oprawcom i z wściekłą siłą rzuciła naprzód. Skoczyła na żołnierza i oplotła go nogami. Wbiła mu w twarz zęby i paznokcie, powalając go na posadzkę.

Dwaj towarzysze pospieszyli mu z pomocą. Odciągnęli rozszalałą dziewczynkę i przygwoździli do ziemi.

— Zabrać ją do grobowca! — rozkazał dowódca.

Żołnierze zawahali się i stanęli, najwyraźniej sparaliżowani lękiem. Mała wciąż się rzucała.

Eleazar zauważył, że strach Azuby nie ma związku z żołnierzami. Wzrok dziewczynki spoczywał na lalce, którą wyrwano jej z rąk.

Podniósł poszarpaną zabawkę i podsunął Azubie. Kiedy była młodsza, lalka niejednokrotnie koła jej niepokój. Usilnie starał się wyrzucić z pamięci wspomnienia Azuby bawiącej się nią w słońcu razem z roześmianymi siostrzyczkami. Zabawka zadrżała w jego dłoni.

Oczy dziewczynki złagodniały, pojawiła się w nich błagalna prośba. Przestała się szarpać. Uwolniła rękę z uścisku żołnierza i wyciągnęła ją po lalkę.

Kiedy dotknęła zabawki, jej ciało zwiotczało. Pogodziła się z losem, zrozumiała, że ucieczka jest niemożliwa. Jedynej pociechy szukała u lalki, tak samo jak wtedy, gdy była małym, niewinnym dzieckiem. Nie chciała samotnie pozostać w ciemności. Uniosła lalkę do twarzy i przycisnęła jej małeńki nos do swojego noska. Przywodziła na myśl obraz dziecięcego ukojenia.

Eleazar ruchem dłoni odprawił żołnierzy i wziął w ramiona spokojną już siostrzenicę. Przygarnął jej chłodne ciało do piersi, a ona wtuliła się w niego tak jak dawniej. Pomodlił się o siłę do spełnienia swojej powinności.

Kamień, który zaciskał w wolnej ręce, przypominał mu o złożonej przysiędze.

Dowódca rozpoczął odmawiać modlitwę, która miała uświęcić ofiarę. Wypowiadał starożytne formuły i święte słowa, rzucał szczypty kadzidła na płonące stosiki. Na wierzchołku góry powstańcy odbierali sobie życie, Rzymianie forsowali bramy.

Ofiara z krwi tu, na dole, wyrówna tragiczny rachunek.

Ściskając kamień w dłoni, Eleazar poniósł dziewczynkę ku otwartemu sarkofagowi wypełnionemu już prawie po brzegi; płyn połyskiwał i chlupotał. Miał posłużyć do mikwy, rytualnej kąpieli oczyszczającej.

Sarkofagu nie napełniono jednak poświęconą wodą, lecz winem.

Na posadzce wały się puste gliniane dzbany.

Eleazar podszedł do krypty i spojrział do środka. W blasku pochodni wino wyglądało jak krew.

Azuba wtuliła twarz w jego pierś. Mężczyzna przełknął gorzką ślinę.

— Zaczynaj! — rozkazał dowódca.

Eleazar po raz ostatni przytulił drobne ciało do piersi. Z gardła dziewczynki wydobył się pojedynczy szloch. Eleazar zerknął w ciemny korytarz. Wciąż mógł uratować ciało Azuby, lecz za cenę ściągnięcia klątwy na jej i swoją duszę. Straszliwy czyn, którego miał dokonać, był jedynym sposobem jej prawdziwego ocalenia.

Najwyższy stopniem żołnierz wziął dziewczynkę z rąk Eleazara i unióś ją nad otwartym grobowcem. Opuścił ją nad powierzchnię wina, a jej oczy rozszerzyły się z przerażenia. Ręce żołnierza znieruchomiały. Azuba poszukała wzrokiem Eleazara. Ten wyciągnął rękę w jej stronę, lecz zaraz ją cofnął.

— Błogosławiony Pan, który jest w niebie — zaintonował dowódca.

Śpiewy, które dopływały ze skalistego szczytu, ustały. Azuba przechyliła głowę, jakby ona także to zauważyła. Eleazar wyobraził sobie krew wsiąkającą w piasek i spływającą do wnętrza góry. To już nieuchronne. Śmierć tamtych stanowiła ostatni sygnał, że grobowiec musi zostać zamknięty.

— Już czas, Eleazarze — ponaglił dowódca.

Eleazar wyciągnął przed siebie cenny kamień; zamknięta w nim święta tajemnica stanowiła jedyną siłę, która mogła pchnąć go do czynu. Niesiony ciężar był niczym w jego rękach. To serce sprawiało, że nie mógł złapać tchu.

— To musi się dokonać — przypomniał cichym głosem dowódca.

Eleazar nie zdołał wykrztusić słowa. Zbliżył się do dziewczynki.

Dowódca wypuścił ją z rąk i wpadła do winnej kąpieli. Szamotała się, jej drobne palce szukały oparcia na kamiennych

ścianach grobowca. Czerwona ciecz przelała się przez krawędzie i chlupnęła na posadzkę. Azuba patrzyła na niego błagalnie, gdy położył kamień na jej szczupłej piersi i pchnął. Ciężar kamienia i siła rąk Eleazara wepchnęły dziecko głęboko pod powierzchnię.

Już się nie broniła, przyciskała tylko lalkę do piersi. Leżała tak spokojnie, jakby już nie żyła. Nieme usta poruszyły się, twarz odpłynęła w dal.

Jak brzmiały jej ostatnie słowa?

Eleazar wiedział, że to pytanie będzie go dręczyło do końca dni.

— Wybacz mi — wykrztusił. — I wybacz jej.

Wino przesiąkało rękawy jego tuniki, szczypiąc go w skórę. Trzymał nieruchome ciało, a dowódca odmawiał modlitwy.

Trwały długo jak wieczność.

Wreszcie puścił ciało dziewczynki i wstał. Azuba tkwiła na dnie przygnieciona świętym kamieniem, i tak pozostanie na wieki; będzie jego przeklętym strażnikiem. Modlił się, aby jego czyn oczyścił jej duszę, stał się wiekuistą pokutą za grzech, który w sobie nosiła.

Moja mała Azuba...

Osunął się obok ściany sarkofagu.

— Zamknąć grobowiec! — rozkazał dowódca.

Opuszczono na linach płytę z piaskowca i umieszczono ją na miejscu. Żołnierze zacementowali szczelinę mieszaniną popiołu i wapna.

Eleazar przyciskał dłonie do ścian śmiertelnego więzienia, jakby jego dotyk mógł przynieść ukojenie Azubie. Ona jednak była już tam, gdzie nie sięgało żadne ukojenie.

Oparł czoło o bezlitosny kamień. To był jedyny sposób. Została poświęcona dla wyższego dobra. Jednak prawda ta nie łagodziła jego ani jej bólu.

— Chodź! — rzekł dowódca, kiwając ręką. — Spełniliśmy to, co było konieczne.

Eleazar wciągnął do płuc cuchnące powietrze. Żołnierze zakrztusili się i podążyli do wyjścia. Został sam w wilgotnym

grobowcu.

— Nie wolno ci tu pozostać! — zawołał dowódca. — Wyznaczono ci inną drogę.

Eleazar zatoczył się w jego kierunku, oślepiiony łzami.

Kiedy opuszczą grobowiec, przejście zostanie zamurowane. Nikt spośród żywych nie będzie o nim pamiętał. Ci zaś, którzy odważą się przez nie przejść, ściągną na siebie klątwę.

Dowódca patrzył na niego.

— Czy żałujesz przysięgi, którą złożyłeś? — spytał. W jego głosie zabrzmiała litość, ale było w nim także niezłomne postanowienie.

Właśnie ono sprawiło, że Chrystus nadał mu imię Petrus, oznaczające „skałę”. Był apostołem, na którym zbudowany zostanie nowy Kościół.

Eleazar wytrzymał jego spojrzenie twarde jak kamień.

— Nie, Piotrze, nie żałuję.

CZĘŚĆ PIERWSZA

*Na ziemię patrzy, a ona drży;
dotyka gór, a one dymią.*

Psalm 104, 32

26 października, 10.33 czasu izraelskiego
Izrael, Cezarea

Doktor Erin Granger musnęła powierzchnię starożytnej czaszki najdelikatniejszym pędzelkiem. Kiedy pył opadł, spojrzała wzrokiem naukowca na cieniutkie kreski połączeń czaszki oraz szczelinę ciemiączka. Oceniała liczbę zgrubień i stwierdziła, że była to czaszka noworodka. Ułożenie kości łonowej wskazywało na chłopczyka.

W chwili śmierci miał zaledwie kilka dni.

Wydobywając dziecko z ziemi i kamieni, patrzyła także oczami kobiety; wyobraziła sobie malca leżącego na boku z kolanami podciągniętymi do piersi i małutkimi rączkami wciąż zaciśniętymi w piąstki. Czy rodzice liczyli uderzenia jego serca, czy całowali niewyobrażalnie delikatną skórę, czy byli przy tym, jak cichutkie bicie serca ustało?

Doktor Erin pamiętała śmierć maleńkiej siostrzyczki.

Zamknęła oczy, pędzelek znieruchomiał w jej dłoni.

Przestań wreszcie.

Otworzywszy oczy, odgarnęła do tyłu niesforny kosmyk blond włosów zaczesanych w schludną kitkę, a potem wróciła do przerwanej czynności. Dowie się, co zaszło tutaj przed wiekami. To dziecko, tak samo jak jej mała siostrzyczka, nie zginęło przypadkowo. Różnica polegała jedynie na tym, że chłopiec padł ofiarą przemocy, nie zaś zaniedbania.

Pracowała dalej, zwracając uwagę na układ kończyn. Ktoś postarał się, aby ułożyć ciało we właściwej pozycji, i dopiero

potem je pochował. Nie mógł jednak zamaskować popekanych i brakujących kości, które świadczyły o popełnionej zbrodni. Jej śladów nie zdołały zatrzeć nawet dwa tysiące lat.

Doktor Erin odłożyła drewniany pędzelek i ujęła w dłoń następne zdjęcie. Nieubłagany czas pokrył kości taką samą jasną sepią, jaką pokrywa je ziemia, lecz dzięki starannie przeprowadzonym wykopaliskom udało się odsłonić kształt. Mimo to upłynęły godziny, nim uda się uwolnić z piasku resztę kości.

Zabolało ją kolano, więc uklękła na drugim. Miała trzydzieści dwa lata i trudno było uznać ją za starą, lecz w tej chwili taka się czuła. Przebywała w wykopie zaledwie od godziny, a nogi już dawały o sobie znać. Jako dziecko klęczała godzinami podczas modlitwy na twardym klepisku stanowiącym posadzkę kościoła. Wtedy potrafiła tak przeżyć bez skargi pół dnia, jeśli tego wymagał ojciec; jednak przez wiele lat starała się zapomnieć o przeszłości, więc pamięć mogła ją teraz zawodzić.

Skrzywiła się i wstała, żeby się przeciągnąć; wysunęła głowę z głębokiego do pasa wykopu. Chłodna morska bryza pieszczotliwie owiała jej twarz, odpędzając złe wspomnienia. Ten sam wiatr poruszał kłapami obozowych namiotów i rozsiewał piasek po całym stanowisku archeologicznym.

Grubsze ziarnko piasku ją oślepiło; uwolniła się od niego po chwili, mrugając. Piasek wdzierał się wszędzie. Jej blond włosy codziennie zmieniały kolor, przyjmując szarawoczerwoną barwę izraelskiej pustyni. Miała gryzący piasek w skarpetach, tenisówkach i pod paznokciami, czuła jego smak w ustach.

Mimo to kiedy spojrzała na żółtą foliową taśmę odgradzającą wykopalisko, jej twarz rozjaśnił słaby uśmiech; cieszyła się, że mogła zanurzyć stopy w starożytnej historii. Stanowisko znajdowało się pośrodku dawnego hipodromu, na którym odbywały się wyścigi rydwanów. Tuż obok rozpościerało się od wieków Morze Śródziemne. Woda miała kolor indygo, lecz słońce nadawało jej surrealistyczny metaliczny odcień. Rzędy kamiennych siedzisk, podzielone na sektory, stanowiły liczącą

dwa tysiące lat spuściznę dawno zmarłego króla, który zaprojektował Cezareę. Był nim niesławnej pamięci Herod, sprawca rzezi niewiniątek.

Zarżał koń. Nie było to echo przeszłości, lecz odgłos dochodzący z prowizorycznej stajni skleconej na przeciwległym krańcu hipodromu. Grupa miejscowych archeologów przygotowywała wyścigi konne, które miały uświetnić powitanie gości. Niebawem arena znów ożyje, jakkolwiek jedynie na kilka dni.

Doktor Erin nie mogła się tego doczekać.

Jednak zanim to nastąpi, ona i jej studenci mieli jeszcze mnóstwo pracy przed sobą.

Oparła dłonie na biodrach i patrzyła na czaszkę zamordowanego dziecka. Później wzmocni maleńki szkielet zaprawą i rozpocznie żmudny proces wydobywania go z ziemi. Pragnęła, aby trafił do laboratorium, w którym będzie można go zbadać. Te kości powiedzą jej więcej, niż zdoła odkryć w wykopalisku.

Uklękła obok szkieletu dziecka. Zaniepokoiło ją coś, co zauważyła, spoglądając na kość udową. Było na niej widać dziwne nacięcia. Pochyliła się i mimo upału poczuła zimny dreszcz na plecach.

Czyżby to były ślady zębów?

— Pani profesor — odezwał się z teksaskim zaciąganiem Nate Highsmith i zakłócił skupienie archeolożki. Podskoczyła, uderzając łokciem o drewniane deski, stanowiące zaporę przed nieubłaganym piaskiem.

— Przepraszam. — Nate, student ostatniego roku, pochylił głowę.

Rano doktor Erin stanowczo zabroniła, aby jej przeszkadzano. Nie chcąc besztać natręta, uniosła sfatygowaną manierkę i pociągnęła długi łyk letniej wody. Miała smak stali nierdzewnej.

— Nic nie szkodzi — odparła sztywno.

Osloniła twarz dłonią i spojrzała na studenta, mrużąc oczy. Stał na skraju wykopu, jego sylwetka rysowała się na tle ostrego

słońca. Miał na głowie słomkowy kapelusz Stetson, wytarte dżinsy i wyblakłą kraciatą koszulę. Podwinięte rękawy odsłaniały dobrze umięśnione ramiona.

Domyślała się, że podwinął rękawy właśnie po to, by jej zaimponować. Oczywiście jego wysiłki nie miały szans powodzenia. Od lat całkowicie skupiała się na pracy; jedyni mężczyźni, którzy ją fascynowali, od wieków spoczywali w ziemi.

Spojrzała znacząco na pierwszy lepszy skrawek piasku i kamieni. Radar ziemny leżał porzucony; wyglądał jak zapuszczona kosiarka do trawy, a nie nowoczesne narzędzie służące do wyszukiwania tego, co jest ukryte pod powierzchnią.

— Dlaczego przestałeś mapować teren?

— To właśnie robiłem, pani doktor. — Jego akcent był bardziej wyraźny, kiedy chłopak okazywał radość. Student uniósł brwi.

Na pewno coś znalazł.

— Co chcesz mi powiedzieć?

— Nie uwierzy pani. — Z niecierpliwości aż unosił się na piętach.

Uśmiechnęła się. Nate miał rację. Nie uwierzy, dopóki nie zobaczy na własne oczy. To właśnie powtarzała studentom niczym mantrę: Rzecz staje się prawdziwa dopiero wtedy, gdy wydrzecie ją ziemi i ujmiecie w dłoń.

Z szacunku dla kości zabitego dziecka, a także po to, by zapewnić ochronę stanowisku pracy, ostrożnie naciągnęła na szkielet płachtę brezentu. Nate podał jej dłoń i pomógł wyjść z głębokiego wykopu. Tak jak się spodziewała, trzymał ją za rękę o sekundę za długo.

Powstrzymała się przed grymasem i strzepnęła kurz z kolan. Nate zrobił krok w tył i odwrócił głowę; może wiedział, że posunął się za daleko. Nie zrugowała go, bo i po co? Nie była ślepa na awanse mężczyzn, lecz rzadko ich zachęcała, a już na pewno nie w czasie wykopalisk. Miała na sobie piasek tak jak inne kobiety noszą makijaż i unikała romansów. Była średniego wzrostu, lecz — wiedziała to od innych — chodziła tak, jakby miała o trzydzieści centymetrów więcej. Musiała się tak

zachowywać, wykonując ten zawód, zwłaszcza że była młodą kobietą.

W kraju miewała mężczyzn, ale żaden z tych związków nie przetrwał. U większości partnerów budziła lęk, innych dziwnie pociągała.

Na przykład takich jak Nate.

Musiała przyznać, że chłopak jest dobrze rokującym geofizykiem. Straciła dla niego zainteresowanie i wszystko samo się uprości.

— Pokaż.

Skierowała się w stronę namiotu w kolorze khaki, który służył za magazyn sprzętu. Przyjemnie będzie choć na chwilę skryć się przed palącym słońcem.

— Amy ma informacje w laptopie — mówił Nate, przemierzając wykopalisko. — Trafiliśmy na skarb, pani profesor. To był prawdziwy strzał w dziesiątkę.

Powstrzymała uśmiech i przyspieszyła, by dotrzymać mu kroku. Podziwiała jego entuzjazm, jednak wiedziała, że w archeologii, podobnie jak w życiu, nie odkrywa się skarbów każdego ranka. Czasem mijają dziesiątki lat.

Schyliła się, żeby przejść pod klapą namiotu, i przytrzymała ją. Nate wszedł i zdjął kapelusz. Palące promienie słońca nie przenikały do środka i panowała tam temperatura o kilka stopni niższa.

Buczący generator zasilał laptopa oraz wysłużony metalowy wentylator. Strumień powietrza wionął prosto na Amy, dwudziestotrzyletnią ciemnowłosą studentkę ostatniego roku z Uniwersytetu Columbia, która więcej czasu spędzała w namiocie niż poza nim. Na biurku stała puszka dietetycznej coli; lśniły na niej kropelki wody. Amy, nieco za tęga i zbyt słaba fizycznie, nie zdążyła jeszcze zahartować się do ciężkiej archeologicznej roboty w słońcu, miała jednak dryg do techniki. Stukając jedną ręką w klawiaturę, skinęła ręką na doktor Erin.

— Nie uwierzy pani własnym oczom.

— Już to słyszałam.

W namiocie znajdował się jeszcze jeden student. Był nim Heinrich, flegmatyczny dwudziestoczterolatek z Freie Universität w Berlinie, którego trudno było oderwać od pracy. Najwyraźniej wszyscy porzucili zajęcia, aby obejrzeć znalezisko Nate'a. Stał tuż za Amy; jego obecność znaczyła, że odkrycie było dużego kalibru.

Amy nie odrywała wzroku od ekranu.

— Program wciąż przetwarza obraz, ale pomyślałam, że zechce pani od razu go zobaczyć.

Doktor Erin odpięła szmatkę przyczepioną do paska i otarła twarz z piasku i potu.

— Amy, zanim zapomnę... Ten szkielet dziecka, nad którym pracuję... Zauważyłam na nim dziwne ślady, chciałabym, żebyś zrobiła zdjęcia.

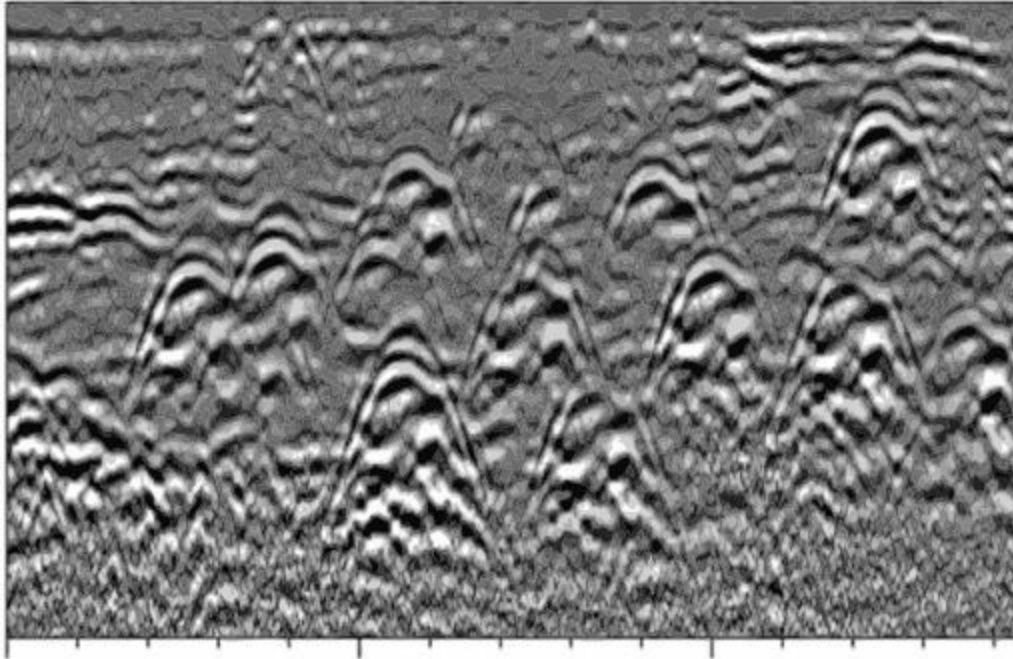
Dziewczyna skinęła głową, lecz prawdopodobnie nie usłyszała ani jednego słowa.

Nate wiercił się, miętosząc kapelusz w rękach.

Co takiego znalazł?

Archeolożka podeszła i stanęła obok Heinricha. Amy odchyliła się na składanym metalowym krzeselku, żeby szefowa lepiej widziała ekran.

Ukazał się na nim komputerowy obraz kawałka gruntu, który Nate zeskanował. Poszczególne fragmenty przedstawiały różne warstwy działki podzielonej na osiem części, które z kolei podzielono pod względem głębokości. Obraz przypominał szare kwadratowe kałuże błota zamazane czarnymi liniami układającymi się w parabole, które wyglądały jak fale marszczące wodę w sadzawce. Owe czarne linie przedstawiały twarde gruntu.



Erin Granger poczuła bicie serca aż w gardle. Schyliła się nad komputerem, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

Każda błota miała zbyt wiele fal. Przez dziesięć lat pracy na wykopaliskach Erin nie zobaczyła czegoś podobnego. Nikt czegoś takiego nie widział.

To było niemożliwe.

Powiodła palcem wzdłuż zakrzywionej linii na ekranie, nie zważając na minę Amy. Dziewczyna nie znosiła, kiedy ktoś zostawiał smugi na ekranie laptopa. Jednak archeolożka musiała się przekonać, że to, co widzi, naprawdę istnieje. Musiała dotknąć.

— Nate, jakiej wielkości jest fragment gruntu, który prześwieciłeś? — spytała z nadzieją, od której ścisnęło jej się gardło.

— Ma dziesięć metrów kwadratowych — odparł student bez wahania.

Zerknęła z ukosa na jego poważną twarz.

— Tylko dziesięć? Jesteś pewien?

— Pamięta pani, jak uczyła mnie posługiwać się skanerem? — spytał, przechylając głowę. — Bolało.

Amy parsknęła śmiechem.

— Uwzględniłeś przyrost? — dociekała doktor Erin.

— Tak — odparł z westchnieniem. — Wszystko uwzględniłem.

Dotknęła go, podważając jego umiejętności, lecz musiała się upewnić. Miała zaufanie do sprzętu, lecz nie zawsze do ludzi, którzy go obsługują.

— Zrobiłem wszystko jak należy — dodał Nate i schylił się. — Uprzedzę następne pani pytanie. Sygnatura jest dokładnie taka sama jak szkieletu, który pani odkopała.

Dokładnie taka sama. To oznaczało, że warstwa ma dwa tysiące lat. Archeolożka spojrzała ponownie na intrygujący obraz. Jeśli dane się zgadzały — trzeba będzie to jeszcze raz sprawdzić — to każda parabola oznaczała ludzką czaszkę.

— Przeprowadziłem wstępne obliczenie — odezwał się Nate. — Jest ich ponad pięćset. Żadna nie ma w przekroju więcej niż dziesięć centymetrów.

Dziesięć centymetrów...

To nie były zwyczajne ludzkie czaszki — to były czaszki dzieci.

Setki dziecięcych czaszek.

Po cichu wyrecytowała ustęp Biblii: *Wtedy Herod, widząc, że go Mędrcy zawiedli, wpadł w straszny gniew. Posłał [oprawców] do Betlejem i całej okolicy i kazał pozabijać wszystkich chłopców w wieku do lat dwóch, stosownie do czasu, o którym dowiedział się od Mędrców².*

Rzeź niewiniątek. Wiedziony strachem Herod podobno nakazał ją, by mieć całkowitą pewność, że zgładził niemowlę, które miało go zastąpić na żydowskim tronie. Zamiar się nie powiódł. Owo dziecko uciekło z rodzicami do Egiptu i wyrosło na mężczyznę, którego świat zna pod imieniem Jezus Chrystus.

Czyżby udało się odkryć dowód straszliwej zbrodni Heroda?

2

26 października, 13.03

Masada, Izrael

Pot piekł Tommy'ego w oczy. Właśnie w takich chwilach najbardziej brakowało mu brwi.

Wielkie dzięki, chemioterapio, myślał.

Ponownie oparł się o głaz w kolorze wielbłądziej skóry. Wszystkie kamienie na stromym szlaku wyglądały podobnie i wszystkie były zbyt gorące, żeby dało się na nich usiąść. Podwinął kurtkę pod nogi, tworząc dodatkową warstwę ochronną między spodniami a rozgrzanym głazem. Jak zwykle to właśnie on podtrzymywał grupę na duchu. I jak zwykle był za słaby, żeby iść bez odpoczynku.

Z trudem łapał oddech. Piekące powietrze było suche i rozrzedzone. Czy miało wystarczającą zawartość tlenu? Pozostali wspinacze jakoś oddychali. Mknęli po serpentynach niczym czternastolatki, a on włókł się jak dziadzius. Nawet nie słyszał już ich głosów.

Skalisty szlak zwany Wężową Ścieżką wił się po stromych zboczach okrytej złą sławą góry Masada. Do jej wierzchołka zostało zaledwie kilka metrów; krył ruiny starożytnej żydowskiej twierdzy. Z kamienia, na którym przycupnął Tommy, rozpościerał się widok na połąc spieczonej brązowej ziemi doliny Jordanu. Otarł pot z czoła. Pochodził z hrabstwa Orange i zdawało mu się, że wie, co to skwar. Teraz jednak czuł się jak ktoś, kto wczołguje się do piekarnika.

Głowa mu opadła. Chciało mu się spać. Zapraagnął poczuć na policzku chłód hotelowej pościeli i zapaść w długą drzemkę w klimatyzowanym pokoju. Później poczułby się lepiej i pograłby w gry wideo.

Naraz drgnął. To nie był czas na mrzonki. Czuł się jednak bardzo zmęczony, a na pustyni panowała głęboka cisza. W odróżnieniu od ludzi zwierzęta i owady były przezorne i za dnia znajdowały sobie kryjówki. Pochłonęła go wielka pusta cisza. Czy tak odczuwa się śmierć?

— Wszystko w porządku, kochanie? — spytała matka.

Wzdrygnął się. Dlaczego nie usłyszał, jak nadchodzi? Czyżby znów zmorzył go sen?

— Tak, tak — wydyszał.

Zagryzła wargę. Wszyscy wiedzieli, że Tommy nie czuje się dobrze. Szarpnął mankiet koszuli, aby zasłonić nową plamę czerniaka, która rozlała się na jego lewym nadgarstku.

— Możemy poczekać tyle, ile potrzebujesz. — Matka klapnęła na kamieniu obok syna. — Ciekawe, dlaczego nazywają ten szlak Wężową Ścieżką. Nie zauważyłam ani jednego węża.

Mówiąc, spoglądała na brodę syna. Rodzice rzadko teraz nawiązywali z nim kontakt wzrokowy, bo wtedy zaczynali płakać. Działo się tak od dwóch lat wypełnionych operacjami, chemioterapią i radioterapią. Teraz nastąpił nawrót choroby.

Może spojrzę na jego twarz, kiedy spocznie w trumnie.

— Tutaj jest za gorąco dla węży — odparł prawie bez tchu.

— Zamieniłyby się w rolady. — Matka pociągnęła długi łyk wody z butelki. — Dobrze upieczone w słońcu i gotowe do spożycia. Tak jak my.

Nadszedł ojciec.

— Coś się stało?

— Chciałam trochę odsapnąć — skłamała matka, aby kryć Tommy'ego. Zmoczyła chustkę i podała synowi. — Ale się zmęczyłam.

Tommy chciał sprostować, powiedzieć prawdę, ale był zbyt wyczerpany. Otarł twarz chustką.

Ojciec rozgadał się; zawsze tak reagował na zdenerwowanie.

— To już blisko. Jeszcze parę metrów i zobaczymy twierdzę. Słynną twierdzę Masada, wyobraźcie sobie.

Tommy zamknął oczy. Ujrzał basen wypełniony chłodną błękitną wodą, zalatującą chlorem.

— W namiotach zgromadziło się dziesięć tysięcy rzymskich żołnierzy. Świeci słońce, a oni czekają z mieczami i tarczami. Odcięli wszystkie drogi ucieczki, chcą zagłodzić dziewięćset mężczyzn, kobiet i dzieci chroniących się na płaskim wierzchołku góry. — Ojciec mówił coraz szybciej. — Jednak powstańcy trzymają się mocno do samego końca. A nawet dłużej. Nie poddają się.

Tommy ściągnął kapelusz okrywający jego łysą głowę i mrużąc oczy, spojrzał na ojca.

— Przecież sami się wykończyli.

— Nie — odparł z przekonaniem ojciec. — Żydzi postanowili zginąć jako wolni ludzie, a nie zdać się na łaskę Rzymian. Nie pozbawili się życia, żeby skapitulować. Sami wybrali swój los. Właśnie tego rodzaju decyzje określają, jakim jesteś człowiekiem.

Chłopiec wziął do ręki gorący kamień i rzucił go w dół. Kamień odbił się od szlaku i zniknął za krawędzią. Jak postąpiłby ojciec, gdyby on rzeczywiście postanowił wziąć los w swoje ręce? Gdyby odebrał sobie życie, zamiast trwać w niewoli nowotworu? Zapewne nie opowiadałby o tym z taką dumą.

Popatrzył na jego twarz. Ludzie często mówili, że są do siebie podobni; że mają takie same gęste czarne włosy, że często się uśmiechają. Kiedy Tommy stracił włosy po chemioterapii, przestali to powtarzać. On zaś zastanawiał się, czy kiedyś upodobni się do ojca, który teraz spytał:

— Gotowy do dalszej drogi? — I dźwignął plecak.

Matka posłała mu gniewne spojrzenie.

— Nigdzie się nam nie spieszy.

— Nie powiedziałem, że już musimy iść. Tylko zapytałem...

— Jasne. — Tommy wstał; nie chciał, by rodzice się pokłócili.

Spoglądając pod nogi, ruszył przed siebie. Krok za krokiem, stopa za stopą. Niebawem znajdzie się na szczycie, rodzice spędzą z nim upragnione chwile w twierdzy. Z tego właśnie powodu przystał na propozycję wyprawy: chciał dać im coś, co warte jest zapamiętania. Nie chcieli się do tego przyznawać, ale takich chwil z synem nie pozostało im już wiele. Pragnął, aby te wspomnienia były jak najlepsze.

Liczył kroki. Właśnie tak pokonuje się przeciwności. Trzeba liczyć. Mówiąc „raz”, wiesz, że nastąpi „dwa”, a potem „trzy”. Doliczył do dwudziestu ośmiu i wtedy ścieżka przestała się wznosić.

Dotarł na szczyt. Miał wrażenie, że jego płuca to dwie płonące papierowe torebki, ale cieszył się, że doszedł.

Stał tam drewniany pawilon, choć było to zbyt szumne określenie na cztery cienkie pnie drzew, na których spoczywało parę podobnych. Rzuciły nierównomierny cień, lecz jako tako chroniły przed palącym słońcem.

Za krawędzią skały rozpościerała się pustynia. Sucha i rozpaczliwie pusta, lecz na swój sposób piękna. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się spieczone piaskowe wydmy. Pędzone wiatrem ziarenka piasku smagały kamienną ścianę, krusząc ją od tysięcy lat.

Ani ludzi, ani zwierząt. Czy właśnie to widzieli obrońcy przed nadejściem Rzymian?

Zabójcze pustkowie.

Tommy odwrócił się i spojrzał na ścięty wierzchołek góry, na którym przed dwoma tysiącami lat przelano krew. Miał długość około pięciu boisk piłkarskich i szerokość około trzech, stało na nim kilka kamiennych budowli popadających w ruinę.

Po co właściwie się tutaj wdrapałem?

Matka także nie wyglądała na osobę, której zaimponowało to, co ujrzała. Odgarnęła pukiel kręconych brązowych włosów; jej twarz zaróżowiła się od słonecznej spiekoty lub z wysiłku.

— Bardziej przypomina więzienie niż twierdzę.

— Bo to było więzienie — przytaknął ojciec. — Węzienie dla skazańców. Nikt nie wyszedł stąd żywy.

— Nikt nigdy nie wychodzi żywy — rzucił Tommy i od razu pożałował tych słów. Matka odwróciła głowę i wsunęła palec pod okulary przeciwsłoneczne. Otarła łzę. Mimo to ucieszył się, że poczuła coś prawdziwego, zamiast bez przerwy wypierać rzeczywistość.

Przewodniczka podeszła szybkim krokiem, ratując sytuację. Spod jej ciasnych spodenek khaki wyglądały gołe nogi; miała długie czarne włosy i ani trochę nie było po niej widać zmęczenia długą wspinaczką.

— Bardzo się cieszę, że dali państwo radę! — oznajmiła z seksownym izraelskim akcentem.

Tommy uśmiechnął się do niej, zadowolony, że odrywa jego myśli od smutnych spraw.

— Nazwa Masada pochodzi od słowa *metzuda*, które oznacza twierdzę. Sami państwo widzą, skąd się wzięła. — Okreźnym ruchem ręki wskazała płaskowyż. — Mur chroniący twierdzę w rzeczywistości składa się z dwóch murów, jeden znajduje się wewnątrz drugiego. Pomiędzy nimi mieściły się kwatery mieszkańców. Przed nami wznosi się Pałac Zachodni, największa budowla Masady.

Tommy oderwał wzrok od ust przewodniczki i spojrzał w kierunku, który wskazywała. Potężna budowla w niczym nie przypominała pałacu, była ruiną. W prastarych kamiennych murach ziały wielkie wyrwy, w których pięły się nowoczesne rusztowania. Wyglądały tak, jakby ktoś stawiał w tym miejscu dekoracje do następnej części *Indiany Jonesa*.

Za rusztowaniem kryła się niezwykła historia, lecz Tommy jej nie czuł, mimo że tego pragnął. Historia dużo znaczyła dla ojca i powinna być ważna również dla niego, ale od kiedy zapadł na raka, czuł, że istnieje poza czasem i historią. Nie znajdował w głowie miejsca dla tragedii innych ludzi, zwłaszcza dla tych, którzy nie żyli od dwóch tysięcy lat.

— Prawdopodobnie w sąsiednim gmachu mieściła się prywatna łaźnia — ciągnęła przewodniczka, wskazując ręką. — Znaleziono w nim trzy szkielety, czaszki były oddzielone od reszty ciał.

Tommy uniósł głowę. Nareszcie coś ciekawego.

— Głowy zostały odcięte? — spytał, podchodząc. — Ci ludzie popełnili samobójstwo, ścinając sobie głowy?

Usta przewodniczki ułożyły się w uśmiech.

— Żołnierze ciągnęli losy, by wyznaczyć tego, który zabije pozostałych. Tylko ostatni z nich musiał popełnić samobójstwo.

Tommy się skrzywił. A więc zabili własne dzieci, kiedy zrobiło się naprawdę gorąco. Poczł ukłucie zazdrości. Lepiej zginąć szybko z rąk kogoś, kto cię kocha, niż gnić powoli za sprawą nieubłaganego nowotworu. Zawstydził się tej myśli i spojrzał na rodziców. Matka posłała mu uśmiech, wachlując się przewodnikiem, a ojciec pstryknął mu zdjęcie.

Nigdy by ich o to nie poprosił.

Zrezygnowany, skierował uwagę na łaźnię.

— Czy te szkielety wciąż tam są...? — Podeszedł bliżej, aby zajrzeć przez metalową bramę.

Przewodniczka zagroziła mu drogę swoją bujną piersią.

— Przykro mi, młodzieńcze. Nikomu nie wolno tam wchodzić.

Usilnie starał się nie gapić na jej biust, ale bezskutecznie.

Zanim zdołał ruszyć się z miejsca, odezwała się matka:

— Jak się czujesz, Tommy?

Czy zauważyła, że pożera przewodniczkę wzrokiem? Zarumienił się.

— Doskonale.

— Chcesz się napić? Mam wodę. — Podała mu plastikową butelkę.

— Nie, mamo.

— Posmaruję ci twarz kremem ochronnym — oznajmiła, sięgając do torebki. W normalnych okolicznościach ścierpiałby to poníženie, lecz przewodniczka obdarzyła go promiennym

uśmiechem i nagle odechciało mu się poddawać maminym zabiegom.

— Nie trzeba! — rzucił przesadnie twardym tonem.

Matka się wzdrygnęła. Przewodniczka odeszła.

— Przepraszam — powiedział. — Nie chciałem cię urazić.

— Nic się nie stało. Będę tam z tatą. Porozglądaj się tutaj.

Czuł się okropnie, patrząc, jak matka odchodzi.

Ruszył ku budynkowi łaźni zły na siebie. Oparł się o metalową bramę, żeby zerknąć do środka. Zazgrzytała i ugięła się pod jego ciężarem. Omal się nie przewrócił. Cofnął się szybko, lecz zanim to zrobił, coś w rogu pomieszczenia przykuło jego uwagę.

Zauważył delikatne trzepotanie, jakby biały skrawek papieru zawirował w powietrzu.

Ogarnęła go ciekawość. Rozejrzał się. Nikt nie patrzył, a poza tym czy spotka go jakaś kara za to, że bez pozwolenia przekroczył bramę? Co strasznego może się wydarzyć? Uroczą przewodniczką wywlecze go na zewnątrz?

Nie miałyby nic przeciwko temu.

Wsunął głowę do środka, spoglądając w miejsce, gdzie dostrzegł ruch.

Na pokrytej mozaiką posadzce trzepotał się mały biały gołąb, powłócząc lewym skrzydłem po terakocie. Koniuszkami piór kreślił jakieś tajemnicze znaki w kurzu.

Biedactwo...

Trzeba go stamtąd wydostać, bo zginie z pragnienia albo padnie ofiarą drapieżnika. Przewodniczka na pewno zna adres kliniki dla zwierząt. Matka Tommy'ego pracowała w takiej placówce w Kalifornii jako ochotniczka, zanim nowotwór syna zrujnował życie rodziny.

Wśliznął się przez niedomkniętą bramę. Odniósł wrażenie, że w środku jest ciaśniej niż w szopie, w której ojciec trzymał narzędzia. Ściany były gładkie, a podłogę pokrywała wyblakła, zakurzona mozaikowa terakota z niewyobrażalnie drobnych płytek. Widniało na niej osiem czerwonych serc tworzących kwiat; rząd ciemnoniebieskich i białych płytek układał się w fale.

Zewnętrzne obramowanie z białych trójkątów przypominało zęby. Wyobraził sobie starożytnych rzemieślników, którzy tworzyli te obrazy, lecz ta myśl go zmęczyła.

Przekroczył ocieniony próg, zadowolony, że ucieka przed bezlitosnym słońcem. Ilu ludzi tutaj zginęło? Kiedy wyobraził sobie tę scenę, zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Oczami wyobraźni ujrzał ich klęczących; był pewien, że klęczeli. Mężczyzna w zabrudzonej płóciennej tunice stał z uniesionym mieczem. Zaczął od najmłodszego dziecka, a gdy skończył, ledwo starczyło mu sił, by unieść ręce. Zdołał to jednak uczynić. W końcu on także opadł na kolana i czekał na szybką śmierć z rąk przyjaciela. To był koniec. Krew spłynęła po drobnych płytkach, przykryła fugi i osiadła kałużą na posadzce.

Tommy pokręcił głową, jakby chciał uwolnić oczy od zwidu. Rozejrzał się.

Nie było ani jednego szkieletu.

Prawdopodobnie przeniesiono je do muzeum albo pochowano.

Ptak uniósł łebek, przerywając wędrówkę po posadzce. Najpierw jednym okiem, a potem dwoma spojrzął na chłopaka. Oczy gołębia miały barwę jasnozielonego malachitu. Tommy nigdy jeszcze nie widział ptaka o zielonych oczach.

Uklęknął i odezwał się ledwo słyszalnym szeptem:

— Chodź do mnie, maleńki. Nie bój się.

Gołąb znów spojrzął na chłopca jednym okiem, a potem skoczył lekko w jego stronę.

Tommy wyciągnął rękę i ujął w dłoń rannego ptaka. Kiedy się prostował, trzymając ciepłe stworzenie w dłoniach, ziemia pod jego stopami się poruszyła. Usiłował zachować równowagę. Czyżby zakręciło mu się w głowie po długiej wspinaczce? Zobaczył wąską czarną linię na mozaice, która sunęła niczym żywe stworzenie.

Wąż, pomyślał w pierwszym odruchu.

Jego serce zabiło trwożnie.

Jednak linia się rozszerzyła. To nie był wąż, lecz coś gorszego: szczelina. Z jej końca uniosła się smużka ciemnopomarańczowego oparu, wąska jak nitka dymu z rzuconego na ziemię niedopałka.

Gołąb nagle wyrwał się z rąk chłopca, rozłożył skrzydła i przeleciał przez dym. A potem zniknął za bramą. Nie mógł być ciężko ranny. Dym przesunął się ku Tommy'emu, poruszony skrzydłami ptaka. Miał zaskakująco słodką woń zaprawioną mocniejszym aromatem; pachniał prawie jak kadzidło.

Tommy zmarszczył czoło i się pochylił. Wysunął dłoń i rozłożył ją nad dymem. Szare smugi przepłynęły między palcami, lecz były zimne, a nie ciepłe, jakby wydobywały się z chłodnego miejsca w głębi ziemi.

Schylił się, żeby lepiej im się przyjrzeć. Mozaika zachręściła pod jego nogami niczym szkło. Odskoczył. Płytki zaczęły zsuwać się do szczeliny. Granatowe, brązowe, czerwone. Poszerzająca się rozpadlina pożerała wzór.

Chłopiec ruszył w stronę wejścia. Przez pękającą mozaikę wzbijały się kłęby dymu, który przybrał teraz czerwopomarańczowy kolor.

Z głębi góry dobiegło głuche stęknienie, pomieszczenie zadrżało.

Trzęsienie ziemi.

Tommy wyskoczył z łaźni i wylądował na plecach. Budynek zatrzęsł się gwałtownie po raz ostatni, jakby przyjął cios rozgniewanego boga, a potem osunął się w przepaść, która się pod nim otworzyła.

Krawędzie się kruszyły, jedna znajdowała się zaledwie metr od Tommy'ego. Chłopak rzucił się do ucieczki. Rozpadlina go ścigała. Zdołał zmusić stopy do biegu, lecz góra zadrżała i rzuciła go na ziemię.

Odczołgiwał się na czworakach. Kamienie raniły mu dłonie. Budowle i kolumny waliły się z łoskotem na skałę.

Boże, ratuj mnie!

Wszystko okrywał kurz i dym, widoczność sięgała kilku metrów. Czołgając się, Tommy zobaczył mężczyznę, który zniknął pod wałącym się murem. Dwie kobiety z krzykiem osunęły się w głąb rozpadliny.

— Tommy!

Odczołgał się w stronę, z której dobiegał głos matki. Wreszcie przedarł się przez słupy dymu.

— Tu jestem! — wykrztusił.

Ojciec podbiegł i dźwignął go na równe nogi. Matka złapała go za łokieć. Poprowadzili syna w stronę Wężowego Szlaku, byle dalej od kataklizmu.

Tommy odwrócił głowę. Szczelina wciąż się rozszerzała, przedzielając szczyt góry na dwoje. Skalne bryły odrywały się od niej i staczały ku pustyni. Ciemny dym buchał kłęбами ku błękitnemu aż do bólu niebu, jakby zanosił straszną wieść rozpalonemu słońcu.

Cała trójka dotarła do krawędzi skały.

Jednak trzęsienie ziemi zakończyło się równie nagle, jak się zaczęło.

Rodzice zamarli, jakby się obawiali, że kataklizm wróci. Ojciec objął żonę i syna. Powietrze rozdarły okrzyki pełne bólu.

— Tommy — powiedziała drżącym głosem matka. — Ty krwawisz.

— Obtarłem sobie ręce — odrzekł. — To drobiazg.

Ojciec wypuścił ich z objęć. Zgubił kapelusz i rozciął sobie policzek. Jego głęboki głos zabrzmiał zbyt wysoko.

— To była chyba robota terrorystów.

— Nie słyszałam wybuchu bomby — odparła matka, głaszcząc syna po włosach, jakby był małym chłopcem.

O dziwo, nie zaprotestował.

Tuman czarnoczerwonego dymu sunął w ich stronę, jak gdyby chciał wypędzić przybyszów z wierzchołka góry.

Ojciec dostrzegł zagrożenie i wskazał w kierunku stromego szlaku.

— Chodźmy stąd, te opary mogą być trujące.

— Oddychałem nimi — zapewnił go Tommy, nie ruszając się z miejsca. — Nic mi nie jest.

Jakaś kobieta wydostała się z kłębow dymu, trzymając się za gardło. Biegła na ślepo, jej poranione powieki krwawiły. Zrobiła kilka kroków, a potem upadła na ziemię i znieruchomiała.

— Uciekamy! — krzyknął ojciec, pchając Tommy'ego. — No już!

Pobiegli, lecz nie zdołali uchronić się przed oparem.

Obłok ich ogarnął. Matka kasłała nienaturalnie, chrapliwie. Tommy wyciągnął do niej rękę.

Rodzice stanęli i opadli na kolana.

Wyścig dobiegł końca.

— Tommy... — wycharczał ojciec. — Idź...

Chłopak nie posłuchał i uklęknął obok rodziców.

I tak umrę, lepiej zginąć na swoich warunkach.

W otoczeniu rodziny.

Poczucie, że zbliża się koniec, ukoilo go.

— Wszystko w porządku, tato. — Uścisnął rękę matki, a potem ojca. Po jego policzkach spłynęły łzy, choć zdawało mu się, że już wszystkie wypłakał. — Bardzo was kocham.

Rodzice patrzyli mu prosto w oczy. Mimo że chwila była straszna, Tommy poczuł ogarniające go ciepło.

Objął mocno rodziców i trzymał nawet wtedy, gdy ich ciała zwiotczały. Nie chciał oddać ich grawitacji, mimo że śmierć dokonała już swego dzieła. Gdy zabrakło mu sił, uklęknął obok nich i czekał na ostatnie tchnienie.

Mijały minuty, a ono nie przychodziło.

Otarł ręką zapłakaną twarz i podniósł się na równe nogi. Nie chciał patrzeć na zwinięte ciała rodziców, na ich napuchnięte brwi i skrwawione twarze. Może jeśli nie spojrzy, śmierć nie zabierze ich naprawdę. Może to tylko sen.

Odwrócił się powoli. Tuman żrącego dymu odpłynął. Na skale ścieleły się ludzkie ciała. Jak okiem sięgnąć, wszystko zastygło w martwocie.

To nie był sen.

Dlaczego tylko ja jeden przeżyłem? Przecież to ja miałem umrzeć, a nie mama i tata.

Spojrzał jeszcze raz na zwłoki. Jego żal sięgał głębiej niż miejsce, z którego przychodzi płacz. I głębiej niż ten, który towarzyszył myśli o własnej śmierci.

To nie tak powinno być. To on był chory, dotknięty skazą. Od dawna wiedział, że zbliża się koniec. Rodzice mieli zachować wspomnienia o nim i tysiące zdjęć, na których uwiecznili czternastoletniego syna. To na nich miała spaść żałoba.

Osunął się na kolana i zaszlochał, wyciągając ręce ku słońcu. Wyprostowane palce wyrażały zarazem błaganie do Boga i rzucały na niego przekleństwo.

Jednak Bóg jeszcze z nim nie skończył.

Rękaw koszuli opadł, obnażając nadgarstek. Nic na nim nie było.

Tommy opuścił ręce i z niedowierzaniem spojrział na skórę. Czerniak znikł.

3

26 października, 14.15

Cezarea, Izrael

Erin klęczała w wykopie i oglądała zniszczenia po trzęsieniu ziemi. Westchnęła z żalu. Ze wstępnych doniesień wynikało, że epicentrum znajdowało się wiele kilometrów dalej, lecz ucierpiało całe wybrzeże morskie Izraela, łącznie ze stanowiskiem wykopaliskowym.

Przez połamane deski osłaniające wykop sypał się piasek, powoli zakrywając odkryty przez archeolożkę szkielet. Można było pomyśleć, że natura chce, aby pozostał na swoim miejscu.

Jednak nie to stanowiło najgorszy skutek wstrząsów. Piasek można odgarnąć, lecz na czaszce dziecka spoczywała pęknięta deska. Właśnie ten szkielet doktor Erin usiłowała delikatnie wydrzeć ziemi. Woląca nie wyobrazić sobie, co ujrzy pod kawałem drewna.

Oby z czaszką wszystko było w porządku...

Troje studentów stało nad krawędzią wykopu i wierciło się niecierpliwie.

Wstrzymując oddech, archeolożka wyjęła rozpołowioną deskę i nie patrząc, podała Nate'owi. Następnie uniosła brezent, którym przykryła maleńki szkielet.

W miejscu, w którym leżała nietknięta czaszka, ujrzała potraskane fragmenty. Ciało spoczywało w ziemi przez dwa tysiące lat, a ona je wydobyła i naraziła na zniszczenie.

Jej gardło się ścisnęło.

Siedziała na dnie wykopu i delikatnie dotykała palcami kawałeczków kości. Było ich zbyt wiele. Pochyliła głowę. Dopuszczała do tego, by przepadły ślady świadczące o przyczynie śmierci dziecka. Powinna dokończyć pracę, zanim odeszła z Nate'em, żeby obejrzeć zarejestrowany w komputerze odczyt z radaru.

— Pani doktor? — odezwał się Heinrich.

Wyprostowała się szybko, aby nie pomyślał, że się modli. Niemieckiego studenta archeologii cechowało nadmierne przywiązanie do religii. Nie chciała, żeby dostrzegł u niej tę samą cechę.

— Zrobimy gipsowy odlew tego, co zostało — oznajmiła.

Musiała ochronić resztę szkieletu przed wstrząsami wtórnymi.

Dla czaszki było już za późno.

— Robi się.

Heinrich przeciągnął palcami po niesfornej blond czuprynie i skierował się do namiotu ze sprzętem, który oparł się trzęsieniu ziemi. Ofiarą wstrząsów padła jedynie cola, którą popijała Amy.

Wiotka jak trzcina dziewczyna Heinricha, Julia, podążyła jego śladem. Nie powinna przebywać na terenie wykopalisk, ale doktor Erin pozwoliła jej spędzić weekend z chłopakiem.

— Sprawdź sprzęt — odezwała się głosem pełnym niepokoju Amy. Doktor Erin uświadomiła sobie, że jej studenci to jeszcze dzieciaki. Ona w ich wieku nie czuła się aż tak młoda. Hm, doprawdy?

Wskazała gestem hipodrom, który popadł w ruinę na długo przed ich przybyciem.

— Ta budowla przetrwała gorsze kataklizmy — oznajmiła z udawaną beztróską. — Naprawmy, co się da.

— Możemy go odbudować, mamy środki techniczne. Będzie wyglądał lepiej niż kiedyś. — Nate zanucił melodię z serialu *Six Million Dollar Man*.

Amy uśmiechnęła się do niego zalotnie, po czym ruszyła w kierunku namiotu.

— Możesz mi przynieść nową deskę?

— Jasne, pani doktor.

Odszedł. A gdyby naprawdę odbudować hipodrom? — zastanawiała się doktor Erin. Melodia z filmu brzmiała w jej uszach. Całą budowlę, nie tylko wykopalisko.

Spojrzała na ruiny, wyobrażając sobie, jak hipodrom wyglądał w dawnych czasach. Widziała nawet tę połowę, która dawno się zawaliła. Wiwatujące tłumy, turkot rydwanów, stukot końskich kopyt. Szybko jednak przypomniała sobie to, co zdarzyło się przed jego wybudowaniem: rzeź niewiniątek. Wyobrażała sobie przerażenie bezradnych matek, którym żołnierze wyrywali z rąk niemowlęta. I ciosy mieczy, którymi rozplątywali ciała krzyczących wniebogłosy dzieci.

Tak wiele utraconych ludzkich istnień.

Zaczynała się domyślać, dlaczego Herod nakazał zbudować hipodrom właśnie w tym miejscu. Jeśli nie pomyliła się w interpretacji swojego odkrycia, to okrutny władca czerpał chorobliwą radość z faktu, że konie tratowały groby zamordowanych dzieci. Przelana na hipodromie krew bezcześciła ich mogiły.

Przenikliwe rżenie konia wyrwało ją z zadumy. Wstała i spojrzała ku stajni; opiekun zwierząt prowadził płochliwego białego ogiera. Doktor Erin znała się na koniach. W dzieciństwie spędziła wiele szczęśliwych godzin przy stajni i doskonale wiedziała, że nie znoszą trzęsień ziemi. Te duże i bardzo wrażliwe zwierzęta niepokoiły się przed wystąpieniem wstrząsów i po ich zakończeniu. Miała nadzieję, że wierzchowce na terenie wykopalisk mają dobrą opiekę.

Powrócili Heinrich i Nate. Nate niósł nową deskę, a Heinrich worek gipsu, dzban wody oraz wiaderko. Jego drugą specjalizacją były sztuki plastyczne, miał więc zręczne ręce. Właśnie takich potrzebowali do zrekonstruowania pokruszonej czaszki.

Nate podał archeolożce deskę. Żywczyzny aromat, jaki roztaczała, nie pasował do pustynnej scenerii. Ostrożnie, by nie nastąpić na resztkę szkieletu, młody student opuścił się do

wykopu. Razem umieścili deskę w ścianie. Oby nie pękła jak poprzednia.

Doktor Erin i Heinrich zaczęli wydobywać piasek, Nate zaś poszedł sprawdzić sprzęt elektroniczny. Drewno uszkodziło czaszkę i lewe ramię. Archeolożka pamiętała wygląd maleńkiej kości udowej i skręconej szyi. Była pewna, że znalazłaby jakieś cenne ślady. Teraz zostały bezpowrotnie utracone.

Uniosła aparat fotograficzny i skierowała obiektyw na czaszkę. Chciała za wszelką cenę uratować to, co pozostało ze szkieletu. Zrobiła kilka zdjęć pod różnymi kątami. Następnie sfotografowała pękniętą rękę, strzaskaną w połowie. Pstrykając zdjęcia, poczuła lekkie ukłucie w przedramieniu. Bóle w ręce towarzyszyły jej od czwartego roku życia.

Odłożywszy aparat, popatrzyła na złamaną kończynę. Dotknęła palcami lewej ręki i pogrążyła się we wspomnieniach.

Mama pchnęła ją lekko w stronę taty, zachęcając, by pokazała mu aniołka, którego mała Erin narysowała kredkami. Ciesząc się, że usłyszy pochwałę, z dumą wyciągnęła rysunek w kierunku jego pokrytej odciskami ręki. Był tak wysoki, że ledwie sięgała mu za kolano. Wziął kartkę, lecz tylko musnął ją wzrokiem.

Usiadł i wziął córkę na kolana. Zaczęła się trząść. Miała zaledwie cztery lata, ale wiedziała już, że kolana ojca to najniebezpieczniejsze miejsce na świecie.

— Którą ręką narysowałaś anioła? — Jego dudniący głos ogłuszył ją niczym łoskot wody zalewającej suchy ląd.

Nie umiała kłamać, uniosła lewą dłoń.

— Z lewej ręki pochodzi fałsz i przekleństwo — rzekł ojciec. — Nigdy więcej nie możesz nią pisać i rysować. Rozumiesz?

Przerażona dziewczynka skinęła głową.

— Nie pozwolę, by zło wysługiwało się moim dzieckiem jak narzędziem.

Spojrzał na nią ponownie, jakby czegoś oczekiwał.

Erin nie wiedziała, co zamierza.

— Tak, proszę pana.

Uniósł lekko kolano i uderzył o nie jej lewą ręką. Trzasnęła niczym drzazga.

Erin trzymała w palcach pękniętą kość szkieletu, wciąż czując tamten ból. Ścisnęła mocniej i wyczuła zgrubienie; kość zrosła się krzywo, gdyż ojciec nie pozwolił pójść do lekarza. Jeśli dzięki modlitwie nie udawało się sprawić, by rana się zagoiła, albo uratować życia dziecka, oznaczało to, że taka jest wola Boga. A rodzina zawsze musiała być tej woli posłuszna.

Kiedy wyrwała się spod tyranii ojca, przez rok uczyła się pisać lewą ręką; każde poruszenie długopisem wyrażało jej gniew i determinację. Nie mogła pozwolić, by ojciec ją ukształtował. Jak dotąd zło nie zdołało nią zawładnąć, choć w czasie opadów deszczu doskwierał jej ból.

— A więc w Biblii napisano prawdę. — Głos Heinricha wyrwał ją ze wspomnień. Student zgarnął piasek z nóg dziecięcego szkieletu i wysypał go za krawędzią wykopu. — Rzeź naprawdę się wydarzyła. Tu, w tym miejscu.

— Nie. — Doktor Erin patrzyła na rozrzucone fragmenty kości, zastanawiając się, od czego zacząć. — Wyciągasz za daleko idące wnioski. Znaleźliśmy potencjalny dowód na to, że doszło tutaj do rzezi, ale wątpię, by miała ona cokolwiek wspólnego z narodzinami Chrystusa. Fakty historyczne i przypowieści religijne często się ze sobą przeplatają. Jako archeolodzy musimy traktować Biblię jako... — Szukała jakiegoś neutralnego słowa, lecz dała za wygraną. — Uduchowioną interpretację wydarzeń spisaną przez kogoś, kto naginał fakty, żeby dopasować je do swojej ideologii. Kogoś, kto kierował się pobudkami religijnymi.

— Nie zaś naukowymi? — Niemiecki akcent Heinricha zabrzmiał wyraźniej, co oznaczało, że student jest podenerwowany.

— Nie były obiektywne. Naszym celem ostatecznym jako naukowców jest znajdowanie materialnych dowodów minionych wydarzeń, a nie poleganie na starożytnych opowieściach. Mamy wszystko kwestionować.

Heinrich ostrożnie zmiótł piasek z drobnej kości udowej.

— Pani nie wierzy w Boga? Ani w Chrystusa?

Doktor Erin starannie obejrzała chropowatą powierzchnię kości. Nie zauważyła na niej nowych uszkodzeń.

— Wierzę, że Chrystus był człowiekiem i że stał się inspiracją dla milionów. Czy wierzę, że zamienił wodę w wino? Potrzebowałabym na to dowodów.

Wróciła myślą do pierwszej komunii. Wtedy wierzyła w cuda, naprawdę myślała, że pije krew Chrystusa. Miała wrażenie, że od tego dnia minęły wieki.

— Ale jest pani tutaj — mówił Heinrich, kolistym ruchem ręki wskazując wykopalisko. — I zajmuje się pani biblijną opowieścią.

— Badam pewne wydarzenie historyczne — sprostowała doktor Erin. — Znajduję się w Cezarei, a nie, jak podaje Biblia, w Betlejem. Znalazłam dowody, które mnie tutaj ściągnęły. To są fakty, a nie wiara.

Heinrich zdążył oczyścić dolną część szkieletu. Oboje pracowali szybciej niż zwykle, obawiając się, że wstrząs lada chwila może się powtórzyć.

— Sprowadził nas tutaj przekaz zapisany na naczyniu pochodzącym z pierwszego wieku, a nie Biblia — dodała.

Po miesiącach poszukiwań wśród szczątków ceramiki w Muzeum Rockefellera w Jerozolimie natrafiła na błędnie sklasyfikowany pęknięty dzban, na którym umieszczono informację nawiązującą do masowego grobu dzieci w Cezarei. To wystarczyło, żeby dostała grant i zebrała ekipę badawczą.

— A więc pani celem jest... zdemaskowanie Biblii? — rzekł z rozczarowaniem młody Niemiec.

— Moim celem jest odkrycie, co się tutaj wydarzyło. Prawdopodobnie nie miało to nic wspólnego z biblijną opowieścią.

— Pani nie wierzy w świętość Biblii? — Heinrich przerwał pracę i patrzył na szefową.

— Jeśli istnieje świętość, to nie w Biblii. Jest w każdym mężczyźnie, kobiecie i dziecku. Nie w kościele ani w tym, co wychodzi z ust księdza.

— Ale...

— Przyniosę pędzle.

Doktor Erin wydobyła się z wykopu. Walczyła ze złością i nie chciała, by student to zauważył.

Kiedy była w połowie drogi do namiotu ze sprzętem, usłyszała odgłos helikoptera i odwróciła głowę. Osłoniła oczy dłonią i spojrzała w niebo.

Nadleciał błyskawicznie, nisko nad ziemią. Była to duża maszyna w maskującym kolorze zielonym ze znakiem S-92 wypisanym na ogonie. Po co przyleciał? Wirniki wzbijały z ziemi tumany piasku, który zapewne przysypie szkielet.

Odwróciła się. Chciała powiedzieć Heinrichowi, żeby przykrył kości brezentem.

Zanim zdążyła się odezwać, zobaczyła pędzącego od stajni arabskiego ogiera. Biały jak duch rumak galopował bez jeźdźca. Mknął w kierunku Heinricha i nie mógł widzieć wykopu. Archeolożka skoczyła ku studentowi, wiedząc, że nie zdoła wyprzedzić konia.

Heinrich musiał usłyszeć tętent kopyt, bo wstał w chwili, w której zwierzę dobiegło do wykopu, i spłoszył je jeszcze bardziej. Ogier wierzgnął, trafiając go kopytem w czoło. Student zniknął w rowie.

Helikopter siadał na ziemi w łoskocie wirników.

Ogier uciekał przed hałasem, kierując się w stronę wykopu.

Erin krążyła obok niego.

— Już dobrze, już dobrze — mówiła cichym, spokojnym głosem. — Nic ci nie grozi.

Koń łypnął na nią dużym brązowym okiem. Jego pierś unosiła się, spocone boki drżały, z pyska kapłała piana. Erin musiała uspokoić ogiera, żeby nie spadł do wykopu, w którym leżał nieruchomo Heinrich.

Weszła pomiędzy rów i wierzchowca, nie przestając do niego mówić. Kiedy wyciągnęła rękę i poklepała go po wygiętej szyi, zadrżał, lecz nie rzucił się do ucieczki. Spowiła ją dobrze znana

woń konia. Wciągnęła głęboko powietrze i odetchnęła. Zwierzę zrobiło to samo.

Chcąc odciągnąć konia od wykopu i Heinricha, skierowała się w przeciwną stronę. Musiała go odprowadzić, aby znów się nie spłoszył.

Ogier zrobił krok; jego nogi drżały.

Nagle pojawił się Nate, a z nim Amy i Julia. Wszyscy troje biegli.

Doktor Erin uniosła rękę.

— Nate — powiedziała śpiewnym głosem. — Zatrzymaj wszystkich, dopóki nie odciągnę konia.

Student zrobił ślizg i stanął w miejscu. Koleżanki poszły za jego przykładem.

Koń dyszał ciężko, jego spocony grzbiet zadrżał.

Erin wsunęła palce w siwą grzywę i odprowadziła go kilka kroków od wykopu. Skinęła na Nate'a.

Gdzieś zza jej pleców dobiegł krzyk. Odwróciła głowę i zobaczyła drobną postać mężczyzny w arabskim ubraniu, który biegł po piasku.

Opiekun dopadł do konia. Gestykulując w stronę helikoptera i bez przerwy mówiąc, zarzucił wodze na łeb wierzchowca. Erin zrozumiała: ogier nie lubił helikopterów. Ona także za nimi nie przepadała. Poklepała na pożegnanie zwierzę po kłębie. Opiekun je odprowadził.

Amy i Julia zeszły do wykopu. Julia położyła rękę na czole ranego. Jedna strona jego twarzy była zakrwawiona. Dziewczyna mówiła do niego cicho po niemiecku. Nie odpowiadał. Erin wstrzymała oddech. Na szczęście chłopak oddychał.

Zeszła do wykopu. Uklękła, łagodnym ruchem odsunęła dłoń Julii i dotknęła głowy ranego. Mocno krwawił, lecz czaszka była nienaruszona. Zdjęła bandanę z głowy i przyłożyła ją do rany. Materiał nie był sterylny, ale niczego innego nie miała. Poczowała ciepłą wilgoć krwi na ręku.

Heinrich otworzył oczy i jęknął.

— To wykopalisko domaga się ofiary ze zgruchotanych czaszek.

Uśmiechnęła się z zaciśniętymi ustami. W jej obecności ucierpiał dwa ludzkie czerepy.

— Jak się czujesz?

Student zakrwawionymi ustami wymamrotał coś po niemiecku. Oczy patrzyły nieprzytomnie, spojrzenie uciekało. Trzeba było sprowadzić lekarza.

— Doktor Granger? — Erin usłyszała za plecami głos z izraelskim akcentem. — Proszę natychmiast wstać.

Położyła drżącą rękę Julii na prowizorycznym bandażu i wstała z uniesionymi rękami. Z doświadczenia wiedziała, że takim tonem mówią wyłącznie ludzie uzbrojeni. Odwróciła się powoli; krew Heinricha już zasychała na jej dłoniach.

Zobaczyła grupę żołnierzy.

Otaczali półkolem wykop, byli ubrani w pustynne mundury; przy pasach mieli pistolety, a na ich ramionach wisiały automaty. Cała ósemka tkwiła w postawie na baczność. Wszyscy z wyjątkiem tego, który stał na czele, mieli na głowach szare berety. Jego nakrycie głowy było oliwkowozielone; najwyraźniej dowodził oddziałem. Nie mierzyli do Erin.

Na razie.

Opuściła ręce.

— Doktor Erin Granger. — Było to zdanie twierdzące, a nie pytające. Ten mężczyzna mówił tak, jakby nigdy nie zadawał pytań.

— Co panowie tutaj robią? — spytała spokojnym głosem, mimo że dławił ją strach. — Mamy legalne pozwolenia.

Mężczyzna przyglądał się jej, jego oczy wyglądały jak brązowe szklane kulki.

— Musi pani pójść z nami, doktor Granger.

Erin wiedziała, że przede wszystkim musi się zająć Heinrichem.

— Mam obowiązki. Mój student odniósł obrażenia...

— Jestem porucznik Perlman. Z Amanu. Dostałem rozkaz, żeby panią sprowadzić.

Żołnierze jakby dla podkreślenia jego słów trochę unieśli broń.

Aman to izraelski wywiad wojskowy. Źle. W piersi Erin wezbrał gniew. Helikopter, którym przylecieli, spłoszył konia, a ten ranił Heinricha.

— Dokąd ma mnie pan sprowadzić? — spytała spokojnym, lecz zimnym głosem.

— Nie wolno mi tego ujawnić.

Porucznik nie wyglądał na takiego, który zrezygnuje z wykonania rozkazu, jednak Erin mogła go wykorzystać.

— Wasz helikopter spłoszył konia, a koń ranił mojego studenta. — Zaciśnęła dłonie w pięści. — Rana jest poważna.

Dowódca oddziału spojrział na Heinricha, a potem skinął głową na jednego z żołnierzy. Ten odpiął od pasa pojemnik ze środkami medycznymi i zszedł do wykopu. Sanitariusz, to już coś. Erin wyprostowała ręce i otarła zakrwawione dłonie w dżinsy.

— Zabierzcie go helikopterem do szpitala. Potem ewentualnie możemy porozmawiać o innych sprawach.

Porucznik spojrział na sanitariusza, a ten z zafrasowaną miną skinął głową.

Sprawa wyglądała źle.

— No cóż, zgoda — odrzekł Perlman.

Skinął ręką, a jego ludzie zareagowali bez ociągania. Dwóch wyciągnęło Heinricha z wykopu, a następnych dwóch przyniosło nosze. Ułożyli go na nich i zanieśli do helikoptera. Julia szła tuż obok.

Erin głęboko odetchnęła. Heinrich zostanie zabrany do szpitala na pokładzie helikoptera; nic lepszego w tej sytuacji nie mogło mu się przytrafić.

Porucznik Perlman wyciągnął dłoń do Erin i pomógł jej wyjść z wykopu; zauważyła, jak silna jest jego ręka.

Odwrócił się bez słowa i ruszył w kierunku helikoptera. Jego podkomendni ustawili się za nią, co oznaczało, że Erin ma pójść za ich dowódcą. Tak też zrobiła, mając wrażenie, że została porwana przez oddział uzbrojonych żołnierzy.

Wiedziała, że nie ma z nimi żadnych szans; postanowiła jednak wydobyć od żołnierzy jakieś informacje.

— Czy to ma związek z trzęsieniem ziemi? — spytała Perlmana.

Odwrócił się i nie odpowiedział, lecz wyraz jego twarzy wiele jej ujawnił. Resztę dopowiedziała sobie sama. Trzęsienia ziemi powodują zniszczenia, lecz czasem także odsłaniają to, co jest zakryte.

Wniosek ten prowadził do następnego pytania.

W Izraelu przebywała rzesza archeologów. Dlaczego właśnie to ją zgarnięto siłą z wykopaliska? Takich nadzwyczajnych środków nie wymaga żaden starożytny skarb. Archeologów nie przewozi się wojskowymi helikopterami.

Musiała się wydarzyć jakaś katastrofa.

— Dlaczego właśnie ja? — nie dawała za wygraną.

Perlman w końcu odpowiedział:

— Mogę ujawnić tylko tyle, że sytuacja jest delikatna. Konieczna jest pani wiedza specjalistyczna.

— Kto o tym zdecydował?

— Tego nie wolno mi zdradzić.

— A jeśli odmówię?

Perlman wbił w nią spojrzenie.

— Jest pani gościem w naszym kraju. Odmowa będzie oznaczała, że przestanie pani nim być. A pani towarzysz nie poleci helikopterem do szpitala.

— Ambasada nie pochwaliłaby takiego postępowania — blefowała Erin.

Porucznik uśmiechnął się nieprzekonująco.

— Tym, który panią polecił, był pracownik ambasady amerykańskiej.

Doktor Erin z trudem ukryła zdziwienie. Z jej informacji wynikało, że nikt w ambasadzie się nią nie interesował. Albo Perlman kłamał, albo wiedział o wiele więcej niż ona. Jednak nie było czasu na gadanie, musieli przewieźć Heinricha do szpitala.

Zmierzała w kierunku helikoptera. Żołnierze otoczyli ją ze wszystkich stron, jakby się bali, że umknie niczym spłoszony koń.

Nate i Amy także za nią podążyli. Mina Nate'a wyrażała gotowość do walki, Amy zaś była zatroskana.

Erin odwróciła się i zrobiła kilka kroków.

— Nate, ty obejmiesz kierownictwo, dopóki nie wrócę! — zawołała. — Wiesz, co trzeba zrobić!

— Ale pani profesor... — zaczął student. Między nim a Erin stał izraelski żołnierz.

— Ustabilizuj szkielet. Niech Amy zbada lewą kość udową, zanim przykryjesz całość.

Nate wskazał helikopter.

— Będzie pani bezpieczna, lecąc z nimi?

Pokręciła głową.

— Gdy tylko zniknę, skontaktuj się z ambasadą. Zapytaj, czy ktoś mnie polecił. Jeśli nie, wezwij pomoc.

Żołnierze nie zatrzymali się ani na krok, patrząc przed siebie; ich twarze niczego nie wyrażały. Albo nie znali angielskiego, albo nie przejęli się groźbą. To mogła być dobra lub zła wróżba.

— Niech pani nie leci — powiedział Nate.

— Chyba nie mam wyboru — odparła. — Tak jak i Heinrich.

Student pogodził się z tym i skinął głową.

Porucznik Perlman dał znak ręką, stojąc w drzwiach helikoptera.

— Proszę, pani doktor.

Erin schyliła się, śmigła wirnika zaryczały głośnie.

Wspięła się do kabiny i przypięła pasem do jedyne wolnego miejsca. Heinrich leżał na noszach po przeciwnej stronie, Julia siedziała obok niego. Uśmiechnęła się niepewnie do archeolożki, a ta uniosła kciuk. Czy w Niemczech wiedzą, co to znaczy?

Maszyna oderwała się od ziemi; doktor Erin odwróciła się do siedzącego obok mężczyzny i ze zdziwienia cofnęła głowę. Nie był żołnierzem, tylko duchownym. Miał na sobie czarne spodnie, habit z kapturem sięgający do kostek, a także czarne skórzane rękawice i ciemne okulary. Na szyi nosił koloratkę charakterystyczną dla ubioru księży katolickich.

Erin się wzdrygnęła. Ksiądz również się odsunął, jedną ręką poprawiając kaptur.

W trakcie prac archeologicznych wielokrotnie miała utarczki z katolickimi księżmi. Jednak jego obecność w jakiś sposób uwiarygodniała nadzieję, że żołnierze przewożą ją do stanowiska archeologicznego, które mogło mieć związek z chrześcijaństwem. Miało to jednak także gorszą stronę: ksiądz może zażądać przekazania zabytków, zanim ona zdąży je zobaczyć. Jeśli tak, zabrano ją z jej stanowiska niepotrzebnie, Heinrich zaś na próżno przypłacił to poważną raną.

Nie zamierzała na to pozwolić.

14.57

Kobieta siedząca obok rozsiewała woń lawendy, konia i krwi. Zapachy te nie pasowały do współczesnych czasów tak samo jak ojciec Rhun Korza.

Wyciągnęła do niego dłoń. Od bardzo dawna z własnej woli nie dotknął kobiety. Jej dłoń była umazana krwią, lecz chcąc nie chcąc, musiał podać jej rękę. Ucieszył się, że nosi rękawiczki. Zebrał się w sobie. Jej ręka była ciepła i silna, ale zadrżała w jego dłoni. To znaczyło, że wzbudził w kobiecie lęk.

Dobrze, pomyślał.

Puścił dłoń kobiety i odsunął się, tak aby oddzielała ich wolna przestrzeń. Nie zamierzał jej więcej dotykać. Właściwie wolałby, żeby wysiadła z helikoptera i bezpiecznie wróciła do badania przeszłości.

Tak byłoby lepiej zarówno dla niej, jak i dla niego.

Zanim otrzymał wezwanie, oddawał się głębokiej medytacji w samotności; gotów był porzucić wielki świat i zamienić go na piękno odosobnionego życia w klasztorze, gdyż miał takie prawo. Jednak kardynał Bernard nie pozwolił mu tam zostać. Wyrwał Rhuna z celi i wysłał go w podróż; nakazał sprowadzenie archeologa i odnalezienie pewnego artefaktu. Rhun spodziewał się, że archeologiem będzie mężczyzna, lecz Bernard wybrał kobietę, i to urodziwą.

Rhun przeczuwał, co to oznacza.

Ścisnął srebrny krzyżyk na szyi i poczuł przez rękawicę jego ciepło.

Wirnik helikoptera młócił niczym ogromne mechaniczne serce, które za chwilę pęknie.

Wzrok księdza spoczął na drugiej kobiecie. Słowa, które wypowiadała do mężczyzny leżącego na noszach, świadczyły, że jest Niemką. Na jej białej bawełnianej sukience czerwieniły się smugi krwi. Trzymała rannego za rękę, nie spuszczać wzroku z jego twarzy. Wnętrze kabiny wypełniał metaliczny zapach.

Rhun zamknął oczy, ujął w palce różaniec wiszący u paska i po cichu zaczął odmawiać *Ojcze nasz*. Wibracja maszyny mąciła słowa.

O ileż lepiej byłoby podróżować na mule i czuć jego bijące serce.

Jednak śmigła rotora zagłuszały także inne, bardziej złowrogie dźwięki: kapanie krwi z czaszki na podłogę, szybki oddech siedzącej obok mnicha kobiety i dalekie rżenie przestraszonego ogiera.

Maszyna weszła w skręt i do kabiny wtargnął zapach paliwa lotniczego. Podrażnił nozdrza księdza, lecz i tak był bardziej znośny od woni krwi. Rhun zdobył się na odwagę i spojrzał na rannego; krew płynęła strużkami po metalowej podłodze i wyciekała na zewnątrz, by spaść na surową kamienną pustynię.

O tej porze, późną jesienią, słońce zachodzi wcześnie; nastąpi to za niespełna dwie godziny. Nie wolno było zwlekać z pomocą

dla rannego. Na barkach księdza spoczywała duża odpowiedzialność.

Kątem oka przyjrzał się kobiecie, która siedziała obok niego. Miała na sobie wytarte džinsy i zakurzoną białą koszulę. Inteligentne spojrzenie jej brązowych oczu wędrowało od jednego mężczyzny w kabinie do drugiego; oceniała każdego po kolei. Ominęła wzrokiem Rhuna, jakby go tam nie było. Obawia się go jako mężczyzny, jako księdza, a może z jeszcze innego powodu?

Zamknął dłonie na kolanach i pogrążył się w medytacji. Musi wyrzucić z głowy wszystkie myśli o niej. Zadanie, które go czeka, będzie wymagało całej siły, jaką daje mu święta wiara. Być może po zakończeniu misji będzie mógł wrócić do zacisza klasztoru i zaznać tam spokoju.

Nagle kobieta musnęła go łokciem. Naprężył się, lecz nie wzdrygnął. Dzięki medytacji potrafił zapanować nad sobą. Kobieta pochyliła się, aby spojrzeć na rannego kolegę, jej delikatne brwi się ściągnęły. Mężczyzna nie wróci do zdrowia, lecz Rhun nie mógł jej tego powiedzieć. Nie uwierzyłaby mu. Co prosty ksiądz może wiedzieć o ranach i krwi?

Wiedział więcej, niż mogła sobie wyobrazić.

15.03

W kieszeni Erin zawibrował telefon komórkowy. Wyjęła go i trzymała tuż obok nogi, aby porucznik Perlman niczego nie zauważył. Zapewne nie chciałby, żeby wysyłała SMS-y z pokładu helikoptera.

Amy napisała: Hej, pani prof. Może pani rozmawiać?

Porucznik spoglądał w drugą stronę.

Mów, odpisała Erin.

Odpowiedź Amy nadeszła błyskawicznie. Dziewczyna musiała pisać, kiedy Erin obserwowała porucznika.

Obejrzałam kość udową szkieletu.

I co?

Nosi ślady ugryzień.

Przypuszczenia Erin się potwierdzały. Zauważyła ślady zębów na kości. Helikopterem zatrzęsło, trudno jej było pisać na klawiaturze.

Nic nadzwyczajnego. Na pustyni żyje wiele drapieżników.

Odpowiedź Amy długo wyświetlała się na ekranie.

Ślady ukąszeń są podobne do tych, które widziałam w Nowej Gwinei. Takie samo uzębienie i układ.

Serce Erin zabiło szybciej, gdyż знаła przedmiot poprzednich badań wykopaliskowych Amy: były nimi pozostałości osad łowców głów. To mogło oznaczać tylko jedno...

Kanibalizm w tym rejonie świata?

Gdyby to się potwierdziło, historia masowego grobu dzieci przedstawiałaby się jeszcze gorzej niż podanie o masakrze Heroda. To jednak wydawało się mało prawdopodobne. Szkielet noworodka był dość duży i nie zdradzał śladów niedożywienia. Do takich zachowań jak kanibalizm mógł skłonić ludzi jedynie wielki głód.

Dowody?, odpisała doktor Erin.

Cztery siekacze tworzące nieprzerwany łuk. To ludzie nadgryźli kości tego dziecka.

Erin uniosła kciuk; przez chwilę była zbyt zaszokowana, by pisać. Nagle porucznik Perlman wyrwał jej telefon z dłoni. Wzdrygnęła się, przestraszona. Porucznik wyłączył komórkę.

— Żadnych kontaktów! — ryknął.

Stłumiła złość i skrzyżowała ręce na piersi. Nie było sensu jeszcze bardziej narażać się wojskowemu.

Na razie.

Porucznik wsunął telefon do kieszeni koszuli. Żałowała, że jej go pozbawił.

Z ulgą zobaczyła, że helikopter siada na lądowisku w centrum medycznym w Jafie. Perlman dotrzymał słowa. Sanitariusze w białych kitlach pędzili w stronę maszyny. Wiedziała, że w szpitalu są specjaliści od chirurgii urazowej; zareagowali błyskawicznie. Chciała rozpiąć pas, ale Perlman dotknął jej ręki.

— Nie ma czasu.

Jego podwładni już wyskoczyli z helikoptera i odpięli nosze. Julia stanęła na ziemi, wciąż trzymając ukochanego za rękę. Drugą zamachała do Erin. Klatka piersiowa studenta unosiła się i opadała, gdy go odwożono. Oddychał. Erin miała nadzieję, że będzie żył, kiedy zobaczy go następnym razem.

Gdy tylko żołnierze wsiedli z powrotem do kabiny, helikopter oderwał się od ziemi.

Archeolożka przeniosła wzrok z budynku szpitala na pustynię rozciągającą się za Cezareą. Oprócz stanu zdrowia Heinricha trapiło ją jeszcze jedno zmartwienie.

Dokąd mnie zabierają?

4

26 października, 15.12

Tel Awiw, Izrael

Bathory Darabont stała skryta w cieniu na antresoli drugiego piętra hotelu. Spoglądała na fontannę, która dominowała nad hotelowym holem. Woda tryskała ze ściany do półkolistej niecki wyłożonej ogromnymi płytami z zielonego marmuru. Niecka miała około metra głębokości. Dziewczyna gładziła ręką ozdobną mosiężną poręcz i oceniała wysokość, na której się znajdowała.

Osiem metrów. Prawdopodobnie przeżyłoby się upadek. Intrygująca zagadka.

Stojący obok niej mężczyzna paplał nieprzerwanie. Miał bujną, ciemną czuprynę, wielkie brązowe oczy i prosty nos; wyglądał, jakby zstąpił z fresku przedstawiającego Aleksandra Wielkiego. Rzecz jasna miał świadomość, że jest przystojny i bogaty — był księciem w jakimś dalekim kraju — przywykł więc do tego, że wszystko mu wolno.

Nudził ją.

Nietrudno było zgadnąć, o co mu chodziło: chciał, by Bathory zdjęła swoją markową jedwabną sukienkę i poszła z nim do łóżka. Ona zaś nie miała by nic przeciwko temu, lecz zabiegi wstępne jej nie interesowały.

Delikatną białą dłonią odgarnęła długie do pasa rude włosy. Wzrok mężczyzny spoczął przez chwilę na czarnej dłoni wytatuowanej na jej szyi. Ten niezwykły rysunek sygnalizował zagrożenie.

— Może się założymy, Faridzie?

Jego wzrok znów się skierował na jej srebrzyste oczy. Musiała przyznać, że rozmówca ma niezwykle długie ciemne rzęsy.

— O co?

— Założmy się, które z nas skoczy do fontanny. — Wskazała palcem atrium. — Zwycięzca bierze wszystko.

— Jaka jest stawka? — zapytał z uśmiechem. Zdaje się, że lubił zakłady.

Ona także je lubiła. Wysunęła wąski nadgarstek.

— Jeśli wygrasz, dam ci moją bransoletkę.

Bransoletka z brylantami kosztowała pięćdziesiąt tysięcy dolarów, lecz Bathory nie zamierzała się jej pozbywać. Nigdy nie przegrywała.

Roześmiał się.

— Nie potrzebuję bransoletki.

— Dam ci ją w twoim pokoju.

Farid spojrzał za poręcz i zamilkł. Wolała go, kiedy nic nie mówił.

— Jeśli ja wygram... — Zbliżyła się do niego tak, że jedwabna sukienka otarła się o jego nogę. — Dostanę twój zegarek. Dasz mi go w moim pokoju.

Był to zegarek marki Rolex; Bathory domyślała się, że kosztował mniej więcej tyle samo co jej bransoletka. Nie potrzebowała ani jednego, ani drugiego. Jednak skok do fontanny zakończy fazę flirtowania i być może wykrzesze z Farida więcej namiętności i inwencji w łóżku.

— Czy mogę na tym przegrać?

Obdarzyła go długim, namiętnym pocałunkiem. Zareagował jak należy. Wsunęła swój telefon do jego kieszeni i wyczuła w niej klingę noża. Farid nie był tak bezbronny, na jakiego wyglądał. Przypomniała sobie słowa matki:

Nawet biała lilia rzuca czarny cień.

Odsunęła się, a on przesunął dłońmi po jej plecach ukrytych pod jedwabiem.

— A może darujemy sobie akrobacje?

Parsknęła śmiechem.

— Twoje niedoczekanie.

Chwyliła obiema dłońmi zimną poręcz i przesadziła ją.

Rozłożyła ramiona i wygięła plecy. Sukienka, furkocząc, przywarła do jej ud. Przez chwilę zdawało jej się, że źle oceniła głębokość i zginie. Ta myśl przyniosła ulgę, a nie lęk. Spadła na powierzchnię wody tak, aby jak najlepiej zamortyzować siłę uderzenia.

Nagły kontakt z lustrem wody odebrał jej oddech.

Przez sekundę unosiła się twarzą w dół na chłodnym błękanie; piekły ją piersi i brzuch, lecz wzburzona krew po chwili się uspokoiła. Potem dziewczyna przetoczyła się na plecy, zanurzyła głowę w wodzie, aby wygładzić włosy, i wynurzyła się z wesołym śmiechem. Sukienka była teraz przezroczysta.

Kiedy wstała, wszyscy się w nią wpatrywali. Paru gapiów zaklaskało, jak gdyby byli widzami w teatrze.

Farid gapił się z góry z otwartymi ustami.

Wyszła z niecki. Woda spływała z jej ciała na kosztowny wełniany dywan. Ukłoniła się Faridowi, a on odpowiedział lekkim skinieniem głowy. Następnie wyrazistym gestem rozpiął rolexa i uniósł brwi. Przyznawał, że przegrał zakład.

Kilka minut później stali przed drzwiami jej pokoju. Bathory drżała lekko w wilgotnym ubraniu; korytarz był klimatyzowany. Dłoń Farida, miękka jak jedwab, lecz rozgrzana niczym rozżarzony węgiel, przebiegła po jej skórze pod sukienką. Ciało zareagowało dreszczem, który nie miał nic wspólnego z chłodem. Westchnęła i posłała mu mroczne spojrzenie; pragnęła żaru jego ciała o wiele bardziej niż jego towarzystwa.

Wyjęła kartę otwierającą drzwi; zdobyczny rolex kołysał się na jej nadgarstku.

Kiedy otworzyła drzwi i je pchnęła, w spodniach Farida zadźwięczał dzwonek jej telefonu. Odwróciła się, wsunęła dłoń do jego kieszeni i wydobyła aparat.

— Skąd on się tam wziął? — zdziwił się Farid.

— Włożyłam go, kiedy cię pocałowałam — odparła z uśmiechem. — Żeby się nie zamoczył. Wiedziałam, że nie

wskoczysz do fontanny.

Jego nieskazitelne czoło zmąciła zmarszczka zranionej dumy.

Bathory spojrzała na ekran telefonu. Przyszedł SMS; przeczytała nazwę nadawcy i stwierdziła, że wiadomość jest ważna. Przeniknął ją chłód, którego nie mógł zniweczyć ani dreszcz podniecenia, ani dotyk gorącej dłoni.

Koniec zabawy.

— Kto to jest Argentum? — zaciekawiał się Farid, który zaglądał jej przez ramię.

Och Faridzie, kobieta musi mieć swoje sekrety.

Właśnie dlatego podróżowała pod tak wieloma fałszywymi nazwiskami; na jedno z nich wynajęła pokój w hotelu.

— Zdaje się, że mam ważną sprawę do załatwienia — oznajmiła, przekraczając próg i odwracając się. — Muszę cię teraz pożegnać.

Na twarzy Farida pojawił się cień niezadowolenia i złości.

Szybkim ruchem pchnął dziewczynę do środka i wszedł. Chwycił ją szorstko i przyparł do ściany, zatrzasnął nogą drzwi.

— To ja zdecyduję, kiedy skończymy — rzekł chrapliwym głosem.

Uniosła brwi. A więc jednak w Faridzie tli się ukryty ogień.

Z uśmiechem rzuciła telefon na łóżko i przyciągnęła księcia; ich usta prawie się dotykały. Odwróciła go tak, że jego plecy oparły się o ścianę. Sięgnęła ręką do spodni, a on uśmiechnął się szerzej. Ona jednak miała na myśli nie to, co Farid sobie wyobrażał. Wyjęła nóż z jego kieszeni.

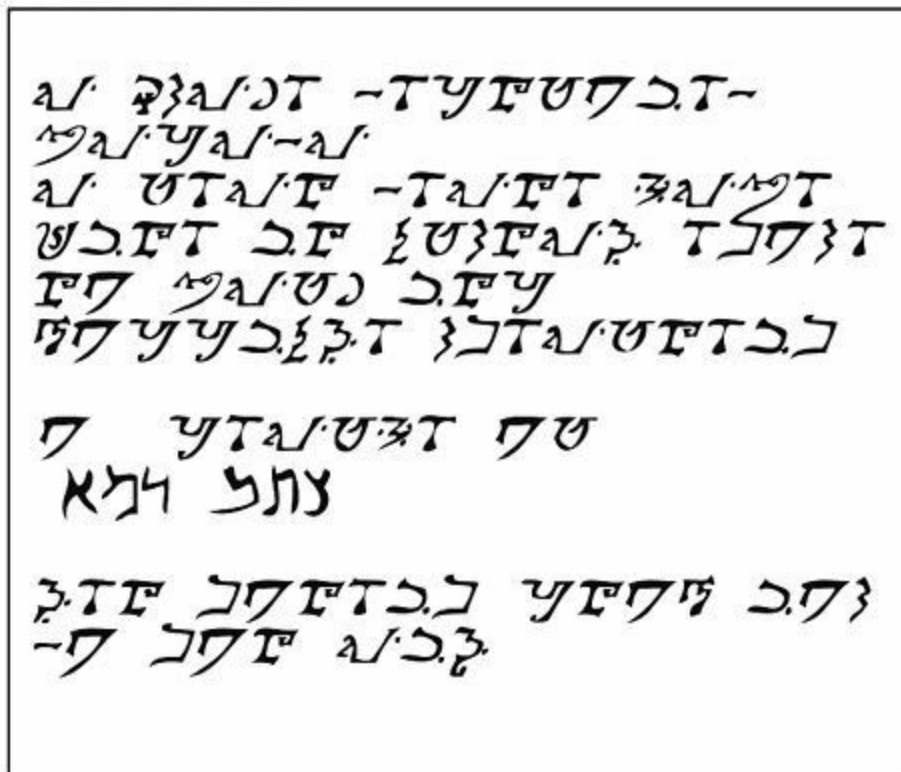
Otworzyła go jedną ręką i szybkim ruchem wbiła mu w oko, przekręcając ostrze. Przypierała go do ściany, czując żar ciała przenikający przez cienkie ubrania. Ten żar szybko uleci wraz z jego życiem. Wyczuwała słabnące ciepło i napawała się nim. Trzymała mocno ciało wstrząsane śmiertelnymi drgawkami.

Puściła dopiero wtedy, gdy ustały.

Farid osunął się na ziemię bez życia.

Zostawiła go tam, podeszła do łóżka i usiadła, krzyżując długie nogi. Wzięła telefon i otworzyła plik dołączony do wiadomości.

Na ekranie ukazało się zdjęcie skrawka papieru pokrytego dziwnymi napisami. Charakter pisma pochodził z innej epoki; litery wyglądały tak, jakby nakreślono je na pergaminie za pomocą zaostrej kości. Archaiczna odmiana hebrajskiego bardziej przypominała szyfr niż słowa języka.



W trakcie szkolenia uczyła się języków starożytnych w Oksfordzie i teraz czytała w starożytnej grece, po łacinie i hebrajsku z taką samą łatwością, jak w ojczystym języku węgierskim. Dokładnie, uważając, aby się nie pomylić, rozszyfrowała wiadomość. Zaczęła szybciej oddychać.

*Wstrząs pogrążył Masadę.
Przyniósł wielką śmierć,
Był straszny, mógł wyrzucić*

To na wierzch.

Bathory dotknęła dłonią białej szyi, jej palce musnęły czarny znak na skórze. Przypomniała sobie noc, w której na zawsze została naznaczona. Jej krew wciąż płonęła.

Czytała dalej.

Ruszaj na poszukiwanie.

גנוק חגא

Wysłano Rycerza, by to odnalazł.

Niechaj nic cię nie powstrzyma.

Nie możesz zawieść.

Wpatrywała się w zwrot zapisany w języku aramejskim z czasów Heroda. Belial długo wyczekiwał tej wieści.

Usta ułożyły się do wypowiedzenia niewyobrażalnych słów, lecz nie śmiały ich wyrzec.

צתפ חגא

Księga krwi

W koniuszkach palców poczuła pulsowanie nieznannej trwogi.

Ten, któremu służyła Bathory, od bardzo dawna podejrzewał, że żydowska twierdza kryje w sobie bezcenną księgę. Nie wykluczał kilku innych miejsc. Był to jeden z powodów, dla którego została wysłana tu, w samo serce Ziemi Świętej. Kilka godzin drogi od dziesiątków starożytnych ruin.

Ale czy się nie pomylił? Czy w Masadzie naprawdę spoczywała Księga krwi? Kiedy Bathory i jej towarzysze się ujawnią, nie zdołają się ponownie ukryć. Czy trop wart jest takiego ryzyka?

Znała odpowiedź jedynie na ostatnie z pytań.

Tak.

Jeśli księga rzeczywiście wydostała się na powierzchnię, pojawiała się jedyna w swoim rodzaju szansa na to, by położyć kres temu światu i wykuć nowy ku Jego chwale. Bathory była szkolona od najmłodszych lat, lecz tak naprawdę nigdy się nie spodziewała, że ten dzień nadejdzie.

Trzeba poczynić przygotowania.

Wcisnęła drugi klawisz szybkiego wybierania numeru i wyobraziła sobie rosłego muskularnego mężczyznę, który odbierze po pierwszym dzwonku.

Był to jej bezpośredni podwładny Tarek.

— Czego sobie życzysz?

Jego głęboki głos wciąż nosił ślady tunezyjskiego akcentu, mimo że rozmówca przez całe życie nie rozmawiał z rodakiem.

— Obudź pozostałych! — rozkazała Bathory. — Polowanie wreszcie się rozpoczęło.

5

26 października, 15.38

W przestrzeni powietrznej nad Izraelem

Erin marzyła, żeby znaleźć się znów na ziemi, z dala od gorąca, łoskotu i kurzu. A także księdza. Było jej gorąco, a kapłan musiał się czuć o wiele gorzej w długim habicie z kapturem. Usiłowała sobie przypomnieć, kiedy katolicy księża przestali nosić kaptury. Stało się to przed jej przyjściem na świat. Oprócz kaptura i okularów przeciwsłonecznych widziała tylko jego kanciasty podbródek z wgłębieniem pośrodku.

Miał brodę gwiazdora filmowego, lecz sprawiał, że Erin czuła się nieswojo. Odnosiła wrażenie, że nie poruszył się od ponad pół godziny. Helikopter obniżył lot o kilka metrów, ale jej żołądek jakby zawisł w powietrzu. Przełknęła ślinę. Żałowała, że nie pomyślała o zabraniu ze sobą wody. Żołnierze nie mieli nic do picia, lecz wcale im to nie przeszkadzało, podobnie jak księdzu.

W dole przesuwał się monotony krajobraz pustyni. Po wystartowaniu ze szpitalnego lądowiska helikopter leciał na północny wschód, w kierunku Jeziora Galilejskiego. Mógł zmierzać do różnych miejsc, lecz Erin przestała zgadywać, gdzie ostatecznie wyląduje.

Zbliżali się do znajomej góry o ściętym wierzchołku, która wznosiła się stromymi zboczami z pustyni. Erin dostrzegła białą smugę rampy, którą zbudowali Rzymianie, by sforsować mury obronne.

Masada.

Nie było jej na liście, którą Erin utworzyła w myślach. W latach sześćdziesiątych przeprowadzono tam gruntowne badania archeologiczne i od dziesięcioleci nic nowego się nie pojawiło. Turyści tratowali górę niemal bez przerwy.

Może wstrząs tektoniczny odsłonił jakieś miejsce w okolicy? Obozowisko Rzymian? Szczątki dziewięciuset zabitych? Odnaleziono zaledwie około trzydziestu ciał. Pochowano je z honorami wojskowymi w 1969 roku.

Wyciągnęła szyję, żeby lepiej widzieć. Nic nie zakłócało widoku w żadnym kierunku. U podnóża góry nikogo nie było, lecz Erin zauważyła duży helikopter na szczycie. Zapewne właśnie tam ją wieziono. Wyprostowała się. Chciała jak najszybciej się dowiedzieć, co skłoniło wojskowych do tak raptownego ściągnięcia jej tutaj.

Ksiądz drgnął prawie niedostrzegalnie, jego kształtny podbródek lekko się poruszył. A więc jednak żyje. Zapomniała o nim, nie brała go pod uwagę, odgadując cel podróży. Masada stanowiła zabytek żydowski, lecz znajdowały się tam także ruiny bizantyjskiego kościoła z około pięćsetnego roku naszej ery. Trzęsienie ziemi mogło odsłonić chrześcijańskie artefakty. Jeśli jednak Izraelczycy zamierzali przekazać je księdzu, po co ją sprowadzali? Coś tu się nie zgadzało.

Helikopter opadał w kierunku wierzchołka góry, przez drzwi wdzierał się lotny piasek. Zmrużyła oczy i osłoniła je złożonymi dłońmi. Trzeba było zabrać gogle. A także wodę i prowiant. Oraz zapasowy telefon.

Szkoda, że Perlman odebrał jej komórkę. Do tej pory studenci z pewnością przekazali jej informację o stanie zdrowia Heinricha. Bo jeśli nie... Wolała nie brać pod uwagę drugiej ewentualności. Przebywał na wykopalisku jako jej student, odpowiadała za wszystko, co go spotkało.

Przyłożyła do ucha mały palec i kciuk.

Perlman wyjął aparat z kieszeni.

— Ma być wyłączony! — ryknął, przekrzykując hałas.

— Tak jest — odpowiedziała. Porucznik nie mógł usłyszeć ironii w jej głosie.

Podał jej telefon, a ona wsunęła go do tylnej kieszeni. Gdy tylko Perlman się odwróci, Erin włączy komórkę i przeczyta SMS-y.

W polu widzenia pojawił się wierzchołek góry.

Erin przechyliła się i ze zdumieniem spojrzała w dół. Dopiero po chwili oszołomienia dotarło do niej, na co patrzy.

Masada zniknęła.

Mury, budynki, zbiorniki na wodę — wszystko zamieniło się w stopy gruzu. Dwuskrzydłowy mur, który otaczał twierdzę przez tysiące lat, uległ całkowitemu zniszczeniu. W miejscach, w których stały synagoga i kolumbarium, wznosiły się stopy kamieni. Góra została rozpołowiona. Erin nigdy nie widziała z bliska skutków takiego kataklizmu.

Pilot zwolnił obroty silnika; helikopter zawył, zniżając lot. Po chwili płozy zazgrzytały na szczycie góry i maszyna znieruchomiała.

Erin usiłowała coś dojrzeć przez tuman pyłu. Wzdłuż skraju wierzchołka góry dostrzegła czarne prostokąty. Leżały w regularnych odstępach, nie mogły być pochodzenia naturalnego. Dwaj mężczyźni ułożyli na skale następny.

Były to worki na ludzkie zwłoki. Wraz z zawartością.

Masada to jedna z najpopularniejszych atrakcji turystycznych Izraela. Musiało być tutaj mrowie ludzi, kiedy zatrzęsa się ziemia. Ile jeszcze ofiar pochłonęła przeklęta góra? Erin ścisnęła w brzuchu, lecz tym razem nie była to wina helikoptera.

Poczuła dotknięcie chłodnej ręki na ramieniu i drgnęła. To był ksiądz. On także musiał zauważyć ciała zabitych. Może się pomyliła, może przybył tutaj, aby namaścić zmarłych.

Zrobiło jej się słabo na myśl o tym, jak się cieszyła przed kilkoma minutami. Nie przywieziono jej na stanowisko archeologiczne, tylko na miejsce katastrofy. Zatęskniła za Cezareą.

Porucznik Perlman wyskoczył z helikoptera i rzucił kilka rozkazów po hebrajsku. Żołnierze wysypali się z włazów po obu stronach i rozbiegli do ułożonych zwłok. Pewnie sprowadzono ich po to, by zabrali ciała. Nic dziwnego, że oficer nie puszczał pary z ust. Erin nie zazdrościła mu zadania.

Ksiądz zeskoczył na ziemię z gracją pustynnego kota. Jego długi habit zawirował w podmuchu wirnika. Przytrzymał ręką kaptur i rozejrzał się, jakby czegoś szukał.

Erin mokrymi od potu dłońmi usiłowała rozpiąć pas bezpieczeństwa. Kiedy wstała, podłoga nagle drgnęła pod jej stopami. Złapała się oparcia fotela i kilka razy głęboko odetchnęła. Izraelczycy musieli mieć powód, aby ją tutaj sprowadzić. Powinna się uspokoić i go poznać.

Ksiądz odwrócił się i wyciągnął do niej dłoń w rękawiczce w staroświeckim, niemal dworskim geście. Zachował się zupełnie inaczej niż porucznik Perlman, gdy pomagał jej wydostać się z wykopu.

Z wdzięcznością przyjęła rękę. Puściła ją, gdy tylko jej tenisówki dotknęły ziemi.

Wiatr porwał kaptur, odsłaniając twarz o bladej cerze z wydatnymi kośćmi policzkowymi. Włosy nad czołem były gęste i czarne. Przystojny mężczyzna jak na księdza.

— *Tot ago attero...* — rzekł cicho, znów zasłaniając głowę kapturem. Tak wielu straciło życie, przetłumaczyła Erin jego łacińskie słowa.

Ksiądz pochylił się w ukłonie, zanim ruszył zdecydowanym krokiem przed siebie. On wiedział, z jakiego powodu znalazł się w tym miejscu.

Erin osłoniła oczy i spojrzała na słońce, które wisiało już nisko nad horyzontem. Zajdzie za godzinę. Jeśli do tego czasu ciała nie zostaną zabrane, pojawią się szakale. Zadrżała, mimo że było gorąco.

Siłą woli zmusiła się do spojrzenia w kierunku ruin. Postaci ubrane w niebieskie kombinezony ochronne wyciągały zwłoki

z rumowiska. Takich kombinezonów używa się do ochrony przed zagrożeniem biologicznym.

Ale dlaczego tutaj, w miejscu, w którym doszło do trzęsienia ziemi?

Zanim zdążyła o to zapytać, pojawił się rosły żołnierz. Nie nosił kombinezonu. Było to pocieszające.

Kierował się prosto do Erin. Rozpoznałaby w nim Amerykanina, nawet gdyby nie miał flagi naszytej na ramieniu bluzy w kolorze khaki. Zdradzało go wszystko: od włosów jasnych jak pszenica, obciętych krótko na wojskową modłę, po kanciastą szczękę i szerokie bary. Spoglądał na nią, taksując jasnoniebieskimi oczami. Spodobał się Erin. Sprawiał wrażenie kompetentnego, a zarazem nieobojętnego wobec tragedii, do której tu doszło. Ale co amerykański wojskowy robi na szczycie góry w Izraelu?

— Doktor Erin Granger?

A więc spodziewał się jej. Nie wiedziała, czy powinna to przyjąć z ulgą czy z obawą.

— Tak, to ja.

Żołnierz spojrział nad jej ramieniem na księdza, który szedł przez rumowisko. Uniósł brwi.

— Nie uprzedzono mnie o przybyciu duchownego — powiedział do Perlmana.

Izraelczyk machnął ręką na dwóch swoich ludzi i wskazał księdza.

— Watykan nalegał, aby znalazł się tu ojciec Korza. W czasie wstrząsu na górze przebywała wycieczka katolików. Był wśród nich bratanek kardynała.

To by wyjaśniało obecność księdza, pomyślała Erin. Jedna straszna tajemnica została rozwikłana. Najwyraźniej żołnierz doszedł do tego samego wniosku.

— Dziękuję, że pani przybyła — rzekł, odwracając się do niej. — Musimy się spieszyć.

Ruszył w kierunku największego skupiska ruin, sadząc długie kroki.

Erin musiała biec, żeby za nim nadążyć. Starła się patrzeć na ziemię, a nie w stronę worków ze zwłokami. Jeszcze rano ci ludzie żyli tak jak ona. Zwróciła się do żołnierza, aby o tym nie myśleć.

— Bez wyjaśnienia zabrano mnie ze stanowiska archeologicznego. Co się tutaj dzieje?

— Mnie spotkało to samo — odparł ze zmęczonym uśmiechem. — Wczoraj byłem w Afganistanie, parę godzin temu znalazłem się w Jerozolimie. — Zatrzymał się i otarł dłoń o koszulkę w piaskowym kolorze. Wyciągnął rękę do Erin. — Zacznijmy od nowa. Jestem sierżant Jordan Stone z dziewiątego batalionu rangerów. Zostaliśmy wezwani przez Izraelczyków.

Miał ciepłą rękę i mocny, lecz nie natarczywy uścisk dłoni. Erin od razu zauważyła białą linię na palcu lewej ręki, na którym powinna się znajdować obrączka. Zmieszana, szybko puściła rękę.

— Doktor Erin Granger — powtórzyła.

Sierżant znów ruszył przed siebie.

— Nie chcę być niegrzeczny, ale jeśli chce pani coś badać, nie wolno nam tracić czasu. Nastąpiły wstrząsy wtórne.

— Po co wam biologiczne kombinezony ochronne? Doszło do ataku chemicznego lub biologicznego?

— Niezupełnie.

Zanim zdążyła poprosić o uściślenie odpowiedzi, wojskowy zatrzymał się przed zwałem piaskowca, który tarasował dalszą drogę. Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z archeolożką.

— Pani doktor, proszę się nastawić na najgorsze.

16.03

Jordan wątpił, by doktor Granger kiedykolwiek widziała coś podobnego. Ścieżka prowadziła przez labirynt gruzu oraz zmasakrowanych ciał dorosłych i dzieci; niektóre czymś przykryto, inne patrzyły niewidzącymi oczami w pałac słońce.

Sierżant najchętniej nałożyłby towarzysze końskie okulary, aby oszczędzić jej tego widoku. Musiała pokonać drogę do tymczasowego obozowiska założonego obok skraju przepaści, którą otworzyło trzęsienie ziemi.

Przekroczył zwłoki okryte niebieskim brezentem. Widok zabitych go nie rozpraszał; w Afganistanie widział wiele trupów. Kiedy wieczorem zostanie sam, może wypije odrobinę za dużo whisky, żeby nie rozmyślać. Do tej pory musi panować nad oddziałem i swoimi emocjami.

Widok archeolożki trochę go zaskoczył. Nie chodziło o to, że była kobietą. Współpraca z kobietami nie stanowiła dla niego problemu. Niektóre znały się na swoim fachu, inne nie; tak samo było z mężczyznami. Ale dlaczego sprowadzono archeologa na miejsce katastrofy?

Wierzchem nadgarstka otarł pot z czoła. Zbliżał się zmierzch, lecz temperatura wciąż przekraczała dwadzieścia stopni. Głęboko odetchnął; smak gorącego pustynnego powietrza mieszał się z miedzianym posmakiem krwi. Nagle zauważył, że doktor Granger nie idzie już za nim.

Począł, aż przedrze się przez gruzy. Patrzyła na zwłoki ludzi, w jej oczach dostrzegł współczucie i żal. Nieprędko zapomni ten dzień.

— Dobrze się pani czuje? — spytał, podchodząc do niej.

— Tak, kiedy idę. Proszę się nie zatrzymywać, bo inaczej będzie mnie pan musiał ponieść przez resztę drogi — odparła, uśmiechając się z ogromnym wysiłkiem.

Sierżant ruszył, lecz tym razem wolniej. Starał się wybierać drogę jak najdalszą od leżących ciał.

— Większość zginęła błyskawicznie. Możliwe, że nic nie poczuli.

Spojrzała na żniwo śmierci i wiedziała, że jej towarzysze kłamię.

Z niedowierzaniem uniosła brwi, lecz nie zarzuciła mu kłamstwa. Był jej za to wdzięczny.

Przyjrzała się zwłokom młodej kobiety. Jej twarz pokrywały bąble, wokół ust i oczu zebrała się skrzepnięta krew. Nie tak wygląda typowa ofiara trzęsienia ziemi.

— Nie wszyscy zostali zmiażdżeni. Co się stało z pozostałymi, sierżancie?

— Proszę mi mówić po imieniu.

Zawahał się. Był pewien, że jeśli skłamię po raz drugi, archeolożka mu to zarzuci. Lepiej coś jej powiedzieć, żeby nie zgadywała.

— Wciąż prowadzimy badania, lecz wstępne odczyty mierników chromatograficznych wskazują, że padli ofiarą jakiejś pochodnej sarinu.

Erin potknęła się o kamienną cegłę, lecz szła dalej. Podziwiał jej charakter.

— Gaz bojowy? Czy dlatego wezwano amerykańskich wojskowych?

— Izraelczycy zwrócili się do nas o pomoc, ponieważ jesteśmy ekspertami w tej dziedzinie. Jak dotąd nie udało się potwierdzić składu gazu. Najbardziej przypominał sarin. Błyskawiczne efekty, szybka dyspersja. Zanim ekipa przybyła na Masadę, gaz był już nieaktywny.

Łut szczęścia, pomyślał Jordan, gdyż w przeciwnym razie liczba ofiar byłaby znacznie wyższa. Izraelczycy sądzili, że największe zagrożenie stanowią wstrząsy tektoniczne. Pierwsi ratownicy nie włożyli kombinezonów do chwili, gdy znaleźli zwłoki.

— Kto by coś takiego zrobił? — zapytała archeolożka tonem kogoś, kto nie przywykł do codziennego zmagania z przejawami zła. Zazdrościł jej tego.

— Chciałbym znać na to odpowiedź.

Nawet gaz stanowił zagadkę, gdyż nie wykazywał cech współczesnej broni chemicznej. Przy rozbijaniu go na składniki podstawowe technicy wykryli zadziwiające anomalie. Na przykład cynamon. Kto, u diabła, dodawałby przyprawę do gazu

bojowego? Ekipa wciąż usiłowała zidentyfikować kilka innych, równie zaskakujących składników.

Niepokoilo go to, że nie zna źródła pochodzenia gazu. Na tym polegała jego praca i był w niej cholernie dobry. Aż strach pomyśleć, że natrafił na nieznaną gaz bojowy o takiej sile rażenia, zwłaszcza że zdarzyło się to na Bliskim Wschodzie. Ani zwierzchnicy sierżanta, ani Izraelczycy nie będą zachwyceni, kiedy się o tym dowiedzą.

Musiał przejść przez worek ze zwłokami. Wyciągnął rękę do doktor Granger, żeby jej pomóc, a jednocześnie podtrzymać ją na duchu. Miała mocniejszy uścisk dłoni, niż się spodziewał. Musiała dźwigać nie tylko ołówki.

— Czy to był atak terrorystyczny? — zapytała spokojnym głosem. Sierżant wyczuł jednak lekkie drżenie jej ręki. Uznał, że lepiej zająć ją rozmową.

— Tak na początku myśleli Izraelczycy. — Sierżant puścił rękę Erin. — Jednak porażenie gazem toksycznym zbiegło się z trzęsieniem ziemi. Podejrzewamy, że w ziemi mogły tkwić zakopane stare pojemniki i wstrząs je odsłonił.

Erin zmarszczyła czoło.

— Masada to święty zabytek archeologiczny. Trudno mi sobie wyobrazić, aby Izraelczycy zrobili tutaj skład trujących odpadów. Sierżant wzruszył ramionami.

— Właśnie tego mamy się dowiedzieć.

Dostał rozkaz, by znaleźć źródło skażenia i bezpiecznie usunąć lub zdetonować pozostałe zbiorniki.

Przeszli kilka kroków w milczeniu. Usłyszał głuchy odgłos; ktoś złożył worek ze zwłokami w kabinie helikoptera. Powinni pospieszyć się z robotą. Wkrótce zapadnie zmrok, a sierżant wolał nie wyznaczać ludzi do odpędzania szakali.

Zauważył, że oczy doktor Granger zaszklily się i rozszerzyły i zaczęła szybciej oddychać. Trzeba zająć jej uwagę.

— Już prawie jesteśmy na miejscu.

— Czy ktoś przeżył?

— Jeden chłopiec.

Sierżant wskazał mobilne laboratorium chemiczne mieszczące się w foliowym namiocie. Właśnie tam trzymano nastolatka.

— Przebywał tu sam? — zapytała Erin.

— Z rodzicami.

Chłopiec podobno wciągnął do płuc kilkanaście dużych haustów trującego gazu i przeżył. Według jego słów opar miał kolor palonej czerwonej pomarańczy i wydierał słodką korzenną woń. Żaden współczesny gaz bojowy nie pasował do tego opisu.

Jordan odwrócił głowę i spojrzał na towarzyszkę.

— Jego rodzice nie przeżyli.

— Rozumiem — odparła cicho Erin.

Popatrzył nad gruzami w kierunku namiotu. Przez foliową ściankę widział księdza klęczącego obok chłopca. Dobrze, że ktoś przy nim jest. Ale czy słowa duchownego zdołają go pocieszyć?

Nagle jego żołnierska robota przestała się wydawać taka trudna.

— To jest wasz obóz? — Archeolożka wskazała połać brezentu rozpiętą przy rozpadlinie.

Obóz to nie było najtrafniejsze określenie.

— Przyznaję, że wygląda skromnie.

Skierował wzrok na szczelinę przecinającą skałę niczym olbrzymia blizna; miała cztery i pół metra szerokości i około dziewięćdziesięciu metrów długości. Wyglądała nienaturalnie, jakkolwiek powstała w wyniku zwyczajnego trzęsienia ziemi.

— Czy to jest spektrometr? — zainteresowała się Erin, kiedy dotarli na miejsce.

Sierżant nie zdołał powstrzymać uśmiechu, widząc zaskoczenie na jej twarzy.

— Nie przypuszczała pani, że dadzą nam, prostakom, takie wyrafinowane zabawki?

— Ależ nie, tylko...

Jordan z przyjemnością obserwował, jak archeolożka się płacze. Wszyscy uważają, że każdy, kto nosi mundur, zostawił

mózg w biurze rekrutacji.

— Stukamy w niego kamieniami, pani doktor, ale jakoś działa.

— Przepraszam, nie to chciałam powiedzieć. I proszę mi mówić po imieniu. Słyszac „pani doktor”, czuję się jak pediatra.

— Zgoda — odparł, kierując się do namiotu. — To już niedaleko, Erin.

Pod rachityczną osłoną kryli się dwaj podwładni sierżanta.

Jeden stał w pobliżu komputera i łapczywie pił z manierki. Drugi siedział przed monitorem i za pomocą joysticków manewrował zdalnie sterowanym robotem, którego godzinę temu opuszczono na paskach do szczeliny.

Obaj odwrócili głowy i skinęli dowódcy. Ich spojrzenia znacznie dłużej zatrzymały się na atrakcyjnej archeolożce.

Jordan przedstawił Erin, kładąc nacisk na jej tytuł naukowy.

Piegowaty młodzieniec ponownie skupił uwagę na joystickach.

Sierżant wskazał go ręką.

— Doktor Granger, to jest kapral Sanderson, nasz maniak komputerowy, a ten, który wypija cały zapas naszej wody, to specjalista Cooper.

Mocno zbudowany czarnoskóry mężczyzna szybkim ruchem włożył na dłonie lateksowe rękawiczki. W stojącym nieopodal koszu spoczywało kilkanaście par takich samych, lecz zakrwawionych.

— Chętnie bym pogawędził, ale muszę sprzątać. — Cooper spojrział na Jordana. — Gdzie schowałeś zapasowe baterie? Aparat McKaya prawie siadł, a trzeba sfotografować wszystkie zwłoki przed zapakowaniem ich do worków.

Erin skrzywiła się, a potem poblądła. Jordan od lat znajdował się w ogniu walk i rozumiał, że łatwo zapomnieć o grozie, z którą miał do czynienia na co dzień.

W tej chwili niewiele mógł zrobić, aby jej pomóc. Nie był też w stanie pomóc ofiarom.

— Niebieski plecak, prawa kieszeń.

Cooper rozpiął suwak i wyjął baterię litowo-jonową.

— Jasna cholera! — zaklął Sanderson. Wszyscy odwrócili głowy w jego stronę.

— Co się stało? — spytał Jordan.

— Łazik znowu utknął.

Cooper z drwiącą miną wyszedł z namiotu.

Kapral ze ściągniętymi brwiami wpatrywał się w kolorowy monitor, jakby grał w grę komputerową i był o krok od porażki.

Erin pochyliła się nad jego ramieniem i spojrzała na cztery monitory wyświetlające obraz z kamer robota.

— To jest wnętrze rozpadliny?

— Taak, ale robot się zakleszczył.

Na ekranie widać było przyczynę frustracji Sandersona. Zdalnie sterowany łazik utknął w szczelinie. Żwir i kamienie zasłaniały obraz z dwóch kamer. Sanderson nacisnął drążki i gąsienice poruszyły się w żwirze bez żadnego efektu.

— Wojskowy szajs!

Jednak to nie sprzęt był wadliwy. Robot należał do najnowszej generacji i był naszpikowany najrozmaitszymi czujnikami, które wykryłyby nawet kichnięcie myszy. Sanderson jeszcze nie opanował sztuki manipulowania dwoma joystickami. Jordan także nie umiał ich obsługiwać.

Erin spojrzała ze zdziwieniem na urządzenie.

— Czy to jest model ST-20? Spędziłam przy nim setki godzin. Mogę spróbować?

Dlaczego nie, pomyślał Jordan. Archeolożka przynajmniej się czymś zajmie, a Sanderson najwyraźniej nie radził sobie z robotem. Poza tym każda pomoc się przyda.

— Jasne — odparł.

Sanderson uniósł ręce w geście zniesmaczenia i odsunął się razem z krzesłem.

— Bardzo proszę. Próbowałem wszystkiego. Musiałbym się wczołgać na dół i kopnąć grata w tyłek, wtedy może by się ruszył.

Erin stanęła przed ekranem i z wprawą ujęła w dłonie dwa joysticki. Uruchamiała na przemian tylny i przedni napęd robota,

który minimalnie cofał się i poruszał do przodu niczym parkujący samochód.

— Tak też próbowałem — odezwał się Sanderson. — Nic to nie dało...

Naraz robot wyrwał się ze szczeliny. Jordan zauważył, że Erin powstrzymała uśmiech cisnący się jej na usta. Nie chciała zranić uczuć Sandersona. Wzbudziło to szacunek Jordana.

Sanderson stanął z rękami opartymi na biodrach.

— No ładnie! Przez panią wyszedłem na frajera w oczach dowódcy.

Uśmiechnął się i przysunął Erin krzesło, jakby to był tron. Usadowiła się i spojrzała na Jordana.

— Czego szukamy?

— Nasz oddział otrzymał rozkaz zlokalizowania źródła gazu.

— Niech zgadnę — powiedziała ze szczerym uśmiechem Erin.

— Sprowadzono mnie tutaj po to, by izraelskie władze miały pewność, że w trakcie poszukiwań nie rozwalicie tysiącletnich zabytków?

Jordan także się uśmiechnął.

— Coś w tym rodzaju.

Wolał nie mówić więcej. O sprowadzenie Erin poprosił izraelski wywiad, nie wydział starożytności. Jordan jeszcze nie znał przyczyny, a nie znosił nierozwiązanych zagadek.

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się na monitory; Erin przeprowadzała łązik przez stos kamieni.

— Co pani w ogóle porabia w Izraelu? — zaciekawiał się Sanderson.

— Prowadzę prace wykopaliskowe w Cezarei — odparła. — Rutynowa działalność.

Z tonu jej głosu Jordan odgadł, że owa działalność wcale nie jest rutynowa. Zaciekawiało go to.

Robot ześliznął się ze skalnego występu, a następnie znalazł się w prostym tunelu.

— Spójrzcie na ściany — rzekła Erin, obracając kamery. — Obrobiono je ostrymi narzędziami.

— Co to znaczy? — zaciekał się Jordan.

— Ten tunel został ręcznie wykuty przez ludzi.

— Tak głęboko? W podwalinach góry? — Sierżant podszedł bliżej. — Kto go wykuł? Żydowscy powstańcy, którzy tutaj zginęli?

— Być może. — Odchyliła się, gdyż wojskowy za bardzo się zbliżył. Jordan się cofnął. — Albo mnisi bizantyjscy, którzy zamieszkali na górze kilka stuleci później. Nie sposób jednoznacznie stwierdzić bez dalszych dowodów. Sądzę, że nasz robocik jest pierwszym od bardzo dawna gościem w tym tunelu.

Łazik wspiął się na stos gruzu; w blasku halogenowych reflektorów czarna jak smoła ściana tunelu przybrała chorobliwie białą barwę.

— O cholera! — zakląła archeolożka.

— Co się stało? — spytał Jordan.

Erin obróciła robota w prawo, by pokazać kupkę popękanych kamieni.

— No i? — Jordan nie dostrzegał żadnej różnicy między tym stosem a innymi.

— Spójrz na wierzchołek. — Erin wskazała palcem linię na ekranie. — To jest zawałony tunel.

— Jest ich tu cała masa — wtrącił się Sanderson. — O co tyle krzyku?

— Popatrzcie na ściany — odparła. — Tam są stosunkowo świeże ślady świdra.

Jordan nachylił się z zaciekawieniem.

— Co to oznacza?

— To, że ktoś dostał się do wnętrza tunelu mniej więcej w ciągu ostatnich stu lat. — Erin westchnęła. — I zapewne wykradł wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Mógł także zostawić gaz — dodała.

Jordan z ulgą przyjął hipotezę, że gaz bojowy pochodzi z czasów współczesnych, a nie starożytnych. Nie wiedział tylko, dlaczego mu ulżyło.

Archeolożka ponownie obróciła łazik i poprowadziła tunelem; po chwili dotarł do otwartej przestrzeni.

— Zatrzymaj go — poprosił Jordan. — Co to takiego?

— Wygląda na podziemną komorę magazynową. — Wykonała pełny obrót robotem, aby kamery objęły całość. Nie było widać pękniętych pojemników z gazem.

— Jak wyglądają odczyty z mierników? — zwrócił się Jordan do kaprała.

Sanderson pochylił się nad drugim monitorem. Pilotowanie robota mu nie wychodziło, ale znał się na swoim fachu.

— Mnóstwo produktów wtórnego rozpadu. Nie widać czynnika aktywnego. Bardzo dużo ostrych wierzchołków wykresu. Moim zdaniem to ta komora jest źródłem gazu.

Na obrazie z kamery ukazało się zakrzywione sklepienie.

— To wygląda jak kościół — zauważył Sanderson.

Erin pokręciła głową.

— Raczej jak podziemna świątynia lub krypta. Starożytny styl architektoniczny.

Dotknęła ekranu, jakby to pomogło jej poczuć kamień.

— Co to za skrzynia? — zapytał Jordan.

— Chyba sarkofag, ale nie będę miała pewności, dopóki nie znajdę się bliżej. Snop światła tam nie sięga.

Skierowała łazik w stronę obiektu, lecz się zatrzymał. Pchnęła obydwie joysticki, a potem puściła je z westchnieniem zniecierpliwienia.

— Znowu utknął? — chciał wiedzieć Jordan. Byli już tak blisko celu.

— Koniec wędrówki — oznajmiła. — Dalej nie sięga kabel robota.

Skierowała kamerę na sarkofag.

— To z pewnością wygląda na grobowiec. Jeśli nim jest, to pochowano w nim kogoś ważnego.

— Był tak ważny, że zaminowano komorę? — To mogło być wyjaśnienie zagadki.

— Możliwe, ale to Egipcjanie, a nie Żydzi zasłynęli z opracowywania wymyślnych pułapek. — Erin dotknęła palcem dolnej wargi. — Coś mi tu nie pasuje.

— Tutaj nic do niczego nie pasuje — parsknął Sanderson. — Na przykład gaz bojowy zaprawiony cynamonem.

Erin obróciła się na krzesło.

— Co takiego?!

Jordan ze skrzywioną miną spojrział na Sandersona. Musiał jednak potwierdzić jego słowa.

— To jedna z nietypowych cech tego gazu. Wykryliśmy w nim ślady cynamonu.

— Ale to pasuje do grobowca.

— Nie rozumiem — przyznał Jordan.

— Cynamon stanowił rzadkość w czasach starożytnych — odparła niczym wykładowca do studentów. — Umieszczano go w grobach bogaczy jako ulubioną przyprawę Boga. Wspomina się o nim wielokrotnie w Biblii. Mojżesz otrzymał nakaz, by wykorzystać go jako składnik olejku do namaszczenia.

— A więc cynamon to prawdopodobnie zanieczyszczenie? — Jordan był wdzięczny za tę informację. O cynamonie wiedział tylko tyle, że to smaczna przyprawa.

— Raczej nie, gdyż jego zawartość w pozostałości gazu jest zbyt wysoka — zapiał Sanderson.

— Co jeszcze wiadomo o cynamonie w starożytności? — dopytywał się Jordan.

— Gdybym wiedziała, że wezmę udział w quizie, przygotowałabym się — odparła Erin z ciepłym uśmiechem, który zaskoczył sierżanta. — Używano go jako składnika ułatwiającego trawienie. A także do zwalczania przeziębienia i jako środek odstraszający komary.

— Zbadaj to — polecił Jordan i stanął za plecami Sandersona. Był tak pobudzony, jakby wypił potrójną porcję kawy.

Palce Sandersona przebiegły po klawiaturze.

— Robi się.

— Co ja takiego powiedziałam? — Erin się zdziwiła.

— Może częściowo rozwiązałaś zagadkę — odparł sierżant. — Większość środków odstraszających komary to związki, które od gazów bojowych dzielą zaledwie dwa łańcuchy chemiczne. Pierwszy gaz porażający układ nerwowy...

Ziemia zatrzęsała się gwałtownie. Krzesło Erin potoczyło się niebezpiecznie w tył. Jordan je przytrzymał. Płótno namiotu zakołysało się, metalowy stelaż zazgrzytał piskliwie.

Erin naprężyła się, gotowa zerwać się na równe nogi. Sierżant ją przytrzymał.

— Tu będzie bezpieczniej — zapewnił.

Nie dodał, że na pękniętym wierzchołku góry nie ma ani skrawka bezpiecznego miejsca. Najmniejszy wstrząs mógł go rozpołować do końca. Ziemia przestała się trząść.

— No dobra, koniec oglądania na odległość — oznajmił sierżant, odwracając się do Sandersona. — Masz pewność, że w komorze nie zostało ani trochę aktywnego gazu?

Sanderson nachylił się nad konsolę, a następnie się wyprostował.

— Tak jest. Ani jednej cząsteczki.

— Doskonale. Dawaj tu Coopera, McKaya i Perlmana. Bierzemy sprzęt i za pięć minut schodzimy na dół.

Archeolożka wstała, jakby chciała przyłączyć się do grupy. Sierżant pokręcił głową.

— Wybacz, ale będziesz musiała zostać na wierzchołku, dopóki nie zabezpieczymy komory.

— Ściągnąłeś mnie tutaj z wykopaliska. — Erin się oburzyła. — Nie będę...

— Odpowiadam za czterech żołnierzy z mojego pododdziału. Ja tej odpowiedzialności nie lekceważę, pani doktor. Tam, na dole, prawdopodobnie znajduje się źródło śmiertelnie śmiernego gazu bojowego. Nie wezmę na swoje sumienie poległego cywila.

— A więc wróciliśmy do oficjalnych form? — spytała, wyraźnie wymawiając każde słowo. Przypominała w tym matkę Jordana. — Jakie otrzymał pan rozkazy dotyczące mnie, panie sierżancie?

— Jak już powiedziałem, mam zabezpieczyć teren — odparł grzecznym tonem. Nie miał czasu na utarczki z rozgniewaną archeolożką, która zaprażyła posmakować niebezpieczeństwa.

— A w jaki sposób ja mam stąd zabezpieczyć teren?

— Powiedziała pani, że w komorze znajduje się jedynie sarkofag...

— Tylko tyle zdołałam stąd zobaczyć. A co z zawartością sarkofagu, sierżancie?

Erin mówiła odrobinę chłodniejszym tonem niż przed chwilą.

— Nie obchodzi mnie, co jest w środku — odparował.

— A powinno, ponieważ sarkofag jest otwarty.

Zdziwiony Jordan aż się cofnął.

— Co takiego?!

Stuknęła palcem w ekran, wskazując miejsce na obrazie przesłanym przez robota.

— O, w tym miejscu spoczywa wieko sarkofagu. Leży obok, ktoś musiał je odbić i zdjąć.

Szkoda, że to zauważyła, pomyślał sierżant. Ten fakt bardzo utrudnił mu życie.

— Nie mamy najmniejszego pojęcia, co tam może być — ciągnęła zniżonym głosem. — Zwłoki żydowskiego króla, nienaruszony egzemplarz Tory. Masada to bezcenny zabytek historyczny narodu żydowskiego. Jeśli coś ulegnie zniszczeniu...

Jordan otworzył usta, żeby zaprotestować, lecz się nie odezwał. Wciągnął głęboko powietrze w płuca i powoli je wypuścił. Archeolożka miała rację. Izraelczycy urwaliby mu głowę, gdyby popełnił najmniejszy błąd. Niech to szlag.

— Na dole mogą być także nienaruszone pojemniki z gazem. Kolejny wstrząs może nastąpić w każdej chwili i sprawić, że pękną. A my będziemy wyglądali tak jak ci, których widziała pani po drodze.

Erin pobladła, lecz zaraz się wyprostowała.

— Zdaję sobie sprawę z tego, co może się stać, sierżancie.

Wątpił w to.

— Schodziła już pani po linie?

— Naturalnie — odparła. — Mnóstwo razy, sama nie wiem ile. Nie spuszczał z niej wzroku.

— Zakładam, że umie pani liczyć więcej niż do jednego.

Uśmiechnęła się.

— O, tak. Może nawet do stu.

Sierżant się odprężył. Przynajmniej nie będzie kłopotu z przetransportowaniem jej na dół.

— Od tej pory podlega pani moim rozkazom. Kiedy powiem: „skacz”...

— Mam tylko zapytać: „jak wysoko?” — wtrąciła z poważną miną. — Jasne.

Dotknął słuchawki w uchu.

— Sanderson, pomóż pani doktor włożyć pas. Schodzi z nami.

6

26 października, 16.42

Pięćdziesiąt kilometrów od Masady

Bathory szarpnęła zasłonę maskującą. Tuż za hangarem lotniczym zaczynała się martwa pustynia. Być może po raz ostatni widzę słońce, pomyślała.

Zamknęła na chwilę oczy, żeby się skupić. Głęboko odetchnęła i odsunęła w głąb świadomości ból, który bezustannie płynął w jej ciele wraz z krwią. Był tępy i zawsze jej towarzyszył, nigdy nie pozwolił o sobie zapomnieć; przypominał o przysiędze, którą złożyła, kiedy była o wiele młodsza. Naznaczył ją równie mocno jak czarna dłoń wytatuowana na jej białej szyi. Zrodziły się jednocześnie jako znak obietnicy krwi i poświęcenia, które Mu złożyła.

Jej palce powędrowały w górę, by dotknąć źródła bólu i obietnicy. Służyło ono jeszcze jednemu celowi: jako ochrona. Stanowiło wyróżnik tych, których sobie wybrał i wywyższył. Nikt nie mógł jej tknąć, wszyscy byli jej posłuszni.

Siłą woli opuściła rękę; wiedziała, że nigdy nie może sobie pozwolić na okazanie cienia słabości, zwłaszcza w obecności innych.

Odwróciła się ku ciemnemu wnętrzu ogromnego hangaru; plamki słabego światła wydostawały się przez stalową kratę. Oddział już wsiadł na pokład helikoptera i czekał na nią.

Ktoś z załogi zatrzasnął tylną klapę komory towarowej. Coś odbiło się od zamkniętych drzwi; wyraźnie przestraszony mężczyzna się cofnął, a następnie jeszcze raz zatrzasnął klapę.

Uspokojona Bathory pozwoliła sobie na słaby uśmiech. Czarny znak na szyi nie stanowił jej jedynej ochrony.

— Ciii — szepnęła w tamtym kierunku. — Już wkrótce przyjdzie wolność.

Jej myśl nie przybrała formy słów, lecz popłynęła ciepłą, krzepiącą falą.

Ta zaś wróciła do niej niczym echo. Bathory wyczuła w niej satysfakcję, głód i głęboką miłość.

Pławiąc się w jej promieniach, poprawiła kamizelkę ze skóry i kewlaru oraz pistolet Sig Sauer tkwiący w kaburze pod ramieniem. Ruszyła szerokim hangarem w kierunku helikoptera, w którym znajdowali się jej podwładni. Silniki maszyny już wyły, hałas brzmiał ogłuszająco w zamkniętej przestrzeni.

Przemknęła schylona pod wirującymi płatami rotora, wspięła się do specjalnie zaprojektowanej kabiny eurocoptera panther i zatrzasnęła za sobą drzwi. W środku panował półmrok i chłód, a izolacja zapewniała ciszę. Średniej wielkości helikopter mógł zabrać na pokład dziesięciu pasażerów oraz ładunek o wadze do trzystu kilogramów.

Nie był to jednak zwyczajny helikopter. Odpowiednie modyfikacje czyniły go prawie niewidzialnym dla radarów, a wyciszony silnik zapewniał bezgłośną pracę. Barwy sił lotniczych Izraela, na jakie go pomalowano, sprawiały, że pasował do tego regionu świata. Wyróżniały się jedynie czarne szyby kabiny, sprawiające, że wewnątrz było niewidoczne z zewnątrz.

Kiedy Bathory zmierzała do swojego ustawionego osobno fotela, śledziły ją oczy podwładnych. Było to dziewięciu doświadczonych myśliwych spragnionych krwi. W ich beznamietnym wzroku dostrzegała żądzę mordy i zaciekłość.

Ignorując ich, usiadła obok swojego bezpośredniego podwładnego Tareka. W wypełnionej półmrokiem kabinie wyglądał jak cień i roztaczał aurę chłodu. Przypomniała sobie gorący dotyk Farida na plecach. Jak daleko odeszło już to wspomnienie...

Włożyła słuchawki i wywołała pilota. Będzie prowadził zaciemnioną maszynę, kierując się jedynie wskazaniem instrumentów i oprogramowaniem nawigacyjnym.

— Jaki jest nasz status? — zapytała.

— Już zwróciłem się do izraelskich służb bezpieczeństwa o udostępnienie kodu pozwalającego na zbliżenie się do szczytu — padła sucha odpowiedź. — Spodziewają się helikoptera transportowego. Usiądziemy tam za dwadzieścia dwie minuty.

Bathory w myślach szybko obliczyła. Siedem minut po zachodzie słońca.

Doskonale.

Silniki zwiększyły obroty, z zewnątrz dobiegł ich stłumiony ryk. Wyobraziła sobie rozwierające się wrota hangaru, a za nimi oślepiające słońce. Poczowała, że maszyna śmiga w kierunku złotej tarczy. Oczami wyobraźni zobaczyła, jak mknie ponad rozgrzаныmi piaskami niczym ciemna plamka na tle ognistego morza.

— Ilu? — warknął Tarek.

Wiedziała, że pyta, jakie siły będą na nich czekały w Masadzie. Wychwyciła jednak także żądzę ukrytą pod tym słowem. Wzbudziło ono dreszcz podniecenia w kabinie, który rozbłysnął niczym zapalona ciśniećka w kałużę benzyny.

Odpowiedziała na to, co wyraził werbalnie, a także na to, czego nie wyraził:

— Siedemnastu.

Twarz Tareka pozostała w cieniu, lecz wyczuła, że jego usta układają się w złowieszczy uśmiech. Włoski na jej karku uniosły się, instynktownie reagując na bliskość drapieżnika.

Z dostępnych jej informacji wynikało, że wierzchołka góry strzeże zaledwie garstka żołnierzy. Jej dziewięciu towarzyszy oraz czynnik zaskoczenia pozwolą w kilka minut opanować teren.

Później trzeba będzie odnaleźć księgę.

Ręka Bathory znów usiłowała skierować się ku szyi, lecz dziewczyna zacisnęła palce.

Nie może Go zawieść.

Pozostawał jednak jeden nieznany element. Przypomniała sobie Jego wiadomość:

*Wysłano Rycerza, by to odnalazł.
Niechaj nic cię nie powstrzyma.*

Przekazała informację Tarekowi:

— Bądź przygotowany. Możemy tam zastać Rycerza Chrystusa.

Ten zeszywniał, jego postać przypominała teraz posąg wykuty z czarnego lodu. Cichym syknięciem wypowiedział starożytne miano takiego człowieka. Zabrzmiało niczym przekleństwo:

— Sangwinista.

7

26 października, 16.44

Masada, Izrael

Erin ukradkiem rozejrzała się po pustym namiocie. Jordan kazał jej poczekać w środku do swojego powrotu. Miała kilka minut spokoju, więc wyjęła komórkę i przeczytała wiadomości.

Nate napisał:

Nie mogę dodzwonić się do ambasady. Telefony zablokowane z powodu trzęsienia ziemi. U pani wszystko dobrze?

Obawiała się, że lada chwila może się zjawić Perlman. Odpisała natychmiast:

Wszystko OK. To legalna operacja. Co z Heinrichem?

Na ekranie długo nic się nie pojawiało; Erin przestraszyła się, że student nie ma przy sobie telefonu. Nate? — napisała.

Może pani do mnie zadzwonić?

Tekst zamazał jej się przed oczami. Nie mogła dzwonić, bo ktoś by usłyszał. Perlman bez wątpienia zniszczyłby aparat, gdyby znów ją nakrył.

Nie. Napisz.

Odpowiedź nadeszła po krótkiej przerwie:

Heinrich nie dał rady.

Osunęła się na krzesło Sandersona. Heinrich umarł w szpitalu tysiące kilometrów od domu, i to z jej winy. Zostawiła go samego w wykopie, żeby przynieść pędzelki, których nie potrzebowała. Chciała uniknąć sporu. Co powie rodzicom chłopaka? Z kosza wypełnionego zużytymi rękawicami doleciała woń krwi. Erin walczyła z mdłościami.

— Doktor Granger? — Jordan wysunął głowę zza narożnika.
— Jesteśmy gotowi, czekamy...

Wszedł do namiotu.

— Erin, dobrze się pani czuje?

Uniosła głowę i spojrzała na niego. Głos dobiegał z bardzo daleka.

— Erin, czy coś się stało? — Dwoma szybkimi krokami przemierzył wnętrze namiotu.

Pokręciła głową. Gdyby powiedziała mu o śmierci Heinricha, rozkleiłaby się tu, w namiocie stojącym na polu śmierci.

Sierżant spojrzał na nią z z troskaniem.

Nie mogąc wytrzymać jego wzroku, odwróciła głowę i napisała odpowiedź Nate'owi. Wątpiła, czy Jordan przejąłby się śmiercią niemieckiego studenta. Zrozumiałam. Zadzwoń, kiedy będę mogła.

Schowała telefon do kieszeni.

— Wiadomość z wykopaliska — odparła; sama chciała wierzyć w swoje kłamstwo. — Lata planowania, a teraz spadło na nas trzęsienie ziemi.

— Niebawem cię odwieziemy.

— Wiem.

Jordan zapewne pomyśli, że oszalała, skoro przejmuje się starymi kośćmi spoczywającymi w ziemi. Mimo to uspokoiła się,

mogąc podzielić się choć odrobiną smutku z powodu Heinricha. A może to sierżant miał na nią kojący wpływ? W przeciwnym razie jak zdołałaby pokonać drogę usłaną trupami? Głęboko odetchnęła.

— Jestem gotowa — oznajmiła, wstając.

— No to chodźmy. Nałożymy ci sprzęt.

Podeszła za nim do krawędzi rozpadliny; podał jej uprząż pełną węzłów i pasków. Erin nie była przyzwyczajona do sprzętu wojskowego. Patrzyła bezradnie.

Obrócił ją.

— Wsuń jedną nogę tutaj, a drugą tam.

Stał za nią i pomagał jej włożyć oporządzenie. Jego ręce pewnie przesuwały się wzdłuż jej ciała, prostując paski i zapinając klamry. Poczowała, że temperatura jej ciała wzrosła o jakieś dziesięć stopni. Szybko zapięła klamry na piersi.

Helikopter oderwał się od ziemi. Erin rozejrzała się po świętym wierzchołku góry. Nastolatek zniknął, a wraz z nim większość załogi i worki ze zwłokami. Po terenie kręciło się zaledwie kilkunastu ludzi, ich cienie się wydłużyły.

Jordan podszedł do niej z przodu. Sięgnął ręką w dół i zapiął paski na jej udach ruchem, który wyglądał jak podręcznikowy, lecz zarazem był niewiarygodnie intymny. Zapięte oporządzenie pociągnęło ją ku niemu. Spojrzała w jego niebieskie oczy; pociemniały w blasku zachodzącego słońca.

— Jeśli powinienem o czymś wiedzieć, zanim zejdziemy na dół, to teraz jest odpowiedni moment.

— Nic takiego nie ma. — Perspektywa pozostania na górze wśród ciał zmarłych pociągała ją jeszcze mniej niż wizja zejścia do rozpadliny. — Miałam zły dzień.

— Sanderson przygotował dla ciebie fotel. — Sierżant przyjrzał się twarzy archeolożki. — Robot jest na dole, mogłabyś obserwować nas stąd.

Erin zebrała resztkę odwagi i zmusiła się do uśmiechu.

— A wam przypadłoby to, co najlepsze?

Jordan spojrział na nią z troską, a potem wrócił do swoich ludzi.

Ci z obu stron spuszczały liny w czeluść. Rozłożone na krawędziach niebieskie koce chroniły liny przed tarciem o ostrą, poszarpaną skałę. Znali się na swojej robocie. Mimo to Erin obejrzała liny.

Sanderson podszedł do niej z tyłu. Nie schodził do rozpadliny, ale pomagał w przygotowaniach. Podał jej coś, co miało długość i szerokość ołówka.

— Sierżant kazał mi dać pani atropinę — wyjaśnił. — Najlepiej włożyć ją do skarpety.

— Do czego służy?

— Jeśli natknie się pani na ten tajemniczy gaz, trzeba zerwać osłonkę i dźgnąć się w udo.

Ta myśl trochę ją przeraziła.

— Myślałam, że na dole nie ma aktywnego gazu.

— To na wszelki wypadek, ale proszę uważać. Środek jest mocny, proszę go nie używać, jeśli nie będzie pani miała pewności, że nastąpił kontakt z gazem. Atropina daje potężnego kopa sercu. Może rozwalić pikawę, jeśli nie doszło do zatrucia. I to migiem.

— Czy nie powinniśmy mieć kombinezonów ochronnych?

— Są za grube, utrudniałyby schodzenie po linach. A paski rozdarłyby materiał. Proszę się nie martwić. Przy pierwszych oznakach zatrucia... mdłości, krwawienie... proszę użyć igły. To pozwoli pani przeżyć, a później panią wyciągniemy.

Spojrziała na piegowatą twarz Sandersona; być może stroił sobie żarty, żeby ją nastraszyć.

Ścisnął jej ramię.

— Będzie dobrze.

Jednak Erin nie czuła się dobrze; zaczęła szybciej oddychać. Uniosła nogę i wcisnęła strzykawkę głęboko do skarpety.

Do krawędzi szczeliny podszedł porucznik Perlman z dwoma żołnierzami: młodym Izraelczykiem i starszym Amerykaninem. Ten drugi miał bujną brązową czuprynę i trzymał sakwę na ramieniu. Przeczytała nazwisko wypisane na jego moro: McKay.

Na sakwie widniały trzy duże litery: EOD.

Zauważył, że Erin patrzy na niego.

— Sekcja Środków Wybuchowych. Jestem od rozpirzania tego i owego.

Żołnierze zamierzali zdetonować znalezione pod ziemią nietknięte pojemniki z gazem. Erin przeraziłaby się jeszcze bardziej, lecz szok po śmierci Heinricha trochę ją znieczulił.

McKay wyciągnął do niej rękę; uściśnęła ją. Był to rosły mężczyzna z wydatnym, niemal pękatym brzuchem; zapewne wielbiciel cheeseburgerów. Wyglądał na starszego o dziesięć lat od pozostałych. Domyśliła się, że jest po czterdziestce. Uśmiechnął się szeroko przy powitaniu.

— Od wieków nie wspinałem się w tak uroczym towarzystwie. — Puścił do niej oko; Erin próbowała odpowiedzieć uśmiechem.

Podszedł do krawędzi rozpadliny, jakby to był krawężnik. Stała obok niego i spojrzała w dół. Dno skrywał cień. Szczelina była wystarczająco szeroka, żeby można było schodzić bez obawy, lecz mimo to Erin zadrżała. Szpetnie poszarpana wyrwa nie pasowała do tej góry.

McKay i Cooper przypięli swoje uprząże do dwóch lin.

Erin podeszła do wolnej liny i zrobiła to samo. Dla sprawdzenia dwa razy ją pociągnęła.

Kobieta z oddziału Jordana uklękła obok krawędzi. Spuszczała do rozpadliny długi wąż. Obok jej kolana spoczywał chromatograf gazowy.

— Tyson, jaki jest odczyt?! — zawołał Jordan.

— Cząstki azotu, tlenu i argonu — odparła zagadnięta, spoglądając na ekran. — Wszystko, czego można się spodziewać. Nic groźnego.

— Pilnujcie odczytów, kapralu. — Jordan odwrócił się do towarzyszy. — Niech wszyscy mają atropinę w pogotowiu.

— Na co czekamy, sierżancie? — Cooper wisiał już nad przepaścią. Lina wydawała się za cienka, żeby utrzymać jego

masywną postać, lecz w oczach żołnierza tańczyły wesołe ogniki. Urodzony wspinacz.

Jordan wykonał kolisty ruch ręką.

— Rangerzy prowadzą!

Cooper ryknął, a McKay westchnął zmęczonym głosem. Zaczęli schodzić po ścianie z taką łatwością, jakby to była równa ziemia.

Izraelczycy przypięli się do lin i zniknęli za krawędzią.

Kapral Tyson gmerała przy sprzęcie pomiarowym. Nie miała na sobie uprzęży, co oznaczało, że zostaje na górze.

Jordan podszedł do archeolożki; na jego ramieniu kołysał się duży karabin. Przypiął się obok Erin, a następnie pochylił i pociągnął za jej linę.

— Dobry zaczep.

— No pewnie.

Uśmiechnął się do niej, odchylił w tył i zrobił duży krok. Patrzył na nią z powagą.

— Czekam. Będę tuż obok ciebie.

Erin odchyliła się, dłonie w rękawicach otworzyły się i zacisnęły, przepuszczając linę. Po chwili stała na ścianie rozpadliny obok Jordana.

16.54. Trzy minuty przed zachodem słońca

Postawiwszy stopy na ziemi, Jordan odruchowo dokonał przeglądu broni. Klepnął dłonią w rewolwer Colt 1911 tkwiący w kaburze biodrowej, a potem sprawdził, czy nóż KA-BAR jest przypięty do kostki. Jednak jego podstawowa broń, pistolet maszynowy Heckler & Koch MP7, wisiała na pasku na prawym ramieniu. Automat wystrzeliwał utwardzone pociski z częstotliwością dziewięciuset pięćdziesięciu na minutę i mógł zrobić sito z kewlarowej kamizelki.

Sierżant szybko sprawdził zabezpieczenie, magazynek i celownik optyczny; podczas schodzenia po ścianie mógł stuknąć

pistoletem w ścianę. Zauważył, że Erin mu się przygląda.

— Potrzebujesz takiego arsenału tu, na dole? — zapytała, składając rękawice i wsuwając je do tylnej kieszeni.

Wzruszył ramionami.

— To standardowe uzbrojenie mojego oddziału.

Nie zdążył powiedzieć więcej, gdyż w słuchawce odezwał się głos Sandersona:

— Sierzancie, nadlatuje izraelski helikopter transportowy. Pewnie przylecieli po resztę ciał.

Przybyli wcześniej, ale dlaczego mieliby tego nie zrobić? Jordan nie miał nic przeciwko temu, aby zabrali wszystkie trupy z tej przeklętej góry. Dotknął słuchawki.

— Przyjąłem.

Po chwili on i Erin dołączyli do reszty grupy. Kabel robota nikał w ciemności.

Jordan zerknął na towarzyszkę. Co mogło jej się stać? Początkowo myślał, że boi się wysokości i schodzenia po linie, lecz poradziła sobie bez mrugnięcia okiem. Podejrzewał, że zaliczyła ponad sto takich zejść, więc w ciągu tych paru minut zapewne zobaczyła lub usłyszała coś, co wytrąciło ją z równowagi. Odniósł wrażenie, że nie powiedziała mu całej prawdy. Teraz wyglądała lepiej, jednak Jordan mógł jedynie mieć nadzieję, że jej stan emocjonalny nie odbije się na wykonaniu zadania.

Cooper wysunął głowę z tunelu szerokości sześćdziesięciu centymetrów, który pokonał robot, po czym wrzucił pałeczkę świetlną.

— Za tą szczeliną zaczyna się tunel wydrążony przez ludzi.

McKay stał z rękoma na biodrach i spoglądał na wąskie gardło.

Jordan klepnął go w ramię.

— Ciasno, ale dasz radę.

McKay pokręcił głową.

— Rzekł chudzielec, który ledwo robi pompkę.

Jordan nie był chudy i nie miał problemu z pompkami, ale rzeczywiście mógł łatwo zmieścić się w przejściu. Dla McKaya w pełnym oporządzeniu sprawa nie okazała się taka prosta.

Cooper wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

— Możesz rozebrać się do gatek i posmarować smalcem.

— Żebyś sobie za darmo popatrzył? Zapomnij.

Porucznik Perlman stał z rękami skrzyżowanymi na piersiach i chmurną miną. Pozostali izraelscy żołnierze przestępowali z nogi na nogę.

Jordan nie zamierzał zwlekać. Zachodziło słońce, a on chciał jak najszybciej wykonać zadanie. Poprawił latarkę ramieniówkę.

— Ruszajmy.

16.57. Zachód słońca

Erin klęczała i patrzyła, jak jej towarzysze znikają w szczelinie. Ostrożnie wciągnęła powietrze do płuc. Spodziewała się, że poczuje odór środków chemicznych, mimo iż Tyson i Sanderson zapewniali, że nic takiego im nie grozi. Jednak czuła tylko ziemistą woń zmieszaną z zapachem stęchlizny charakterystycznym dla miejsc od dawna niezamieszkanym. Dobrze znany i przedziwnie uspokajający oddech starego grobowca.

Dotknęła dłonią strzykawki schowanej w skarpecie i wstała, by wejść za Jordanem do wąskiego otworu. Poczowała na ramionach szorstkie dotknięcie kamiennych ścian i odwróciła się bokiem; mogła jedynie życzyć McKayowi, żeby się za bardzo nie poobcierał.

Powietrze było tam znacznie chłodniejsze niż na wierzchołku. Tenisówki Erin grzęzły w piachu. Pałeczka fluorescencyjna wypełniała przejście tajemniczą żółtą poświatą. Dotarwszy do niej, Erin poczuła nagłe pragnienie, by podnieść ją i schować do kieszeni. Zdołała pokonać ten odruch. Zaśmiecili stanowisko archeologiczne. Postanowiła zabrać pałeczkę w drodze

powrotnej. Jedną ręką dotykała sklepienia szczeliny, żeby nie stłuc sobie głowy. Nie mogła się doczekać chwili, gdy dotrze do sarkofagu i będzie mogła rozpocząć jego oględziny.

McKay, zdenerwowany ciasnym przejściem, puścił wiązaną przekleństw. Cooper skwitował to beztróskim rechotem.

Erin mimo woli także się uśmiechnęła. Często współpracowała z wojskowymi, zwłaszcza gdy stanowisko znajdowało się w strefie objętej konfliktem zbrojnym. Dawniej traktowała żołnierzy jak zło konieczne, lecz z tą grupą połączyła ją osobliwa więź, być może za sprawą krwawej tragedii, która rozegrała się na wierzchołku góry, oraz wspólnej misji do wykonania.

Wreszcie dotarli do końca wąskiego przejścia. Jordan znalazł się w tunelu i pomógł Erin wygramolić się z rozpadliny. Uniósł rękę na znak, że ma się nie ruszać.

— Czekaemy na sygnał od tamtych.

To on był teraz dowódcą. Erin zatrzymała się i dotknęła ściany tunelu pełnej ostrych krawędzi; wyobraziła sobie spoconych mężczyzn z kilofami i młotami. Przyklękła na jedno kolano, wzięła garść piasku do ręki i przesypała go przez palce.

Ktoś wydrążył to przejście tysiące lat temu. Kto tędy chodził i w jakim celu?

Kilka metrów dalej stos gruzu zamykał współczesny tunel, który Erin zobaczyła na obrazie z kamer robota. Korytarz musiał się zapaść. Dotknęła śladów wiertel. Pochodziły z dwudziestego wieku. Ale z jakich lat?

Dostrzegła elastyczne paski i plastikową przednią część współczesnej maski gazowej, którą przygniótł głaz. Podeszła bliżej; Jordan podążył za nią. Gdyby dotarła w to miejsce oficjalna wyprawa naukowa, Erin wiedziałaby o tym. Jeśli nie była oficjalna, jak zdołano zataić tak duże przedsięwzięcie w tak sławnym miejscu? Musiało się w tym czasie wiele dziać.

Na przykład mogła się toczyć wojna.

Zanim zdołali dokładnie obejrzeć znalezisko, zabręczowało radio Jordana. Erin usłyszała metaliczny głos Coopera:

— Komora zabezpieczona, sierżancie. Zasuwaszcie tu raz-dwa, bo w tym miejscu komuś porządnie odwaliło.

— Idziemy. — Jordan machnął ręką na Erin. — Trzymaj się blisko mnie.

Erin szła za nim, w myślach sporządzając listę czynności do wykonania: poszukać narzędzi za pomocą detektora metalu, zebrać drapakami materiał ze sklepienia i sprawdzić, jakiego oświetlenia używali robotnicy, wykonać gipsowe odciski ścian i zidentyfikować narzędzia wykorzystane do wykucia tunelu.

Heinrich był nieoceniony w takich sprawach. Potknęła się; Jordan złapał ją za ramię. Jego ręka była ciepła, uścisk krzepiący. Spojrzał z z troskaniem na towarzyszkę.

— Co tam?

Pokręciła głową i ruszyła za sierżantem.

Dziewięć metrów dalej znajdowało się wejście do podziemnej komory, którą zobaczyła dzięki kamerom zdalnie sterowanego robota. Starożytne, solidnie wykonane drzwi.

Wejście było zbyt wąskie, żeby zmieściło się w nim dwoje ludzi. Erin puściła Jordana przodem. Oceniała, że ma nieco więcej niż metr osiemdziesiąt wzrostu; wyciągnęła rękę i lekko dotknęła łuku. Potem przekroczyła próg.

Poczuła gęsią skórę na ramionach; powietrze było tam jeszcze chłodniejsze. Przyćmiony żółty blask trzech pałek świetlnych, które rzucono w różne miejsca, wydobył z mroku starannie obrobioną posadzkę, wysokie sklepienie ze smugami sadzy oraz pieczołowicie dopasowane kamienie tworzące ściany. Erin chętnie sfotografowałaby kurz pokrywający posadzkę; być może zachowały się w nim odciski stóp rabusiów, którzy otworzyli sarkofag. Jednak Jordan i jego ludzie już stratowali posadzkę, zamazując starożytne ślady swoimi.

Pozostali rozeszli się po komnacie i skupili po drugiej stronie sarkofagu naprzeciwko ściany. Musiało tam być coś bardzo ciekawego. Erin rozejrzała się po wnętrzu grobowca i podeszła do nich.

— Proszę niczego nie dotykać! — zawołała, spodziewając się, że ją zignorują.

Ominęła robota zwiadowczego i zbliżyła się do kamiennego sarkofagu. Tak jak myślała, został wykuty z jednej bryły; ścianki były płaskie i pieczołowicie obrobione, kąty idealne. Znowu ogarnął ją podziw dla zręczności starożytnych rzemieślników. Może i posługiwali się prymitywnymi narzędziami, lecz efekt pracy z pewnością nie był prymitywny. Zerknęła na wypolerowane wieko spoczywające na posadzce w jednym kawałku obok sarkofagu, który tak długo przykrywało. Zdziwiło ją, że pozostało nietknięte; rabusie grobowców zwykle tłukli kamienne płyty podczas ich ściągania.

Poszukała wzrokiem lin i bloków, których musieli użyć, lecz te także zostały zabrane. To również było nietypowe.

Zrobiła krok, ale jakaś ręką ją powstrzymała.

— Mówiłem, że masz się trzymać blisko mnie! — upomniał ją Jordan.

Razem podeszli do sarkofagu. Gdy znalazła się wystarczająco blisko, by móc zrobić zdjęcia, wyjęła jedyne narzędzie, jakie ze sobą miała: telefon komórkowy. Sfotografowała boki sarkofagu oraz stosiki popiołu obok narożników; żałowała, że aparat fotograficzny został w Cezarei.

Odważyła się zajrzeć do wnętrza grobu. Nie było tam nic oprócz nagiego kamienia przebarwionego na ciemny burgundowy kolor. Zasznięta krew nabiera brązowej barwy, większość żywic czernieje.

Erin sfotografowała także puste gliniane dzbany rozstawione we wnętrzu grobowca. Musiano przynieść w nich jakiś płyn. Zwykle używano ich do przechowywania wina, ale po co ktoś miałby napełniać nim sarkofag?

Wyprostowała się i zobaczyła, że Jordan, który stał przy dalszej ścianie, się odwraca. Nawet przy tak słabym oświetleniu widziała, że jest wstrząśnięty.

— Potrafisz wyjaśnić to, co tutaj widzimy?

Mężczyźni się rozstąpili.

Na ścianie wisiała makabryczna rzeźba kojarząca się z bluźnierczym ukrzyżowaniem. Erin obeszła narożnik sarkofagu. Ogarniała ją coraz większa groza.

To, co znajdowało się na ścianie, nie było rzeźbą.

Były to rozłożone zwłoki małej, może ośmioletniej dziewczynki ubranej w podartą i poplamioną sukienkę. Wisiały przyszpilone poczerniałymi ćwiekami około metra nad posadzką. Przebiły jej klatkę piersiową, szyję, ramię i udo.

— Wstrzeliwane sworznie — oznajmił Jordan. — Wyglądają, jakby zrobiono je ze srebra.

Erin stała przed wiszącym ciałem dziecka, odnotowując kolejne anachronizmy. Ubranko dziewczynki miało kolor burgundowy i wyglądało na starożytne; wskazywały na to zarówno krój, jak i stopień rozkładu. Sposób zdobienia i wzór tkaniny pochodziły z tego samego okresu, w którym upadła twierdza Masada. Prawdopodobnie tkaninę wykonano w Samarii, może w Judei, lecz miała co najmniej dwa tysiące lat.

Zapadnięte policzki okalały długie ciemne włosy. Oczy były zamknięte, podbródek spoczywał na szczupłej piersi; usta dziewczynka miała lekko rozwarte, jakby umarła w połowie oddechu. Nawet drobne rzęsy się zachowały. Sądząc po ilości tkanki, która wciąż trzymała się kości, można było pomyśleć, że dziewczynka nie żyła od kilkadziesiątu lat.

Czy to możliwe?

Jakiś pokruszony przedmiot spoczywał pod jej stopami. Erin uklękła obok niego.

Lalka...

Serce Erin ścisnęło się z bólu. Małeńka zabawka, zrobiona z twardych kawałków skóry zszytych skrawkami tkaniny, miała ten sam burgundowy kolor, co sukienka dziewczynki. Bezwładne ramię zdawało się daremnie po nią sięgać.

Widok porzuconej lalki głęboko poruszył Erin, która pamiętała podobną, także ręcznie robioną. Pochowała ją ze zmarłą siostrzyczką. Przełknęła ślinę, walcząc ze łzami; poczuła się głupio. Myśl o śmierci Heinricha wciąż nie dawała jej spokoju; teraz musiała wziąć się w garść w obecności żołnierzy.

Spojrzała na drugą rękę dziewczynki na wpół ukrytą za tułowiem. Coś błyszczało pomiędzy podkurczonymi palcami.

Dziwne.

Oparła dłoń na ścianie i poczuła twardą zaprawę wystającą pomiędzy cegieł. Dziewczynka padła ofiarą niedawnego mordu, a nie dokonanego w starożytności, jednak Erin traktowała zwłoki z szacunkiem. To dziecko było kiedyś darzone miłością.

Dotknęła dłonią ręki, która zadrżała, a następnie gwałtownie się poruszyła. Zmumifikowane ciało zatrzęśło się, jak gdyby wciąż żyło.

Erin otworzyła usta i upadła na plecy.

Czyjaś ręka przyszła jej z pomocą.

— Wstrząs wtórny — stwierdził Jordan.

Z kamiennego sklepienia posypał się kurz, jakaś cegła spadła na posadzkę. Erin wstrzymała oddech, czekając, aż ziemia znieruchomieje.

— Jest coraz gorzej — oznajmił sierżant. — Nic tu po nas, wynośmy się.

Erin nie pozwoliła się odciągnąć. To było teraz stanowisko archeologiczne, które należało zbadać. Zbliżyła się do ściany i ponownie dotknęła ręki dziewczynki.

Jordan zauważył, że coś przykuło jej uwagę, i uklęknął obok.

— Co to takiego?

— Dziecko przed śmiercią wzięło coś do ręki.

Zasady postępowania archeologów nakazują, żeby nie dotykać niczego, zanim nie zostanie to sfotografowane; jednak ta dziewczynka została zabita niedawno, toteż Erin postanowiła je pominąć.

Rozchyliła palce martwego dziecka. Myślała, że się rozpadną, one jednak okazały się nad podziw elastyczne. Zdziwiona, nie zdołała złapać spadającego przedmiotu, a ten spoczął na zakurzonej posadzce.

Rozpoznałaby go, nawet gdyby nie miała doktoratu z archeologii.

Jordan zaklął pod nosem.



Ze zdumieniem wpatrywała się w medal, żelazny krzyż i swastykę.

Niemiecka odznaka z okresu drugiej wojny światowej.

Oto sygnatura rabusiów, którzy przebili się do tej komnaty za pomocą nowoczesnych narzędzi. Ale dlaczego medal znalazł się w zmumifikowanych palcach dziewczynki spoczywającej w starożytnym żydowskim grobowcu?

Jordan zacisnął pięść.

— Naziści dotarli tu pierwsi, wdarli się do środka i spustoszyli to miejsce.

Jego słowa niewiele wyjaśniały. Hitler miał obsesję na punkcie okultyzmu, lecz co spodziewał się znaleźć tu, w Masadzie?

Erin przyjrzała się dokładnie ubraniu dziewczynki. Dlaczego naziści zadali sobie tyle trudu, ubierając dziecko w kopię stroju z pierwszego tysiąclecia, a następnie przybili je kołkami do ściany?

Wyobraziła sobie, jak dziewczynka zrywa medal z munduru jednego ze swych dręczycieli, kradnąc dowód wskazujący na tożsamość zabójców. Erin znów ogarnęło współczucie dla niej i podziw dla odwagi, którą wykazała w ostatniej chwili życia. Łzy ponownie stanęły jej w oczach.

— Wszystko dobrze? — spytał Jordan. Był tak blisko, że zauważyła nikłą bliznę na jego brodzie.

Aby ukryć łyzy, uniosła telefon i zrobiła kilka zdjęć odznaki. Dziewczynka zadała sobie wiele trudu, żeby ukryć w dłoni ślad po swoich zabójcach. Erin chciała to udokumentować.

Kiedy przestała fotografować, Jordan podniósł medal i go odwrócił.

— Może dowiemy się, kto to zrobił. Oficerowie SS często grawerowali swoje nazwiska na odwrocie medali. Chcę poznać nazwisko tego łotra. A gdyby się okazało, że wciąż jest wśród żywych...

W tej chwili Erin polubiła go jeszcze bardziej. Klęcząc obok siebie, oglądali metalowy krążek. Na odwrocie nie było nazwiska, tylko dziwny symbol.



Erin sfotografowała medal leżący na dłoni Jordana, a następnie odczytała na głos napis umieszczony na jego obrzeżu:

— *Deutsches Ahnenerbe.*

— To by pasowało — mruknął posepnie sierżant.

Spojrzała na niego pytająco. Współczesna historia Niemiec nie była jej specjalnością.

— Jak to?

Jordan obrócił medal w palcach.

— Mój dziadek walczył w drugiej wojnie światowej, opowiadał mi o tym. To jeden z powodów, dla których wstąpiłem do wojska. Trochę interesuję się historią. *Deutsches Ahnenerbe* to była tajna sekta nazistowskich naukowców interesujących się okultyzmem, którzy podróżowali po świecie w poszukiwaniu zaginionych skarbów i dowodów na starożytność rasy aryjskiej. Taka Himmlerowska banda rabusiów grobowców.

Właśnie oni dotarli pierwsi do sarkofagu; Erin ogarnęło nieprzyjemne poczucie klęski. Przywykła do badania okradzionych krypt, lecz zwykle rabusie dokonywali swojego dzieła w starożytności. Rozgniewało ją, że ten grobowiec padł ich łupem zaledwie kilkadziesiąt lat temu.

Dotknęła palcem centralnego symbolu umieszczonego na medalu.

— To nie jest znak, którego zwykle używali. Symbolem Ahnenerbe był miecz opleciony wstążką. Tutaj mamy coś nowego.

— Przypomina nordycki run z późnej epoki futhark. Być może związany z kultem odala.

Nakreśliła go palcem na zakurzonej posadzce.



— Ten run oznacza literę „O”. — Spojrzała na Jordana. — Czy to może być inicjał właściciela medalu?

Zanim padła odpowiedź, McKay warknął:

— Nie ruszaj się! Ręce do góry!

Przestraszona Erin się odwróciła.

Jordan błyskawicznie zdjął z ramienia pistolet maszynowy i skierował go na wejście grobowca. Ziemia zatrzęsała się

ponownie i z mroku wyłoniła się ciemna postać.

26 października, 17.04

Masada, Izrael

— Nie strzelać! — krzyknął Jordan, unosząc rękę. — To *padre*.
Opuścił pistolet maszynowy i podszedł do duchownego. Dziwne było już to, że ksiądz zszedł do rozpadliny, lecz Jordan zauważył coś jeszcze bardziej niepokojącego.

Przybysz nie miał na sobie sprzętu do schodzenia po linie.

— Co ksiądz tutaj robi? — zapytał.

Oczy duchownego spoglądały na niego spod kaptura. Jordan także mu się przyglądał. Ojciec Korza był o pięć centymetrów wyższy od Jordana; rozpiął długi habit i dało się zauważyć, że jest szczuplejszy od sierżanta, lecz silnie umięśniony. Rysy twarzy wskazywały na słowiańskie pochodzenie i tylko pełne usta łagodziły ich ostrość. Czarne włosy opadały aż do koloratki i były nieco za długie jak na duchownego.

Jednak tym, co przyprawiło serce Jordana o niespokojne bicie, były przenikliwe i bardzo ciemne oczy księdza. Mimowolnie zacisnął palce na broni.

To tylko ksiądz, upomniał się w myślach.

Ojciec Korza patrzył na sierżanta jeszcze przez chwilę, a potem jego wzrok omiółł komorę.

— Zadałem księdzu pytanie.

— Kościół ma prawo pierwszeństwa do tego, co spoczywa w tej krypcie — odparł bezgłośnym szeptem. Jego słowa zabrzmiały dziwnie oficjalnie.

Ruszył, omijając sierżanta. Jordan chciał chwycić go za rękę, lecz złapał tylko powietrze. Ksiądz wykonał płynny unik i zmierzał do otwartego sarkofagu.

Jordan podążył za nim; widział, że wzrok kapłana utkwiony jest w dziecko przybite do ściany; jego twarz miała nieodgadniony wyraz. Zerknął do pustego sarkofagu i znieruchomiał niczym posąg.

Erin odsunęła się od ściany i podeszła do niego z telefonem w uniesionej ręce; najwyraźniej chciała złapać zasięg, żeby przesłać zrobione zdjęcia do kogoś, kto znajduje się w bezpiecznym miejscu. Postępowała jak przystało na naukowca.

Jordan stanął między nią a ojcem Korzą. Z jakiegoś powodu nie chciał, aby znalazła się obok dziwnego księdza.

— To teren wojskowy — ostrzegł.

Perlman przyszedł w sukurs sierżantowi; jego ręka także spoczywała na broni.

— Księdza tu wcale nie powinno być. Rząd Izraela ściśle określił zasady waszej wizyty.

Duchowny nie zwracał na nich uwagi i skupił się na Erin.

— Znalazła pani książkę? Albo kamienny blok tej wielkości?
— Pokazał rozmiar rękami.

Pokręciła głową.

— Nie. Znaleźliśmy tylko tę dziewczynkę. Niemcy musieli wszystko wynieść w czasie wojny.

Oczy księdza się zwęziły.

Kim jest ten człowiek?

Jordan położył rękę na kolbie pistoletu, czekając na jego następny ruch. Mrukliwy i szorstki ksiądz najwyraźniej nie potrafił uszanować hierarchii władzy, ale jak dotąd nie stanowił zagrożenia.

Kątem oka Jordan zauważył, że ręka McKaya przesuwana się w kierunku sztyletu.

— Spokojnie, kapralu — powiedział. — Nie trzeba.

Ksiądz zignorował McKaya, lecz nagle jego ciało napięło się i zamarło w bezruchu. Nastawił uszu. Patrzył na Jordana, lecz

kierował swoje słowa do wszystkich.

— Musicie wszyscy stąd wyjść! Natychmiast!

W ostatnim słowie zabrzmiała nuta ostrzeżenia.

Co on plecie? — zachodził w głowę sierżant.

Odpowiedź nadeszła ze słuchawki, którą miał w uchu: był to nagły krzyk pełen bólu; ostry, przenikający aż do wnętrza czaszki.

Sanderson.

Coś się stało na wierzchołku góry.

Krzyk urwał się, w słuchawce pozostał jedynie szum.

Jordan włączył mikrofon.

— Sanderson! Odbiór!

Cisza.

— Kapralu, odezwijcie się!

Ksiądz szybko przemknął do wyjścia. Cooper i młody izraelski żołnierz zastąpili mu drogę. Wszyscy trzymali broń w pogotowiu.

Ojciec Korza uniósł twarz ku sklepieniu; sprężył się niczym kot przed skokiem. Słowa, które wypowiedział, były spokojne, lecz zarazem przerażające:

— Stańcie plecami do ścian. — Odwrócił się i spojrzał Jordanowi w oczy. — Zróbcie to albo wszyscy zginiecie.

Jordan uniósł pistolet.

— Grozisz nam, *padre*?

— Nie ja, lecz ci, którzy nadchodzą.

17.07

Erin usiłowała zrozumieć sens toczących się wydarzeń. Ksiądz patrzył jej w oczy. Przez chwilę na jego twarzy dostrzegła cień strachu i serce podeszło jej do gardła. Wyczuła, że duchowny lęka się o bezpieczeństwo innych, nie o własne. Kiedy odwrócił głowę, jego oczy zasnuł głęboki smutek, tak jakby już opłakiwał przygodnych towarzyszy.

Przełknęła ślinę i nagle zrobiło jej się sucho w ustach.

Jednak Jordan najwyraźniej nie zamierzał się tak łatwo poddawać.

— Co jest grane? Na górze są moi ludzie i porucznika Perlmana.

Twarz księdza wyrażała żalobę.

— Oni już nie żyją. Was też to czeka, jeśli...

Stojący przy wejściu Cooper nagle stęknął. Wszyscy odwrócili głowy w jego stronę. Otworzył usta, lecz popłynęła z nich tylko krew. Opadł na kolana, a potem na twarz. Z dolnej części jego czaszki sterczała czarna rękojeść sztyletu.

Erin wykrzyknęła jego nazwisko. Wszyscy żołnierze jak na komendę unieśli pistolety. Stała za nimi, usuwając się z linii ognia.

Za ciałem Coopera czaił się czarny kształt, jakaś postać uformowana z cieni. Jordan wypalił kilka razy z pistoletu; w zamkniętej przestrzeni odgłos wystrzałów był ogłuszający. Cień zakołysał się i uskoczył w mrok, lecz przedtem porwał młodego izraelskiego żołnierza stojącego obok progu. Erin dostrzegła błysk stali. Żołnierz został uniesiony w powietrze i zniknął w ciemnym otworze tunelu.

Jordan przerwał ogień, bojąc się, że trafi swojego.

Rozległ się okrzyk przerażenia, a potem nastąpiła cisza.

Porucznik Perlman rzucił się za uprowadzonym, trzymając broń gotową do strzału.

— Margolis!

Dłoń księdza w czarnej rękawiczce odepchnęła go mocno.

— Zostań tutaj! — rozkazał ojciec Korza, sam zaś zrobił coś przeciwnego.

Odwrócił nadgarstek i w jego palcach nie wiadomo skąd pojawiła się klinga. Zakrzywione ostrze sztyletu, połyskujące srebrzyście, przypominało szpon prehistorycznego gada.

Habit zawinął się w powietrzu. Ksiądz skoczył przez próg i zniknął.

Z ciemności momentalnie dobiegł jękliwy dziki krzyk.

Ten odgłos spotęgował lęk, który dławiał pierś Erin i nie pozwalał jej ruszyć się z miejsca.

Nawet zaprawieni w bojach żołnierze go odczuwali. Jordan odciągnął archeolożkę dalej od wejścia. McKay i Perlman stali obok nich z bronią wymierzoną w otwór tunelu. Wycofali się i ukryli za sarkofagiem.

Z tunelu dobiegł przenikliwy wrzask.

Jordan uniósł Erin bez wysiłku, jakby nic nie ważyła. A ona tak właśnie się czuła.

Postawił ją w otwartym sarkofagu.

— Kucnij i się nie wychylaj.

Jego głos był twardy niczym stal, oczy patrzyły bezlitośnie; osadziło ją to w miejscu, choć wcale nie miała ochoty tkwić w kamiennym grobowcu. Przycisnęła ją z góry.

— Rozumiesz?

— Tak.

Pragnęła się wyrwać, schować głowę i krzyczeć ze strachu, lecz nie zdołała wydobyć z siebie głosu, i to ją przeraziło jeszcze bardziej. Wczepiła się palcami w krawędź sarkofagu. Wpatrywała się, podobnie jak inni, w czarny niczym smoła otwór tunelu.

Usłyszała ostry trzask z lewej strony, zobaczyła błysk. McKay trzymał w dłoniach flarę.

— Rzuć ją! — powiedział Jordan, wskazując wyjście z krypty.

McKay zamachnął się i cisnął racę. Potoczyła się, podskakując i zostawiając ognisty ślad, po czym zniknęła w otchłani. Pojawiły się cienie i ciemne kształty. Erin zdążyła naliczyć cztery.

Między nimi stała postać w postrzępionej sutannie. Ksiądz osłonił oczy przed nagłym blaskiem. W drugiej dłoni trzymał zakrzywiony sztylet; jego klinga ociekała czarną krwią, która połyskiwała w refleksach światła.

— Ojcze, padnij! — ryknął Jordan, unosząc broń.

Ostrzeżenie przyszło za późno.

Cienie rzuciły się na księdza niczym wściekłe psy i powaliły go na ziemię. Upadł na flarę, gasząc ją swoim ciałem. Erin się

skrzywiła. Scenę pochłonęła ciemność, lecz zanim to się stało, jakaś postać przeskoczyła nad księdzem i wtargnęła do komory.

Wylądowała daleko na kamiennej posadzce, a potem rzuciła się w stronę ludzi. Poruszała się niewiarygodnie szybko. Czyżby wilk? Nie, to był mężczyzna w pomarszczonej brązowej skórze. Szeroko rozłożył muskularne ręce, w jednej trzymał rzeźnicki hak.

Jordan przyklęknął na jedno kolano i otworzył ogień, trafiając wroga prosto w pierś. Grad pocisków rzucił go o sklepienie. Opadł na posadzkę i znieruchomiał.

Do komory wtoczyło się kłębowisko cieni. Ksiądz zmagał się z dwiema czarnymi postaciami, trzecia przemknęła obok.

Biegła szybko, pochylona, kierując się na porucznika Perlmana. Uderzyli o ścianę obok ukrzyżowanej dziewczynki i zniknęli z pola widzenia. Zaterkotał pistolet Izraelczyka, pociski trafiły w sklepienie, wzbijając iskry. Erin przywarła do dna kamiennego sarkofagu.

Jakiś cień pojawił się nad nią. Dostrzegła błysk wielu zębów i ze zgrozą zdała sobie sprawę, że nie ma pistoletu ani noża. Skrzyżowała ramiona przed twarzą i czekała, wiedząc, że lada chwila kły wbiją się w jej skórę.

Tak jednak się nie stało. Pociski przeszły tułów wroga, a ten runął na nią całym ciężarem. Wydobyła się spod niego, jej dzinsy przesiąkły krwią. Zaciśnęła zęby i poszukała broni. Nie miał pistoletu, lecz egipski *chopesz* z długą zakrzywioną klingą. Widywała je na malowidłach i wśród hieroglifów, lecz w walce nie używano ich od siedmiuset lat.

McKay wyrzwał zza krawędzi sarkofagu.

— Żyjesz?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, kapral zniknął, uderzony z boku. Erin uklęknęła na kolanach, trzymając sztylet w dłoni.

McKay przeleciał przez komnatę i runął na ścianę. Jego czaszka pękła. Osunął się na posadzkę, na ścianie została smuga krwi.

Jakaś ciemna postać spadła na niego z góry i rzuciła się do jego gardła.

17.08

Jordan leżał unieruchomiony pod napastnikiem, który był silniejszy od wszystkich, z którymi dotąd walczył, a do tego niewiarygodnie szybki. Zdołał już pozbawić sierżanta broni.

Ten przekreślił się i wyciągnął rękę ku kostce, przy której tkwił sztylet. Wyciągnął go z pochwy i w tej samej chwili spadły na niego kościste ręce. Jedna chwyciła go za gardło, a druga przygwoździła rękę do kamiennej posadzki.

Paznokcie wbiły się głęboko w skórę.

Jordan zdołał uwolnić dłoń i wbił sztylet w gardło wroga aż po rękojeść. Szarpnął, gdy ostrze natrafiło na kość.

Krew trysnęła na jego ramię.

Ciało mężczyzny zwiotczało, Jordan zrzucił je z siebie, przetoczył się i ukucnął. Zobaczył Erin, która stała w sarkofagu z krótkim zakrzywionym sztyletem w dłoni. Chciała skoczyć na ratunek McKayowi, on jednak leżał na posadzce i nikt nie mógł mu już pomóc. Podobnie jak Perlmanowi, który miał rozerwane gardło.

Jordan strzelił zabójcy McKaya prosto w klatkę piersiową i tamten runął na ziemię. Naraz zauważył jakiś ruch i skierował wzrok na Erin.

Czaił się za nią jakiś cień.

Rzucił się w jej stronę, lecz czyjaś ręka pchnęła go w bok. Poczul się tak, jakby porwała go pędząca ciężarówka. Stracił równowagę i wpadł na ścianę.

Ze zdumieniem patrzył, jak ksiądz przemyka obok niego, przewraca Erin i atakuje napastnika. Trafił go w zakrwawioną klatkę piersiową i rzucił na ścianę. Tamten runął na zmumifikowane zwłoki dziewczynki przytwierdzone do ściany. Suche kości pękły pod naporem ciała.

Korza odskoczył.

Jego przeciwnik zawisł nad ziemią, wijąc się i podrygując. Końcówki bolców przebiły jego ciało. Jeden sterczał z gardła, mężczyzna usiłował chwycić go dłońmi. Z rany płynęła bulgocząca krew.

Ksiądz jednym cięciem rozplątał mu gardło.

Jordan pozbierał się chwiejnie, przykucnął i się rozejrzał. Korza stał pod ścianą, jego ręce prężyły się pod postrzępioną sutanną.

Klinga sztyletu oraz palce ociekały krwią. Trudno było odgadnąć, czy jest to wyłącznie krew napastników, czy też część płynie z jego ran.

Jordan podszedł do Erin z pistoletem w dłoni. Nawet nie musiał sprawdzać, w jakim stanie są jego towarzysze. Znał oblicze śmierci. Przy życiu pozostali jedynie ksiądz, Erin i on.

Podejrzliwie obserwował kapłana, gdyż nie miał pewności, po czyjej jest stronie.

On zaś zwinął połę habitu, przyklęknął na jedno kolano i schylił głowę, jakby chciał się pomodlić. Nie to jednak było jego zamiarem. Szybkim ruchem podniósł coś z podłogi i schował pod sutannę.

Lalka dziewczynki zniknęła.

Nie zapytał Erin o zgodę, tylko po prostu ją zabrał. Jordan nie wiedział, co o tym sądzić.

— Erin? — rzekł, podchodząc do niej.

Odwróciła się błyskawicznie; w dłoni trzymała sztylet.

— To tylko ja — oznajmił, przesuwając pistolet w bok. Uniósł ręce.

Archeolożka patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami; po chwili opuściła broń. Wyjął sztylet z jej ręki i rzucił na posadzkę. Z pobladłą twarzą i rozbieganym wzrokiem osunęła się na ścianę sarkofagu. Dźwignął ją i usiadł, opierając się plecami o zimny kamień, a następnie posadził ją sobie na kolanach. Sprawdził, czy nie odniosła jakiegś rany. Nie znalazł żadnej.

Ksiądz zbliżył się do nich, a Jordan przesunął dłoń w kierunku broni. Opiekuńczym ramieniem otoczył Erin. Zamiary duchownego wciąż pozostawały dla niego zagadką.

— To już wszyscy — szepnął Korza takim tonem, jakby się modlił. — Ale nadal nie jesteśmy bezpieczni.

Jordan zmierzył go wzrokiem.

— Zamurują nas — oznajmił z taką pewnością, że Jordan mu uwierzył.

— Skąd ksiądz wie...?

— Bo sam bym tak zrobił. — Korza ruszył w kierunku drzwi.

Zmierzał ku unieruchomionemu na posadzce robotowi. Jedna kamera wciąż była skierowana na trójkę ocalonych, zielona kontrolka się świeciła. Ksiądz zmiażdżył stopą obiektyw. Odłamki metalu i szkła trzasnęły pod jego piętą i rozprysły się po posadzce.

Jordan przypomniał sobie krzyk Sandersona.

Byliśmy obserwowani, pomyślał.

26 października, 17.11

Masada, Izrael

Kiedy nad wierzchołkiem góry przebrzmiały ostatnie krzyki, Bathory schyliła się nad pociemniałym monitorem. Była wstrząśnięta; czuła się tak, jakby ugrzęzła między przeszłością a teraźniejszością.

Obserwowała starcie w krypcie; oddział, który tam wysłała, został zmasakrowany. Wszystko przebiegło błyskawicznie, wewnątrz było słabo oświetlone, a część walki odbyła się poza polem widzenia kamery.

Jednak zanim zapanował chaos, coś przykuło jej uwagę.

Żołnierz w hełmie stojący tyłem do kamery miał naprzeciw siebie ubraną w czerń postać. Bathory zauważyła jednak, że nosi ona na szyi białą koloratkę i spogląda na wewnątrz grobowca.

Widok wroga zmroził jej krew w żyłach.

Oto Rycerz Chrystusa, o którym była mowa w SMS-sie.

Sangwinista.

Stali naprzeciw siebie niczym dwa tryki w czasie rui. Być może żołnierz ułatwiłby Bathory zadanie, lecz rycerz ominął go i skierował wzrok na ścianę. Co tam dojrzał?

Bathory mogła jedynie żałować, że obiektyw kamery nie obejmuje tylnej części komory grobowej.

Ku jej zaskoczeniu z cienia wyłoniła się kobieta w cywilnym ubraniu. Poruszała aparatem telefonicznym jak ktoś, kto usiłuje złapać zasięg.

Rycerz odwrócił się do niej i wyciągnął rękę, pokazując obiekt wielkości książki.

Bathory zaczęła szybciej oddychać.

Kobieta pokręciła głową.

Rycerz powoli obszedł kryptę. Była pusta, znajdował się w niej tylko sarkofag. Nie było gdzie się ukryć. Schylił głowę, a Bathory odetchnęła.

A więc nie znaleźli księgi.

Albo nigdy jej tam nie było, albo została zrabowana.

Nagle rycerz uświadomił sobie obecność jej podwładnych i natychmiast zareagował. Powinien ulec, lecz nie doceniła jego umiejętności, a także wsparcia żołnierzy. W ciągu kilku sekund zlikwidował połowę jej oddziału.

Uświadomiła sobie, że rycerz, który znajduje się w głębi góry, nie jest nowicjuszem, tylko kimś znacznie godniejszym. I że jego rodowód nie ustępuje rodowodowi jej podwładnych.

Kiedy podszedł, aby zdruzgotać kamerę robota, przyjrzała się jego twarzy; zobaczyła brodę z wgłębieniem pośrodku, wydatne słowiańskie policzki i intensywnie ciemne oczy. Rozpoznawszy go, struchlała.

Jednak poczucie pustki, które ją sparaliżowało, nie mogło trwać długo.

W tej samej chwili przepełniły ją nienawiść i pragnienie zemsty gorące niczym płynna stal. Chciała stać się ich narzędziem.

Wreszcie się poruszyła, zacisnęła dłoń w pięść i dotknęła ciemnego ekranu monitora starożytnym sygnetem z rubinem. Cenny pierścień, tak jak wiele rzeczy, które miała, od dawien dawna związany był z jej rodem.

Rycerz także pochodził ze starożytnego rodu.

Rhun Korza.

To nazwisko trwożyło ją nie mniej niż czarna dłoń, którą nosiła na szyi, i sprawiało tyle samo bólu. Przez całe życie słuchała opowieści o tym, jak błąd popełniony przez Korzę wpędził jej dumny niegdyś ród w ubóstwo i hańbę na wiele

pokoleń. Dotknęła palcem krawędzi tatuażu, źródła nieustającego bólu. Jeszcze jeden dług krwi, który zawdzięczała rycerzowi.

Stanęła jej przed oczami tamta ceremonia. Klęczała przed Tym, któremu przyrzekła posłuszeństwo. Jego dłoń oplotła jej gardło, wypalając znamię w kształcie dłoni i palców. Znak jej poddaństwa.

Wszystko z powodu rycerza.

Widziała go w tysiącu snów i marzyła, że pewnego dnia znajdzie go żywego. Że zapłaci jej za czyny, które skazały pokolenia kobiet z jej rodu na życie w poświęceniu i męczarniach — stały się niewolnicami, których przeznaczeniem było szkolić się, służyć i czekać.

Świadomość ta przyszła wraz z inną bolesną prawdą.

Znów poczuła na gardle Jego dłoń wypalającą wspomnienie dawnego życia.

Pan Bathory musiał wiedzieć, że to Rhun Korza jest rycerzem posłanym do Masady po to, by odzyskać księgę. Jednak nie podzielił się z nią tym sekretem, tylko bez ostrzeżenia pchnął ją na spotkanie pradawnego wroga.

Dlaczego to uczynił?

Czy po to, by zabawić się w okrutny sposób, czy też miał w tym jakiś głębszy cel?

Gdyby wiedziała, że w krypcie czai się Korza, nikogo by tam nie wysłała. Poczekałaby, aż wyjdzie na powierzchnię z księgą lub z pustymi rękami, a potem zastrzeliłaby go na krawędzi rozpadliny niczym muchę.

Rzeź, której dokonał, przekonała ją, że jest zbyt niebezpieczny, by stawać z nim do bezpośredniego starcia. Nie było także sensu wysłać na dół ludzi, którzy jej pozostali.

Istniał jednak inny, odpowiedniejszy sposób.

Kipiący w niej gniew wskazał nowy cel.

Zanim obraz pociemniał, dostrzegła zwłoki jednego ze swoich ludzi leżące nieopodal wejścia do grobowca; na jego ramieniu

spoczywała sakwa. Druga, identyczna, leżała obok krawędzi szczeliny.

Bathory odwróciła się do dwóch myśliwych czekających na rozkaz.

Tarek ogolił głowę tak jak wielu innych i pokrył ciało czarnymi tatuażami; wersety Biblii kazał zapisać po łacinie. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu i był potężnie umięśniony; jego odzież stanowiła skóra pozszywana ludzkimi ścięgnami. W wargach i nosie miał stalowe kolczyki. Ze zwężonych czarnych oczu ział gniew na zabójcę jego towarzyszy. Pałał żądzą zemsty i chciał ją zadać własnymi rękami.

— Rycerz jest zbyt niebezpieczny, zwłaszcza jeśli przyprze się go do muru — ostrzegła. — Zbyt wielu ludzi już straciliśmy.

Tarek nie mógł się z nią spierać. Oboje widzieli na ekranie rzeź, do której doszło w grobowcu. Istniała jednak jeszcze jedna możliwość. Nie tak satysfakcjonująca, lecz skuteczna.

— Wysadź rozpadlinę! — Wskazała sakwę. — Zabij wszystkich!

Zamierzała pogrzebać rycerza i jego towarzyszy pod zwałami gruzu. Ukryte w głębi ziemi sekrety znów spoczną pod tonami skał. A jeśli Korza przeżyje eksplozję, czeka go powolna śmierć w kamiennej pułapce.

Przez chwilę zdawało się, że Tarek nie posłucha rozkazu. Kipiał ze wściekłości. Wtedy spojrział na szyję Bathory i na tatuaż. Znał jego znaczenie lepiej niż inni.

Odmawiając jej posłuszeństwa, rzuciłby wyzwanie Jemu.

Skłonił głowę tak, jakby zginał żelazną sztabę, a potem odwrócił się i zniknął w mroku.

Zamknęła oczy, aby się skupić. Jej uwagę zwrócił cichy jęk; przypomniał, że ma jeszcze coś do zrobienia.

Na piasku klęczał piegowaty kapral Sanderson, jedyny, który przeżył masakrę na szczycie góry. Był rozebrany do pasa, skóra jego głowy została głęboko poorana pazurami jedyne go myśliwego, który pozostał u boku Bathory. Był nim Rafik, brat

Tareka. Szczupły, kościsty i zajadły, stanowił użyteczne narzędzie w trudnych chwilach.

Podeszła bliżej, wzrok żołnierza śledził jej ruchy.

— Mam kilka pytań — oznajmiła łagodnym tonem.

Patrzył na nią, drżąc i pocąc się. Był bardzo młody, z jego oczu wyzierała straszliwa trwoga. Bathory miała kiedyś brata bardzo podobnego do niego. Uwielbiał róże i mrożone wino, lecz po przyjęciu przez nią znaku nie mogła się z nim kontaktować. Musiała przeciąć wszelkie ogniwa łączące ją z przeszłością i związać się tylko z Nim.

Jeszcze jedna strata, i winą za nią obarczała Korzę.

Przesunęła wierzchem dłoni po gładkim policzku kaprała. Był jeszcze za młody na to, aby skóra pokryła się prawdziwym zarostem. Bał się, lecz w jego wzroku dojrzała iskierkę oporu.

Westchnęła.

Nie było dla niego żadnej nadziei.

Wyprostowała się i uniosła rękę, wyrażając swoją wolę.

Do mnie.

Hunor i Magor — nadała im takie imiona na cześć dwóch legendarnych węgierskich bohaterów — były bardzo związane ze swoją panią i nigdy się od niej nie oddalały. Usłyszała, że przerwały posiłek i wychynęły z mroku za jej plecami. Wysunęła dłoń i poczuła dotknięcia ciepłego jęzora i włochatego pyska. Rozległ się niski pomruk przypominający odgłos burzy za horyzontem.

Opuściła rękę, po której ściekała teraz krew.

— Wciąż są głodne — powiedziała. Była to prawda, docierało do niej echo ich nienasycenia.

Oczy żołnierza rozszerzyły się niemal niewyobrażalnie. Strach na widok tego, co ujrzał, zdławił wszelki opór.

Nachyliła się tak, że prawie poczuła jego gorący oddech i lęk. Zbliżyła usta do jego ucha.

— Powiedz, kim jest ta kobieta. — Zaczęła od prostego pytania.

Zanim zdążył odpowiedzieć, ciemność nocy za plecami Bathory eksplodowała. Wierzchołek Masady buchnął blaskiem, grzmotem i gorącem. Skała zatrzęsa się, zrobiło się jasno jak w dzień. Z przepaści wystrzeliły dym i pył. To, co Bóg otworzył zaledwie kilka godzin temu, zamknęło się. Bathory postanowiła wysadzić górę, żeby zatrzeć ślady swojej bytności.

Eksplozja przyniosła jej ukojenie.

Spojrzała na kaprała.

Wciąż chciała usłyszeć odpowiedzi na swoje pytania.

26 października, 17.14

Masada, Izrael

Fala powietrza gorąca niczym oddech smoka sparzyła plecy Rhuna. Wyobraził sobie nawałnicę płomieni przetaczającą się nad zamkniętym sarkofagiem. Jednak najgorszy był grzmot. Ksiądz obawiał się, że zdruzgocze mu czaszkę, że z jego uszu tryśnie krew i zbecześci to święte niegdyś miejsce.

Do komnaty posypał się grad kamieni. Pierwszy wybuch zamknął rozpadlinę, lecz drugi groził zniszczeniem ukrytego w głębi góry grobowca.

A także uwięzieniem pozostałej przy życiu trójki.

Wściekły ognisty podmuch rozplynął się i słychać było dudniący jęk. Mnich przywarł całym ciałem do kamiennej ściany grobowca. Jakże to słuszne, że zginie w sarkofagu, skoro sam zamurował kiedyś tu inną ludzką istotę. Właściwie niemal tego pragnął. Jednak kobieta i żołnierz nie zasłużyli na taki los.

Po pierwszym wybuchu wrzucił ich do sarkofagu. Wiedząc, że starożytny kamienny grobowiec stanowi jedyną kryjówkę, przykrył go płytą. Musiał wyteńczyć wszystkie siły, żołnierz pomógł mu tylko odrobinę. Jeśli przeżyją, będzie musiał wytłumaczyć, skąd ma taką moc; nie wiedział, jak się z tym upora. Kodeks, którym się kierował, nakazywał, aby pozwolił ludziom umrzeć, byleby tylko nie zdołali zadać mu takiego pytania.

Ale on nie potrafił skazać ich na śmierć.

Siedzieli więc skuleni w smolistej ciemności. Usiłował się modlić, lecz udaremniały to jego zmysły. Wyczuwał zapach wina

wypełniającego niegdyś kamienną skrzynię oraz metaliczny odór krwi, którą przesiąkła jego odzież. A także swąd zużytych materiałów wybuchowych przypominający woń zwęglonego papieru i kredy.

Jednak żaden z tych zapachów nie zdołał stłumić zwykłego aromatu lawendy, który wydzielały włosy kobiety.

Czuł na swojej piersi uderzenia jej serca szybkie niczym bicie serca skowronka. I ciepło jej drżącego ciała na swoim brzuchu i nogach. Nie był tak blisko kobiety od chwili, gdy rozstał się z Elisabetą. Za szczęśliwe, choć mało istotne zrządzenie losu należało uznać to, że Erin była do niego odwrócona tyłem; jej twarz spoczywała na piersi żołnierza.

Liczył przyspieszone uderzenia serca i w tym rytmie odnalazł spokój, żeby się pomodlić. Wreszcie w jego umyśle zapanowała cisza, podobnie jak na zewnątrz małego kamiennego grobowca.

Kobieta drgnęła, lecz on dotknął jej ramienia, dając znak, by pozostała na miejscu. Musieli poczekać dłużej; Korza chciał mieć pewność, że góra przestała się zapadać. Dopiero wtedy przesunie kamienne wieko. Być może się okaże, że przysypało ich więcej kamieni, niż nawet on zdoła poruszyć.

Oddech archeolożki zwolnił, jej serce biło miarowo. Żołnierz także się uspokoił.

Rhun wparł się kolanami w kamienną posadzkę sarkofagu i pchnął ramionami wieko. Zachrobotało na krawędziach. Pchnął ponownie. Ogromny ciężar przesunął się o długość dłoni, a potem jeszcze trochę.

W końcu wieko przechyliło się i runęło na posadzkę. Byli wolni, choć mnich obawiał się, że jedynie zamienili małą celę na większą. Na szczęście podziemna świątynia się nie zawaliła. Ci, którzy wykuli tajemną komnatę, wzmocnili jej ściany tak, żeby przetrwały potężny napór góry.

Rhun wstał i pomógł towarzyszom wydostać się z sarkofagu. Jedna pałka świetlna wciąż się tliła, łagodnie oświetlając komnatę. Mrużąc oczy przed piekącym pyłem, mnich spoglądał w kierunku wejścia do grobowca.

Ono jednak przestało istnieć.

Zwały ziemi i gruzu wypełniały je od posadzki do sklepienia.

Żołnierz i archeolożka kasłali, zasłaniając usta skrawkami ubrań; powietrze wypełniał gryzący pył i dym. Długo nie przeżyją.

Sierżant włączył latarkę i skierował snop światła na wejście. Spojrzał w oczy Rhuna i się cofnął. Jego twarz wyrażała obawę i podejrzliwość.

Kobieta drugą latarką oświetliła wnętrze zrujnowanej komory grobowej. Wszystko przysypała warstwa kurzu, odbierając grozę widokowi zabitych; zwłoki wyglądały pod nią jak upudrowane posągi.

Nic jednak nie zasłaniało popękanych fragmentów ciężkiego wieka sarkofagu. Plama światła z latarki skierowała się właśnie tam. Drobinki kurzu unoszące się w powietrzu nie mogły ukryć prawdy: uniesienie płyty piaskowca, a następnie jej zrzućenie przekraczało możliwości człowieka.

Żołnierz zdawał się nie zwracać na to uwagi. Spoglądał na zatarasowane wejście jak na nierozwiązywalną zagadkę.

Kobieta oświetliła Rhuna i skierowała na niego łagodne spojrzenie.

— Dziękuję, ojcie.

Wychwycił ton skrępowania w jej głosie, gdy wymawiała to drugie słowo. Poczł się nieswojo: kobieta nie była wierząca.

— Mam na imię Rhun — szepnął. — Jestem Rhun Korza.

Od bardzo dawna nie wyjawil nikomu swojego pełnego nazwiska, lecz jeśli przyjdzie im razem zginąć, jego towarzysze powinni je znać.

— Ja jestem Erin, a to Jordan. W jaki sposób...

Sierżant przerwał jej zimnym głosem, pod którym czaił się gniew:

— Kim oni byli?

Z wyrazu jego twarzy i głosu Rhun wyczytał, że chce zadać inne pytanie.

Czym byli ci, którzy ich napadli?

Ojciec Korza się zamyślił. Kościół zabraniał ujawniania prawdy, swojego najtajniejszego sekretu. Mogło to wyrządzić duże szkody.

Jednak mężczyzna był wojownikiem tak jak Rhun. Nie ustąpił pola, stawił czoło ciemności i zapłacił krwią za to, żeby usłyszeć odpowiedź na swoje pytanie.

Poświęcenie należało uszanować. Rhun spojrzał obojgu w oczy i wypowiedział imię wrogów:

— To byli *strigoi*.

Słowa zawisły w ciemności niczym pył; raczej ukrywały prawdę, niż ją odsłaniały. Zdezorientowany mężczyzna przechylił głowę. Kobieta przyglądała się księdzu; w jej spojrzeniu było więcej ciekawości niż gniewu. Żołnierz gotów był winić kapłana za śmierć towarzyszy, lecz ona tak nie uważała.

— Co to znaczy?

Sierżant domagał się wyjaśnienia sytuacji i nic nie wskazywało, by nawet później zamierzał wyzbyć się podejrzliwości wobec duchownego.

Rhun podniósł kamień leżący na jednym z ciał i otarł kurz z twarzy zabitego. Kobieta zaświeciła latarką na dłonie księdza, a ten odwrócił ku nim twarz martwego napastnika. Dłonią w rękawicy pociągnął w dół zimne wargi, odsłaniając pradawną tajemnicę.

W blasku latarki zaśniły długie białe kły.

Ręka żołnierza przesunęła się ku kolbie pistoletu. Kobieta raptownie wciągnęła powietrze i uniosła dłoń do gardła. Pierwotny odruch obronny. Nie zamarła jednak w bezruchu, tylko opuściła dłoń i uklękła obok Rhuna. Mężczyzna stał w tym samym miejscu, czujny i gotowy do walki.

Rhun spodziewał się tego, lecz zachowanie kobiety zaskoczyło go, choć tak wiele już w życiu widział. Palcami — które w pierwszej chwili drżały, lecz po chwili ich drżenie ustało — dotknęła długich ostrych kłów. Tak jak święty Tomasz, który musiał dotknąć ran Chrystusa, żeby uwierzyć, potrzebowała

dowodu. Wyraźnie lękała się prawdy, lecz się przed nią nie uchylała.

Spojrzała na Rhuna z charakterystycznym sceptycyzmem współczesnego uczonego. I czekała.

On zaś milczał. Chciała poznać prawdę, więc ją wyjawiał. Nie mógł jednak przekazać archeolożce woli potrzebnej do tego, żeby uwierzyła.

Skinieniem ręki wskazała zwłoki.

— To mogą być nakładki przedłużające zęby...

Nawet w takiej chwili nie chciała dać wiary, szukała pocieszenia w racjonalnym wyjaśnieniu, tak jak wielu przed nią. Jednak w odróżnieniu od tamtych nie czekała na potwierdzenie lub pociechę, tylko nachyliła się nad trupem i podciągnęła górną wargę.

Spodziewał się, że jej oczy rozszerzą się ze strachu. Ona zaś ściągnęła brwi i — zaintrygowana — dokonywała oględzin.

Mnich, zaskoczony po raz drugi, obserwował ją. Jego oczy wyrażały fascynację.

17.21

Erin klęczała obok martwego ciała napastnika i usiłowała pojąć, co ma przed sobą. Musiała zrozumieć, nadać jakiś sens rzezi, która rozegrała się na jej oczach.

W myślach gorączkowo dokonywała przeglądu kultur, których członkowie zastrzali sobie zęby. Na pustyni w Sudanie młodzi mężczyźni ścierali sobie siekacze, aż stawały się ostre jak szpikulce; przygotowywali się w ten sposób do obrzędu inicjacyjnego. U starożytnych Majów spiłowane zęby stanowiły oznakę przynależności do szlacheckiego rodu. Na Bali szlifowanie zębów wciąż jest elementem rytuału oznaczającego przejście od zwierzęcości do stanu ludzkiego. Takie same praktyki występowały na wszystkich bez wyjątku kontynentach.

Jednak to, z czym w tej chwili miała do czynienia, wykraczało poza granice jej wiedzy.

Bardzo chciała uwierzyć, że zęby zabitego zaostrzone zostały jakimś narzędziem, lecz nie było to możliwe.

— Powiedz mi, co o tym sądzisz — odezwał się Jordan, który stał tuż obok Erin; jego napięty głos zabrzmiał donośnie w małym pomieszczeniu.

Starala się kontrolować głos, nadać mu beznamiętny ton. Jeśli straci panowanie nad sobą, być może nigdy już go nie odzyska.

— To są psie kły silnie zakorzenione w górnej szczęce. Dotknij i się przekonaj. Zębodoły, w których tkwią podstawy zębów, mają wyraźne pogrubienia.

Jordan przeszedł przez kupkę gruzu i stanął między nią a księdzem. Jego dłoń spoczęła na pistolecie.

— Wierzę ci na słowo.

Posłała mu pokrzepiający uśmiech. Chyba jej się nie udało, gdyż wyraz jego twarzy pozostał surowy.

— O czym to świadczy?

Odchyliła się, wciąż kucając. Woląca odsunąć się od zębów, których przed chwilą dotykała.

— Tak silne korzenie kłów to pospolita cecha drapieżników.

Ojciec Korza cofnął się o krok. Lufa pistoletu Jordana przesunęła się lekko w jego stronę.

— Jordanie? — powiedziała Erin, wstając.

— Słucham. — Sierżant śledził mnicha wzrokiem, jakby spodziewał się, że tamten się wtrąci. Jednak duchowny stał nieruchomo. — Czy to nie brzmi ciekawie, *padre*?

Erin uważnie oglądała przysypaną brązowym kurzem twarz zabitego. Wyglądała zwyczajnie, jak każda ludzka twarz.

— Szczeka lwa wywiera nacisk sześciuset funtów na cal kwadratowy. Aby to było możliwe, kość zębodołów, z których wyrastają kły, musi być gęstsza i twardsza. Tak jak ta.

— Chcesz powiedzieć, że te kły to nie najnowszy krzyk odlotowej mody? — zrekapitulował Jordan, chrząkając. — Są naturalne?

Erin westchnęła.

— Nie potrafię podać innego wytłumaczenia, które pasowałoby do tego, co zobaczyłam.

W słabym blasku latarki widziała, że Jordan jest wstrząśnięty, a w jego oczach dostrzegła lęk. Ona także go czuła i nie mogła pozwolić, by ją sparaliżował. Odwróciła się do milczącego Rhuna.

— Nazwał ich ksiądz *strigoj*?

Twarz duchownego skryła się za zasłoną tajemniczości.

— Ciążąca na nich klątwa nosi wiele imion. *Vrykolakas*, *asema*, *dhakhanavar*. Są plagą znaną kiedyś we wszystkich zakątkach świata. Obecnie nazywamy ich wampirami.

Erin usiadła. Czy wspomnienie tego okropieństwa leżało u źródeł rytualnego piłowania zębów? Czyżby było to naśladownictwo rzeczywistej potworności, zapomnianej we współczesnym świecie? Zapomnianej, lecz nie zaginionej. Po jej plecach przebiegł lodowaty dreszcz.

— A ksiądz ich zwalcza? — spytał z niedowierzaniem Jordan.

— Tak — potwierdził spokojnie kapłan.

— Kim więc jesteś, *padre*? — Jordan rozstawił szerzej nogi, jakby spodziewał się konfrontacji. — Kimś w rodzaju watykańskiego komandosa?

— Nie użyłbym takiego określenia. — Ojciec Korza splótł dłonie skryte pod rękawicami. — Jestem tylko księdzem, pokornym sługą Boga. Jednak ja i niektórzy z moich braci zostaliśmy przeszkoleni do walki z tą plagą. Właśnie w taki sposób służymy świętej Stolicy Apostolskiej.

Erin chciała mu zadać tysiąc pytań, lecz jedno było najbardziej palące ze wszystkich. Nurtowało ją od chwili, gdy ksiądz wszedł do grobowca i wyrzekł pierwsze słowa.

Kościół ma prawo pierwszeństwa do tego, co spoczywa w tej krypcie.

Nagle ucieszyła się, że między nią a kapłanem stoi żołnierz. Spoglądała na splamioną krwią postać duchownego.

— Zapytał ojciec o księgę, która mogła być ukryta w tej komorze. Czy właśnie z jej powodu padliśmy ofiarą ataku? Czy

dlatego zostaliśmy tutaj uwięzieni?

Twarz mnicha stała się jeszcze bardziej nieprzenikniona. Skierował wzrok na kamienne sklepienie, jakby tam szukał wskazówek.

— Góra wciąż się porusza.

— Co...

Gdzieś z oddali dobiegł odległy jęk, a po nim rozległ się huk kruszonych skał. Jordan nie zdołał dokończyć pytania. Podłóżę zatrzęśło się — najpierw słabo, a potem mocniej.

Erin zachwiała się i wpadła od tyłu na Jordana.

— Kolejny wstrząs wtórny? — zapytała, odzyskawszy równowagę.

— Albo ładunek wybuchowy, który osłabi wewnętrzną budowę góry. — Jordan spojrzał na sklepienie. — Tak czy inaczej, niebawem runie.

— Musimy znaleźć wyjście — stwierdził ojciec Korza. — Później omówimy inne sprawy.

Jordan podszedł do zawalonego wejścia.

— Tędy się nie wydostaniemy. — Mnich wykonał pełny obrót. — Powiedziane jest jednak, że ci, którzy przybyli, aby ukryć księgę w czasie upadku twierdzy Masada, skorzystali z przejścia znanego zaledwie garstce ludzi. Zasklepili je po opuszczeniu komnaty.

Jordan ogarnął wzrokiem solidne ściany.

— W którym miejscu?

Duchowny patrzył nieobecny wzrokiem.

— Ten sekret poszedł w zapomnienie.

— Czy ksiądz aby czegoś przed nami nie ukrywa? — dociekał Jordan.

Ojciec Korza dotknął paciorków różańca, który nosił przy pasie.

— Tego przejścia Kościół nie zna. Nikt go nie zna.

— Niezupełnie. — Erin przeciągnęła palcami po ścianie i wbiła paznokiec w zaprawę między dwoma kamieniami.

Mężczyźni skierowali na nią oczy.

Uśmiechnęła się.
— Ja je znam.

17.25

Jordan miał nadzieję, że Erin wie, o czym mówi.

— Pokaż.

Podbiegła do tylnej części grobowca, dotykając koniuszkami palców krawędzi kamieni, jakby czytała książkę zapisaną alfabetem Braille'a.

Sierżant poszedł za jej przykładem. Jedną dłonią stukał w kamienie, drugą zaś wciąż trzymał na pistolecie. Nie ufał Korzy. Gdyby ten wcześniej ostrzegł oddział, podwładni Jordana mogliby nadal żyć. Nie zamierzał odwracać się do niego plecami.

— Widzisz, jak doskonała jest konstrukcja muru? — zapytała Erin. — Bloki idealnie do siebie przylegają, potrzebna była minimalna ilość zaprawy. Myślę, że użyli cementu tylko po to, by dodatkowo zabezpieczyć kryptę przed wstrząsami.

— Zapewne tylko dzięki temu jeszcze żyjemy. A tyle się gada o nadmiarze zabudowy.

Na ustach Erin pojawił się nikły uśmiech. Jordan chętnie ujrzałby go w jakimś bezpiecznym, nasłonecznionym miejscu.

Archeolożka uklękła przy ścianie obok dwóch ciał przebitych bolcami. Jej plecy się napięły; skierowała wzrok na mur, unikając patrzenia na zwłoki. Jednak nie zaprzestawała poszukiwań. Jordan podziwiał ją za to. Położyła dłoń na starożytnych ceglach i stuknęła.

— Już wcześniej to zauważyłam. — Ziemia drgnęła i rumor zagłuszył następne słowa Erin. — Przed atakiem, kiedy oglądaliśmy ciało dziewczynki. — Ujęła dłoń Jordana i umieściła ją na kamieniach obok swojej. — Czujesz, że zaprawa wycisnęła się spomiędzy bloków?

Sierżant dotykał zimnego, twardego kamienia.

— Ta część ściany różni się od pozostałych — ciągnęła z zapalem archeolożka. — Wprawni murarze, a tacy właśnie zbudowali tę kryptę, wyrównaliby nadmiar zaprawy, żeby mur ładnie wyglądał i żeby nie wykruszał się przy dotknięciu.

— Chcesz powiedzieć, że tutaj spartaczyli robotę?

— Ależ skąd. Ten, kto wymurował tę część ściany, pracował po przeciwnej stronie. Właśnie dlatego nadmiar cementu wystaje z tej strony.

— Zasklepione wejście. — Jordan gwizdnął z podziwu. — Brawo, pani doktor.

Przyjrzał się nietypowemu fragmentowi ściany, który w tym miejscu miał kształt nieregularnego łuku, i uznał, że Erin może mieć rację. Grzmotnął w mur wnętrzem dłoni. Nawet nie drgnął.

— Mocny jak jasna cholera.

Przebicie ściany rękami trwałoby godziny, może dni. Im zaś pozostały zaledwie minuty. Erin się wzdrygnęła; Jordan zbliżył się do niej, jakby chciał dodać jej otuchy. Zostaną pogrzebani w krypcie między trupami ludzi i potworów.

Byli wśród nich jego koledzy i podwładni, Cooper i McKay.

— McKay — powiedział na głos.

Duchowny zmarszczył czoło, lecz Erin zerknęła na skręcone ciało kaprała. Zrozumiała, o czym pomyślał Jordan, i w jej oczach błysnęła iskierka nadziei.

— Wystarczy ci czasu? — zapytała.

— Mam taką motywację, że hej.

Przeszedł nad kupką gruzu i uklęknął obok kaprała.

Wybacz, bracie.

Delikatnie przewrócił ciało na bok. Opierał rękę na ramieniu przyjaciela i starał się nie patrzeć na strzępy jego gardła. Przypomniawszy sobie tubalny śmiech starego kumpla, jego zwyczaj zdzierania nalepek z butelek piwa. I spojrzenie głodnego psa, którym obrzucał każdą urodziwą babkę.

Wszystko to bezpowrotnie przepadło.

Ale nigdy nie pójdzie w niepamięć.

Wziął plecak McKaya i wrócił do miejsca, w którym czekała Erin. Nie chciał zostawiać jej sam na sam z księdzem. Kto mógł wiedzieć, jak się tamten zachowa. Świątobliwy ukrywał wiele sekretów, między innymi takich, które kosztowały życie podwładnych sierżanta. Co Korza gotów jest uczynić, aby ich strzec, jeśli cała trójka wydobędzie się z podziemnej pułapki?

Jakkolwiek by postąpili, góra prawdopodobnie i tak ich wcześniej zmiażdży. Jordan w pośpiechu pociągnął suwak plecaka. McKay był w oddziale specjalistą od środków wybuchowych; zabrał je po to, by wysadzić zbiorniki trującego gazu i zneutralizować zagrożenie. Planowano tak zrobić, gdyż zakładano, że oddział będzie walczył ze zwyczajnym przeciwnikiem, takim jak na przykład terroryści.

Jordan spieszył się, umieszczając zapalniki w blockach materiału wybuchowego C-4. McKay uwinąłby się szybciej, lecz sierżant wolał o tym nie myśleć, gdyż każde wspomnienie niosło ze sobą ból. Na to przyjdzie czas później. Jeśli nastąpi jakieś później.

Uformował ładunki i połączył przewodami; w myślach dokonywał obliczeń, jednym okiem obserwując Erin, która rozmawiała z duchownym.

— Czy ksiądz chce mi powiedzieć, że ta dziewczynka miała w chwili śmierci dwa tysiące lat?

Korza odpowiedział tak cicho, że Jordan musiał wyteńczyć słuch.

— Była jednym ze *strigoi*. Została tutaj zamurowana, aby strzec księgi. I pełniła tę misję do chwili, w której srebrne bolce położyły kres jej życiu.

Nie przerywając pracy, Jordan wyobraził sobie tę makabrę: naziści otwierają sarkofag i zastają żywe dziecko w kamiennej trumnie, a następnie przybijają je do ściany srebrnymi bolcami. Przypomniał sobie zgniecioną maskę gazową, która leżała przy wejściu do grobowca. Naziści musieli wiedzieć, co w nim zastaną. Przygotowali się do spotkania zarówno z dziewczynką, jak i z toksycznymi gazami.

Erin naciskała dalej; najwyraźniej chciała zrozumieć sens wydarzeń, uporządkować je w logiczny, naukowy sposób.

— A więc Kościół posłużył się tą nieboraczką, zmusił ją, aby przez dwa tysiące lat pilnowała tej księgi niczym pies.

— Ona nie była zwykłą dziewczynką, a poza tym spała skąpana w świętym winie — tłumaczył Korza szeptem pełnym bólu. — Ale ma pani słuszność. Nie wszyscy pogodzili się z okrutnym postanowieniem, jak również z wyborem tego przeklętego miejsca. Powiada się, że apostoł Piotr wybrał tę górę i tragiczny czas. Chciał powiązać z grobowcem ofiarę żydowskiej krwi. Mroczna historia miała stać się dodatkowym murem chroniącym skarb.

— Chwileczkę — odezwała się Erin głosem pełnym niedowierzania. — Apostoł Piotr... to znaczy święty Piotr? Twierdzi ksiądz, że to on nakazał komuś przynieść tutaj księgę w trakcie oblężenia Masady?

— Nie. On przyniósł ją tutaj osobiście. — Ksiądz przesuwiał w palcach paciorki różańca. — Towarzyszyli mu ci, których darzył największym zaufaniem.

Jordan domyślał się, że tego, co słyszy, nie będzie wolno nikomu powtórzyć.

— To wykluczone — sprzeciwiła się Erin. — Piotr został ukrzyżowany za czasów Nerona. Mniej więcej trzy lata przed upadkiem Masady.

Korza odwrócił się i odpowiedział cicho:

— Historia nie zawsze bywa zapisywana w sposób ścisły.

W chwili, gdy padały te tajemnicze słowa, Jordan zakończył przygotowania. Wyprostował się, trzymając w dłoni zdalny detonator. Erin spojrzała na niego pytająco.

— Albo się uda, albo... zabiję nas wszystkich. — Miał świadomość, że nie jest to krzepiąca zapowiedź.

26 października, 18.01

Gdzieś na terytorium Izraela

Tommy siedział na łóżku i dotykał palcami rurki kroplówki sterczącej z jego klatki piersiowej. Robił to odruchowo, nie z ciekawości. Znał powód, dla którego ją podłączono. Miał już kiedyś taką. Wiele razy pobierano mu krew i lekarze obawiali się, że tętnica nie wytrzyma.

Lekarka, chuda kobieta z wydatnymi kośćmi policzkowymi, ubrana w oliwkowy kombinezon, chodziła z ponurą miną; nie raczyła nawet przedstawić się pacjentowi, co było dość dziwne. Lekarze zazwyczaj podają swoje nazwiska i oczekują od pacjentów, że ci je zapamiętają. Ta zachowywała się tak, jakby chciała, aby Tommy o niej zapomniał.

Uniósł cienki flanelowy koc i się rozejrzył. Sala wyglądała jak każda inna: łóżko z elementami mechanicznymi, rurki, którymi tłoczono do krwi pacjenta jakieś tajemnicze substancje, stolik, na którym stały oliwkowozielony dzbanek oraz kubek.

Tommy nie zwrócił uwagi na brak telewizora przymocowanego do ściany; i tak nie zrozumiałby niczego z programów nadawanych przez izraelską telewizję. Jednak spędził długie miesiące w szpitalach i wiedział, że migający ekran daje jakąś pociechę.

Nie mając nic lepszego do roboty, wstał i pociągnął statyw kroplówki w kierunku okna; poczuł pod stopami chłód linoleum. Za oknem rozciągał się zalany blaskiem księżycy krajobraz pustyni, bezkres skał i niskich krzaków. Wybudowano tam

parking, lecz poza nim nie widać było ani jednego światełka zapalonego ludzką ręką. Izraelczycy wywieźli go na przeraźliwe pustkowie.

Dlaczego to zrobili?

Szpitala znajdują się zwykle w miastach pełnych ludzi, świateł i samochodów. Jednak kiedy helikopter usiadł na parkingu, Tommy dostrzegł jedynie kilka zabudowań, w większości nieoświetlonych.

W helikopterze siedział przypięty pasami do środkowego fotela pomiędzy dwoma izraelskimi komandosami. Obaj starali się odsunąć jak najdalej od niego, jakby bali się go dotknąć. Domyślał się, dlaczego tak postępują. Przed startem maszyny usłyszał, jak jeden z amerykańskich żołnierzy ostrzega, że na ubraniu i włosach Tommy'ego pozostały ślady trującego gazu. Nikt nie odważył się go dotknąć, dopóki go nie odkażono.

Jeszcze w Masadzie rozebrano Tommy'ego do naga w namiocie medycznym i zabrano ubranie. Po przylocie do szpitala musiał przejść wiele kąpeli chemicznych; personel usiłował zeskrobać z jego skóry każdą martwą komórkę. Nawet brudną wodę wlewano do wanien, które potem przykrywano.

Domyślał się, że właśnie z tego powodu został wywieziony na to pustkowie: chcą wykorzystać go jako królika doświadczalnego i zbadać, dlaczego przeżył zetknięcie z gazem, który wszyskich tam uśmiercił.

Był zadowolony, iż nikomu nie wspomniał o tym, że plama od czerniaka, którą miał na nadgarstku, znikła. Mimo woli dotknął palcem tego miejsca, wciąż starając się zrozumieć, jak to możliwe. Utrzymanie sprawy w tajemnicy nie nastroczało trudności, gdyż nikt z nim nie rozmawiał. Mówiono w jego obecności, rozmawiano o nim, lecz rzadko zwracano się bezpośrednio do niego.

Tylko jeden człowiek popatrzył mu prosto w oczy.

Ojciec Korza.

Pamiętał to spojrzenie ciemnych oczu i łagodną twarz. A także pełne troski słowa, gdy ksiądz pytał go o matkę, ojca i o koszmar

tego dnia. Tommy nie był katolikiem, lecz mimo to czuł wdzięczność wobec duchownego.

Kiedy pomyślał o rodzicach, poczuł, że łzy napływają mu do oczu, lecz zamknął je w pudełku. Wymyślił je, żeby radzić sobie z kolejnymi etapami terapii antyrakowej. Gdy ból za bardzo dawał mu się we znaki, zamykał go w nim i odkładał na później. Zdrowie stale się pogarszało, a diagnoza nie pozostawiała wątpliwości, toteż nie sądził, że pożyje wystarczająco długo, aby pudełko otworzyć.

Spojrzał na nadgarstki.

Wszystko wskazywało na to, że jednak będzie żył.

26 października, 18.03

Masada, Izrael

Erin skuliła się za sarkofagiem, zatykając uszy dłońmi. Drgnęła, kiedy Jordan zdetonował ładunek C-4 przyczepiony do ściany. Wybuch odczuła niczym cios w brzuch. Drobin kamienia wypełniły kryptę. Ze sklepienia posypał się piach, jego dotknięcie na skórze przypominało odnóża tysięcy pajaków.

Jordan szarpnął ją mocno.

— Rusz się!

W pierwszej chwili nie wiedziała, co go tak nagli. Potem dotarło do niej, że echo eksplozji narasta. Skała pod jej stopami się poruszyła.

To był kolejny wstrząs wtórny.

Ksiądz ujął jej drugą rękę i pociągnął w stronę dymiącej ściany. Ział w niej niewielki otwór. Za mały.

— Pomóżcie! — krzyknął Jordan.

Cała trójka wyrywała kamienne bloki na obrzeżach otworu. Widać było za nim ciemne przejście wykute w skale. Bardzo dawno temu jacyś ludzie je wyrąbali, aby gdzieś dotrzeć. W tej chwili każde miejsce było lepsze niż podziemna krypta.

Siła wstrząsu narastała. Ziemia zadrżała zdradziecko, rzucając Erin mocno na ścianę.

— Wychodzimy! — ryknął sierżant, wyrywając ostatni kamienny blok. Otwór był bardzo ciasny. — Już!

Zanim zdążyli zrobić krok, rozległ się potężny łoskot i wszyscy runęli na ziemię.

W sklepieniu pojawiła się szczelina.

Jordan zerwał się, chwycił Erin i pchnął ją do otworu. Przy przeciskaniu się przez niego obtarła sobie skórę na łokciach. Po drugiej stronie stanęła na nogach i zaświeciła latarką.

— Teraz ty, *padre!* — zawołał Jordan. — Jesteś szczuplejszy!

Mnich skinął głową i rzucił się w wąski otwór. Gdy wylądował w tunelu, przykucnął obok archeolożki gotowy do działania. Rozejrzał się błyskawicznie. Czego się tam spodziewał?

Erin spojrzała na Jordana, a ten się do niej uśmiechnął. Całe sklepienie krypty runęło, krusząc sarkofag.

Sierżant wsunął się do otworu. Zdołał przecisnąć jeden bark, lecz drugi utknął. Jego twarz zaczerwieniła się z wysiłku. Krypta zapadała się, pękając pod naciskiem skalnych mas. Spojrzenia Erin i Jordana się spotkały. Zrozumiała, co chce wyrazić. Nie przedostanie się. Skinął głową w stronę tunelu. Chciał, żeby odeszła, zostawiając go.

Nagle obok niej wyrósł Korza. Chwycił dłonią uwolnione ramię Jordana i szarpnął z nadludzką siłą. Kamienne bloki rozprysły się, a żołnierz przeleciał przez otwór. Spadł na księdza i jęknął. Jego skurczona twarz wyrażała ból.

Ojciec Korza wstał i pomógł mu się podnieść.

— Dzięki, *padre* — rzekł Jordan, trzymając się za ramię. — Dobrze się składa, że nie potrzebuję tej ręki.

Ksiądz wskazał gestem ciemny tunel. Surowo ciosane kamienne stopnie schodziły w dół. Góra trzęsła się do samych podstaw. Nie byli jeszcze bezpieczni.

— Ruszaj!

Archeolożka nie zamierzała z nim dyskutować.

Przeskakiwała stopnie, oświetlając sobie drogę maleńką latarką. Tunel biegł zygzakowato, a góra wciąż drżała w posadach. Erin przestała zwracać uwagę, kiedy skręca w prawo, a kiedy w lewo, kiedy przejście prowadzi w dół, a kiedy w górę. Liczyło się tylko to, aby przeć naprzód.

Źle stanęła i skręciła sobie prawą kostkę. Nie zdążyła upaść, bo ksiądz pochwycił ją i zarzucił sobie na ramię niczym strażak

wynoszący ofiarę pożaru. Oplatająca ją ręka była jak z żelaza; jej poruszenia kojarzyły się z ruchem płynnej skały.

Korza pokonał stromy odcinek schodów, a potem zatrzymał się nagle i postawił Erin na ziemi.

Złapała oddech i poruszyła stopą. Zabolało, ale niezbyt mocno. Zaświeciła latarką. Plama światła padła na ścianę piaskowca.

Jordan dogonił towarzyszy i stanął.

— Ślepy zaulek.

18.33

Rhun przesuwiał palcami po płaskiej skalnej ścianie, która zagrodziła im drogę. Szukał wskazówki. Wyczuł dłonią cieplejsze miejsce. Był już wieczór, lecz kamień zatrzymał odrobinę słonecznego ciepła.

Ksiądz zamknął oczy, wyobrażając sobie wielki głaz, którym zatarasowano zewnętrzne wejście do tunelu. Wyczuwał szczeliny pod jego dolną krawędzią.

Przyłożył ucho do nierównej powierzchni, nasłuchując odgłosów świata dochodzących z drugiej strony. Wyteńczywszy słuch, wychwycił ruch żywych istot: ciche stąpanie łap po piasku, bicie serca szakala...

— Wracamy, *padre*? — zapytał Jordan; jego głos zadudnił w ciasnym przejściu. — Możemy poszukać innego wyjścia.

Wiedział jednak, że takiego nie ma.

— Jesteśmy prawie wolni — odrzekł Rhun, prostując się i odwracając do towarzyszy. — To ostatnia przeszkoda.

Czas upływał niczym piasek w klepsydrze.

Góra nad ich głowami wciąż się trzęsła. Piasek sunął po stromych schodach, przeciskał się przez szczeliny i pęknięcia w sklepieniu tunelu i gromadził się w najniższym jego odcinku. Niebawem całkowicie go zapełni.

Jordan stanął obok Rhuna i położył dłoń na skale.

— No to pchamy?

Nie było wyboru.

Archeolożka odgarnęła włosy i stanęła obok mężczyzn.

Rhun napał na kamień. Zdawał sobie sprawę z daremności tego wysiłku, lecz wytężał mięśnie. Ich utrudzone serca biły w przyspieszonym tempie, po startej skórze dłoni spływała krew. Dawali z siebie wszystko, ale to nie wystarczyło.

A Masada nie przestawała drżeć.

Piasek sięgał im już do połowy łydek.

Mężczyźni oparli się plecami o niewzruszoną skałę.

— A granat, który masz przy pasku? — zapytała Erin. — Może on przebije skałę.

— Jest za słaby — odparł zrezygnowanym głosem żołnierz. — Fala uderzeniowa odbije się i łupnie prosto w nas. Zużyłem cały materiał wybuchowy, który miał przy sobie McKay. Ale wątpię, czy rozsadzilibyśmy ten kamień. Prędzej byśmy się upiekli jak hamburgery.

Potężny wstrząs zakołysał górą. Twarz Erin pobladła. Sierżant spoglądał na skałę tak, jakby chciał ją poruszyć samą siłą woli. Z jego twarzy biła desperacja, pierwotne pragnienie, by przeżyć jeszcze jedną godzinę, jeszcze jeden dzień.

Otoczył Erin ramieniem i przygarnął do siebie. Jej ciało zmiękło, wtuliła twarz w jego ramię. Pocałował ją z góry w głowę tak delikatnie, że mogła tego wcale nie odczuć. Jakże łatwo padli sobie w objęcia. Mnich patrzył na nich z boku. Najprostsza pociecha, którą znaleźć można jedynie w dotyku, w poczuciu bliskości.

Jego ciało przeniknął ból pragnienia, aby być taki sam jak oni.

Jednak nie na tym polegała jego rola. Odwrócił się i stanął twarzą do kamienia. Był zdeterminowany, aby pomóc tamtym dwojgu — kobiecie i mężczyźnie.

Piach sypał się na jego czoło i rzęsy. Skierował twarz w górę i zamknął oczy do modlitwy.

*Twoje słowo jest lampą dla moich stóp
i światłem na mojej ścieżce.*

Przywoływał na pamięć urywki Pisma Świętego, aby znaleźć rozwiązanie i skupić myśli. Otworzył się na wolę bożą.

Piasek z wolna obsypywał jego nogi, a on czekał. Jednak odpowiedź nie nadchodziła.

A więc trudno.

Tu przyjdzie na niego kres.

Dotknął krzyżyka i nagle zajaśniał mu przed oczami jeden z wersetów: *Ten kupił płótno, zdjął Jezusa z krzyża, owinął w płótno i złożył w grobie, który wykuty był w skale...*

Otóż to.

Szybko otworzył oczy i przyjrzał się bezlitosnemu głazowi. Dotknął płaskiej powierzchni i wyobraził sobie taką samą po drugiej stronie. Przypomniawszy sobie szczelinę przy dolnej krawędzi, której kształt świadczył o tym, że została skuta. Wyobraził sobie, że krzywizna biegnie po całym obwodzie kamienia.

Widział go oczami wyobraźni.

Kamień w kształcie dysku.

Samymi wargami wymówił słowa modlitwy dziękczynnej i podszedł do towarzyszy.

Kobieta zrobiła krok w jego stronę.

— Co się stało?

Musiała zwrócić uwagę na wyraz twarzy księdza. Jego zdesperowanie można było łatwo odczytać. W jej oczach błysnęła nadzieja.

Żołnierz także podszedł i Rhun odczepił granat od jego pasa.

— To nic nie da — rzekł sierżant. — Przecież mówiłem...

— Zaufaj mi.

Rhun, brodząc w piasku, podszedł do głazu i uklęknął w kącie, w którym kamień stykał się ze ścianą. Szybko wygrzebywał piach, ten jednak niemal natychmiast zapełniał lukę.

Nie zdoła zrobić tego w pojedynkę.

— Pomóżcie.

Archeolożka i żołnierz stanęli przy nim.

— Kopcie aż do dna — rozkazał.

Wygrzebali piasek, odsłaniając małą wygiętą szczelinę między kamiennym dyskiem a dnem tunelu. Rhun wcisnął granat głęboko przy samej krawędzi głazu.

Wsunął palec w zawleczkę i nie odwracając się, powiedział:

— Odejdźcie w głąb tunelu tak daleko, jak to możliwe.

— A ksiądz? — zapytał sierżant.

Nikt nie wykopywał już piasku, ten zaś zdążył przysypać nadgarstek i przedramię księdza.

— Dołączę do was.

Sierżant zawahał się, lecz po chwili skinął głową i pociągnął kobietę.

— Skąd ksiądz wie, że to się uda?! — zawołała Erin.

Rhun nie mógł tego wiedzieć. Pokładał ufność w Bogu i w wersecie Biblii mówiącym o gładzie, którym zatarasowano wejście do grobowca.

Ewangelia według św. Marka 15, 46.

Wyszeptał ten fragment. Prosił o ratunek, a zarazem modlił się o niego.

Ten kupił płótno, zdjął Jezusa z krzyża, owinął w płótno i złożył w grobie, który wykuty był w skale. Przed wejście do grobu zatoczył kamień.

Wypowiedziawszy te słowa, szarpnął zawleczkę granatu, wyrwał rękę z piasku i rzucił się do ucieczki.

Zdołał zrobić tylko trzy kroki.

Granat wybuchł za nim. Kula ognia i piasku uderzyła go w plecy. Zawadził głową o krawędź ściany i runął na ziemię.

Był ogłuszony, obraz rozpływał mu się przed oczami. Przetoczył się na wznak.

Usłyszał tupot stóp.

Leżał nieruchomo.

Powietrze pachniało piachem i dymem. Nagle do tunelu wtargnął powiew wiatru, przynosząc słodki, czysty zapach pustyni.

— Trzymam go. — Żołnierz chwycił Rhuna pod ramionami i ciągnął go po zasypanej piaskiem skale.

Kobieta go wyprzedziła.

— Spójrz! Siła wybuchu przesunęła kamień o prawie metr w bok. Czemu na to nie wpadłam? Budowniczkowie zamknęli to przejście tak jak grób Chrystusa.

— ...przed wejście do grobu zatoczył kamień — wymamrotał półprzyciennie ksiądz.

To jasne, że domyśliła się, co zrobił.

Poczuł, że żołnierz wyciąga go obok pociemniałego głazu na powietrze. Spojrzał w górę. Gwiazdy świeciły ostrym wiekuistym blaskiem. Widziały, jak budowano Masadę, a teraz stały się świadkami jej zagłady.

Wśród łoskotu i zgrzytu kamieni góra zapadła się ostatecznie.

Potem wreszcie nastąpiła cisza.

Erin i Jordan ciągnęli księdza dalej na pustynię; nie chcieli ryzykować. Potem się zatrzymali.

Ciepła ręka ścisnęła ramię Rhuna. Zobaczył błysk bursztynowych oczu.

— Dziękuję, ojcze, za uratowanie nam życia.

Rzadko słyszał takie proste słowa. Jako żołnierz Boga często przez całe dni nie odzywał się do drugiego człowieka. Ból, który się pojawił, kiedy patrzył na obejmującą się parę, powrócił, lecz teraz wdarł się głębiej i był prawie nie do zniesienia. Spojrzał w oczy Erin.

Czy czułbym to samo, gdyby nie była taka ładna?

Pociemniało mu przed oczami. Archeolożka nachyliła się nad nim.

— Ojcze Korzo, jakiej księgi szukałeś w grobowcu?

Ona i żołnierz walczyli i zabijali, ich koledzy polegli z powodu księgi. Czy nie zasłużyli na to, by poznać prawdę? To właśnie sprawiło, że postanowił jej odpowiedzieć.

— Ewangelii zapisanej krwią swojego twórcy.

Twarz Erin odcinała się od tła gwiazd.

— Co to znaczy? Mówi ksiądz o zaginionym tekście apokryficznym?

Usłyszał w jej głosie niezaspokojone pragnienie wiedzy. Jednak nie rozumiała. Odwrócił głowę, by spojrzeć jej prosto w oczy. Powinna zobaczyć, że mówi szczerze.

— Mówię o prawdziwej Ewangelii — powtórzył, gdy zalała go ciemność. — Spisanej własną ręką i krwią Jezusa Chrystusa.

CZĘŚĆ DRUGA

*I wiele innych znaków, których nie zapisano
w tej książce, uczynił Jezus wobec uczniów.*

Ewangelia wg św. Jana 20, 30

26 października, 18.48

W powietrzu nad Masadą

Eurocopter wznosił się spiralnie nad kalderą, w którą zamieniła się góra Masada. Pilot musiał zмагаć się z prądami termicznymi, gdyż ciemne piaski powoli oddawały ciepło słońca. Płaty wirnika młóciły skalny pył, silniki wyły, zasysając brudne powietrze.

Naraz helikopterem szarpnęło i rzuciło w lewą stronę. Bathory omal nie wypadła przez otwartą klapę wjazdu. Przytrzymała się poręczy i spojrzała w dół. Na pękniętym wierzchołku góry wciąż szalał ogień. Czuła żar na twarzy, jak gdyby patrzyła prosto w słońce. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie letni dzień w dzieciństwie, spędzony na wsi na węgierskiej prowincji nad rzeką Drawą. Siedziała w ogrodzie i patrzyła, jak jej młodszy braciszek Istvan goni z małą siateczką za motylami.

Czyjś jęk w kabinie zwrócił jej uwagę; poczuła złość, że wyrwano ją z przyjemnych wspomnień. Młody kapral leżał na podłodze; jego pobladła twarz i zwężone źrenice świadczyły, że znajduje się w głębokim szoku.

Tarek klęczał mu na ramionach, podczas gdy jego brat Rafik pełnym znużenia ruchem wbijał ostrze sztyletu w pierś żołnierza. Leniwie liznął ostrze, jakby zamaczał stalówkę pióra przed pisaniem.

— Dość — powiedziała Bathory.

Tarek zerknął na nią; kącik jego wargi uniósł się gniewnie, obnażając zęby. Rafik opuścił sztylet. Jego rozbiegane oczy zerknęły to na brata, to na Bathory; twarz pałała radością na myśl o czekającej go rozkoszy.

— Chcę mu zadać ostatnie pytanie — oznajmiła, gasząc Tareka wzrokiem.

Spojrzała bestiom w oczy. Właśnie tak ich bowiem postrzegła — jako bestie.

Tarek ustąpił i skinął na brata.

Uklękła w miejscu, które przed chwilą zajmował Rafik, i położyła dłoń na policzku kaprała. Był niezwykle podobny do Istvana; właśnie dlatego zabroniła im okaleczać jego twarz. Spoglądał na nią żałośnie, niemal oślepiiony bólem. Resztką sił trzymał się tego świata.

— Przymierzam ci — powiedziała, nachylając się tak blisko, jakby chciała pocałować go w usta. — Jeszcze jedno pytanie i będziesz wolny.

Spojrzał jej w oczy.

— Erin Granger, ta archeolożka.

Poczekwała, aż słowa dotrą do oszołomionego żołnierza. Już go przesłuchiwała, kiedy uciekali z gorejącego i zapadającego się wierzchołka Masady, i wydobyła prawie wszystko, co wiedział. Zostawiłaby go tam i pozwoliła umrzeć razem z towarzyszami broni, ale nie bacząc na okrucieństwo, musiała wycisnąć z niego wszystko. Już dawno nauczyła się tego, że okrucieństwo bywa praktyczne.

— Powiedziałeś, że doktor Granger pracuje ze studentami.

Zapamiętała kobietę, którą zobaczyła w kamerze robota. Archeolożka machała telefonem komórkowym, najwyraźniej usiłując nawiązać kontakt ze światem zewnętrznym. W jakim celu? Czyżby robiła zdjęcia? Może odkryła jakieś wskazówki?

Było to wątpliwe, lecz musiała mieć całkowitą pewność, zanim opuści ten region.

Kaprał skupił na niej wzrok; był już w agonii z bólu, lecz domyślał się zamiarów Bathory.

— Gdzie oni są? — zapytała. — Gdzie znajduje się wykopalisko doktor Granger?

Po jego policzku spłynęła łza i zetknęła się z jej dłonią.

Przez chwilę krótką jak oddech miała nadzieję, że nie odpowie.

Jednak jego wargi się poruszyły. Nachyliła się, aby usłyszeć to słowo.

Cezarea.

Wyprostowała się, w myślach już układała plan. Rafik wlepił w nią wzrok, w jego oczach płonęło pożądanie. Lubił to, co ładne. Palce zacisnęły się na sztylcie.

Zignorowała go i odgarnęła kosmyk włosów z białego czoła kaprała.

Taki podobny do Istvana...

Pochyliła się nad nim, pocałowała w policzek i przeciągnęła ostrzem po jego gardle. Trysnęła ciemna krew. Delikatny powiew oddechu musnął jej ucho.

Kiedy się wyprostowała, oczy kaprała były już zamglone.

Teraz jest wolny.

— Nikomu nie wolno dotykać ciała — rzuciła ostrzegawczo.

Rafik i Tarek gapili się na nią, nie rozumiejąc, dlaczego pozwala na takie marnotrawstwo.

Nie zwracając na nich uwagi, usiadła i odchyliła głowę w tył. Nie musiała tłumaczyć się przed takimi jak oni. Opierała się plecami o ściankę luku ładunkowego; wyczuła ruch masywnej postaci. Uniosła rękę i położyła dłoń na przegrodzie.

Bądź spokojny, pomyślała, wysyłając myśl wzbogaconą pokrzepieniem. Wszystko dobrze się układa.

Uspokoił się nieco, lecz wciąż czuła jego ożywienie odzwierciedlające stan jej emocji. Na pewno kilka chwil temu wyczuł ból w jej sercu.

A może powodem była nieobecność bliźniaka.

Spojrzała przez okienko na pustynię.

Został wysłany na polowanie.

Bathory musiała mieć pewność.

Nie jest łatwo uśmiercić sangwinistę.

26 października, 19.11

Pustynia w okolicy Masady

Głęboko zamyślona Erin trzymała na kolanach głowę nieprzytomnego księdza. Na niebie migotały gwiazdy, księżyc w kształcie sierpa dotykał krawędzią horyzontu. Łagodny wieczorny wietrzyk z poszeptem przesuwiał piasek na krawędziach wydm.

Przyglądała się twarzy mężczyzny.

Czy to możliwe?

Ksiądz powiedział, że Chrystus napisał Ewangelię. To było niedorzeczne, na pewno majaczył w malignie. Wyczuła dłońią guz na prawej stronie głowy obok skroni.

Dotknęła zimnego czoła.

— Jordan!

Sierżant stał kilka kroków od niej; lustrował wzrokiem pustynię, być może wypatrując wroga. A może namyślał się lub oddawał żałobie po poległych kolegach.

Odwrócił się do Erin.

— Ksiądz chyba jest w szoku. Temperatura ciała spadła i poblądł na twarzy.

Jordan podszedł i przykucnął obok archeolożki. Od jego ciała promieniowało ciepło.

— On i przedtem był blady — odparł. — Pewnie mieszka w bibliotece, a po nocach trenuje.

Przyjrzała się sierżantowi. Nawet w takim stanie, brudny i umorusany, pozostawał atrakcyjnym mężczyzną. Usiłowała

odsunąć od siebie wspomnienie tego, co stało się w tunelu. Rzuciła mu się w ramiona i przywarła do niego, to było takie naturalne. Czuła się bezpiecznie, piżmowy zapach jego ciała otulił ją tak jak jego ramiona. Nie mogła zapomnieć delikatnego pocałunku, który złożył na jej głowie. Udawała, że go nie poczuła, lecz w sekrecie pragnęła więcej. Jednak tamta chwila, zrodzona z desperacji i lęku przed pewną śmiercią, odeszła.

Głowa księdza poruszyła się na kolanach Erin. Kobieta spojrzała na niego ponownie.

Sierżant ostrożnie rozchylił zakrwawione strzępy koszuli i obejrzał rany. Biel umięśnionej klatki piersiowej księdza wyglądała jak marmur na tle opalonej skóry Jordana. Na szyi duchownego wisiał na czarnym jedwabnym sznurku srebrny krzyż pectoralny wielkości dłoni Erin. Spoczął na jego sercu na kawałku koszuli, który nie został rozerwany.

Na krzyżu widniały słowa *Munire digneris me*.

Przetłumaczyła początek modlitwy: Racz mnie umocnić, Panie.

— Facet porządnie oberwał — ocenił Jordan.

Na obnażonej skórze doskonale było widać obrażenia księdza. Skóra była pocięta, a z ran sączyła się krew.

— Ile krwi stracił? — zapytała Erin.

— Niewiele. Większość ran to powierzchowne skaleczenia.

Skrzywiła się.

— Są bolesne — przyznał Jordan — ale nie zagrażają życiu.

Ciałem Erin wstrząsnął dreszcz, lecz nie ze strachu. Robiło się chłodno, pustynia szybko wytracała ciepło.

Sierżant wydobył z kieszeni mały zestaw pierwszej pomocy i zaczął opatrywać głowę księdza. Wyczuła woń alkoholu.

— Bardziej od tych zranień martwi mnie to, że wybuch granatu rzucił go na skałę — oznajmił Jordan. — Mógł doznać wstrząśnienia mózgu, czaszka mogła pęknąć.

Zdjął kurtkę moro i okrył nią bezwładne ciało księdza.

— Kiedy przed chwilą rozmawialiście, sprawiał wrażenie przytomnego. Mimo to musimy jak najprędzej zapewnić mu

prawdziwą opiekę medyczną.

Erin spoglądała na ojca Korzę.

Ma na imię Rhun, przypomniała sobie.

Wolała jego imię niż nazwisko. Brzmiało łagodniej i zawierało aluzję do jakichś mrocznych tajemnic. Na szyi nosił koloratkę z białego lnu, a nie — tak jak większość księży obecnie — z tworzywa sztucznego.

Teraz, gdy leżał nieprzytomny, jego twarz rozluźniła się i straciła swoją surowość. Miał pełniejsze usta, niż sądziła, a rysy twarzy były wydatniejsze. Ciemnobrunatne włosy zwisały falującymi kosmykami na czoło, sięgając aż do okrągłego kołnierzyka. Odgarnęła je z twarzy.

Chłód skóry kapłana pogłębił jej niepokój.

Ocknie się? A może umrze tak jak Heinrich?

Jordan zakasłał. Erin cofnęła dłoń. Rhun był księdzem, nie powinna bawić się jego włosami.

— Co z twoim radiem? — zapytała, pocierając dłonie. Zgubiła telefon, który spoczął pod rumowiskiem skalnym jak w grobie. Już wcześniej zauważyła, że Jordan gmera przy radiu. — Ktoś się odezwał?

— Nie — odparł sierżant i jego twarz się zachmurzyła. — Obudowa pękła. Może uda mi się je naprawić.

Chłód sprawił, że na jego ramionach wystąpiła gęsia skórka. Nie zważając na to, dokładniej przykrył kurtką Rhuna.

— A więc jaki mamy plan? — spytała.

Uśmiechnął się.

— Myślałem, że to ty jesteś od planowania.

— Zdawało mi się, że mam skakać, kiedy każesz. Nie tak powiedziałeś?

Odwrócił się i spojrzał na rumowisko, w które zamieniła się góra; po jego twarzy przemknął cień.

— Moi podkomendni nie wyszli na tym dobrze.

— Nie wydaje mi się, żebyś mógł coś zrobić inaczej — zauważyła cichym głosem.

— Może gdyby ten tutaj — Jordan wskazał kciukiem nieprzytomnego księdza — uprzedził nas, z czym mamy do czynienia, mielibyśmy większe szanse.

— Zszedł na dół, żeby nas ostrzec.

Jordan się skrzywił.

— Zszedł, żeby znaleźć tę książkę. Wcześniej miał dużo czasu na to, by ostrzec przed tymi monstrami i nas, i naszych ludzi, którzy byli na górze. Ale tego nie zrobił.

Erin broniła księdza, bo on sam nie mógł się bronić.

— Ale walczył, żebyśmy wydostali się z pułapki. A w czasie wybuchu wciągnął nas do sarkofagu.

— Może potrzebował naszej pomocy, żeby się wydostać.

— Może. — Erin wskazała rozległe połacie piasku. — I co teraz?

Twarz sierżanta była jak wykuta z kamienia.

— Wydaje mi się, że w tej chwili najlepiej go nie ruszać. Tylko tyle możemy dla niego zrobić: zapewnić ciepło i spokój. Po takim kataklizmie zespoły ratownicze na pewno ściągają tutaj ze wszystkich stron. Będziemy czekać. Wkrótce nas znajdą.

Jordan uniósł kurtkę, którą przykryty był ksiądz, i obmacał go.

— Co robisz?

— Szukam jakiegoś dokumentu. Chcę wiedzieć, kim naprawdę jest ten facet. Bo na pewno nie zwyczajnym księżulkiem.

Erin poczuła się nieswojo, że sierżant tak sobie poczyną z nieprzytomnym, ale ją także trawiła ciekawość.

Jordan nie znalazł prawa jazdy ani paszportu, lecz wyciągnął nóż, który Rhun nosił przy nadgarstku. Z tylnej kieszeni spodni wydobyl butelkę.

Odkręcił nakrętkę i pociągnął łyk.

Spragniona Erin także chciała się napić.

Jordan skrzywił się i powąchał otwarty pojemnik.

— To nie jest woda.

Archeolożka zmarszczyła czoło.

— To wino.

Zdziwiona, wzięła pojemnik i skosztowała. Jordan miał rację.
— Ten gość coraz bardziej mnie zaskakuje. Spójrz na to.

Uniósł nóż Rhuna z klingą zakrzywioną jak półksiężyc.
W blasku księżycy zaśnił srebrzyście.

Może jest ze srebra, tak samo jak bolce, którymi przyszpilono do ściany ciało dziewczynki w podziemnej krypcie, pomyślała Erin.

— Taka broń nazywa się *karambit* — oznajmił Jordan.

Wsunął zakrzywiony palec do pierścienia u podstawy rękojeści i szybkimi ruchami ręki zademonstrował kilka sposobów użycia noża.

Erin odwróciła głowę i przypomniała sobie walkę w grobowcu. Klinga noża spływała wtedy krwią.

— Dziwna broń w rękach księdza — dodał sierżant.

Archeolożka uważała, że tego wieczoru była świadkiem o wiele dziwniejszych rzeczy.

Jednak Jordan jeszcze nie skończył.

— Większość duchownych zwykle nie nosi przy sobie noży, ale ten jest niezwykły. Pochodzi z Indonezji. Ten styl walki liczy ponad osiemset lat. Starożytni Sudańczycy wzorowali kształt ostrza na tygryśich pazurach.

Erin spojrzała na Rhuna, przypominając sobie, z jaką wprawą posługiwał się nożem.

Pasował do niego tak samo jak jego imię.

— Ale najdziwniejsze jest to. — Jordan uniósł nóż, aby towarzyszka mogła go dokładnie zobaczyć. — Ta patyna wskazuje, że ostrze ma co najmniej sto lat.

Oboje spoglądali na księdza.

— Może być o wiele starsze. — Jordan mówił teraz konspiracyjnym szeptem. — A jeśli on jest jednym z nich?

— To znaczy?

Uniósł jasne brwi.

Erin domyśliła się, co sugeruje.

— *Strigoi?*

— Zauważyłaś, w jaki sposób dźwignął wieko sarkofagu? — zapytał znaczącym tonem.

Podjęła wyzwanie.

— To mogło być pod wpływem adrenaliny. Czasem zdarza się, że kobieta dźwignie samochód, pod którym uwięzione jest dziecko. Przyleciałam razem z nim z Cezarei w biały dzień. Widziałeś go na wierzchołku Masady, kiedy słońce stało jeszcze wysoko.

— Może należy do tych *strigoi*, którzy znoszą blask słońca. Do licha, przecież nie mamy o tych stworach zielonego pojęcia. — Twarz Jordana wyrażała gniew i żal po stracie towarzyszy. — Wiem tylko tyle, że mu nie ufam. Gdyby nas w porę ostrzegł, byłoby nas tu więcej niż troje.

Położyła dłoń na jego ciepłym przedramieniu, lecz on odsunął rękę i wstał.

Erin spoglądała na mężczyznę spoczywającego na jej kolanach; przyszła jej na myśl tajemnica, którą niedawno ujawnił.

Prawdziwa Ewangelia, spisana ręką Chrystusa i jego własną krwią.

Jeśli to prawda, to co z niej wynika?

Nurtowało ją wiele pytań: Jakie rewelacje kryją się na stronicach zaginionej Ewangelii? Dlaczego *strigoi* tak bardzo jej pożąдали? I co ważniejsze, dlaczego Kościół postanowił ją ukryć w tym miejscu?

Jordan zapewne odgadł tok jej myśli.

— Ta księga — rzekł — sprowadziła śmierć na wielu porządnych ludzi. Jestem pewny, że w Biblii są tylko cztery Ewangelie: Mateusza, Marka, Łukasza i Jana.

Pokręciła głową, zadowolona, że może się wypowiedzieć o czymś, na czym się zna.

— W rzeczywistości Ewangelii jest o wiele więcej. Same zwoje znad Morza Martwego zawierają fragmenty kilkunastu innych. Z różnych źródeł. Autorstwa Maryi, Tomasza, Piotra, a nawet

Judasza. Tylko cztery trafiły do Biblii. Ale w żadnej nie ma wzmianki o tym, że Chrystus napisał własną księgę.

— Może Kościół je usunął, wymazał wszystkie odniesienia. Wiemy, jak skrzętnie potrafi ukrywać swoje tajemnice.

Słowa Jordana zabrzmiały sensownie.

Jeśli nie istniały żadne odniesienia i aluzje wskazujące na istnienie Ewangelii Chrystusa, nikt nie próbował jej znaleźć.

Zerknęła na sierżanta, ponownie zaskoczona jego domyślnością. Zachował ją, choć dławili go emocje po stracie kolegów.

— Zastanawiam się — ciągnął — bo gdybym miał starożytny dokument spisany przez Jezusa Chrystusa, to na miejscu Kościoła pokazałbym go wszystkim. W takim razie dlaczego święty Piotr go tutaj zakopał? Co chciał ukryć?

Na przykład to, że istnieją *strigoi*. Erin nie wypowiedziała swojej wątpliwości, jednej z wielu, które nią targały.

Jordan skierował wzrok na księdza, trzymając nóż w dłoni.

— Tylko jeden człowiek zna odpowiedzi na te pytania.

Rhun drgnął i usiadł. Spojrzał na swoich towarzyszy.

Czyżby podsłuchał rozmowę?

Odwrócił głowę i spojrzał w ciemność. Poruszył nosem, jakby wąchał powietrze.

Kiedy się odezwał, jego głos znów tchnął przerażającym spokojem.

— Coś się zbliża. Coś, co budzi trwogę.

Serce Erin zadrżało, strach ścisnął jej gardło.

— Kolejni *strigoi*? — spytał Jordan.

— Są istoty gorsze od nich.

26 października, 19.43

Pustynia w okolicy Masady

Rhun wyciągnął rękę.

— Mój nóż.

Sierżant bez wahania położył mu go na otwartej dłoni. Ksiądz poprawił postrzępiony habit, wiedząc, że przyda mu się każdy skrawek materiału osłaniający ciało.

— Co się zbliża? — Jordan wyciągnął pistolet. Rhun był zadowolony, że w grobowcu sierżant okazał się przewidujący i zebrał wszystkie magazynki od zabitych towarzyszy.

Dobre i to, choć na niewiele się zda.

W orzeźwiający zapach oziębiających się piasków i pustynnych kwiatów wdarł się gryzący odór. Rhun potrząsnął głową. A potem odmówił krótką modlitwę.

— Rhunie? — Kobieta zmarszczyła czoło.

— To blasfemor — odpowiedział ksiądz.

Sierżant sprawdził broń.

— Co?

Rhun wytarł klingę o brudne spodnie.

— Plugawa bestia. Stwór, którego siły i zmysły pobudzone są za pomocą nieczystej krwi *strigoi*.

Sierżant trzymał pistolet w pogotowiu.

— Jakiego rodzaju bestia?

W odpowiedzi w ciemności rozległo się wycie. Po nim usłyszeli tupot umykających zwierząt. Żadne nie chciało znaleźć się na drodze potwora, który wydał ten odgłos.

Rhun wymienił jego nazwę.

— Wilkozor. — Wskazał ostrzem noża skupisko kamieni. To była jedyna dla nich, choć nikła szansa przetrwania. — Ukryjcie się.

Jordan odwrócił się na pięcie, jak przystało na karnego żołnierza. Złapał kobietę za rękę i pociągnął ją w kierunku głązów.

Rhun spoglądał w ciemność, wyostrzając czujność. Ryk bestii świadczył, że wie, iż jej obecność została dostrzeżona. Miał strwożyć ofiary.

I nie pozostał bez efektu.

Mnich zacisnął palce na zimnym ostrzu. Chciał zagłuszyć przemożną siłę bicia wilczego serca. Było zbyt głośne i nie mógł określić, skąd dobiega, musiał je więc stłumić, aby słyszeć inne odgłosy.

Cienie poruszały się, okrążały go.

Ale gdzie...?

Za plecami Rhuna rozległo się stłumione tąpnięcie.

Nie zdołał odwrócić się w porę.

Bestia wynurzyła się z mroku, jakby to był płaszcz, który z siebie strząsnęła. Jej czarne futro było ciemne niczym asfalt. Zaatakowała gwałtownie, a Rhun schylił się, robiąc unik.

Mocarne szczęki zatrzęsnęły się i chwyciły jedynie skrawek sutanny. Wilk porwał go w pędzie. Rhun padł na ziemię; materiał pękł, jego strzęp został w zębach stwora.

Mnich potoczył się po ziemi, ostre kamienie i kolce wbiły mu się w plecy. Wykorzystał rozpęd i przykucnął, zwracając się twarzą do przeciwnika.

Wilkozor odwrócił się, z jego pyska tryskała piana. Wargi rozchyliły się, ukazując żółte kły. Bestia była olbrzymia, wielkością dorównywała niedźwiedziom, które w czasach dzieciństwa Rhuna spotkać można było w górach Rumunii. W jej czerwonozłoty ślepiach lśniła zajadłość, jakiej nie ma żadne zwierzę żyjące pod słońcem.

Długie uszy przywarły do łba i z gardzieli wydobyło się głębokie warczenie. Zakrzywione pazury, które mogły rozerwać ludzkie serce w piersi, drapnęły ziemię. Mięśnie nóg napięły się niczym twarde jak stal postronki.

Rhun czekał. Dawno temu, gdy był młodym adeptem krzyża, taka sama bestia omal nie pozbawiła go życia, ale nie był wtedy sam. Miał u boku dwóch sojuszników. Wilkozora prawie nie sposób zabić; ma bystry umysł i prężne mięśnie, a jego skóra jest twarda jak kolczuga. Porusza się tak szybko, że bardziej przypomina cień niż stworzenie z krwi i kości.

Niewiele jest kling, które mogą go zranić. A Rhun swoją zgubił.

Zacisnął puste palce. Kątem oka dostrzegł odbłask srebra na piasku. Jego broń spoczywała w miejscu, w którym upadł. Nie zdąży jej podnieść.

Wilk, jakby o tym wiedząc, jeszcze bardziej wyszczerzył kły i warknął złowieszczo.

A potem runął na przeciwnika.

Mnich udał, że uskakuje w prawą stronę, lecz wilkozor nie dał się zwieść. Jego szkarłatne oczy śledziły przeciwnika. Skoczył prosto na niego.

Rozległ się chrapliwy krzyk, a po nim seria z broni maszynowej. Tylne łapy wilka ugięły się, gdy odrywał się od ziemi. Muskularny kłęb zarył się w piasek i bestia sunęła w kierunku mnicha.

Ten obrócił się błyskawicznie i wyciągnął rękę po nóż.

Zobaczył, że żołnierz pędzi w jego stronę. Z lufy pistoletu tryskały iskry, gdy opróżniał magazynek.

Beznadziejnie odważny głupiec.

Rhun chwycił nóż.

Bestia zdążyła stanąć na nogi i oddzielała Rhuna od żołnierza. Łeb odwrócił się i wilkozor spojrział na sierżanta. Jego posoka znaczyła piasek.

Ale było jej za mało.

Żołnierz odrzucił pusty magazynek i włożył następny. Nawet taka broń nie zdoła odstraszyć wilkozora. Kiedy jego serce wali w bitewnym rytmie, stwór nie zważa na ból i wszelkie rany poza najcięższymi.

Pocięty bliznami pysk się poruszył. W przypominających rubiny ślepiach błysnęła przebiegłość.

Rhun w jednej chwili pojął, kogo bestia zaatakuje.

Mięśnie drgnęły i wilkozor skoczył w stronę głazów.

Tam kryła się najsłabsza osoba z całej trójki.

19.47

Potwór pędził w kierunku Erin, która stała oparta plecami o głąz i nie miała gdzie się ukryć. Gdyby rzuciła się do ucieczki, dopędziłby ją w mgnieniu oka. Wcisnęła się między kamienie i wstrzymała oddech.

Jordan strzelił. Pociski przeszły grzbiet bestii, skrawki jej sierści pofrunęły w powietrze, lecz ona nie zwolniła biegu. Rhun także pomknął ku Erin z niewiarygodną szybkością. Jednak nie zdążył dobiec na czas, a nawet gdyby mu się to udało, nie zdołałby powstrzymać wilkozora.

On zaś pośliznął się na czterech wielkich łapach, pryskając Erin piaskiem w oczy. Ślina bestii spadła jej na policzki, owionął ją gorący, cuchnący oddech.

Wyciągnęła ze skarpetki swoją jedyną broń.

Pazur wbił się w jej udo i przyciągnął ją bliżej do pyska wilkozora, który rozwarł potworne szczęki.

Archeolożka krzyknęła i wsunęła rękę głęboko do paszczy bestii, omijając kły. Wbiła igłę z atropiną w silnie ukrwiony jęzor wilka. Wyrwała rękę, zanim szczęki się zamknęły.

Zaskoczony stwór cofnął się i wypluł zmiażdżoną plastikową strzykawkę. Erin przypomniała sobie ostrzeżenie, którego udzielił jej Sanderson: Atropina daje potężnego kopa sercu. Może rozwalić pikawę, jeśli nie doszło do zatrucia.

Plugawy czy nie, zwierz pozostaje zwierzem. Na to liczyła Erin. A jeśli środek nie zadziała? Odpowiedź poznała niemal natychmiast.

Wilk zrobił jeszcze jeden krok w tył i wygiął szyję. Z jego gardła wydobyło się wycie, wytrzeszczył ślepią. Atropina gwałtownie podniosła ciśnienie krwi. Z ran od kul trysnęła na piasek czarna posoka.

Erin z ponurą satysfakcją spoglądała na wyjącego wilkozora. Przypomniła sobie piegowatą twarz młodego kaprała, który dał jej strzykawkę.

Masz za Sandersona.

Jednak bestia także łaknęła zemsty. Wściekłość i ból wykrzywiły jej pysk w sposób, który trudno opisać słowami. Obnażyła kły i rzuciła się do twarzy Erin.

19.48

Rhun nie miał pojęcia, jak kobieta zdołała powstrzymać wilkozora i sprawić, że zawył z bólu. Jednak dzięki temu zyskał czas, żeby do niego dobiec. Oślepiiony cierpieniem i wściekłością zwierz mimo wszystko go wyczuł.

Okręcił się z rykiem i rzucił przeciwnikowi do gardła.

Jego szczęki kłapnęły w powietrzu. Rhun odchylił się w biegu i pośliznął na podszewkach butów tuż przed oślinioną paszczą. Kły trzasnęły o szerokość dłoni nad jego nosem. Mnich upadł na bok i siłą rozpędu znalazł się między przednimi łapami bestii. Z całej siły dźgnął srebrnym sztyletem, wbijając go głęboko w brzuch, jeden z niewielu słabych punktów wilkozora. Wyteżając wszystkie siły, szarpnął ostrą jak brzytwa klingą tak, że przecięła skórę i ciało bestii. W myślach pomodlił się za nią, gdyż i ona była niegdyś stworzeniem boskim. Nie zasłużyła na to, by wykorzystano ją w tak okrutny sposób.

Posoka trysnęła na niego potężnym strumieniem, zalewając ręce, klatkę piersiową i twarz.

Odtoczył się w bok i otarł oczy.

Sierżant podbiegł i z najbliższej odległości strzelał do bestii.

Pysk skierował się ku nocnemu niebu. Po chwili wycie zamarło i wilkozor runął na piasek.

Rubinowy ogień w ślepiach zgasł i przybrały głęboki złocisty kolor. Wilk zaskowyczał, zdradzając swoją prawdziwą dawną naturę, lecz stało się to dopiero w ostatniej chwili jego życia.

Ciało drgnęło gwałtownie, wstrząsane dreszczem, i znieruchomiało.

Rhun uniósł dwa palce i uczynił nad nim znak krzyża. Wyzwolił zwierza z jego wiekuistej niewoli.

— *Dominus vobiscum* — rzekł cicho. — Niech Pan będzie z tobą.

Kobieta wydostała się spomiędzy głązów, z rany na jej udzie ciekła krew. Sierżant wziął ją w ramiona, wciąż mierząc z pistoletu do wilkozora.

— Naprawdę jest martwy?

Krew bestii parowała na ciele Rhuna. Miała metaliczny posmak. Rozogniała mu gardło, rozpałała piersi i obezwładniała zmysły. W czasie służby Bogu mierzył się z wieloma pokusami i tylko raz w straszliwy sposób uległ. Jednak nawet jego niezłomna determinacja nie mogła sprawić, by ciało nie zareagowało na oddziaływanie krwi.

Odwrócił się.

Serca żołnierza i kobiety biły wspólnym rytmem, domagając się jego uwagi.

Odrzucił niemą prośbę.

Ściągnął kaptur na oczy i odwrócił się twarzą ku pustyni. Mógł tylko mieć nadzieję, że nie zauważyli, jak jego zęby zaczynają się wydłużać.

26 października, 19.49

W powietrzu nad Cezareą

Bathory umierała razem z Hunorem. Skulona, skręcała się z bólu, naprężając pasy fotela. Trzymała się rękami za brzuch, aby powstrzymać pęd krwi, która chciała rozerwać ciało.

Czuła, jak życie uchodzi z jej brata, z którym była złączona więzami krwi. Pragnęła za nim podążyć, przygarnąć go do piersi i ukoić w ostatniej wędrówce.

Hunor... kochany...

On jednak już nie żył, ból stopniowo zanikał. Bathory spoglądała na swoje jasne dłonie. Żyła, choć została zraniona. Ostatnie ciche wycie Hunora pozostawiło w niej pustkę, jakby to ją przebito ostrzem.

Krzykowi cierpienia odpowiedział drugi krzyk.

Magor zawodził głośno w przedziale bagażowym, wzywając bliźniaka z tego samego miotu. Dwa szczenięta zostały wycięte nożem z brzucha umierającej wilczycy. Były darem od Niego. W trakcie czarnego obrzędu Bathory została z nimi związana krwią, stały się jej częścią, tak samo jak czarny tatuaż na szyi.

Przekręciła się na fotelu i położyła dłoń na przegrodzie oddzielającej ją od Magora. Chciała go przygarnąć, przywołać wspomnienie chwil, które kiedyś dzielili. Ochronić dłońią słaby płomyk na wietrze.

Jestem tutaj! — zawołała z głębi swojej istoty. Dodawała mu otuchy, lecz nie ukrywała bólu.

Nie mogło być inaczej.

Było ich troje, a teraz zostało dwoje.

W jej głowie odezwały się słowa starej węgierskiej kołysanki, niosąc obietnicę spokojnego, bezpiecznego snu. Przekazała je Magorowi.

Tente, baba, tente.

Magor uspokoił się; jego uczucie splotło się z jej miłością. Byli złączeni.

Dwoje przeżyje, dążąc do jednego celu.

Będzie nim zemsta.

Pokrzepiona tym Bathory spojrzała przez okno.

Helikopter leciał w ciemnościach, zostawiając daleko za sobą ruiny Masady. Podwładni Bathory, którzy pozostali przy życiu, siedzieli w milczeniu. Mieli na sobie ślady krwi, lecz żaden nie odniósł ran.

Tarek po cichu odmawiał modlitwy po łacinie; kiedyś, dawno temu był księdzem. Jego usta się poruszały, a zimne oczy śledziły gniew i cierpienie Bathory. Wiedział, co oznaczają.

Tylko jedno stworzenie zdolne jest do uśmiercenia wilkozora w pełni sił.

Korza wciąż żył.

Wzrok Tareka spoczął na ramieniu Bathory. Dopiero wtedy zauważyła, że trawi ją lęk. Dotknęła ramienia palcami i poczuła wilgoć.

To była krew.

Ból Hunora zawładnął nią i zawadziła ręką o mutrę sterczącą ze ścianki helikoptera, rozrywając koszulę i skórę.

Rana była powierzchowna.

Mimo to Tarek drgnął na widok skrwawionych palców.

Szkarłat o srebrzystym odcieniu.

Nawet kropla tej krwi stanowiła truciznę dla niego i jemu podobnych — klątwa zrodzona ze znamienia, które nosiła na szyi. Jeden z Jego darów. Krążyła w jej żyłach i chroniła przed kłami armii Jego sług. Była zarazem źródłem nieustającego bólu, tępego, lecz zawsze obecnego, który nigdy nie zanikał, nie

pozwalając sobie zapomnieć i rozpałał się na nowo przy każdym uderzeniu jej serca.

Wytarła palce i jedną ręką, używając zębów, zabandażowała ranę.

Rafik, który siedział obok Tareka, nabożnie skłonił głowę, gdy jego brat podjął łacińską modlitwę.

Pozostali skierowali wzrok na swoje splamione krwią buty. Więzy łączące ich z poległymi towarzyszami liczyły dziesiątki lat, a może więcej. Bathory wiedziała, że winą za ich śmierć obarczą ją. Podobnie uczyni On. Kara, którą jej wymierzy, budziła trwogę.

Wyjrzała przez okno i wyobraziła sobie Korzę.

Wciąż był wśród żywych.

Gniew palił ją mocniej niż ból w żyłach.

Magor wyczuł to i z jego gardła wydobyło się warknięcie.

Już niebawem — obiecała mu.

Najpierw jednak musiała spełnić swój obowiązek w Cezarei. Przywołała na pamięć obraz archeolożki machającej telefonem komórkowym w grobowcu. Rozpoznała wyraz twarzy kobiety — to szczególne połączenie desperacji i nadziei. Archeolożka coś wiedziała.

To było pewne.

Ale co? Czyżby miała jakąś wskazówkę dotyczącą miejsca, w którym znajdowała się księga? Jeśli tak, to czy zdążyła wysłać informację, zanim góra się zapadła?

Odpowiedź mogła być jedynie w Cezarei.

Znów poleje się krew.

Tym razem sangwinista jej nie powstrzyma.

26 października, 20.01

Pustynia nieopodal Masady

— Korza?!

Ostry, niecierpliwy głos żołnierza wyrwał z zamyślenia Rhuna, który stał, ukrywając połowę twarzy pod kapturem, i wpatrywał się w pustynię. Usiłował coś usłyszeć, mimo że przeszkadzało mu w tym natarczywe bicie serca sierżanta.

— Odwróć się albo zastrzelę cię na miejscu!

Serce kobiety także uderzyło mocniej.

— Jordanie! Nie możesz go tak po prostu zabić!

Rhun pomyślał, że mógłby pozwolić sierżantowi spełnić ten zamysł. Tak byłoby łatwiej. Ale czy jego droga kiedykolwiek była łatwa?

Odwrócił się, ujawniając im swoją prawdziwą naturę.

Kobieta się cofnęła.

Żołnierz mierzył prosto w jego pierś.

Wiedział, co ujrzeli: jego twarz spryskaną krwią i ocienioną kapturem. I tylko zęby błyszczały w świetle księżyca.

Czuł śpiewającą w głębi swej istoty bestię oraz wycie, które pragnęło wyrwać mu się z gardła. Przemoczony krwią, walczył z tym. Walczył także z pragnieniem, by uciec na pustynię i ukryć swoją hańbę. Nie zrobił tego, lecz uniósł ręce na wysokość ramion i rozprostował. Musieli się przekonać, że nie ma broni. Powinni także zobaczyć prawdę.

Stojąca nieruchomo jak posąg kobieta opanowała początkowy strach.

— Rhunie, ty także jesteś *strigoi*.

— Nic podobnego. Jestem sangwinistą.

Żołnierz prychnął, lufa jego pistoletu nawet nie drgnęła.

— Jakoś nie widzę różnicy.

Wiedział, że musi poniżyć się jeszcze bardziej, aby zrozumieli. Mierziła go sama myśl o tym, ale tylko w taki sposób mieli szansę ujść z życiem z pustyni.

— Podaj mi moje wino — poprosił.

Wyciągnął rękę ku butelce do połowy zagłębionej w piasku. Jego palce drżały.

Kobieta schyliła się po nią.

— Rzuć mu to! — polecił żołnierz. — Nie zbliżaj się!

Zrobiła to, co kazał; jej bursztynowe oczy się rozszerzyły. Butelka spadła na piasek o długość ramienia od Rhuna.

— Mogę ją podnieść?

— Tylko powoli. — Pistolet w ręku sierżanta nawet nie drgnął; najwyraźniej żołnierz nie cofnie się przed spełnieniem swojego obowiązku.

Rhun także nie zamierzał. Uklęknął, nie spuszczać wzroku z sierżanta. Gdy tylko palce dotknęły butelki, uspokoił się, żądza przygasła. Być może wino ich uratuje.

Spoglądał na żołnierza i kobietę.

— Mogę się trochę oddalić i wypić? Później wszystko wytłumaczę.

Proszę — modlił się. — Pozwól mi zachować resztkę godności.

Nie było mu to dane.

— Ani mi się waż! — ostrzegł żołnierz. — Na kolana!

— Jordanie, dlaczego...

— Wciąż podlegasz moim rozkazom, doktor Granger — przerwał jej sierżant.

Emocje, wyraźnie widoczne na twarzy kobiety, ustąpiły miejsca rezygnacji. Najwyraźniej ona też nie ufała Rhunowi. Ten zdziwił się, że tak bardzo go to dotknęło.

Uniósł butelkę do ust i opróżnił ją jednym długim haustem. Wino jak zawsze sparzyło mu gardło, żar wlał się w głąb jego

ciała. Zacisnął dłonie na krzyżu wiszącym na szyi i skłonił głowę.

Ciepło poświęconego wina, krwi Chrystusa, przepaliło więzy trzymające go w tym miejscu i czasie. Nieskrępowany i uwolniony od wszelkiej kontroli, cofnął się w otchłań swoich największych grzechów. Nie ucieknie przed nimi, dopóki nie dokona się jego pokuta na tym świecie.

Elisabeta ze śmiechem sunęła przez ogród w karmazynowej sukni. Jasna jak poranne słońce, najpiękniejsza róża ze wszystkich, które tam rozkwitły.

Taka piękna, tak pełna życia.

Mimo że był księdzem i ślubował unikać cielesnego kontaktu, nic nie zakazywało mu patrzeć na boskie piękno, które rozświetlało delikatną skórę na kostce, gdy dziewczyna schylała się, by zerwać pęd lawendy. Albo na łuk jej delikatnego policzka, kiedy unosiła głowę, żeby spojrzeć na niebiosa, ku którym zawsze biegło jej spojrzenie.

Jakże ona kochała słońce! Uwielbiała ciepło letniego popołudnia, a nawet obietnicę słonecznego dnia w środku zimy.

Zbierała w ogrodzie lawendę i tymianek, aby zrobić z nich okład dla klaczy; przez cały czas tłumaczyła mu, do czego służy jedno, a do czego drugie. Znał ją od kilku miesięcy i dużo się nauczył o właściwościach leczniczych roślin. Zaczął nawet pisać książkę z nadzieją, że jej dary będą przywracać ludziom zdrowie.

Musnęła jego dłoń miękkimi opuszkami palców, podając mu łądygi lawendy. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Ksiądz nie powinien mieć takich doznań, on jednak się nie odsunął. Zbliżył się jeszcze bardziej i patrzył na słońce igrające na jej kruczoczarnych włosach, na długą wiotką szyję i porcelanowe ramiona, na załamania delikatnej jedwabnej sukni.

Służąca Elisabety podeszła z koszem, żeby zabrać lawendę. Szczupła dziewczyna odwróciła głowę; nie chciała pokazywać czerwonego znamienia, które zakrywało połowę jej twarzy.

— Anno, zanieś koszyk do kuchni i wysyp zioła — poleciła Elisabeta, wrzucając do niego jeszcze jedną garść tymianku.

Służąca odeszła, zmagając się z ciężarem. Rhun chętnie pomógłby drobnej dziewczynie, lecz Elisabeta by się nie zgodziła, ponieważ był gościem.

Odprowadziła wzrokiem odchodzącą Annę. Kiedy zostali sami, odwróciła się do Rhuna, a jej twarz — jeśli to możliwe — jeszcze bardziej się rozświetliła.

— Chwila spokoju! — zawołała z radością. — Czuję się taka samotna, gdy stale kręci się wokół mnie służba.

Rhun, który często spędzał dni na modlitwie w ciemnej celi, aż nazbyt dobrze rozumiał, jaką uciążliwością jest niechciane towarzystwo.

Uśmiechnęła się.

— Ale ciebie to nie dotyczy, ojczy. Z tobą nigdy nie czuję się osamotniona.

Nie zdołał wytrzymać jej spojrzenia. Odwrócił się i zerwał lawendę.

— Nigdy cię to nie męczy, ojczy? To wieczne noszenie maski.

Poprawiła kapelusz z szerokim rondem. Zawsze bardzo się starała, by nie dopuścić słońca do swojej jasnej skóry. Niewiasty z jej pozycją nie mogą wyglądać tak, jakby musiały pracować na słońcu.

— Ja noszę maskę? — zdziwił się, zachowując beznamiętny wyraz twarzy. Gdyby wiedziała, co ukrywał, umknęłaby z krzykiem.

— Ależ oczywiście, nosisz maskę księdza. Ja jednak muszę nosić wiele masek, nazbyt wiele dla jednego oblicza. Dama, matka i żona. A i to nie wszystkie. — Obróciła na palcu ciężki złoty pierścionek, prezent od męża Ferenca. — Zastanawiam się, co się kryje pod tymi maskami.

— Przypuszczam, że wszystko inne.

— Ile prawdy... ile z naszej prawdziwej natury potrafimy zataić, ojczy? — Brzmienie jej niskiego głosu przyprawiło go o dreszcz na plecach. — I przed kim?

Popatrzył na cień, który jej sylwetka rzucała na ziemię obok niego.

— Zatajamy to, co zatajać musimy — odrzekł cicho, jakby się modlił.

Jej cień oddalił się nieco; być może zasmuciła ją jego odpowiedź. Ta myśl zdruzgotała go tak, jakby Elisabeta przydeptała go obcasem buta.

Nad polem zawisła ciemna sylwetka jastrzębia. Wsłuchał się w szybkie bicie serca ptaka i nikłe bicie serc myszek wśród trawy i zieleni. Jego posługa Kościołowi, zielone pole, jasne słońce, kwitnące kwiaty... Wszystkimi tymi niezmiernymi darami obdarzył Bóg istotę tak marną jak on, Rhun Korza.

Czyż to nie dość?

Przesunęła dłońmi po przodzie sukni.

— Jesteś roztropny, ojcze. Arystokratka, która zdejmie swoją maskę, nie przetrwa długo w tych czasach.

Zatrzymał się.

— Co cię trapi?

— Być może mam dość intryg. — Patrzyła na nurkującego drapieznika. — Kościół zapewne zмага się z tymi samymi kipiącymi ambicjami, wielkimi i małymi.

Rhun dotknął palcem krzyża pektoralnego.

— Myślę, że Bernard ochrania mnie przed najgorszym.

— Nigdy nie ufaj tym, którzy są twoją tarczą. Karmią się ciemnotą i ignorancją. Najlepiej jest patrzeć na sprawy wprost i bez lęku.

Chciał dać jej odrobinę otuchy.

— Może jednak lepiej zaufać tym, którzy są twoją tarczą. Jeśli kierują się miłością, jeśli pragną cię chronić.

— Mówisz jak mężczyzna. I jak ksiądz. Ja jednak nauczyłam się, że niewiele osób jest godnych zaufania. — Przechyliła głowę w zamyśleniu. — Ty należysz do wyjątków, ojcze.

— Jestem księdzem, więc musisz mi ufać. — Uśmiechnął się nieśmiało.

— Nie ufam żadnemu innemu księdzu, także twojemu drogiemu Bernardowi. Ale ty jesteś inny. — Dotknęła jego

ramienia, sprawiając mu radość. — Jesteś po prostu przyjacielem. Jednym z garstki moich przyjaciół.

— To dla mnie zaszczyt, pani.

Cofnął się i ukłonił. Tym teatralnym gestem chciał poprawić nastrój.

Uśmiechnęła się wyrozumiale.

— I niechaj tak zostanie.

Powiedziała to takim tonem, że oboje się roześmiali.

— Anna wraca. Znowu. Opowiedz mi jeszcze raz o tym, jak ścigaliście się z bratem, wpadliście do strumienia i poczuliście, że macie ryby w butach.

Powtórzył historyjkę, ubarwiając ją licznymi szczegółami, które poprzednio pominął. Elisabeta śmiała się głośno.

To były szczęśliwe chwile, pełne śmiechu.

Ale pewnego dnia śmiech Elisabety zamilkł.

Tego dnia Rhun ją zdradził.

Tego samego dnia zdradził również Boga.

Wrócił do swojej postaci i terażniejszości. Zimny piasek smagał jego kolana, suchy wiatr porywał łyzy z policzków. Srebrny krzyż palił go przez rękawicę i zostawił szkarłatną oparzelinę na dłoniach. Ramiona ugięły się pod brzemieniem grzechów i klęsk. Mocniej zacisnął palce na parzącym metalu.

— Rhun? — odezwała się do niego kobieta.

Uniósł głowę, niemal spodziewając się, że ujrzy Elisabetę. Sierżant przyglądał mu się podejrzliwie, lecz w oczach kobiety zobaczył jedynie litość.

Skierował spojrzenie na Jordana. Jego wzrok łatwiej było mu znieść.

— Czekamy na wyjaśnienia — oznajmił żołnierz. — Już dawno powinniśmy je usłyszeć.

20.08

— Jordanie, spójrz na jego zęby... Znów są normalne.

Zdumiona Erin cofnęła się, jakby chciała lepiej ocenić cudowną przemianę. Pragnęła zrozumieć to, przed czym jej umysł nadal się wzbraniał.

Poczuła na sobie uścisk muskularnej ręki Jordana.

Nie opierała się.

Mimo że trawiła ją naukowa ciekawość, wciąż obawiała się Rhuna.

Ksiądz odezwał się drżącym głosem; znów dał o sobie znać jego słowiański akcent. To było tak, jakby Rhun powrócił z daleka, z miejsca, w którym wciąż mówiono w jego ojczystym języku.

— Dziękuję wam za cierpliwość...

— Jest na wyczerpaniu — wpadł mu w słowo Jordan. W jego tonie nie było wrogości, lecz mocne przekonanie.

Erin zdjęła z talii rękę sierżanta. Chciała wysłuchać księdza, ale nie zrobiła kroku w jego stronę.

— Powiedziałaś, że jesteś sangwinistą, a nie *strigoi*. Co to znaczy?

Rhun spojrzał na ciemną pustynię; tam szukał odpowiedzi.

— *Strigoi* to dzikie i piekielne stwory. Lęgną się ze zbrodni i rozlewu krwi, nie służą nikomu oprócz siebie samych.

— A sangwiniści?

— Wszyscy członkowie zakonu sangwinistów byli niegdyś *strigoi* — przyznał Rhun, patrząc jej prosto w oczy. — Wszelako teraz moi bracia zakonni służą Jezusowi Chrystusowi. To Jego błogosławieństwo pozwala nam chodzić w boskim świetle i Mu służyć. Jesteśmy Jego wojownikami.

— A więc możesz poruszać się w świetle dnia? — spytał Jordan.

— Tak, ale promienie słoneczne sprawiają mi ból — odrzekł ksiądz i dotknął kaptura.

Archeolożka przypomniała sobie pierwsze spotkanie z Rhunem. Większą część jego twarzy ocieniał kaptur, oczy skrywały ciemne okulary. Być może tradycyjne ubiory z kapturami katolickich mnichów miały swoje źródło w zakonie

sangwinistów; być może stanowiły zewnętrzne odbicie dawnej tajemnicy.

— Jednak *strigoi* nie są chronieni Chrystusowym błogosławieństwem — ciągnął ksiądz — dlatego dotknięcie słońca ich zabija.

— Na czym dokładnie polega błogosławieństwo Chrystusa? — Erin sama się zdziwiła, słysząc drwiący ton w swoim pytaniu. Nie zdołała jednak się powstrzymać.

Rhun długo się jej przyglądał, jakby szukając odpowiednich słów, które tłumaczyłyby cud. Kiedy w końcu przemówił, zabrzmiały one uroczyście i niosły w sobie pewność, której brakowało jej przez większą część życia.

— Podążyłem drogą Chrystusa i złożyłem przysięgę zabraniającą picia ludzkiej krwi. Zostało nam to zakazane.

Jordan ani na chwilę nie tracił zmysłu praktycznego.

— Czym więc się żywisz, *padre*?

Rhun wyprostował się. Bijąca od niego duma płynęła przez pustynne powietrze prosto do Erin.

— Przysięgłem, że będę przyjmował tylko Jego krew.

Jego krew...

Usłyszała nacisk, jaki położył na ostatnie słowa. Zrozumiała ich sens.

— Mówisz o krwi Chrystusa — stwierdziła i tym razem zdumiała się, że w jej głosie nie ma drwiny. Wychowana w otoczeniu pobożnych katolików, wiedziała nawet, skąd owa krew pochodzi. Stanęła jej przed oczami scena z dzieciństwa. Klęcząc na klepisku przed ołtarzem, czuła gorycz wina, którego krople spadały na jej język.

Spojrzała na butelkę.

Coś w niej było, ale nie woda.

Nie było to także wino, mimo że nie tak dawno je smakowała.

Wiedziała, co jest w środku.

— To konsekrowane wino — oznajmiła, wskazując ręką.

Ksiądz z czcią dotknął butelki.

— Więcej niż konsekrowane.

To także zrozumiała.

— Chcesz powiedzieć, że przeszło transsubstancjację?

Poznała to słowo podczas nauki katechizmu i kiedyś wierzyła, że niesie w sobie prawdę.

Transsubstancjacja to jeden z głównych dogmatów katolicyzmu. Mówi on, że wino konsekrowane podczas mszy w sensie dosłownym staje się krwią Chrystusa i że jest w nim sama jego istota.

Rhun skłonił głowę.

— To prawda, w tym naczyniu znajduje się wino przemienione w krew Chrystusa.

— Niemożliwe — rzekła cicho, lecz bez przekonania.

Jordan również nie zamierzał uwierzyć.

— Piłem z tej butelki, *padre*. To wygląda jak wino, ma jego zapach i smak...

— Ale nim nie jest — wtrącił Rhun. — To krew Chrystusa.

W głosie Erin znów odezwała się prześmiewcza nuta. Pozwalała jej zachować równowagę.

— Twierdzisz, że transsubstancjacja to realna przemiana, nie metaforyczna?

Rhun wyciągnął rękę.

— Czyż nie jestem tego dowodem? To Jego krew utrzymuje przy życiu mnie i moich braci. Akt transsubstancjacji stanowił rodzaj przymierza i obietnicy, którą Chrystus złożył całej ludzkości, lecz największe znaczenie miał dla *strigoi*, których On chciał zbawić. Aby ocalić nasze dusze, przysięgliśmy, że rezygnujemy z karmienia się ludzką krwią i będziemy się pożywiać jedynie Jego krwią uświęconą. W ten sposób staliśmy się Rycerzami Chrystusa, związanymi przysięgą posługi Kościołowi do końca naszych dni. Wtedy Pan znów pozwoli nam stanąć u swojego boku. Na tym polega nasza umowa z Jezusem Chrystusem i Kościołem.

Erin nie mogła uwierzyć w słowa księdza. Jej ojciec przewróciłby się w grobie na samą myśl o tym, że krew Chrystusa może służyć do takiego celu.

Rhun musiał dostrzec niedowierzenie na jej twarzy.

— Jak myślisz, dlaczego pierwsi chrześcijanie nazywali wino komunijne „lekiem nieśmiertelności”? Ponieważ wiedzieli to, co dawno poszło w zapomnienie. Jednak pamięć Kościoła jest o wiele dłuższa.

Obrócił butelkę tak, by zobaczyli pieczęć Watykanu: dwa skrzyżowane klucze związane sznurem pod potrójną koroną.

Ksiądz skierował wzrok na Erin.

— Proszę cię tylko, żebyś uwierzyła jedynie w to, co widzisz własnymi oczami i czujesz sercem.

Usiadła ciężko na kamieniu i oparła głowę na dłoniach. Próbowwała wina, które było w butelce. Jako naukowiec nie mogła uwierzyć, że jest czymś innym. A jednak widziała *strigoi* pijących krew, widziała, jak Rhun pił wino.

Zarówno tamci, jak i on nabierali potem sił.

Usiłowała pogodzić cud z naukowym tokiem rozumowania.

Nie sposób jest przemienić wino w krew, a więc to wiara Rhuna sprawia, że pije wino, jakby to była krew. To musi być efekt placebo.

— Wszystko w porządku? — zapytał Jordan.

— Transsubstancjacja to tylko legenda — odparła tonem wyjaśnienia. — Coś w rodzaju mitu.

— Podobnie jak *strigoi*? — odezwał się Rhun. — Tacy, którzy krążą w ciemności i piją ludzką krew. Ich istnienie przyjęłaś do wiadomości, ale nie możesz się pogodzić z faktem, że poświęcone wino jest krwią Chrystusa. Czy ty nie masz ani krzty wiary?

To ostatnie zdawało się martwić go bardziej niż argumenty przytoczone przez Erin.

— Wiara nie przysłużyła mi się dobrze. — Zacisnęła dłonie. — Widziałam, jak możni tego świata wykorzystują Kościół jako narzędzie przeciwko słabym, a religię jako przeszkodę na drodze do prawdy.

— Chrystus to coś więcej niż działalność błędzących ludzi. — Rhun mówił z naciskiem jak ksiądz, który chce ją nawrócić;

duchowni często tak postępowali. — On żyje w naszych sercach, Jego cuda utrzymują nas wszystkich przy życiu.

Jordan odchrząknął.

— Wszystko pięknie, *padre*, ale wróćmy do ciebie. Jak zostałeś sangwinistą?

— Niewiele jest do powiedzenia. Przed wiekami ukąsił mnie *strigoi*, a później zmuszano mnie do upijania się ich krwią. — Rhun wzdrygnął się. — Chcieli uczynić mnie jednym z nich, stworem zniewolonym przez niskie żądze, pożeraczem ludzi.

— I co było później? — dociekał sierżant.

Rhun mówił szybko, chciał jak najprędzej mieć to za sobą.

— Stałem się *strigoi*, lecz zanim wstąpiłem na ich drogę, pokazano mi inną. Jeszcze tej samej nocy, zanim skosztowałem ludzkiej krwi, zwerbował mnie i przyjął w swoje szeregi zakon sangwinistów. Wtedy podążyłem za Chrystusem i od tej pory nigdy z tej drogi nie zstąpiłem.

— W jaki sposób za nim podążyłeś? — indagował Jordan, okazując taki sam sceptycyzm jak wcześniej archeolożka. — Jak ktoś taki jak ty służy Kościołowi?

— Błogosławieństwo krwi Chrystusa pozwala sangwinistom na korzystanie z wielu dobrodziejstw. Na przykład na poruszanie się w dziennym świetle. Wolno nam także czerpać z tego, co święte i uświęcone. Jednak, podobnie jak promienie słoneczne, świętość wciąż pali nasze ciała.

Ściągnął rękawiczkę. Na jego dłoni czerwieniło się odparzenie w kształcie krzyża. Erin widziała, jak przed kilkoma chwilami ścisnął krzyż, który nosił na szyi. Wyobrażała sobie, jak metal parzy jego skórę.

Rhun domyślił się, co ją zaniepokoiło.

— Ból przypomina nam o cierpieniach Chrystusa na krzyżu i służy jako nieustające memento przysięgi, którą złożyliśmy. To niewielka cena za możliwość życia w blasku Jego łaski.

Delikatnie wsunął krzyż pod postrzępiony habit. Czy parzy go on także w serce? Czy to dlatego katolicycy księża noszą duże krzyże? Czyżby też symbolizowały pradawną tajemnicę?

Podobnie jak habity z kapturami pozwalające sangwinistom ukrywać się wśród zwykłych braci, którzy są istotami ludzkimi?

Erin miała jeszcze setki podobnych pytań.

Sierżant zadał tylko jedno:

— Z kim więc walczysz jako żołnierz Kościoła?

Rhun ponownie zwrócił wzrok ku pustyni.

— Zostaliśmy powołani do walki z naszymi piekielnymi pobratymcami, *strigoi*. Ścigamy ich i dajemy szansę przyłączenia się do zastępów Chrystusa. Jeśli ją odrzucają, uśmiercamy ich.

— A jakie miejsce my, ludzie, zajmujemy na waszej liście celów? — spytał Jordan.

Mnich spojrzał na dwoje towarzyszy.

— Przysięgłem, że nigdy nie odbiorę życia człowiekowi, chyba że służyłoby to ocaleniu drugiego człowieka.

Erin odzyskała głos.

— Mówisz, że twoja misja polega na zabijaniu *strigoi*. Jednak z twoich słów wynika, że stworzenia te nie wybrały swojego losu, podobnie jak ty. Pies nie pragnie zarazić się wścieklizną, kiedy ukąsi go inny pies.

— *Strigoi* stoją niżej niż zwierzęta — odparował Rhun. — Nie mają duszy, istnieją wyłącznie po to, by czynić zło.

— A więc twoje zadanie polega na tym, żeby posyłać ich z powrotem do piekła — zauważył Jordan.

W oczach księdza pojawiła się niepewność.

— Nie mają duszy, ale prawdę mówiąc, nie wiemy, dokąd trafiają.

Jordan stanął bliżej archeolożki i opuścił broń, lecz wciąż pozostawał w gotowości.

— Jeśli *strigoi* są stworami piekielnymi — dopytywała się Erin — to dlaczego zależy im na Ewangelii Chrystusa?

Rhun gotów był odpowiedzieć na to pytanie, lecz nagle zamarł. Serce Erin zaczęło bić szybciej. Ksiądz odwrócił głowę i spojrzał w górę.

— Nadlatuje helikopter — oznajmił po prostu.

Jordan zerknął w jedną i drugą stronę, lecz ani na chwilę nie spuścił wzroku z Rhuna.

— Nic nie widzę.

— A ja go słyszę — odparł ksiądz, przechylając głowę. — To jeden z naszych.

Erin wypatrzyła światełko, które szybko się zbliżało.

— O, tam.

— Co to znaczy „jeden z naszych”? — spytał Jordan.

— Należy do Kościoła — wyjaśnił Rhun. — Nie musicie się obawiać tych, którzy nim przybędą.

Erin patrzyła na szybko zbliżającą się maszynę, lecz lęk nie dawał jej spokoju.

Ilu ludzi w ciągu minionych stuleci zginęło po usłyszeniu podobnych zapewnień?

26 października, 20.28

Cezarea, Izrael

Bathory przemierzała cicho ruiny hipodromu; za nią jak cień podążał Magor, stąpając bezgłośnie na psich łapach. Dzieliła jego zmysły, stała się myśliwym tak samo jak wilkozor. Wyczuwała smak pobliskiego Morza Śródziemnego, które rozpościerało się po prawej stronie niczym wielkie czarne lustro. Czowała woń gruzów starożytnych kamiennych siedzisk, wychwyciła daleki powiew końskiego nawozu i potu.

Okrażała stajnię z daleka, trzymając się zawietrznej, aby nie spłoszyć koni. Tareka i pozostałych zostawiła przy helikopterze; chętnie się od nich oddaliła. Dobrze się czuła sama z Magorem u boku; nad nią wisiało ciemne niebo, a zwierzyna była blisko.

Powoli zbliżali się po piasku do namiotów, kierując się ku jednemu, w którym jarzyło się światło. Nie potrzebowała wyostrzonych zmysłów wilka, by dosłyszeć strzępki rozmowy, które dochodziły z wnętrza i niosły się przez cichą noc. Dostrzegła dwie poruszające się sylwetki. Ton głosów wskazywał, że byli to kobieta i mężczyzna, oboje młodzi.

Studenci z ekipy archeolożki.

Korzystając z tego, że rozmowa zagłuszała inne odgłosy, Bathory dotarła do namiotu od tyłu; otwarte małe siatkowe okienko wpuszczało do środka nocną bryzę. Stała i podglądała tamtych dwoje niczym milczący nocny strażnik; u jej biodra czekał Magor.

Młody mężczyzna w kowbojskich butach i dżinsach chodził tam i z powrotem po namiocie, a dziewczyna siedziała przed laptopem i sączyła dietetyczną colę. Na ekranie przesuwały się milczące obrazy; stacja CNN nadawała reportaż o trzęsieniu ziemi. Dziewczyna nie spuszczała wzroku z komputera; dłonią przytrzymywała słuchawkę w uchu i nasłuchiwała z uwagą.

— Zadzwoń jeszcze raz do ambasady, Nate — odezwała się, nie odwracając głowy. Chłopak podszedł do siatkowego okienka i wyjrzał, lecz w gruncie rzeczy nie patrzył. Bathory nie zmieniła pozycji; wiedziała, że skrywa ją cień. Rozkoszowała się tymi chwilami w czasie polowania, gdy zwierzyna była blisko, lecz wciąż nie podejrzewała, że za chwilę zdławi jej gardło śmiertelny strach.

Magor tkwił nieruchomo jak nocne niebo. Bathory znów ucieszyła się, że nie ma z nimi Tareka i reszty. Tamci nie umieli docenić prawdziwej rozkoszy polowania, pławili się jedynie w rozlewie krwi.

Nate odwrócił się, podszedł do stołu i cisnął komórkę na blat obok laptopa.

— Po cholere? Dzwoniłem i dzwoniłem w kółko, numer stale zajęty. Wykręciłem nawet na komendę policji. Nie powiedzieli mi, dokąd zabrano doktor Granger.

Amy wskazała ekran komputera, na którym przewijały się obrazy katastrofy.

— A jeśli zabrali ją do Masady? Podobno wstrząsy wtórne spowodowały zawalenie się góry.

— Nie myśl o najgorszym, doktor Granger może być wszędzie. Jeśli zdążyła przesłać nam te dziwne zdjęcia, mogła przynajmniej dodać SMS-a, wyjaśnić, gdzie się znajduje.

— Może jej nie pozwolono. Ten izraelski żołnierz był wobec niej bardzo stanowczy. Ale to zdjęcie otwartego sarkofagu... Musiała badać jakiś splądrowany grobowiec.

Bathory uśmiechnęła się w ciemności; pamiętała, jak archeolożka rozpaczliwie wywija w powietrzu telefonem

komórkowym. A więc jednak wysłała zdjęcia, które uważała za ważne; być może zawierały wskazówkę o miejscu ukrycia księgi.

Dotknęła palcami zabandażowanej ręki; pamiętała, że Hunor zginął, poszukując tajemnicy, którą te zdjęcia mogły ujawnić. Zimny gniew wyostrzył jej zmysły i pomógł skupić umysł; ból, który roznosiła w jej ciele krew, zelżał.

— Wracam do namiotu — oznajmił Nate. — Zdrzemnę się parę godzin, a później spróbuję dodzwonić się do kogoś, kiedy ucichnie trochę zamieszanie po trzęsieniu ziemi. Ty też się prześpij. Coś mi mówi, że to będzie długa noc.

— Nie chcę zostać sama. — Amy oderwała wzrok od ekranu i spojrzała na kolegę. — Najpierw zginął Heinrich, teraz doktor Granger się nie odzywa... Nie zmrużę oka.

Bathory wychwyciła w tych słowach zawołane zaproszenie, lecz Nate najwyraźniej był na nie głuchy. Szkoda. Znacznie łatwiej byłoby skraść laptopy i telefony, gdyby odeszli oboje. Tego rodzaju strata nie byłaby niczym nadzwyczajnym w odosobnionym obozowisku; zrzucono by ją na karb pospolitej kradzieży.

Oceniała wzrokiem dwoje młodych ludzi. Nate był wysoki, dobrze zbudowany i przystojny. Wiedziała, dlaczego Amy chce, żeby z nią został.

Doceniała przyjemność, jaką niesie ze sobą ciepło męskiego ciała w łóżku; przypomniawszy sobie nieszczęsnego Farida. Jej palce ześliznęły się do paska i wyciągnęły arabski sztylet, który skradła mu, gdy padł martwy. Wciąż okazywał się użyteczny, choćby w taki drobny sposób.

Cofnęła się, by obmyślić, jak najlepiej wypłoszyć tych dwoje albo przynajmniej ich rozdzielić. Rozejrzała się po obozie i uśmiechnęła, słysząc dalekie rżenie koni.

Szepnęła coś do ucha Magorowi, a wilk pomknął cicho ku stajni.

Nękanie poczuciem winy Nate krążył po namiocie.

Nie powinienem puścić doktor Granger samej.

Był jej dłużnikiem, dała mu szansę, której nie chciał dać nikt inny. Przed dwoma laty został absolwentem bez przydziału. Pracował na dwa etaty i utrzymywał młodszą siostrę. Z powodu nadmiaru zajęć zaważył pracę magisterską, lecz doktor Granger zaryzykowała i wzięła go pod swoje skrzydła. Pomogła nawet załatwić siostrze stypendium na Uniwersytecie Rice'a, dzięki czemu Nate mógł wyjechać z kraju.

Jak jej za to odpłacił?

Pozwolił, żeby wsiadła sama do helikoptera pełnego uzbrojonych typków.

Sięgnął ręką do klapy namiotu, by ją odsunąć, ale w tej samej chwili od stajni dobiegło rżenie przestraszonych koni i odbiło się niesamowitym echem w ciemnych ruinach.

Nate wyszedł. Światło księżyca padało na starożytne kamienne siedziska i prostokątny rów, w którym jego przyjaciel Heinrich zginął od uderzenia końskiego kopyta.

Zimny wiatr sypnął mu piaskiem w oczy.

Zamrugął.

— Co się dzieje z końmi?

— Nic mnie to nie obchodzi — odburknęła Amy, która wciąż tkwiła przed laptopem. — Mam nadzieję, że coś okropnego. Zwłaszcza temu białemu życzę jak najgorzej.

— Ogier był tylko spłoszony, to się stało przypadkowo.

Nate nie mógł mieć za złe koleżance, że jest wściekła na konia. Heinrich zginął. Znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Równie dobrze mogło to spotkać Nate'a.

Rżenie było coraz bardziej przeraźliwe.

— Zobaczę, co się tam dzieje. Może to szakal.

— Nie zostawiaj mnie samej — poprosiła z przestachem.

Nate wcisnął na głowę kowbojski kapelusz i zaczął przeszukiwać drewnianą skrzynkę stojącą w pobliżu drzwi. Doktor Granger trzymała w niej pistolet, z którego strzelała do węży.

— Niech stajenni pilnują koni — przekonywała Amy. — Nie powinieneś iść tam w nocy.

— Nic mi nie będzie — uspokoił ją. — A tobie nic tutaj nie grozi.

Zadowolony, że może czymś zająć targane niepokojem myśli, ruszył po piasku. Jednak czuł się dziwnie; dostał gęziej skórki na rękach, i to nie z powodu zimna.

Amy mnie postraszyła — powiedział sobie.

Mimo to mocniej zacisnął pistolet w dłoni i przyspieszył kroku. Nagle jakiś cień przemknął z jego prawej strony.

Nate stanął i się obrócił.

Kątem oka spostrzegł dużą postać, która go minęła. Nie zdążył się dobrze przyjrzeć, nie wiedział, z czym ma do czynienia. Zwierzę było jednak większe od największego szakala, jakiego widział. Miało rozmiary cielaka, lecz poruszało się chyżo i płynnie niczym drapieznik. Znikło tak szybko, że nie miał pewności, czy nie było jedynie przywidzeniem.

Obejrzał się na oświetlony namiot. Z daleka wyglądał jak lampion w mroku nocy.

Z przeciwnej strony dobiegło rzenie konia.

20.36

Korzystając z rwetesu spowodowanego przez ogiera, Bathory wbiła koniuszek sztyletu Farida w płótno namiotu i pociągnęła w dół. Dobrze zaostrzona klinga cięła napięty materiał z ledwie słyszalnym szelestem.

Bathory nie spuszczała oka z Amy, która nadal ślęczała przed laptopem. Jej wzrok skupiony był na drzwiach namiotu i nie wiedziała, że za jej plecami powstało drugie wejście.

Odepchnąwszy na boki płachty przeciętego płótna, Bathory po cichu wśliznęła się do namiotu. Stała za lękliwą dziewczyną nieświadomą jej obecności. Jedna słuchawka tkwiła w uchu Amy,

druga zwisała luźno. Bathory słyszała cichutki szum wiadomości CNN, które wyświetlały się na ekranie komputera.

Nie mogła się nadziwić ludziom, którzy szli przez życie w niemal całkowitej nieświadomości. Nie znali prawdziwej natury otaczającego ich świata. Pochłaniał ich kokon nowoczesności, której ważną część stanowiły programy informacyjne nadawane non stop przez siedem dni w tygodniu. Informacje były przefiltrowane i rozcieńczone, ludzie zaś za pomocą dawek kofeiny pobudzali się, aby na wpół przytomnie brnąć przez swoją codzienną egzystencję.

Jednak nie tak wygląda życie.

W głębi jej serca odezwał się wilczy zew Magora, zamajaczyła krew, podnieta, radość drapieżcy.

Oto prawdziwe oblicze świata.

Prawdziwe życie.

Zrobiła krok do przodu i jednym morderczym cięciem pod brodą zgasiła nikły płomyk marnej egzystencji młodej studentki. Strąciła ciało ze stołka, zanim fontanna krwi trysnęła na ekran laptopa.

Amy drżała na podłodze, zbyt oszołomiona, by zdawać sobie sprawę, że dosięgła ją śmierć. Zdołała przeczołgać się jakiś metr w stronę wyjścia z namiotu, a potem legła pokonana w karmazynowej kałuży.

Bathory działała szybko i sprawnie. Zamknęła laptopa i schowała go do plecaka wraz z dwoma telefonami leżącymi na stole.

Kłapa namiotu się poruszyła.

Bathory odwróciła głowę i zobaczyła Nate'a. Jednym spojrzeniem objął scenę, lufa jego pistoletu skierowała się ku nieznajomej.

— Co, u diabła...

Bathory wyprostowała się i jej twarz rozjaśnił ciepły uśmiech. Nie był on jednak skierowany do młodego mężczyzny.

Za plecami Nate'a drgnął cień i ukazała się para czerwonych ślepi pałających żądzą krwi.

Nocne polowanie jeszcze nie dobiegło końca.

Określiła swoją wolę i skierowała ją do serdecznego druha. Jej pragnienie wyraziło się w jednym słowie.

— Bierz.

26 października, 20.37

Pustynia nieopodal Masady

Jordan rozejrzał się ponownie po piasku i kamieniach w poszukiwaniu kryjówki, lecz nie było się gdzie schować, zwłaszcza przed obserwatorem z powietrza.

Helikopter zbliżał się, płyty wirników cięły nocne powietrze. Sierżant rozpoznał opływowy srebrny nos i obłe linie maszyny. Zdjęcia EC 145 widział tylko w internecie; reklamowano go jako najbardziej luksusowy helikopter dostępny za osiem milionów dolarów. Zasługiwał na miano latającego mercedesa benza.

Mocodawca Korzy najwyraźniej nie narzekał na brak funduszy.

Ksiądz zbliżył się do boku helikoptera.

Jordan pamiętał, że maszyna zabiera na pokład osiem osób łącznie z pierwszym i drugim pilotem. Musiał się więc liczyć z tym, że będzie miał do czynienia z ośmioma przeciwnikami, teren zaś nie dawał żadnej możliwości obrony. Pogodziwszy się z twardymi faktami, schował pistolet do kabury. Nie miał szans na zwycięstwo w walce, musiał więc pokładać nadzieję w tym, że Korza nie kłamał, zapewniając, że przybysze nie stanowią zagrożenia.

Odwrócił się do Erin.

— Możesz ustać na nogach? — spytał cicho. Brał pod uwagę ewentualność, że będą musieli uciekać.

— Spróbuję.

Jej twarz wykrzywił grymas bólu i przeniosła ciężar ciała na prawą nogę. Na lewej nogawce spodni pojawiła się ciemna plama krwi.

— Co ci się stało? — zapytał. Był zły na siebie, że wcześniej nie dostrzegł jej zranienia.

Archeolożka ze zdziwieniem skierowała wzrok w dół.

— To ten wilk mnie skaleczył. Nic mi nie będzie.

— Pokaż.

Uniosła brwi.

— Nie będę tutaj ściągać portek.

Wyjął nóż z pochwy na kostce.

— Przetnę nogawkę tuż nad raną. Spodnie trafi szlag, ale twoją godność oszczędzę.

Uśmiechnął się.

Odpowiedziała tym samym i usiadła na głazie.

— Niech ci będzie.

Sierżant przeciął szwy, uważając, żeby nie skaleczyć delikatnej kobiecej skóry. Rozdarł materiał i ściągnął go w dół aż do tenisówki. Było w tym coś bardzo intymnego. Starał się nie zranić Erin i zbyt długo nie dotykać obnażonej nogi, która wyglądała pięknie w blasku księżyca. Nawet tego nie zauważył.

Całą uwagę skupił na ranie, która biegła po udzie. Nie była głęboka, lecz długa. Przyglądając się jej podejrzliwie, zawołał Korzę. Musiał przekrzykiwać łoskot wirnika helikoptera.

— *Padre!* Wilkozor skaleczył Erin. Czy to jakaś szczególna rana?

Mnich zerknął na odsłoniętą nogę kobiety, a później skierował wzrok na pustynię. Było po nim widać, że czuje się nieswojo. Jordan odniósł wrażenie, że wreszcie zachowuje się, jak przystało na księdza.

— Oczyszczyć ją dobrze i nie będzie powodu do zmartwień.

Erin wytarła udo strzępem nogawki spodni.

Zanim sierżant zdołał sięgnąć do zestawu pierwszej pomocy, elegancki helikopter usiadł na ziemi. Podmuch wirnika sypnął

im w twarze tumanami piasku. Jordan złożył dłoń i zakrył nią ranę na nodze Erin.

Kucając przy jej boku, oglądał się przez ramię.

Zanim płozy helikoptera dotknęły ziemi, z kabiny maszyny wysiadły trzy postacie w czerni. Ich twarze ocieniały kaptury; poruszali się niewiarygodnie szybko, tak jak Korza w czasie walki. Jordan najchętniej rzuciłby się do ucieczki razem z towarzyszką, lecz tamci błyskawicznie ich otoczyli.

Rozmawiali szeptem z Korzą w języku, który przypominał łacinę. Jordan dostrzegł koloratki.

Sangwiniści, podobnie jak Rhun Korza.

Erin wyprostowała się, sierżant zrobił to samo.

Jeden z księży podszedł. Zimne ręce przesunęły się po ciele Jordana i zabrały mu pistolety. Mężczyzna nie zauważył noża albo mu na nim nie zależało. Tak czy owak żołnierz ucieszył się z tego.

Drugi przybysz oddalił się na kilka kroków z Korzą w głąb pustyni.

Trzeci podszedł do truchła wilkozora i spryskał je płynem, jakby chrzczył bestię po śmierci. Nie była to jednak woda święcona. Błysnęła zapałka i spadła na zwłoki, a te zajęły się i buchnęły płomieniem.

Swąd płonącej sierści rozniósł się po ciemnych pustynnych piaskach.

Zakonnik stał w pobliżu Jordana i Erin, pilnując ich. Archeolożka i tak nie była w stanie podjąć walki. Rana jakby pozbawiła ją resztek sił. Ramiona Erin opadły i chwiały się na jednej nodze. Jordan zbliżył się, lecz strażnik uniósł ostrzegawczo rękę. Sierżant zignorował go i objął towarzyszkę.

Korza i jego rozmówca zawzięcie się spierali; chodziło zapewne o dalsze losy dwojga ludzi. Jordan śledził ich z uwagą. Porzucą ich oboje tu, na pustkowiu, czy też może załatwią sprawę za pomocą ognia, tak jak uporali się ze ścierwem wilkozora?

Wydawało się, że Korza rozstrzygnął sprawę po swojej myśli.

Jordan mógł jedynie zgadywać, czy to źle, czy dobrze.

Jak gdyby przenikając jego myśli, Korza odwrócił się i skierował na niego wzrok. Wskazał ręką helikopter i skinął, żeby wsiadali.

Sierżant nadal nie miał pojęcia, co o tym sądzić. Wiedział natomiast, że tajne jednostki wojskowe bez problemu potrafią pozbyć się człowieka bez śladu. Czyżby taki właśnie los miał spotkać jego i Erin?

Wyobraził sobie kilka scenariuszy i doszedł do wniosku, że największe szanse przetrwania będą mieli, wsiadając do helikoptera. W razie potrzeby stanąłby do walki, lecz nie miał w niej żadnych szans.

Na razie.

Pomógł kulejącej Erin i uchylając się pod wirującymi płatami rotora, podeszli do otwartych drzwi kabiny.

Zaczekał, aż trzech obcy mężczyźni wsiądą, i po raz ostatni spojrzął na pustynię. Jeszcze raz rozważył opcję ucieczki, ale Erin miała tylko jedną sprawną nogę.

Korza stał przy jego boku, jakby milcząco przypominając, że ucieczka jest niemożliwa. Uniósł z piasku kurtkę Jordana i mu podał. Ten prosty gest znacznie złagodził niepokój sierżanta.

— Ty pierwszy — powiedział grzecznie zakonnik.

Jordan włożył kurtkę na ramiona Erin i pomógł jej wsiąść. Archeolożka stanęła w wejściu.

Wnętrze helikoptera prezentowało się luksusowo. Kojące niebieskie światło padało na wykończenia z wypolerowanego ciemnego drewna, w powietrzu unosił się zapach kosztownej skóry. Wszystko w kabinie stanowiło krzyczącą manifestację luksusu. Jordan zwykł latać niewyszukanymi maszynami wojskowymi i właśnie o takiej w tej chwili marzył.

— Są tylko dwa wolne fotele — zauważyła Erin.

Jordan rozejrzał się i przyznał jej rację.

— Któreś z nas leci z bagażami, Korza?

— Wybaczcie. Spodziewano się, że dołączę tylko ja i być może ranny chłopak. Będzie ciasno, ale lot nie potrwa długo.

Erin odwróciła się, oczekując od Jordana wskazówki.

— Możemy przypiąć się jednym pasem — oznajmił sierżant, wskazując obszerne luksusowe siedzisko w tylnej części kabiny.

Skinęła głową, przemknęła obok kolan siedzących i opadła na fotel, zostawiając obok siebie miejsce dla Jordana.

On zaś rozciągnął maksymalnie pas i dopiero wtedy wcisnął się obok niej.

— Moja mama miała gromadę dzieciaków — rzekł, opasując się. — Zapinała nas po dwoje tym samym pasem. Twoja nie?

— Mojej mamie nie wolno było prowadzić samochodu — odparła posepnym tonem. — Zakaz dotyczył wszystkich kobiet.

Sierżant przypomniał sobie słowa, które wypowiedziała wcześniej. *Widziałam, jak możni tego świata wykorzystują Kościół jako narzędzie walki przeciwko słabym.* Postanowił zapytać ją o to w wolnej chwili.

Korza wsiadł na końcu. Był drobniejszy od Jordana i łatwiej zmieściłby się obok Erin, lecz sierżant ani myślał na to pozwolić.

Książd zajął ostatnie wolne miejsce naprzeciwko Jordana i Erin. Jego sąsiad siedział z opuszczonym kapturem; nachylił się i szepnął coś na ucho Korzy. Jordan nie zrozumiał słów, lecz zobaczył, że jest to kobieta. To go zaskoczyło. Czy była istotą ludzką? A może do zakonu sangwinistów Kościół werbował także *strigoi* płci żeńskiej?

Później nikt już się nie odzywał.

Reszta siedziała nieruchomo jak posągi, co zaniepokoiło Jordana bardziej, niż gdyby okazywali ożywioną aktywność.

Helikopter wzniósł się z rykiem w tumanie pustynnego piasku, a Jordan starał się myśleć o czymś innym niż ciepłe ciało Erin tuż obok. Początkowo próbowała się od niego odsuwać, lecz po chwili dała za wygraną, czując nacisk pasa bezpieczeństwa, który ich spinał. Helikopter mknął przez noc, a ona usnęła z wyczerpania.

Jej głowa spoczęła na jego ramieniu, a on przesunął się, żeby nie poleciała do przodu. Od dawna żadna ładna kobieta nie zasnęła, opierając na nim głowę. Miodowe włosy wysunęły się

spod elastycznej opaski i rozsypały na ramionach. Z tej odległości zauważył wśród nich jaśniejsze kosmyki; Erin prowadziła wykopaliska, to musiał być efekt promieni słonecznych.

Zapragnął ich dotknąć, zapagnął odszukać w obrazie tajemniczej całości zapis przypadków, które sprawiły, że ta kobieta znalazła się u jego boku. W ciągu ostatnich kilku godzin wiele przeżyła. Zamierzał wyciągnąć ją z tego bałaganu i doprowadzić bezpiecznie do domu. Musiał to zrobić, ponieważ zawiódł wszystkich, którzy byli pod jego komendą.

Wolał teraz o nich nie myśleć.

Skierował uwagę na ranę na opalonej nodze Erin. Nie była głęboka, lecz nabrzmiące krawędzie brzydko się zaczerwieniły i zebrał się na nich piasek. Powoli i ostrożnie, żeby jej nie zbudzić, wyjął miniaturowy zestaw pierwszej pomocy.

Jak najdelikatniejszym ruchem odkaził płynem ranę. Mimo to Erin jęknęła przez sen.

Wszyscy sangwiniści w kabinie spojrzeli w jej stronę.

Jordan poczuł dreszcz na plecach i oparł dłoń na rękojęści sztyletu.

— Nie obawiaj się nas — szepnął Korza spod kaptura. — Nic wam nie grozi.

Jordan nie odpowiedział, lecz jego ręka pozostała w tym samym miejscu.

21.02

Głowa Erin opadła do przodu. Do jej uszu wdarł się ryk helikoptera i zobaczyła wpatrzone w siebie oczy. Były jasnoniebieskie i miały ciemniejszą obwódkę wokół tęczówki. Uśmiechały się do niej. Odpowiedziała uśmiechem, zanim uświadomiła sobie, że należą do Jordana.

Zasnęła z głową na jego ramieniu i obudziła się, uśmiechając się do niego.

Do żonatego mężczyzny.

W helikopterze pełnym księży.

Spłoniona, wyprostowała się na fotelu i poruszyła, próbując odsunąć się nieco od sierżanta. Prawie usłyszała westchnienie rozczarowania matki i poczuła twardą rękę ojca.

Odwróciła się do okna. Było to jedyne miejsce, w które mogła spojrzeć tak, by ukryć krępujący rumieniec na twarzy. W oddali płonęły światła wielkiego miasta, przesłaniając blask gwiazd. W samym środku kompleksu miejskiego lśniła złota kopuła.

— Dolatujemy do Jerozolimy — oznajmiła.

— Po czym poznałaś? — spytał Jordan, zapewne po to, żeby pomóc jej uratować twarz.

Przyjęła niewypowiedzianą ofertę.

— To ciemne wzniesienie na wschodzie to Góra Oliwna, ważne miejsce historyczne dla trzech wielkich religii: judaizmu, islamu i chrześcijaństwa. Według podań właśnie tam Jezus rzekomo wstąpił do niebios.

Ten i ów sangwinista poruszył się, słysząc słowo „rzekomo”. Wyraźnie ich ono dotknęło, lecz Erin mówiła dalej:

— W Księdze Zachariasza czytamy, że w czasie apokalipsy góra rozpęknie się na dwoje.

— Świetnie, ale miejmy nadzieję, że nie nastąpi to zaraz. Widziałem już rozpadającą się górę i na jakiś czas mi wystarczy.

— Jordan wskazał połyskującą złotą kopułę, na którą wcześniej zwrócił uwagę. — Co to takiego?

— Nazywa się Kopuła na Skale i stoi na Wzgórzu Świątynnym.

— Erin odsunęła się, żeby mógł lepiej widzieć przez okno. — Wokół stoi mur Starego Miasta. Jest jak świetlna wstęga, widzisz? Na północy znajduje się dzielnica muzułmańska. Na południe i na zachód rozciąga się dzielnica żydowska ze słynną Ścianą Zachodnią.

— Ścianą Płaczu?

— Właśnie.

Nachylił się, ocierając się o Erin.

Zerknęła na księży, których twarze skrywały kaptury. Tylko na obliczu Rhuna odbijał się blask miasta. Helikopter wszedł

w skręt. Oczy sangwinisty patrzyły na nią beznamiętnie.

Jej twarz znów się zaczerwieniła; odwróciła głowę. Co Rhun o niej pomyślał? Co sądzi o widoku za oknem helikoptera? Usiłowała ujrzeć ten obraz oczami kogoś, kto patrzy przez pryzmat stuleci. Czy Rhun był na Wzgórzu Świątynnym w 1817 roku, kiedy Mahmud II je odbudował? Zadrżała, gdyż myśl ta wzbudziła w niej lęk zaprawiony odrobiną podziwu.

— Zimno ci? — spytał Jordan i poprawił swoją kurtkę, którą miała na ramionach.

— N-nie, wszystko w porządku — wymamrotała bez tchu. Było jej nawet za ciepło. Bliskość Jordana spowodowała, że temperatura jej ciała wyczyniała dziwne harce. Przez dziesięć lat Erin pochłaniała praca zawodowa i nie miała czasu, by odczuć pociąg do mężczyzny. Tylko jej podłe szczęście mogło sprawić, że znalazła się w helikopterze przypasana do fotela z facetem, który był cholernie atrakcyjny... oraz żonaty.

— Dzięki za kurtkę.

— Niedługo lądujemy — oznajmił cicho, lecz dobitnie Rhun.

— Gdzie? — Jordan odsunął się nieco od Erin; nagle zatęskniła za ciepłem jego ciała. Spojrzała na pasek białej skóry na jego serdecznym palcu.

Oto dowód. Podczas działania zawsze trzeba brać pod uwagę wszystkie fakty.

Gdyby tylko udało się jej przekonać do tego swoje ciało.

— Musimy zawiązać wam oczy — oznajmił Rhun, nie zmieniając wyrazu twarzy.

Jordan wyprostował się. Pas naciągnął się na jego ramieniu.

— Co to znaczy?! Jesteśmy waszymi więźniami?!

— Gośćmi — odparł Rhun.

— Ja nie zawiązuję oczu swoim gościom. — Jordan splótł ręce na piersi. — To mi wygląda na rażącą niegościnnność.

— A jednak... — Rhun rozpiął swój pas.

Siedzący obok ksiądz podał dwa paski czarnego materiału.

Erin poczuła, że udo Jordana robi się twarde jak skała. Wparł się nogami w podłogę. Wydawało się, że gotów jest wystąpić

przeciw sangwinistom, za broń mając jedynie pięści i swój gniew.

Dotknęła jego dłoni.

— Nie teraz, Jordanie.

Spojrzał na nią, jakby nagle przypomniał sobie o jej obecności. Patrzył długo, a potem skinął głową.

Rhun wstał, zręcznie balansując w lecącym helikopterze. Najpierw zawiązał czarną opaskę na oczach Jordana, a potem jej. Jego zimne palce dotknęły jej głowy, delikatnie obchodząc się z włosami. Kiedy skończył, dłoń spoczęła na chwilę na głowie Erin, jakby chciał dodać jej otuchy.

Potem usłyszała, że wraca na miejsce i zapina pas.

Ręka Jordana odnalazła jej dłoń i mocno ją uścisnęła. Poczowała jej krzepiące ciepło. Przesłanie tego gestu było jasne.

Cokolwiek się stanie, przeżyjemy to razem.

26 października, 21.13

Jerozolima, Izrael

Rhun pomógł żołnierzowi i kobiecie wysiąść z helikoptera, a później przeszli pod wirującymi płatami. Sprowadził ich z lądowiska usytuowanego na dachu budynku; zeszli schodami na dół i znaleźli się w wąskiej uliczce. Sierżant ani na chwilę nie puścił ręki kobiety.

Nadrabiali minami, lecz Rhun słyszał trzepotanie ich serc, czuł słony zapach strachu i widział lśniący pot na skórze. Robił wszystko, żeby oddzielić ich od swoich towarzyszy, zapewnić im odrobinę wolnego miejsca. Nie chciał oddawać ich w ręce braci, choć nie bał się, że któryś zrobi im coś złego. Po prostu czuł się za oboje odpowiedzialny, chciał ich chronić.

Patrzył, jak przysuwają się do siebie, idąc ulicą.

Erin i Jordan.

W pewnej chwili przestał myśleć o nich jak o żołnierzu i archeolożce. Teraz byli Erin i Jordanem. Nie podobało mu się, że stają mu się coraz bliżsi. Takie więzi są niebezpieczne. Poznał tę prawdę setki lat temu.

Nigdy więcej.

Odwrócił się.

Wciągnął powietrze do płuc i wyczuł nocne zapachy miasta: sadza, zimna skała i gnijące śmieci na bazarze. Pozostali sangwiniści ich otaczali. Rhun miał nadzieję, że zasłonią dwoje ludzi z zawiązanymi oczami przed wzrokiem ciekawskich przechodniów.

Jak dotąd nic nie poruszyło się w ciemnej alejce, witryny sklepików pozostawały zamknięte, światła zgaszone. Wsłuchał się w bicie ludzkich serc w pobliskich zatłoczonych zaułkach i przecznicach, które składały się na labirynt dzielnicy. Nie wychwyił nic niepokojącego, lecz mimo to popędzał Erin i Jordana. Lękał się, że w każdej chwili ktoś może ich zauważyć.

Po kilku minutach dotarli do kamiennego muru z grubo ciosanego kamienia; czekał tam na nich mężczyzna w habitcie, który niecierpliwie stukał w chodnik podeszwą skórzanego buta. Był niski i krągły. Jego twarz miała czerwony odcień, podobnie jak łysa czaszka.

Przypominał sępa.

Rhun znał tego człowieka — był to ojciec Ambrose — i nie zdziwił się, że pilnuje on bramy.

Ambrose wyszedł powitać przybyszów, a jednocześnie zagrozić im drogę. Nawet nie spojrzął na Rhuna i pozostałych sangwinistów. Jego twarde spojrzenie spoczęło na Erin i Jordanie. Odezwał się krótko, prawie obcesowo:

— Nie wolno wam opowiadać o niczym, co ujrzycie za tą bramą. Ani rodzinie, ani swoim przełożonym w wojsku.

Jordan, który wciąż miał opaskę na oczach, zaparł się stopami i stanął, zatrzymując także Erin.

— Ani mi się śni słuchać rozkazów kogoś, kogo nie widzę.

Rhun zrozumiał jego obiekcje i zdjął obojgu opaski, zanim Ambrose zdążył zaprotestować. Zbyt dużo zdążyli już zobaczyć i usłyszeć. Znajomość położenia tego miejsca wydawała się w porównaniu z tym banalnym drobiazgiem. Poza tym trzeba było dostać się do środka.

Jordan wyciągnął rękę do Ambrose'a.

— Sierżant Stone, dziewiąty batalion rangerów. A to doktor Granger.

— Ojciec Ambrose, asystent Jego Eminencji kardynała Bernarda. — Uściskawszy dłoń Jordana, mnich wytarł rękę w ozdobny habit. — Zostaliście wezwani na spotkanie z Jego

Eminencją. Muszę jednak ponownie podkreślić, że od tej chwili wszystko ma pozostać w najściślejszej tajemnicy.

— Bo co? — spytał Jordan, spoglądając z góry na Ambrose'a. Rhun polubił go jeszcze bardziej.

Ambrose cofnął się o krok.

— Bo w przeciwnym razie się o tym dowiemy.

— Dość już — warknął Rhun i szorstko przecisnął się obok Ambrose'a.

Zrobił krok i położył dłoń na kamiennej ścianie. Przesunął po niej palcami, czyniąc znak krzyża. Kamienie były szorstkie i ciepłe.

— Jedzcie i pijcie z tego wszyscy — wyszeptał i wepchnął środkowy kamień. Ukazała się maleńka misa wykuta w kamiennym bloku, podobna do kropielnicy przy wejściu do kościoła.

Jednak w tej kropielnicy nie trzymano wody.

Rhun wyjął zakrzywiony sztylet i wbił go w środek dłoni w miejscu, w którym ręce Chrystusa zostały przebite gwoździami. Zacisnął palce w pięść i wypuścił kilka kropel krwi do kamiennej misy. Jej wnętrze pociemniało od krwi niezliczonej rzeszy sangwinistów, którzy tędy przechodzili.

— Oto kielich krwi mojej na znak nowego i wiecznego przymierza.

Erin otworzyła usta i westchnęła na widok szczeliny, która rozwarła się w murze. Ukazała się furtka tak wąska, że trzeba było przeciskać się przez nią bokiem.

— *Mysterium fidei* — dokończył Rhun i ramieniem pchnął furtkę, a następnie się cofnął.

Pozostali sangwiniści weszli, a za nimi Ambrose. Erin i Jordan zostali z Rhunem na ulicy.

Kobieta stała jak wryta i spoglądała na ścianę od góry do dołu.

— Znam wszystkie bramy prowadzące do Starego Miasta, zarówno otwarte, jak i zamknięte — powiedziała. — O tej nie ma żadnej wzmianki.

— Istnieje od wieków pod różnymi nazwami — odparł Rhun. Chciał czym prędzej zejść z ulicy, nim ktoś ich zauważy. — Zapewniam, że znajdziecie za nią bezpieczne schronienie. Brama jest poświęcona, *strigoi* nie zdołają przekroczyć jej progu.

— Nie tylko ich się obawiam — oznajmił Jordan, stając szerzej na nogach. — Jeśli Erin nie chce tam wejść, to i ja nie wejdem.

Jednak archeolożka przeszła przez furtkę, dotykając dłonią chropowatego kamiennego gzymsu. Rhun usłyszał, że jej serce bije w przyspieszonym rytmie. Dostrzegł błysk w jej oczach i wiedział, że to nie strach jest przyczyną, lecz paląca ciekawość.

— Oto żywa historia — rzekła, oglądając się na Jordana. — Jak mogłabym tam nie wejść?

21.19

Sierżant ustawił się bokiem i podążył za nią w ciemność. Nie był z tego powodu zadowolony, lecz miał wrażenie, że decyzja: wejść czy nie wejść, i tak nie należy do nich. Pamiętał słowa Ambrose'a: „Zostaliście wezwani na spotkanie z Jego Eminencją”.

Nie zabrzmiały jak zaproszenie, lecz jak nakaz.

Korza wszedł na końcu i zamknął za sobą furtkę. Zapanowała całkowita, dławiąca ciemność. Odetchnąwszy głębiej, Jordan wyciągnął rękę i znalazł dłoń Erin.

Z wdzięcznością ścisnęła jego palce.

Rozległ się cichy trzask i w mroku zamigotał niewielki płomień. W dłoni zakapturzonego sangwinisty, który kroczył przed Jordanem, paliła się zapalniczka. Widok dobrze znanego nowoczesnego przedmiotu podniósł go na duchu, sprawił, że sytuacja nabrała cech odrobinę bardziej realnych.

Sangwinista wziął świeczkę z małego stolika stojącego obok drzwi i podał ją Erin, ta zaś przytknęła knot do złotego płomienia zapalniczki. Jordan także dostał świecę i ją zapalił. Zapach dymu i wosku pochłonął woń suchego pyłu, lecz wątłe światło nie sięgało daleko.

Bez słowa, najwyraźniej nie potrzebując oświetlenia, sangwiniści ruszyli w głąb stromej tunelu. Jordana nie ucieszyło to, że znów musi schodzić pod ziemię, lecz Erin podążyła w ślad za zakonnikami, a on za nią.

Ledwo widział drogę przed sobą, mimo że niósł zapaloną świecę. Trzymał ją nisko. Zewsząd otaczały go wypolerowane kamienie. Starał się iść na końcu, aby obejmować wszystkich wzrokiem, choć wiedział, że w razie czego niewiele zdoła wskórać.

Korza zdawał się rozumieć jego wahanie; od razu minął go i poszedł przed nim.

Erin wyprzedzała ich o kilka kroków, osłaniając zwiniętą dłonią płomień świecy. Jej głowa obracała się na wszystkie strony, sprawiając wrażenie, że za chwilę się ukręci. Archeolożka musiała się czuć tak, jakby odbywała podróż w przeszłość.

Jordan poruszał się jak po polu minowym. Jeden niewłaściwy krok mógł oznaczać dla obojga śmierć.

Usiłował zapamiętać drogę. Korytarz biegł w dół w kierunku północno-wschodnim, lecz sierżant nie mógł za to ręczyć. Nie znając planu miasta, nie wiedział, dokąd zmierzają. Jako wyszkolony żołnierz zaczął liczyć kroki i poprzeczne tunele, aby zbudować w głowie trójwymiarowy plan trasy. Być może dzięki temu odnajdą oboje drogę do wyjścia.

W końcu tunel się wyrównał i ukazały się masywne drewniane drzwi z ciężkimi żelaznymi zawiasami. Na szczęście do ich otwarcia nie była potrzebna krew sangwinisty, tylko duży ozdobny klucz, który dzierżył ojciec Ambrose.

— Tutaj mamy się spotkać z kardynałem? — zapytała Erin.

Ambrose zmierzył ją spojrzeniem od góry do dołu, jego wzrok zatrzymał się na podartych spodniach i zranionej nodze. Usta księdza wyduły się z niesmaku.

— To byłoby niestosowne, gdyby przywitała pani Jego Eminencję w tym stanie.

Jordan ironicznie przewrócił oczami. Jak dotąd jedyny atut księdza stanowiło to, że był człowiekiem. Podając mu rękę przed

bramą, sierżant wyczuł pod jego skórą ciepło prawdziwej krwi.

Mimo to sierżant zerknął na swoje przesiąknięte krwią ubranie. Erin prezentowała się nieco korzystniej, Korza zaś wyglądał jak obraz rozpaczy.

— To był dla nas trudny wieczór — przyznał Jordan.

Z gardła Erin wydobył się histeryczny śmiech, ale szybko go stłumiła.

— Coś podobnego — odrzekł Ambrose, nie zwracając na nią uwagi.

Książd odwrócił się do drzwi i otworzył je żelaznym kluczem długim jak jego dłoń. Rozwarł je i ukazał się oświetlony korytarz.

Przybysze minęli przewodnika. Jordan wszedł ostatni. Kamienną posadzkę długiego korytarza wyściełał perski chodnik, na ściach wisiały tkaniny. W kinkietach paliły się żarówki elektryczne. Po obu stronach znajdowały się drewniane drzwi, wszystkie zamknięte.

Jordan zdmuchnął świecę, lecz zachował ją na wypadek, gdyby potrzebna była do ucieczki.

Ojciec Ambrose zamknął ponownie drzwi i schował klucz do kieszeni, a potem wskazał ręką w prawą stronę.

— To pani pokój, doktor Granger. Pański, sierżancie Stone, jest po lewej stronie. Możecie się obmyć.

Jordan ujął Erin za łokieć.

— Wolelibyśmy zostać razem.

— Podczas kąpieli? — spytał lodowatym tonem Ambrose.

Policzki Erin okryły się rumieńcem.

Jordan patrzył na nią z przyjemnością.

— Tutaj jest bezpiecznie — zapewnił ich Korza. — Macie na to moje słowo.

Erin przelotnie spojrzała Jordanowi w oczy, dając mu sygnał. Chciała porozmawiać, kiedy zostaną sami. Oznaczało to, że muszą się teraz zgodzić na propozycje mnichów.

Postanowił na to przystać.

Na razie.

Rhun patrzył, jak Erin i Jordan znikają za drzwiami swoich pokojów, a potem podążył za Ambrose'em. Ten poprowadził go biegnącym w górę korytarzem do następnych drzwi, które musiał otworzyć. Wielki gmach Kościoła ma mnóstwo drzwi i kryje się za nimi wiele sekretów, lecz te prowadziły do spiralnych schodów wykutych w kamieniu ponad tysiąc lat temu.

Przybysz dobrze je znał i chciał wejść, lecz Ambrose zasłonił mu ręką drogę.

— Czekaj. — Cienka maska grzeczności, którą pokazał obcym, opadła i ukazało się pod nią obrzydzenie. — Nie pozwolę ci stanąć przed Eminencją z przeklętą na wieki krwią wilkozora na ciele. Nawet ja czuję ten parszywy odór.

Rhun spiorunował go wzrokiem.

— Bernard widywał mnie w gorszym stanie.

Ambrose nie potrafił długo opierać się gniewowi sangwinisty. Jego ręka opadła i się cofnął; niemrawo bijące serce drgnęło ze strachu. Rhun miał odrobinę poczucia winy, ale tylko odrobinę. Znał Ambrose'a. Mnichem powodowały na wskroś ludzkie żądze: dbał o swoją pozycję, przepełniała go duma i zachłannie strzegł swojego stanowiska asystenta kardynała Bernarda. Rhun wiedział jednak, że ma do czynienia z człowiekiem lojalnym, który wiernie i z oddaniem strzeże pozycji Bernarda w kościelnej hierarchii. Na swój sposób służył mu dobrze, pilnując, by nikt nie uraził pryncypała ani mu nie uchybił.

Lecz sangwinista nie miał czasu na grzeczności. Przepchnął się obok Ambrose'a i szybko wspiął po schodach, zostawiając mnicha daleko w tyle. Przemknął ciemnymi korytarzami i stanął przed mahoniowymi drzwiami gabinetu kardynała.

— Rhun?! — zawołał ze środka Bernard. Jego włoski akcent uwypuklił głoskę „r”; dało się w niej odczuć ciepło przyjaźni trwającej od wieków. — Wejdz, synu!

Sangwinista wszedł do komnaty oświetlonej blaskiem białej świecy w ozdobnym złotym lichtarzu. Nie było potrzeba dużo

światła, by dostrzec wysadzany klejnotami globus stojący obok masywnego biurka, starożytny drewniany krzyż przymocowany do ściany oraz szeregi oprawionych w skórę ksiąg. Wciągnął w nozdrza dobrze znaną woń starych pergaminów, skóry i wosku. Gabinet nie zmienił się od stu lat.

Bernard wstał, żeby się przywitać. Miał na sobie purpurową kardynalską sutannę, która lśniła w blasku świecy. Objął serdecznie Rhuna, nie wzdragając się przed odorem krwi blasfemora. Sam był sangwinistą, stoczył w przeszłości niejedną bitwę i pospolite ślady walki nie budziły w nim odrazy.

Zaprowadził gościa do krzesła i podsunął mu je.

— Spocznij, proszę.

Przybysz usiadł i po raz pierwszy naprawdę poczuł swoje rany.

Bernard wrócił do swojego fotela i przesunął po blacie złoty kielich z konsekrowanym winem.

— Wiele dzisiaj wycierpiałeś. Wypij, a potem pomówimy.

Rhun ujął nóżkę kielicha. Wino miało gorzkawy bukiet ze szczyptą dębu. Pragnął się napić, lecz jednocześnie się wahał. Nie chciał, by cierpienie pokuty mąciło jego myśli w czasie rozmowy. Jednak pulsujący ból ran przypominał mu, że one także mogą go rozpraszać.

Zrezygnowany, wziął kielich do ręki i wychylił, a potem skłonił głowę, żeby Bernard nie zobaczył wyrazu jego twarzy. Czekał. Czy wspomnienie Elisabety znów nawiedzi go tej nocy, przypominając o grzechu, którego się dopuścił? Jednak miało być inaczej, gdyż popełnił także większy grzech — taki, który ściągnął na niego wieczne potępienie.

Rhun klęczał na zimnej wilgotnej ziemi i modlił się przed mogiłą młodszej siostry. Noc była bezksiężycowa, jego postać okrywała ciemność czarniejsza niż surowy habit kleryka, który miał na sobie. Nawet gwiazdy niebieskie skryły się za chmurami.

Czy jego serca już nigdy nie rozjaśni blask światła?

Patrzył na daty wykute na płycie grobu.

Niespełna miesiąc przed rozwiązaniem śmierć zabrała jego siostrę i jej synka. Nie został ochrzczony, więc nie mógł zostać pochowany wraz z matką. Ona spoczywała w poświęconej ziemi, jej dziecku nie było to dane.

Rhun odwiedzi później jego bezimienny grób.

Każdej nocy po pogrzebie wychodził z klasztoru, kiedy wszyscy już spali, i przychodził tutaj, by modlić się za nią, za jej dziecko. I żeby ukoić smutek w swoim sercu.

Usłyszał za sobą miękkie kroki.

Odwrócił się, nie wstając z klęczek.

Postać spowijał cień. Rhun nie widział dobrze w ciemności sylwetki, lecz nieznamy nie był księdzem.

— Jakżeś pobożny — wyszeptał przybysz z obcym akcentem. Rhun nie znał jego głosu.

Serce zaczęło bić szybciej, palce poszukały krzyża. Siłą woli trzymał dłonie zaciśnięte.

Czy ma się obawiać nieznamy, którego zachowanie nie wskazuje na wrogi zamiar?

Rhun z szacunkiem opuścił głowę.

— Jesteś na cmentarzu poświęconym Panu, mój przyjacielu.

— Przychodzę złożyć uszanowanie tym, którzy zmarli — odparł tamten i wyciągnął długie palce w stronę grobu. — Podobnie jak ty.

Lodowaty wiatr dął między kamiennymi krzyżami i posągami aniołów, wzbijając ostatnie jesienne liście i niosąc ze sobą odór śmierci i rozkładu.

— Zostawię cię więc w pokoju — rzekł Rhun, odwracając się od miejsca spoczynku siostry.

O dziwo, nieznamy uklęknął obok niego. Miał na sobie delikatnie tkane spodnie i skórzany płaszcz z ćwieczkami. Drogie długie buty były ubłocone. Mówił z twardym akcentem, jednak jego ogłada zdradzała szlachetne pochodzenie.

Poirytowany Rhun odwrócił się i zobaczył długie czarne włosy opadające z czoła. Pełne usta nieznanego wygięły się w rozbawieniu, choć Rhun nie miał pojęcia z jakiego powodu.

Dość już tego... Zrobiło się późno.

Zebrał w garść habit, żeby wstać.

Zanim zdążył to zrobić, tamten otoczył go ramieniem i pociągnął na mokrą ziemię niczym kochanka. Rhun otworzył usta, chciał krzyknąć, lecz nieznanemu zakrył mu je zimną dłonią. Kleryk usiłował odepchnąć napastnika, ale ten chwycił go jedną ręką za oba nadgarstki z taką łatwością, jakby miał do czynienia z małym dzieckiem.

Rhun szarpał się, ale tamten trzymał mocno i przygniatał go do ziemi. Szorstkim policzkiem odwrócił głowę kleryka w bok, odsłaniając szyję.

Nagle Rhun zrozumiał i jego serce zaczęło bić jak szalone. Słyszał legendy o potworach, lecz nigdy w to nie wierzył.

Aż do tej chwili.

Ostre kły przebiły jego gardło, odbierając niewinność i pozostawiając jedynie ból. Krzyknął, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk. Powoli ból zmienił się w coś innego, mroczniejszego: w błogość.

Krew Rhuna wypływała z jego ciała prosto do wygłodniałych ust, zimne wargi napastnika robiły się cieplejsze.

Nadal się szarpał, ale coraz słabiej, bo w istocie nie chciał, aby tamten przestał. Jego ręka sama uniosła się i mocniej przyciągnęła twarz wampira. Wiedział, że grzechem jest oddawać się takiej rozkoszy, ale już o to nie dbał. Słowo „grzech” przestało cokolwiek znaczyć, pozostało jedynie bolesne pragnienie, żeby język wsuwał się w ranę, żeby ostre zęby kaleczyły miękkie ciało.

Nie było w nim już miejsca na świętość, pozostała jedynie ekstaza obiecująca wyzwolenie.

Usta się odsunęły.

Rhun leżał wyczerpany i umierający.

Mocne palce pogładziły go po włosach.

— Jeszcze nie czas na sen, o pobożny.

Pocięty nadgarstek dotknął otwartych ust Rhuna. Na jego język trysnęła gorąca krew i wypełniła usta. Połknął i wciągnął następny łyk. W jego gardle wezbrał głęboki jęk i utonął we krwi.

Cały płomień jego życia przybrał kształt jednego słowa, jednego pragnienia.

Jeszcze...

Wtem drogocenny klejnot został mu odebrany; została tylko przepastna studnia głodu, która domagała się, aby napełnić ją krwią — czyjąkolwiek.

Nagle Rhun zobaczył, że nieznajomy szarpie się z czterema księżmi.

W blasku księżyca zaśniła srebrzysta klinga.

— Nie! — krzyknął.

Czyjeś ręce oderwały go szorstko od ziemi i pociągnęły ku stojącemu w ciszy klasztorowi. Tam poznał niebawem dar wieczności, który stał się jego klątwą.

Rhun wzdrygnął się, strząsając z siebie bolesny ciężar pokuty. Nawet teraz odczuwał tęsknotę za mężczyzną, który go uśmiercił, który pozbawił go dawnego życia. W chwilach spokoju wciąż tęsknił za smakiem pierwszej krwi. Był to grzech, za który po wielokroć pokutował, lecz który nigdy go nie opuścił.

Bernard spoglądał na niego z przeciwnej strony biurka, a jego twarz wyrażała taki sam smutek jak tego wieczoru, gdy przyprowadzono go do niego całego we krwi. Szlochał i wyrывał się mnichom, aby uciec w ciemną noc. Bernard ocalił go wtedy, pokazał, że w nowej postaci może służyć Bogu. Dzięki niemu nigdy nie pożywił się krwią niewinnej ludzkiej istoty.

Rhun potrząsnął głową, żeby odrzucić wspomnienie przeszłości.

Siedział twarzą w twarz z Bernardem, swoim przyjacielem i mistrzem, i przywoływał na pamięć wydarzenia w Masadzie i na pustyni. Oto był ten, który przyczynił się do zapoczątkowania wielu wydarzeń i który ukrywał zbyt wiele tajemnic.

— Posunąłeś się za daleko — rzekł chrapliwie Rhun. Nadal czuł ranę w gardle i strumień gorącej krwi płynący z nadgarstka nieznanego.

— Doprawdy? — Kardynał przeciągnął mocną dłoń po białych włosach. — Co chcesz rzec?

Rhun wiedział, że gospodarz go bada. Ujął w dłoń krzyż; ból pomoże mu wziąć w karby gniew.

— Wystawiłeś na szwank życie tej kobiety. I wysłałeś mnie w pojedynkę przeciwko wrogom, *strigoi* z sekty Beliala.

Przyjaciel odchylił się na fotelu i złożył palce w daszek. Jego brwi ściągnęły się z z troskania.

— Uważasz, że to byli wyznawcy Beliala? Dlaczego?

Rhun zrelacjonował wydarzenia, do których doszło na wierzchołku góry i pod nią, a następnie wyjaśnił:

— *Strigoi*, którzy tam się zjawili, nie byli zwykłymi padlinożercami, których zwabiła ludzka tragedia. Przybyli w określonym celu i użyli ładunków wstrząsowych.

— Wykorzystali broń stworzoną przez ludzi. — Bernard opuścił dłonie i usiadł prosto. Jego ciepłe brązowe oczy wyrażały ból. — Nie przewidziałem, że przyjdą, aby szukać wiadomego przedmiotu.

Strigoi z sekty Beliala weszli w sojusz z ludźmi i połączyli najgorsze cechy obu ras: ludzka przebiegłość zbiegła się z piekielną zaciekłością, nowoczesna broń zaczęła służyć pradawnemu złu. Stali się plagą, ich szeregi pomnożyły się w ostatnim stuleciu; stanowili wielkie zagrożenie dla zakonu sangwinistów i dla Kościoła. Walczyli z nimi od dziesiątków lat, tropili, a mimo to wciąż niewiele wiedzieli o sekcie. Kto był jej władcą: człowiek czy bestia?

Gniew Rhuna przygasł.

— Musieli dowiedzieć się o dziwnych zgonach spowodowanych przez wstrząsy i odgadnąć, tak jak my, co one oznaczają.

Kardynał siedział nieruchomo jak posąg.

— W takim razie szukają Ewangelii podobnie jak my i zdesperowani postanowili się ujawnić.

— Jednak księgi nie było, krypta stała pusta — odparł Rhun.
— Oni także jej nie znaleźli.

— Mniejsza o to. — Rysy twarzy kardynała przybrały w blasku świecy łagodniejszy wyraz. Poczował ulgę i spokój. — Jeżeli proroctwa są prawdziwe, *strigoi* nie zdołają jej otworzyć. Tylko trójka może przywrócić ją światu.

Krzesło Rhuna zaskrzypiało, kiedy pochylił się w stronę rozmówcy. Dawny gniew znów się obudził. Dobrze wiedział, do czego nawiązuje kardynał, napomykając o trójce, o której mówiły przepowiednie związane z Ewangelią. Jej przeznaczeniem było odnaleźć księgę i ją otworzyć.

Uczona Niewiasta.

Mąż Wojownik.

Rycerz Chrystusa.

Dostrzegł błysk nadziei w oczach Bernarda i już wiedział, co chodzi kardynałowi po głowie.

Stanęła mu przed oczami twarz Erin rozjaśniona ciekawością — oto kobieta niezwyklej wiedzy.

Bohaterski skok Jordana na spotkanie wilkozora — oto Mąż Wojownik.

Zacisnął dłoń na krzyżu, który stanowił znak Rycerza Chrystusa.

Siłą woli zmusił się, żeby wypuścić srebrny krucyfiks. Liczył na to, że przyjaciel wyzbędzie się płonnych nadziei.

— Bernardzie, pokładasz zbyt wiele ufności w starych przepowiedniach. Wiara w przeszłość kosztowała nas mnóstwo krwi i cierpienia.

Kardynał westchnął.

— Nie trzeba mi wypominać dawnych błędów, ich brzemie ciąży mi nie mniej niż tobie, mój synu. Przed wiekami na Węgrzech usiłowałem ponaglić rękę Boga. Był to przejaw pychy najwyższego rzędu. Sądziłem, że znaki wskazują na Elisabetę, że pisane jej jest przyłączyć się do ciebie. Ale myliłem się.

Przyznałem się wtedy do błędu i nie podążam teraz tropem tego samego głupstwa.

Wyciągnął rękę i położył chłodną dłoń na głowie Rhuna.

— Nie dostrzegasz, co się dzisiaj zdarzyło? Wydostałeś się spod gruzów góry wraz z uczoną niewiastą i mężczyzną wojownikiem u boku. To musi coś oznaczać.

Nadzieja w głowie kardynała i przyjaciela nie zgasła, tylko rozbłysła jeszcze jaśniejszym płomieniem.

Rhun odsunął jego rękę.

— Ale to ty sprawiłeś, że ta kobieta się tam znalazła.

Ogarnęły go złe przecucia. Czyżby przyjaciel znów usiłował sprowokować przepowiednię, nawet jeśli w przeszłości spowodowało to tak tragiczne konsekwencje i choć niegdyś wskutek jego błędu ucierpiała inna kobieta?

Bernard zbył jego wątpliwości machnięciem dłoni.

— Tak, wykorzystałem swoje wpływy, żeby pchnąć do Masady uczoną kobietę. Ale to nie ja, mój drogi, sprawiłem, że góra się zawaliła. Nie ja ocaliłem kobietę i żołnierza i wyprowadziłem ich z grobowca, w którym ostatnio spoczywała księga. To tyś ich ocalił, łamiąc wszystkie przykazania.

— Nie mogłem zostawić ich na śmierć.

Rhun spojrział na swoje podarte szaty i poczuł woń krwi, która pozostała na jego skórze.

— Czy nie rozumiesz? Proroctwo jest żywe i się spełnia. — Bernard ujął w dłoń srebrny krzyż wiszący na jego szyi i go ucałował. Jego wargi zaczerwieniły się od świętości bijącej od krucyfiksu. — Każdy z nas ma swoją rolę do odegrania. Musimy z pokorą ukłonić się przeznaczeniu. I bez względu na to, czy mam rację, czy się mylę, wiemy, że za wszelką cenę nie wolno nam dopuścić, by Ewangelia wpadła w ręce Beliala.

— A to dlaczego? — spytał z goryczą Rhun. — Jeszcze przed chwilą byłeś pewny, że jego słudzy nie zdołają jej otworzyć. A teraz podajesz w wątpliwość tę część przepowiedni.

— Nie śmiem sądzić, że pojmuję boskie wyroki. Staram się jedynie odczytać je najlepiej, jak potrafię.

Rhun przypomniał sobie srebrzystoszare oczy Elisabety i bursztynowe oczy Erin.

Już nigdy nie upadnę tak nisko.

— A ja te wyroki odrzucam? — zapytał.

— I kto uważa, że zna boskie zamierzenia lepiej niż sam Bóg?

Te słowa zaboląły Rhuna, gdyż taki był zamysł tego, który je wypowiedział.

Schylił głowę i pomodlił się o wskazówkę. Czy Pan Bóg naprawdę postawił przed nim wyzwanie? Dał mu szansę oczyszczenia? Czyżby wyznaczył mu zadanie tak wielkie, jakim było ocalenie ostatniej Ewangelii Jego syna? Rhun nadal nie miał zaufania do najskrytszych motywów, które kierowały Bernardem, lecz może kardynał nie pomylił się, widząc w dzisiejszych wydarzeniach palec boży.

Rozważył wszystkie okoliczności tego, co się stało.

Ostateczne miejsce spoczynku księgi zostało gwałtownie odkryte, a zapowiedzią tego było trzęsienie ziemi, rozlew krwi oraz ocalenie jednego niewinnego chłopca.

Jednak Rhun, wciąż mając w pamięci lawendowy zapach włosów Erin, nie chciał podążyć tą drogą. Z pewnością zawiedzie tę kobietę, tak jak dawno, dawno temu zawiódł inną.

— Nawet jeśli zgodzę się wziąć udział w poszukiwaniach Ewangelii, które zamierzasz podjąć... — Rhun zamilkł, widząc uśmiech na twarzy kardynała. — Nawet gdybym na to przystał, nie możemy zmusić tych dwoje, by się przyłączyli. Nie wolno tak czynić, skoro na drodze stoi sekta Beliala.

— W rzeczy samej nie możemy nikogo zniewalać. Ci dwoje muszą zgodzić się wziąć udział w poszukiwaniach z własnej woli. Żeby to uczynić, muszą wyrzec się ziemskich zobowiązań. Sądysz, że są gotowi na takie poświęcenie?

Rhun wyobraził sobie tych dwoje, którzy zdaniem Bernarda byli niewiastą i wojownikiem z przepowiedni. Po pierwszym spotkaniu uważał ich, tak samo jak kardynał, za zwyczajnych ludzi, którzy spełniają swoje zadania: archeolożkę i żołnierza.

Teraz jednak wiedział, że jest inaczej.

Określenia te niezbyt pasowały do tych, którzy walczyli i przelewali krew u jego boku.

Inne słowa opisywały ich trafniej, na przykład ich imiona.

Erin i Jordan.

Nie dawało mu spokoju ostatnie pytanie, które zadał kardynał: „Sądzisz, że są gotowi...?”.

Z myślą o ich dobru Rhun żywił nadzieję, że odpowiedź brzmi: „nie”.

26 października, 21.33

Jerozolima, Izrael

Jordan doszedł do wniosku, że zdarzył się prawdziwy cud.

Oto na łóżku w małej klasztornej celi czekały na niego podarunki: czyste ubrania i pełny zestaw jego broni.

Zbliżył się szybko do pryczy i obejrzał pistolet maszynowy Heckler & Koch oraz rewolwer Colt 1911. Były załadowane, co wywołało u niego zarówno niepokój, jak i uczucie ulgi. Gospodarze albo darzyli go zaufaniem, albo nie obawiali się ewentualnego zagrożenia, które mógł dla nich stanowić.

Jednak zaufanie, jeśli istniało, było jednostronne.

Sierżant uważnie rozejrzał się po celi. Wydrążona w litej skale, zawierała pojedyncze łóżko przyciśnięte do samej ściany, by zostało trochę miejsca na szafkę z miedzianą umywalką wypełnioną parującą wodą.

Szybko, lecz dokładnie sprawdził, czy w pomieszczeniu zainstalowano podgląd i podsłuchy. Iście spartańskie wyposażenie nie dawało wielu możliwości ich ukrycia. Obejrzał materac, obmacał palcami krawędzie drewnianej ramy pryczy i sprawdził wewnątrz szafki pod umywalką.

Niczego nie znalazł.

Podszedł nawet do krzyża na ścianie, zdjął go i obejrzał z tyłu; zrobił to z niejasnym poczuciem, że dopuszcza się świętokradztwa.

Także i tam niczego nie wykrył.

A więc go nie podsłuchiwali, w każdym razie nie przy użyciu nowoczesnej techniki. Spojrzał na drzwi, pamiętając, że sangwiniści mają wyostrzony zmysł słuchu.

Uznał, że popada w paranoję, i zadał sobie pytanie, czy roztropnie było znaleźć się w tym miejscu. Może byłoby lepiej, gdyby on i Erin pozostali na pustyni, narażając się na konfrontację z szakalami. Albo z drugim wilkozorem.

To nie była kusząca alternatywa.

Przybywając do tego osobliwego klasztoru, zdołali ocalić życie. Innym się tak nie poszczęściło. Sierżant przypomniał sobie zmasakrowane ciała kolegów, które spoczęły pod tonami skał.

Pomyślał o telefonach i wizytach, które go czekały, kiedy koszmar dobiegnie końca: rodzice poległych, wdowy, dzieci.

Usiadł na łóżku, przygnieciony poczuciem klęski i żałoby.

Co, do licha ciężkiego, powie tym ludziom?

21.52

Przymiotnik „ciasny” stanowił dość łagodne określenie pokoju, który przydzielono Erin.

Usiłując umyć się przy umywalce, raz po raz zawadzała łokciem o ścianę. Rozebrała się do stanika i majtek, a obmywszy się, spojrzała na ubrania, które dla niej przygotowano.

Bez trudu włożyła białą bawełnianą bluzkę leżącą na łóżku, ale nie wiedziała, co zrobić z długą czarną spódnicą. Przypominała ubranka, które nosiła w dzieciństwie: schludne, uniemożliwiające wspinanie się na drzewa i jazdę konną. W świecie, w którym kiedyś żyła, kobiety nosiły spódnice, mężczyznom zaś wolno było nosić dające poczucie swobody spodnie.

W dzieciństwie zawsze nosiła spódnice i sukienki, więc teraz buntowała się, że znów ma do tego wrócić. Jednak dzinsy zamieniły się w zakrwawiony i zapiaszczony strzęp i właściwie

nie miała wyboru. Chyba że zdecydowałyby się paradować przed Jordanem i mnichami w bieliźnie.

To przesądzało sprawę.

Przełożyła do kieszeni spódnicy zawartość kieszeni dzinsów: nazistowski medal znaleziony w grobowcu, portfel oraz wyblakłą łątkę, którą przed laty wycięła z kołdry, nie większą niż karta do gry.

Dotknęła jej palcami, czerpiąc z materiału zarówno siłę, jak i gniew. Zawsze nosiła ją ze sobą wraz z gniewem i poczuciem winy, które się z nią wiązały. Zawierał się w nim obraz dziecięcej kołderki, z której została wycięta. Erin wycięła ją potajemnie, zanim kołderkę pochowano razem z jej maleńką siostrzyczką. Odsunęła wspomnienie na bok, aby jej nie przytłoczyło. Fragment tkaniny wsunęła głęboko do kieszeni.

Włożyła spódnicę, poruszyła się i poczuła jej dotknięcie na nogach. Było nieprzyjemne. Sandały zostawiła obok łóżka, wołała tenisówki.

Ubrana, podeszła do drzwi. Zobaczyła, że nie są zamknięte na klucz, i wyjrzała na korytarz. Nikogo nie było, wymknęła się więc z pokoju. Odwróciwszy się, usłyszała chrobot przypominający odgłos paznokci człowieka, który usiłuje wydostać się z grobu.

Przestraszona, pomknęła korytarzem. Wołała nie zostać przyłapana poza swoim pokojem, zwłaszcza przez istotę, która wydawała taki dźwięk. Wyobraziła sobie obślinione szczęki wilkozora.

Nie zapukawszy, wpadła jak bomba do pokoju Jordana.

Miał na sobie jedynie ręcznik, a na twarzy odmalowało się zaskoczenie. Uniósł błyskawicznie prawą dłoń, w której trzymał pistolet, lecz w tej samej chwili ją opuścił.

— O Boże, przepraszam — wydukała i zaczerwieniła się. — Nie powinnam... nie chciałam...

— Nic się nie stało — odparł, uśmiechając się na widok rumieńca, który rozpalił jej policzki. — Cieszę się, że przyszłaś. Chciałem z tobą porozmawiać sam na sam. Na osobności.

Skinęła głową. Właśnie po to do niego przyszła, ale przypuszczała, że w czasie rozmowy oboje będą ubrani.

Oparła się o drzwi, starając się nie patrzeć na muskularną pierś Jordana, na wąski pasek włosów biegnący przez środek brzucha podobny do tarki, i na jego długie nogi.

Chciała się odwrócić, lecz jej wzrok padł na niezwykle tatuaż, który biegł od lewego barku w dół przez rękę, fragment klatki piersiowej i sięgał aż na plecy. Wyglądał jak rozszerzające się korzenie drzewa, które wyrastało z ciemnej plamki na górnej części piersi. Była w nim jakaś kwietna uroda, uwydatniona przez to, że znajdował się na bardzo męskim torsie.

Jordan musiał zauważyć, że tatuaż zwrócił uwagę Erin. Przeciągnął palcem po splotach korzeni.

— Noszę go od osiemnastego roku życia.

— Co to takiego?

— Nazywa się figura Lichtenberga. Wzór fraktalny, który tworzy się, kiedy coś zostanie rażone piorunem. Tak się złożyło, że tym czymś byłem ja.

— Jak to? — Podeszła zaintrygowana odpowiedzią.

— Grałem w futbol w czasie deszczu, przyłożyłem piłkę obok słupka i wtedy raził mnie grom.

Spojrzała w jego niebieskie oczy. Lekko się uśmiechając, usiłowała ocenić, czy z niej żartuje.

Uniósł trzy palce.

— Słowo skauta.

To jasne, że należał do skautów.

— Przez trzy minuty uważano mnie za martwego.

— Naprawdę?

Skinął głową.

— M-hm.

— Jak się czułeś jako nieboszczyk?

— Nie ujrzałem ciemnego tunelu i jasnego światła, ale wróciłem zmieniony.

— W jaki sposób się zmieniłeś?

Jordan sprawiał wrażenie mężczyzny mocno stojącego na ziemi. Czyżby zamierzał opowiadać o Bogu lub o dotknięciu przez anioła?

— Poczułem, że wtedy moje dni dobiegły kresu. — Przyłożył rękę do serca. — Wszystko, co wydarzyło się później, było premią ekstra.

Erin popatrzyła na wzór na jego piersi. Jordan był o włos od śmierci. Przeszedł przez nią i wrócił, tak jak sangwiniści.

Uśmiechnął się szeroko i dotknął linii tatuażu.

— Te wzorki czasem określa się mianem kwiatu pioruna. Prąd elektryczny wywołujący porażenie powoduje pęknięcie cieniutkich naczyń krwionośnych. Dostałem w to miejsce. — Dotknął palcem środka, od którego odchodziły rozgałęzienia. — Stąd rozbiegają się w różne strony. Jakiś czas były jasnoczerwone, ale potem wyblakły i została blizna.

— I co było dalej?

— Kazałem wytatuować sobie wzór, by przypominał mi, że moje życie to premia. — Parsknął śmiechem. — Rodzice się wściekli.

Erin uniosła dłoń, żeby zbadać rysunek za pomocą dotyku. Robiła tak zawsze, gdy widziała coś, w co nie potrafiła uwierzyć. Naraz uświadomiła sobie, co chce uczynić, i palec zawisł nad czarną plamą na piersi Jordana.

Przyciągnął jej dłoń.

— Miejsce, w którym była blizna, jest lekko wypukłe.

Chciała się oprzeć pragnieniu, ale nie potrafiła. Kiedy dotknęła palcem skóry, poczuła wstrząs, jakby w bliźnie wciąż tkwiła uwięziona energia pioruna. Erin wiedziała jednak, że to coś więcej niż wyładowanie elektryczne.

On także musiał to poczuć. Jego skóra naprężyła się, mocne mięśnie stwardniały pod jej palcem. Odetchnął głębiej.

Wciąż trzymał jej rękę. Spojrzała w jego niebieskie oczy, na jego wargi. Górna była wygięta niczym łuk.

Zmrużył oczy i nachylił się do niej. Był ze wszech miar żywy i potwierdzał to.

Wstrzymała oddech. Po długim dniu wypełnionym strachem pragnęła tego samego, czego pragnął i on.

Pocałunek zaczął się dotknięciem lekkim niczym muśnięcie piórka.

Przeszył ją ciepły dreszcz, podobny do elektrycznego.

Wspięła się na palce i przycisnęła wargi do jego warg. Chciała sięgnąć głębiej. Oplotła dłońmi jego nagie ramiona i przywarła do niego. Pragnęła jeszcze więcej bliskości i ciepła. Cała rozpląnęła się w pocałunku, wypełnił ją i wymazał koszmar, który oboje przeżyli w grobowcu.

Nagle przypomniała sobie o jasnym pasku na jego opalonym palcu.

To także był rodzaj tatuażu, naznaczał Jordana tak samo intensywnie jak blizna po piorunie.

Miała do czynienia z żonatym mężczyzną.

Odsunęła się raptownie i wpadła na umywalkę.

— Przepraszam, wybacz.

— Mnie nie jest przykro — odparł chrapliwym głosem.

Odwróciła głowę, zła na siebie i na niego. Musiała złapać oddech i postawić się do pionu.

— Myślę, że powinniśmy się cofnąć.

Ostrożnie zrobił krok do tyłu.

— Wystarczy?

Nie to miała na myśli.

— Jeszcze jeden.

Jordan uśmiechnął się z zażenowaniem, a potem zrobił jeszcze krok i usiadł na łóżku.

Usiadła w drugim końcu i skrzyżowała ręce na piersi; musiała zmienić temat.

— Co z twoją drugą ręką? — spytała odrobinę zbyt piskliwym głosem.

Jakiś mięsień został naderwany, kiedy uciekali z zawałającego się grobowca.

Jordan poruszył ramieniem i się skrzywił.

— Boli, ale to chyba nic poważnego. Lepsze to niż usmażenie się pod zapadniętą górą.

— Byłoby o wiele łatwiej.

— Kto powiedział, że łatwiejsza droga jest lepsza?

Zaczerwieniła się; wciąż czuła ciepło i dotyk jego ust. Spojrzała na swoje dłonie. Odezwała się po dłuższej chwili ciszy. Jej wzrok spoczął na drzwiach.

— Jak myślisz, czego oni od nas chcą?

Podążył za jej spojrzeniem.

— Nie wiem, może planują zrobić nam odprawę. Zaprzysięć, że dotrzemy tajemnicy. A może wypłacą milion dolarów.

— Dlaczego akurat milion?

Wzruszył ramionami.

— A czemu nie? Tak tylko sobie gadam... Bądźmy optymistami.

Spojrzała na zabłocone tenisówki. Trudno jej było zachować optymizm, zwłaszcza że tuż obok niej siedział prawie nagi Jordan. Czuła promieniujące ciepło jego nagiej skóry. Ile czasu minęło od dnia, w którym przebywała w jednym pomieszczeniu z nagim mężczyzną? Zwłaszcza tak przystojnym i umiejącym tak wspaniale całować.

Znów zapadła między nimi cisza. Jordan odwrócił wzrok; na pewno myślał o żonie i o tej przelotnej zdradzie, której się dopuścił.

Erin znalazła inny temat.

— Nadal masz przy sobie zestaw pierwszej pomocy? — spytała zbyt głośno. Wyrwała go z marzeń i wzdrygnął się.

— Przepraszam — wydukał. — Chyba jestem trochę spięty.

— Ja nie gryzę.

— Ale wszyscy inni tutaj, owszem — odrzekł z uśmiechem.

Odpowiedziała tym samym; napięcie nieco zelżało.

Wydobyl zestaw z kieszeni spodni rzuconych na łóżko.

— Zacznijmy od twojej nogi.

— Ja się tym zajmę.

W tej chwili wolałaby się wykrwawić na śmierć, niż pozwolić mu gmerać przy swoim udzie. Gdyby tam zaczął, kto wie, gdzie by skończył?

— Może się ubierzesz, a ja opatrzę sobie ranę? — zaproponowała.

Uśmiechnął się nieśmiało i podał jej pakunek. Odwróciła się do niego plecami, a on włożył czyste czarne spodnie. Skupiła się na swojej ranie. Zadrapanie pazurem wilka nie było tak groźne, jak wydawało się na pustyni. Starannie obmyła skaleczenie, a następnie posmarowała je płynem antybakteryjnym i zabandażowała gazą.

Stał blisko, tuż obok, ale przynajmniej miał teraz na sobie spodnie.

— Niezły opatrunek. Odbylaś przeszkolenie medyczne?

— Można tak powiedzieć. Wychowałam się w zamkniętym środowisku, obcym nie wolno było nas dotykać, nawet kiedy byliśmy chorzy.

Erin rzadko dzieliła się z kimś tą częścią swojej przeszłości. Wstydziła się, że była tak łatwowierna, że tak późno się zbuntowała. Pewien psychoterapeuta powiedział jej kiedyś, że to typowa reakcja ofiar długotrwałej przemocy i że zapewne nigdy się od niej nie uwolni. Jak dotąd okazywało się, że miał rację.

Mimo wszystko zdradziła to i owo Jordanowi.

— Przecież to jakieś wariactwo — orzekł.

Uśmiechnęła się ukradkiem.

— Można to w taki zwięzły sposób podsumować. Ale wtedy sytuacja wydawała się normalna, mimo że trzymano nas w izolacji.

— Ja wychowałem się wśród pól kukurydzianych w Iowa. Miałem sporo braci i sióstr, stale biegaliśmy z poobcieranymi łokciami i kolanami, zdarzały się i złamania.

Ukłucie w lewej ręce przypomniało jej, że ona także wie, co to złamanie kończyny. Wątpiła jednak, czy braciom i siostrom Jordana umyślnie łamano ręce w celach edukacyjnych. Przemilczała to. Za słabo go jeszcze znała, by o tym opowiedzieć.

Jordan wycierał sobie pierś ręcznikiem.

Patrzyła na starą drewnianą podłogę i na kamienną posadzkę, byleby nie zerknąć na niego.

Wziął czystą koszulę i ją włożył.

— W jaki sposób się stamtąd wyrwałaś?

Zajęła się pakowaniem zestawu pierwszej pomocy.

— Chciano mnie zmusić do małżeństwa, kiedy miałam siedemnaście lat. Ukradłam konia i pojechałam do miasta. Nigdy nie wróciłam.

— A więc straciłaś kontakt z bliskimi? — Współczująco zmrużył oczy. Tak mógł się zachować tylko ktoś, kto wychował się w normalnej, kochającej się rodzinie.

— Tak. Mama już nie żyje, ojciec także. Nie mam rodzeństwa, zostałam sama.

Nie wiedziała, jak zakończyć tę rozmowę, bała się, że nagle zacznie pleść o ojcu i siostrzyczce, która umarła po zaledwie dwóch dniach życia. Kto wie, co jeszcze by przy okazji wygadała?

Wstała i podeszła do drzwi. Może lepiej będzie poczekać w swoim pokoju?

Dotknął jej ramienia.

— Wybacz, nie chciałem być wścibski.

Z korytarza dobiegł pełen zatroskania głos Rhuna:

— Sierzancie, Erin nie ma w swoim...

Drzwi otworzyły się i ksiądz stanął nagle w progu. Spoglądał ze zdziwieniem do środka.

— Czy tutaj nikt nie puka do drzwi? — zapytał Jordan.

Rhun błyskawicznie zapanował nad sobą, lecz pozostał w korytarzu. Wciąż był w postrzępionym habicie, lecz prawie całkowicie zmył z siebie krew. Spoglądał ciemnymi oczami to na Erin, to na Jordana. Jego sylwetka była wyprostowana jeszcze bardziej niż zwykle. Erin nie sądziła, że to w ogóle możliwe.

Piekły ją policzki. Całe szczęście, że ksiądz nie otworzył drzwi kilka minut wcześniej.

Jordan zapiął koszulę.

— Przepraszam, *padre*, ale postanowiliśmy z Erin, że po tych wszystkich przejściach będziemy trzymali się razem.

— Oboje jesteście tutaj, tylko to się liczy. — Rhun zrobił zwrot na piętach, dając znak, że mają za nim podążyć. Nadal był wyprostowany jak struna. — Kardynał na was czeka.

22.10

Jordan czuł falę dezaprobaty płynącą od księdza. Dokończył zapinanie koszuli i wsunął ją w spodnie, a następnie wyszedł za Erin z pokoju. Archeolożka szła, nie podnosząc wzroku z posadzki.

Korza w lodowatym milczeniu prowadził ich korytarzem do spiralnych schodów. Czekał tam na nich Ambrose i przywitał całą trójkę spojrzeniem pełnym dezaprobaty. A może taki był normalny wyraz jego twarzy. Jordan przypomniał sobie przestrożę, którą matka powtarzała niczym refren: „Rób stale taką minę, to ci zostanie”.

— Jego Eminencja stara się, aby audiencje przebiegały w nieoficjalnej atmosferze — oznajmił, spoglądając w oczy Jordanowi. — Ale proszę nie traktować tego jako zaproszenia do przesadnej swobody.

— Ma się rozumieć — odparł Jordan, salutując mu lewą ręką.

Korza uśmiechnął się krzywo półgębkiem.

Ambrose zmarszczył czoło i otworzył duże drzwi.

Jordan wszedł za Rhunem. Nie wiedział, co zastaną w środku, więc trzymał się przed Erin.

Zaskoczył go powiew świeżego powietrza. Prawie cały dzień spędzili pod ziemią, toteż przyjemnie było znaleźć się znów pod niebem. Zaczerpnął haust powietrza niczym pływak, który wynurzył się po długim nurkowaniu.

Na dachu pełnił się bujny ogród oświetlony oliwnymi lampami z gliny. Był szeroki, wyglądał jak zaproszenie dla oczu

i stóp. Jordan przyjął to zaproszenie i ruszył przed siebie, a Erin podążyła tuż za nim.

Donice z drzewkami oliwnymi stały na murkach, liście szeleściły na wietrze.

Erin nachyliła się i wciągnęła do płuc korzenny zapach nocnych kwiatów. Na kamiennej posadzce zalegały niczym kurz drobne złociste pyłki.

Jordan obserwował ją tak, aby go na tym nie przyłapała. Jednak pochłaniały go także inne pragnienia. Jego żołądek zaburczał, gdy sierżant spojrział na ręcznie rzeźbiony stół zastawiony chlebem, winogronami, granatami i serem. Chętniej pochłonąłby hamburgera i popił piwem, ale zadowolony tym, co jest pod ręką.

Erin przypominała dziecko w gwiazdkowy poranek.

— Ta sceneria, lampy, rośliny i stół... wszystko wygląda jak żywcem wyjęte z Biblii.

Obraz mąciły jedynie widoczne w oddali światła elektryczne.

Po przeciwnej stronie tarasu, na tle baldachimu zieleni, stała postać ubrana w purpurę. Białe włosy wyraziście odcinały się od ciemnego nieba. To musiał być kardynał Bernard.

Ojciec Ambrose odprowadził ich czym prędzej od stołu obfitości i skierował do oczekującego mężczyzny. Jeśli naprawdę był on ludzką istotą. W oczach Jordana każdy teraz stawał się podejrzany.

Pamiętając o tym, spojrział poza murek ogrodu, żeby zorientować się w położeniu. Dostrzegł olbrzymią złotą kopułę niedalekiej budowli, którą Erin nazwała Kopułą na Skale. Na pewno nieźle orientuje się w okolicy, w której się znajdują.

Głos ojca Ambrose'a skierował jego uwagę na kardynała.

— Czy mogę przedstawić Waszej Eminencji doktor Granger i sierżanta Stone'a?

Kardynał wyciągnął dłoń. Miał na sobie czerwoną czapkę, skórzane czerwone rękawiczki oraz habit, tak jak Rhun, lecz jego był czerwony.

Jordan nie zauważył pierścienia, który należałoby ucałować — i tak by tego nie zrobił — więc odwzajemnił gest. Jednak kardynał najpierw zwrócił się do Erin i ujął jej rękę w obie dłonie.

— To dla mnie zaszczyt, pani doktor.

— Dziękuję, Wasza Eminencjo.

— Proszę się do mnie zwracać księżę kardynale — odparł głębokim głosem, w którym zabrzmiały przyjazne tony. — Nie bądźmy tacy oficjalni.

Kardynał podał rękę Jordanowi.

— Sierżancie Stone, dziękuję panu za pomoc i za to, że ojciec Korza wrócił do nas w całości.

— Wydaje mi się, że ojciec Korza ma w tym taki sam udział, księżę kardynale.

Jordanowi ponownie zaburczało w brzuchu.

Gospodarz ruszył w kierunku stołu.

— Wybaczcie państwo starcowi roztargnienie. Potrzebny jest wam dobry posiłek.

Podeszli do stołu i usiedli. Talerze stały tylko przed Jordanem i Erin.

— To wszystko, ojczy Ambrose — rzekł cicho Bernard.

Znacznie młodszy wiekiem ksiądz zdziwił się, że zostaje odprawiony. Ukłonił się i odszedł.

Jordan przyjął to z zadowoleniem i ochoczo zabrał się do jedzenia. Erin nałożyła sobie solidną porcję sera i chleba. Bernard i Korza nic nie jedli.

— Mogę państwu coś opowiedzieć? — zapytał kardynał, unosząc krzaczaste białe brwi.

— Ależ proszę — odparła Erin.

— Od zarania pisanej historii ludzie lękali się ciemności. — Bernard wziął do ręki winogrono i obracał je w palcach. — Jak sięgnąć pamięcią, *strigoi* byli wśród nas i sprawiali, że noce stawały się pełne strachu i krwi.

Jordan przełknął kęs chleba i sera, lecz nagle zaschło mu w gardle. Nikt nie musiał mu przypominać, jakie zagrożenie

stanowią *strigoi*.

— Założyciele Kościoła wiedzieli o ich istnieniu — ciągnął kardynał. — Nie było to chronione tajemnicą tak jak dzisiaj. Kościół stworzył zakon powołany do kontrolowania liczebności ich szeregów. Uczynił to nie tylko z powodu zaciekłości ich ataków, lecz także dlatego, że kiedy człowiek przemienia się w *strigoi*, traci duszę.

Niepodobna było odczytać wyrazu ciemnych oczu Korzy. Jak to jest być księdzem pozbawionym duszy?

— Skąd to wiadomo? — zapytała Erin.

Kardynał się uśmiechnął. Jego uśmiech przywiódł Jordanowi na pamięć ukochanego dziadka.

— Istnieją metody, dzięki którym to ustalono. Być może zbyt ezoteryczne, aby omawiać je przy tym stole.

— Prostymi słowami — zaproponował Jordan.

Erin splotła ręce na piersi.

— Myślę, że może ksiądz kardynał zaryzykować.

— Nie chciałem państwa urazić, ale chodzi o to, że mamy mało czasu. Uważam, że najważniejsze, aby poznali państwo to, co istotne w naszej obecnej sytuacji. O duszy *strigoi* mogę opowiedzieć później.

Erin patrzyła na niego z lekką podejrzliwością. Jordanowi podobało się, że stawia się kardynałowi. Niewiele rzeczy mogło ją przestraszyć.

— Sangwiniści to zakon księży, którzy czerpią siłę z krwi Chrystusa. — Bernard dotknął krzyża. — Z natury są nieśmiertelni, lecz często giną w świętych bitwach. Wówczas odzyskują duszę.

Jordan znów skierował oczy na Korzę. A więc jego przeznaczeniem jest walka ze złem aż do grobowej deski, jakkolwiek długo będzie to trwało. Niekończąca się misja.

Wzrok kardynała spoczął na Erin.

— Liczne masakry dokonane przez *strigoi* zostały fałszywie przedstawione na kartach historii.

Archeolożka ściągnęła brwi, jej oczy się rozszerzyły.

— Rzeź Heroda — podchwyciła. — Moje wykopaliska. To nie Herod chciał zamordować przyszłego żydowskiego króla, prawda?

— Godna podziwu przenikliwość. Herod nie zabił tych niemowląt, uczynili to *strigoj*.

— Oni nie tylko pili krew dzieci. Znalazłam ślady zębów na kościach. To była wściekła napaść, przeprowadzona z determinacją.

Kardynał położył rękę na dłoni Erin.

— Z przykrością potwierdzam pani słowa. *Strigoj* dążyli do zabicia Chrystusa, gdyż wiedzieli, że On przyczyni się do ich zagłady. Tak się w istocie stało, bo cud Jego krwi pozwolił założyć zakon sangwinistów i rozpocząć batalię ze *strigoj*.

— Coś mi się wydaje, że sangwiniści kiepsko wyszli na tym układzie — zauważył Jordan, pochłaniając kiść winogron.

— Ależ nie. Ścieżka, którą podążamy, nie jest prosta, lecz nasze działania służą ludziom i otwierają nam jedyną drogę do zbawienia. — Kardynał obrócił winogrono w palcach. — Przez setki lat udawało nam się trzymać *strigoj* w szachu, lecz w ciągu kilku ostatnich dziesięcioleci oni i niektórzy ludzie utworzyli sojusz o nazwie Belial.

Erin poruszyła rękami; najwyraźniej to imię coś jej mówiło.

— Belial, wódz synów ciemności. Pradawne podanie.

Jordan przestał jeść.

— No to pięknie.

— Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego połączyli siły. — Kardynał spojrział w nocne niebo. — Ale może po dzisiejszym dniu już to wiemy.

Korza zmarszczył czoło.

— Nie wiemy tego na pewno nawet teraz. Bernard uwielbia dramatyczne sceny, ale nie ulegajcie wrażeniu.

— Jakiemu wrażeniu? — chciał wiedzieć Jordan.

— Po co stworzono sektę Beliala? — spytała Erin.

— Rhun, jak miemam, wyjawiał już państwu, że w grobowcu w Masadzie złożona była najświętsza księga, jaką kiedykolwiek

spisano. Jest to opowieść Chrystusa o tym, jak rozwinęła się Jego boska moc. Spisał ją własną krwią. Nazywa się Ewangelia Krwi.

— Co to znaczy, że jego boska moc się rozwinęła? — zaciekawiał się Jordan i odsunął talerz, straciwszy resztkę apetytu.

Kardynał skinął głową.

— Intrygujące pytanie. Jak państwo być może wiedzą z Biblii, w pierwszym okresie swojego życia Jezus nie dokonuje cudów. Dopiero później zaczyna się cały ich szereg. Pierwszy został opisany w Księdze Jana, polegał na przemianie wody w wino.

Erin poruszyła się i zacytowała Biblię.

— *Taki to początek znaków uczynił Jezus w Kanie Galilejskiej. Objawił swoją chwałę i uwierzyli w Niego Jego uczniowie*³.

Bernard skinął głową.

— Później nastąpił ciąg cudów: rozmnożenie ryb, uzdrowienia chorych, wskrzeszenie zmarłego.

— Ale co to wszystko ma wspólnego z Ewangelią Krwi? — dopytywała się Erin.

— Zagadka cudów Jezusa dezorientowała wielu badaczy Pisma Świętego — wyjaśniał kardynał. — Skąd te nagłe objawienia i znaki? Co sprawiło, że boskość Jezusa w którymś momencie zajaśniała w jego cielesnej postaci? — Bernard spojrział na twarze rozmówców. — Odpowiedź na te pytania znajduje się w Ewangelii Krwi.

Erin przyglądała mu się jak oczarowana.

— Brzmi nieźle — podsumował Jordan. — Ale dlaczego sekta Beliala interesuje się tą księgą?

— Ponieważ dzięki niej każdy może dotknąć swojej boskości i ją objawić. Wiecie, co by się stało, gdyby *strigoi* się tego nauczyli? Mogłoby to ich wyzwolić ze słabości. Może byliby w stanie chodzić za dnia tak jak my, pomnożyć swoje siły. Wyobraźcie sobie, jakie byłyby tego skutki dla ludzkości.

— Jednak żadnej z tych rzeczy nie wiemy na pewno — wtrącił Korza. — To jedynie spekulacje Bernarda. — Spojrział twardo na Erin, a potem na Jordana. — Musicie o tym pamiętać.

— Ale dlaczego? — spytała Erin. Jej oczy się zwężyły.

Twarz kardynała stężała w posępnym wyrazie. Bardzo nie podobały mu się wtręty Korzy.

— Ponieważ oboje macie pewną rolę do odegrania w dalszym biegu wydarzeń — odrzekł zdecydowanie. — Jeśli odmówicie, świat pogrąży się w ciemności. Tak zostało przepowiedziane.

26 października, 22.32

Jerozolima, Izrael

Erin chciała wyrazić swoją rezerwę, lecz jej się to nie udało.

— Los świata ma zależeć od Jordana i ode mnie?

— Nie musisz wymawiać mojego imienia w tym kontekście z aż takim niedowierzaniem — mruknął Jordan.

Zignorowała uwagę, słysząc drwiący ton w jego głosie. On także nie zamierzał pozwolić, by go nabierano.

— Dlaczego? — spytała, podsumowując jednym słowem wszystkie wątpliwości.

Kardynał wrzucił ciemne winogrono do pustej miski.

— Nie mogę tego wyjawić, pani doktor, dopóki nie dokonacie wyboru. Później powiem wszystko, a państwo będą mieli możliwość wycofać się bez żadnych konsekwencji.

— To ksiądz kardynał wysłał po mnie helikopter do Cezarei, prawda? — spytała.

Stanął jej przed oczami obraz wirujących płatów maszyny i spłoszonego ogiera. A także nieszczęsnego Heinricha, który leżał zakrwawiony w wykopie.

— Owszem — przyznał kardynał. — Wykorzystałem swoje kontakty w izraelskim wywiadzie, aby ściągnąć panią do Masady. Zakładałem, że Ewangelia może się tam znajdować.

— Dlaczego ksiądz kardynał wybrał właśnie mnie? — Zamierzała powtarzać to pytanie tak długo, aż otrzyma zadowolającą odpowiedź.

— Śledziłem pani działalność, pani doktor. Do religii odnosi się pani sceptycznie, ale jest obznajomiona z wiedzą biblijną. Dzięki temu dostrzega pani rzeczy, które mogłyby umknąć uwagi świeckiego naukowca. Z tego samego względu kwestionuje pani sprawy, których religijny uczonec by nie podważał. To unikatowe połączenie cech czyni panią najodpowiedniejszą osobą, która może przywrócić światu Ewangelię. Tak uważałem i nadal w to wierzę.

A może po prostu byłem jedynym archeologiem, który znalazł się pod ręką, pomyślała. Zbliżał się koniec roku i większość jej kolegów wracała na uczelnię, aby prowadzić wykłady. Ale jakie to miało znaczenie? Erin zamilczała.

— Co ze mną? — rzucił sarkastycznie Jordan. — Pewnie jestem przypadkowo wybranym nieobliczalnym wariatem, bo nic szczególnego we mnie nie ma.

Erin nie zgodziłaby się z tą opinią. Widziała jego tatuaż i pamiętała, że przez trzy minuty był martwy.

Czy coś może się za tym kryć?

Kardynał lekko uśmiechnął się do Jordana.

— Nie wiem, dlaczego przepowiednia wskazała waszą dwójkę, synu. Ale to właśnie wy wyszliście żywi z grobowca.

— I jakie jest nasze następne zadanie? — spytał Jordan.

Erin domyślała się, że sierżant często wypełnia rozkazy, których istota nie jest mu ujawniana. Z nią było inaczej, chciała znać pełne dane.

— Wasza dwójka z pomocą Rhuna musi odnaleźć i zdobyć Ewangelię, a następnie dostarczyć ją do Watykanu — ciągnął kardynał, oparłszy łokcie na stole. — Przepowiednia mówi, że księgę otworzyć można tylko w Rzymie. Tam nasi uczeni rozwikłają jej tajemnice.

— I co później? — indagowała Erin. — Zamierzacie ją ukryć?

Jeśli Ewangelia Krwi naprawdę istniała i zawierała treści, o których mówił kardynał, była zbyt cenna i ważna, żeby zostawić ją na wyłączność Kościołowi.

— Słowo Boże zawsze było dostępne dla wszystkich — odrzekł starzec, uśmiechając się do niej brązowymi oczami.

— Tak jak w czasach inkwizycji, kiedy Kościół palił księgi nierzadko wraz z ich autorami?

— Kościół popełniał błędy — przyznał kardynał. — Jednak tym razem tak się nie zdarzy. Jeśli podzielimy się Ewangelią, jej blask stanie się udziałem całej ludzkości.

Sprawił wrażenie, że mówi szczerze, lecz Erin wiedziała swoje.

— Poświęciłam życie odkrywaniu prawdy, nawet jeśli była niezgodna z biblijnym nauczaniem.

— Rzekłbym, że poświęcała się pani zwłaszcza wtedy, gdy prawda była niezgodna z nauczaniem biblijnym — zauważył kardynał, lekko krzywiąc usta.

— Być może. — Erin głęboko odetchnęła. — Ale czy ksiądz kardynał przysięgnie, że kiedy księga będzie bezpieczna, podzielicie się nią ze świeckimi uczonymi? Nawet jeśli jej treść będzie niezgodna z nauczaniem Kościoła?

Kardynał Bernard dotknął krzyża.

— Przysięgam.

Ten niezwykle gest ją zaskoczył. Nie miała pewności, czy duchowny dotrzyma słowa, zwłaszcza jeśli treść księgi okaże się sprzeczna z tym, co głosi Kościół, lecz na lepszą propozycję nie mogła liczyć. A jeżeli Ewangelia istniała, Erin pragnęła ją znaleźć. Odkrycie to w jakiś sposób zrekompensowałoby daninę krwi Heinricha oraz tych, którzy zginęli w Masadzie.

Podjęła decyzję.

— W takim razie...

— Zaczekaj — wpadł jej w słowo Rhun. — Zanim weźmiesz na siebie to zobowiązanie, musisz zrozumieć, że te poszukiwania mogą cię kosztować życie. — Jego ręka powędrowała do krzyża. — Albo coś jeszcze cenniejszego.

Przypomniała sobie słowa duchownych o duszach *strigoi*, a właściwie o ich braku. Stawką podróży, która ich czekała, nie było jedynie życie Rhuna, Jordana i jej samej.

W oczach zakonnika pojawił się głęboki smutek, jakiś cień przeszłości.

Opłakiwał swoją duszę czy kogoś innego?

Przytoczyła w myślach wszystkie powody, dla których nie powinna się godzić na to przedsięwzięcie. Powinna wrócić do Cezarei, spotkać się z rodzicami Heinricha i kontynuować wykopaliska. Jednak decyzja, którą miała podjąć, wymagała czegoś więcej niż logiki.

— Co pani odpowie, pani doktor? — zapytał kardynał.

Popatrzyła na stół stojący w tym miejscu od tysięcy lat i na Rhuna, którego samo istnienie mogło stanowić dowód cudu transsubstancjacji. Jeśli on jest prawdziwy, to prawdziwa mogła być także Ewangelia Chrystusa.

— Erin? — odezwał się Jordan.

Wciągnęła głęboko powietrze w płuca.

— Jak mogłabym przepuścić taką okazję?

Sierżant przechylił głowę.

— Masz pewność, że to twoja walka?

Jeśli nie jej, to czyja? Wyobraziła sobie szkielet niemowlęcia leżący w wykopie. Ojciec lub matka z czułością ułożyli jego nóżki w naturalnej pozycji. Wyobraziła sobie rzeź, która tak przedwcześnie zaprowadziła maleństwo do grobu. Jeżeli w tym, co zostało powiedziane przy stole, kryło się choć ziarnko prawdy, Erin nie mogła dopuścić, by sekta Beliała zdobyła księgę i mogła dokonywać takich bestialstw wszędzie.

Jordan patrzył jej pytająco w oczy.

Rhun skłonił głowę i wyglądał, jakby się modlił.

Zdecydowanie skinęła głową.

— Muszę to zrobić.

Sierżant przyglądał jej się dłuższą chwilę, a potem wzruszył ramionami.

— Jeśli ona w to wchodzi, to i ja.

Kardynał pochylił głowę w geście podziękowania, lecz dotąd nie wyjawiał wszystkiego.

— Istnieje jeszcze jeden warunek.

— Normalka — mruknął Jordan.

— Jeśli wejdziecie w sojusz z sangwinistami — mówił Bernard — musicie wiedzieć, że zostanie ogłoszona wasza śmierć. Traficie na listę ofiar, które zginęły w Masadzie. Wasze rodziny zaczną was opłakiwać.

— Wolnego — rzekł Jordan, prostując się.

Erin zrozumiała. Rodzina sierżanta głęboko odczuje tę stratę. Taki będzie skutek jego decyzji. Nie mógł się zgodzić. Prawie mu pozazdrościła. Miała przyjaciół, nawet bliskich przyjaciół i kolegów, lecz nikt nie poczuje się zdruzgotany, jeśli ona nie powróci z Izraela. Nie miała rodziny.

— Inaczej nie może być. — Kardynał uniósł ręce w rękawiczkach. — Jeżeli sekta Beliala dowie się, że żyjecie i poszukujecie Ewangelii, może podjąć próbę oddziaływania na was za pośrednictwem bliskich... Chyba zdajecie sobie sprawę, co to oznacza?

Erin skinęła głową. Na własne oczy zobaczyła zaciekłość członków sekty w grobowcu w Masadzie.

— Aby chronić was i waszych bliskich, musimy otoczyć was zasłoną sangwinistów. Musicie zniknąć z szeregów ludzkiej społeczności.

Jordan w zamyśleniu dotknął obwódki po obrączce.

— Nie powinieneś wyruszać, Jordanie. Masz zbyt dużo do stracenia.

— To dla ich bezpieczeństwa, synu — odezwał się łagodniejszym tonem kardynał. — Kiedy zagrożenie minie, będziecie mogli powrócić do dawnego życia, a przyjaciele i bliscy zrozumieją, że kierowaliście się miłością do nich.

— Nikt inny nie może się podjąć tego zadania, tylko my? — dopytał Jordan, wciąż spoglądając na swoje palce.

— Jestem przekonany, wierzę, że musi je spełnić wasza trójka.

Sierżant zerknął na Rhuna, którego ciemne oczy niewiele zdradzały, a następnie na Erin.

Wstał i sztywno podszedł do krawędzi tarasu. Ta decyzja była dla niego trudna, Erin to rozumiała. Nie był, tak jak ona,

osieroconym archeologiem. Miał w Iowa dużą rodzinę, żonę, być może dzieci.

Ona nie miała nikogo.

Przywykła do samotności.

Dlaczego więc spoglądała na Jordana, z niepokojem czekając na jego odpowiedź?

26 października, 22.54

W podziemiach pod pustynią w Izraelu

Bathory poruszyła się i obudziła, nie wiedząc, gdzie zasnęła. Wyczerpana, uległa chładowi i zaciszności podziemnego bunkra. Dopiero po chwili uprzytomniła sobie, gdzie się znajduje. Spowijało ją niewyraźne niczym pajęczyna poczucie poniesionej straty.

Naraz wszystko sobie przypomniała.

Wróciła świadomość czasu, a wraz z nią zmęczenie i ostry jak nóż strach. Usiadła, zsuwając nogi z sofy na ziemię. Magor, który zawsze jej strzegł, leżał nieopodal zwinięty w kłębek. Uniósł wielki łeb, jego oczy się zaświeciły.

Machnęła uspokajająco ręką, on jednak podniósł się i przyczłapał do niej.

Przycupnął obok Bathory i oparł głowę na jej kolanach. Wyczuwał jej niepokój, tak jak ona wyczuwała jego ciepło, przywiązanie i troskę.

— Nic mi nie będzie — zapewniła go głośno.

On jednak odczuwał jej niewypowiedziany lęk i napięcie.

Drapiąc wilkozora za uszami, szukała słów, za pomocą których opowie Jemu o swojej porażce. Jeśli słowa takie w ogóle istnieją. Straciła niemal wszystkich *strigoi*, którzy jej podlegali, i pozwoliła Rycerzowi Chrystusa wymknąć się z zasadzki. A co najgorsze, nic za tę cenę nie osiągnęła.

Nie znalazła także książki, lecz to nie była jej wina.

Ktoś ją skradł na długo przedtem, zanim Masada obróciła się w gruzy.

Bathory miała dowody tej kradzieży: ziarniste zdjęcia zrobione za pomocą telefonu komórkowego.

Jednak żadna wymówka nie mogła usprawiedliwić w jej oczach tego, co się zdarzyło.

Nie mogąc dłużej wysiedzieć, łagodnie odsunęła pysk Magora i wstała. Dotknęła bosymi stopami perskiego dywanika niegdyś zdobiącego kamienną posadzkę zamku, który należał do jej przodków. Ogrzewał nogi, które od dawna już nie stąpają po tej ziemi.

Dotarła do betonowej ściany. Czerwony chiński jedwab łagodził surowe wnętrze bunkra stanowiącego dom Bathory na pustyni, ukryty siedem metrów pod powierzchnią piasków. Na ścianie znajdował się regał, a na nim starannie ułożono zabytkowy lancet z rączką z kości słoniowej oraz złotą miskę na krew. Pierścienie na jej powierzchni wskazywały, ile krwi utoczono.

Uniosła miskę. Ile przeklętej krwi Bathory wystarczy Mu, aby uznać, że dostatecznie ją ukarał?

Magor dotknął nosem jej biodra, a ona odstawiła misę i uklękła, chowając twarz w jego futrze. Wilczy zapach, zmieszany z wonią krwi, niósł pociechę. Teraz, po śmierci Hunora, wilkozor był jej ostatnim prawdziwym towarzyszem.

A jeśli On pozbawi ją Magora?

Myśl ta przeraziła Bathory. Jej wzrok padł na najcenniejszą rzecz, jaką posiadała: oryginalny portret chłopca, dzieło Rembrandta. Inna wersja *Tytusa*, który wisiał w amerykańskiej galerii. Anielską twarz chłopczyka okalały jasne kędziory. Szaroniebieskie oczy patrzyły poważnie z obrazu, czerwone usta układały się w niepewny uśmiech. Na obrazie, który trafił do Ameryki, bark chłopca znaczyła szara smuga. Historycy sztuki spekulowali, że to ślad po papudze lub małpce, która umarła, gdy twórca kończył malować obraz. Z myślą o uczuciach chłopca zwierzątko zostało zamalowane. Na obrazie należącym do

Bathory widać, że owym zwierzątkiem nie była ani papuga, ani małpka. Z ramienia chłopca spoglądała jasnobrzęza sowa.

Jednak to nie nocny drapieżnik przykuł wzrok Bathory, lecz chłopiec. Przypominał jej brata Istvana, którego utrata nadal ją gnębiła.

Najpierw Istvan, teraz Hunor.

Nie może stracić Magora.

Wilk oparł na jej ramieniu wielki pysk. Zanuciła mu kołysankę, obmyślając plan działania. Może powinna uciec na pustynię, zniknąć wraz z Magorem. W schowku miała tyle pieniędzy i klejnotów, że przez lata mogłaby żyć w komforcie. Może zdołałaby wyrwać się ze srebrnej klatki, w której od tak dawna tkwiła uwięziona.

Jak gdyby czytając w jej myślach, ktoś mocno zapukał do drzwi.

Magor zawarczał, sierść na jego karku się zjeżyła.

Przybysz nie czekał na zaproszenie. Grube metalowe drzwi rozwarły się, ciężkie buty zatupały o posadzkę.

Tarek się zatrzymał tuż za progiem, obok niego stanął jego brat Rafik. Śmiało sobie poczynął.

Bathory wstała, unosząc brodę. Odsłoniła szyję z Jego znamiem.

Magor jak dobry obrońca stanął przed swoją panią.

— Jak śmiecie wchodzić bez pozwolenia? — zapytała.

Tarek się uśmiechnął. Wargi rozciągnęły się, odsłaniając wydłużone kły.

— Dlatego, że On wie o twojej kłesce.

Rafik spoglądał znad ramienia brata, w jego oczach paliła się obłąkańcza zajadłość.

Tarek jasno wyłożył powód, dla którego pozwolił sobie na to bezczelne najście. Zwęszył możliwość zmiany równowagi sił i przekraczając próg, dawał wyraz swoim zamiarom niczym pies oznaczający drzewo.

— Od Niego samego dostałem pouczenie, w jaki sposób mam cię zabić, kiedy ponownie sprawisz Mu zawód.

Błysk w oczach Rafika świadczył, że śmierć ta nie byłaby ani szybka, ani bezbolesna.

Bathory patrzyła beznamiętnie na Tareka. Dwa potwory stojące w drzwiach górowały nad nią siłą, lecz ona była znacznie bardziej przebiegła. Pewność ta pozwoliła jej wygrać z Tarekiem walkę na spojrzenia. W końcu spuścił wzrok i się oddalił.

Groźby tego rodzaju nie napawały jej lękiem, tylko wzmacniały i hartowały jej wolę.

On dobrze o tym wiedział.

Dotknęła grzbietu Magora.

— Czas wyruszyć znów na polowanie.

26 października, 22.57

Jerozolima, Izrael

Jordan spoglądał z ogrodu na tarasie na Ścianę Płaczu oraz ludzi, którzy się przed nią modlili. Młoda matka unosiła maleńkie dziecko; falbanki różowej sukieneczki dziewczynki zadrżały, kiedy jej rączka dotknęła kamieni. Wyglądała jak jego siostrzenica Abigail, gdy była w podobnym wieku. Siostra Jordana przez trzy lata ubierała swoje maleństwo wyłącznie na różowo. Później Abigail sama zaczęła dobierać sobie ubranka... tylko brązowe. Młoda matka przytuliła dziecko do piersi i ucałowała je w główkę.

Żadna z nich nie miała pojęcia o istnieniu *strigoi*.

Żyły w świecie, w którym nie było potworów.

One jednak istniały i Jordan już się o tym przekonał. Jeśli misja się nie powiedzie, wszyscy będą musieli się z nimi zmierzyć. Pamiętał, jak błyskawicznie wampiry uporały się z jego doskonale wyszkolonymi żołnierzami.

Odprowadzał wzrokiem matkę z córką i walczył z myślami o swojej rodzinie. Zwłaszcza o matce, która w zeszłym miesiącu miała operację guza mózgu i wciąż była słaba. Przechodziła chemioterapię.

Do licha z Belialem, żal po śmierci syna może ją wykończyć.

Mimo to wiedział, czego by po nim oczekiwała. Był jej nieodrodnym synem, to ona wpoila mu poczucie dobra i zła — za pomocą słów, uczynków, a nawet cierpienia. Po części za jej

sprawą wybrał służbę ojczyźnie i społeczeństwu. Wierzył w credo armii, które brzmiało: „Tego będziemy bronić”.

Powstrzymanie *strigoi*, aby nie zawładnęli światem, warte było tej straszliwej ceny; on się przed nią nie cofnie. Właśnie tego oczekiwałyby po nim rodzina. Nie sposób było poświęcić więcej niż jego podwładnych.

Wrócił do stołu z gotowym postanowieniem.

Motywy, które nim powodowały, były szlachetne, jednak sierżant wiedział, że nie mały udział ma w tym Erin. Doskonale pamiętał, jak uśmiechnęła się do niego po przebudzeniu w helikopterze, jak później zwiotczała w jego ramionach. Nie mógł jej porzucić i zostawić na łasce Rhuna i reszty.

Podszedł do stołu i rzucił na blat swoje identyfikatory.

— Wchodzę w to.

— Jordan... — Erin spoglądała na niego. Jej twarz odzwierciedlała wewnętrzną walkę, którą w sobie toczyła. Czuła jednocześnie ulgę i lęk.

Popatrzył na identyfikatory i odwrócił głowę. Kiedy rodzice je otrzymają, pomyślą, że syn poległ.

Kardynał z powagą skinął głową, lecz w jego oczach można było dostrzec błysk determinacji. Jordan widywał taki wyraz twarzy u generałów. Zwykle kiedy usłyszeli, że żołnierz zgłasza się na ochotnika do akcji. A zwłaszcza do takiej, z której może nie wrócić żywy.

Korza wstał tak raptownie, że krzesło poleciało do tyłu i trzasnęło o posadzkę. A potem wybiegł jak burza.

— Wybaczcie Rhunowi — rzekł kardynał. — Z powodu tej przepowiedni zapłacił kiedyś straszliwą cenę.

— Jaką? — Jordan podniósł krzesło, obrócił je i usiadł okrakiem.

— To zdarzyło się prawie czterysta lat temu. — Bernard skierował wzrok w stronę oświetlonego miasta. — Nie wątpię, że jeśli zechce, sam o tym opowie.

Sierżant poniekąd spodziewał się takiej odpowiedzi. Ułożył ręce na oparciu krzesła.

— Przyłączyliśmy się do was, więc może ksiądz kardynał zechciałby opowiedzieć nam o tej przepowiedni i wyjaśnić, dlaczego nasza trójka jest taka wyjątkowa.

Archeolożka splotła dłonie na kolanach niczym uczennica w szkole i nachyliła się. Ona także chciała poznać odpowiedzi na dręczące ją pytania.

— Kiedy księga została ukryta przed ludźmi, pojawiło się proroctwo... — Kardynał przerwał w pół zdania i pokręcił głową. — Najlepiej będzie, jeśli po prostu wam pokażę.

Wysunął szufladę i wydobył z niej pudełko z miękkiej skóry. Nie wyglądało na takie, które kryje w sobie proroctwo. Duchowny je otworzył i Erin pochyliła się w jego stronę. Jordan także się zbliżył i siedział tuż obok, dotykając jej ramienia.

— Czy to właśnie to? — zapytała.

Kardynał wyjął jakiś dokument w foliowej kopercie. Sierżant nie potrafił ocenić jego wieku, lecz pergamin mógł mieć tyle lat, ile otaczające ich miasto. Na kartce widniały litery zapisane ciemnym atramentem. Nie potrafił ich odczytać, ale wyglądały znajomo.

— To po grecku? — zaciekawiał się.

Erin skinęła głową i nachyliła się nad kartką.

— *Przyjdzie dzień, w którym Alfa i Omega przeleje swą mądrość na Ewangelię Krwi Bezczesnej, a synowie Adama i córki Ewy będą ją mogli wykorzystać w dniu potrzeby.*

— Alfa i Omega? — zdziwił się Jordan.

— Myślę, że chodzi o Jezusa. — Erin przesuwiała palcem po powierzchni folii. — *Do tego dnia błogosławiona księga pozostanie ukryta w najciemniejszej studni przez Dziewczynkę.* — Archeolożka przerwała. — Albo kobietę. To nie jest jasne. Tu jest napisane: *Dziewczynkę Odartą z Niewinności*, ale ostatnie słowo może także oznaczać wiedzę. Biblijne określenia wiedzy, dobra i zła często się mieszają.

Jordan już miał mętlik w głowie.

— Może przeczytamy całość, a później zajmiemy się szczegółami?

— Słusznie — przyznała Erin. — *Do tego dnia błogosławiona księga pozostanie ukryta w najciemniejszej studni przez Dziewczynkę Odartą z Niewinności, Rycerza Chrystusa i Męża Wojownika.*

Erin wciągnęła głęboko powietrze w płuca.

— *Takoż troje wydobędzie księgę na światło. Tylko Uczona Niewiasta, Rycerz Chrystusa i Mąż Wojownik zdołają otworzyć Chrystusową Ewangelię i odkryć przed światem Jego chwałę.*

Kardynał wpatrywał się w Erin.

— Wierzę, że chodzi o panią, a także o sierżanta Stone'a i ojca Korzę.

Erin spojrzała na pergamin.

— Dlaczego ksiądz kardynał uważa, że to właśnie my?

— Wasza trójka przybyła razem do miejsca spoczynku księgi. Każde z was odegrało jakąś rolę w pokonaniu stworzeń ciemności i wyszło cało spod ziemi, żeby zobaczyć gwiazdy na pustyni.

Jordan westchnął głośno, Erin i kardynał spojrzeli na niego. Wszystko to brzmiało w jego uszach jak religijne dyrdymały.

— Ale nie znaleźliśmy samej księgi, bo już jej nie było. Ktoś ją wywiózł w świat i zapewne już dawno temu otworzył.

— Nie, mój synu. Gdyby księga została otwarta, świat wyglądałby inaczej. Cuda byłyby na porządku dziennym.

— Może i tak — odrzekł Jordan. — Ale jednak ktoś znalazł księgę i ją zabrał. W takim razie to on musi być tym, o którym mówi proroctwo, prawda?

Kardynał pokręcił głową.

— Proroctwo nie wyjawia, kto znajdzie księgę, lecz mówi o tych, którzy muszą ją otworzyć. Myślę, że ten, kto zagarnął księgę, nie potrafi jej otworzyć, ponieważ nie należy do profetycznej trójki. Ja wierzę, że jesteście nią właśnie wy.

— Dokąd mamy się udać, żeby znaleźć księgę? — zapytała Erin.

Kardynał znów pokręcił głową.

— Na to pytanie nie znam odpowiedzi. Rhun twierdzi, że w grobowcu nie znalazł żadnego tropu osoby, która go splądrowała.

Erin spojrzała w oczy Jordana, jakby prosiła go o pozwolenie. Skinął głową. Nie było dalszego sensu zatajania sekretów. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła nazistowski medal.

— Znaleźliśmy to w dłoni dziewczynki. Musiała zerwać go z piersi tego, który ją zabił i ukradł księgę.

Kardynał Bernard wyciągnął rękę. Po chwili wahania archeolożka położyła srebrny krążek na czerwonej rękawiczce.

Duchowny przyjrzał mu się uważnie, zwracając uwagę na napis umieszczony przy krawędzi.

— *Ahnenerbe* — przeczytał.

— Książd zna sprawę? — indagował Jordan.

— Krąg zainteresowań naszego zakonu często pokrywał się z badaniami prowadzonymi przez ten oddział. Członkowie *Ahnenerbe* przeczesywali Ziemię Świętą w poszukiwaniu zaginionych artefaktów i przedmiotów religijnych dających moc. Książd, któremu niegdyś powierzono zadanie odnalezienia Ewangelii, także miał obserwować *Ahnenerbe*. Niestety, straciliśmy ojca Piersa w czasie drugiej wojny światowej. — Kardynał ucałował krzyż. — Wielu wtedy poległo.

Jordan wiedział, co czuje kardynał.

On zaś wyprostował się powoli, z namysłem, i zwrócił medal Erin.

— Znam kogoś, kto powinien to zobaczyć. W miejscowości Ettal w Niemczech działa w ukryciu nasz Uniwersytet Papieski prowadzony przez zakon sangwinistów. Jest w nim duża biblioteka naukowa. Znajdziecie tam nasze archiwa dotyczące *Ahnenerbe* i ich działalności w czasie drugiej wojny światowej. Może będzie to pierwszy przystanek na szlaku waszych poszukiwań?

Sierżant spojrzał na Erin.

— Masz lepszy pomysł?

— Lepszy niż biblioteka sangwinistów? — Erin wyglądała tak, jakby już zbierała się do drogi. — Nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę.

Uśmiechnął się szeroko; reakcja archeolożki ani trochę go nie zaskoczyła. Jej entuzjazm był zaraźliwy.

— Jeśli ojciec Korza się nie sprzeciwi, zaczniemy właśnie tam.

— Dopilnuję przygotowań, a później muszę udać się do Rzymu. Trzeba przygotować Watykan na możliwość, że się wam powiedzie.

Kardynał chciał wstać, lecz Jordan uniósł dłoń.

— Chciałbym prosić księdza kardynała o przysługę.

— Tak?

— Napisałem listy do rodzin moich ludzi — mówił opanowanym głosem zawodowego żołnierza. — Trzeba im je dostarczyć w razie śmierci żołnierzy. Mojej rodzinie także. Zostawiłem dowódcy adresy i instrukcje doręczenia. Czy ksiądz może dopilnować, żeby zostały wysłane?

Bernard skłonił głowę.

— Mogę, synu. Utrzymujemy kontakty z wieloma kapelanami.

Jordan odchrząknął.

— Jeszcze jedno, Wasza Eminencjo.

— Naturalnie.

Otworzył zasuwaną kieszonkę w kurtce i wyjął obrączkę. Trzymał ją w palcach i przypominał sobie dżdżysty dzień, w którym Karen włożyła mu ją na palec. Chwila ta zbliżała się nieuchronnie od czasu, gdy byli w ostatniej klasie liceum. Nigdy nie przypuszczali, że coś ich rozdzieli.

— Proszę dopilnować, aby ta obrączka trafiła do rodziny żony. Zawsze im mówiłem, że jeśli zginę, obrączka do nich wróci. Wspominali, że chcą ją zakopać obok jej grobu.

26 października, 23.14

Jerozolima, Izrael

Erin właśnie wzięła do ust łyk wody, kiedy sierżant podał kardynałowi swoją obrączkę. Aż się zakrztusiła ze zdumienia.

Obrączka zaślśniła na czerwonej rękawiczce Bernarda, a ten zamknął ją w dłoni.

— Spełnię twoją wolę, synu. Stanie się wedle twojego życzenia.

A więc Jordan nie ma żony — jest wdowcem.

Usiłowała dopasować tę informację do swojej wiedzy o nim; prawie nie słyszała, jak mówi kardynałowi, gdzie są te listy i w jaki sposób należy je wysłać. Powinien być żonaty, o tym właśnie świadczył jasny pasek na jego opalonym palcu. Nie lubiła mylić się w ocenie dowodów. A tymczasem on był wdowcem, który gorąco kochał żonę i nie zamierzał się z nią rozstawać.

Teraz wszystko wyglądało inaczej: jego zachowanie, a także jej. Zaczęła sobie przypominać to, co się między nimi wydarzyło, zwłaszcza pocałunek w pokoju.

Nagle złapała się na tym, że dotyka palcami ust. Siłą woli powstrzymała ten gest.

— Proszę wybaczyć, Wasza Eminencjo — rozległ się poirytowany głos. Wszyscy odwrócili głowy. Ojciec Ambrose podszedł do stołu. — Mogę sprzątnąć?

Archeolożka wstała, nie wiedząc, w którą stronę się udać.

— Oczywiście, synu — odrzekł kardynał. — Skończyliśmy posiłek.

Erin chciała zająć czymś ręce i myśli, pomagała więc Ambrose'owi uprzątnąć naczynia ze stołu. Jordan i kardynał wciąż rozmawiali. Podążyła za natrętnym księdzem w kierunku schodów.

Zamknęła drzwi, żeby zostać z nim sam na sam.

— Chciałabym pomówić z ojcem Korzą.

Ojciec Ambrose wyłowił z miski ostatnie winogrono i zjadł. Teraz, kiedy nie było w pobliżu kardynała, wydawał się swobodniejszy. A może nie dostrzegał w Erin zagrożenia dla swojego stanowiska.

— Może pani spróbować, ale ojciec Korza nie jest zbyt komunikatywny.

— Mimo to zaryzykuję — oznajmiła.

— No cóż, dobrze. — Ojciec Ambrose uśmiechnął się nieznacznie, jakby ukrywał jakiś sekret. — Ale proszę pamiętać, że panią ostrzegałem.

Zeszła za nim do nad podziw nowoczesnej kuchni i włożyła naczynia do zlewu.

Ksiądz wyjął z szafki dwa mosiężne lichtarze, umieścił w nich świece i zapalił.

— Tam, dokąd się udajemy, nie ma światła — wyjaśnił.

Podał jej jeden świecznik i skierował się do spiralnych schodów. Schodzili coraz niżej i niżej, mijając izby, w których ona i Jordan się umyli, a później pocałowali. Erin przyspieszyła kroku.

Zastanawiała się, jak zagadnąć Rhuna. Był wściekły, kiedy ona i Jordan wyrazili zgodę na wzięcie udziału w poszukiwaniach. Ale czemu? Jaką cenę przyszło mu zapłacić przed czterystu laty?

Jej myśli zatrzymały się przy jego wieku. Czy naprawdę może mieć pięćset lat? To by oznaczało, że żył w epoce renesansu. I wyjaśniałoby, dlaczego zachowuje oficjalne dworskie maniere; jednak inne kwestie pozostawały niewyjaśnione.

Na przykład pytanie, dlaczego Erin do niego schodzi.

Być może chciała po prostu uciec. Potrzebowała czasu i miejsca, żeby przyswoić sobie nowy obraz Jordana.

Ale Rhun znał odpowiedzi także na inne pytania, które chciała zadać.

Jego reakcje w ogrodzie mogły wskazywać, że o zagrożeniach związanych z poszukiwaniami wypowie się bardziej otwarcie i rzetelnie niż kardynał. Mimo że Erin już dokonała wyboru, chciała wiedzieć jak najwięcej o czekającym ich przedsięwzięciu. Rhun może udzielić odpowiedzi, ale może też patrzeć na nią w milczeniu. Tak czy inaczej, musiała spróbować.

Ojciec Ambrose zatrzymał się przed masywnymi drewnianymi drzwiami. Usiłował je otworzyć uniwersalnym kluczem, który zdjął z pierścienia wiszącego u paska. Zardzewiały zamek wyglądał tak, jakby od lat go nie otwierano.

Nagle zdjął ją strach i poczuła gęsią skórę na ramionach. A jeśli Ambrose chce jej zrobić coś złego? Zganiła się za głupie myśli. Jordan i kardynał widzieli, że wychodzi z mnichem. Nie odważyłby się. Mimo to jej serce nie chciało się uspokoić.

W końcu zamek ustąpił. Ojciec Ambrose z trudem pociągnął drzwi i poprowadził ją do ciemnego pomieszczenia.

Zakonnik klęczał po przeciwnej stronie przed czymś, co przypominało ołtarz, lecz było niewyraźne w mroku. Izbę oświetlała jedna gromnica, jednak większość blasku pochłaniała jej szkarłatna szklana oprawka. Światło wydobywało z ciemności łukowe sklepienie i starożytne witraże w oknie, za którym z pewnością znajdowała się jedynie skała. Przejście pomiędzy pustymi drewnianymi ławkami zakrywał wyleniawy chodnik.

Czy to była kaplica sangwinistów?

Ambrose skinął ręką i Erin weszła po cichu. Po przekroczeniu progu zrobiła tylko kilka kroków, nie chcąc zakłócać modlitwy Rhuna.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, przeciąg zdmuchnął świecę. Nie pomyślała, żeby osłonić ją dłonią. Obejrzała się, lecz ojciec Ambrose nie wszedł razem z nią.

Podeszła do drzwi i nacisnęła klamkę.

Były zamknięte na klucz.

Ambrose uwięził ją z Rhunem.

Znieruchomiła, nie wiedząc, co robić. Nie sprawi Ambrose'owi satysfakcji, nie będzie waliła pięścią w drzwi i błagała, żeby ją wypuścił. Nie chciała także przeszkadzać Rhunowi w modlitwie.

Dotąd jej nie zauważył, to zaś oznaczało, że jest głęboko pogrążony w medytacji. Mnich dostrzegał przecież wszystko, jego zmysły były o wiele bardziej wyostrzone niż jej. Tymczasem w żaden sposób nie dał po sobie poznać, że jest świadom jej obecności.

Czyżby aż tak bardzo zagłębił się w modlitwie?

Z zazdrością pomyślała o jego wielkiej pobożności.

W ciszy usłyszała słowa szeptane po łacinie. Były łatwe do przetłumaczenia, gdyż w dzieciństwie słuchała ich często podczas mszy.

— Oto krew naszego Pana Jezusa Chrystusa, która za was została wylana, abyście zachowali życie wieczne. Pijcie ją z wdzięcznością na wieczną pamiątkę.

Rhun udzielał sobie komunii. Erin pierwszy raz zrozumiała sens słów modlitwy. Będzie musiała przemyśleć od nowa wszystko, co wiedziała o Kościele. Zasady wiary, które kiedyś odrzucała, okazywały się prawdą. Potwierdzała je historia, której istnienia dotąd nawet nie podejrzewała.

— Niech krew naszego Pana Jezusa Chrystusa pozwoli ci zachować życie wieczne.

Ksiądz podniósł do ust duży kielich i zaintonował:

— Kielich krwi Jezusa Chrystusa, kielich zbawienia.

Tam, na pustyni, wstydził się, pijąc wino w obecności Erin i Jordana. Erin podeszła do drzwi i chciała zapukać, ale powstrzymała rękę.

Rhun był zły, kiedy ona i sierżant dostrzegli jego słabość. Byłoby o wiele gorzej, gdyby wzbudziła gniew ojca Ambrose'a.

Odwróciła się do zakonnika, ale nie narzucała mu swojej obecności. Usiadła na podłodze, spleciała ręce na kolanach i czekała.

Rhun uniósł zimny kielich do ust, wdychając znajomą woń złota i wina. Potrzebował tej nocy krwi Chrystusa tak bardzo, jak nie stało się to jego udziałem już od wielu lat. Ona uleczy jego rany i ukoji gniew. Bernard z pełną świadomością zagrożeń związał z nim los niewinnej kobiety i żołnierza. Zgodzili się wziąć udział w poszukiwaniach, nie wiedząc, dokąd ich zaprowadzą. Czy on, Rhun, postąpił tak samo pochopnie, kiedy był wątłą ludzką istotą?

Palił go wstyd, gdyż wina nie spoczywała wyłącznie na kardynale. To jego własne działania sprawiły, że żołnierz i kobieta znaleźli się w tym miejscu. Wyjawił im to, co zakazane. Ocalił ich, choć powinien pozwolić umrzeć.

Jeśli teraz ich zawiedzie, pożałują, że nie pozwolił im zginąć szybką śmiercią na pustyni.

Uniósł kielich po raz ostatni. Pił długo, do samego końca. Płyn parzył go w usta i w gardło. Przyczyną tego nie był jednak sfermentowany sok z winogron, lecz esencja krwi Jezusa Chrystusa stykająca się z grzechem, który przeniknął jego marną cielesną powłokę. Odstawił pusty puchar, a następnie uniósł ręce na wysokość ramion. Płomienie Chrystusowego daru płonęły w nim, a on w bólu wypowiadał ostatnie słowa modlitwy. Z jego ust wydobywała się para. Potem uklęknął. Nie pozostało w nim nic oprócz wspomnienia grzechu.

Świeże sitowie szeleściło pod butami Rhuna, gdy wszedł do holu i witał się ze służącą Elisabety, drobną, nieśmiałą Anną.

Elisabeta pilnowała, aby każdej jesieni stare sitowie w zamku Čachtice zostało usunięte. Następnie myto i suszono kamienną posadzkę i kładziono świeże sitowie. Wtedy rozsypywała na nie rumianek, dzięki czemu domostwo zyskiwało czysty i świeży zapach, jakże różny od woni innych siedzib arystokratów, które Rhun odwiedzał.

— Nie zechcesz pójść ze mną do dużej komnaty, ojczy? — Anna spuściła wzrok i odwróciła głowę, tak aby gość nie widział

jej znamienia.

— Anno, zechciej przyprowadzić panią tutaj.

Rhun bywał w tym domu już wiele razy, jednak tego wieczoru wolał nie wchodzić dalej.

Zanim Anna odeszła, Elisabeta zjawiała się ubrana w prześliczną ciemnozieloną suknię ciasno opinającą jej szczupłą kibić.

— Mój drogi ojciec Korza! Rzadko można cię zobaczyć o tak późnej porze. Wejdz, proszę, do komnaty. Anna właśnie napaliła w kominku.

— Muszę odmówić. Mam pewne zadanie do wypełnienia... Będzie lepiej, jeśli zostaniemy tutaj.

Pięknie wygięte brwi uniosły się w zdziwieniu.

— Jakże tajemniczo to zabrzmiało!

Machnięciem ręki Elisabeta odprawiła Annę, a następnie płynnym krokiem podeszła do wysokiego stołu przy drzwiach i zapaliła świece. Uniósł się od nich zapach miodu, przypominając Rhunowi dawno minione niewinne lata.

Migotliwy blask świec padł na twarz tak piękną, jakiej jeszcze nigdy nie widział. Światło połyskiwało na atramentowoczarnych włosach, w srebrzyście jasnych oczach skrzyła się figlarna psota. Elisabeta złożyła dłonie i stanęła naprzeciw gościa.

— Powiedz mi, co to za zadanie, ojcze.

— Przynoszę pewne wieści — odparł Rhun ze ściśniętym gardłem.

Elisabeta stała nieruchomo. Uśmiech zniknął z jej oblicza, promienne oczy pociemniały niczym burzowa chmura.

— O moim mężu, hrabi Nádasy?

Nie potrafił jej tego wyjawić, bo nie umiał jej ranić. Ujął w dłonie srebrny krzyż, znak swojego zakonu, pragnąc zaczerpnąć z niego sił. Tak jak zawsze poczuł jedynie ból.

— On zginął — powiedziała Elisabeta.

Była żoną żołnierza. Wiedziała, to naturalne.

— Poległ z honorem...

Oparła się bezwładnie o ścianę.

— Oszczędź mi szczegółów.

Rhun stał nieruchomo, nie mogąc wykrztusić słowa.

Elisabeta schyliła głowę, żeby ukryć łzy.

Jako kapłan powinien do niej podejść, pomodlić się z nią, opowiedzieć o woli Bożej, wyjaśnić, że Ferenc zamieszkał z tymi, którzy zostali wywyższeni. Wielokrotnie już pocieszał tak osoby, które opłakiwały swoich bliskich.

Jednak z nią było to niemożliwe.

Bo tak naprawdę pragnął opleść jej smukłe ciało ramionami, utulić ją na swojej piersi. Wycofał się więc, a jego tchórzostwo przybrało postać okrucieństwa. Porzucił ją w godzinie próby.

— Przyjmij moje najszczerze kondolencje — rzekł sztywno.

Uniosła na niego przepełnione żalem oczy. Było w nich także zdziwienie i dezorientacja, które po chwili ustąpiły miejsca najgłębszemu smutkowi. Ze wszystkich sił chciała ukryć go pod maską zwyczajności, jednak wзираły spod niej uczucia zranione jego chłodem.

— Nie będę cię zatrzymywała, ojcze. Pora jest późna, a przed tobą długa podróż.

Umknął, nie odpowiedziawszy nawet słowem.

Kochał ją — i dlatego porzucił.

Postawił stopę na oszronionej drodze i uświadomił sobie, że między nim a Elisabetą wszystko się zmieniło. Ona z pewnością także to wiedziała. Ferenc stanowił ścianę, która obojgu zapewniała bezpieczeństwo, oddzielała ich od siebie.

Ściana zniknęła i wszystko mogło się wydostać.

Rhun wrócił do terażniejszości. Leżał rozciągnięty na kamiennej posadzce kaplicy. Jego myśl znów pobiegła do zamku. Powinien pójść za głosem instynktu, uciec od niej na wieki i nigdy nie wrócić.

On tymczasem pogrążył się, tak jak teraz, w zacisznym mroku Kościoła. Czyste aromaty jego życia się rozpląnęły. Pozostał zapach kamiennego pyłu i męskiego potu zaprawiony rzeską wonią kadzidła oraz żywicy, z której pochodziło.

Znikło jednak wszystko, co tętniło życiem i zielenią.

W czasie tych dawno minionych nocy pełnił swoją kapłańską posługę. Jednak za dnia patrzył w czyste oczy Maryi Dziewicy, która opłakiwała syna, i myślał wyłącznie o Elisabecie. Spał tylko wtedy, gdy musiał, bo wówczas śniło mu się, że jej nie zawiódł, że przygarnął do siebie jej ciepłe ciało i pocieszył. Scałowywał łązy z jej twarzy, a ona uśmiechnęła się promiennie. Jej uśmiech przeznaczony był dla niego.

Przez długie lata posługi kapłańskiej jego wiara nigdy się nie zachwiała. Stało się to dopiero wtedy.

Odsunął na bok myśli o Elisabecie i modlił się, aż kamienie obtarły mu kolana do krwi. Pościł tak długo, że rozboleły go kości. Tylko on i jeszcze jeden sangwinista w ciągu stuleci nie poznali smaku ludzkiej krwi, nie odebrali życia człowiekowi. Myślał, że jego wiara jest silniejsza od ciała i uczuć.

Zdawało mu się, że je pokonał.

Pycha wciąż go zżerała.

Jego duma doprowadziła do upadku i jego, i ją.

Dlaczego wino właśnie dzisiaj ukazało mu tę część pokuty?

Bicie czyjegoś serca wdarło się do jego myśli i ściągnęło je z powrotem do oświetlonej blaskiem gromnicy kaplicy.

Ludzka istota tutaj? To było zabronione.

Oderwał głowę od kamieni. Jakaś kobieta siedziała tyłem do niego z głową pochyloną nad kolanami. Znajomy kształt czaszki, znajomy zapach płynący od szyi.

Erin.

Imię przepłynęło przez mgłę wspomnień i czasu.

Erin Granger.

Uczona Niewiasta.

Zapałał gniewem. Jeszcze jedną niewinną zmuszono do wstąpienia na jego drogę. Lepiej uśmiercić ją teraz szybko i zwyczajnie, niż skazywać na nieskończenie okrutniejszy los. Wstał, a jego wzrok zaćmił się czerwienią. Zwalczył pożądliwość modlitwą.

Do jego uszu dotarł inny słaby odgłos, bicie serca, dudniący i nieregularny.

Ambrose.

Zamknął Erin razem z nim albo po to, by go zawstydzić, albo z nadzieją, że pogrążony w pokucie straci panowanie nad sobą. Omal do tego nie doszło.

Przemierzył izbę tak szybko, że Erin wzdrygnęła się i uniosła ręce w uspokajającym geście.

— Wybacz, Rhun, nie chciałam...

— Wiem.

Ominął ją i pchnął drzwi z siłą, na którą zdobyć się mógł jedynie sangwinista. Z lubością usłyszał odgłos ciężkiego ciała Ambrose'a, które rąbnęło o ścianę.

Potem rozległy się jego szybkie kroki w korytarzu i na stopniach schodów.

Rhun wrócił do kaplicy i pomógł Erin wstać. Poczł lawendowy zapach jej włosów i piżmową woń lęku, który jednak słabł. Bicie serca spowolniało, oddech się uspokoił. Trzymał ją w ramionach odrobinę za długo, czując ciepło ciała i nie chcąc jej wypuścić.

Ona naprawdę żyła.

Postanowił, że zrobi wszystko, aby to się nie zmieniło. Bez względu na cenę.

26 października, 23.41

Nieujawniona lokalizacja w Izraelu

Tommy oparł czoło o szpitalne okno i powoli stukał kostkami palców w grube szkło, wsłuchując się w głuchy odgłos. Zdążył już dojść do wniosku, że przebywa w szpitalu wojskowym albo nawet w więzieniu.

Przyciągnął bliżej statyw kroplówki. Myślał o tym, by użyć go do rozbicia szyby i w ten sposób wydostać się na wolność.

Ale co potem?

Jeśli zdoła stłuc szybę i wyskoczyć, to czy przeżyje? Przed kilkoma laty oglądał program telewizyjny i dowiedział się, że upadek z wysokości ponad dziesięciu metrów najczęściej kończy się śmiercią. On znajdował się wyżej.

Dotykał rurek przyczepionych do igieł. Pielęgniarki mierzyły mu wszystko: tętno, nasycenie krwi tlenem oraz inne parametry fizyczne. Hebrajskie napisy stanowiły zagadkę. Ojciec umiał czytać w tym języku i próbował go nauczyć, lecz Tommy opanował hebrajski tylko na tyle, by przebrnąć przez ceremonię bar micwy.

Wspomnienie ojca nasunęło mu obraz czarnopomarańczowego gazu, który opadł na rodziców.

Gdyby nie powiedział im, że gaz jest niegroźny, wciąż mogliby żyć. Teraz już wiedział, że był trujący, choć nie dla niego. Słyszał, jak jeden z lekarzy mówi, że Tommy był „uodporniony”. Może zdołałby wyprowadzić rodziców w bezpieczne miejsce. Dziwny

ksiądz w Masadzie oznajmił, że nic nie był w stanie zrobić, ale co innego mógł powiedzieć w takiej sytuacji?

Zabiłeś swoich rodziców, chłopcze. Pójdiesz do piekła, ale sporo czasu upłynie, zanim tam trafisz.

Znów wyjrzał przez okno. Od powierzchni pustyni dzieliła je spora odległość. Cienie głązów wyglądały jak plamy atramentu rozlanego na jaśniejszym tle. Był to surowy krajobraz, lecz z tej wysokości tchnął spokojem.

Jakiś szmer zwrócił uwagę Tommy'ego.

Tuż obok niego stał chłopiec. Wyglądał mniej więcej na jego rówieśnika, lecz miał na sobie trzyczęściowy szary garnitur. Węszył w powietrzu niczym pies, coraz bardziej zbliżając nos do Tommy'ego. Jego oczy błyszczały.

— O co chodzi? — spytał Tommy, odsuwając się.

Nieznajomy odpowiedział uśmiechem tak zimnym, że chłopiec poczuł dreszcz na kręgosłupie.

Przestraszony zaczął raz po raz stukać w guzik alarmowy; wzywał pomocy. Przysunął się plecami do okna, jego serce biło tak szybko, że urządzenia pomiarowe zapiszczały.

Chłopak mrugnął do niego.

Tommy zdumiał się, widząc to dziwne zachowanie.

Bo kto dzisiaj puszcza oko?

Prawa ręka nieznajomego poruszyła się tak szybko, że Tommy zobaczył tylko rozmytą plamę tuż przy swojej szczęce. Jego szyję przeszył ostry ból.

Dotknął twarzy rękami i ujrzał krew. Płynęła z jego gardła, przesiąkała przez szpitalną piżamę i kapała na podłogę.

Nieznajomy chłopak opuścił dłoń i lekko przechylił głowę.

Tommy przycisnął rękę do gardła, starając się zatamować wpływ krwi. Dusił się, lecz mimo to krew ciekła przez palce.

Krzyknął, ale z jego ust wydobyło się tylko charczenie. Gardło ścisnął parzący ból.

Wiedząc, że potrzebuje natychmiastowej pomocy, wyrwał przewody EKG. Na monitorze ukazała się prosta linia, zawył alarm.

Do sali wpadli dwaj żołnierze z pistoletami maszynowymi gotowymi do strzału.

Zobaczył zaskoczenie na ich twarzach, lecz chłopak znów mrugnął okiem.

Tommy wiedział, że jest źle.

Nieznajomy szybkim jak błyskawica ruchem chwycił krzeselko i roztrzaskał nim grubą szybę. W tej samej chwili wypchnął Tommy'ego w ciemną noc.

Nareszcie wolny.

Spadając, czuł zimne powietrze owiewające ciało. Z szyi płynęła ciepła krew.

Zamknął oczy, aby przygotować się na spotkanie z mamą i tatą.

Ledwo zdążył ich sobie wyobrazić, gdy runął na ziemię. Nigdy nie doznał podobnego bólu. Był pewny, że za chwilę nastąpi koniec. To było nieuchronne.

Ale tak się nie stało.

Kule krzesały iskry na asfalcie. Żołnierze strzelali przez wybite okno. Wbiły się w klatkę piersiową Tommy'ego, udo i rękę. Każdemu trafieniu towarzyszyło szarpnięcie bólu.

Zawyły syreny, reflektory przeszły mrok.

Chłopak wylądował lekko obok Tommy'ego, jego szare zamszowe buty ledwo zachrzęściły na ziemi. Czyżby wyskoczył z tej wysokości?

Chwycił Tommy'ego za rękę. Jego kości boleśnie ocierały się o siebie, kiedy nieznajomy wywłókł go poza plamy światła reflektorów i na pustynię. Poruszał się szybko jak gazela. Najwyraźniej nie przejmował się, że ostre kamienie ranią porwanego w plecy i że ten ma połamane kości.

Przez cały czas z góry świeciły na nich obu obojętne gwiazdy.

Ich migotliwe spojrzenia były tak zimne, jak spojrzenie nieznajomego, gdy mrugał.

Tommy pragnął, żeby to się już skończyło. Chciał zasnąć. Umrzeć.

Rozpoczął odliczanie do śmierci.

Raz, dwa, trzy, cztery...

W jego umyśle zamglonym bólem pojawiła się najgorsza myśl ze wszystkich.

A jeśli ja w ogóle nie mogę umrzeć?

26 października, 23.44

Jerozolima, Izrael

Erin podążała kilka kroków za Rhunem, który wyszedł z kaplicy, wspiął się po schodach i ruszył przez labirynt tuneli. Sunął szybko, lecz wiedziała, że i tak spowalnia krok, aby mogła za nim nadążyć. Bała się jednak bardziej do niego zbliżyć. W kaplicy w blasku gromnicy wyraźnie widziała jego gniew. Z trudem się powstrzymał, żeby się na nią nie rzucić.

Gdyby nie lęk przed płataniną krętych korytarzy, wzięłaby nogi za pas. Jednak zgubiła swoją świecę, sangwinista zaś dzierżył w dłoni gromnicę. Bez oświetlenia Erin nie miała szans wrócić w bezpieczne miejsce.

Wreszcie z góry dobiegły głosy spierających się mężczyzn. Drzwi były otwarte i padało z nich światło. Rozpoznała wszystkie: gniewny głos Jordana, oficjalny, denerwujący ton Ambrose'a oraz westchnienia zrezygnowanego kardynała Bernarda.

— Gdzie ona jest?! — zagrzemiał Jordan, który najwyraźniej nie wiedział, co Ambrose zrobił z Erin.

Ciemna postać Rhuna zniknęła za drzwiami.

Erin pospieszyła za nim i znalazła się w nowoczesnym pokoju z bielonymi ścianami, posadzką z wypolerowanych kamieni i długim stołem, na którym leżały broń i amunicja.

Oczy wszystkich zwróciły się na nią.

Twarz sierżanta się rozluźniła.

— Bogu dzięki — powiedział. — Mówię tak, chociaż Bóg nie miał z tym nic wspólnego.

Pozostali, z wyjątkiem Rhuna, mieli nieprzeniknione miny.

On zaś skoczył do Ambrose'a, chwycił go za kark i przyparł do ściany. Krótkie nogi mnicha zadyndały w powietrzu.

— Kardynale! — jęknął, dusząc się.

Rhun zacisnął mu dłoń na gardle.

— Przyjdzie czas na porachunki między nami, Ambrose. Zakarbuj to sobie.

Jordan zrobił krok w ich stronę, unosząc ręce.

Twarz kardynała nie zdradzała emocji.

— Puść go, Rhunie. Dopilnuję, żeby dostał naganę.

Sangwinista zbliżył twarz do twarzy Ambrose'a.

Tylko Erin, stojąc z boku, mogła widzieć ostre końcówki zębów Rhuna, gdy ten mówił:

— Precz z moich oczu! Bo inaczej porachunki zaczną się niezwłocznie!

Rhun puścił księdza, któremu pobieliała twarz. A więc i on zauważył ostre zęby. Ambrose stanął na ziemi, odszedł kilka kroków, a potem umknął biegiem.

Jordan podszedł do Erin.

— Wszystko w porządku? Gdzie byłaś?

— Nic mi nie jest.

Nie chciała rozmawiać o tym, co ją spotkało, zwłaszcza teraz, gdy jeszcze nie oswoiła się z prawdziwym stanem cywilnym nowego kolegi z zespołu. Mimo to bardziej niż kiedykolwiek cieszyła się, że będzie jej towarzyszył w wyprawie. Widziała pociemniałą z gniewu twarz Rhuna, gdy ten spoglądał na nią w kaplicy. I jego powiększone kły, kiedy groził Ambrose'owi.

Ciepło ciała Jordana i jego troska podniosły ją na duchu.

— Dziękuję.

Kardynał Bernard odchrząknął.

— Skoro pani do nas wróciła, doktor Granger, może dokończymy rozmowę o *strigoi*.

Wskazał dłonią stół, na którym leżała broń. Erin trzymała się z dala od Rhuna, mimo że ten zdołał już się opanować.

Sierżant wziął ze stołu gogle i obejrzał je.

— To jest noktowizor, ale wygląda dziwnie.

— Okulary zostały specjalnie zaprojektowane, pozwalają wybierać między trybem słabego oświetlenia i podczerwieni — wyjaśnił Bernard. — Pożyteczne narzędzie. Tryb słabego oświetlenia pozwala widzieć przeciwników w nocy, ale ponieważ *strigoi* mają zimne ciała, nie można ich zobaczyć w podczerwieni. Przełączając tryby widzenia, będziecie mogli w nocy odróżniać ludzi od *strigoi*.

Zdziwiona Erin chciała przekonać się o tym na własne oczy. Wzięła okulary i spojrzała na Jordana. Jego włosy i czubek nosa były żółte, lecz reszta twarzy miała ciepłą czerwoną barwę. Zamachał do niej ręką w kolorze pomarańczowym.

Z całą pewnością jest ciepłokrwisty.

Przypomniała sobie jego gorący pocałunek i stłumiła tę myśl.

Szybko skierowała gogle na Rhuna. Kardynał wspomniał przed chwilą, że ciało zakonnika ma temperaturę pokojową, a mimo to się zdziwiła. Jego twarz składała się z takich samych plam purpury i granatu, jakie tworzyły obraz znajdującej się za nim ściany. Kiedy przełączyła okulary na tryb słabego oświetlenia, wszyscy wyglądali tak samo.

— Jak działają? — zaciekawiał się Jordan.

— Doskonale.

Narzędzie naukowe pokazało, jak bardzo Rhun różni się od ludzi. Czy w ogóle ma z nimi cokolwiek wspólnego?

— Oto srebrne naboje do waszych pistoletów. — Kardynał podał Jordanowi drewniane pudełka. — Trudno powstrzymać szarżującego *strigoi* za pomocą kuli, ale te pomogą. Są wydrążone w środku, przy uderzeniu się rozszerzają, żeby jak największa ilość srebra weszła w kontakt z krwią.

Jordan podrzucił nabój w dłoni i uniósł go do światła. Łuska i pocisk zalśniły srebrzystą bielą.

— Dlaczego?

— Nasza krew jest jedyna w swoim rodzaju, odporna na śmiertelne choroby. Możemy żyć wiecznie, jeśli nie zginiemy gwałtowną śmiercią. Nasz system odpornościowy przewyższa wasz pod każdym względem. Wyjątek jednak stanowi srebro.

— Ale nosicie srebrne krzyże. — Erin wskazała krucyfiks spoczywający na czerwonym habicie kardynała.

On zaś ucałował końce palców w czerwonych rękawiczkach i dotknął krzyża.

— Owszem, każdy sangwinista dźwiga to brzemię, by nie zapomnieć o naszym przekleństwie. Jeśli dotykamy srebra... — Bernard zdjął skórzaną rękawicę i przycisnął palec do naboju, który Jordan trzymał w dłoni. Śwąd spalonej skóry dotarł do Erin. Kardynał uniósł palec i pokazał miejsce, w którym srebro sparzyło jasną skórę. — Nas także pali.

— Ale założę się, że nie tak mocno jak *strigoi* — rzekł Jordan, chowając naboje do kieszeni.

— W rzeczy samej — przyznał Bernard, schylając głowę. — Jako sangwinista żyję między potępieniem a świętością. Srebro parzy mnie, ale nie zabija. Krew Jezusa nie chroni tej krwi, która płynie w żyłach *strigoi*, toteż srebro jest dla nich o wiele bardziej zabójcze. — Kardynał włożył rękawiczkę. — Święte przedmioty także mają pewną wartość, jednak niewystarczającą do zabicia potworów.

— Jak więc mamy się bronić? — spytał Jordan.

— Proponuję, byście patrzyli na *strigoi* jak na zwierzęta — odparł duchowny. — Żeby ich uśmiercić, trzeba ciężko zranić tradycyjną bronią, tak jak każde inne zwierzę.

Erin spojrzała na Rhuna, ten zaś w żaden sposób nie zareagował na to, że został określony takim mianem.

Bez słowa wyjął sztylet i przeciął sobie dłoń.

Archeolożka westchnęła ze zdumienia.

Krew zaczęła kapać na stół, a on skierował na nią wzrok.

— Musisz w pełni zrozumieć — rzekł.

— Czy to nie boli? — zapytała, nie mogąc się powstrzymać.

— Odczuwamy wiele doznań znacznie dotkliwiej niż ludzie. Włącznie z bólem. A więc tak, boli, ale patrz na ranę.

Wyciągnął otwartą dłoń. Krew przestała płynąć z rany tak szybko, jakby zakręcił kurek. Ta na skraju zranienia wsączyła się z powrotem do środka.

— Pokazujesz nam tę sztuczkę, ponieważ...? — odezwał się Jordan.

— Tajemnica kryje się we krwi. Płynie ona przez nasze ciała sama z siebie, jest żywą siłą. Oznacza to, że nasze rany niemal natychmiast przestają krwawić.

Erin zbliżyła się do niego.

— A więc nie potrzebujecie serc, by wprawiały krew w ruch? Robi to sama?

Rhun schylił głowę, potwierdzając jej przypuszczenie.

Zastanowiła się. Czy stąd wzięły się legendy o żywych zmarłych? *Strigoi* przypominają martwych, gdyż ich ciała są zimne i pozbawione bijących serc.

— A co z oddychaniem? — dopytywała się Erin, która chciała znać każdy szczegół.

— Oddychamy tylko po to, by czuć zapachy i mówić — wyjaśnił Rhun. — Jednak nie jest to konieczne. Możemy wstrzymywać oddech w nieskończoność.

— Same rewelacyjne wieści — mruknął Jordan.

— Teraz rozumiecie — ciągnął Rhun. — Słyszeliście słowa kardynała. Jeśli zranicie *strigoi*, trzeba to zrobić jeszcze raz i jeszcze raz. Nie łudźcie się, że są śmiertelnie ranni, gdyż prawdopodobnie się pomylicie. Trzeba być bez przerwy czujnym.

Jordan skinął głową.

— *Strigoi* ulegają jedynie ogniewi, srebru, blaskowi słońca i ciężkim ranom, które nie zdążą się błyskawicznie zagoić.

Sierżant spoglądał na zestaw broni; był bardziej zatroskany niż jeszcze przed chwilą.

— Dzięki za słowo otuchy — wymamrotał.

Kardynał przesunął dłonią po kilku sztyletach rozłożonych na stole.

— Wszystkie klingi powleczone są srebrem i pobłogosławione przez Kościół. Myślę, że okażą się skuteczniejsze niż nóż, który nosi pan przy kostce, sierżancie.

Jordan brał każdy sztylet w dłoń i oceniał jego solidność. Wybrał nóż z kościaną rączką, długi prawie na trzydzieści centymetrów. Uważnie go obejrzał.

— To amerykański bowie.

— Wspaniała broń — stwierdził Rhun. — Pochodzi z czasów wojny secesyjnej, nosił ją jeden z naszych braci zakonnych. Poległ w bitwie pod Antietam.

— Jednej z najkrwawszych w tej wojnie — zauważył Jordan.

— Później ostrze powleczono srebrem — dodał Rhun, spoglądając na Amerykanina. — Niech ci dobrze służy, noś go z szacunkiem.

Sierżant skinął głową na znak, że oddaje hołd rodowodowi broni.

Erin przypomniała sobie walkę na noże w grobowcu. Nigdy więcej nie schowa się ze strachu w żadnej skrzyni.

— Ja także chcę nóż. I pistolet.

— Umie pani strzelać? — zapytał kardynał.

— Polowałam w dzieciństwie, ale nigdy nie zastrzeliłam stworzenia, którego nie zamierzałam zjeść.

Jordan znów uśmiechnął się półgębkiem.

— No to wyobraź sobie, że będziesz strzelała do stworzeń, które chcą zjeść ciebie.

Zmusiła się do uśmiechu, choć wciąż mdliło ją na myśl, że będzie do kogoś strzelać, nawet jeśli są to wampiry. Wyglądały jak ludzie i kiedyś nimi były.

— Zabiją cię bez wahania albo zrobią coś jeszcze gorszego — ostrzegł Rhun. — Jeśli nie zdołasz się zmusić do odebrania im życia...

— Dobrze już — wpadł mu w słowo kardynał. — Nie każdemu pisane zostać żołnierzem. Doktor Granger będzie podróżowała

jako uczona. Jestem pewien, że ty i sierżant Stone zdołacie zapewnić jej bezpieczeństwo.

— Nie podzielam twojej niewzruszonej pewności — odparł Rhun. — Musi być przygotowana na to, by się bronić.

— Będę przygotowana — oznajmiła Erin, wybierając pistolet Sig Sauer.

— Świetna broń — pochwalił kardynał i podał jej kilka pudełek srebrnej amunicji.

Erin włożyła pistolet do kabury pod ramieniem. W długiej spódnicy czuła się idiotycznie jak uczestniczka cyrku na Dzikim Zachodzie.

— Dostanę dzinsy?

— Dopilnuję tego — obiecał Bernard, a następnie wskazał ubrania wiszące na kołkach ściennych. Były to dwa długie skórzane płaszcze. — To dla was.

Jordan podszedł i wziął większy.

— Z czego są zrobione?

— Z wilczej skóry blasfemora — odparł kardynał. — Jest odporna na pchnięcia nożem i kule.

— Coś jak ochraniacze — stwierdził z aprobatą Jordan.

Erin zdjęła z wieszaka mniejszy płaszcz najwyraźniej przeznaczony dla niej. Był mniej więcej dwa razy cięższy niż zwykłe wierzchnie okrycie. Poza tym wyglądał tak samo i miał fakturę drogiej skóry.

Sierżant włożył płaszcz w kolorze mlecznej czekolady; leżał na nim doskonale. Prezentował się w nim jeszcze szykowniej niż w moro.

Erin poszła za jego przykładem; jej płaszcz miał nieco jaśniejszy kolor. Sięgał jej do kolan, lecz był dość obszerny i zostawiał sporo swobody. Dotykający podbródka kołnierz chronił szyję.

— Chcę dać ci także to. — Rhun wsunął jej do ręki srebrny naszyjnik. Był to łańcuszek z krzyżem prawosławnym.

Przed laty nosiła taki krzyż na co dzień, aż wreszcie cisnęła go na ziemię, kiedy uciekała konno z domu. Ojciec chłostał ją przez

lata, aby wpoić jej Boga, lecz zdołał jedynie wybić jej go z głowy.

— Do czego się przyda? — zapytała. — Kardynał powiedział, że święte przedmioty nie są zbyt skuteczne w starciu ze *strigoi*.

— To nie jest zwykła broń — odrzekł cicho Rhun. Ledwie słyszała jego głos. — To symbol Jezusa Chrystusa, coś znacznie ważniejszego niż oręż.

Mierzył ją szczerym spojrzeniem. Czyżby usiłował z powrotem wciągnąć ją w szeregi Kościoła? A może chodzi o coś więcej?

Na znak szacunku dla jego przekonań zawiesiła krzyż na szyi.

— Dziękuję.

Rhun nieznacznie skłonił głowę, a następnie podał drugi krzyż Jordanowi.

— Czy nie za wcześnie w naszym związku na biżuterię? — zadrwił sierżant.

Zdezorientowany zakonnik ściągnął brwi.

Erin się uśmiechnęła; to było przyjemne uczucie.

— Nie zwracaj na niego uwagi, Rhunie. Drażni się z tobą.

Sierżant westchnął, oparł ręce na biodrach i zadał jeszcze jedno pytanie:

— A więc kiedy wyruszamy?

— Niezwłocznie — odpowiedział mu bez wahania kardynał.

CZĘŚĆ TRZECIA

*Wznosili się aż pod niebo, spadali aż do głębi;
ich dusza truchlała w nieszczęściu.*

Psalm 107, 26

27 października, 3.10 czasu środkowoeuropejskiego
Oberau, Niemcy

Do brzasku pozostawały jeszcze godziny; Jordan poruszył się na tylnej kanapie czarnego mercedesa S600. Spojrzał przez okno na ciemny bawarski las, którym wciąż władała noc. Obok niego siedziała Erin, a Korza demonstrował przy kierownicy swoje nadprzyrodzone umiejętności.

Mario Andretti w koloratce.

Asfaltowa droga wiła się, a nad nią świerki i jodły odcinały się ciemniejszą linią od mętnoszarego nieba. Smugi mgły wybiegały zewsząd z mroku niczym upiorne palce. Jordan potarł oczy. Trzeba przestać myśleć jak człowiek, który nie z własnej winy trafił do filmu grozy. Rzeczywistość i bez tego była wystarczająco zwariowana.

Ziewnął; lot ze zmianą strefy czasowej nadal dawał mu się we znaki. Gdy tylko wsiadł do luksusowego prywatnego samolotu dostarczonego przez Watykan, zasnął w olbrzymim fotelu. Trudno było uwierzyć, że to ta sama noc, że wystartowali z Jerozolimy zaledwie przed kilkoma godzinami i z maksymalną prędkością odrzutowca pomknęli na północ.

Po wylądowaniu w Monachium spojrzął na Erin. Miała uroczy wyraz twarzy kobiety obudzonej, domyślił się więc, że ją także zmorzył sen.

Teraz wyglądała przez okno po przeciwnej stronie tylnej kanapy wozu. Miała na sobie proste szare dżinsy, białą koszulę i skórzany płaszcz, który podarował jej kardynał. Jordan dotknął

kołnierza swojego okrycia. Było dość ciasne, lecz poza tym stanowiło najwygodniejszą odzież ochronną, jaką kiedykolwiek nosił; poza tym wyglądało jak zwykły płaszcz. Jednak w obliczu zadań, które ich czekały, mogło się okazać niewystarczające.

Korza zrzucił swój popruty habit i także włożył płaszcz z czarnej skóry, uszyty na miarę i bardziej elegancki niż te, które nosili Erin i Jordan. Wszyscy mieli za sobą długą noc, na nim jednak nie zrobiła ona najmniejszego wrażenia.

Może odespał ją w samolocie? Czy oni w ogóle potrzebują snu?

Jordan siedział w samochodzie cicho jak trusia, nie chciał rozpraszać kierowcy. Erin również zachowywała milczenie, ale domyślał się, że z innych powodów.

Nie mógł jej rozgryźć. Od chwili, gdy przekazał kardynałowi obrączkę ślubną, odsunęła się od niego. Czasem przyłapywał ją na tym, że obserwuje go spod oka, jak gdyby nie śmiała spojrzeć mu prosto w oczy.

Gdyby przewidział, że straci dla niego zainteresowanie, kiedy się dowie, że ma do czynienia z singlem, przekazałby Bernardowi obrączkę gdzieś na osobności. Ale co on właściwie wie o kobietach? Po śmierci Karen przez rok ukrywał się za obrączką.

Erin się poruszyła.

— Wioska Ettal.

Nachylił się w jej stronę, żeby spojrzeć przez szybę.

W iglastym lesie połyskiwały lampy uliczne i widać było białe budynki z brązowymi dachami. W większości okien o tak wczesnej porze wciąż było ciemno. Miejscowość wyglądała jak malownicza wioska na pocztówce z wielkim napisem: „Witajcie w Bawarii!”. Trudno było uwierzyć, że ten skromny przysiółek kryje mroczny sekret: twierdzą sangwinistów.

Rhun nie zwolnił, tylko przemknął obok osady.

Minął parę wąskich jak agrafka wiraży i z mroku wyłoniła się wielka, strzelista barokowa budowla, z dwoma wysokimi, szerokimi skrzydłami. Środkową część wieńczyła kopuła, a na

niej lśnił w blasku księżyca wielki złoty krzyż. Białą jak kość słoniowa fasadę zdobiły niezliczone krużganki, spod których wyzierały posągi lub wysokie ozdobne okna.

— Oto opactwo Ettal — oznajmiła Erin, siadając prosto. — Miałam nadzieję, że kiedyś je zobaczę.

Sierżant z przyjemnością usłyszał znowu jej głos.

— Ludwik Bawarski wybrał to miejsce na kaplicę, ponieważ jego koń ukłonił się tutaj trzy razy — ciągnęła z dreszczem podniecenia.

— Jak namówić konia, żeby się ukłonił? — zaciekawiał się Jordan.

— Najwyraźniej była to boska interwencja — odparła archeolożka.

Uśmiechnął się i nachylił do zakonnika.

— Czy to ten klasztor, o którym wspominałeś, *padre*? Tajny uniwersytet?

— Znajduje się za gmachem. I wolałbym, żebyś zwracał się do mnie po imieniu.

Auto z poślizgiem pokonało zakręt, spod kół trysnęły fontanny żwiru. Światła reflektorów padły na skromniejsze, surowiej wyglądające zabudowania na tyłach kompleksu, białe z czerwonymi dachówkami. Te bardziej pasowały do stylu sangwinistów.

Rhun zahamował ostro przed jednym z niepozornych budynków i wysiadł, zanim silnik zgasł. Stał i rozejrzał się po wzgórzach, poruszając jedynie gałkami oczu. Chrapki jego nosa zadrżały.

Erin wyciągnęła rękę do klamki, lecz Jordan ją powstrzymał.

— Poczekaj, aż da sygnał, że teren jest czysty. I zapnij płaszcz, proszę.

Dbął o to, aby była maksymalnie zabezpieczona.

Sangwinista okręcił się powoli, jakby spodziewał się ataku z każdej strony.

Wyteżył zmysły, ogarniając bicie serc mężczyzn, którzy spali w klasztorze. Wyczuwał zapach sosen i rozgrzanego metalu auta, słyszał cichy szum skrzydeł sowy i szybkie przebieranie łąpek nornika pod swoim stopami.

Nie wykrył żadnego zagrożenia.

Odetchnął świeżym powietrzem, aby się odprężyć i zjednoczyć z nocą. Większość życia spędził na modlitwie w zamkniętych izbach lub na polowaniu, zbyt pochłonięty wojną, by móc rozkoszować się pięknem naturalnego świata. Kiedy po raz pierwszy wdział habit zakonny, odmienność odczuć zmysłowych go zatrwożyła. Ustawicznie przypominała, że jest jednym z przeklętych. Teraz jednak radował się rzadkimi chwilami, w których mógł stanąć i połączyć się z dziełem boskiego aktu stworzenia w najpełniejszy, najintymniejszy sposób. Nigdy nie czuł się bliżej Boga niż w chwilach samotności. Znacznie bliżej niż wtedy, gdy klęczał na kolanach w podziemnej kaplicy.

Z zachłannym egoizmem jeszcze raz głęboko wciągnął powietrze w płuca.

Kobieta w samochodzie poruszyła się, przypominając mu o obowiązkach.

Rhun stanął naprzeciwko potężnego gmachu głównego z dwoma skrzydłami. Popatrzył w okna na tyłach, szukając wzrokiem ruchu. Nikt nie szpiegował ze środka budynku. W podstawie jednej z mniejszych wieżyczek tkwiły masywne drzwi. Sięgnął zmysłami za grube deski, jednak po drugiej stronie nie było żadne serce. Rozległ się jedynie szept przeznaczony dla jego uszu.

„Witaj, Rhunie. Tutaj jest bezpiecznie”.

Rozluźnił się, słysząc dobrze znany miękki głos z niemieckim akcentem.

Sangwinista odwrócił się i skinął głową Jordanowi. Dobrze, że sierżant miał dość rozumu, żeby zostać z Erin w samochodzie. Teraz wysiadali z hałasem, raniąc wyczulony słuch mnicha.

Kiedy znaleźli się bezpiecznie w jego cieniu, ruszył w stronę drewnianych drzwi.

Jordan szedł pomiędzy Erin i ścianą ciemnego lasu, gdyż stamtąd najprędzej mógł nastąpić atak. Rhun odnotował, że ma właściwe odruchy. Oby to wystarczyło.

Masywne drzwi otworzyły się, zanim do nich dotarli.

Rhun usunął się na bok, przepuszczając dwoje ludzi. Im prędzej skryją się pod dachem, tym lepiej.

Sierżant i archeolożka schylili się i przeszli przez małą furtkę, on zaś jeszcze raz się rozejrzał. Nie wychwycił bezpośredniego zagrożenia, lecz poczucie niebezpieczeństwa wciąż pobudzało jego zmysły.

27 października, 3.19

Ettal, Niemcy

Bathory leżała na brzuchu w kopcu liści na wzgórzu górującym nad opactwem. Chłodna wilgoć pomagała jej stłumić gniew, który wzbudził w niej widok Rhuna Korzy.

Zatrzeszczały nagie gałęzie lipy. Przez silną lornetkę patrzyła, jak rycerz wysiada z samochodu. Wybrała sobie stanowisko oddalone od klasztoru, żeby nie znaleźć się w zasięgu zmysłów sangwinisty. Rycerz stanął czujnie przed tylnymi drzwiami wieżyczki, wykazując podejrzliwość, lecz nie wykrył obecności Bathory.

Teraz jej jedynym wrogiem była podnosząca się mgła.

Korza zniknął w klasztorze, ona zaś z ulgą oparła czoło na przedramieniu.

Ryzykowna gra, którą podjęła, opłaciła się z naddatkiem.

Zdjęcia nazistowskiego medalu wysłała trzem historykom współpracującym z Belialem. Zaczęli się spierać, czy jest to istotny trop; w tym czasie Bathory postanowiła spróbować innej drogi i zwróciła się do swojej rozległej siatki szpiegowskiej w Ziemi Świętej. Dowiedziała się, że Korza zamierza polecieć samolotem do Niemiec, ale nie zdołano ustalić, gdzie wyląduje i dokąd się uda.

Bathory to wiedziała, a przynajmniej się domyślała.

Korza nie pozwoli, żeby trop księgi wystygł. Sięgnie po jedyną wskazówkę znaną w grobowcu i skonsultuje się z historykami lojalnymi wobec swojego zakonu. Tak samo

postąpiła Bathory. Wiedziała o klasztorze Ettal i Uniwersytecie Papieskim, w którym uczeni sangwiniści od zakończenia drugiej wojny światowej prowadzili badania historyczne.

To było oczywiste, że mnich się tutaj zjawi.

Wyruszyła, nikomu nie mówiąc, bo wiedziała, że czekanie na pozwolenie potrwa zbyt długo. Zabrała z pustyni w Ziemi Świętej wszystkich *strigoi*; powstała z nich niewielka armia. Teraz leżeli zagrzebani w igliwiu i liściach.

Tarek poparł to śmiało posunięcie, choć Bathory wiedziała, że skrycie marzy o jej kłęsce.

Magor przysunął się i oparł łeb na jej ramieniu. Wsparła się na nim. Miała na sobie gruby futrzany kożuch, który chronił ją przed chłodem bawarskiej nocy, jednak przyjemnie było poczuć wewnętrzny żar ciała wilkozora. Jeszcze miłsze było jego przywiązanie, które ogrzewało Bathory z taką samą mocą. On także szukał u niej pokrzepienia. Wyczuwała niepewność w głębi jego piersi.

Dla pustynnego wilka był to nowy dziwny świat.

— Niech wróci do ciebie spokój... — powiedziała mu. — Zwierzyna krwawi tutaj tak samo jak na rozgrzanym piasku.

Tuż obok poruszył się ten, który nią jedynie pogardzał.

— Może wezmę pozostałych i podejść bliżej? — zapytał Tarek. — Mnie nie zdradzi bicie serca, tak jak ciebie.

Zignorowała obelgę, domyślając się, że chce jej skraść odrobinę chwały. Osadziła go w miejscu:

— Zostajemy. Nie wolno ryzykować, że ich zaalarmujemy.

Duszna woń mokrych liści wypełniała jej nozdrza. Magor wzbraniał się przed nią, ona ją spijała. Po latach spędzonych na suchej judejskiej pustyni z przyjemnością witała znajome odgłosy i zapachy lasu. Przypominały jej dom na Węgrzech, czerpała siłę ze wspomnień szczęśliwych czasów, które skończyły się, kiedy przyjęła Jego znamię.

— Tym razem mamy większe siły. — Tarek nie dawał za wygraną. — Możemy ich pojmać, wycisnąć z nich informację i sami znaleźć księgę.

Słyszała brzmącą w jego słowach żądę pomszczenia poległych w Masadzie, żądę krwi. Mocniej ścisnęła lornetkę w dłoniach. Czy on nie wie, że trawi ją to samo pragnienie zemsty? Jednak nie zamierza działać pospieszne i pochopne, i nie pozwoli na to Tarekowi. W tym właśnie tkwiła prawdziwa siła związku Beliala: zaciekłość *strigoi* została podporządkowana wyrachowanej ludzkiej przebiegłości.

Nie odwróciła głowy.

— Nie zmienię rozkazów. Taka forteca ma zabezpieczenia przed tobą i tobie podobnymi. Jeden z tych sangwinistów zgładził sześciu z was na nieznanym terenie w Masadzie, a nie wiemy, ilu ich mieszka w opactwie. Kto się tam zapuści, już nie powróci.

Większość *strigoi* z jej oddziału skuliła się na te słowa.

Tarek się nie wystraszył. Wskazał ręką klasztor, gotów spierać się z Bathory, poddać ją próbie. Miała dość kwestionowania swojej władzy. Musi go złamać, tak jak sangwinista złamał jej ród.

Chwyciła jego wyciągniętą rękę i zanim zdążył zareagować, przycisnęła ją do swojej szyi.

— Jeśli myślisz, że możesz dowodzić, popróbuj tego!

Skóra jego dłoni zaskwierczała w zetknięciu ze znamieniem. Tarek podskoczył wysoko, zwinął się i warknął. Jego palce dymiły po przelotnym kontakcie ze skażoną krwią Bathory, mimo że płynęła ona pod jej skórą.

Pozostali, z wyjątkiem Rafika, cofnęli się.

Rafik skoczył na pomoc bratu i spadł na Bathory.

Magor warknął, gotów włączyć się do walki.

Nie — powiedziała mu bezgłośnie.

To była jej walka, musiała dać podwładnemu nauczkę.

Zagarnęła pod siebie szczupłą postać Rafika i usiadła na nim okrakiem niczym kochanka. Chwyciła w garść jego włosy i przyciągnęła do swojej szyi. Miękkie ciało zadymiło, Rafik wrzeszczał i wił się pod nią.

Ona zaś przez cały czas spoglądała na Tareka.

— Mam nakarmić twojego brata?

Gniew płonący w jego oczach zgasł i pojawiła się w nich trwoga. Lękał się o życie brata, lecz bał się także jej. Puściła Rafika i odepchnęła go. Skowycząc, podbiegł na czworakach do Tareka. Z jego sparzonych warg unosił się dym.

Tarek uklęknął i przytulił sponiewieranego brata.

Bathory poczuła odrobinę wyrzutów sumienia. Inteligencja Rafika niewiele przewyższała inteligencję małego dziecka, lecz ona musiała być twarda. Twardsza od nich wszystkich.

Magor podczołgał się do niej na brzuchu. Chciał sprawdzić, czy nic jej się nie stało, a jednocześnie ukorzyć się i uznać jej dominację w stadzie.

Podrapała go za uchem na znak, że docenia wilcze oddanie.

Spojrzała na Tareka, oczekując sygnału pokory.

Powoli schylił głowę i odwrócił wzrok.

Dobrze.

Wróciła do legowiska z liści i uniosła lornetkę.

Teraz należało złamać ducha w kimś innym.

27 października, 3.22

Ettal, Niemcy

Gdy tylko Erin weszła przez tylne drzwi klasztoru, owionął ją zapach dymu z drewna. Wróciło wspomnienie dawnych dni, kiedy dźwigała do domu drewno na opał i wodę.

Zdziwiło ją to. Po co sangwinistom ogień? Czyżby lubili ciepło, tańczące płomienie i trzask pękających w ogniu szczap? A może tę część opactwa zamieszkiwali również ludzie?

Stała obok sierżanta w długim kamiennym holu, którego koniec niknął w mroku. Drogę zagradzał ksiądz o urodzie cherubina, właściwie chłopiec.

Jeśli można go było nazwać chłopcem.

— Jestem brat Leopold — przedstawił się z lekkim ukłonem. Mówił z wyraźnym bawarskim akcentem, nosił prosty habit i okulary w drucianych oprawkach. — Zapalę światło.

Wyciągnął rękę, lecz Rhun go powstrzymał.

— Dopiero kiedy oddalimy się od drzwi.

— Wybacz moją nieuwagę. — Brat Leopold wskazał gestem długi hol. — Tu, na prowincji, mamy niewiele atrakcji. Pozwólcie za mną.

Prowadził ich ciemnym holem do schodów. Erin potknęła się i omal nie poleciała w dół, lecz Rhun złapał ją za łokieć i wyprostował. Jego ręka była mocna i zimna.

Sierżant włożył jej do ręki gogle noktowizyjne.

— Mamy zabawki, więc dlaczego z nich nie korzystać. Ciemno, choć oko wykol, jak to mówią...

Włożyła okulary i zapięła pasek. Otoczyły ją jasne odcienie zieleni, teraz wyraźnie widziała stopnie. Nie były z surowego kamienia; przykryte linoleum, wyglądały jak schody w budynku uniwersyteckim.

Ta odrobina normalności ją uspokoiła.

Zaciekawiona przełączyła gogle na tryb podczerwieni i od razu zobaczyła poświatę ciała Jordana. Instynktownie przysunęła się do niego.

Spojrzała w stronę gospodarza i okazało się, że zniknął, mimo iż wciąż słyszała jego kroki na schodach. Nie ulegało wątpliwości, że jego organizm nie wydzieliał ciepła. Wyglądał jak uroczy chłopiec z obrazka, lecz wcale nie był młodym mężczyzną, tylko sangwinistą. Zaniepokojona tą myślą Erin szybko nastawiła okulary na inny tryb.

Obok podestu schodów znajdowały się stalowe drzwi zabezpieczone zamkiem sterowanym małą klawiaturą elektroniczną.

Brat Leopold wybrał pięć cyfr i drzwi otworzyły się do środka.
— Pospieszmy się.

Erin, nagle przestraszona, obejrzała się przez ramię. Jakie niebezpieczeństwo wyczuł gospodarz?

— To pomieszczenie jest klimatyzowane — wyjaśnił z krzepiącym uśmiechem brat Leopold. — Tylko o to chodzi, zapewniam panią.

Weszła szybko, a za nią sierżant, który zachowywał czujność.

Brat Leopold nacisnął wyłącznik. Rozbłyły światła, oślepiając Erin. Zerwała okulary, Jordan zrobił to samo.

— Wybaczcie — powiedział brat Leopold, dostrzegając swój błąd.

Zamrugła i zobaczyła zagracone biuro podobne do jej gabinetu w Stanfordzie. Tu jednak nie było skarbów z epoki biblijnej, lecz zabytki i artefakty z okresu drugiej wojny światowej. Jedną ścianę zajmowały oprawione mapy z lat czterdziestych, a druga od podłogi do sufitu zapełniona była książkami ustawionymi w dwóch rzędach; dalsza ściana,

zasłonięta czarnym szkłem, wyglądała dziwnie. Pomieszczenie pachniało starymi szpargałami, atramentem i skórą.

Dusza uczonej, którą miała w sobie Erin, mogłaby zamieszkać w tym gabinecie i nigdy go nie opuszczać.

Przed masywnym dębowym biurkiem stało wytarte skórzane krzesło biurowe. Błat ginął pod stosami papieru, książek i szklaną gablotą wypełnioną pinezkami i odznakami.

Jordan się rozejrzył.

— Bogu dzięki, przynajmniej tutaj nie widzę niczego, co byłoby starsze niż Stany Zjednoczone Ameryki.

— Mówisz, jakby to była zaleta — zganiała go Erin.

— I nie łudź się — dodał Rhun. — We współczesnych dekoracjach wyrządzono nie mniej zła niż w starożytności.

— Czy nikt nie pozwoli mi się chwilę ucieszyć?

Jordan przepuścił brata Leopolda i zbliżył się do Erin. Znów poczuła miłe, krzepiące ciepło jego ciała.

— Przepraszam za bałagan — rzekł młody mnich, poprawiając okulary. — I za to, że nie przedstawiliśmy się sobie jak należy. Pan jest sierżant Stone, tak?

— Zgadza się — potwierdził Jordan i wyciągnął rękę.

Brat Leopold ujął ją w obie dłonie i potrząsnął.

— *Willkommen*. Witam w opactwie Ettal.

— Dziękuję. — Jordan uśmiechnął się szczerze do mnicha.

Brat Leopold odwzajemnił uśmiech z takim samym entuzjazmem, z jakim uściskał mu dłoń.

Erin także się przedstawiła i doszła do wniosku, że mnich sprawia bardziej ludzkie wrażenie niż Rhun i Bernard. Owszem, jego dłoń okazała się tak samo zimna, lecz jej uścisk był bardziej przyjazny niż sztywne oficjalne gesty tamtych; poza tym nosili oni rękawice.

Może był po prostu młodszy od swoich kilkusetletnich współbraci.

Gospodarz odwrócił się i dramatycznym gestem wskazał swój tonący w chaosie gabinet.

— Cały ten zbiór i ja jesteśmy do dyspozycji pani doktor. Rozumiem, że ma pani jakiś artefakt i pragnie dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

— Otóż to. — Erin sięgnęła pod długi płaszcz do kieszeni spodni i wyjęła nazistowską odznakę. — Co ksiądz może o niej powiedzieć?

Mnich ujął medal w pulchne palce i obejrzał go przez okulary i bez nich. Obrócił go kilka razy, a następnie podszedł do biurka i umieścił pod szkłem powiększającym w statywie.

Odczytał napis biegnący wzdłuż krawędzi medalu.

— *Ahnenerbe*. Nic dziwnego, że jeden z ich znaków rozpoznawczych odnalazł się w piaskach Ziemi Świętej. Ten oddział przez dziesiątki lat przetrząsał tamtejsze grobowce, jaskinie i ruiny.

Gospodarz stuknął palcami w symbol umieszczony na odwrocie medalu.

— Ale to ciekawe. Run odala. — Spojrzał na Erin. — Gdzie dokładnie znalazła pani ten przedmiot?

— W dłoni zmumifikowanej dziewczynki na pustyni w Izraelu. Poszukujemy czegoś, pewnego przedmiotu, który członkowie *Ahnenerbe* mogli od niej wykraść.

Mnich ze zdziwieniem uniósł brwi. Czekał na dalsze wyjaśnienia, lecz nie usłyszawszy ich, westchnął.

— Zło, które nieśli naziści, sięgało daleko.

Erin czuła się źle, nie mogąc mówić otwarcie z entuzjastycznie nastawionym mnichem. Bratu Leopoldowi nie powiedziano nic o prowadzonych poszukiwaniach Ewangelii Krwi; wiedział tylko, że ma im udzielić pomocy przy badaniu medalu znalezionej na pustyni.

— Uda się księdzu odgadnąć, do kogo ta odznaka mogła należeć? — zapytała. — Jeśli się tego dowiemy, łatwiej nam będzie trafić na właściwy trop.

— To może być trudne. Nie widzę żadnych znaków identyfikacyjnych.

Starła się nie okazać rozczarowania.

Jordan musiał się tego domyślić po jej głosie, bo ścisnął jej ramię i zmienił temat. Przeczytał kilka nazw map, poprawnie wymawiając słowa.

— Znasz niemiecki? — zaciekała się Erin.

— Trochę — odparł sierżant. — Poza tym odrobinę arabskiego. Oraz angielskiego.

Rhun poruszył się. Ciekawe, ile on zna języków? — pomyślała Erin.

Żołnierz spojrział na brata Leopolda.

— Jak zdobył pan taką imponującą kolekcję map?

— Niektóre należą do mnie od dnia powstania. — Mnich dotknął drewnianych paciorków różańca, który wisiał przy jego pasku. — Ze wstydem przyznaję, że kiedy byłem człowiekiem, należałem do Partii Narodowosocjalistycznej.

Oczy Jordana się rozszerzyły.

Równie zaskoczona Erin usiłowała wyobrazić sobie korpulentnego mnicha o szczerzej twarzy w faszystowskim mundurze.

— Możemy zająć się właściwym tematem? — przypomniał Rhun.

— Naturalnie. — Brat Leopold usiadł na skrzypiącym skórzanym krześle. — Chciałem tylko dać do zrozumienia twoim towarzyszom, że moja wiedza w tej materii nie ma charakteru ezoterycznego. Od czasu, gdy zostałem sangwinistą, wiele się dowiedziałem o działalności nazistów i poświęciłem resztę życia ich badaniu. Pragnę naprawić wyrządzone przez nich zło i zrobić wszystko, by nigdy się nie powtórzyło.

— Czy w trakcie tych poczynań natrafiłeś na takie medale jak ten? — zapytał Rhun.

— Widziałem podobne. — Brat Leopold pogmerał w szufladzie biurka i wyjął małe drewniane pudełko ze szklanym wieczkiem. — Oto niektóre odznaki *Ahnenerbe*. Większość zgromadził ojciec Piers, mój mentor i kapłan, który mnie nawrócił. O nazistowskich praktykach okultystycznych właśnie on wiedział najwięcej, być może więcej niż sami Niemcy.

Erin pamiętała, że w Jerozolimie kardynał Bernard wspomniał nazwisko zmarłego mnicha. W przeszłości wielu słynnych historyków odeszło, zabierając ze sobą do grobu nieudokumentowaną wiedzę. Tego rodzaju tragedie spotykały nie tylko uczonych będących istotami ludzkimi.

— Myślę, że spodoba się państwu kształt tego medalu — odezwał się mnich.

Stuknął w szkło w miejscu, pod którym spoczywała cynowa odznaka z runem odala. Miała swastykę pośrodku, u dołu zaś dwie końcówki w kształcie nóg.



Erin przeczytała wygrawerowane słowa maszerujące wzdłuż krawędzi.

— *Volk. Sippe.*

— „Lud” i „plemię” — przetłumaczył Leopold. — Członkowie *Ahnenerbe* wierzyli, że Niemcy pochodzą od rasy aryjskiej. Uważali, że lud ten zamieszkiwał Atlantyde, a potem powędrował na północ.

— Atlantyde? — zdziwił się Jordan.

Erin zwróciła uwagę na inny eksponat w gablocie, przypominający piedestał z otwartą księgą.

— Co to za odznaka?



— Ma obrazować wagę dokonań *Ahnenerbe* na polu dokumentowania historii i dziedzictwa Ariów. Jednak niektórzy twierdzą, że jest symbolem wielkiej tajemnicy, jakiejś mistycznej księgi o niezwykłej potędze, która była w ich posiadaniu.

Erin wymieniła spojrzenia z Rhunem.

Czy ta wskazówka może świadczyć o zdobyciu przez nazistów Ewangelii Krwi?

Mnich odsunął na bok stos dokumentów z czasów Trzeciej Rzeszy i odsłonił klawiaturę. Wystukał coś i szklana ściana za jego biurkiem pojaśniała. W rzeczywistości była ogromnym monitorem komputerowym. Z oszalemiącą prędkością zaczęły się na nim przesuwac jakieś dane. Najwyraźniej sangwiniści dysponowali nie tylko starożytnymi, lecz także współczesnymi zabawkami.

— Jeżeli szukacie zaginionego artefaktu należącego do *Ahnenerbe* — mówił Leopold, przebierając palcami po klawiaturze — to tu jest mapa Niemiec. Pracowałem nad nią niemal sześć lat. Czerwone strzałki wskazują miejsca, w których podejrzewa się istnienie nazistowskich bunkrów i magazynów. Te, które oznaczono zielonymi strzałkami, zostały zbadane. — Westchnął. — Niestety, czerwonych strzałek jest więcej niż zielonych.

Erin ścisnęło w brzuchu. Na mapie prawie nie było dziesięciu centymetrów kwadratowych wolnych od strzałek.

I rzeczywiście większość miała kolor czerwony.

— Jeśli nie zostały zbadane — dociekała Erin — to skąd ksiądz wie, że w ogóle tam są? Co to znaczy, że podejrzewa się ich istnienie?

— Z przekazów ustnych. Taki miejscowy folklor. Czasem można coś wywnioskować z połowicznie zniszczonych dokumentów.

Jordan zmrużył oczy i patrzył na ekran.

— To nie jest jedyna metoda wykrywania tych obiektów, prawda? — Sierżant skinął w stronę wypełnionego oznaczeniami ekranu. — Ze względu na dokładność badania domyślam się, że korzystacie z telemetrii satelitarnej i radaru gruntowego, aby lokalizować niewidoczne podziemne budowle.

Brat Leopold się uśmiechnął.

— To prawie jak ściąganie na egzaminie. Ale koniec końców wychodzi na to, że dzięki zastosowaniu supernowoczesnej techniki udaje nam się jedynie dodać więcej czerwonych strzałek na ekranie. Żeby się dowiedzieć, czy naprawdę coś tam jest, albo żeby sprawdzić, czy w ukrytej konstrukcji znajduje się coś wartościowego, trzeba każdą osobiście przeszukać.

Rhun przebiegał wzrokiem po mapie od góry do dołu.

— To, czego szukamy, może być w każdym z setek wskazanych miejsc.

Leopold odsunął się razem z krzesłem i skrzyżował nogi.

— Przykro mi, że nie mam dla was lepszej odpowiedzi.

Rhun skrzywił się; Erin wyczuwała jego zniecierpliwienie. Sekta Beliala tropiła księgę równie zapalczywie jak ona, Jordan i Rhun. Liczyła się każda minuta.

Sierżant stuknął palcem w jedną z czerwonych strzałek.

— A więc od tej pory zaczynamy ryć w ziemi, moi drodzy. Trzeba przejrzeć wszystkie lokalizacje i przypisać im wysoki lub niski współczynnik prawdopodobieństwa. Musimy nakreślić siatkę. To nie pójdzie szybko, ale będzie dokładne.

Propozycja brzmiała logicznie, lecz Erin czegoś w niej brakowało.

3.42

Podeszła do biurka i wyjęła medal spod szkła powiększającego. Jordan widział jej zmarszczone czoło i usztywnioną szyję; była niezadowolona. Jemu także nie uśmiechało się przeszukiwanie setek miejsc, ale jaki mieli inny wybór?

Odwróciła się do niego, w głębi jej oczu pojawił się błysk. Zwykle oznaczało to, że coś ma się zmienić, niekoniecznie na lepsze.

Dotknął jej ramienia.

— Masz jakiś pomysł?

— Jeszcze nie wiem. — Potarła kciukiem rewers medalu.

Rhun przechylił głowę i wpijał w nią wzrok, co czasem irytowało Jordana, jakby zakonnik mógł ją pochłonąć spojrzeniem.

Sierżant stanął między nimi.

— Wyduś to — rzekł. — Może się na coś przydamy.

Brązowe oczy Erin wciąż spoglądały w nieodgadnioną dal.

— Symbolika miała wielkie znaczenie dla *Ahnenerbe*. Dlaczego umieścili akurat ten symbol na skradzionej odznace?

Krzesło Leopolda zaskrzypiało.

— Run odala oznacza dziedzictwo. Umieszczony obok nazwiska człowieka lub nazwy przedmiotu sygnalizował posiadanie.

— To tak, jakby napisać swoje nazwisko na butach — zauważył Jordan i spojrzął na odznakę ze swastyką pośrodku runu. — Czy ten znak ma świadczyć o tym, że *Ahnenerbe* stali ponad nazistami?

Miał świadomość, że w oczach uczonych może wyjść na idiotę, lecz czasami spojrzenie idioty otwiera drogę do działania.

— Wydaje mi się, że *Ahnenerbe* mogli się uważać za właścicieli Trzeciej Rzeszy — uściśliła Erin. — Wierzyli, że to właśnie oni są prawdziwymi strażnikami aryjskiego dziedzictwa.

— Ale co to oznacza? — Rhun podchodził do niej coraz bliżej, jakby chciał fizycznie wycisnąć z niej odpowiedź na swoje pytania.

Odsunęła się.

— Nie jestem pewna, lecz pod koniec wojny Berlin był bombardowany. Trzecia Rzesza została pokonana. — Mówiła powoli, jakby szukała słów do opowiedzenia znanej sobie kiedyś historii. — Naukowcy w szeregach *Ahnenerbe* na długo przed podpisaniem oficjalnej kapitulacji wiedzieli, że wojna jest skończona.

Leopold skinął głową.

— Tak, wiedzieli, ale rozumowali w kategoriach stuleci. W ich pojęciu teraźniejszość była czymś błahym i mało istotnym. Interesowali się historią rasy aryjskiej, która sięgała tysiące lat wstecz i miała trwać dalej przez całe tysiąclecia.

— Ku Czwartej Rzeszy! — dodała Erin z rozjaśnionymi oczyma. — Ci ludzie planowali długoterminowo. Na pewno pragnęli ukryć swoje najcenniejsze skarby tak, by doczekały nadejścia Czwartej Rzeszy.

— To znaczy, że mogli je umieścić w miejscach nieznanych przywódcom Trzeciej Rzeszy — podjął Leopold, przysuwając krzesło do biurka. — Możemy więc wykluczyć wszystkie bunkry udokumentowane przez nazistowskie władze.

Mnich wystukał coś szybko na klawiaturze i połowa czerwonych strzałek znikła.

— O wiele lepiej — zauważył Jordan.

— Ale wciąż jest ich za dużo — stwierdziła Erin i zaczęła krążyć po małym gabinecie. Usiłowała rozładować nerwy i zachować skupienie.

Rhun nie ruszył się z miejsca, lecz śledził ją wzrokiem.

Wskazała ręką ekran, ale nie spojrzała w jego stronę.

— Gdzie mogli ukryć swoje najcenniejsze artefakty, by mieć pewność, że przyszli aryjscy naukowcy je znajdą?

— Może na Atlantydzie? — rzucił Jordan, spoglądając w górę. — Pod opieką syren.

Erin uderzyła się dłonią w czoło.

— Oczywiście!

Trzej mężczyźni popatrzyli na nią jak na wariatkę.

— Erin — zaczął Rhun łagodnym głosem. — Muszę ci przypomnieć, że nasi nie znali położenia Atlantydy.

Machnęła ręką.

— Legenda głosi, że Czwarta Rzesza powstanie z morza jak Atlantyda i przywróci władzę rasy aryjskiej. — Spojrzała na Leopolda. — A jeśli ostatni członkowie *Ahnenerbe* wzięli na serio tę przepowiednię? Jeśli chcieli sprawić, by się urzeczywistniła?

Rhun poruszył się, jakby coś w słowach Erin go zaniepokoiło.

Ona zaś mówiła dalej:

— Żeby do tego doprowadzić, musieliby ukryć najważniejsze i najcenniejsze przedmioty w pobliżu wody. Otoczeni przez siły aliantów ostatni spośród *Ahnenerbe* pod koniec wojny nie mieli dostępu do morza, a z pewnością chcieli, by ich skarby pozostały w ich ojczystej ziemi. Mogli więc wybrać najlepsze miejsce zastępcze.

— Jakiś akwen w Niemczech — dodał ściszym głosem Leopold.

— Jezioro — podsunęła Erin.

Leopold wystukał polecenie na klawiaturze i pozostał tuzin czerwonych strzałek oznaczających niezbadane bunkry nad brzegami jezior.

Jordan z radości zacisnął pięść.

Nawet usta Rhuna przybrały wyraz niebezpiecznie bliski uśmiechu.

— Wyświetlę obraz satelitarny każdego bunkra — oznajmił Leopold.

Po kilku minutach wielki ekran zapełnił się szachownicą ukazującą miejsca, w których mogły się znajdować podziemne bunkry.

— *Mein Gott in Himmel* — zabлуźnił Leopold; zszokowany powrócił do ojczystego języka.

Wszyscy zbliżyli się do ekranu i wszyscy to zobaczyli.

Podziemny bunkier w prawym dolnym rogu dokładnie odwzorowywał kształt runu odala.

I nie leżał obok jeziora, tylko pod wodą.

Tak samo jak Atlantyda.

27 października, 3.55

Ettal, Niemcy

Rhun stał obok Erin przed ekranem komputera i czuł zapach zwykłego mydła, które Bernard trzymał w apartamentach w Jerozolimie. Kiedy poruszała głową, jej długie włosy zostawiały za sobą powiew ciepła.

Jordan ustawił się między nimi, zasłaniając Erin. Rhun wiedział, że robi to celowo. Sierżant trzymał ręce szeroko rozstawione; był gotowy na wszystko, nawet na walkę.

Dreszcz złości przebiegł przez ciało mnicha, lecz opanował się siłą woli. Jordan postępował słusznie, oddzielając go od młodej kobiety. Erin Granger miała bystry umysł i serce pełne współczucia, a to czyniło ją bardzo niebezpieczną. Ten dystans był Rhunowi niesłychanie potrzebny.

Skupił uwagę na bracie Leopoldzie i zadaniu, które mieli do wykonania.

— Czy triada przebywa na miejscu?

— *Natürlich*. — Różaniec mnicha zagrzechotał o biurko, kiedy ten wstawał. — Nadia, Emmanuel i Christian są tutaj. Przyprować ich?

— Tylko Nadię i Emmanuela — odparł Rhun. — Ja będę trzeci.

— Co to jest triada? — zaciekał się Jordan, który podsłuchiwał wymianę zdań.

Leopold podniósł słuchawkę czarnego telefonu i wyjaśnił:

— Sangwiniści często walczą trójkami. To święta liczba.

Oraz doskonała jednostka bojowa, dopowiedział w myślach Rhun.

— Pojadę z nimi do tego bunkra i przeszukam go — oznajmił na głos.

Erin splotła ręce.

— Jadę z tobą.

— Trzymamy się razem — dodał Jordan. — Czy nie tak powiedział kardynał?

Sangwinista się wyprostował.

— Wy mieliście nam dopomóc w poszukiwaniach, i tak zrobiliście. Jeśli nam się powiedzie, wrócimy tutaj ze znaleziskiem.

Sierżant uśmiechnął się nieprzekonująco.

— Jeśli dobrze pamiętam, kardynał stwierdził, że stanowimy trójkę. Kobieta, wojownik i rycerz. Jestem jak najbardziej za wzmocnieniami, ale nie za zastępstwami.

Brat Leopold wybrał cztery cyfry i powiedział coś do słuchawki, ale jego spojrzenie spoczywało na żołnierzu. Wiedział, co oznaczają te słowa, i zrozumiał, co jest celem poszukiwań.

— Rhunie — odezwała się Erin. — Jeżeli ten... artefakt jest w bunkrze, to wiesz o tym dzięki mojej pomocy. Może kiedy się tam znajdziemy, także okaże ci się ona potrzebna.

— Przeżyłem czterysta lat bez twojej pomocy, doktor Granger. Nie zamierzała się wycofywać.

— Jeśli kardynał nie myli się co do proroctwa, to nie jest odpowiednia chwila na unoszenie się dumą. Dotyczy to nas wszystkich.

Rhun zamrugał. Archeolożka bez ogródek nazwała jego największą przywarę.

Duma. Pycha.

Kiedyś przywiodła go do zguby. Rhun nie pozwoli, by to się powtórzyło. Erin miała rację. Bardzo możliwe, że będzie potrzebował pomocy i nie powinien jej odrzucać z powodu swojej dumy.

— Wszyscy musimy uczynić to, do czego jesteśmy powołani — oznajmiła, powtarzając słowa wypowiedziane przez kardynała.

Musimy z pokorą pokłonić się przeznaczeniu.

— Księga właśnie tego wymaga — dodała.

Sangwinista spuścił wzrok. Jeśli rozpoczęło się spełnianie proroctwa, ich trójka musi razem szukać księgi. Bardzo tego pragnął, ale nie mógł zostawić Erin.

Nawet jeśli stawką jest jej bezpieczeństwo.

Albo jego.

4.02

Teraz na monitorze komputera ukazała się wielka współczesna mapa drogowa górzystego regionu Garmisch-Partenkirchen. Jezioro i ukryty pod nim bunkier znajdowały się około sześćdziesięciu kilometrów w głąb pofałdowanego terenu. Erin wskazała na mapie cienką białą linię wijącą się między ciemnymi zielonymi wzgórzami i kończącą się obok małego górskiego jeziora.

— Czy to jest droga? — zapytała.

— Stary gruntowy szlak — odparł brat Leopold. — Pojazd, którym przybyliście, nie pokona go, ale...

Drzwi gabinetu stuknęły i się otworzyły.

Ręka sierżanta powędrowała w dół ku pistoletowi.

Rhun przyjął postawę gotowości do walki.

Erin po prostu się odwróciła. Czy mieli rację, zachowując się tak nawet tu, w miejscu, w którym ona czuła się bezpiecznie? Zdała sobie sprawę, jak bardzo jest nieprzygotowana na zagrożenia, które na nich czyhały.

Do pomieszczenia niczym mroźny wiatr wśliznęły się dwie odziane na czarno postacie: chyże, bezlitosne i zimne. Dopiero gdy znieruchomiały, Erin zorientowała się, że to sangwiniści.

O dziwo, pierwszą z nich była kobieta ubrana w skrojony na miarę skórzany płaszcz ochronny podobny do odzieży Rhuna;

odróżniała się od niego tym, że nosiła cienki srebrny pasek, który wyglądał jak łańcuszek. Lśniące czarne włosy upięła w kok. Twarz kobiety, grubo ciosana, miała surowy wyraz. Jej cera była ciemniejsza od cery Rhuna. Oparła dłoń na rękojeści sztyletu przypasanego do uda.

Przebiegła wzrokiem po gabinecie, a potem prawie niedostrzegalnie skinęła głową Erin i Jordanowi.

— Jestem Nadia.

Mężczyzna stanął dwa kroki za nią.

— A ja Emmanuel — przedstawił się z hiszpańskim akcentem.

Był ubrany w czarny rozpięty z przodu habit, pod którym widać było skórzane ochraniacze i srebrną rękojeść ukrytej broni. Jasne włosy, o wiele za długie jak na księdza, spadały za ramiona; wyraziście ukształtowaną kość policzkową przecinała różowa blizna.

Rhun przemówił do nich szybko po łacinie. Erin słuchała, nie zdradzając się, że rozumie. Jordan jak zwykle zachowywał czujność, jego ręka opierała się na pistolecie. Najwyraźniej nie ufał żadnemu sangwiniście.

Archeolożka poszła za jego przykładem i podsłuchiwała, udając zainteresowanie mapą.

Mnich krótko przedstawił sytuację: opowiedział o prorocत्वie, o Erin i Jordanie, o poszukiwanej księdze i wrogu, z którym mieli się zmierzyć. Kiedy wymienił nazwę Belial, Nadia i Emmanuel zastygli bez ruchu.

Gdy skończył, odwrócił się do Leopolda.

— Przygotowałeś to, o co prosiłem?

Gospodarz skinął głową.

— Trzy motocykle są zatankowane i czekają na was.

Erin spojrzała na cienką białą linię, która wiła się przez góry. A więc nie będą pokonywali morderczego szlaku samochodem ani ciężarówką.

— Jeśli jesteście gotowi... — powiedział Rhun, spoglądając na Erin i Jordana.

Kobieta skinęła głową, lecz był to gest podszyty fałszem. Nie miała najmniejszej ochoty opuszczać swojskiego środowiska zakurzonych książek, skórzanych krzeseł i komputerów. Jednak zobowiązała się do wykonania zadania.

Leopold poprowadził ich ku schodom, ale Jordan nie ruszył się z miejsca; dotknął dłoni Erin.

Nachylił się do niej, jego oddech owionął jej policzek.

— Powinienem wiedzieć o czymś, co powiedzieli?

Oczywiście nie dał się nabrać; wiedział, że Erin podsłuchuje. Chciała mu odpowiedzieć, lecz jej myśli za bardzo pochłaniała jego bliskość oraz pragnienie jeszcze większej bliskości.

Musiała powtórzyć sobie w myślach jego pytanie, aby sformułować odpowiedź:

— Rhun nie powiedział im nic ważnego, tylko zrelacjonował wydarzenia.

— Informuj mnie na bieżąco — szepnął.

Zerknęła na jego oczy, a potem na usta. Przypomniała sobie ich dotyk tam, w Jerozolimie.

— Doktor Granger?! — zawołał Rhun ze szczytu schodów. — Sierżancie Stone?!

Jordan skinął ręką.

— Obowiązki wzywają.

Erin pospieszyła ku sangwinistom. Brakowało jej tchu, lecz nie dlatego, że schody były wysokie.

Gdy już znalazła się na dworze, stwierdziła, że noc zrobiła się zimniejsza, a mgła zgęstniała. Ledwo widziała zarys maski mercedesa.

Kiedy go okrążali, Jordan gwizdnął z podziwu.

Na uschłej trawie stały trzy czarne motocykle z czerwonymi elementami. Erin nie zaimponowały, lecz sierżant był pod wrażeniem.

— Ducati streetfighter — stwierdził z radością. — Z magnezowymi obręczami i tłumikami z włókna węglowego. Fajne. Dobrze jest być papieżem.

Erin patrzyła na rzecz praktyczniej; porównała liczbę pasażerów i maszyn.

— Kto z kim jedzie?

Nadia uśmiechnęła się nieznacznie, kąciki jej ust lekko powędrowały w górę. Od razu wydała się o wiele bardziej ludzka.

— Ja zabiorę sierżanta Stone’a, żeby był równy rozkład obciążenia.

Erin się zawahała. Nadal nie rozumiała, na czym polega rola kobiety sangwinistki. Jeśli Rhun jest księdzem, to czy ona jest kimś w rodzaju zakonniczki, która także złożyła śluby Kościołowi? Spojrzenie, jakim obdarzyła Jordana, wcale nie było czyste.

Jednak on, najwyraźniej kierując się własnymi motywami, już stał obok motoru.

— Ja mogę poprowadzić. — Ton jego głosu świadczył, że chce usiąść za kierownicą. — Wolałbym, żeby Erin była blisko mnie.

— Spowolnicie nas — oznajmiła Nadia; w jej ciemnych oczach pojawił się błysk rozbawienia.

Archeolożka się nastroszyła, lecz widziała wcześniej, jak Rhun prowadził samochód. Było dla niej jasne, że ludzki refleks nie może iść w zawody z refleksem sangwinisty.

Jordan także zdawał sobie z tego sprawę; westchnął i skinął głową.

Emmanuel podszedł bez słowa i zachłannie dosiadł jednego z motocykli. Jordan ruszył za Nadią do drugiego.

— Pojedziesz ze mną, doktor Granger — stwierdził Rhun, wskazując trzecią maszynę.

— Nie wiem, czy...

Rhun nie zwrócił uwagi na jej obiekcje, tylko wsiadł na motor, zamasyście machając płaszczem. Odwrócił się i klepnął dłonią w siedzenie.

— Księża wymaga, abyśmy dali z siebie to, co najlepsze. Sama tak powiedziałaś, prawda?

— Owszem — przyznała z niechęcią i zajęła miejsce. — Czy nie należałoby włożyć kasków?

Nadia parsknęła śmiechem. Silnik jej motocykla zaryczał.

4.10

Rhun zastygł w bezruchu, kiedy ramiona Erin oplotły go w pasie. Przez skórzaną odzież czuł ciepło jej rąk na swoim tułowiu. Przez chwilę nie wiedział, czy ją odepchnąć, czy przygarnąć.

Postanowił skupić się na praktycznych wymogach chwili.

— Jechałaś już kiedyś motorem? — zapytał, spoglądając na spowity mgłą ciemny las.

— Kiedyś, dawno temu.

Poczuł szybkie bicie jej serca. Była bardziej przestraszona, niż dawała to po sobie poznać.

— Przy mnie będziesz bezpieczna — oznajmił, mając nadzieję, że to prawda.

Skinęła głową, lecz jej serce wcale nie zwolniło tempa.

Sierżant uniósł kciuk, usadowiwszy się za Nadią, a silnik motocykla wydał stłumiony ryk. Emmanuel po prostu odpalił maszynę i wyrwał do przodu, na nikogo nie czekając.

Nadia pomknęła za nim.

Rhun ruszył ostrożnie, a Erin jeszcze mocniej objęła go ramionami. Przesunęła się na siedzeniu motocykla tak, że przywarła do mnicha. Zwierzące ciepło jej ciała przepłynęło do jego pleców, musiał walczyć ze sobą, aby nie przechylić tułowia do tyłu.

Nie wolno mu ulec pierwotnemu instynktowi. Jest księdzem i z Bożą pomocą wypełni swoją misję. Odmówił krótką modlitwę i skupił wzrok na szybko znikającym czerwonym punkcie motoru Nadii.

Dodał gazu, a potem przyspieszył jeszcze bardziej.

Po obu stronach migały czarne pnie drzew. Niebieskawy snop światła reflektora przebijał się przez grubą zasłonę mgły. Rhun

śledził wzrokiem nierówną drogę. Najdrobniejszy błąd oznaczał kraknę.

Nadia i Emmanuel dodali gazu. Rhun postąpił tak samo.

Erin wtuliła twarz między jego łopatki. Oddychała szybko i płytko, jej serce biło w tempie zajęczego serca.

To jeszcze nie była panika, ale niewiele brakowało.

Pomimo modlitw i przyrzeczeń, które składał sobie Rhun, jego ciało zareagowało na jej lęk.

4.12

Jordan wychylił się w bok na wirażu. Drzewa stopiły się w długą czarną linię zwieńczoną ciemną zielenią. Wiatr kłuł go w oczy, poły płaszcz trzepotały.

Nadia dodała gazu na prostym odcinku, których było jak na lekarstwo na krętym gruntowym trakcie. Zerknął nad jej ramieniem na prędkościomierz. Przyrząd pokazywał dwieście pięćdziesiąt cztery kilometry na godzinę.

Miał wrażenie, że płynie nad ziemią.

Bardziej wyczuł, niż usłyszał śmiech Nadii, która przyspieszyła jeszcze bardziej.

Jej entuzjazm udzielił mu się i Jordan mimo woli zaczął się śmiać razem z nią. Po raz pierwszy od czasu, gdy odlecieli z Masady, rozpieszczała go radość i poczucie wolności.

Nadia położyła motor na bok, wchodząc w następny zakręt. Jego lewe kolano wisiało ułamek centymetra nad powierzchnią żwiru, twarz niewiele ponad trzydzieści centymetrów nad przemykającymi kamieniami. Jeden niewłaściwy ruch któregoś z nich oznaczał dla niego śmierć.

Trochę znienawidził Nadię za to, że jest na łasce jej umiejętności.

Że musi być jedynie obserwatorem jej wyczynów.

Mimo to uśmiechnął się do wiatru i mocniej wtulił w jej chłodne, twarde ciało. Poddał się pędowi. To była premia, którą

darował mu los.

27 października, 4.43

Harmsfeld, Niemcy

Kiedy motocykl wreszcie zwolnił, Erin zaryzykowała i otworzyła oczy. Przez większą część podróży miała je zamknięte. Ukryta za szerokimi plecami Rhuna i tak czuła na sobie pęd wiatru.

Światła motocykli wydobywały z ciemności górską wioskę Harmsfeld; na jej widok Rhun zwolnił. Sunęli w żółwym tempie przez środek uśpionej bawarskiej osady wyglądającej niczym średniowieczny skansen. Ciemne domostwa o ścianach z kamienia kryła czerwona dachówka, większość okiennic zdobiły malowane donice z kwiatami. Nad głównym placem górował gotycki kościółek z wieżyczką; zapewne w ciągu dnia plac pełnił rolę rynku, na którym rolnicy sprzedawali swoje produkty.

Erin uniosła głowę i spojrzała nad ramieniem Rhuna, szukając wzrokiem pozostałych dwóch motocykli. Jednak na wyłożonej kocimi łbami uliczce nie było po nich ani śladu. Dowód na to, że Rhun wiózł ją wolniej, niż jechali jego towarzysze.

Mimo to czuła się tak, jakby jej żołądek został na parkingu przed opactwem.

Kiedy wyjeżdżali z osady, na horyzoncie ukazała się srebrzysta połać jeziora. W jego nieruchomej powierzchni idealnie odbijało się rozgwieżdżone niebo. Brzegi akwenu

otulone były lasem, nad którym górowały poszarpane wierzchołki gór otaczających dolinę.

Erin wypatrzyła motocykle zaparkowane na plaży obok drewnianej kładki. Popielatoszare pale miały ciemniejszą barwę niż woda, która je łagodnie obmywała.

Sangwinista z rykiem silnika podjechał do motocykli i się zatrzymał. Z wysiłkiem rozwarła palce zaciśnięte na jego kurtce, rozplotła ręce i na drżących nogach zsiadła z motoru. Zatoczyła się do przodu niczym staruszka.

Pozostała trójka przepchnęła przez błoto drewnianą łódkę i zsunęła ją do oświetlonej blaskiem księżyca wody. Erin usłyszała radosny głos Jordana niosący się po wodzie. Jazda musiała bardzo przypaść mu do gustu. Powiedział coś, co spodobało się Nadii, a ta nieoczekiwanie parsknęła beztroskim śmiechem.

Sierżant zauważył, że Erin zbliża się na ugiętych nogach.

— Jak było?! — zawołał.

Uniosła trzęsącą się rękę z wyprostowanym kciukiem. Rozbawiła go tym.

Rhun przemknął obok niej jak cień.

Nadia obserwowała tych dwoje, gdy podchodzili do skraju wody, jak gdyby usiłowała rozszyfrować jakiś sekret.

Emmanuel zepchnął małą łódkę na wodę i do niej wsiadł. Usadowił się na dziobie i tkwił nieruchomo niczym galion na pirackim okręcie.

Nadia wskoczyła do łodzi zwinnie jak dziki kot.

Sierżant został na brzegu, żeby pomóc Erin. Chwyciła go za rękę i wsiadła; zauważyła, że biała farba odchodzi od drewnianych desek ławek. Łajba nie budziła zaufania. Archeolożka wyjęła latarkę i oświetliła dno łodzi.

Nie było na nim wody.

Na razie.

— Przyjemnie jechało się motocyklem? — zapytała Nadia, przesuwając się, żeby Erin mogła zająć miejsce pośrodku.

Rhun i Jordan usiedli za nimi, a Emmanuel trzymał samotnie wachtę na dziobie.

— Myślę, że z powrotem wezmę taksówkę — odparła Erin.

— Możesz pojechać ze mną — powiedział Jordan, tęsknie spoglądając w miejsce, w którym ukryli motocykle. — To znaczy, jeśli dane nam będzie wrócić.

Rhun zagłębiał wiosło tak bardzo, że łódź przechylała się na burtę.

Nadia zerknęła na niego i wyszeptała coś, jakby się z nim drażniła. Mówiła tak cicho, że Erin nie usłyszała słów. Rhun usztywnił plecy, a Nadia uśmiechnęła się szeroko.

Sangwinistka podała jej ciężkie drewniane wiosło.

— Musimy wiosłować całą czwórką, Emmanuel będzie odpoczywał.

Tamten puścił jej słowa mimo uszu i oparł się plecami o nadburcie.

Erin zaczęła poruszać wiosłem, usiłując zgrać się z towarzyszami. Sunęli po wodzie, a tymczasem mgła nad jeziorem zgęstniała; pochłonęła łódź i przesłoniła księżyc. Przemykali w widmowym świetle, w którym widoczność sięgała zaledwie kilku metrów.

Jordan dotknął jej pleców; aż podskoczyła.

— Przepraszam. Spójrz w dół.

Skierował latarkę na ciemną wodę. Snop światła wnikał w mroczną toń niczym sonda. Rozproszony odbłask wyłowił ludzki kształt. Erin wstrzymała oddech i nachyliła się nad powierzchnią. Szmaragdowe porosty oblepiały uniesione ramię i łuk szyi. Był to posąg mężczyzny na spinającym się do skoku koniu. Pod nim spoczywała olbrzymia niecka fontanny.

Zaciekawiona Erin wyjęła swoją latarkę i oświetliła szersze pole. Ukazał się fantastyczny obraz pełen regularnych kształtów domostw i odosobnionych kamiennych palenisk.

— Brat Leopold twierdzi, że naziści, prawdopodobnie z *Ahnenerbe*, kazali powiększyć jezioro, przegradzając tamą rzekę po drugiej stronie i zatapiając miasteczko. Niektórzy

mówią, że tych, którzy się sprzeciwiali, zamknęli w domach wraz z rodzinami i potopili za karę.

W snopie światła latarki przemknęła niczym duch srebrzysta ławica ryb. Erin zadrżała na myśl, że woda stała się grobowcem dla tak wielu ludzi.

— Zapewne zrobili to, żeby ukryć wejście do bunkra na dnie jeziora — zauważył poważnym tonem sierżant.

Erin uznała, że zobaczyła wystarczająco dużo, i zgasila latarkę.

— Oboje umiecie pływać, prawda? — spytała Nadia.

Archeolożka skinęła głową, choć wiedziała, że nie jest dobrą pływaczką. Podstawy pływania opanowała w college’u, głównie po to, by nie wystawiać na próbę nerwów koleżanki z pokoju. Tamta była przeświadczona, że któregoś dnia Erin spadnie z kładki i się utopi. Ona sama uznała, że to praktyczna umiejętność, i poszła na zajęcia. Mimo to wciąż nie znosiła wody.

Jordan miał lepsze kwalifikacje, co nikogo nie zdziwiło.

— Byłem ratownikiem w szkole, później nieco się podszkoliłem. Chyba dam sobie radę.

Erin nie pomyślała, żeby zapytać, jak głęboko znajduje się bunkier. A jeśli nie zdoła zejść na sam dół i będzie musiała czekać w łodzi? Albo jeśli bunkier jest w całości zalany wodą?

Emmanuel odezwał się pierwszy raz od chwili, gdy odjechali z opactwa. Był to rozkaz wypowiedziany tak zdecydowanie i gwałtownie, że Erin się złąła:

— Stop!

Wskazał czarną powierzchnię wody przed dziobem łodzi.

Jordan przesunął się i zaświecił latarką. W toni ukazał się zaokrąglony łuk o krawędzi oblepionej wodorostami.

Emmanuel spuścił do wody kotwicę tak cicho, że ledwie plusnęła. Zdjął habit, zwinął go i wsunął pod skórzane ochraniacze. Następnie zanurkował szybko jak ryba i popłynął wzdłuż liny kotwicznej.

Długie blond włosy ciągnęły się za nim w wodzie.

Erin śledziła go wzrokiem, oceniając głębokość. Może jakieś siedem metrów. Zdoła tak głęboko zanurkować, ale co potem? Czy będzie musiała badać tunele w wodzie?

Ścisnęło ją w gardle.

— Wy dwoje zaczekajcie — polecił Rhun i skinął na Nadię.

Wskoczyli do wody, przechylając łódkę. Mieli ze sobą latarki. Erin chwyciła dłońmi burty, żeby ustabilizować łódź. Ucieszyła się, że została sama z Jordanem.

— Nie jesteś tęgą pływaczką, co? — spytał z uśmiechem.

— Skąd możesz wiedzieć?

Wsunął wiosła pod ławki i się wyprostował.

— Unosisz lekko ramiona, kiedy robisz się nerwowa.

Erin zakonotowała sobie w pamięci, że musi się kontrolować, i wskazała dwoje sangwinistów.

— Na pewno nie umiem pływać tak jak oni.

Cała trójka usiłowała przesunąć w głębinie coś, co wyglądało jak duża metalowa kłapa.

— Oni kantują — stwierdził Jordan. — Nie muszą oddychać, pamiętasz? Jeszcze jedno dziwactwo z długiej listy.

— Spisałeś taką listę?

Jordan ją odliczać na palcach:

— Serce nie bije, krew płynie sama z siebie, uczulenie na sreberko. Coś pominąłem?

— A to, że potrafią tkwić nieruchomo jak posągi i poruszać się dwa razy szybciej niż my?

— No właśnie. Poza tym polują na ludzi.

— To nie dotyczy sangwinistów — przypomniała Erin. — Ich prawo tego zabrania.

— Prawo czy nie prawo, widzę, że wciąż mają na to chrapkę. Żądza nadal ich zżera. — Jordan nachylił się do towarzyszki. — Widziałem, jak Rhun się na ciebie gapi. Z fascynacją i głodem.

— Przestań! Wcale nie.

Musiała odwrócić głowę, bo w jej słowach brakowało przekonania. Wciąż miała w pamięci żywe wspomnienie tego, co się stało w podziemnej kaplicy w Jerozolimie.

— Uważaj na siebie, kiedy z nimi jesteś — dodał Jordan.

Erin usłyszała zdławioną nutę w jego głosie. Ma rację, czy może kieruje nim zazdrość? Nie była pewna, która możliwość martwi ją bardziej.

Naraz tuż obok burty wynurzyła się gładka czarna głowa. To była Nadia.

— Drzwi są otwarte, bunkier odcięto za pomocą śluzy powietrznej. Musimy wejść razem, zamknąć pierwsze drzwi i otworzyć drugie.

Odpłynęła o metr i machnęła ręką na Erin i Jordana.

Jak na żołnierza przystało, Jordan od razu zanurkował. Wynurzył się, odwrócił na wznak i z szerokim uśmiechem spojrzał na Erin.

— Cudowna woda do pływania — oznajmił drżącym głosem, który zadawał kłam słowom.

Nadia odgadła prawdziwy powód wahania jego towarzyszki.

— Jeśli się lękasz, możesz zostać w łódce.

A niech to, pomyślała Erin.

Wstała i skoczyła. Zetknięcie z zimną jak świeżo roztopiony śnieg wodą jeziora spowodowało szok. W głowie pojawiła się rozsądna myśl: a może wrócić do bezpiecznej łodzi?

Na przekór temu głęboko wciągnęła powietrze w płuca i zanurkowała prosto ku otwartemu włazowi.

5.05

Rhun na dnie jeziora uchwycił zmianę rytmu serc Erin i Jordana, gdy ci weszli do wody. Wysunął głowę spod łuku i skierował do góry snop światła wodoodpornej latarki; wskazywał im drogę. Padający z góry blask księżycyca otaczał ich ciemne sylwetki. Machali rękami i nogami, prąc w dół.

Sierżant płynął szybko i oszczędnie. Mógł dotrzeć do dna w parę sekund, jednak wstrzymywał się, nie spuszczając z oka Erin.

Ona zaś okazała się beznadziejną pływaczką. Wykonywała szarpane, paniczne ruchy, jej serce się miotало. Mimo to wzbudziła szacunek Rhuna, odważnie podejmując trudne wyzwanie. Nie zeszlaby tak głęboko bez ciężkiego płaszcza ze skóry wilkozora.

Kiedy znalazła się blisko, chwycił ją za ramię i wciągnął do śluzy. Niespełna sekundę później wpłynęli Nadia i Jordan.

Wspólnym wysiłkiem zamknęli zewnętrzny właz.

Metal stuknął głucho. Obrócili zamek i rozległo się krótkie szczęknięcie. Rhun oświetlił latarką betonowe ściany i wystraszoną twarz Erin.

Bał się, że pęknie jej serce, które biło prawie bez przerwy. Trzeba było czym prędzej zabrać ją z wody, zanim spanikuje na dobre i się utopi. Rhun postanowił, że jeśli bunkier będzie zalany, błyskawicznie wyniesie ją na powierzchnię.

Po przeciwnej stronie niewielkiej komory Emmanuel trudził się ze stalowymi zapadkami, które trzymały właz wewnętrzny. Kiedy przekręcił ostatnią, kłapa otworzyła się pod naporem wody zgromadzonej w śluzie. Strumień porwał wszystkich i przeniósł do suchego bunkra zbudowanego przez nazistów.

27 października, 5.07

Dno jeziora Harmsfeld

Erin stała i trzęsa się, była cała mokra. Szczękała zębami.

Pozostali trzymali broń gotową do strzału i świecili latarkami w głąb ciemnego tunelu. Ona także położyła dłoń na zimnej ręczce pistoletu tkwiącego w kaburze i wyciągnęła wodoszczelną latarkę z mokrej kieszeni skórzanego płaszcza.

W gardle nadal czuła dudnienie serca. Odwróciła głowę i spojrzała na służę. Nigdy więcej nie chciała z niej korzystać. Miała nadzieję, że istnieje wyjście z bunkra prowadzące na ląd.

Poświeciła pod nogi. Woda, którą wpuścili do wnętrza, już spływała specjalnymi kanałami. Skierowała latarkę w jedną i w drugą stronę. Zaokrąglone betonowe ściany wznosiły się na pięć metrów; mógł tam przejechać czołg i nawet ich nie zadrapać.

Wyobraziła sobie wychudzonych jak szkielety więźniów obozów koncentracyjnych harujących w tunelu w kompletnych ciemnościach. Kiedy budowla została skończona, wszyscy zginęli. Zabito ich, aby utrzymać istnienie bunkra w tajemnicy.

Wciągnęła powietrze; było wilgotne i przesycone wonią pleśni, ale nie stęchłe. Spojrzała na sufit. Prawdopodobnie wciąż działał jakiś pasywny system wentylacyjny.

Dołączyła do towarzyszy. Według mapy satelitarnej powinni stać w prawej nodze runu odala. Dokąd powinni pójść?

— I co teraz? — spytał Jordan, wyrażając niepewność Erin. — Będziemy tak po prostu chodzić i szukać?

Triada sangwinistów ustawiła się w kształt klina. Emmanuel, który stał na czele, włożył mokry habit na skórzane ochraniacze. Nadia i Rhun zajęli miejsca obok niego. Wszyscy troje wyteżali zmysły, gromadzili informacje, oceniali poziom zagrożenia.

Erin podeszła do sierżanta, aby schronić się za tarczą, którą tworzyła cała czwórka.

Znała swoją rolę: miała być Uczoną Niewiastą.

— Myślę, że miejscem o największej mocy symbolicznej, odpowiednim do złożenia świętego przedmiotu, byłoby skrzyżowanie — powiedziała. — Na przykład w punkcie przecięcia nogi z dolną częścią rombu. Albo górną.

— Słusznie — potwierdziła Nadia i skinęła na Emmanuela.

Ona i Rhun podążyli za nim, jakby łączyła ich niewidzialna nić.

— Idź przede mną — rzekł Jordan. — Będę pilnował tyłów.

Erin nie protestowała; w tym przypadku chętnie przystała na wojskowy dryl.

Razem ruszyli tunelem, zbyt szybko jak na jej gust; jednak zdaniem triady zapewne o wiele za wolno. Sangwiniści doskonale utrzymywali szyk, ona zaś szła albo za blisko, albo za bardzo zostawała w tyle.

Emmanuel zatrzymał się przed pierwszymi drzwiami, do których dotarli; była to niepozorna kłapa z szarego metalu w ścianie tunelu. Nacisnął klamkę. Kłapa była zamknięta, to jednak nie odstraszyło zachowującego stoicki spokój Hiszpana. Palce w czarnej rękawicy zacisnęły się i wyrwały klamkę. Sangwinista odrzucił ją na bok, metal zadźwięczał na kamieniach.

Oczy Jordana się rozszerzyły, lecz nic nie powiedział.

Emmanuel pchnął drzwi skórzanym butem. W jego dłoni pojawił się krótki srebrny kord. On i Nadia weszli do środka.

Rhun czekał na zewnątrz obok Erin. Zaświeciła latarką i rozejrzała się. W zasięgu światła było pusto.

— Jest bezpiecznie — powiedziała zza drzwi Nadia.

Najpierw weszli Erin i Jordan, Rhun podążył za nimi.

Gdy archeolożka znalazła się w środku, skierowała latarkę na zakurzony stół, na którym stał staroświecki odbiornik radiowy. Przed nim leżała otwarta książka kodowa. Obok stołu w pewnej odległości stało krzesło; leżał przy nim szkielet faszystowskiego żołnierza. Prawdopodobnie zginął w trakcie wysyłania lub odbierania wiadomości.

Jordan zaświecił latarką i zobaczyli wpiętą w klapę munduru blaszaną odznakę *Ahnenerbe*. Widniał na niej run odala dokładnie taki sam jak ten na nazistowskim medalu znalezionym w grobowcu w Masadzie.

— Wygląda na to, że dotarliśmy we właściwe miejsce — oznajmił Jordan.

Erin podeszła i z profesjonalną wprawą dokonała oględzin nieboszczyka.

Nie różni się od innych mumii, na które natknęłam się w czasie wykopalisk, pomyślała.

Musiała sobie o tym stale przypominać, widząc szerokie plamy zakrzepłej krwi na przedniej części jego munduru.

Co zdarzyło się w bunkrze?

Obeszła zwłoki, odwróciła się i oświetliła wejście. Spoczywał tam drugi trup. Zadrżała na myśl, że omal się o niego nie potknęła.

Sangwiniści nie zwracali uwagi na zwłoki i zaczęli oglądać półkę obok radia.

Erin nie zmieściłaby się obok nich, więc podeszła do nieboszczyka spoczywającego obok drzwi. Równy okrągły otwór pośrodku czaszki nie pozostawiał wątpliwości co do przyczyny śmierci. Jego mundur różnił się od tego, który nosił radiooperator. Był brązowozielony i zrobiono go z pośledniejszego materiału.

Skierowała na niego latarkę.

— Rosjanin — stwierdził Jordan. — Widzisz pięcioramienną gwiazdę? Ta odznaka także pochodzi z czasów drugiej wojny światowej.

Rosjanin? — zdziwiła się Erin.

— Co on tutaj robił? — spytała. — I jak dostał się do środka?

Sierżant przyklęknął obok niej i przeszukał kieszenie zabitego, znalezione rzeczy układając na pokrytej grubą warstwą kurzu posadzce: paczka papierosów, zapalniczka, jakiś dokument zapisany cyrylicą, list i zdjęcie.

Jordan uniósł wyblakłą czarno-białą fotografię kobiety o słowiańskich rysach, która stała przed stogiem siana i trzymała na rękach chudą dziewczynkę z włosami uczesanymi w mysie ogonki.

Pewnie jego żona i córka.

Nie wiadomo, jak długo musiała czekać ta kobieta, zanim się dowiedziała, jaki los spotkał jej męża. Opłakiwała go czy przyjęła tę wiadomość z ulgą? Z pewnością nie było jej już wśród żywych, ale dziewczynka mogła jeszcze żyć.

Erin odwróciła się do Rhuna.

— Czy brat Leopold może w jakiś sposób zawiadomić rodzinę tego żołnierza?

Sangwinista posłał jej krótkie spojrzenie.

— Zabierz list. Znam Leopolda i wiem, że spróbuje.

Wzięła list i wstała. Mogła sobie wyobrazić scenę, która rozegrała się w tym miejscu przed laty.

Radiooperator siedzi przy stole, być może wzywa pomocy. Wbiega rosyjski żołnierz, padają strzały. Później ktoś zamyka budowlę, nie zabierając zwłok.

Ale dlaczego?

Nadia stanęła obok Jordana i wyciągnęła rękę.

— Pokaż mi ten oficjalny dokument.

Sierżant spełnił prośbę, a sangwinistka przeczytała go, złożyła i schowała do kieszeni.

— Co tam jest napisane?

— Rozkazy. Pod koniec wojny jednostka została przeniesiona z Leningradu na południe Niemiec. Miała wydobyć z bunkra „ważne obiekty” przed rozpoczęciem amerykańskiej inwazji.

— Z Leningradu? — zaciekawiał się Rhun.

On i Nadia wymienili długie spojrzenia pełne niepokoju.

Sangwinistka machnęła ręką w kierunku drzwi.

— Dowiedzieliśmy się wszystkiego, czego można było się tutaj dowiedzieć — stwierdziła. — Ruszajmy dalej.

Erin ogarnęła rozpacz. Była archeolożką, a nawet nie zdążyła zrobić zdjęć, opisać wnętrza i zinwentaryzować obiektów.

— Ależ tu mogą być jeszcze inne wskazówki...

— Musimy przeszukać jak najwięcej pomieszczeń, zanim doścignie nas Belial. — Rhun zatrzymał się przed drzwiami. — Brat Leopold przeprowadzi później dokładniejsze oględziny, jeśli starczy czasu.

Jordan podązał tuż za Erin, gdy wychodzili za Rhunem do długiego tunelu.

Sangwiniści posuwali się teraz szybciej. Najwyraźniej czegoś się przestraszyli. Erin spojrzała niepewnie na Jordana. Jeśli coś napawało lękiem takie trio, to naprawdę musiało być straszne.

Weszli do następnego pomieszczenia; była to ogólna sypialnia. Erin naliczyła czterech zabitych niemieckich żołnierzy. Dwaj leżeli na pryczach, a dwaj nieopodal drzwi. Przy ścianie spoczywało dwóch martwych Rosjan.

W bunkrze stoczono zacieklą walkę.

Metalowe skrzynie obok pryczy zawierały złożone ubrania, paczki papierosów, zapalki, parę pikantnych fotek, listy oraz wiele zdjęć kobiet i dzieci. Wspomnienie tych, którzy zostali w domach i czekali na wiadomości od ukochanych.

Archeolożka zebrała tyle listów, ile zdołała upchnąć w kieszeniach; miała nadzieję, że woda nie roztopi atramentu.

Natknęli się także na książki: podręcznik konserwacji karabinu, powieść w języku niemieckim oraz poradnik dotyczący chorób wenerycznych. Nie było jednak niczego, co pasowałoby do opisu Ewangelii Krwi.

Erin, przygnębiona widokiem ofiar rzezi, ruszyła w kierunku drzwi. Pozostali podążyli za nią.

Rozległ się głośny szum, jakby ktoś potrząsnął ciężkimi zasłonami, a następnie słaby odległy zgrzyt. Poczuli, że jeżą jej się włoski na karku.

— Jordan?!

— Tak, też to słyszałem. Czyżby szczury?

Nadia pchnęła oboje przed siebie.

— Nie.

Emmanuel, który siedł przed nimi, wciągnął nosem powietrze. Odchylił ramiona do tyłu i wygiął szyję niczym pies.

Albo wilkozor.

Erin także odetchnęła głęboko, lecz wyczuła jedynie woń pleśni i wilgotnego betonu. Co takiego wywęszył sangwinista, czego ona nie zdołała?

— Co się zbliża? — zapytał Jordan.

— Blasfemory — odparła Nadia. — Splugawieni.

— Znowu wilkozor? — Jordan przygotował pistolet maszynowy do strzału.

— Nie. — Nadia błysnęła oczami, spoglądając na Erin. W tej chwili ani trochę nie przypominała istoty ludzkiej. — Ikaropy.

Obce słowo wprawilo Jordana w konsternację.

Rhun wyjaśnił chłodnym i rzeczowym tonem:

— Nietoperze, których natura została skażona krwią *strigoi*.

Serce Erin się ścisnęło.

Czekało ich spotkanie z uskrzydłonymi blasfemorami. Doskonale pamiętała wilczą bestię, którą napotkali na pustyni: jej cuchnący oddech, kły i nabrzmiące od mięśni cielsko. Tym razem splugawione stwory będą miały skrzydła. Zadrzała na samą myśl o nich.

— A ja myślałem, że dziwniej już być nie może. — Sierżant zapalił lampę przymocowaną do lufy pistoletu maszynowego. — Co robimy?

— Posuwamy się szybko i jak najciszej — odpowiedziała Nadia.

Ruszyli tunelem w kierunku źródła odgłosów.

Jordan trzymał broń w pogotowiu.

— Czy pistolety wystarczą? — spytała szeptem Erin.

Emmanuel tylko prychnął.

Ta odpowiedź nie wróżyła nic dobrego.

— Srebrne pociski jedynie ich rozwścieczą — wyjaśniła Nadia.
— Lepszy jest nóż.

Jordan schylił się i wyciągnął z buta zakrzywiony srebrny sztylet.

Archeolożka także dobyła broni.

— Wcale mi się to nie podoba — rzekł sierżant. — Upiorny nietoperz ma do mnie podlecieć tak blisko, żebym mógł go przebić nożem. Wolałbym go załatwić transkontynentalnym pociskiem balistycznym.

— Kiedy nadlecą — odezwała się Nadia cichym, rzeczowym głosem — padnijcie na posadzkę. My postaramy się je zlikwidować.

— Ani mi się śni — odparł sierżant, mocniej ujmując nóż. — Ale dzięki za troskę.

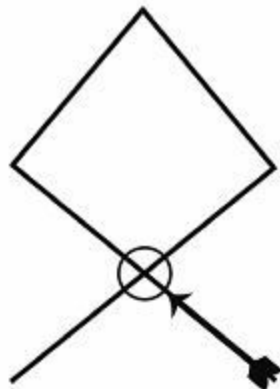
Nadia wzruszyła chudymi ramionami.

Erin poparła Jordana. Nie będzie leżała na brzuchu i czekała, aż nietoperz przegryzie jej kręgosłup. Zaryzykuje i poczeka na wroga, stojąc z nożem w dłoni.

Sangwiniści poruszali się teraz tak szybko, że ona i Jordan ledwo dotrzymywali im kroku.

Wkrótce dotarli do drugiego skrzyżowania tuneli.

— Chyba jesteśmy u podstawy rombu — stwierdziła Erin. Wyobrazila sobie run odala i schemat drogi, którą przebyli.



Z powietrza miejsce to musiało przypominać ogromne X. Oby dla nas stało się środkiem tarczy, pomyślała Erin.

— To najlepszy punkt do ukrycia czegoś cennego — oznajmiła.

Skierowała latarkę na posadzkę, lecz widać było jedynie beton. Oświetliła ściany i sufit. Nic nie wskazywało na to, żeby w miejscu przecięcia odnóg ukryto jakiś święty obiekt.

— Będziemy musieli zbadać trzy pozostałe korytarze — powiedział Jordan. — Zajrzemy do wszystkich drzwi.

Zanim zdążyli zrobić następny krok, powietrze wypełnił piekielny pisk dochodzący z trzech tuneli.

Nie było gdzie się schronić.

5.29

Najpierw dotarł do nich smród pędzony uderzeniami setek mocnych skrzydeł. Omal nie ściął Jordana z nóg. Stanowił wstrętne połączenie odoru moczu i napęczniałych trupów od dawna gnijących w słońcu. Walczył z torsjami i przyszło mu na myśl, że smród jest takim samym orężem nietoperzy jak ich zęby i pazury, że ma pozbawić ofiary możliwości obrony.

Ani myślał ulegać.

Na szali leżało coś więcej niż jego życie.

Niepewną ręką pociągnął Erin za siebie, tak aby ochraniała ją triada sangwinistów i on. Uczona zaświeciła latarką w lewo, a potem w prawo, szukając wzrokiem drzwi.

Na próżno.

Wtem ciemność pochłonęła światło i wypełniła wszystkie tunele. Tuzin skrzydlatych cieni oderwał się od stada i śmignął naprzód. Przeleciały wysoko ponad głowami sangwinistów, jakby nie interesowały ich istoty pozbawione bijącego serca.

Jednak srebrne ostrza błysnęły w powietrzu, tnąc skrzydła i ciała.

Trysnęła czarna krew.

Włochate ciała spadły na beton i potoczyły się z piskiem.

Jeden nietoperz przedarł się przez srebrny puklerz. Rażony światłem, runął na ścianę, osunął się na podłogę i natychmiast się odwrócił. Blask latarki go oślepił, lecz stwór nadal mógł posiłkować się słuchem.

Syknał na Jordana, który osłaniał Erin.

Miał rozmiary dużego kota, rozpiętość jego skrzydeł wynosiła dwa metry. Rzucił się na przeciwnika, odpychając się nogami i skrzydłami. Jego ślepie błyszcząły czerwono, ostre jak szpilka kły lśniły. Z rozwartej szeroko paszczy wydobył się przenikliwy pisk.

Jordan machnął nożem i przeciął mu gardziel. Z rany trysnęła krew, lecz nietoperz wciąż napierał na niego tułowiem i zmusił do cofnięcia się. Sierżant jednym cięciem omal nie pozbawił potwora głowy, a mimo to skórzaste skrzydła nadal usiłowały go opleść. Pazury wbijały się w ciało, lecz zabezpieczała je gruba skóra płaszcza.

W końcu nietoperz uległ i padł martwy na ziemię.

Sierżant odwrócił się. Piekielne skrzydlate stwory runęły na nich ze wszystkich stron i przedarły się przez triadę. Każdy z sangwinistów zajął miejsce naprzeciwko otworu jednego z tuneli.

Archeolożka stała w środku, a na jej twarzy zastygło przerażenie.

Jordan skoczył do niej, gotów bronić jej z takim samym poświęceniem jak trójka sangwinistów.

Nietoperze krążyły nad ich głowami niczym cienista chmura najeżona skrzydłami, pazurami i żarzącymi się ślepiami. Horda na chwilę straciła impet, zapewne wyczuwając skażoną krew swoich braci i słysząc ich przedśmiertne krzyki.

Odgłosy wydawane przez bestie przyprawiły Jordana o ból zębów.

Usiłował skupić wysiłki na pojedynczych zwierzętach, jednak one śmigały zbyt szybko.

Erin świeciła na nie latarką, a nietoperze pierzchały przed strumieniem światła, jakby je parzyło.

— *Vespertilionidae* — wykrztusiła, jakby wypowiadała zaklęcie. — Są dziesięć razy mniejsze od tych.

— Skąd wiesz...

— Często pracuję w jaskiniach.

Kierowała snop światła latarki to w jedną, to w drugą stronę. Ilekroć padł on na oczy nietoperza, ten się wycofywał.

— I nigdy nie zachowują się tak agresywnie.

Jordan skierował na nie pistolet maszynowy; światło latarki zamontowanej na lufie także działało na upiorne nietoperze.

— Bo miałś do czynienia ze zwykłymi, a nie skażonymi nieczystą krwią.

— Za każdym razem szybciej przegrupowują szyki — zauważyła Erin, jak przystało na obiektywnego badacza. Jednak jej głos był o oktawę wyższy niż zwykle. — Przyzwyczajają się do światła.

— Niech wreszcie przyjdą. — Nadia zdjęła srebrny łańcuch i trzymała go w dłoni okrytej rękawicą. Dotykała każdego srebrnego ogniwa, jakby to były paciorki różańca. — To czekanie działa mi na nerwy.

— Cierpliwości — odrzekł Rhun. — Przejdźmy dalej, poszukajmy drzwi, jakiejś kryjówki. Może nie zaatakują.

— Jeśli to możliwe — odezwała się Erin — szukajcie drzwi po prawej stronie korytarza. Mogą nas doprowadzić do centrum rombu odala.

Sierżant musiał przyznać, że nawet pod całunem jazgotliwych skrzydlatych potworów ani na chwilę nie traciła z oczu celu poszukiwań. Bez przerwy kombinowała, jak znaleźć skarb ukryty w bunkrze.

Emmanuel zrobił krok do przodu i uniósł rękę. Błysnęło ostrze sztyletu.

Nadia ruszyła za nim z gracją baleriny.

Cała piątka powoli przesuwała się tunelem, wpatrując się w chmurę krążących nad nimi nietoperzy.

Jordan miał wielką ochotę posłać im serię z pistoletu, ale bał się rykoszetów; poza tym wolał nie prowokować upiórów.

Pamiętał słowa Nadii, która uprzedzała, że pociski nie zabijają nietoperzy. Jediną szansę stanowiło...

Nietoperze zanurkowały bez ostrzeżenia.

Także i tym razem nie zaatakowały sangwinistów, tylko skupiły się na dwojgu ludzi między nimi.

Wzięły na cel twarze Erin i Jordana.

Nadia puściła w ruch łańcuch. Dopiero teraz sierżant zorientował się, że jest to srebrny bicz. Dzięki nadludzkiej szybkości i sile mogła nim władać niczym tasakiem. Nietoperze, które znalazły się za blisko, spadały rozcięte na strzępy.

Upiory dostały nauczkę i się wycofały.

Bicz Nadii trafił jeszcze jednego w szary grzbiet i nietoperz runął na betonową ścianę.

Rhun i Emmanuel torowali sobie drogę, siejąc spustoszenie wśród śmigających cieni srebrnymi sztyletami, które trzymali w obu rękach.

Jordan, najlepiej jak potrafił, zabezpieczał tyły, używając zakrzywionego noża. Piskliwe wrzaski raniły jego uszy. Wprawdzie miał na sobie skórzany płaszcz ochronny, lecz jego twarz i ręce nosiły ślady licznych zadrapań.

Miał wrażenie, że w miejsce jednego unieszkodliwionego stworza pojawiają się dwa.

Archeolożka zatopiła ostrze sztyletu w brzuchu nietoperza, który przemknął się obok Jordana. Jego ostre, podobne do psich zębiska kłapnęły tuż obok jej nosa, zanim runął na ziemię.

Sierżant chwycił w dłonie następnego, który usiłował przelecieć. Jego skóra była zimna i sucha niczym u martwej jaszczurki. Stłumił odrazę i ciął go nożem. Zwierz skręcił umięśnioną szyję i wbił kły w kciuk Jordana. Ból przeszył całą rękę sierżanta.

Rąbnął dłonią o ścianę raz, drugi i trzeci, lecz zęby stworza trzymały mocno. Nie mógł strząsnąć go z siebie. Kły zgrzytały o kość, zagrażając kciukowi. Krew płynęła w rękawie aż do łokcia. Drugi nietoperz śmignął tuż obok głowy Jordana, a ten poczuł palącą ranę na skroni.

Erin przyszła mu w sukurs. Złapała za uszy nietoperza wczepionego w rękę Jordana, wbiła nóż pod jego pyskiem i szarpnęła. Krew trysnęła na ścianę i zęby puściły.

— Naprzód! — krzyknął Rhun; znajdował się zaledwie o krok od Erin i Jordana, lecz w tej chwili była to nieprzebyta dal. — Przed nami po prawej stronie drzwi!

Emmanuel parł na czele. Nietoperze rzucały się do jego twarzy, szyi i rąk. Jednak niechętnie go kąsały, mimo że rosły mężczyzna miał wiele ran. Cała jego postać ociekała krwią, nawet jasna czupryna.

Następna horda przedostała się obok Jordana, którego ramię osłabło. Kły wbiły się w nadgarstek. Stwory kąsały sierżanta bez trudu i bez wahania.

Sztylet Rhuna śmigał w powietrzu, tnąc skrzydła i pokryte puchem ciała krwiożerczych bestii.

One jednak nie zaprzestały ataku.

Ręka Jordana drżała i traciła siły, a nietoperze wciąż nadlatywały.

27 października, 5.39

Harmsfeld, Niemcy

Bathory uklękała nad brzegiem spowitego we mgle bawarskiego jeziora.

Jej palec dotknął śladu, który pozostał w mokrym piachu. Niedawno wleczono tędy coś szerokiego i ciężkiego. Woda wypełniła koleinę, lecz nie przysypały jej liście ani igły. Nie było także tropów zwierząt.

Wyprostowała się i skinęła na swój oddział, każąc mu czekać. Okrążyła miejsce, w którym łódź spuszczone na wodę. Policzyła tropy. Rozpoznała amerykańskie buty wojskowe, tenisówki oraz trzy inne pary ręcznie szytego obuwia. Dwie miały duże rozmiary, a jedna mały. Głębokość odcisków wskazywała, że zostawiły je dwie kobiety i trzech mężczyzn.

Jednak Bathory nie znosiła zgadywanek.

Podążyła za tropami do samego skraju wody i spojrzała we mgłę podobną do waty. Widziała jednak zaledwie na kilka metrów i przeklinała górskie opary. Rhun i jego towarzysze omal jej się nie wymknęli pod osłoną mgły. Zdradził ich dopiero ryk motocykli.

Odwróciła się do swojego bezpośredniego podwładnego.

— Słyszysz coś, Tarek?

Przechylił głowę, jakby nasłuchiwał.

— Ani jednego bijącego serca.

Mówi prawdę czy kłamie, żeby pozbawić ją szansy odnalezienia księgi?

Magor! — zawołała bezgłośnie.

Wilk drapnął łapą ziemię i schylił głowę. On także nic nie słyszał. Poklepała go po ciepłym boku. Pojazd, którym poruszała się Bathory, w tym trudnym terenie nie mógł się równać ze ścigaczami Ducati. Tylko nos Magora pozwolił wytropić zwierzynę i dotrzeć do tego miejsca. Jego zmysły dobrze jej się przysłużyły, lecz nie był w stanie wywęszyć niczego w wodzie, tak jak ona nie potrafiła widzieć we mgle.

Jeszcze raz popatrzyła na gładką taflę jeziora. Wyglądało na to, że sangwiniści zdobyli łódź i już na starcie zapewnili sobie przewagę.

To było nowe wyzwanie.

— Tarek, ściągnij mapę jeziora.

Podał jej komórkę z obrazem satelitarnym. Na jeziorze nie było ani jednej wyspy, więc sangwiniści albo przepłynęli łódką na drugi brzeg, albo szukali czegoś pod wodą. To był problem, gdyż Bathory nie dysponowała łodzią i nie wiedziała, gdzie może ją ukraść. Poszukiwanie zajmie dużo cennego czasu.

Tarek okazał zniecierpliwienie, warcząc głęboko. *Strigoi* nienawidzili czekania. Pozostali dostrzegli jego niesubordynację i przestępowali z nogi na nogę.

Bathory przygwoździła go wzrokiem, aż zamilkł.

— Unieruchom motocykle — rozkazała, aby dać mu coś do roboty. — Ale bądź w zasięgu głosu.

Magor przysiadł na zadzie obok pani, jego czerwonożłote ślepia spoglądały przez wodę. Oparła wolną dłoń na jego łbie i skierowała wzrok na ekran telefonu. Może zdoła odgadnąć, dlaczego sangwiniści obrali to miejsce.

Powiększyła obraz satelitarny i przewinęła go, oglądając teren otaczający jezioro. Zdjęcie zrobiono latem, ciemnozielone drzewa zasłaniały widok. Nie było widać rozległych polan.

— Motory już nie pojedą — oznajmił Tarek.

— Dobrze — odparła Bathory. Sangwiniści po powrocie nie zdołają błyskawicznie się ulotnić.

Skupiła uwagę na mapie; jej wzrok przykuła długa prosta linia jaśniejszej zieleni. Drzewa wyglądały w tym miejscu inaczej. Czy była to woda? A może rosły tam młodsze drzewa? Bathory połączyła linię z drugą, a potem trzecią; wszystkie były ledwo widoczne.

Uśmiechnęła się, gratulując sobie bystrości. Rozpoznała rysunek.

Był to skrajny fragment wzoru przedstawionego na nazistowskim medalu. Jego dalsza część przebiegała pod jeziorem.

A więc to jest cel, dla którego tu przybyli.

W myślach dokończyła kształt runu. Powiodła długim paznokciem wzdłuż rombu. Uświadomiła sobie coś bardzo ważnego. Run miał dwie nogi: jedna kończyła się pod powierzchnią jeziora, lecz druga biegła pod ziemią i urywała się pod wzgórzem po przeciwnej stronie akwenu. Mapa pokazywała, że teren jest silnie zalesiony. Nie było tam budowli, tylko drzewa i głązy. To jednak nie znaczyło, że niczego w tym miejscu nie zakopano.

Zerknęła na swoją małą armię, która mogła kopać godzinami bez zmęczenia. Musiała zaryzykować. Spojrzała na dalekie wzgórza na przeciwległym brzegu.

Jeśli jej przypuszczenia są trafne, podwodna budowla ma tylne wejście.

27 października, 5.48

Dno jeziora Harmsfeld

W wypełnionych powtarzającym się echem ogromnych betonowych tunelach zmysły Rhuna chwiały się i falowały, jakby toczył podwodny bój. Piskliwe ultradźwięki wdzierały się do jego czaszki. Wir bijących skrzydeł i podrygujących ciał skąpanych w deszczu krwi prawie uniemożliwiał koncentrację.

Walczył jednak pomimo zgiełku, skupiwszy wzrok na jednej przerażonej, zakrwawionej i pełnej zaciekłości twarzy.

Twarzy Erin Granger.

Przedarł się do niej i całą siłą ramienia oderwał od jej piersi atakującego nietoperza. Złamał mu wypełnione powietrzem kości i zdruzgotał pysk. Długi płaszcz wciąż chronił jej ciało z wyjątkiem dłoni i głowy, lecz frenetyczne dudnienie serca sprawiało, że nie mogła złapać tchu. Nie mieli szans przetrwać takiego naporu.

Odwróciła się, żeby walczyć z drugim ikaropem, który wczepił się pazurami w jej plecy i parł w górę ku szyi.

Latarka drżała w dłoni Erin, kiedy kierowała jej strumień na chmurę upiorów.

Były ich tysiące.

Rhun złapał ją, pociągnął do siebie i zarzucił sobie na plecy. Parł do ciemnego wejścia, w którym Emmanuel zadawał ciosy nożem. Nadia walczyła u jego boku, siejąc śmierć srebrnym biczyskiem.

— Niech żołnierz się schroni! — krzyknął do siostry z zakonu.

Upuścił Erin, a ta spadła plecami na ziemię, ciężarem ciała miażdżąc ikaropa. Stwór zapiszczał przenikliwie, trysnęła fontanna krwi. Żołnierz potoczył się ku nim; chronił go skórzany płaszcz. Okręcił się i latarką zrzucił nietoperza ze swojego ramienia, a następnie dobił go potężnym uderzeniem kolbą pistoletu.

Rozgłośny łoskot wstrząsnął powietrzem; Rhun odgadł, że Nadia zatrzasnęła drzwi. Emmanuel zaparł się o nie plecami. Niewielkie prostokątne pomieszczenie przez chwilę będzie bezpieczne. Otwarte łukowe przejście w tylnej części prowadziło do drugiej komory, lecz Rhun nie usłyszał w nim bicia serca ani ruchu. Powietrze było nieruchome i zamarłe, wyczuwało się odór starego guana.

Na kilka chwil zapewnili sobie bezpieczeństwo.

Nadia wykończyła kilka ikaropów, które zdołały dostać się za nią do środka.

Drewniane drzwi tłumiły piski, lecz stwory drapały deski pazurami i gryzły kłami, aby je sforsować i dopaść ofiary.

Rhun rozumiał to pragnienie. Serce Erin biło szybko, ale mocno. Serce stojącego obok niej żołnierza także uderzało w przyspieszonym tempie. Woń krwi płynąca od niej i od Jordana omal nim nie owładnęła.

Cofnął się o krok, oddalając się od krwawiących ludzi.

Erin wstała i zatoczyła się w stronę Jordana.

— Jesteś ranny?

Sierżant wciąż siedział na ziemi.

— Tylko moja duma doznała uszczerbku. Za chwilę dojdę do siebie.

— Czy to robota Beliala? — spytała Erin, odwracając się do Rhuna. Zapach jej krwi wionął prosto w jego nozdrza.

Sangwinista przełknął ślinę i cofnął się jeszcze o krok.

Nadia wytarła łańcuch o udo, a potem owinęła nim sobie talię niczym paskiem.

— Stworzenie tak wielu blasfemorów zajęłoby lata — odparła.

— To nie ci, którzy ścigali was w Masadzie, powołali te stwory do

życia.

Rhun trącił butem truchło nietoperza.

— Ona ma rację. Niektóre z tych ikaropów liczą sobie dziesiątki lat.

— A więc nie jesteśmy tutaj sami — odezwał się głębokim głosem Emmanuel. — Jakiś *strigoi*, a może nawet więcej niż jeden, zagnieżdził się w tej budowli.

— Dobrych wieści nigdy za wiele — skomentował Jordan, obmacując palcami czaszkę. — Ukąszenia tych tutaj nie przemienią nas w *strigoi*, prawda?

Erin skierowała na niego latarkę. Ręce i skronie sierżanta ociekały świeżą krwią. Jej ciało także było poranione.

Rhun wzdrygnął się i odwrócił głowę od błyszczącej czerwonej krwi.

— Nie — odrzekł, spoglądając na ścianę. — Najpierw *strigoi* musi wypić twoją krew, a później ty musisz skosztować jego krwi. Albo jej. Taki los was nie spotka, jesteście bezpieczni.

Nadia wyciągnęła rękę i pomogła sierżantowi wstać; wyczuwała, że Rhun nie odważy się do niego zbliżyć.

— Czy twoje obrażenia są poważne, sierżancie?

Jordan oświetlił latarką przeciętą dłoń.

— Wystarczy bandaż. A ty, Erin? Wszystko w porządku?

— Mniej więcej. — Otarła wierzch dłoni o dzinsy. — Dlaczego nietoperze nie atakowały waszej trójki?

— Intrygujące pytanie. — Emmanuel kołysał się w przód i w tył. Skrzydlate stwory wciąż uderzały ciałami o drzwi, słychać było ich przeraźliwe piski. — Może nie wyczuły u nas bicia serc. A może zostały przyuczone do atakowania ludzi.

Jordan się skrzywił.

— Ktoś wyćwiczył nietoperze do walki?

— Wilk bardziej ci odpowiadał? — Erin wyjęła z kieszeni jego spodni miniaturowy zestaw pierwszej pomocy.

— Może troszeczkę, powiedzmy.

Rhunowi kręciło się w głowie od zapachu ich krwi. Zrobił krok w stronę wyjścia.

— Napij się wina — przypomniała mu Nadia.

Sangwinista sięgnął po bukłak, który nosił przy biodrze, i pociągnął mały łyk. W sam raz tyle, żeby się uspokoić, ale nie tak dużo, by wywołać reakcję pokuty. Krew Chrystusa sparzyła mu gardło, ciepło rozniosło się po ciele. Jednak na szczęście nie wróciły wspomnienia.

— Pokaż rękę — powiedziała Erin do Jordana.

Sierżant skierował latarkę na ranę obok kciuka.

— Wydaje mi się, że zęby ominęły najważniejsze części. Ale boli jak wszyscy diabli.

— Bo ugryzł cię diabelski pomiot — oznajmił Emmanuel, który kucnął przy drzwiach i czekał. Wyjął różaniec i zaczął się modlić.

Nadia oparła się plecami o ścianę i patrzyła na ikaropy rozpląszczone na posadzce. Starła się nie słyszeć kropel krwi spadających na beton, które dudniły niczym deszcz na blaszanym dachu.

Oto dlaczego ludzie nie powinni brać udziału w eskapadach sangwinistów. Rhun walczył z gniewem, który głównie skierowany był na Bernarda, gdyż to właśnie kardynał narzucił mu to towarzystwo. Nie rozumiał, jak to jest w walce.

— Byłeś niedawno szczepiony przeciwko tężcowi? — zapytała szeptem Erin.

— Tak, ale nie przeciwko wścieklicznie.

— One nie mają wściekliczny — oznajmiła Nadia, nie unosząc głowy.

Archeolożka dokończyła bandażowanie kciuka.

— Na szczęście to lewa ręka.

— Ta zbędna? — rzucił z uśmiechem sierżant. — A co z ziejącą raną na mojej łepetynie?

— Opuść głowę. — Erin obejrzała zranienie. — Krwawi, ale nie jest głęboka.

Rhun starał się nie widzieć, jak delikatnie obmywa skórę na głowie Jordana i jak zręcznie jej palce wiążą końcówki bandaży. Każdy ruch świadczył o tym, że zależy jej na sierżancie.

— Teraz twoja kolej — rzekł Jordan, kiedy skończyła. Wziął do ręki zestaw medyczny. — Obejrzę cię.

Jego dłoń dotknęła twarzy i głowy Erin; jej puls przyspieszył. Odsunęła się i uniosła rękę.

— Ugryzły mnie tylko tutaj.

Skinął głową i szybko opatrzył ranę.

— Jeśli skończyliście... — odezwał się rozdrażniony Emmanuel. — To może omówimy dalsze działania.

Pazury i kły nie przestawały szarpać drewnianych drzwi.

Nietoperze były już bardzo blisko.

5.54

Jordan patrzył, jak kawałek drewna wielkości pięści pęka w drzazgi. Kosmaty łeb wcisnął się do środka, piszcząc, strzygąc uszami i gryząc drewno.

Emmanuel machnął kordem i łeb spadł na posadzkę.

Sierżant pomógł Erin wstać i odstąpili kilka kroków; tymczasem w otworze ukazała się głowa drugiego nietoperza.

— Drań przegryzł drzwi — stwierdził Jordan. — To się nazywa poświęcenie.

Rhun skinął głową w kierunku spowitej mrokiem tylnej części komory.

— Tam jest jakieś przejście. Poszukajmy kryjówki w drugim pomieszczeniu.

Sierżant skierował tam światło latarki i dopiero teraz zauważył przejście. Nie wiadomo było, dokąd prowadzi, ale przynajmniej nie wlatywały tamtędy nietoperze. A jeżeli sangwinista nie wyczuł tam zagrożenia, można było spróbować.

— Pospieszcie się — wycedził Emmanuel przez zaciśnięte zęby. Drzwi zaczęły ustępować pod naporem kłów i pazurów zaciekłych upiorów.

Nadia i Rhun przyszli mu w sukurs.

Jordan i Erin stanęli w przejściu, lecz bali się pójść dalej. Sierżant skierował tam snop światła latarki; okazało się, że zmysły Rhuna go nie zawiodły. Za łukiem zaczynało się drugie pomieszczenie. Miało okrągły kształt, było rozległe i puste. Jednak kiedy snop światła latarki przesuwał się po ścianach, wyszła na jaw przerażająca prawda.

Olbrzymia komora nie miała wyjścia.

Stanowiła ślepy zaułek.

5.55

— Stąd nie ma ucieczki! — zawołała Erin.

Oczy zaczęły jej łzawić od ostrej woni amoniaku, który wypełniał wnętrze.

Odchody nietoperzy.

Zrobiła kilka kroków, Jordan podążał za nią. Okrągła komora miała kopulaste sklepienie. Uwagę Erin natychmiast zwróciły dwa szczegóły: kształt pomieszczenia i jego rozmiary były takie same jak grobowca w Masadzie. Tutaj jednak wszystkie powierzchnie — posadzkę, ściany oraz sufit — pokrywał biały marmur.

Kiedyś komora musiała wyglądać oszałamiająco pięknie, teraz jednak odchody nietoperzy ściekały po ścianach i zgromadziły się na posadzce.

Erin zauważyła także drugi szczegół i jej serce zaczęło bić szybciej. Cały czas miała w pamięci kształt runu odala.

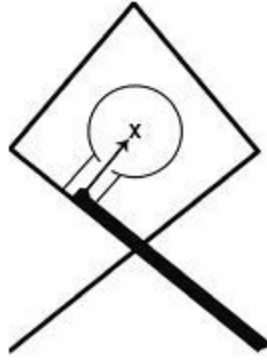
— Co się stało?! — zawołał Rhun.

Odwróciła głowę. Czyżby sangwinista wyczuł jej radosny dreszcz?

Odpowiedziała, nie podnosząc głosu; wiedziała, że usłyszy ją bez trudu:

— Myślę, że ta komora leży dokładnie w centrum runicznego znaku Odala.

Wyobrażała to sobie bardzo wyraźnie.



Rhun zrozumiał.

— Szukajcie księgi, mamy mało czasu! Jeśli nie zdołamy obronić tych drzwi, być może będziemy musieli poszukać lepszego schronienia w tunelu.

Erin zareagowała błyskawicznie. Wbiegła do pomieszczenia i skupiła uwagę na najbardziej rzucającym się w oczy i najwyższym obiekcie. Był nim krzyż naturalnej wielkości wyrzeźbiony z najbielszego marmuru, na którym wisiała przeraźliwie wychudzona postać Jezusa Chrystusa. Wszystkie szczegóły ciała zostały oddane bezbłędnie, od doskonale uformowanych mięśni do głębokiej rany w boku. Jednak postać była naga i pozbawiona owłosienia niczym nowo narodzone dziecko. Stylizowane piękno rzeźby wyobrażało boską niewinność i ludzkie cierpienie.

Ustawiła latarkę tak, by strumień światła podążył w kierunku, w którym spoglądały oczy ukrzyżowanego Jezusa. Znajdował się tam wysoki kamienny postument z rozszerzonym wierzchołkiem. Erin знаła ten kształt, widziała go zaledwie kilka godzin temu. Pasował do odznaki *Ahnenerbe*, którą miał w swoim gabinecie Leopold. Przedstawiała kolumnę, na której leżała rozłożona księga.



Mnich twierdził, że postument wyobraża ważny cel działalności *Ahnenerbe*: dokumentowanie historii i dziedzictwa Ariów. Dodał jednak, że może także symbolizować wielką tajemnicę, mistyczną księgę, która znalazła się w posiadaniu jednostki.

Erin bez tchu spoglądała na symbol. Wiedziała, z czym ma do czynienia.

Postument był przechylony w stronę posągu, jednak ze swojego miejsca nie potrafiła stwierdzić, czy coś w sobie kryje.

— Powinniśmy zostać przy drzwiach — odezwał się Jordan. — Za chwilę być może trzeba będzie stąd wiać.

Nie zwolniła kroku i się nie zawahała. Nic nie mogło jej powstrzymać. Musiała podejść do postumentu i przekonać się, czy coś na nim spoczywa. Mogła to być księga spisana własną krwią przez Jezusa Chrystusa.

Sierżant zaklął pod nosem i podążył za nią.

Krzyż i kolumna tkwiły na podwyższeniu, które miało postać marmurowego kwadratu szerokości dwóch metrów. To, że oba obiekty ustawiono na podestach, świadczyło o ich ważności. Ale po co naziści umieścili tu krzyż naturalnej wielkości? Czyżby ukryli w tym miejscu coś, co uważali za świętość?

Musiała się tego dowiedzieć.

Wskoczyła na podwyższenie i skrzywiła się, gdy poczuła pod stopami kawałki gruzu. Ostrożnie, aby nie nastąpić na coś innego, okrążyła postument.

Wstrzymując oddech, oświetlała latarką powierzchnię marmurowego pulpitu.

Nagle jej serce zadrżało.

Pulpit był pusty.

— Co tam znalazłaś?! — zawołał Jordan, który stał u podnóża postumentu z twarzą zwróconą w kierunku holu. Sangwiniści wciąż stawiali opór nacierającym nietoperzom.

Zrobiła krok do przodu i przeciągnęła palcami po powierzchni pustego pulpitu. Wyczuła zagłębienie, w którym zapewne miał spoczywać jakiś obiekt. Miało mniej więcej rozmiary, które opisał Rhun.

— Księga była w tym miejscu — powiedziała cicho.

— Słucham? — zapytał Jordan.

Zrezygnowana Erin zrobiła krok do tyłu i nadepnęła na kawał gruzu. Zerknęła w dół i zaświeciła latarką. Wokół postumentu leżały rozrzucone fragmenty szarego kamienia. Przyjrząwszy się dokładniej, zobaczyła, że nie są one naturalne, lecz wykonane ludzką ręką. Uklękła i ostrożnie podniosła jeden z nich.

Większość miała niespełna trzy centymetry grubości i była w popielatym odcieniu. Obróciła odłamek w dłoni.

Był szary i twardy. Jeśli jest starożytny, to prawdopodobnie zrobiono go z wapna i popiołu.

Czy mógł pochodzić z czasów, w których powstała Ewangelia Krwi? Aby dowiedzieć się tego na pewno, musiałaby przeprowadzić dokładną analizę, lecz na razie postanowiła improwizować.

Skrobnęła paznokciem narożnik i powąchała zadrapanie.

Dobrze znany korzenny zapach uderzył ją w nozdrza, jej oczy omal nie zaczęły łzawić.

Żywica olibanowa.

Jej serce biło coraz szybciej. W grobowcu w Masadzie pozostały ślady takiej żywicy, stosowano ją często przy starożytnych pochówkach.

Jednak nie w bunkrach nazistów.

Starła się zachować trzeźwość umysłu; zganiła się za to, że wskoczyła na podest ze zręcznością wołu. Studentów przez całe

lata besztła, gdy w minimalnym nawet stopniu naruszyli integralność miejsca wykopalisk.

Odwróciła odłamek. Miał kształt nierównomiernego trójkąta i przypominał narożnik kamiennej kasety. Siedziała nieruchomo jak na polu minowym i oglądała inne fragmenty. Obok spoczywały jeszcze trzy trójkąty.

Może to rzeczywiście są narożniki. Skoro tak, to mogły tworzyć kasetę.

A w niej być może spoczywała księga.

Spojrzała na pusty pulpit. Czyżby plądrujący bunkier rosyjscy żołnierze strzaskali kasetę i skradli jej zawartość?

Zdesperowana, odwróciła głowę w kierunku krucyfiksu, jakby tam mogła znaleźć odpowiedź. Postać na krzyżu przypominała zagłodzoną ofiarę obozu koncentracyjnego; Erin nigdy nie widziała tak chudego wizerunku Jezusa. Kościste dłonie były przybite czarnymi ćwiekami do krzyża, a większy gwóźdź tkwił w złożonych stopach postaci. Wokół ran lśniła farba w głębokim czerwonym kolorze. Skierowała światło na prawie pozbawioną rysów twarz. Oczy i usta zaznaczono kreskami, nozdrza były jeszcze węższe. Miała przed sobą obraz bezgranicznego cierpienia.

Ogarnęło ją irracjonalne pragnienie, żeby zrzucić posążek z krzyża i jakoś go ukoić.

Nagle poczuła piekący ból w dłoni. Uniosła ją do światła i zobaczyła, że przecięła sobie kciuk ostrym odłamkiem, który za mocno ścisnęła w ręku.

Przypomniało jej to o obowiązkach. Odwróciła się plecami do krzyża, zaczęła zbierać fragmenty z podestu i pakować pieczołowicie do kieszeni. Zauważyła inskrypcje z jednej strony, ale postanowiła, że ich odczytanie zostawi sobie na później.

Sierżant zauważył, czym zajmuje się Erin, i wszedł na podest.

— Stój! — powiedziała, bojąc się, że zniweczy ślady pozostawione przez Rosjan.

Jeśli będzie miała czas, może uda się jej...

Nagle usłyszeli pełen rezygnacji głos Rhuna:

— Ikaropy przedarły się przez drzwi!

27 października, 6.04

Dno jeziora Harmsfeld

Rhun ratował się ucieczką przed kipiącą wściekłą chmurą.

Skrzydła stworów młóciły jego ciało, pazury i zęby darły skórę i ubranie.

Wpadł do drugiego pomieszczenia, a za nim Nadia i Emmanuel. Chmara nietoperzy przemknęła nad nim, machając potężnymi skrzydłami. Całą masą uniosły się pod kopułę i wypełniły komorę trzepoczącymi cieniami.

Bystre oko Rhuna ogarnęło pomieszczenie i rozpoznało posępną kopię grobowca w Masadzie, święte miejsce obrócone w ruinę. Zawrzał w nim gniew, lecz został stłumiony lękiem.

Erin klęczała na podeście za wysokim postumentem, jej twarz zwrócona była ku ikaropom. Strzegący jej Jordan wskoczył na podest bronić towarzyszki. Beznadziejne poświęcenie. Nie miał najmniejszych szans na pokonanie tyłu upiorów.

Ani on, ani trójka sangwinistów.

Ikaropy, jakby o tym wiedząc, runęły z góry na dwoje ludzi.

— *Arrêtez...!*

Jednowyrazowy rozkaz przedarł się przez syk hordy i zmusił ją do odwrotu. Nietoperze rozdzieliły się wokół Erin i Jordana i trzepiąc skrzydłami, skierowały się do sufitu i zapaskudzonych ścian. Ostre pazury wczepiły się w załomy kamieni, skrzydła złożyły się i okryte puchem ciała zawisły nad całą komorą. Połyskliwe czarno-czerwone ślepia spoglądały w dół.

Rhun wciągnął pierwszy raz powietrze w płuca i uderzył go osobliwy zapach. Odetchnął głęboko po raz drugi. Przez ostry odór plugawej krwi ikaropów i ich odchodów przebijało się coś jeszcze.

Znajoma woń.

Jordan, który stał z przygarbionymi ramionami, rozejrzał się po komorze.

— Kto krzyczał?

Odpowiedzi udzieliła Erin, wskazując w kierunku krucyfiksu.

— Spójrzcie!

Marmurowa rzeźba się poruszyła. Głowa uniosła się, ukazując wyniszczoną twarz ze skórą skurczoną na wyrazistych kościach. Erin dotknęła ręką szyi. Wiedziała, co wisi na krucyfiksie.

Nadia znieruchomiała obok Rhuna, Emmanuel zatoczył się i zrobił krok w tył.

Sangwiniści także wiedzieli.

Jakby podążając za niemym nakazem, Rhun ruszył przed siebie, a za nim Emmanuel i Nadia.

Powieki postaci na krzyżu rozchyliły się i zabłysła w nich ostatnia iskra życia. Oczy odszukały Rhuna i spojrzały na niego z bezdennym żalem.

Przepełnione rozpaczą źrenice nie pozostawiały cienia wątpliwości, kto wisi na upiornym krzyżu.

Rhun pamiętał tę twarz zwieńczoną srebrnymi włosami, pamiętał uśmiech warg, z których płynęła mądrość niezliczonych wieków. Słyszał głos objaśniający arkana historii i przeznaczenia sangwinistów. Było to ciało wielkiego kapłana.

Ojca Piersa.

Przyjaciela od wieków.

Uczony zniknął siedemdziesiąt lat temu podczas wyprawy, której celem było odnalezienie Ewangelii Krwi. Nie wrócił, a Kościół uznał go za zmarłego. Tymczasem okazało się, że pojмали go naziści i skazali na dziesiątki lat cierpienia.

Emmanuel uklęknął przed nim.

— Ojczy Piersie... jak to możliwe...?

Głowa starego mnicha znów opadła, jakby nie mógł dłużej dźwigać ciężkiej czaszki. Wyblakłe oczy odnalazły Emmanuela.

— *Mein Sohn?* — wycharczało gardło, które najwyraźniej odwykło od słów.

Mój syn.

Po twarzy Emmanuela płynęły łzy. Rhun pamiętał, że to właśnie ojciec Piers dotarł do Emmanuela i zwerbował go do szeregów sangwinistów. Był zarówno jego ojcem, jak i wybawcą.

Sangwinista dotknął poczerniałego gwoździa wbitego w nagie stopy księdza. Dłonie także były przybite. Wokół ran osiadła zaschnięta krew.

— Ostrożnie. — Nadia stanęła obok krzyża. — Przygwożdżono go srebrem.

Emmanuel pociągnął gruby ćwiek wbity w stopy księdza. Sparzył sobie palce.

Nadia szarpnęła towarzysza do tyłu.

— Jeszcze nie teraz.

Ten syknął na nią, obnażając kły.

— Spójrz na niego. Dość się już naciерpiał.

— Trzeba zapytać, czemu go to spotkało — odparła spokojnie sangwinistka. — Kto go przybił i dlaczego?

— *Libri... verlassen...* — Piers zmagął się z aparatem mowy i umysłem, przeskakiwał z jednego języka na drugi. W jego oczach, które zaszyły bielmem, czał się obłęd.

Rhun spoglądał na wrak uczonego sangwinisty.

— Zdejmijcie go!

Nadia chciała oponować, lecz Rhun klęknął i delikatnie podtrzymał stopy starego księdza. Emmanuel wyrwał gwóźdź z nóg i odrzucił na bok, a potem wyciągnął ręce do dłoni.

Piers niczego nie zauważał. Skierował wzrok na kopułę sufitu z czarnymi ornamentami.

— *Meine Kinder...* przyprowadzili cię. — W ledwo słyszalnych słowach zabrzmiała radosna nuta. — Abyś mnie ocalił...

Twarz Nadii przybrała twardy wyraz. Spojrzała w kierunku, w którym patrzył ksiądz: na chmurę ikaropów.

— Te nieczyste stwory są dziełem ojca Piersa.

— Blasfemory? — Palce Emmanuela zawisły nad gwoździem tkwiącym w lewej dłoni Piersa. — Ależ to zabronione.

Rhuna mniej interesowała kwestia łamania świętych zakazów niż odpowiedzi na istotne pytania.

— Nie miał wyboru, musiał się czymś żywić, żeby przeżyć tyle dziesiątków lat samotnie na krzyżu. Co innego mógłby jeść, gdyby nie było nietoperzy?

Wyobraził sobie księdza czerpiącego tę odrobinę odżywczej substancji z czarnych mieszkańców grobowca. Mijały dekady, a on podporządkował ich sobie siłą woli i nakłonił, żeby mu służyły. Ich towarzystwo pozwoliło mu zachować resztkę świadomości w ciemnym lochu.

Dawno temu Rhun omal nie zagłodził się na śmierć dla pokuty. Pamiętał ten ból i nie potrafił winić Piersa za to, że stworzył ikaropy, by przetrwać. To był jedyny sposób.

— Jak długo tu przebywa? — zapytała z pobladłą twarzą Erin.

— Od czasu, gdy uwięzili go naziści — odpowiedziała Nadia, nie spiesząc z pomocą.

Rhun wyciągnął gwóźdź z prawej ręki Piersa, Emmanuel zaś zajął się lewą. Po dłoni starca spłynęła ciemna krew. Ruchy Rhuna były łagodne. Ranny ksiądz miał w ciele niewiele krwi.

— Czym zasłużył sobie na taki los? — spytał Jordan.

— Oto sensowne pytanie. — Nadia stanęła przed Piersem i spojrzała w jego wychudzone oblicze. — Dlaczego przybito cię do tego krzyża, ojcze? — zapytała podniesionym głosem.

Rhun przypomniał sobie grobowiec w Masadzie: dziewczynka *strigoi* przybita do ściany srebrnymi szpikulcami, stara maska przeciwgazowa przygnieciona kamieniem. Czy Piers załamał się na torturach? Czy powiedział nazistom, gdzie znaleźć księgę i jak jest zabezpieczona? A także co muszą uczynić, by te tysiącletnie zabezpieczenia pokonać i osiągnąć cel?

Piers jęczał przy każdym ruchu ich rąk, gdy wyciągali gwoździe. Rhun poznał na własnej skórze, jaki ból powoduje srebro. Starzec znosił te męczarnie przez niemal siedemdziesiąt lat. Tak jak Jezus odbył pokutę na krzyżu.

Ostatni gwóźdź został wyciągnięty i Emmanuel rzucił go na posadzkę. Rhun chwycił wątle ciało Piersa i oparł je na swoim ramieniu.

Emmanuel zerwał z siebie wilgotny habit i owinął nim sędziwego księdza, Rhun zaś złożył go na ziemi. Emmanuel chciał wyciągnąć bukłak z winem, lecz Nadia go powstrzymała.

— On już nie ma w sobie świętości. Wino mu zaszkodzi.

Emmanuel trzymał swojego mistrza w ramionach.

— Co oni ci zrobili?

— *Blut und* kość — wymamrotał starzec. — *Libri*.

Erin się poruszyła.

— *Libri*? To greckie słowo oznacza książkę. Czy jego ukrzyżowanie miało coś wspólnego z Ewangelią?

Rhun wiedział, że miało.

Archeolożka wyciągnęła rękę do Rhuna. W jej dłoni spoczywał odłamek szarego kamienia.

— Te fragmenty wapna i popiołu w starożytności pełniły rolę cementu. Znalazłam je potłuczone wokół postumentu. Być może Ewangelia znajdowała się w kasecie zrobionej z takich kamieni i ktoś ją wyjął tu, w tym pomieszczeniu. Czy ojca Piersa ukrzyżowano po to, żeby strzegł księgi tak jak tamta dziewczynka w Masadzie?

— Tylko on zna odpowiedź na to pytanie — odrzekł Rhun. — A ja nie wiem, ile zostało z jego umysłu.

— A więc go wylecz.

— Mogę nie mieć takiej mocy. To może nawet przekraczać moce Kościoła.

Rhun wziął kamień do ręki i obejrzał go. Jego palce dotknęły aramejskich napisów. Gdyby miał w piersi bijące serce, jego rytm by przyspieszył.

Księga kiedyś tutaj była. Ktoś ją znalazł i zdjął osłonę. Ale czy zdołał ją otworzyć?

Wykluczone. Gdyby tak się stało, złodzieje Nieba zawładnęliby jej mocą. Ale kto ją zabrał?

Rhun musiał się tego dowiedzieć. Erin miała rację.

Tylko jedna osoba mogła udzielić odpowiedzi.

— Ojcie Piersie? — rzekł śpiewnym głosem, starając się dotrzeć do świadomości księdza. — Słyszysz mnie?

Powieki starca się zamknęły.

— Duma... haniebna duma.

Co to miało znaczyć? Czy Piers miał na myśli pychę nazistów, czy coś znacznie gorszego?

— Jak oni cię pojмали? — naciskał Rhun. — Powiedziałeś im o księdze?

— *Es ist noch kein Buch* — szepnął Piers wysuszonymi wargami.

— To nie jest księga — przetłumaczył Jordan.

— Musieli go torturować — odezwał się Emmanuel. — Tak samo jak ty teraz. Trzeba go wyleczyć, a dopiero potem dręczyć pytaniami.

— Księga jeszcze nie jest księgą — rzekł ojciec Piers. — Jeszcze nie.

Nadia zerknęła na marmurowe ściany, jak gdyby były w nich okna.

— Wkrótce zacznie świtać. Czujecie?

Rhun skinął głową; jego ciało traciło siły. Łaska Chrystusa pozwalała im poruszać się za dnia, lecz ze względu na swoją skazę najsilniejsi byli nocą.

— Świt, w to mi graj — odezwał się Jordan.

— Nie możemy wynieść Piersa na światło dzienne — stwierdziła Nadia. — Jest już pozbawiony błogosławieństwa krwi Jezusa Chrystusa. Słońce go zabije.

— W takim razie przyczaimy się tutaj. — Jordan zerknął niepewnie na sufit. — Nie jest to pięciogwiazdkowy hotel, ale jeśli nietoperze będą wisiały spokojnie, chyba damy radę...

— On umrze przed nocą — oznajmił Emmanuel i wskazał gestem chmarę ikaropów. — Jeśli nie pożywi się tymi przeklętymi stworzeniami.

— Nie pozwolę na to — odparła Nadia. — To grzech.

— A ja nie zostawię Piersa, aby umarł w grzechu. — Emmanuel wyciągnął nóż, spoglądając groźnie na towarzyszkę.

Rhun stanął między nimi i uniósł ręce.

— Jeśli się pospieszymy, zdążymy do kościoła w Harmsfeld. Tam możemy go poświęcić. Potem znów będzie mógł przyjmować krew Jezusa.

— A jeżeli nie można go poświęcić? — wyrzuciła z siebie Nadia. — Jeśli nie był tylko pionkiem nazistów...

Rhun dał jej znak, aby zamilkła, ona jednak ani myślała go słuchać.

— A jeśli to on sam ich odnalazł?

— Przekonamy się — oznajmił Rhun.

Nadia wyartykułowała najgłębszy lęk, który nim targał: że intelektualna pycha Piersa pchnęła go do sojuszu z nazistami. Rhun znał ją aż za dobrze i wiedział, dokąd może zaprowadzić nawet najpobożniejszego sangwinistę.

— Utwórzmy szyk! — rozkazał. — Musimy dotrzeć do kościoła przed brzaskiem.

Postępując zgodnie z dawno ustalonym nawykiem, Emmanuel stanął przed Rhunem, a Nadia po jego lewej stronie. Rhun spojrział w oczy Jordanowi i skinieniem głowy wskazał Piersa.

Wyszli ze splugawionej komory i przez przedsionek dotarli do tunelu.

Jordan wziął na ręce Piersa owiniętego w habit Emanuela i poszedł za nimi. Erin trzymała się tuż za nim.

— *Ich habe Euch betrogen* — wyszeptał starzec. — *Stolz. Buch.*

Rhun usłyszał tłumaczenie Jordana.

— Zdradziłem was wszystkich. Duma. Księga.

Emmanuel zatrzymał się i spojrział na Piersa. W jego oczach błyszczały łzy. Rhun dotknął jego ręki. Piers niemal przyznał, że zdradził zakon nazistom.

Rhun odwrócił się, usiłując pojąć. Czyżby jego przyjaciel uległ niepohamowanemu pragnieniu znalezienia księgi i w tym celu wszedł w układ z *Ahnenerbe*? Czy Niemcy na koniec go zdradzili? Rhun pamiętał jego zagadkowe słowa: To nie jest księga. Czyżby

miały oznaczać, że nazistom się nie powiodło? Czy ukarali Piersa, krzyżując go?

Tak czy inaczej, jeśli Piers przybył do tego miejsca z własnej woli, być może nie uda się go oczyścić za pomocą święcenia i przyjąć na powrót w szeregi sangwinistów.

Wycieńczony mnich przechylił głowę w lewo, gdy dotarli do skrzyżowania korytarzy.

— *Sortie.*

Francuskie słowo oznaczające wyjście.

Erin zrozumiała. Starzec wskazywał im drogę.

Uklękła i narysowała palcem run odala w piasku.

— Pokażesz mi, gdzie jest wyjście?



Sierżant ustawił księdza tak, by ten mógł zobaczyć run. Starzec wyciągnął kościsty palec w kierunku lewej nogi znaku. Oni zaś weszli do niego prawą.

— Istnieje drugie wyjście — oznajmiła archeolożka, spoglądając z nadzieją. — W drugiej odnodze runu. To właśnie tamtędy ikaropy musiały wlatywać i wylatywać.

Piers zamknął białe jak papier powieki, jego głowa opadła na ramię Jordana.

— Jeśli się pospieszymy — rzekł Rhun — może uda nam się donieść go do kościoła przed świtem.

Mimo to targał nim strach.

A jeśli na ocalenie duszy ojca Piersa jest już za późno?

27 października, 6.45

Góry w Harmsfeld

Bathory otuliła sobolowym futrem swoje szczupłe ciało i czekała w ciemnym lesie. Niebo na wschodzie już zaczynało blednąć. Jej żołnierze wiercili się niespokojnie i spoglądali w tamtą stronę; do brzasku pozostał niespełna kwadrans.

Zrobiło się przenikliwie zimno, jak gdyby noc skumulowała cały swój chłód i rzuciła go przeciw nadchodzącemu dniowi. Gorący oddech Bathory parował z jej ust; tak samo jak oddech wilka bielił się na tle ciemnego lasu. O reszcie jej podwładnych nie można było powiedzieć tego samego. Byli zimni i nieruchomi jak drzewa, lecz nie tak cisi.

— Musimy natychmiast ruszać — oznajmił Tarek; jego wargi wykrzywiły się w warknięciu.

Rafik trzymał się tuż obok starszego brata; na jego ustach wciąż widać było oparzenia po bliskim kontakcie z szyją Bathory.

Pokręciła głową. Z posterunku, który zostawiła obok motocykli, nie nadszedł dotąd żaden meldunek. Sangwiniści nie wrócili tamtędy, a ona wcale się tego nie spodziewała. Była pewna, że króliczki wyjdą z nory właśnie w tym miejscu.

Tak mówiło jej głębokie przeczucie.

— Nigdy nie wchodź za zwierzyną do jej nory — powiedziała tonem przestrogi.

Utkwiła wzrok w drzwiach bunkra. To Magor odkrył właz ukryty między głazami. Był niewiele większy od nory borsuka,

lecz ostre zmysły podkomendnych Tareka odkryły źródło zapachu, który zwrócił uwagę wilka.

Ikaropy.

Bathory wyobraziła sobie chmurę nieczystych stworów, które co noc wydostawały się z otworu. Coś musiało stworzyć tę horde, i to coś wciąż mogło kryć się pod ziemią.

Jej żołnierze poszerzyli wejście, wykopując ziemię, której naziści użyli do ukrycia otworu. Kiedy to zrobili, odkryli miejsce, w którym nietoperze wydrapały pazurami kamień obok krawędzi wjazdu. Właśnie tą drogą rozpoczynały swoje nocne wycieczki.

Wejście zostało odblokowane, toteż łatwo będzie wypchnąć kłapę od środka. Było to zaproszenie dla zwierzyny, aby wybrała tę drogę ucieczki.

— Zabijemy ich, jak tylko przestąpią próg — oznajmiła.

— A jeśli poczekają do świtu? — Wzrok Tareka przebiegł po wschodnim nieboskłonie, który już przybrał barwę stalowoszarą.

— Jeśli nie wyjdą przed świtem, wkroczymy do bunkra — obiecała. Jej żołnierze będą walczyli najlepiej, wiedząc, że albo zdobędą bunkier, albo zginą. — Ale dopiero w ostatniej chwili.

Sześciu łuczników tkwiło nieruchomo po trzech z każdej strony; srebrne strzały trzymali w pogotowiu. Groty zawierały większą ilość śmiertelnościanego srebra niż pociski wystrzeliwane z pistoletów; poza tym strzały pozostawały w miejscu trafienia, a nie przechodziły na wylot, nie czyniąc trafionemu szkody.

Bathory nie zamierzała ryzykować w starciu z Rhunem Korzą.

Głowa Tareka odwróciła się w stronę drzwi. Żołnierze wzmoгли czujność.

Sama Bathory niczego nie usłyszała, lecz wiedziała, że ich uszy wychwyciły jakiś dźwięk.

Wjazd bunkra przesunął się po ścieżce, którą tak pieczołowicie dla niego przygotowali.

Trzej sangwiniści wyszli z podziemia. Jednym z nich był Rhun Korza.

Bathory naliczyła jeszcze trzy osoby, które postępowały za prowadzącymi; jedna z nich niosła drugą, która najwyraźniej była ranna. To jednak dziwne, a Bathory nie lubiła niespodzianek. Z opactwa wyjechało pięć osób, nad brzegiem jeziora było pięć tropów.

Kto był tym szóstym?

Czyżby Korza znalazł w bunkrze kogoś żywego?

Nagle przypomniała sobie o ikaropach.

Czy rannym był tajemniczy mieszkaniec bunkra?

Bathory trzymała rękę wysoko, wstrzymując żołnierzy, dopóki wszyscy przeciwnicy nie znajdą się na zewnątrz. Jednak druga trójka pozostała w środku, najwyraźniej coś podejrzewając.

Korza spojrział na ziemię i przyklęknął; musiał zauważyć ślady. Zanim jego podejrzenia przybrały konkretne kształty, Bathory opuściła rękę.

Zadźwięczały napięte cięciwy łuków, świsnęły strzały. Trafiły prowadzącego mnicha, przygważdżając go do pnia starej czarnej sosny.

Usiłował się uwolnić, w zimnym powietrzu z jego ran wydobywał się dym.

Łucznicy wystrzelili po raz drugi. Wszystkie strzały trafiły w cel, przebijając pierś, gardło i brzuch sangwinisty, który wił się w oparach wrzącej krwi.

Jeden został unieszkodliwiony.

Teraz należało zabić samego Korzę.

27 października, 6.47

Góry w Harmsfeld

— Nie wychodźcie! — krzyknął Rhun, rzucając się przez grad śmiercionośnego srebra.

Jedna ze strzał wbiła się w jego przedramię, trujące srebro paliło do głębi. Wyczuł niebezpieczeństwo w chwili, gdy zauważył świeżą ziemię przed drzwiami, lecz zareagował zbyt wolno.

Ktoś urządził zasadzkę.

Ktoś, kto spodziewał się starcia z sangwinistami.

Rhun doskoczył do grubej lipy i schronił się za nią.

Bezpieczny za jej pnem wyrwał z ręki strzałę. Z rany trysnęło więcej krwi, niżby tego chciał. Jego organizm oczyszczał się z trucizny.

Rhun legł za drzewem i spojrzał w lewo.

Tak jak na to liczył, Nadia zdołała się ukryć za głazem obok drzwi.

Jednak Emmanuelowi się nie udało.

Tuzin srebrnych strzał przygwoździł go do pnia jodły kilka kroków dalej. Z ran buchał dym, spowijając sangwinistę w upiorny obłok bolesnej esencji jego życia.

Rhun miał świadomość, że nie zdoła do niego dotrzeć, a nawet gdyby to zrobił, śmierć już zabrała jego starego przyjaciela i brata z zakonu.

Emmanuel także o tym wiedział. Wyciągnął rękę w kierunku bunkra.

Z ciemności dobiegł chrapliwy głos Piersa:

— Mój synu...

— Przebaczam ci — wyszeptał Emmanuel.

Rhun miał nadzieję, że Piers usłyszał te słowa, i skierował cichą modlitwę do umierającego przyjaciela.

Ciało Emmanuela zwisło bezwładnie, tylko strzały utrzymywały go w pozycji pionowej.

Skryta za kamieniem Nadia otarła dłonią oczy. Wiedziała tak samo jak Rhun, że Emmanuel nie żyje, lecz bolesnemu żalowi towarzyszyła iskra radości. Przyjaciel poniósł najbardziej zaszczytną śmierć, jaka może spotkać sangwinistę: poległ w boju.

Wyzwolił swoją duszę.

Kiedy Rhun zakończył modlitwę, jego uwagę przykuł odgłos jedyne go serca, które biło w pobliskich drzewach. Między wrogimi *strigoi* znajdowała się istota ludzka. Stało się jasne, kto stoi za atakiem.

Była to sekta Beliala.

Ale jak wróg zdołał znaleźć w tym miejscu Rhuna i jego towarzyszy?

Ilu przeciwników kryje się w lesie?

Bicie serc Erin i Jordana dochodziło z bunkra; zostali tam wraz z Piersem. Nic im nie groziło, przynajmniej na razie.

Rhun dobył bukłak z winem. Potrzebował krwi Chrystusa, by uzupełnić własną, którą przed chwilą utracił. Bez niej nie zdoła kontynuować walki. Jednak pijąc ją, narażał się na to, że opadną go wspomnienia przeszłości, a te uczynią go bezradnym i bezbronnym.

Mimo to nie miał wyboru. Uniósł bukłak i pociągnął haust.

Poczuł uderzenie gorąca, które natychmiast go wzmocniło. Czystość Chrystusowego błogosławieństwa zneutralizowała palącą siłę srebra. Jego oczy zaćmiły się ciemną czerwienią.

Zmagał się z groźbą pokuty.

Elisabeta na polu, Elisabeta przy ogniu. Gniew Elisabety.

Zacisnął dłoń na krzyżu pectoralnym, błagając, aby ból zatrzymał go w terażniejszości. Świat stał się cienistą mieszaniną

przeszłości i czasu teraźniejszego. Migają obrazy.

...długa naga szyja.

...ostatnia cegła wmurowana w ścianę.

...młoda dziewczyna z czerwonym jak malina znamieniem, krzycząca bezgłośnie.

Nie.

Całą siłą woli usiłował skupić uwagę na lesie, na bólu palącym dłoni, na odgłosie pękających gałązek i konarów. *Strigoi* wybiegli pędem z ukrycia i rzucili się w kierunku bunkra. Zaryzykował i wyrzwał zza pnia. Dostrzegł ruch tak szybki, że ludzkie oko nie zdołałoby go zauważyć.

Sześciu, może dziesięciu.

Rhun nie miał pewności.

Jordan i Erin będą bez szans. Drżącymi rękami uniósł pistolet i wymierzył.

Obrazy atakowały go, przypominając o grzechu akurat wtedy, gdy potrzebował skoncentrować wszystkie swoje siły.

...plama krwi rozprysniętej na białej pościeli.

...jasne piersi w blasku księżyca.

...uśmiech promienny jak słońce.

Widma przeszłości zaćmiewały mu wzrok. Mimo to wycelował i zaczął strzelać. Trafił w kolana dwóch *strigoi* pędzących po prawej stronie, upadli. Spowolni ich, dobre i to.

Nadia trafiła dwóch na lewej flance.

Pistolet maszynowy Jordana terkotał; żołnierz prowadził ostrzał z drzwi bunkra. Rhun słyszał także pojedyncze wystrzały pistoletu Erin.

Pierwsza fala *strigoi* rozpierzchła się na boki, dążąc do oskrzydlenia przeciwników. Nadbiegali kolejni. Naliczył dwunastu; czterech odniosło rany, ale lekkie. Jeden był starszy od Rhuna, pozostali młodsi, lecz mimo to niebezpieczni.

Wspomnienia napływały, unosząc ze sobą sangwinistę, by po chwili zaniknąć.

...ogień trzaskający w kominku, miękki głos kobiety czytającej Chaucera; zмага się ze średniowiecznym angielskim i śmieje

radośnie.

...wirująca sukienka w blasku księżyca, postać tańcząca pod gwiazdami na balkonie, muzyka płynąca przez otwarte okno.

...bladość obnażonego ciała odcinająca się od karmazynowej kałuży krwi, dyszenie.

Tylko nie to, Panie, tylko nie to...

Strzała drasnęła Rhuna w policzek i przywróciła do terażniejszości. Odbiła się rykoszetem od pnia drzewa i wbiła w piach.

Wycofał się, wiedząc, że w otwartym polu jego mały oddział czeka klęska. Zwłaszcza że on prawie nie był w stanie walczyć.

Stanowili łatwy cel.

— Niech się ukryją! — krzyknął, machając do Nadii, która znajdowała się bliżej wejścia do bunkra. — Ja ich powstrzymam...

— Stój! — usłyszał głos. Był tak dobrze znajomy, że Rhun znów chwycił krzyż; nie był pewien, czy to wspomnienia, czy rzeczywistość.

Wysłuchał się, lecz las znów pograżył się w całkowitej ciszy.

Nawet *strigoi* padli na ziemię; jednak słońce prawie wzeszło, więc nie będą długo czekali. Lada chwila rzuca się do ataku i zaleją przeciwników.

Wyteżył słuch. Nie wiedział, czy wyobraźnia podsunęła mu ten głos niczym odprysk przeszłości, która wróciła do życia.

— Rhunie Korzo! — zawołał ktoś.

Znał akcent i melodię tego głosu, a nawet brzącający w nim gniew. Opierał się, walczył, lecz dźwięk nazwiska przeniósł go w przeszłość.

...Elisabeta zsiada z konia i wyciąga rękę. Odsłania nadgarstek, puls daje się łatwo wyczuć pod jasną skórą. Jej głos pełen jest rozbawienia, gdy widzi jego wahanie.

„Ojczy Korzo...”

...Elisabeta zapłakana w ogrodzie, słońce świeci jasno. Zasłania twarz przepełnioną żalem, lecz nagle dostrzega Rhuna.

Wstaje i idzie mu na spotkanie, w jej mokrych oczach błyszczą radość.

„Rhunie Korzo...”

...Zbliżyła się do niego na bosaka, idzie po trzcinie, jej ręce i nogi są obnażone. Twarz wyraża nieskrywane pragnienie, usta poruszają się, wypowiadają niewyobrażalne słowa.

„Rhunie...”

Ręce wyciągają się ku niemu, wreszcie otwierają się przed nim, zapraszają.

Podchodzi.

Pocisk przeszywa jego pierś, ból eksploduje, rozprasza obrazy przeszłości i pozostawia terażniejszość.

Stoi i wyciąga ku niej ręce.

Ona stoi przed nim, lecz przemieniona. Czarne włosy zamieniły się w płomień. Słyszy bicie jej serca i wie, że nie powinno bić. Nie tutaj, nie w tej chwili.

Stoi niżej na stoku w cieniu olchy. Nawet z tej odległości rozpoznaje kształt jej szyi, iskry w jej oczach, długie kosmyki opadające na ramiona. I zapach, który tak dobrze znał.

Obraz zlewa się, dwie kobiety łączą się w jedną.

Różowe usta układają się w uśmiech, który go niegdyś uwiódł.

„To twoje czyny nas tu przywiodły, ojczyzna Korzo. Nie zapominaj o tym”.

Podnosi dymiący pistolet i strzela raz, drugi i trzeci.

Pociski wbijają się w jego pierś.

Wszystkie są srebrne.

Świat pochłania ciemność, Rhun osuwa się na ziemię.

6.50

Jordan posłał serię nad upadającym Rhunem. Rudowłosa kobieta, która powaliła go kulami z pistoletu, uskokczyła za drzewo.

Dlaczego, do jasnej cholery, ten dureń wylazł z ukrycia?!

Wyglądał jak otumaniony. Wyciągał do niej puste ręce, jakby chciał się poddać.

Jordan prowadził ostrzał z pistoletu maszynowego, osłaniając ogniem Nadie, żeby mogła dobiec do sangwinisty. *Strigoi* czołgali się; najwyraźniej nie mieli ochoty wstać i narazić się na rozszarpanie srebrnymi pociskami. Sierżant liczył, że ma w magazynku wystarczająco naboji.

Erin klęczała przy drugiej krawędzi drzwi z pistoletem w dłoni. Nie miała takiej siły ognia jak Jordan, lecz okazała się zaskakująco dobrym strzelcem. Mierzyła w nogi tak jak Rhun; raniła wrogów, nie zabijając ich. W tej chwili łatwiej było spowolnić ich natarcie, niż uśmiercić.

Nadia wsunęła ramię pod ciało Rhuna i pociągnęła go w kierunku bunkra.

Dostała strzałą w udo, ale nawet się nie skrzywiła. Dowlokła Rhuna do drzwi i je zatrzasnęła.

— Emmanuel? — zapytał Jordan.

— Stracony. — Zacisnęła zęby i wyrwała grot. Krew zagotowała się, z rany poszedł dym. W powietrzu rozniósł się swąd spalonego ciała.

Erin głośno przełknęła ślinę. Jordan rozumiał, co czuje.

— Możesz chodzić? — spytał. — Podtrzymam cię...

— Dam radę.

Nadia skierowała wszystkich w głąb bunkra i odpięła bukłak od paska. Ostrożnie wypila mały łyk.

Jakiś ciężki przedmiot rąbnął w zamknięte drzwi; zadudniło echo.

Sangwinistka zignorowała go, lecz po chwili zatrzymała się i złożyła Rhuna na posadzce. Dobyła jego sztylet i błyskawicznie rozcięła skórzany puklerz okrywający pierś.

— Musimy się spieszyć. Wrogowie z sekty Beliala lada chwila sforsują drzwi.

Erin przyklękła obok niej.

— Skąd wiesz, że tak się stanie?

— Nie mają wyboru, są *strigoi*. Kiedy wzejdzie słońce, szczeszna. Muszą ukryć się pod ziemią.

Sangwinistka końcem noża wydobyła pocisk z klatki piersiowej Rhuna. Kula odkształciła się i wyglądała jak groteskowy kwiat o pięciu płatkach.

— Srebrny i wydrążony w środku — zauważył Jordan i od razu pojął, co to znaczy.

Napastnicy wiedzieli, kogo się spodziewać.

Nadia wyciągnęła pozostałe kule; robiła to w pośpiechu, nie siliła się na delikatność. Było ich sześć. Człowiek nie przeżyłby takich obrażeń. Mogły się okazać śmiertelne nawet dla sangwinisty.

Trysnęła krew i rozlała się po posadzce.

Zatroskana Erin położyła dłoń na piersi zakonnika.

— Myślałam, że krwotok ustanie sam z siebie.

Jordan także pamiętał numer z przeciętą dłonią, który Korza zaprezentował w Jerozolimie.

Nadia odepchnęła rękę archeolożki.

— Jego krew oczyszcza się ze srebra. Jeśli to się nie uda, Korza umrze.

— Ale czy nie wykrwawi się na śmierć? — spytała Erin.

Twarz Nadii przybrała surowy wyraz.

— Możliwe — przyznała i spojrzała na drzwi.

Strigoi przestali łomotać. Jordan potraktował to podejrzliwie, Nadia także.

Wstała, ciągnąc jedną ręką zakonnika.

Erin stanęła u jej boku.

— Co robimy? Spróbujemy wydostać się przez wodę?

— To jedyna szansa — odparła Nadia. — Musimy wyjść na światło.

Ruszyli truchtem. Jordan niósł Piersa, przerzuciwszy go sobie przez ramię, lecz Nadia go wyprzedziła. Dotarli do skrzyżowania tuneli, gdy rozległa się potężna eksplozja.

Jordan się schylił. Wróg wysadził drzwi bunkra.

Nie zwalniając, sierżant obejrzał się na Erin. Została o wiele za daleko w tyle. Od wysadzonych drzwi dobiegało złowrogie warczenie.

Wampiry wdarły się do środka i były rozwścieczone.

27 października, czas nieznany

Nieustalone miejsce

Tommy poruszył się na nowym łóżku, próbując ułożyć się wygodniej. Nie wiedział, gdzie się znajduje, jaki jest dzień i godzina, ale sądził, że to szpital. Rozejrzał się po swoim nowym więzieniu, które jednocześnie miało się stać jego domem.

Odsunął od siebie na razie tę niepokojącą myśl.

Musiał jednak przyznać, że odsuwał od siebie coraz więcej niepokojących myśli.

Prędzej czy później jego głowa nie wytrzyma.

Rozejrzał się. Ściany pomalowane były na srebrno, lecz nie miały okien; w pomieszczeniu znajdowały się trzy różne konsole do gier oraz płaski telewizor, w którym leciał amerykański program satelitarny.

Obok nóg łóżka były drzwi do łazienki, w której znalazł znane sobie rodzaje mydła i szamponu. Drugie prowadziły na korytarz, lecz Tommy'ego wniesiono, kiedy był nieprzytomny, dlatego nie wiedział, dokąd ten korytarz biegnie.

Jakiś anonimowy lekarz musiał nastawić mu kości, połatać go i nafaszerować środkami przeciwbólowymi. Tommy czuł w ustach taką suchość, że nie mogła jej złagodzić największa nawet ilość wody. Jednak szyja już się zagoiła i kości także szybko się zrastały. To, co zaszło w Masadzie, przyspieszyło proces jego powrotu do zdrowia i wyleczyło nie tylko z nowotworu.

Kiedy się ocknął, przyniesiono mu wszystko, o co poprosił: burgery, frytki, pizzę, lody i ulubione płatki. Okazało się, że jest straszliwie głodny. Nie mógł się najeść; najwyraźniej jego ciało potrzebowało paliwa do zwalczania choroby.

Nikt nie powiedział Tommy'emu, gdzie jest i dlaczego się tam znalazł.

Płakał godzinę, ale nikt nie zwrócił na to uwagi; w końcu uświadomił sobie, że jego łzy są daremne, i skupił myśli na sprawach praktycznych, to znaczy ucieczce.

Do tej pory nie opracował dobrego planu. Ściany były betonowe i Tommy domyślał się, że w pomieszczeniu umieszczono kamerę. Strażnicy podawali jedzenie przez szparę w drzwiach prowadzących na korytarz.

Nagle drzwi się otworzyły.

Tommy usiadł. Na razie nie potrafił ustać na nogach.

Do środka weszła znajoma postać i Tommy'emu przebiegł dreszcz po plecach. Był to chłopak, który porwał go ze szpitala. Rzucił się na łóżko i rozciągnął obok więźnia, jakby byli najlepszymi kumplami.

Tym razem miał na sobie szarą jedwabną koszulę i drogie szare spodnie.

Z całą pewnością nie ubierał się jak normalny chłopak.

— Cześć — powiedział więzień, krzywiąc się i wyciągając do nieznajomego rękę. — Jestem Tommy.

— Wiem, kim jesteś — odrzekł tamten z dziwnym twardym akcentem.

Mimo to oficjalnym gestem uścisnął Tommy'emu rękę. Była to najzimniejsza dłoń, jakiej Tommy kiedykolwiek dotykał. Czyżby znajdowali się za kołem podbiegunowym?

Nieznajomy puścił dłoń Tommy'ego.

— To teraz jesteśmy przyjaciółmi, nie? Możesz mnie nazywać Alosza.

Przyjaciele nie pozbawiają się życia.

Jednak Tommy przemilczał to i zadał ważniejsze pytanie:

— Dlaczego tu jestem?

— Wolałbyś być gdzie indziej?

— Gdziekolwiek indziej — przyznał. — Tu czuję się jak w więzieniu.

Tamten obrócił złoty sygnet, który nosił na palcu białym jak śnieg.

— Ale to pozłacana klatka, prawda?

Tommy mógł odparować, że nie chce tkwić w żadnej klatce, nawet pozłacanej, lecz nie zamierzał być niegrzeczny i go odstręczać. Miał dość samotności. Akceptował nawet obecność tego dziwnego chłopaka, zwłaszcza jeśli mógł się od niego czegoś dowiedzieć.

— Kiedy byłem w twoim wieku, mieszkałem w jednej z najbardziej pozłacanych klatek na świecie. — Łagodne oczy nieznajomego wędrowały po salce. — A potem mnie uwolniono, tak jak ciebie.

— Nie nazwałbym tego wolnością.

— Uwolniono cię z więzienia twojego ciała, to miałem na myśli. — Chłopak usiadł po turecku i sięgnął po sterownik gry wideo. — Wielu tego pragnie.

— A ty jesteś wolny? — Tommy wziął drugi zestaw, jakby to była najbardziej naturalna rzecz.

Nieznajomy chłopak wzruszył ramionami i rozpoczął grę.

— Na swój sposób.

— Co to znaczy?

Ekran ożywił się, a Alosza spojrział na rozmówcę.

— Jesteś nieśmiertelny, wiesz?

Tommy opuścił sterownik.

— Co takiego?!

Alosza włączył opcje gry *Bogowie wojny*.

— Wiesz o tym, prawda? Chciałem ci to zademonstrować. Tam, na pustyni. Żebyś pojął.

Tommy wysilał umysł, szukając w głowie jakiegoś odniesienia; zabrzmiała muzyka gry, w której dominowały dudniąca perkusja i basy.

— A ty jesteś nieśmiertelny, Alosza?

— Moje życie może się zakończyć, są na to sposoby. Ale jeśli będę ich unikał, to owszem, mogę żyć wiecznie. Będziemy przyjaciółmi bardzo długo.

Tommy usłyszał w jego głosie ton świadczący o poczuciu samotności.

— Jestem taki jak ty? — spytał cicho, rozpaczliwie.

Alosza poruszył się, jakby rozmowa trochę go nudziła.

— Nie, nie jesteś. To długa historia, ale do tej pory zdarzył się tylko jeden taki jak ty. Jesteś, przyjacielu, bardzo wyjątkowy.

— Czy tamten nadal żyje?

— Oczywiście. Podobnie jak ty nie może umrzeć ani odebrać sobie życia.

— Nigdy?

— Aż po kres czasu.

Tommy rozejrzał się po raz drugi po pokoju. Czy pozostanie tu na wieki jako więzień? To było tak absurdalne, że zachciało mu się śmiać. Jednak coś mu podpowiadało, że Alosza powiedział prawdę. Choć być może zataił najgorszą jej część.

Tommy sam to zrozumiał.

Nieśmiertelność nie jest błogosławieństwem.

Jest przekleństwem.

27 października, 6.55

Dno jeziora Harmsfeld

Jordan przebiegł kilkanaście kroków, niosąc Piersa na ramieniu. Ścigały go piekielne, przerażające wrzaski *strigoi*.

— Szybciej! — krzyknął do Erin, która została dwadzieścia metrów w tyle.

— Nie zatrzymuj się! — zawołała. Jej głos wyrażał zarówno lęk, jak i irytację.

Cała Erin.

Do diabła z tym.

Nadia dotarła do dalszej odnogi tunelu i zniknęła; dźwigając w ramionach zwiotczalego i zatrutego Rhuna, kierowała się do służby. Najwyraźniej nie czuła się zobowiązana do czekania na dwoje powolniejszych ludzi. Piersa także nie darzyła najcieplejszymi uczuciami. Wyglądało na to, że nie zawróci.

Sierżant złożył zakonnika na betonie i sięgnął po pistolet maszynowy.

— Wybacz, staruszk.

Piers otworzył wyblakłe niebieskie oczy.

— *Meine Kinder*.

Moje dzieci.

— Wróć — rzekł Jordan, mając nadzieję, że zdoła spełnić obietnicę.

Zanim żołnierz zdążył się w pełni wyprostować, Piers chwycił go za rękę. Jego uścisk był niewiarygodnie silny, wciąż mógł złamać ludzką kość.

— Ikaropy. *Sie kommen*. Na pomoc. Wezwałem je.

Z pękniętych drzwi pobliskiego przedsionka wyfrunęła czarna chmura nietoperzy i pomknęła w głąb tunelu. Stwory przeleciały nad głową Jordana, ścigając się i piszcząc.

Były ich tysiące.

Jordan schylił się; porażający odór ikaropów dawał się wyczuć na języku. Sierżant przyklęknął i oparł Piersa o ścianę.

Erin dobiegała do nich, osłaniając się ręką przed naporem skrzydlatych stworów.

Jednak tym razem ich wściekłość nie była skierowana na nią.

Archeolożka przedzierała się schylona.

Czarna horda opadła na *strigoi* niczym rwąca fala powodzi. Nietoperze zwarły się z potworami, trysnęła czarna krew, w powietrze poleciały kawałki sierści i białej skóry. Srebro błyskało w chaosie niczym grom. Niektóre ikaropy spadały na ziemię, lecz następne zajmowały ich miejsce.

Ogromny nietoperz zaatakował wampira i oplótł go skrzydłami niczym upiornym płaszczem.

Wrzaski rozbrzmiewały coraz głośniej.

Nagle w ciemnej chmurze strzelił płomień. Rozległ się syk i trzask, a po nim powietrze rozdarło przeraźliwe skrzeczenie. W kierunku trójki obserwatorów buchnęła chmura cuchnącego dymu.

Spalone mięso i ropa.

Miotacz ognia.

Piers jęknął z żalu nad swoimi dziećmi. Chór pisków rozdarł uszy Jordana.

Erin wreszcie do niego dobiegła.

Sierżant chwycił ją za rękę i pchnął ku załomowi tunelu.

— Rwij do służy! Będę tuż za tobą!

Zdyszana archeolożka skinęła głową.

Jordan podniósł Piersa z posadzki i popędził za nią. Z ciemności wyłoniła się Nadia; jej ręce były puste. Zostawiła Rhuna w służbie i wróciła, żeby pomóc towarzyszom. A więc ich nie porzuciła.

— Prędezej! — krzyknęła, chwytając Erin i prawie odrywając ją od ziemi.

Uwagę Jordana zwrócił obrzydliwy wrzask. Zza rogu tunelu wypadł biegiem skrwawiony, płonący *strigoi* bez jednego oka. Szarżował w błyskawicznym tempie, odbijając się od ścian.

Do śluzy zostało mu zaledwie kilka metrów.

Jednak jemu nie dane było do niej dobiec.

6.57

Erin zaparła się, stawiając opór ciągnącej ją Nadii. Odwróciła się i uniosła pistolet.

— Jordan! Padnij!

Sierżant rzucił się na ziemię i potoczył, osłaniając Piersa.

Archeolożka wymierzyła do wampira, który sadził susami w kierunku Jordana.

Odetchnęła, ustabilizowała pozycję i nacisnęła spust.

Wystrzał huknął niczym piorun, aż zadudniło jej w uszach.

Czaszka *strigoi* pękła od uderzenia srebrnej kuli, z jedyne go oka buchnął obłok dymu. Siła rozpędu rzuciła stwora aż za miejsce, w którym leżał Jordan. Cielsko runęło na ziemię i potoczyło się pod nogi Erin.

Odskoczyła, lecz Nadia orzekła.

— Nie żyje.

Sierżant dobiegł do nich z Piersem na rękach.

— Ładny strzał.

Jego słowom nie towarzyszył uśmiech wyższości; naprawdę tak myślał. Erin poczuła ciepłą falę zadowolenia.

Razem dobiegli do wilgotnej śluzy.

Erin zbliżyła się do Rhuna i z przerażeniem spojrzała na jego jeszcze bledszą niż zwykle twarz. Z obnażonej piersi wciąż sączyła się krew. Nadia i Jordan z hukiem zatrzasnęli właz śluzy i go zakręcili.

Błyskawicznie skierowali się do drugiego włazu.

Sangwinistka dobiegła do niego i przekręciła zamek zewnętrznej klapy. Ta otworzyła się z trzaskiem i zimna woda z jeziora wtargnęła do środka, zanim Erin zdążyła złapać oddech. W ciągu kilku sekund jej głowa znalazła się pod powierzchnią. Sierżant, który klęczał obok Piersa, włączył wodoszczelną latarkę.

Erin zrobiła to samo, trzymając jedną ręką płaszcz Rhuna.

Kiedy ciśnienie się wyrównało, Nadia pchnęła właz ramieniem i skinęła na towarzyszy. Podpłynęła do Erin i Rhuna i chwyciła nadgarstek brata zakonnego.

Archeolożka mogła skierować się do otworu i popłynąć w górę. Zmagała się z ciężarem skórzanego płaszcza oraz fragmentów betonu, którymi napchała kieszenie. Zaczęła tonąć, lecz nie zamierzała porzucić zdobyczy, która kosztowała ją tak wiele wysiłku. Widziała w oddali jasny kształt posągu zdobiącego fontannę. Był to jeździec na spinającym się do skoku koniu, cały oblepiony algami.

Czy podzieli los ludzi, którzy utonęli w zalanym wodą miasteczku?

Jordan płynął obok niej. Chwycił w dłoń kołnierz jej płaszcza i odpychał się nogami, ciągnąc Erin i Piersa ku srebrystemu blaskowi świtu.

Archeolożce zdawało się, że minęła wieczność, nim jej głowa przerwała powierzchnię wody.

Raptownie wciągnęła powietrze.

Niebo przybrało gołębioszarą barwę. Zbliżał się wschód słońca. Za późno dla Piersa. Nie zdołają schronić się na czas w kościele w Harmsfeld.

Jordan pchnął Erin w stronę łódki.

Nadia już była w środku z Rhunem i pomogła wciągnąć nieprzytomnego mnicha na rufę. Sierżant sam wspiał się przez burzę, omal nie wywracając łupiny.

Erin chwyciła się wierzchołka drewnianej burty obok dziobu i czekała na swoją kolej. Oddychała głęboko, trzęsąc się na całym ciele. Nigdy w życiu nie czuła takiego zimna, ale żyła.

Balansując dla utrzymania równowagi, Jordan zrzucił płaszcz ze skóry wilkozora i przykrył nim kogoś, kto leżał na dnie łódki. Potem wyciągnął ciepłą dłoń do Erin i pomógł jej dostać się na pokład. Legła nieruchomo.

— Twój płaszcz — powiedziała Nadia. — Prędko.

Jordan pomógł jej zdjąć przemoczone okrycie, jakby się paliło.

Nadia mocno drżała i ledwo trzymała się na nogach.

Jordan i Nadia błyskawicznie okrywali płaszcami rannych sangwinistów, aby nie dotknął ich blask słońca. Erin domyślała się, że jego promienie zabiłyby Piersa, Rhun także był zapewne za słaby, aby im się oprzeć. Przy wejściu do bunkra stracił bardzo dużo krwi.

Kiedy skończyli, Nadia uklękła i pochyliła głowę. Drżąc, oparła się ręką o dno łodzi.

— W porządku? — zapytał Jordan.

— Nic mi nie będzie — wyszeptala słabym szeptem i oparła się o burtę. W jej prawym udzie ziała rana na wylot. Mimo to Nadia zdołała ocalić wszystkich.

Sierżant wyciągnął kotwicę i rzucił ją na środek łódki.

Erin, choć czuła się jak słabeusz, ujęła wiosło w dłonie i pomagała Jordanowi. Ręce drżały jej tak mocno, że ledwie mogła je utrzymać.

Spod jednego z płaszczy odezwał się ledwie słyszalny, stłumiony głos.

— Zdejmijcie to, proszę.

To był ojciec Piers.

Nadia spojrzała na okrytą skórą postać, jej twarz wyrażała głęboki ból.

— Nie przeżyjesz.

— Wiem — odrzekł zakonnik. — Uwolnijcie mnie.

Dłoń Nadii zawisła w powietrzu, lecz nie uniosła płaszcza.

— Nie rób tego, Piersie, proszę cię.

— Możesz udzielić mi rozgrzeszenia? — Jego głos z trudem przebijał się przez szum wioseł.

Westchnęła.

— Jeszcze nie złożyłam świętego ślubowania. — Uniosła drugi płaszcz i zajrzała pod niego. — Rhun w tym stanie także nie zdoła cię rozgrzeszyć. Przykro mi.

Sierżant równomiernie i mocno zanurzał wiosło w toni. Erin wzmocniła pociągnięcia, mimo że grabiały jej ręce.

— W takim razie, Nadiu, pomódlmy się razem — rzekł błagalnym tonem Piers.

Erin i Jordan wiosłowali w stronę brzegu, a dwoje sangwinistów modliło się po łacinie; archeolożka nie tłumaczyła słów modlitwy. Patrzyła w wodę, która w blasku wschodzącego słońca przybrała pomarańczową barwę; myślała o Rhunie, który spoczywał martwy pod płaszczem lub umierał. Dlaczego przyłączyła się do tej wyprawy? Poszukiwania Ewangelii kosztowały już wiele istnień, Rhun ostrzegał ją przed tym. Poszukiwacze nic nie zyskali, a stracili bardzo dużo.

Gdy zbliżyli się do brzegu, Nadia delikatnie zsunęła kurtkę z Piersa i oparła o siebie jego wymizerowane ciało. Na jej obliczu po raz pierwszy odmalował się strach.

Zamglone błękitne oczy zakonnika spoglądały na brzeg.

Erin podążyła za jego wzrokiem ku ciemnym jodłom i srebrzystym pniom lip. Jezioro miało teraz kolor miedzi, złociste promienie przebijały się przez zasłonę mgły.

Piers uniósł twarz do słońca.

— Światło to zaprawdę najpiękniejsze z Jego dzieł.

Po policzkach Nadii płynęły łzy. Nie otarła ich, tylko mocniej ścisnęła brata.

— Wybacz mi — rzekła po łacinie. — Jesteś błogosławiony.

Twarz Jordana była nieruchoma jak kamienna rzeźba. Ani na chwilę nie złamał rytmu wiosłowania.

Oblicze Piersa jaśniało w strumieniach słonecznego blasku.

Jego plecy wygięły się, szyja i ręce pokryły się rumieńcem.

Raptem wydał krzyk.

Nadia trzymała go tuż przy swoim ciele.

— Panie nasz, Boże, jesteś naszą przystanią z pokolenia na pokolenie. Mijają lata i dni, lecz Ty pozostajesz wieczny.

Zakonnik milczał. Spoczął w jej objęciach i znieruchomiał.

— Twoja łaska karmi nas za życia i po śmierci — mówiła Nadia. — Pozwól nam pamiętać z wdzięcznością o tym, czym obdarzyłeś nas za sprawą Piersa i Emmanuela. Przyjmij ich razem do swojego królestwa, gdyż służyli Ci przez długie lata.

Erin wypowiedziała słowo, którego nie mówiła od lat i w którego znaczenie nigdy nie wierzyła. Aż do tej chwili.

— Amen.

27 października, 7.07

Harmsfeld, Niemcy

Jordan mocniej zagłębił wiosło, łódź sunęła wolno po powierzchni jeziora. Spojrzał na słońce. Zaczynał się nowy dzień po najdłuższej nocy jego życia. Ale on przynajmniej pozostał wśród żywych.

Przypomniął sobie twarze Piersa i Emmanuela...

Okrywając płaszczem Rhuna, wiedział, że ksiądz być może pójdzie śladem swoich braci. I wszystko na nic, gdyż grupa poszukiwawcza wracała z pustymi rękami.

Nadia zdjęła płaszcz z ciała Piersa i podała go Erin. Zakonnik nie potrzebował już ochrony, natomiast archeolożka dygotała od porannego zimna.

Sangwinistka starannie ułożyła brata na dnie łodzi i skrzyżowała jego ręce na wychudłej piersi. Jej dłonie zawisły na chwilę nad straszliwymi ranami w jego stopach i dłoniach, lecz ich nie dotknęły. Okryła płaszczem martwe ciało, otuliła je czule i skłoniła głowę w modlitwie.

Sierżant zrobił to samo; był mu to winien.

Potem Nadia uczyniła znak krzyża.

Spojrzała w słońce i głęboko zaczerpnęła powietrza. Następnie uniosła Piersa nad burzę i delikatnie stoczyła ciało do jeziora. Znikło w zielonej toni, z czarnego habitu wydostały się bąbelki powietrza.

Erin otworzyła usta, widząc, że sangwinistka tak bezceremonialnie postępuje ze zwłokami brata.

— Nie wolno go złożyć w poświęconej ziemi, jego ciało nie może zostać znalezione — wyjaśniła Nadia, po czym usiadła i ujęła wiosło. — Niech znajdzie spokój i wieczny odpoczynek w górach, które tak bardzo ukochał.

Archeolożka zadrżała, jej posiniałe usta zwęziły się; mimo to nie przestała wiosłować.

Jordan zerknął za siebie przez ramię. Z mgły zaczęły się wyłaniać kontury brzegu. Przystań znajdowała się po prawej stronie. W lesie na powitanie poranka zawołał ptak, drugi mu odpowiedział.

Życie toczyło się jakby nigdy nic.

Sierżant wiosłował dalej, gdy brzeg znalazł się pod dziobem łodzi. Siła rozpędu wyrzuciła ją na mokry piach.

— Poczekajcie tutaj — rzekł tonem ostrzeżenia.

Erin, która nadal trzęsa się z zimna, skinęła głową.

Nadia nie zareagowała.

Sierżant wyjął colta i wyskoczył za burtę łódki. Buty zapadły się w wilgotny piasek, lecz przyjemnie mu było znów poczuć ziemię pod nogami i ciepło słońca na skórze.

Ruszył biegiem do miejsca, w którym zostawili motocykle. Zdołają wrócić do opactwa w niespełna godzinę. Może brat Leopold trzyma tam jakieś lekarstwo, które uzdrowi Rhuna.

Jednak gdy tylko minął drzewo, pod którym stały motory, stanął jak wryty i spojrzał na wraki. Rozejrzał się czujnie dookoła. Oczywiście wampiry musiały kryć się przed słońcem, lecz do sekty Beliala należeli także ludzie.

Raptem uprzytomnił sobie straszliwą prawdę.

Nawet w blasku nowego dnia nie byli bezpieczni.

7.12

Erin stanęła na grząskim brzegu i otuliła się skórzaną kurtką. Spojrzała w stronę drzew, wśród których zniknął Jordan. Nie dostrzegła tam ruchu i w jej piersi zatliła się iskra niepokoju.

Tymczasem Nadia odpięła bukłak od biodra i zajrzała pod płaszcz okrywający Rhuna; wciąż wolała chronić jego ciało przed blaskiem słońca.

Erin także pragnęła zobaczyć, jak zakonnik się czuje, lecz się nie ośmieliła. Nadia wiedziała najlepiej, jak się nim zaopiekować. Prawdopodobnie знаła go dłużej, niż archeolożka była na świecie.

Znajoma postać Jordana wyłoniła się spomiędzy drzew i Erin odetchnęła z ulgą. Jednak widząc jego przygarbione ramiona, odgadła, że nie przynosi dobrych wieści. Niełatwo było go złamać, a wyglądał na bardzo przygnębionego.

Nadia usiadła prosto, jedną dłoń trzymając na zakrytej głowie Rhuna.

— Ktoś rozwalił motory — oznajmił sierżant, spoglądając przepraszająco na sangwinistkę, jakby to była jego wina.

— Wszystkie? — chciała wiedzieć Nadia.

Skinął głową.

— Nie do naprawienia bez części zamiennych, narzędzi i czasu.

— A my nie mamy ani części, ani narzędzi, ani czasu. — Nadia dotknęła ręką zranionej nogi. Nagle wydała się krucha. — Pieszko nigdy nie doniesiemy Rhuna do opactwa.

— Może do kościoła w Harmsfeld? — Erin wskazała wieżyczkę górującą nad lasem. — Liczyłaś na to, że uda się tam pomóc Piersowi. Może Rhunowi także?

Nadia odchyliła się w tył i pogładziła dłonią kurtkę, którą przykryty był zakonnik.

— Musimy się modlić, aby było tam to, czego potrzebujemy.

7.14

Jordan spoglądał na mgłę, która strzepiła się i rozpraszala w blasku porannego słońca. Kiedy zniknie, będą wyglądali

podejrzanie: troje dorosłych na brzegu jeziora ze skradzioną łódką i ciężko rannym mężczyzną.

Nie będzie łatwo się wytłumaczyć.

Sangwinistka podeszła do łodzi i wyciągnęła z niej nieprzytomnego Rhuna. Do malowniczej wioski Harmsfeld nie było daleko.

— Daj go mnie — zaproponował Jordan.

— Czemu? Sądzisz, że jestem na to za słaba? — zapytała Nadia, patrząc na niego zwięzonymi oczami.

— Myślę, że jeśli ktoś zobaczy drobną kobietę niosącą dorosłego faceta, jakby był psiakiem, bardzo się zdziwi.

Sangwinistka niechętnie pozwoliła Jordanowi zarzucić sobie całkowicie bezwładnego Rhuna na ramię. Gdyby był człowiekiem, sierżant uznałby go za trupa: zimny, ani śladu tętna i oddechu. Czy w ogóle jeszcze żył?

Jordan musiał zdać się na osąd Nadii.

Ona zaś w morderczym tempie poprowadziła towarzyszy przez las. Jordan wkrótce pożałował, że nie pozwolił jej dźwigać Rhuna, póki znajdowali się poza zasięgiem wzroku mieszkańców wioski.

Jednak niespełna dziesięć minut później kroczyli po kocich łbach główną ulicą. Nadia szła na czele pozornie bez celu, czasem tylko zatrzymując się, żeby nasłuchiwać z przechyloną głową. Zapewne słyszała ludzi, zanim Jordan i Erin wychwycili jakikolwiek niepokojący dźwięk.

Sierżant spojrział na towarzyszkę. Była przemoczona do suchej nitki tak jak on. Jednak Jordan rozgrzewał się dzięki temu, że niósł rannego księdza. Jej usta były sine i drżały. Musi czym prędzej schronić się pod dachem i rozgrzać.

W końcu dotarli do placu przed kościołem. Przysadzista budowla została wzniesiona przed wiekami z miejscowego kamienia; budowniczo wie murowali w obu skrzydłach łukowate drzwi i otwory witrażowych okien. Wieża dzwonnicza wznosiła się ku niebiosom z nieugiętą determinacją.

Nadia wbiegła po schodach i nacisnęła klamkę podwójnych drzwi frontowych. Były zamknięte.

Jordan ułożył Rhuna na ziemi. Może zdoła sforsować zamek.

Sangwinistka zrobiła krok w tył, uniosła nogę i kopnęła grube drewniane drzwi. Otworzyły się z trzaskiem. Nie był to wyrafinowany sposób, lecz niewątpliwie skuteczny.

Nadia skoczyła do wnętrza. Sierżant dźwignął Rhuna i podążył za nią; Erin weszła na końcu. Jordan chciał, by skryli się w kościele, zanim ktoś zauważy, że się do niego włamali i wnieśli umarlaka.

Archeolożka, która najwyraźniej podzielała jego obawy, zamknęła drzwi.

Nadia już była przy ołtarzu i szperała.

— Brak konsekrowanego wina — oznajmiła i w zdenerwowaniu szturchnęła łokciem pusty kielich, który spadł z brzękiem na kamienną posadzkę.

— Może trochę ciszej? — zwrócił uwagę Jordan, nie chcąc jej denerwować.

Sangwinistka powiedziała coś, co zabrzmiało jak przekleństwo, a potem rzuciła się w kierunku drewnianego krzyża stojącego za ołtarzem. Wyrzeźbiona z dębu postać do złudzenia przypominała Piersa. Zaskoczony sierżant aż się cofnął.

Co planowała Nadia?

27 października, 7.31

Góry w Harmsfeld

Bathory stała przed ciałem zabitego sangwinisty, które wciąż tkwiło przyszpilone strzałami do pnia starego drzewa niczym ofiara złożona przez druidów.

Chwyciła strzałę za pierzastą końcówkę i wyciągnęła z przebitego ramienia, a to, złamane, zwisło bezwładnie. Spojrzała na swoje dzieło i westchnęła.

Blask słońca zalewał polanę, topił szron na żółtych liściach lipy. Niewiele świadczyło o tym, że stoczono w tym miejscu walkę: trochę zrytej ziemi, kilkanaście pocisków, które wbiły się w pnie drzew, ciemne plamy krwi wsiąkającej w ziemię. Porządny deszcz, wzrost roślinności i za kilka tygodni nikt nie zauważył ani śladu tego, co się w tym miejscu wydarzyło.

Z pewnością każdy zwróci uwagę na truchło przybite do drzewa.

Bathory wyrwała drugą strzałę i pożałowała, że nie przydzieliła tej roboty Tarekowi. Nie mogła jednak tak postąpić za dnia. Nawet Magor cierpiał w blasku słońca; jego ciało dymiło, kazała mu więc schronić się wraz z resztą w bunkrze.

Wyrywała strzały, stopniowo uwalniając zwłoki.

Wielka szkoda, że to nie Korza tkwił przyszpilony do pnia. Bathory widziała jednak, jak upada. Wpakowała mu siedem srebrnych pocisków, długo w tym stanie nie przetrwa. Z jaką rozkoszą patrzyła na jego zaskoczoną twarz. Pomyślał, że

Elisabeta, dawno zmarła antenatka Bathory, jakimś cudem powróciła, aby mu wybaczyć.

Jak gdyby cokolwiek mogło zmazać jego grzechy.

Ostatnia strzała została wyrwana ze zwłok. Gdyby zabitym był *strigoi*, słońce spaliłoby go na popiół i oszczędziło Bathory kłopotu.

Zrezygnowana, kończyła papraninę, a w jej głowie kształtował się plan.

Księgi wciąż nie odnaleziono, lecz Bathory wiedziała, gdzie jej szukać.

A co ważniejsze, wiedziała także, kto może jej w tym pomóc.

27 października, 7.35

Harmsfeld, Niemcy

Erin towarzyszyła Jordanowi, który położył Rhuna przed ołtarzem. Ciało zakonnika spoczywało na kamiennej posadzce jak martwe.

— Czy on żyje? — zapytała.

— Ledwo, ledwo. — Nadia przyklękła i wlała mu do ust odrobinę wina z bukłaka.

Rhun nie przełknął.

To był zły znak.

— Mogę jakoś pomóc? — spytał Jordan.

— Nie przeszkadzaj — odpowiedziała sangwinistka, kładąc sobie głowę Rhuna na kolanach. — I bądźcie cicho.

Obejrzała przedmioty, które znalazła za ołtarzem. Pierwszym była zakorkowana butelka wina. Długim palcem wcisnęła korek do środka.

— Muszę konsekrować to wino — oznajmiła.

— Możesz to zrobić? — Jordan spojrział na drzwi, najwyraźniej obawiając się, że ktoś wejdzie do kościoła i im przeszkodzi.

— Oczywiście, że nie — odpowiedziała zszokowana Erin. — Tylko ksiądz może konsekrować wino.

Nadia prychnęła pogardliwie.

— Jako historyk powinnaś lepiej się na tym znać, doktor Granger. — Suknem pokrywającym ołtarz starła krew z piersi

Rhuna. — Czy w początkach dziejów Kościoła kobiety nie odprawiały mszy i nie konsekrowały wina?

Erin poczuła, że zasłużyła na reprimendę. Rzeczywiście wiedziała, jak było naprawdę. Odruchowo powołała się na dogmat kościelny, choć historia była z nim sprzeczna. Pozostało w niej jeszcze wiele z ojcowskich nauk.

Ta myśl ją ubodła.

— Przepraszam — powiedziała. — Masz rację.

— Ludzka część Kościoła postanowiła odebrać kobietom wszelką władzę. Część sangwinistyczna tak nie postąpiła.

— A więc możesz konsekrować wino — odezwał się Jordan.

— Tego nie mówiłam. Powiedziałam tylko, że kobiety w Kościele sangwinistów mogą być kapłankami. Ale ja jeszcze nie złożyłam ślubów, więc nią nie jestem.

Jordan ponownie spojrzął na drzwi.

— Może wzięlibyśmy tę butelkę winka i załatwili gdzie indziej to, co planujesz, bo tutaj w każdej chwili ktoś może wparować. Nie musisz być w kościele, żeby wprowadzić w życie swój plan, prawda?

— Wino ma największą moc uzdrawiającą, kiedy zostaje konsekrowane i spożyte w kościele. Poświęcona ziemia daje mu dodatkową siłę. — Nadia położyła dłoń na piersi Rhuna. — A on potrzebuje jak najwięcej atutów.

Rozlała ostatnie krople wina na jedną z ran po kuli. Zakonnik jęknął.

W Erin wstąpiła nadzieja. Może nie jest z nim aż tak źle.

Nadia odpięła srebrną butelkę od nogi Rhuna i wlała mu odrobinę wina do gardła. Tym razem przełknął.

I wciągnął powietrze.

— Elisabeta?

Sangwinistka zamknęła oczy.

— Nie, Rhunie. To ja, Nadia.

Zdezorientowany, rozejrzał się mętным wzrokiem.

— Musisz poświęcić to wino. — Zamknęła jego palce na szyjce zielonej butelki. — Inaczej umrzesz.

Powieki zakonnika opadły.

Erin przyglądała się nieprzytomnemu sangwiniście. Co mogło go obudzić?

— Na pewno potrzebujesz konsekrować to wino? Może wystarczy mu powiedzieć, że zostało pobłogosławione.

Nadia posłała jej jadowite spojrzenie.

— Po walce, którą stoczyliśmy na pustyni, zastanawiałam się, czy wino naprawdę musi być konsekrowane, czy wystarczy, że Rhun je za takie uważa. Może chodzi o wiarę, nie o cuda.

Archeolożka sama nie mogła uwierzyć, że te słowa wypłynęły z jej ust.

Widziała na własne oczy, co się dzieje, kiedy opiekę medyczną zastępuje wiara w cuda. Najpierw jej ręka, później maleńka siostrzyczka. Zamknęła oczy, jakby to mogło odciąć ją od wspomnień. One jednak jak zawsze wracały.

Poród był ciężki. Erin wraz z innymi kobietami w osadzie patrzyła, jak matka męczy się przez kilka dni. Lato przyszło wcześniej, w zamkniętej sypialni panował upał. Powietrze wypełniał zapach potu i krwi.

Trzymała matkę za rękę, zwilżała jej twarz wodą i się modliła. Nic więcej nie mogła zrobić.

W końcu jej siostrzyczka Emma przyszła na świat.

Jednak od początku trawiła ją gorączka. Za słaba, aby płakać i ssać pierś, leżała otulona dziecięcą kołderką na piersi matki. Jej otwarte ciemne oczy były zamglone.

Erin błagała ojca, żeby zabrał noworodka do prawdziwego lekarza, ale on tylko machnął ręką na odlew, rozbijając jej nos do krwi.

Kobiety zebrały się wokół łóżka matki i się modliły. Przewodził im ojciec; w jego basowym głosie dźwięczała wiara, że Bóg go usłyszy i ocali dziecko. Jeśli nie, widocznie uznał, iż nie jest tego warte.

Erin stała u boku matki i patrzyła, jak maleńka pierś dziecka drży od bicia serca. Biło tak szybko jak ptasie. Pragnęła wziąć siostrzyczkę na ręce, wsiąść na konia i zawieźć ją do miasta.

Jednak ojciec, jakby wyczuwając ten śmiały zamiar, ani na chwilę nie pozostawił jej samej z maleństwem. Erin mogła jedynie modlić się i mieć nadzieję. I patrzeć, jak serce dziecka bije coraz wolniej, a potem zamiera.

Emma Granger przeżyła dwa dni.

Wiara jej nie ocaliła.

Erin dotknęła skrawka materiału, który nosiła w kieszeni. Wycięła go z kołderki Emmy, zanim owinięto nią maleństwo do pogrzebu. Od tej pory zawsze go przy sobie miała; przypominał jej, że trzeba słuchać ostrzegawczego głosu serca, zadawać najbardziej nieprawdopodobne pytania, a potem zawsze działać.

— Nadiu — powiedziała. — Spróbuj wypić wino niekonsekrowane. Co masz do stracenia?

Sangwinistka przytknęła butelkę do ust i pociągnęła długi haust. Czerwony płyn trysnął na posadzkę.

Jordan się skrzywił.

— Chyba nic z tego.

Nadia wytarła usta.

— Jednak potrzebny jest cud.

A może po prostu Nadia nie uwierzyła, że wino jest krwią Chrystusa.

Erin milczała.

7.44

Rhun pragnął śmierci i żałował, że go zbudzono.

Ból ran był niczym w porównaniu z tym, co poczuł na widok Elisabety w lesie. Ale to nie była ona, wiedział o tym. Kobieta, którą zobaczył wśród drzew, miała rude włosy, a nie czarne. Elisabety nie było wśród żywych od czterystu lat.

Kim więc była ta, która go postrzeliła? Daleką krewną? Ale czy to miało jakieś znaczenie?

Ciemność otuliła go znowu niczym miękki kaptur. Rhun się rozluźnił. W mroku srebro go nie paliło. Unosił się.

Nagle jakiś płyn sparzył mu usta. Zakonnik chciał odwrócić głowę.

— Rhunie, wrócisz do mnie — rozkazał znajomy głos.

To nie była Elisabeta. W głosie brzmiał gniew i lęk.

Czyżby Nadia?

Jej nic nie napawało lękiem.

Zmusił się do otworzenia oczu i usłyszał bicie serc. Serce Erin biło szybciej, serce żołnierza miarowo. A więc oboje przeżyli.

To dobrze.

Usatysfakcjonowany, zapragnął znów usnąć.

Jednak zimne palce chwyciły go za podbródek. Zobaczył nad sobą ciemne oczy Nadii.

— Zrobisz to dla mnie. Zużyłam na ciebie całe twoje wino. I swoje. Bez niego ja także umrę. Jeżeli nie złamię swojej przysięgi.

Chciał otworzyć oczy, lecz powieki same się zamknęły. Rozchylił je siłą woli.

— Zmuszasz mnie do tego, Rhunie.

Nadia puściła jego głowę i wstała tak szybko, że prawie niedostrzegalnie dla ludzkiego oka. Chwyciła Erin w pasie i przechyliła jej głowę na bok. Serce archeolożki zaczęło bić tak szybko, że jedno uderzenie zlewało się z drugim.

Sierżant uniósł pistolet maszynowy.

— Jeśli do mnie strzelisz, wiedz, że zdążę ją uśmiercić, zanim trafi mnie druga kula — syknęła Nadia. — A więc, Rhunie?

Erin spoglądała na niego bursztynowymi oczyma, błagając, żeby zachował życie swoje i jej.

Bardziej w odpowiedzi na to spojrzenie niż na wezwanie Nadii sangwinista odnalazł w sobie siłę. Oparł się na łokciu, ujął butelkę wina i przycisnął ją do serca. Wyrecytował słowa.

Odprawiał sakrament, a Nadia przez cały czas trzymała Erin; jej zęby były tuż obok szyi archeolożki.

— Składamy Ci tę słuszną i bezkrwawą ofiarę i błagamy, prosimy i modlimy się do Ciebie, abyś zesłał Ducha Świętego na nas i na te dary — rzekł Rhun, kończąc obrzęd.

— Amen — odpowiedziała Nadia. — Pobłogosław święty kielich.

— Oraz to, co jest w kielichu, drogocenną Krew Twoją, Panie Jezu Chryste.

Ręce opadły na kolana, rytuał został spełniony. Siły opuściły członki Rhuna, pragnął teraz jedynie przytomności umysłu.

Jednak Nadia nie pozwoliła mu odpocząć. Polała krwią Chrystusa jego rany i wlała ją do jego ust. Ciało zakonnika przyjęło ogień; tym razem płomień rozpałił się całkowicie. Rhun wiedział, dokąd go zabierze, i załkał z rozpacz.

— Nie...

Jego błaganie było daremne.

— Odwróćcie się — rozkazała szorstko Nadia dwojgu ludziom. Grzechy Rhuna uniosły go tam, dokąd nie chciał iść.

Bernard wyczuł czerń grzechu w sercu Rhuna i wysłał go do zamku Čachtice, aby przeciąć więzy łączące go z Elisabetą. Mnich powiedział sobie, że zdoła to uczynić. Że czuje tylko obowiązek kapłana, który służy wiernej.

Modlił się w czasie długiej zimowej wędrówki do drzwi jej domu. Śnieg okrył pola i ogrody, w których kiedyś razem spacerowali. Wśród długich, wyschniętych kłaczy lawendy rozsiadł się kruk i dziobał szarą mysz. Mała kropła była widoczna z daleka. Rhun poczekał, aż ptak dokończy ucztę i odleci.

Dotarł do zamku o zmroku, kilka godzin później, niż planował. Mimo to długo stał przed drzwiami wejściowymi, zanim zdołał zebrać się na odwagę i zapukać. Na ramionach jego habitu bielił się śnieg. Rhun nie czuł już zimna, lecz strząsnął śnieg, jak zrobiłby to człowiek. Wolał nie okazywać w tym domu swojej odmienności.

Otworzyła służąca Anna; jej dłonie poczerwieniały od zimna.

— Dobry wieczór, ojciec.

— Witam cię, dziecko. Czy wdowa jest w domu?

Modlił się o to, by przebywała daleko. Może powinien poprosić o spotkanie w wiejskim kościółku. Tam jego

postanowienie byłoby najsilniejsze. Tak, lepiej będzie spotkać się w kościele.

Anna dygnęła.

— Od śmierci hrabiego dobrodzieja pani wieczorami spaceruje, ale wróci przed zmrokiem. Może ojciec poczekać?

Podążył za szczupłą postacią do wielkiego salonu; w olbrzymim kominku trzaskał ogień. Rumianek rozsypany na trzcinie rozsiewał w pomieszczeniu znajomy zapach lata. Rhun pamiętał, jak w słoneczne popołudnie przed śmiercią Ferenc zбирали razem kwiaty.

Odmówił, gdy Anna zaproponowała mu poczęstunek; stanął jak najbliżej ognia, chłonąc nienaturalnym ciałem jego ciepło. Modlił się za Ferencą i myślał o nim. Węgierski Czarny Rycerz, mężczyzna, z którym związana była Elisabeta. Gdyby Ferenc nadal żył, wszystko byłoby inaczej. On jednak poległ. Rhun odsunął myśli o swojej ostatniej wizycie, podczas której przekazał Elisabecie wiadomość o śmierci męża.

Drzwi otworzyły się i weszła Elisabeta. Miała na sobie ciemnobordową pelerynę, śnieg na jej ramionach stopniał i pojawiła się ciemna plama. Rhun się wyprostował. Moja wiara jest silna, pozwoli mi to znieść.

Gospodyni strzepnęła wodę z peleryny. Ciemne kropelki rozprysły się po podłodze. Służąca wzięła z wyciągniętej ręki pani ciężkie wełniane okrycie i tyłem wyszła z salonu.

— Miło cię widzieć w dobrym zdrowiu, ojczy. — Czarne suknie zaszeleściły na trzcinach, kiedy do niego podchodziła. — Ufam, że służba poczęstowała cię winem i przekąskami?

Mówiła lekkim tonem, lecz zdradzało ją trzepoczące serce.

— Owszem.

W blasku ognia wydawała się szczuplejsza, niż kiedy ją ostatnio widział. Rysy twarzy stwardniały, jakby żal odebrał im delikatność. Mimo to była piękna aż do bólu.

Rhun poczuł w żyłach rozzierający strach.

Pragnął uciec, lecz złożył przyrzeczenie Bernardowi i sobie. Ma w sobie dość siły, musi mieć.

— Mniemam, że ksiądz przyszedł po datki dla Kościoła?

Gorzki ton jej głosu świadczył, że Elisabeta zdaje sobie sprawę, jak bardzo zawiódł, zostawiając ją, by sama przeżywała żalobę po Ferencu. Nie wybaczyła mu, że opuścił ją w największej potrzebie.

Jego wewnętrzny głos krzyczał, że powinien uciekać, ale ciało nie było skore usłuchać.

Został.

— Ojcie Korzo? — Podeszła bliżej, jej głowa przechyliła się na bok w zatroskaniu. Serce zwolniło bicie; współczucie nie pozwoliło, by gniew wziął górę. — Jesteś chory? Może usiądziesz?

Wskazała mu drewniane krzesło z prostym wysokim oparciem i usiadła naprzeciwko. Ich kolana dzieliła zaledwie grubość dłoni. Gorąco bijące od kominka niewiele znaczyło w porównaniu z ciepłem jej ciała.

— Dobrze się ojciec czuje?

Pieśń jej mocnego serca go podnieciła.

— Owszem. A jak się miewa wdowa?

Elisabeta poruszyła się, słysząc to słowo.

— Jakoś to znoszę... — Nagle nachyliła się do Rhuna. — Nonsens. Znamy się wystarczająco długo, żeby darować sobie nieszczerłość. Śmierć Ferenc'a była dla mnie ciosem, ale przyniosła mi wolność.

Co miała na myśli?

Nie śmiał zapytać. Uniósł głowę.

— Wygląda ojciec, jakby trawiła go choroba — oznajmiła Elisabeta. — Proszę powiedzieć mi prawdę. Jak minęły ojcu ostatnie miesiące?

Zapadł się w jej srebrzystych oczach, w których odbijały się pomarańczowe refleksy płomieni w kominku. Jak może się od niej oddzielić? Tylko ją jedną znał, tylko jej powierzył sekrety swojego życia jako śmiertelnika. Zataił jedynie tajemnicę swojej obecnej natury.

Na jej delikatnych ustach pojawił się cień uśmiechu. Starła dłonią wilgoć z obnażonego ramienia, a potem nieśmiało

dotknęła nią miękkiego gardła. Wpatrywał się w jej palce i w to, co zakrywają.

Wstała i ujęła w ręce jego dłoń.

— Zawsze taka zimna.

Ciepło jej ręki spowodowało eksplozję pod jego skórą. Powinien się odsunąć, lecz stał i przykrył dłonią jej rękę, czerpiąc ciepło do swojego wyziębionego ciała. Tylko tyle. Zwyczajna chwila bliskości. Niczego więcej nie pragnął.

Echo drgnień jej serca powędrowało od dłoni przez jego ramiona do miejsca, w którym niegdyś biło serce. Krew popłynęła w rytm jej krwi. Krawędź jego pola widzenia zamgliała się szkarłatem.

Jej powieki się zamknęły, twarz uniosła się ku jego twarzy.

Ujął jej zarumienione policzki w białe jak marmur dłonie. Nigdy w taki sposób nie dotykał kobiety. Pieścił muśnięciami jej twarz, jej gładkie białe gardło.

Serce Elisabethy zaczęło bić szybciej. Z lęku? A może z innej przyczyny?

Po jej policzkach spłynęły łzy.

— Rhunie — szepnęła. — Tak długo na ciebie czekałam.

Koniuszkiem palca powiódł po niewiarygodnie miękkim karminie jej ust. Zadrżała pod jego dotknięciem.

Pragnął przycisnąć usta do jej warg, poczuć ich ciepło. Posmakować ich. To jednak było zakazane, przecież był księdzem. Musi natychmiast przywołać się do porządku i przestać. Odsunął od niej dłonie na szerokość palca i położył na srebrnym krzyżu wiszącym na jego habicie.

Elisabeta skierowała wzrok na krucyfiks i z jej ust wyrwał się cichy jęk rozczarowania.

Zamarł, opierając się ciepłu emanującemu od jej skóry, woni śniegu, który stopniał na jej włosach, pulsowaniu krwi w jej wargach, słonemu smakowi łez. Nigdy za swego życia — zarówno jako śmiertelnika, jak i w obecnym stanie — nie czuł takiego przerażenia.

Nachyliła się i pocałowała go. Dotyk jej ust okazał się tak lekki jak dotknięcie skrzydeł motyla.

Rhun był stracony.

Miała smak żalu, krwi i namiętności. A on nie był już kapłanem ani potworem, tylko zwyczajnym mężczyzną. Takim, jakim nigdy dotąd nie był.

Odsunął głowę i spojrzał w jej zamglone oczy pociemniałe od namiętności. Zerwała z głowy czepek i czarne włosy opadły na jej ramiona.

— Tak, Rhunie — powiedziała. — Tak.

Ucałował wewnętrzną stronę jej dłoni. Czuł pod wargami jej mocny puls. Rozpiął rękaw i pocałował zgięty łokieć Elisabety. Smakował językiem jej skórę.

Wsunęła palce w jego włosy i przyciągnęła go do siebie. Tropił jej puls na obnażonej szyi. Kiedy omdlała w jego objęciach, zacisnęła ręce na jej plecach. Poszukała ustami jego ust.

Bóg i śluby kościelne przestały mieć znaczenie. Pragnął jedynie czuć na skórze dotyk jej skóry. Jego dłonie zmagaly się z wiązaniami sukni. Odepchnęła go i sama je rozwiązała, ani na chwilę nie odrywając warg od jego ust.

Suknia opadła ciężko na kamienną posadzkę, a Elisabeta zrobiła krok i zbliżyła się do kominka. Pomarańczowe płomienie prześwietlały lnianą bieliznę. Odsunął ją trochę i rozdarł odzież na pół.

Stała naga w jego ramionach, jej skóra była miękka i ciepła. Serce biło w przyspieszonym rytmie pod jego dłońmi.

Jej ręce przesunęły się po niesłychanie długim szeregu guzików habitu. Było ich trzydzieści trzy, tyle samo, ile lat przeżył na ziemi Jezus Chrystus. Habit spadł na jej suknię. Srebrny krzyż palił go w pierś, lecz Rhun nie zwracał już na to uwagi.

Przygarnął Elisabetę, niemal ją miażdżąc. Westchnęła, gdy krzyż dotknął jej nagiej piersi. Rhun uniósł rękę i zerwał łańcuch. Krucyfiks stuknął o podłogę obok jego habitu. Powinien o nim

pamiętać, sięgnąć do jego świętości i przycisnąć do ciała. Odgrodzić się nim od niej niczym ścianą.

On jednak wybrał ją.

Jej usta odnalazły jego usta i się otworzyły. Teraz już nic ich od siebie nie oddzielało. Dwa ciała pragnęły tylko jednego: połączenia.

Zawołała jego imię.

Rhun odpowiedział jej imieniem.

Opuścił ją na ciepłą od ognia podłogę. Wygięła plecy, długa aksamitna szyja przybliżyła się do jego warg.

Utonął w jej zapachu, ciepłe ciała, biciu serca. Żaden mężczyzna nie mógł doznać tego, czego on doznawał, żaden sangwinista nie zdołałby tego znieść. Nigdy nie czuł się tak silny, tak usatysfakcjonowany. Dla tej błogości mężczyźni wyrzekali się kapłaństwa. Ta więź była silniejsza od tego, co czuł do Boga.

Połączył się z nią i nigdy nie chciał się oddzielić.

Pochłonęła go czerwien, a potem ją. Kąpał się w morzu pulsującej czerwieni.

Kiedy czerwien się rozstała, dusze obojga poszły na zatracenie.

27 października, 8.02

Harmsfeld, Niemcy

W odległości metra od Erin Nadia klęczała obok Rhuna i szeptała po łacinie, on zaś płakał. To, co wydarzało się po tym, jak sangwiniści wypijali konsekrowane wino, musiało być o wiele gorsze niż sześciokrotny postrzał w klatkę piersiową. Erin żałowała Rhuna, który wpadł w pułapkę takiego stanu na całą wieczność. Było to niewyobrażalne piekło, a on trafił do niego po ataku jakiegoś wściekłego wampira.

Podeszła do strzaskanych drzwi kościoła i wyjrzała na zewnątrz; był wczesny ranek. Jordan stanął obok niej. Jak to możliwe, że wciąż był taki ciepły? Erin trzęsła się z zimna. Najpierw wykąпали się w lodowatym jeziorze, a teraz stali w nieogrzewanym kościele.

Zakonnik się uspokoił. Erin usłyszała głośne westchnienie Nadii, która napiła się konsekrowanego wina. Jednak nie szlochała tak głośno jak on.

Na długą chwilę w kościele zapanowała cisza.

— Ocknął się! — zawołała Nadia, która znów była spokojna i opanowana. — Jeśli dopisze nam szczęście, przed nocą będzie mógł wyruszyć w drogę. Ale przez kilka dni pozostanie osłabiony. Krew Chrystusa nie leczy nas tak szybko jak ludzka.

— Dlaczego tobie picie wina przychodzi z większą łatwością niż Rhunowi? — zapytała Erin i zerknęła na księdza, który leżał na boku odwrócony w drugą stronę i przykryty sukniem z ołtarza.

Nadia także na niego popatrzyła.
— Ja nie spadłam aż tak głęboko.

8.22

Jordan rozejrzał się po małym pokoju w zajeździe w Harmsfeld, który Nadia wynajęła dla niego i dla Erin. Staroświecka gospoda stała na głównym placu osady naprzeciwko kościoła.

Nadia zamieszkała z Rhunem w sąsiednim pokoju, lecz sierżant mimo to dokonał przeglądu lokum, jakby spodziewał się obłączenia. Drzwi hoteliku zrobione były z mocnej dębiny. Pokoje znajdowały się na piętrze, od ziemi oddzielała je kratownica. Wejście było utrudnione. Sierżant szybko obejrzał łazienkę. Okienko wydawało się zbyt małe, żeby ktoś zdołał się przez nie dostać. Reszta pomieszczenia była w typowo europejskim stylu: biała glazura, prosty prysznic, umywalka, toaleta i bidet.

Kiedy wrócił do głównego pokoju, Erin wciąż siedziała w tym samym miejscu na skraju łóżka przykrytego puchową kołdrą. W pomieszczeniu znajdowało się podwójne łóżko, dwie szafki nocne z lampami oraz dziwne metalowe urządzenie, które uznał za przyrząd do czyszczenia butów.

Erin była niesłychanie blada. Miała podkrążone oczy i umorusaną twarz.

— Chcesz wziąć prysznic? — zapytał.

— Tak, „prysznic” to w tej chwili najlepsze dla mnie słowo w języku angielskim — odparła, wstając i przeciągając się.

Odprowadził ją wzrokiem; zamknęła drzwi. Jego zdaniem najlepsze w tej chwili wyrażenie w języku angielskim brzmiało: „wspólny prysznic”, ale tego nie powiedział. Usiadł na łóżku i otworzył kartę dań podawanych do pokoju.

Wybrał potrójne śniadanie z kawą i herbatą, bo nie wiedział, co Erin jada i pija. Wziął słuchawkę i wybrał numer, lecz zanim doczekał się odpowiedzi, archeolożka odkręciła wodę. Wyobraził

sobie, jak wchodzi pod prysznic z włosami opadającymi na plecy, a woda spływa po wypukłościach...

— *Darf ich Ihnen behilflich sein?* — zapytał głos w słuchawce.

Jordan odwrócił się tyłem do drzwi łazienki i po niemiecku zamówił śniadanie.

Położył płaszcze na grzejniku, żeby wyschły; starał się nie myśleć o kąpiącej się Erin, o jej twarzy uniesionej do prysznica i parze, która ją otulała.

Musiał się czymś zająć. Usiadł na łóżku i zaczął czyścić broń; czyścił jedną sztukę, drugą mając stale pod ręką. Potem zajął się sig sauerem Erin.

Nadia zapukała do drzwi i bez słowa rzuciła mu papierową torebkę. Zamykając drzwi, otworzył opakowanie; w torebce znajdowały się podstawowe przybory toaletowe oraz ubrania na zmianę dla obojga.

Były wśród nich ciepłe swetry. A więc nie lecimy do Jerozolimy.

Przyniesiono posiłek i Jordan zaczął jeść, nie czekając, aż Erin skończy się kąpać.

Po chwili dobiegł go metaliczny odgłos i strumień wody zamilkł. Jordan zerkał na drzwi, starając się nie wyobrazić sobie Erin w negliżu.

Na nic się to zdało.

Czekał, aż wyjdzie z łazienki. Pojawiła się w obłoku pary. Miała na sobie biały frotowy szlafrok, który zapewne znalazła w łazience. Zmieniła sobie bandaż na ręce. Jej twarz i szyja zaczerwieniły się od gorącej wody. Jordan chętnie zobaczyłby, jak daleko sięga ten rumieniec.

Gdy podeszła, poprawił sobie chusteczkę na kolanach.

— Zostawiłam dla ciebie trochę ciepłej wody — oznajmiła.

— A ja... Zostawiłem dla ciebie trochę śniadania — odparł, pociągając długi łyk parującej kawy.

Podeszła i spojrzała na resztki posiłku. Pachniała mydłem i czystością.

— Mam nadzieję, że spisałam się z wodą lepiej niż ty z oszczędzaniem jedzenia.

Pieczołowicie unikał spoglądania na przód jej szlafroka, a potem pomknął do łazienki. Szybko się wykąpał i ogolił. Uczesał się, włożył spodnie khaki i koszulę z długim rękawem. Poczul, że jest gotów stawić czoło światu.

Albo uciąć sobie dłuższą drzemkę.

Kiedy wyszedł z łazienki, Erin kończyła śniadanie. Rozciągnął się na łóżku i westchnął. Było to prawdziwe łóżko.

— Mogę spać na podłodze — powiedziała Erin.

— Nikt nie będzie spał na podłodze — odrzekł Jordan. — Obiecuję, że zostanę na swojej stronie. Jeśli ty obiecasz to samo.

Spojrzała na podłogę, jakby rozważała drugą opcję.

Sierżant przetoczył się na brzuch i wstał z łóżka, a potem zdjął z grzejnika suchy płaszcz.

— Czy w dawnych czasach w chwilach największej potrzeby dziewice nie kładły się do łóżka ze swoimi rycerzami, oddzielając się od nich mieczem? — Jordan położył płaszcz na środku łóżka i uniósł trzy palce. — Nie przekroczę tej skórzanej fosy, jeśli mnie o to nie poprosisz. Słowo skauta.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

— Czy ty w ogóle należałeś do skautów?

Opadł na łóżko po stronie drzwi.

— Do orlików.

Po chwili oboje zajęli swoje połowy łóżka. Jordan myślał, że nie zaśnie, kiedy od Erin dzielą go centymetry, jednak sen zmorzył go prawie natychmiast. Nawet nie zdjął ubrania.

Obudził się i usiadł, ręką dotykając pistoletu. Jednym spojrzeniem objął zalany słońcem pokój. Wszystko było na swoim miejscu, drzwi zamknięte, okno także. Łazienka pusta. Co go zbudziło?

Leżąca tuż obok Erin jęknęła cicho.

Popatrzył na nią. Leżała ubrana w szlafrok twarzą do niego, z rękami pod policzkiem. Westchnęła głośno. Chciał jej dotknąć,

ale wolał nie łamać złożonego przyrzeczenia. Jeden niewłaściwy ruch wobec niej i będzie po wszystkim.

— Ciii — szepnął. Tak mówił do swojej siostrzenicy Abigail, która słynęła w rodzinie z tego, że śniły jej się olbrzymie tarantule.

Erin westchnęła przeciągle i głębiej zapadła w sen.

Miała bogaty materiał do koszmarów: wampiry, ikaropy...

Nagle zerwała się z krzykiem.

— Jestem tu — powiedział Jordan, siadając obok niej. — Nic nam nie grozi.

Spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczami.

— To ja, Jordan, pamiętasz?

Raptownie wciągnęła powietrze i odsunęła się szybko. Oparła się plecami o tył łóżka.

— Tak.

Jordan także oparł się plecami o tył łóżka, uważając, aby nie przekraczać wyznaczonej granicy.

— Straszny sen?

— Straszna rzeczywistość.

— Mam to uznać za obrazę? — zażartował.

— Nie ciebie miałam na myśli. Ty jesteś... w porządku. Ale to wszystko razem...

Mimo to Jordan poczuł się obrażony określeniem, którego wobec niego użyła: w porządku. Tylko tyle. Uznał jednak, że to nie jest odpowiednia chwila, by się prekomarzać.

— Ale przynajmniej wyspaliśmy się i najedliśmy. Nie czułem się tak dobrze od czasu przed Masadą.

Naraz zamilkł. Masada, śmierć wszystkich kolegów. Powtórzył w myślach nazwiska; nigdy nie wolno mu ich zapomnieć: Sanderson, McKay, Cooper, Tyson. Poza McKayem wszyscy młodszy od niego. Tyson miała dwuletnią córeczkę, która nigdy więcej nie zobaczy matki. McKay miał troje dzieci, byłą żonę i psa Chippera. Cooper wydawał żołąd na utrzymanie swojej matki, słabowitej starszej pani, oraz wianuszka dziewczyn. Sanderson

jeszcze nawet nie zdążył sobie nikogo znaleźć, był prawie dzieckiem. Jordan oparł głowę o tył łóżka.

— To była bardzo długa doba.

— Ciekawe, co będzie dalej — powiedziała Erin.

— Następną wycieczka w teren z naszymi wesołymi przewodnikami Rhunem i Nadią.

— Nadia zbyt wesoła nie jest — zauważyła Erin, podciągając kołdrę. — Myślę, że tam w kościele by mnie zabiła.

— A ja myślałem, że blefowała.

Erin dotknęła dłonią szyi.

— Wątpię, czy Nadia w ogóle potrafi blefować.

Jordan podzielał jej pogląd.

— Mam wrażenie, że gdyby chciała, zmiażdżyłaby nas jak muchy i kazała komuś zetrzeć plamy.

Uśmiechnęła się.

— Chcesz mnie w ten sposób podnieść na duchu?

Zerknął na nią.

— Dobrze chociaż, że mamy siebie.

Zabrzmiało to tak tandetnie, że zaraz pożałował swoich słów.

— Prawie cię nie znam — odparła.

— A co chcesz wiedzieć? — Wsunął sobie poduszkę pod głowę. — Jestem *homo sapiens*, lat trzydzieści pięć. Zawodowy żołnierz, urodzony w Iowa jako trzeci syn moich rodziców. Mama miała pięcioro dzieci. Mój ulubiony kolor to zielony.

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

— Za mało? — Postanowił pójść na całość i powiedzieć jej prawdę. — Moja żona Karen też służyła w wojsku, zmarła mniej więcej rok temu. Zginęła w czasie akcji. — Poczul, że jego gardło nieco się ścisnęło, ale parł dalej: — Nie mam dzieci, ale chciałem mieć trójkę. Teraz twoja kolej. Dzieci? Mąż? Rodzeństwo?

— Nie umiem w to grać.

Zauważył ból w jej oczach; szybko odwróciła głowę.

Rozmowa o rodzinie nie wchodziła w grę. Wybrał łatwiejszy temat.

— A ulubiony kolor? Powiesz mi? To chyba nie jest tajemnica państwowa?

Odwróciła się i lekko uśmiechnęła jakby na znak, że docenia jego wysiłki.

— Sepia.

— Sepia? — Popatrzył na nią. — To brąz, prawda?

— Brązowoszary. Pierwotnie uzyskiwano go z woreczka czernidłowego mątwy. Słowo „sepia” pochodzi od zlatynizowanej formy greckiej nazwy mątwy.

Spoglądała na rozmówcę poważnymi, bursztynowymi oczami. A może miały kolor sepii?

— No widzisz, to już jakiś początek. — Zmienił pozycję, usiłując wymyślić następne pytanie. — Załóżmy, że mamy dzisiaj sobotę, a ty jesteś w domu. Co byś robiła?

Prawie z zakłopotaniem zerknęła na płaszcz ze skóry wilkozora.

— Jadłabym płatki i oglądała filmy rysunkowe.

— Takiej odpowiedzi się nie spodziewałem. — Wyobraził sobie Erin siedzącą w piżamie na łóżku z miską owsianki na kolanach. Na ekranie telewizora migają kreskówki. Niezły sposób rozpoczynania weekendu.

— Koleżanka ze studiów Wendy mnie w to wciągnęła. Powiedziała, że mam mnóstwo kreskówkowych zaległości do nadrobienia.

Po takim dzieciństwie, jakie miała za sobą Erin, trudno było odmówić Wendy pewnej dozy racji.

— Twoja kolej. A co ty byś porabiał w leniwy sobotni poranek?

— Spałbym. — Jordan pożałował, że nie może udzielić na to pytanie ciekawszej odpowiedzi.

Zrobiła zafrasowaną minę.

— Przykro mi, że cię obudziłam.

— A mnie nie. — Wyciągnął rękę i odgarnął wilgotny kosmyk włosów z jej policzka. Gotów był cofnąć rękę przy pierwszej oznace jej niechęci.

Zamknęła oczy i oparła głowę na jego dłoni.

Przechylił się na skórzaną kurtkę i pocałował ją. Zrobił to bez zastanowienia, jakby jego usta same znalazły dla siebie odpowiednie miejsce.

Westchnęła cichutko i zarzuciła mu rękę na szyję.

10.04

Rhun przebudził się i poczuł cytrynową woń chemicznego płynu czyszczącego. Dotknął dłonią zbolącej piersi i zaczął sobie przypominać, co się stało.

Oparł się na łokciu. Był w sypialni, zaciągnięte białe zasłony stanowiły zaporę dla promieni słonecznych. Kilka kroków dalej na drewnianej podłodze leżała kobieta. Nadia. Teraz sobie wszystko przypomniał. Nadia, Emmanuel. Bunkier. Wyteżył zmysły i usłyszał bicie serc Erin i Jordana po drugiej stronie ściany. Cichy pomruk ich głosów go uspokoił.

Odepchnął się od oparcia łóżka i dźwignął na nogi.

Nadia poruszyła się i przeciągnęła niczym kot, który się budzi.

— Lepiej?

Zakołysał się.

— Byłaś ranna?

— Tylko w nogę. — Wstała z mniejszym wysiłkiem niż Rhun.

— Zagoi się.

Pozazdrościł jej.

— Pozostali także odnieśli rany?

— Żołnierzowi dopisało szczęście. Kobieta ma dryg do strzelania z pistoletu. Okazała przytomność umysłu i trzymała się blisko ziemi.

— A Piers? — Rhun rozejrzał się po pokoju.

— Odszedł. — Nadia opowiedziała, co się stało po tym, jak Rhun został ranny w lesie.

Sangwinista dotarł do najbardziej niepokojącego pytania.

— Jak Belial się domyślił, gdzie jesteśmy, gdzie zastawić na nas pułapkę?

O wylocie zespołu poszukiwawczego z Jerozolimy wiedział tylko kardynał i najbliższy krąg jego współpracowników.

Nadia westchnęła zatroskana.

— Myślę, że będzie najlepiej, jeśli wrócę do opactwa i powiem, że Emmanuel, ty i pozostali zginęliście. Dzięki temu zyskasz czas, by działać poza zasięgiem Kościoła i szpiegów. Zatrzesz następne ślady na drodze do Ewangelii.

Skinął głową. Poszukiwania muszą się toczyć w tajemnicy przed sektą Beliala.

— Co powiesz o Piersie?

— Opowiem im, co znalazłam — odparła Nadia. — Wyrażę żal, że w bunkrze zobaczyłam jedynie niemieckich żołnierzy. Oraz *strigoi*, rzecz jasna.

— Nie powiesz im o Rosjanach?

— Jeżeli Kościół się dowie, że w bunkrze, w którym znajdowała się Ewangelia Krwi, przebywali rosyjscy żołnierze z Petersburga, pchnie do Rosji prawdziwą armię. Dojdzie do otwartej wojny.

Rhun skinął głową. Żaden sangwinista nie wrócił żywy z Petersburga od czasu, gdy zdradziecki Vitandus objął tam władzę. W rzeczywistości aby wydostać coś z Rosji, Kościół musiałby tam wysłać armię. A każda ofiara osłabiłaby zakon przed ostatecznym starciem z Belialem.

— Musimy wyruszyć sami — oznajmił Rhun. — Trzeba zapobiec wojnie i zachować nadzieję na odnalezienie księgi.

— Co z ludźmi? Będzie to dla nich niebezpieczna wyprawa.

— Vitandus nienawidzi naszego zakonu, lecz wciąż zachowuje osobliwe poczucie honoru. Może to pozwoli ich uratować.

Rhun usłyszał, że serca Jordana i Erin zaczynają bić szybciej.

— Wyraźnie widzę, że darzysz ich uczuciem — stwierdziła Nadia. — Myślisz, że Rosjanin potraktuje ich inaczej?

— Nie mogę ich tutaj zostawić. — Rhun starał się nie słyszeć archeolożki i żołnierza. — Jeśli Belial ma agentów w szeregach

sangwinistów, życie tych dwojga może być bardziej zagrożone tu niż w Rosji.

— A więc wszystko ustalone.

Nadia wstała i zapięła pas.

— Będę potrzebował papierów dla nas wszystkich — rzekł Rhun.

— Zdobędę je potajemnie.

Rhun myślał o drodze, na którą zamierzał wkroczyć. Po raz pierwszy w swoim bardzo długim życiu miał oddzielić się od Kościoła, choć na krótko. Poczł się osierocony.

Nadia skierowała się ku drzwiom.

— Przyniosę ci także coś, dzięki czemu bezpiecznie dotrzenie na miejsce. Coś, co władca Petersburga bardzo wysoko ceni.

Nawet Nadia nie ośmielała się wymieniać jego imienia.

Był on niegdyś sangwinistą, lecz złamał prawa kościelne tak drastycznie, że został ekskomunikowany. I nie była to zwyczajna ekskomunika, lecz taka, której nie wolno cofnąć. Każdy, kto go znał, musiał go odtąd po wsze czasy unikać.

W końcu imię stało się jego przekleństwem. Vitandus.

10.08

Erin uśmiechnęła się, kiedy Jordan uniósł ją ze skórzanego płaszcza i posadził sobie na kolanach. Siedziała okrakiem, uśmiechając się łobuzersko.

— Zdaje się, że miałaś zostać po swojej stronie.

— To ty przekroczyłaś linię demarkacyjną.

Pocałował ją delikatnie w usta. Po jej plecach przebiegł dreszcz.

Nie miała na to dobrej odpowiedzi. Kopnęła płaszcza, a ten spadł na podłogę.

Jordan uśmiechnął się do niej szeroko.

— Kłopot z głowy.

Pogładziła go po brodzie. Była gładka, niedawno się ogolił. Pocałowała go jeszcze raz. Pachniał eukaliptusowym kremem do golenia i smakował jak kawa.

Odsunęła głowę i spojrzała w piękne niebieskie oczy.

— Masz oczy w kolorze egipskiego błękitu jak bóg słońca Ra.

— Uznaję to za komplement.

Położył ciepłą dłoń na podołku jej pleców i przycisnął ją mocno do siebie. Poczowała bicie jego serca na swojej piersi.

Rozluźniła się, przenikło ją poczucie bezpieczeństwa.

Poszukał ustami jej ust i mocno pocałował. Nagłące pragnienie przepłynęło z jego warg na jej wargi. Jęknęła i wsunęła palce w jego włosy, przygarnęła go jeszcze bliżej.

Chciała zapomnieć o wszystkim, co wydarzyło się w ciągu ostatniej doby, wymazać wszelkie złe wspomnienia. W jej głowie było miejsce tylko dla nich dwojga. Pieścił dłońmi jej ciało.

Trzymał ją jedną ręką za plecy, a drugą zagarnął pod siebie.

Wyciągnęła się, czując na sobie jego umięśnione ciało. Jej dłonie gładziły szerokie plecy. Wsunęła ręce pod jego koszulę, poczuła gładkość ciepłej skóry. Jednym szybkim ruchem ściągnął koszulę przez głowę. Ukazał się tatuaż z fraktalami znaczącymi nitki ognistego pioruna. Świadectwo przelotnego spotkania z kostuchą.

Powiodła palcem po rozdwojonej linii, Jordanem wstrząsnął dreszcz podniecenia.

Jakże daleko był teraz od śmierci: oddychał mocno, jego ciało promieniowało ciepłem, oczy błyszczały tuż obok oczu Erin.

Nie przestając w nie spoglądać, rozwiązał pasek szlafroka i odgarnął poły. Dopiero wtedy jego wzrok powędrował niżej, pozerając jej ciało. Nawet nie tknął jej ręką, a jej skóra zapłonęła.

— Och! — powiedział bezgłośnie.

Przyciągnęła go do siebie i westchnęła, kiedy jego naga skóra dotknęła jej skóry. Usta odszukały usta. Zatraciła się w pocałunku. Jego serce biło szybko, jej oddech także przyspieszył.

Na chwilę odsunął wargi, a ona błyskawicznie uniosła głowę i usta znów się spotkały. Całował ją po szyi. Wygięła ją i oparła mocno głowę o poduszkę. Czuła kosmyki mokrych włosów na twarzy, ale nie chciała zdejmować dłoni z jego ciała nawet na sekundę. Jego wargi powędrowały niżej, musnęły obojczyk i dotarły do zagłębienia szyi.

— Erin? — zapytał. Poczowała delikatny ruch jego warg na szyi.

Wiedziała, o co chce zapytać, i wiedziała, jakiej chce udzielić odpowiedzi. Ale milczała.

— Zaczekaj — wydyszała bez tchu. Odepchnęła go i zaciągnęła szlafrok. — Za szybko.

— Mam zwolnić — powiedział. — Rozumiem.

Zawiązała pas. Jej serce biło jak szalone, a ona pragnęła tylko ponownie schronić się w jego ramionach. Ale nie zaufała temu pragnieniu. Nie mogła.

Ktoś zadudnił pięścią w drzwi.

Rozległo się wołanie.

To była Nadia.

— Czas w drogę.

27 października, 10.10

Monachium, Niemcy

Samolot oderwał się od ziemi. Bathory z westchnieniem wtuliła się w miękki fotel odrzutowca. Poczowała, że Magor uspokaja się w ciemności luku bagażowego.

— Śpij, mój kochany — powiedziała. — Jesteśmy bezpieczni.

Po raz pierwszy od lat leciała samolotem za dnia i bez swoich *strigoi*. Tam, dokąd zmierzała, należało się lękać nie tylko blasku słońca; zagrożenie płynęło z samego faktu, że się żyje. Było tam bardzo niebezpiecznie, lecz Bathory czuła się spokojniejsza bez swojej zwyczajowej świty.

Wyczarterowała samolot, którego pilot nie zadawał pytań, kiedy obsługa umieszczała w luku bagażowym wilka. Magor siedział cicho w zasłoniętej klatce, tak jak mu nakazała; jednak ludzie musieli wyczuć jego zapach, wiedzieli, że jest ogromną bestią. Jeśli zapłaci się właściwą cenę, zbędne słowa nie padają. Bathory rozciągnęła się z rozkoszą na szerokim fotelu odrzutowca. Miała go tylko dla siebie. Oprócz niej na pokładzie znajdowali się jedynie pilot i drugi pilot.

Kiedy ostatnio była taka samotna, z dala od Niego i Jego narzędzi? Minęły lata.

Z przyjemnością pogładziła skórzany fotel i podciągnęła zasłonkę okna. Promienie słońca wpadły do kabiny i dotknęły jej nóg, rozgrzały je. Uniosła dłoń, jakby chciała je uchwycić. Zmęczony się tym, skierowała uwagę na zalany światłem krajobraz w dole.

Monachium zostało w tyle i pojawiły się pola, lasy i maleńkie jednorodzinne domki. Samolot kierował się na wschód. W każdym z tych domków rodzina przed chwilą spożyła śniadanie. Mąż ucałował żonę na pożegnanie, dziecko wzięło tornister i wyruszyło do szkoły. Domki stały teraz puste, lecz później znów zapełnią się mieszkańcami.

Jak by to było mieszkać w takiej chatce?

Przeznaczenie Bathory zostało określone już przy narodzinach. Proste życie z mężem i dziećmi przy domowym ognisku nie miało się stać jej udziałem. Wobec tych, którzy wiedli tak prostą egzystencję, zwykle czuła pogardę, lecz dzisiaj jej skromny urok wydał jej się pociągający.

Potrząsnęła głową. Nawet gdyby była wolna, nie zgodziłaby się na więzienie, jakim jest los żony i matki. Ona i Magor polowałiby. Wędrowaliby daleko, żyli samotnie, nigdy nie martwiąc się, że On ją ukarze, że Tarek wreszcie znajdzie sposobność do zemsty, której od tak dawna szuka. Bathory nie musiałaby codziennie walczyć o szacunek dla siebie, o prawo doczekania następnego wschodu słońca.

Sama myśl o tym przyprawiła ją o zmęczenie.

Magor poruszył się w dole za jej plecami, wyczuwając troskę pani.

Odpuść — powiedziała mu. Ułożył się w klatce.

Dotknęła palcami czarnego znamienia na szyi, które oddzielało ją od innych. Potrzebny byłby cud, aby dało się je zmazać, uciec przed Nim.

A jeśli księga wskaże jej drogę do takiego cudu?

CZĘŚĆ CZWARTA

Przeklęty będziesz w mieście i przeklęty na polu.

Przeklęty twój kosz i twoja dzieża.

Przeklęty owoc twego łona, plon twej roli...

Przekłete będzie twoje wejście i wyjście.

Księga Powtórzonego Prawa 28, 16-19

27 października, 16.45 czasu moskiewskiego
Sankt Petersburg, Rosja

Erin przeszła przez rosyjską kontrolę celną na wpół śpiąc, lecz obudziła się w pełni, kiedy ona i dwóch towarzyszących jej mężczyzn stanęli na skutym lodem chodniku przed lotniskiem w Petersburgu. Taksówka, którą złapał Rhun, miała zepsute ogrzewanie, a kierowca nie wykazywał oznak lęku przed śmiercią. Za bardzo się bała, żeby odczuwać zimno, gdy pędził przez gęstniejącą zamieć, bez ustanku mówiąc coś po rosyjsku.

Samochód zatrzymał się z poślizgiem przed czymś, co wyglądało jak park miejski. Był to duży teren, w lecie zapewne pokryty zielenią, z wysokimi drzewami po obu stronach. Teraz konary były nagie, a zamarznęta trawa zniknie wkrótce pod gęstym białym puchem.

Erin wciąż nie potrafiła uwierzyć, że zawędrowała tak daleko od rozpalonej Masady. Wczoraj rano bała się poparzenia słonecznego, a dzisiaj odmrożenia. Kiedy wysiadła z taksówki, wiatr przewiał płaszcz ze skóry wilkozora i zimno przeniknęło ją aż do szpiku kości. Tym razem to nie ziarna piasku, lecz płatki śniegu piekły ją w policzki.

Słońce wyglądało jak perłowy krążek usiłujący przebić się z poświatą przez zasłony chmur; dawało niewiele światła i jeszcze mniej ciepła.

Jordan szedł u jej boku, kiedy przechodzili pod kamiennym łukiem, za którym rozpościerał się park. Domyślała się, że chce wziąć ją za rękę, ale ona wsunęła zaciśnięte dłonie głęboko do

kieszoni i szła bez zatrzymywania się. Było mu przykro i trudno się temu dziwić, lecz nie wiedziała, jak go potraktować. W Niemczech omal się ze sobą nie kochali, a ona z przerażeniem myślała o tym, co by się wtedy stało. I tak już za bardzo go polubiła.

Jej mokasyny przy każdym kroku ślizgały się na oblodzonych płytach chodnikowych. Po obu stronach wznosiły się trawiaste wały ziemi sięgające do kolan. Zastanawiała się, do czego służą.

Sierżant postawił kołnierz, jego nos i policzki się zaczerwieniły. Przypomniała sobie dotyk jego skóry na ustach, ciepło rozgrzanych warg. Szybko odwróciła głowę.

Rhun, który szedł przed nimi, nawet nie zapiął płaszcza, toteż wiatr rozdał zamasyście poły jego habitu na boki. Białe dłonie poruszały się miarowo, zakonnik czuł się w mroźnym terenie tak samo swobodnie jak w czterdziestostopniowym skwarze panującym na szczycie Masady. W jednej ręce niósł długą skórzaną tubę, którą Nadia dała im w Niemczech. Erin nie miała pojęcia, co zawiera; domyślała się, że Rhun także tego nie wie. Zanim sangwinistka im przekazała, zalakowała ją złotym woskiem i opatrzyła papieską pieczęcią przedstawiającą dwa skrzyżowane klucze związane taśmą i zwieńczone potrójną koroną papieża.

— No dobra, Rhunie — zagadnął Jordan, zajmwszy miejsce po prawej stronie zakonnika. — Co tutaj robimy? Po co przyjechaliśmy do tego lodowatego parku?

Erin podeszła do mnicha z drugiej strony i czekała na jego odpowiedź. Powiedział im tylko tyle, że wybierają się do Petersburga i że wojska rosyjskie mogły po wojnie przywieźć księgę do tego miasta. Archeolożka sama się tego domyśliła, kiedy zobaczyła w bunkrze zwłoki rosyjskiego żołnierza i usłyszała, jak Nadia odczytuje rozkazy zapisane cyrylicą. Wynikało z nich, że żołnierz przybył do Niemiec właśnie z tego miasta.

Pamiętała również, że miał żonę i dziecko; córkę, która nadal mogła mieszkać w Petersburgu, nieświadoma, że kilkoro

nieznajomych wie o śmierci ojca więcej niż ona.

Erin była zadowolona, że dała sangwinistce listy znalezione w bunkrze, ta zaś przekazała je bratu Leopoldowi. Może przyniosą nieznannej kobiecie odrobinę spokoju.

— Rhunie? — odezwała się; chciała wiedzieć więcej, zasługiwała na to.

Duchowny zatrzymał się i spojrzął na szkielety drzew stojących za zasypanymi śniegiem wałami ziemi. Wiatr szeleścił wśród ostatnich liści, które uparcie trzymały się gałęzi.

— Przybyliśmy prosić o pozwolenie na poszukiwanie księgi na rosyjskiej ziemi.

— Dlaczego? — zdziwił się Jordan. — Zdawało mi się, że sangwiniści nie proszą o zezwolenia.

Pokerowa mina Rhuna skrywała emocje, lecz Erin wyczuwała jego lęk. Wolała nie wyobrażać sobie, co mogło wzbudzić ten strach.

— Sankt Petersburg leży poza naszą domeną — odparł zagadkowo.

— A czyją jest domeną? — indagował sierżant. — Po upadku muru berlińskiego Kościół katolicki odnowił tutaj swoją obecność.

Erin głębiej wsunęła ręce w zimne kieszenie i popatrzyła przed siebie. Na końcu ścieżki ujrzała wysoki posąg kobiety w szerokiej spódnicy, która unosiła ku górze jakiś przedmiot. Erin zmrużyła oczy, ale nie mogła dojrzeć, co to takiego. Rozejrzała się. W pierwszej chwili uznała teren za park, lecz w powietrzu wisiał nastrój smutku. Nie wyobrażała sobie bawiących się tam dzieci.

— Tą ziemią włada Vitandus — odrzekł Rhun i dotknął skórzanej tuby, którą niósł na ramieniu, jakby chciał się upewnić, że jej nie zgubił. — A on nie kocha Kościoła. Kiedy nadejdzie, nie mówcie nic o naszej misji ani o sobie.

— Co to takiego ten Vitandus? — dociekał Jordan.

Erin знаła odpowiedź.

— To tytuł nadawany za karę. Kościół nie zna większego potępienia. Jest gorsze od ekskomuniki. To coś w rodzaju wiecznej banicji i odrzucenia.

— Super, nie mogę się doczekać tego gościa. Musi być z niego prawdziwy czaruś.

— Rzeczywiście — potwierdził Rhun. — A więc radzę mieć się na baczności.

Sierżant mimowolnie sięgnął do kabury przy pasie, lecz broń musieli zostawić w Niemczech. Przylecieli samolotem czarterowym, posługując się dokumentami dostarczonymi przez Nadie. Jednak nie mogli przeschmuglować pistoletów.

— Co ten Vitandus zrobił? — dociekała Erin. Tupiała zziębniętymi nogami na chodniku, jakby to mogło je rozgrzać. — Kim on jest?

Rhun czujnie spoglądał w kierunku ogołoconych drzew. W jego oczach czaił się lęk. Odpowiedział rzeczowym tonem, ale jego słowa wstrząsnęły Erin:

— Znasz go pod nazwiskiem Grigorija Jefimowicza Rasputina.

16.52

Rhun szedł powoli chodnikiem, obracając w palcach lodowate paciorki różańca. Modlił się, aby Grigorij nie wydał natychmiastowego wyroku śmierci na przybyszów, tak jak czynił z każdym sangwinistą wysłanym do Rosji po tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku. Pewną nadzieję dawał zamknięty pakunek w kształcie walca, który zdobyła Nadia. Pouczyła go, żeby go nie otwierał, tylko przekazał Grigorijowi.

Co w nim było?

Podarunek czy broń?

Erin odezwała się, przerywając jego niepewne dociekania:

— Rasputin? — W jej głosie zabrzmiało niedowierzanie, które widać było także w jej zwężonych oczach. — Szalony rosyjski pop? Zausznik Romanowów?

— Ten sam — padła odpowiedź.

Większość historyków zwracała uwagę właśnie na takie szczegóły z życia Grigorija Jefimowicza Rasputina. Był mnichem mistykiem, rzekomo obdarzonym mocą uzdrawiania, i związał swój los z carem Mikołajem II oraz jego rodziną. Na początku dwudziestego wieku, wykorzystując ową domniemaną moc, wkradł się w łaski cara i jego żony, którzy uwierzyli, że tylko on może wyleczyć ich syna z bolesnej i niezwykle dokuczliwej hemofilii. Z tego względu przymykali oczy na jego ekscesy seksualne i machinacje polityczne. W końcu zgładził go tajny agent brytyjski przy pomocy grupy arystokratów.

Tak w każdym razie uważano.

Oczywiście Rhun wiedział o wiele więcej.

Wciągnął głęboko do płuc zimne powietrze. Wyczuł zapach świeżego śniegu, zalegającej pod nim warstwy ściętych mrozem liści oraz słaby odór spoczywających od dawna w ziemi trupów.

Oto Rosja.

Nie wdychał jej woni od stu lat.

Tymczasem Jordan czujnie lustrował wzrokiem park, idąc u boku Rhuna.

Zakonnik podążył za jego spojrzeniem. Oczy żołnierza zatrzymały się na ciemnych pniach drzew, niskim kamiennym murku i cokole posągu; wszędzie tam mógł zacząć się wróg. Rhun doceniał czujność i podejrzliwość sierżanta, cechy szczególnie cenne na rosyjskiej ziemi. Jednak przeciwnik jeszcze nie przybył. Być może przez następnych kilka chwil nic im nie groziło.

Zatrzymali się przed posępnym ciemnym posągiem kobiety spoglądającej w dal, która trzymała w dłoniach wianek na cześć poległych mieszkańców Petersburga; stanowiła symbol pogrążonej w żałobie ojczyzny.

Jordan chuchnął w dłonie, aby je rozgrzać; gest ten świadczył o tym, że jest człowiekiem i że płonie w nim ogień. Odwrócił się do sangwinisty.

— Myślałem, że Rasputin zmarł w czasie pierwszej wojny światowej.

— Padł ofiarą zamachu — potwierdziła Erin. — Otruto go cyjankiem, cztery razy postrzelono, pobito pałą, owinięto w dywan i wrzucono do Newy. Podobno się utopił.

— I facet to wszystko przeżył? — rzucił drwiąco Jordan. — Jak na mój gust musiał być *strigoi*.

Erin pokręciła głową.

— Na wielu fotografiach widać go w dziennym świetle.

Rhun usiłował się skupić i nie zwracać uwagi na ich gadaninę. Usłyszał jakiś szelest między drzewami kilka kroków dalej. Ale była to tylko mysz, która szukała ziarenek, zanim zima przysypie wszystko śniegiem. Życzył jej, aby znalazła sobie pożywienie.

— A więc kim on jest? — dopytywał się Jordan.

Rhun westchnął; wiedział, że nie zamilkną, dopóki nie usłyszą odpowiedzi.

— Grigorij był niegdyś sangwinistą. Razem ze mną i Piersem przez długie lata tworzył triadę. Później został wydalony z zakonu.

Jordan ściągnął brwi.

— Twój zakon wyrzucił tego gościa, a potem skazał go na wieczystą banicję?

— Otrzymał miano Vitandus — przypomniała Erin.

Sierżant skinął głową.

— Nic dziwnego, że facet nie przepada za Kościołem. Może powinniście trochę popracować nad swoim piarem.

Rhun odwrócił się do nich plecami.

— To nie jedyny powód, dla którego znienawidził Kościół.

Zakonnik dotknął krzyża pektoralnego. Grigorij miał wiele powodów, by żyć nienawistnie do Kościoła. Rhun znał je aż nazbyt dobrze.

— A więc dlaczego ekskomunikowano Rasputina? — dociekała Erin.

Rhun wciąż słyszał nutę wątpliwości w jej głosie, gdy wypowiadała nazwisko Grigorija. Nie uwierzy w prawdę, dopóki

jej nie dotknie. A wtedy może pożałować, że się tego domagała.

Jordan miał dalsze pytania.

— Co się dzieje z ekskomunikowanym sangwinistą? Wciąż może odprawiać święte obrzędy?

— Mówi się, że ksiądz nosi na duszy niezatarte piętno — zauważyła Erin. — Myślę więc, że nadal może konsekrować wino.

Rhun potarł oczy; ludzie żyją krótko, toteż ich niecierpliwość jest zrozumiała, a pragnienie poznania odpowiedzi nienasycone. On łaknął ciszy, ale nie była mu dana.

— Grigorij może konsekrować wino — potwierdził zmęczonym głosem. — Jednak w odróżnieniu od wina błogosławionego przez kapłana prawdziwego Kościoła nie ma ono życiodajnej mocy krwi Jezusa Chrystusa. Z tego powodu Rasputin tkwi niczym w pułapce w stanie pomiędzy przeklętym *strigoi* i błogosławionym sangwinistą.

Erin odgarnęła włosy z twarzy.

— Jakie to ma konsekwencje dla jego duszy?

— W tej chwili — odezwał się Jordan — bardziej mnie ciekawi, jakie są konsekwencje dla jego ciała. Na przykład czy może chodzić za dnia?

— Może, i chętnie z tego korzysta.

Już niebawem.

— Dlaczego potrzebujemy jego pozwolenia, by tu przebywać? — indagował Jordan.

— Ponieważ od dziesiątków lat nie wypuścił żywego sangwinisty z rosyjskiej ziemi. Wie, że tu jesteśmy. Kiedy przyjdzie czas, każe nas sprowadzić i postawić przed swoim obliczem.

Jordan odwrócił się do mnicha, w jego sercu narastał gniew.

— Nie mogłeś ostrzec nas wcześniej? Czy niebezpieczeństwo jest poważne?

Rhun stawił czoło jego złości.

— Wierzę, że w odróżnieniu od innych, którzy tu przybywali, mamy spore szanse na ujście z Rosji z życiem. Moje stosunki

z Vitandusem są bardziej skomplikowane ze względu na naszą wspólną przeszłość.

Dłoń Jordana znów powędrowała do miejsca, w którym zwykle tkwiła broń.

— A więc ci goście w czarnym gruchocie, którzy śledzą nas od lotniska, należą do rosyjskiego bossa mafii *strigoi*? I mają rozkaz, żeby z miejsca rozwaląc każdego sangwinistę, którego zobaczą?

Erin odwróciła głowę w stronę dalekiej ulicy.

— Byliśmy śledzeni?

Jordan spiorunował wzrokiem zakonnika.

— Łudziłem się, że to ludzie Rhuna.

— Nie mam żadnych ludzi — odrzekł zagadnięty. — Kościół nie wie, że tutaj przebywamy. Po ataku w Masadzie i późniejszych wydarzeniach w Niemczech nabrałem podejrzeń, że sekta Beliała ma informatora zdrajcę w szeregach sangwinistów. Kazałem więc Nadii rozgłosić, że wszyscy zginęliśmy.

Na twarzy sierżanta drgnął mięsień.

— To z każdą chwilą brzmi coraz lepiej.

W tym momencie usłyszeli jakiś inny głos. Ktoś mówił tonem przygany, ale i z rozbawieniem.

— Taka gwałtowność tutaj nie przystoi.

Wszyscy się odwrócili. Mężczyzna w długiej czarnej sutannie prawosławnego popa okrążył brązowy posąg i podszedł na krępych nogach. Krawędź szaty zamiatała chodnik. Na szyi miał trzyramienny krzyż pektoralny tego samego wyznania.

Zbliżał się z uśmiechem. Niegdyś długie włosy zostały skrócone i sięgały nieco ponad ramiona. Nieznajomy zaczesał je do tyłu, dzięki czemu odsłonięte zostały szeroka twarz i przebiegłe niebieskie oczy. Czarnobrazowa broda była równo przystrzyżona. Wyglądała inaczej w czasach, kiedy Rhun go znał.

Erin omal nie otworzyła ust ze zdziwienia.

Rhun uświadomił sobie, że Grigorij nadal wygląda tak jak na zdjęciu sprzed stu lat. To musiało rozwiązać wątpliwości, jeśli

jakieś żywiła. Modlił się tylko, aby ona i Jordan pamiętali o tym, by niczego przed Rasputinem nie ujawniać.

Przywitał go nieznacznym skinieniem głowy.

— Grigorij.

— Mój drogi Rhun. — Rosjanin przechylił kanciastą głowę w kierunku Erin i Jordana. — Masz nowych towarzyszy.

Rhun nie przedstawił dwojga ludzi.

— Owszem.

— Jak zawsze roztropnie wybrałeś miejsce spotkania. — Grigorij mocną dłonią wskazał wały ziemi po obu stronach chodnika. — Mógłbym zabić was gdzie indziej, ale nie tutaj. Nie pośród kości pół miliona moich rodaków.

Sierżant rozejrzał się, jakby szukając wzrokiem wspomnianych kości.

— Nie powiedział wam, gdzie jesteście, prawda? — Grigorij cmoknął. — Marny przewodnik z ojca Korzy, jak zawsze. Znajdujecie się na cmentarzu Piskariowskim, który upamiętnia śmierć ofiar oblężenia Leningradu. Wały, które tu widzicie, to masowe groby. Dokładnie jest ich sto osiemdziesiąt sześć.

Zszokowana Erin patrzyła na porośnięte trawą kopce.

— Kryją kości pół miliona Rosjan. Czterystu dwudziestu tysięcy cywilów, którzy zginęli w czasie kilku lat oblężenia naszego miasta przez faszystów. Walczyliśmy i modliliśmy się o pomoc. Ale ona nie nadeszła, prawda, Rhunie?

Zakonnik milczał. Gdyby coś powiedział, rozpaliby tylko płomień gniewu Grigorija.

— Cztery lata nieustannej rzezi. Czy któryś z tych grobów obciąża sumienie twojego kardynała?

— Przykro mi z powodu strat, jakie ponieśliście — rzekła Erin.

— Nawet dziecię potrafi przeprosić. Widzisz, Rhunie? — Grigorij wskazał ręką samochód czekający na jałowym biegu obok wejścia na cmentarz. — Uratujemy twoich biednych kompanów przed zimnem? Widzę, że okropnie cierpią.

Rhun przelotnie spojrzął na swoich towarzyszy. Rzeczywiście wyglądali na przemarzniętych. Tak rzadko miewał do czynienia

z ludźmi, że zapominał o ich ułomnościach.

— Gwarantujesz nam bezpieczeństwo?

— Nie bardziej, niż ty gwarantujesz moje. — Wiatr zwiął ciemne włosy popa na jego białą twarz. — Musisz wiedzieć, że teraz ja decyduję, kiedy spotkasz się ze śmiercią.

17.12

Jordan otoczył Erin ramieniem. Nie nachyliła się ku niemu, ale też się nie odsunęła. Spoglądał na Rhuna i Rasputina. Wyczuwał między nimi napięcie płynące z zadawnionej wrogości, która mieszała się z odrobiną szacunku, może nawet szorstkiej przyjaźni.

— Może porozmawialibyśmy o naszej szybkiej egzekucji w jakimś cieplejszym miejscu? — rzekł lekkim tonem.

Rasputin uniósł brwi, a potem odchylił głowę do tyłu i gruchnął basowym, radosnym śmiechem, który wydał się całkowicie nie na miejscu na zaśnieżonym cmentarzu. Zwłaszcza po tym, jak zagroził przybyszom śmiercią. Jordan zrozumiał, dlaczego nazywano go Szalonym Mnichem.

— To mi się spodobało. — Rasputin klepnął sierżanta szeroką dłonią w plecy, omal nie zwalając go z nóg. Uśmiechnął się do Erin. — Ale nie tak jak ta ślicznotka.

Jordan nie był tym zachwycony.

Rhun wszedł między nich.

— Może mój kompan ma rację. Znajdźmy bardziej sprzyjające miejsce na rozmowę.

Rosyjski gospodarz wzruszył ciężko ramionami i poprowadził ich chodnikiem ku czekającemu samochodowi. Kiedy się tam znaleźli, dał Jordanowi i Erin znak, żeby usiedli z przodu. On i Rhun zajęli miejsca na tylnej kanapie.

Sierżant otworzył drzwi i owionęło go ciepło. Pachniało wódką i papierosami. Wsiadł pierwszy, żeby znaleźć się między archeolożką a szoferem Rasputina.

Ten zaś wyciągnął rękę. Wyglądał na czternastolatka, a jego śnieżnobiała dłoń była zimniejsza w dotyku niż ręka Jordana.

— Jestem Siergiej.

— Wolno ci prowadzić? — zapytał sierżant. Dłoń wysliznęła się z jego ręki, zanim zdążył zareagować.

— Jestem starszy od ciebie. — Chłopak mówił z lekkim rosyjskim akcentem. — Może nawet od twojej matki.

Jordan nagle zatęsknił za pistoletem maszynowym, sztyletem i czasami, gdy wszyscy jego wrogowie byli ludźmi.

27 października, 17.15

Sankt Petersburg, Rosja

Duży samochód odjechał sprzed cmentarza. Erin rozłożyła dłoń nad wylotem ogrzewania kabiny. Jordan trzymał rękę z tyłu za jej fotelem. Był jedyną osobą w aucie, której mogła ufać, choć tak naprawdę prawie go nie знаła.

Ale przynajmniej był istotą ludzką.

W tej chwili znaczyło to diabelnie dużo.

Rhun i Rasputin rozmawiali spokojnie na tylnej kanapie, kontrolując głosy. Jednak choć Erin nie rozumiała ani słowa po rosyjsku, wiedziała, że się spierają.

Samochód pędził ulicami z piskiem opon, jasne fasady rosyjskich zabudowań migwały wśród wirujących płatków śniegu niczym domki z baśni. Do zmroku w najlepszym razie została godzina. Jeśli Belial podążył za nimi do Rosji, czy znów uderzy po zapadnięciu ciemności? Czy Rasputin prowadzi wojnę z sektą, tak samo jak z sangwinistami?

Rhun nie odpowie na żadne pytanie, dopóki będzie z Rasputinem.

Po dziesięciu minutach auto zwolniło i zatrzymało się przed przepiękną rosyjską cerkwią. Erin zbliżyła twarz do okna.

Kopuły w kształcie cebuli, zwieńczone złotymi krzyżami, wznosiły się ku niebu, jedna bardziej fantastyczna od drugiej. Dwie były połączone, a jedną pomalowano w jaskrawe sploty; pozostałe — błękitne — pokryto złotymi, białymi i zielonymi wzorami. Fasada pyszniła się kolumnami, ozdobnymi

kwadratami, łukami oraz olbrzymią mozaiką przedstawiającą Jezusa skąpanego w złocistym blasku. Wymyślne zdobienia zapierały dech w piersi.

— Cudowne, prawda? — zapytał z podziwem w głosie szofer.

— Oszalamiające — przyznała szczerze archeolożka.

— Widzicie tutaj cerkiew Zbawiciela na Rozlanej Krwi — wyjaśnił Rasputin, nachylając się do przednich foteli. — Wzniesiono ją w miejscu zamachu na cara Aleksandra II w tysiąc osiemset osiemdziesiątym pierwszym roku. Jednak nie był on ostatnim Romanowem, który padł ofiarą gniewu ludu. Wewnątrz zobaczycie kamienie brukowe, które kiedyś zostały zbroczone krwią Aleksandra.

Cerkiew miała bogatą historię, lecz kiedy Erin słuchała słów popa, przybytek stracił w jej oczach nieco splendoru. Widziała wiele kamieni zbryzganych krwią, wystarczy jej tego na całe życie. Pchnęła drzwi samochodu i wyszła na lodowatą wichurę, jeszcze bardziej mroźną niż na cmentarzysku. Patrzyła na zasypany szarego śniegu pod ścianą cerkwi; usypywał je porywisty wiatr wiejący znad pobliskiej rzeki.

Jordan stanął obok niej, aby osłonić ją przed podmuchami, i spojrzał na wyrafinowaną budowlę.

— Ktoś miał od groma pierniczkowego ciasta i masę czasu.

— On jest dumny, nie obrażaj go — rzucił cicho Rhun.

Odpowiedź Rasputina padła z drugiej strony auta, wiatr jej nie zagłuszył.

— Nie można mnie obrazić bardziej, niż obraziłeś mnie ty i ci, których kochasz. Ale postąpią mądrze, jeśli nie będą wzbudzali mojego gniewu. W tej chwili jestem w wielkodusznym nastroju i zapewnię im nietykalność, ponieważ nie są sangwinistami.

— Bycie człowiekiem ma swoje dobre strony — mruknął Jordan z krzywym uśmieszkiem.

Na potwierdzenie tego wyciągnął rękę i oplótł ciepłymi palcami zimną dłoń Erin.

Razem podążyli za dwoma ubranymi na czarno mnichami ku bliźniaczym łukom wejścia cerkwi.

Minęli przedsionek i Rhun wkroczył do głównej nawy. Wiedział, czego się spodziewać, lecz to, co ujrzał, wstrząsnęło nim zgodnie z oczekiwaniami Grigorija.

Jego uwagę natychmiast zwróciła mozaika pokrywająca wszystkie płaszczyzny. Przed oczami sangwinisty zawirowwały błękity, złocienie i karmazyny. Z każdej ściany i sufitu krzyczały wyobrażenia opowieści biblijnych: Jezus i apostołowie, stylizowane brązowe oczy świętych, olśniewające skrzydła aniołów. Miliony miniaturowych płytek układały się w obrazy biblijne. Zamknął oczy, lecz kiedy je otworzył, ponownie zaczęły go piec.

Od zapachów przewracało mu się w żołądku: ciepło ludzi w nawie, kadzidło, wino, ciała dawno zmarłych leżące pod posadzką. Gdzieś w tle świeża ludzka krew. Zmagał się z chęcią, by stamtąd uciec.

Odwrócił się do wejścia i jego wzrok padł na ogromną mozaikę nad drzwiami. Setki tysięcy terakotowych płytek ilustrowało największą chwilę w historii sangwinistów. Wiedział, że to sam Grigorij zlecił tę robotę. Oto Łazarz powstaje z grobu, pierwszy z zakonu; ten, który oddał hołd Panu i zawarł z nim przymierze, zobowiązując się do przyjmowania wyłącznie Jego krwi.

Oprócz Rhuna był jedynym członkiem bractwa, który został nawrócony, zanim spróbował ludzkiej krwi, zanim odebrał choćby jedno życie.

Jak głęboko upadłem...

Rhun spuścił wzrok. Majestat historii Łazarza pomógł mu odnaleźć siebie pośród zamętu i chaosu przepysznej cerkwi.

— Cudowne, prawda? — Grigorij promieniał z dumy w potwornym przybytku, który stworzył.

— Te mozaiki to arcydzieła — przyznała Erin, która przeszła obok niego z zadartą głową.

— W istocie.

Grigorij klasnął w dłonie i z drzwi i wnęk wyłoniły się niewyraźne postacie, które natychmiast rozpoczęły krzątanie.

Rhun przyjrzał im się bacznie i spostrzegł, że podwładni Grigorija nie mają bijących serc; większość przypominała kierowcę samochodu, bardzo młodego z wyglądu, lecz niesłychanie zaawansowanego wiekiem. Byli to *strigoi*, którzy zawarli pakt z Grigorijem, swoim papieżem. Tworzyli posepny odpowiednik zakonu sangwinistów na ziemi rosyjskiej.

Na rozkaz Grigorija turystów szybko wyprowadzono z cerkwi, drzwi zamknęły się z głuchym łoskotem. Po kilku minutach w środku były zaledwie dwa ludzkie serca.

Poza Rhunem i jego towarzyszami w świątyni znajdowali się sami podwładni Grigorija. Razem było ich pięćdziesięcioro: mężczyzn, kobiet i dzieci, których przemienił w członków swej ciemnej kongregacji i uwięził pomiędzy zbawieniem a potępieniem. Nie byli takimi potępieńcami jak większość *strigoi*, lecz nie dążyli do świętości tak jak sangwiniści.

Grigorij stworzył na tym świecie nowy odcień szarości.

Drewniane ławki biegły szeregami wzdłuż nawy ku ołtarzowi. Elektryczne światła zgaszono i zapłonęły długie żółte świece woskowe. Letni zapach miodu współzawodniczył z ciemnymi woniami ponurej kongregacji.

Erin i Jordan trzymali się blisko Rhuna nieopodal wejścia. Sierżant czujnie przestępował z nogi na nogę, jakby w każdej chwili spodziewał się ataku. Erin spoglądała to na jedną, to na inną fantastyczną mozaikę. Nawet w tym miejscu każdym gestem i spojrzeniem potwierdzali swoje role Męża Wojownika i Uczonej Niewiasty.

Rhun starał się oddzielać ich od członków kongregacji Grigorija. On także pełnił swoją rolę.

Rycerz Chrystusa.

Jednak przenikało go w tym miejscu głębokie odczucie deprawacji; obrazy świętych spoglądały w dół na sprofanowaną trzode Grigorija.

On zaś majestatycznym krokiem wspinał się po czarnych marmurowych schodach do ołtarza w towarzystwie dwóch młodych wyznawców. Po obu stronach wznosiły się ozdobne krwistoczerwone kolumny oświetlone wysokimi gromnicami. Resztki dziennego światła wsączały się słabą pomarańczową poświatą do wnętrza cerkwi i padały na mozaikę przedstawiającą Chrystusa, który dzielił się z apostołami chlebem i winem. Z góry spoglądały na to anioły.

Grigorij zaintonował słowa czarnej mszy.

Chór zaczął śpiewać rosyjskie psalmy, czyste głosy niosły się ku wyniosłemu sklepieniu rytmami i tonami, których nigdy nie wydadzą z siebie ludzkie gardła, a ludzkie uszy ich nie usłyszą.

Ktoś skierował Rhuna i jego towarzyszy do ławki. Zakonnik ruszył posłusznie, wciąż nie mogąc się pogodzić z wymową tego niegodnego spektaklu.

Nagle ciepła dłoń dotknęła jego nadgarstka.

— Rhunie? — wyszeptał jakiś głos.

Odwrócił głowę i spojrzał w oczy Erin, które patrzyły na niego badawczo. Ich naturalność i ludzkie ciepło pomogły mu wrócić na twardy grunt.

— Dobrze się czujesz? — spytała, przechylając głowę. Wszyscy troje usiedli.

Położył rękę na jej dłoni i zamknął oczy; skupił się na szybkim, pewnym biciu jej serca, które zagłuszyło dźwięki świętokradczej muzyki. Bicie jednego ludzkiego serca pozwoliło mu się odgrodzić.

Śpiew zamilkł.

Na chwilę krótką jak uderzenie serca w kościele zapanowała cisza.

Potem Grigorij wezwał wszystkich do przyjęcia eucharystii, trzymając w górze złoty kielich. Uczniowie pospieszyli po wino, ich buty szurały miękko po ciemnej marmurowej posadzce. Rhun pozostał na miejscu obok Jordana i Erin.

Kiedy płyn dotknął ich warg, uniósł się z nich dym, jakby przed chwilą zionęli ogniem. Ich ciała były zbyt nieczyste, by

mogli przyjąć miłosierdzie Jezusa, toteż nawet jego słaba odmiana, którą ofiarował im Grigorij, sprawiała, że jęczeli z bólu.

Serce Erin zaczęło bić szybko ze współczucia dla tej męczarni. Żal jej było zwłaszcza tych, którzy wyglądali jak dzieci.

Rhun patrzył na dziewczynkę, która za życia miała nie więcej niż dziesięć lub jedenaście lat. Odeszła od ołtarza z poparzonymi ustami, dysząc z bólu i uniesienia. Wróciła do swojej ławki i uklękła, schyliwszy pokornie głowę.

Oto był największy grzech Grigorija: jego gotowość do przekabacania młodych. W ten sposób kradł ich dusze i odbierał im na wieki możliwość poznania miłości Chrystusa.

Głos Rasputina przerwał rozważania sangwinisty.

— Teraz ty, Rhunie. Ty także musisz przyjąć moją komunię.

Mnich się nie ruszył. Nie mógł w ten sposób zatruć swojego ciała.

— Nie przyjmę.

Grigorij pstryknął palcami. Rhuna i jego towarzyszy w jednej chwili otoczyli uczniowie Rasputina. Doszedł go przykry odór wina i sparzonego mięsa.

— To jest cena, Rhunie — zagrzemiał w cerkwi głos Grigorija.

— Zдай się na moją gościnność. Napij się uświęconego wina. Dopiero później cię wysłucham.

— A jeśli odmówię?

— Moje dzieci nie mogą chodzić głodne.

Uczniowie Rasputina się zbliżyli.

Serce Erin zaczęło bić jeszcze szybciej. Jordan zacisnął pięści.

Grigorij uśmiechnął się po ojcowsku.

— Ale oni będą walczyć, prawda? To nie będzie łatwa śmierć. Mężczyzna jest żołnierzem, czyż nie? Powiedziałbym nawet, że wojownikiem.

Rhun drgnął.

— Kobieta zaś — ciągnął Grigorij — to prawdziwa krasawica, ale skórę jej dłoni pokrywają zgrubienia od pracy polowej i, jak myślę, od trzymania pióra. Sądzę, że jest bardzo uczona.

Rhun spoglądał w półmroku na Grigorija szeroko otwartymi oczami.

— Tak, przyjacielu. — Rasputin zaśmiał się swoim szalonym śmiechem. — Wiem, że poszukujesz tutaj Ewangelii. Tylko proroctwo mogło cię sprowadzić w moje progi. A ja może nawet ci pomogę, ale nie za darmo.

Grigorij ujął kielich w obie dłonie i uniósł.

— Chodź, Rhunie, wypij. Wypij za ocalenie dusz swoich towarzyszy.

Nie mając wyboru, sangwinista wstał. Na sztywnych nogach przeszedł między rzędami ławek, wspiął się po twardych kamiennych schodach i otworzył usta.

Przygotował się na ból. Grigorij podszedł, uniósł kielich i z wysokości wylał wino.

Czerwony płyn spłynął prosto do ust Rhuna, a stamtąd do gardła.

Ku jego zaskoczeniu dotknięcie czarnego sakramentu nie poparzyło go. Po ciele rozeszło się przyjemne ciepło. Poczuł uzdrawiającą siłę, która sprawiła, że jego nieruchome serce zaczęło bić. Nie zdarzyło się to od wieków. To drgnienie powiedziało mu, co zostało domieszane do wina. Mimo to nie odwrócił głowy od kielicha.

Wino napełniło go i ukoilo nienasycony głód. Poczuł, że rany, które otworzyły się w podwodnym bunkrze, znów się zamknęły. Jednak najwspanialsze wydawało się to, że ogarnęło go głębokie zadowolenie.

Było to tak przyjemne, że aż jęknął.

Grigorij odstąpił z kielichem.

Świat wokół Rhuna się zakołysał.

— Ty nie...

— Nie jestem tak święty jak ty — odparł pop, schyliwszy się, gdy sangwinista upadł na posadzkę. — Od czasu, gdy ekskomunikowałam mnie twój ukochany Kościół. Tak, wino, które podaję moim wyznawcom, musi być wzmocnione. Ludzką krwią.

Oczy Rhuna zasnuły się mgłą i wszystko zniknęło poza jego wieczną pokutą.

Przełknął krew z gardła Elisabety. Przez wiele lat, gdy był młodym sangwinistą, nigdy nie poczuł jej metalicznego smaku na języku. Tylko pierwszej nocy, kiedy padło na niego przekleństwo, pożywił się nieczystą krwią *strigoi*.

Wiedział, że popełnił świętokradztwo, i zdjął go strach. Usiłował wyrwać się z zalewu czerwieni, przejrzeć. Bicie serca, przyspieszone dzięki jej krwi w jego ciele, zwalniało coraz bardziej, aż ustało.

Elisabeta leżała pod nim, jej delikatne ciało złociło się w blasku ognia. Ciemne włosy rozsypały się na kremowobiałych ramionach i kamiennej posadzce.

W wielkim salonie zaległa cisza. Ale to niemożliwe.

Przez cały czas słyszał równe bicie jej serca.

Wyszeptał jej imię, lecz tym razem nie odpowiedziała.

Głowa osunęła się na bok, odsłaniając krwawą ranę na gardle. Rhun dotknął dłonią ust. Po raz pierwszy od wielu lat wyczuł kły.

A więc stało się. Odebrał jej życie. Zaślepiiony żądzą zagubił się, wierząc, że jest silny, wyjątkowy — Bernard zawsze tak twierdził — i może złamać nakaz czystości nałożony na zakon. Jego nieprzestrzeganie groziło tym, że wyzwolą w sobie bestię, która czai się w każdym.

Udowodnił, że jest tak samo słaby jak inni.

Spoglądał na nieruchomą postać Elisabety.

Duma zabiła ją w takim samym stopniu jak jego kły.

Wziął na kolana jej stygnące ciało. Jej skóra była bledsza niż za życia, długie rzęsy czerniły się na tle białych policzków. Czerwone niegdyś usta zrobiły się różowe jak dłoń niemowlęcia.

Rhun kołysał się i szlochał. Złamał wszystkie przykazania. Wyzwolił drzemiącego w sobie zwierza, a ten pożarł jego ukochaną. Widział jej promienny uśmiech, figlarne ogniki w oczach, jej dar uzdrawiania. Ocaliłaby życie wielu ludzi, a tymczasem życie jej samej zwiędło.

Dzieci utraciły matkę.

Wszystko to było dziełem Rhuna.

Nagle wśród trzasku płomieni rozległo się słabe uderzenie. Długi oddech, potem drugi.

Ona żyła...! Trwało to bardzo krótko.

Może zdoła ją uratować. Zawiódł wielokrotnie i na wiele sposobów, ale musi podjąć próbę.

Ten czyn był zabroniony, stanowił pogwałcenie podstawowych przysięg. Rhun już zbrukał swoje śluby kapłańskie, i to straszliwym kosztem. Cena będzie jeszcze większa, jeśli złamie także śluby sangwinisty.

Karą za taki postępek będzie śmierć.

Ceną dla Elisabety stanie się jej dusza.

Pierwsze prawo mówiło: sangwiniście nie wolno tworzyć *strigoi*. Ale ona nie będzie *strigoi*, przyłączy się do niego. Będzie służyła Kościołowi tak jak on, u jego boku. Jako sangwiniści będą razem dzielili wieczność. Rhun więcej nie upadnie.

Bicie serca słabło.

Miał mało czasu, prawie wcale. Przeciął sobie nadgarstek srebrnym nożem. Nie był już święty, toteż rana piekła mocniej, krew zasyczała głośnie. Buchnęła z rozcięcia zmieszana z jej krwią. Przysunął nadgarstek do ust Elisabety. Krople krwi kapnęły na jej poblądłe wargi. Delikatnie rozchylił je swoimi ustami.

Proszę cię, ukochana — błagał.

Wypij.

Przystąp do mnie.

Rhun ocknął się na zimnym marmurze i poczuł ostre czubki kłów na języku.

Przekłęte wino Grigorija zostało zaprawione ludzką krwią. Rhun walczył ze zdradą. Jednak jego ciało nawet w tej chwili łaknęło więcej, pragnęło wyzwolenia.

Do jego uszu doleciał odgłos bicia dwóch serc w cerkwi.

Staął, drżąc z pragnienia; mimowolnie odwrócił się ku tym, w których tętniło życie. Tak samo kwiat zwraca się płatkami ku słońcu.

— Nie wyrzekaj się swej natury, przyjacielu — szepnął kuszącym tonem Grigorij. — Takie kajdany zawsze muszą pęknąć. Uwolnij w sobie bestię. Musisz ogromnie zgrzeszyć, aby pokutować tak bardzo, jak wymaga tego Bóg. Dopiero wtedy zbliżysz się do Wszechmogącego. Nie opieraj się, nie zdzierżysz.

— Zdzierzę — wycharczał Rhun.

Dudniło mu w uszach, ćmiło się w oczach. Ręka dotykająca krzyża drżała.

— Nie zawsze się opierałeś — przypomniał mu Grigorij. — Co ujrzałeś, kiedy piłeś moje wino? Może zbezczeszczenie Elisabety?

Rhun odwrócił się i rzucił na Rasputina, lecz słudzy opadli go, przygotowani na taki atak. Dwaj chłopcy chwycili go za ręce, dwaj za nogi, a dwaj kolejni za barki.

Mimo to Rhun walczył, wlokąc ich po marmurowej posadzce.

Grigorij stał kilka kroków dalej i śmiał się.

— Rhunie! — krzyknęła Erin. — Nie rób tego!

Usłyszał strach w jej głosie i sercu. Bała się o ich troje.

Grigorij także to usłyszał. Nic nie umykało jego uwagi.

— Widzisz, Rhunie, ona wie, że trzeba się ciebie bać. Może ją to ocali, choć nie zdołało ocalić twojej szlachetnej Elisabety Bathory.

Rhun usłyszał głośne westchnienie Erin. Nazwisko nie było jej obce.

Wstyd ostatecznie powstrzymał sangwinistę i zwałił go na kolana.

Grigorij patrzył na niego z góry i się uśmiechał.

— A więc nawet twoja przyjaciółka zna to imię. Imię kobiety, którą historia przeklęła jako Krwawą Hrabinię z Węgier. Potwora zrodzonego z twojej wielkiej miłości.

27 października, 17.57

Sankt Petersburg, Rosja

Zimne ręce trzymały Erin i przyciskały do oparcia ławki. Ze wszystkich stron napierały lodowate ciała. Siłą woli powstrzymywała się od ruchu, by nie ulec strachowi, a przede wszystkim, żeby nie sprowokować ataku. Jordan nachylił się ku niej, jego ciało było napięte tak samo jak jej.

Wszystko rozstrzygnie się w ciągu następnych kilku chwil.

Rhun przestał ścigać Grigorija i patrzył jej w twarz. Zobaczyła w nim dziki głód, który niemal rozpałił mu oczy. Oblicze wykrzywił grymas, czubki kłów wbijały się w usta. Widać było, jak toczy walkę z żądzą krwi.

Jego reakcja świadczyła o tym, że Rasputin musiał skazić wino ludzką krwią.

Oprzyj się — powiedziała mu bezgłośnie. Spoglądała mu prosto w oczy, nie odwracając głowy. Chciała patrzeć w twarz kryjącej się w nim bestii i jego hańby.

W końcu ramiona Rhuna opadły i osunął się na kolana. Złożył dłonie i uniósł je do twarzy. Patrzył na nią przez splecione palce. Jego wargi poruszały się, wypowiadając po cichu łacińską modlitwę. Odczytywała słowa z ruchu zaczerwienionych ust; znała tę modlitwę z czasów, gdy musiała klęczeć w pokucie na ziemi.

Wyrwała się tym, którzy ją trzymali, i opadła na kolana.

Razem z Rhunem wypowiadała słowa łacińskiej modlitwy o przebaczenie.

Przez cały czas spoglądała mu w oczy.

Wreszcie opuścił głowę, a gdy ją znów podniósł, kły zniknęły.

— Przegrałeś, Grigoriju — wyszeptał.

— A ty zwyciężyłeś, przyjacielu. Niech się stanie wola Boża — rzekł Rasputin. W jego głosie nie było rozczarowania, lecz szacunek i podziw.

Ci, którzy otaczali dwoje ludzi, z pomrukiem odstępili od ławki.

Siergiej poklepał Jordana po ramieniu.

— Może później.

Gdy sierżant został z Erin, spojrzał jej w twarz. Archeolożka wstała z kolan i usiadła na ławce.

— Nic ci się nie stało? — wyszeptał, niemal dotykając ustami jej policzka.

Tylko pokręciła przecząco głową.

Patrzyła, jak Rhun powoli wstaje, chwiejąc się na nogach.

Jeśli dobrze zrozumiała aluzję popa, Rhun zbeczcześcił Elisabetę Bathory. Znała to nazwisko przewijające się w krwawych podaniach o tym, co się działo w mrocznych leśnych ostępach Węgier i Rumunii.

Elisabeta Bathory, zwana także Krwawą Hrabinią, uchodziła za najokrutniejszą seryjną morderczynię wszech czasów. W siedemnastym wieku w ciągu kilkudziesięciu lat ta bogata węgierska arystokratka zadreńczyła na śmierć zastępy młodych dziewcząt. Liczbę jej ofiar oceniano na setki. Mówiono, że kąpie się w ich krwi, aby zapewnić sobie wieczną młodość.

Tego rodzaju legendy zalaływały wampiryzmem.

Czy to Rhun stworzył potwora? Czy krew tych dziewcząt splamiła jego ręce? Czy wspomnienie o tym nękało go, ilekroć pił wino poddane transsubstancjacji?

Przepełniony cierpieniem oddech zwrócił uwagę Erin, oderwał jej myśli od przeszłości.

— Podczas jazdy samochodem wspomniałeś o jakimś podarunku — rzekł Rasputin, wskazując skórzaną tubę wiszącą na ramieniu sangwinisty. — Pokaż to, zobaczymy, ile jest wart.

Rhun zdjął pojemnik z ramienia.

Rosyjski pop skinął ręką na Erin i Jordana niczym podekscytowany uczeń.

— Podejdźcie tutaj, zobaczmy to wszyscy.

Archeolożka i sierżant wyszli z ławek, a wyznawcy Rasputina uprzątnęli ołtarz, pozostawiając jedynie goły marmur. Gdy skończyli, zostali odprawieni ruchem dłoni.

Erin weszła po schodkach; poczuła intensywny aromat kadzidła i płonących świec.

Kiedy wszyscy zgromadzili się wokół ołtarza, Rasputin oparł pięści na biodrach i spojrzał pożądliwie na długą skórzaną tubę.

— Pokaż! — rozkazał.

Sangwinista przeciął ostrym paznokciem papieską pieczęć i uniósł wieczko. Zajrzał do środka, ściągając brwi, a następnie wytrząsnął zawartość na posadzkę. Zwinięta połać starego płótna spadła na marmur i nieco się rozwinęła.

Rasputin schylił się i ostrożnie, zważając na wiek płótna, rozwinął je.

Erin otworzyła usta i westchnęła na widok malowidła, które ukazało się w blasku świec. W jednej chwili rozpoznała dzieło namalowane pewną ręką holenderskiego mistrza Rembrandta van Rijna.

Był to oryginał.

Przedstawiał Jezusa Chrystusa w trakcie dokonywania największego ze swoich cudów.

Było nim wskrzeszenie Łazarza.

18.04

Grigorij upadł pokornie na kolana przed ołtarzem i malowidłem. Jego mroczni wyznawcy jeden po drugim uczynili to samo.

Rhun stał i patrzył na wyobrażenie Łazarza spoczywającego w kamiennym grobie.

Twórca w niezwykle sposób przekazał tę niezwykłą chwilę. Znał tajemnicę i uwiecznił ją na swoim obrazie. Dzieło było jednym z trzech istniejących egzemplarzy.

W pięknych, sugestywnych liniach Rembrandt ukazał odzianego w śmiertelny całun Łazarza, który powstaje z granitowego sarkofagu. Obok stoją przerażeni krewni i unoszą ręce, jakby bronili się przed człowiekiem, którego kiedyś kochali. Dla nich nie była to chwila radosnego wskrzeszenia. Wiedzieli bowiem, kto uśmiercił Łazarza.

— Pierwszy sangwinista — wyszeptała Erin w śmiertelnej ciszy, jaka zapanowała w cerkwi.

Zgromadzeni wokół grobu byli świadkami narodzin zakonu sangwinistów. Łazarz został zaatakowany i zamienił się w *strigoi*, ale krewni znaleźli go i zamknęli w krypcie, zanim zdążył pożywić się ludzkim ciałem. Skazali go na powolną śmierć przez zagłodzenie, lecz Chrystus przybył i go wyzwolił. Tego dnia dał Łazarzowi możliwość wyboru, na co do tej pory żaden *strigoi* nie miał szansy. Łazarz nie był w stanie zmienić swojej natury, ale mógł wykorzystać miłość i krew Jezusa, by z nią walczyć. Mógł wybrać służbę Jezusowi i liczyć na to, że pewnego dnia doczeka zmartwychwstania swej duszy.

Zawarł z Chrystusem przymierze, żeby mu służyć. Na obrazie symbolizował je oręż — miecz w pochwie oraz kołczan ze strzałami — wiszący nad kryptą Łazarza, który miał się stać narzędziem służby nowemu Kościołowi.

Od tej pory Łazarz przyjął brzemień na swoje barki i stworzył tę część Kościoła, którą stanowili sangwiniści. Uwolniony z krypty, nigdy nie zakosztował ludzkiej krwi. Zawsze znajdował pokrzepienie we krwi Chrystusa. Oprócz niego tylko jeden sangwinista od zarania dziejów rozpoczął swoje istnienie tak, by móc pójść w ślady Łazarza, tylko jeden został przemieniony, zanim po raz pierwszy zabił.

Pozostał czysty, niesplamiony.

Dawno temu to właśnie Rhun był owym sangwinistą. Uważał się za godnego przepowiedni, wierzył w swoją szlachetność.

Znajdował w dumie ukojenie. Aż do dnia, w którym spróbował krwi Elisabety. Tego dnia zamienił się w potwora.

W tamtej chwili dokonał się jego upadek. Tylko jeden w całych dziejach zdołał zachować czystość.

Był nim Łazarz.

Prawdziwy ojciec zakonu.

Nawet Grigorij uznawał jego rolę. Powoli wiódł palcem po postaci herosa, dotykając wąskiej czerwonej linii kapiącej z jego ust.

Czy można było patrzeć na ten obraz i nie widzieć prawdy odkrytej przez Rembrandta? Przerażeni świadkowie, krew na wargach, oręż na ścianie. Rembrandt poznał tajemnice sangwinistów, był jednym z garstki ludzi spoza najwęższej elity Kościoła, którym ujawniono tę wiedzę. W podzięcie za zaszczyt stworzył arcydzieło światła i cienia, zataił sekret, pokazując go jak na dłoni. Była to pamiątka i pomnik zakonu.

Grigorij powstał z klęczek. Oderwał wzrok od obrazu i spojrzał na rozległą mozaikę nad drzwiami swojego kościoła. Przedstawiała żywego Łazarza w całunie, stojącego w wejściu do grobowca; kaptur zasłaniał jego twarz przed słońcem. Chrystus stał przed wskrzeszonym i wyciągał rękę ku nowemu uczniowi. Jego wyznawcy patrzyli z podziwem i zadziwieniem, tak jak wyznawcy Grigorija spoglądali na swojego mistrza.

On zaś z błyszczącymi łzami w oczach spojrzał na Rhuna.

— Pomogę ci szukać księgi, mój przyjacielu. I jeśli Bóg nie zrzędzi inaczej, żadna krzywda cię nie spotka na mojej ziemi.

27 października, 18.08

Sankt Petersburg, Rosja

Jordan stał kilka kroków od ołtarza i się przyglądał.

Nie ufał nikomu. Ani rosyjskiemu mnichowi z jego obłąkańczym śmiechem i podstępными gierkami, ani jego podobnym do mar wyznawcom, którzy wreszcie skryli się w cieniu, ani nawet Rhunowi. Pamiętał krwiożercze pragnienie w oczach mnicha, kiedy ten spoglądał na Erin. Przypominał lwa wlepiającego ślepią w tłuste ciele.

Co najgorsze, nic nie mógł zrobić, gdyby została zaatakowana. Pachołki Grigorija opadły go, unieruchamiając wszystkie kończyny; jego siła nie robiła na nich wrażenia.

Jakieś głosy odwróciły jego uwagę. Dzieci Rasputina, rozmawiając ściszym tonem, wniosły do nawy drewniany stół i cztery toporne krzesła z ciemnego drewna. Musiały być ciężkie, lecz chłopcy trzymali je tak, jakby były zrobione z balsy.

W odróżnieniu od Rasputina jego akolici nie nosili sutann popa, tylko zwyczajne ubrania. Dżinsy, czarne spodnie i swetry. Gdyby Jordan nie wiedział, kim są, uznałby ich za wymizerowanych dorosłych oraz ich potomków.

On jednak znał prawdę.

— Chodźcie! — Rasputin ruszył od ołtarza w kierunku stołu. Kroczył na czele świty, po drodze zabrał także Jordana. Szalony Mnich usiadł i wygładził sutannę niczym pedantyczna starsza pani. — Usiądźmy.

Erin znalazła sobie miejsce, Jordan usiadł obok niej. Ostatnie zostawił dla Rhuna.

Siergiej postawił na środku stołu ogromny srebrny samowar. Inny przyboczny Rasputina wniósł szklanki pasujące do srebrnych uchwytów z uchami.

— Herbaty? — zapytał gospodarz.

— Nie, dziękuję — mruknął Jordan.

Po tym, co spotkało Rhuna, nie miał zamiaru pić ani jeść niczego, co zostało dotknięte ręką Rasputina. Wolałby nie oddychać tym samym powietrzem, którym tamten oddychał.

Erin także odmówiła, lecz ściągała dłońmi w dół krawędź swetra; widać było, że jest jej zimno i chętnie napiłaby się czegoś gorącego.

— Twoi towarzysze mi nie ufają, Rhunie.

Pop obnażył białe zęby. Kły nie były wydłużone, lecz sierżant wcale nie uznał go przez to za mniej niebezpiecznego.

Nikt nie odpowiedział. Najwyraźniej kwestia, czy Rasputin jest godny zaufania, nie wymagała dłuższego omawiania.

Gospodarz zwrócił się do Rhuna.

— A więc darujmy sobie uprzejmości. Dlaczego sądzisz, że Ewangelia może się znajdować w moim mieście?

— Uważamy, że mogli ją sprowadzić rosyjscy żołnierze pod koniec drugiej wojny światowej. — Rhun trzymał dłonie płasko na blacie stołu, jakby gotów był w każdej chwili odepchnąć się od niego i wstać, żeby walczyć, a może wziąć nogi za pas.

— Tak dawno temu?

Rhun przechylił głowę.

— Dokąd mogli zabrać księgę?

— Gdyby wiedzieli, co wpadło w ich ręce, zawieźliby ją Stalinowi. — Rasputin oparł łokcie na stole. — Ale tego nie zrobili.

— Jesteś pewien?

— Oczywiście. Gdyby zabrali ją w jakieś ważne miejsce, wiedziałbym o tym. Ja wiem wszystko.

Rhun dotknął palcem wskazującym miejsca, w którym podczas walki tkwił jego sztylet.

— Niewiele się zmieniłeś przez te sto lat, Grigoriju.

— Zapewne nawiązujesz do mojej grzesznej pychy, która zawsze napawała cię troską o zbawienie mojej duszy. — Rosyjski mnich pokręcił głową. — A tymczasem to twoja duma wymaga troski.

Rhun pochylił głowę.

— Jestem świadom swoich grzechów.

— A mimo to dzień w dzień cierpisz głupio dla pokuty.

— Czyż nie powinniśmy żałować za swoje grzechy? — Rhun poszukał palcami krzyża pectoralnego.

Rasputin nachylił się do niego.

— Może i tak. Ale czy nasze grzechy piętnują nas raz na zawsze? Czy chwila lub dwie chwile słabości mogą być wielką zbrodnią i przeważać szalę setek lat służby?

Jordan skłonny był przyznać mu rację, jednak podejrzewał, że pop miał na sumieniu więcej niż parę chwil słabości.

Sangwinista zacisnął usta.

— Nie przybyłem tu po to, by omawiać z tobą zagadnienia grzechu i pokuty.

— Jaka szkoda. — Gospodarz spojrział na Erin. — Przez lata ja i twój Rhun odbyliśmy wiele nader pouczających dysput.

— Przybyliśmy tutaj po Ewangelię — przypomniała archeolożka. — A nie po naukę.

— Pamiętam o tym. — Rasputin uśmiechnął się do niej. — Powiedzcie mi, skąd została zabrana i kiedy.

Rhun się zawahał, lecz odpowiedział zgodnie z prawdą:

— Natrafiliśmy na dowody świadczące o tym, że księga mogła się znajdować w bunkrze na południu Niemiec, nieopodal opactwa Ettal.

— Dowody, powiadasz? — Rasputin intensywnie wpatrzył się w Jordana, jakby to od niego prędeziej spodziewał się odpowiedzi na swoje pytanie.

Sierżant zamarł w bezruchu. Instynkt podpowiadał mu, aby ukryć przed Rasputinem wszystko, co da się ukryć.

— Ja jestem tylko mięśniakiem.

— Rosja to duży kraj. — Rasputin spojrział na archeolożkę. — Jeśli wy mi nie pomożecie, ja nie będę mógł pomóc wam.

Erin zerknęła na zakonnika i pociągnęła rękaw swojego swetra.

— Piers nam powiedział — odparł Rhun. — Tuż przed śmiercią.

Twarz Rasputina nagle posmutniała.

— A więc jednak zwrócił się ku nazistom?

Sangwinista nie zareagował, gospodarz zatem mówił dalej:

— Zjawił się u mnie na początku wojny. Nie żyło się wtedy tak wygodnie jak teraz. — Zamilkł i z uśmiechem spojrział na milczących wyznawców, którzy stali pod bogato ozdobionymi ścianami. — Ale nawet wtedy miałem pewne możliwości.

— W jakim celu do ciebie przyjechał? — zdziwił się Rhun.

— Kiedyś byliśmy sobie bliscy, Rhunie. Piers był pierwszy, ty drugi, a ja trzeci. Naprawdę tego nie pamiętasz? — W głosie rosyjskiego mnicha słyhać było ból, pod którym kipiał gniew. — Gdzie indziej mógł się udać? Kardynał groził mu ekskomuniką, jeśli nadal będzie poszukiwał księgi. Po wizycie u mnie Piers zwrócił się do nazistów o pomoc, której ja nie zdołałem mu udzielić. Nie chciał zrezygnować z poszukiwań. Trudno jest wyzbyć się obsesji, a ty powinienes o tym wiedzieć po romansie z Elisabetą.

Rhun odwrócił głowę.

— Kardynał Bernard nie postąpiłby tak z Piersem.

Jednak Jordan zauważył, że w słowach sangwinisty brak jest przekonania. Słabo znał kardynała, lecz wiedział, jak wielką wagę hierarcha przywiązuje do proroctwa o trojgu poszukiwaczach księgi. Jego zdaniem ojciec Piers nie miał w tym żadnej roli do odegrania.

Jakże się pomylił...

— Mój drogi, nie znasz swojego wspaniałego kardynała tak dobrze, jak ci się wydaje — ciągnął Grigorij. — Nie zapominaj, że mnie ekskomunikował, choć popełniłem grzech nie większy od twojego. I nie odebrałem życia temu, którego pragnąłem ocalić.

— O czym mówisz? — spytał Jordan. Czuł się tak, jakby wszedł do kina w połowie seansu.

Erin się wyprostowała; odgadła prawdę.

— Mówisz o synu cara Mikołaja, prawda? Miał na imię Aleksiej.

Rasputin obdarzył ją smutnym uśmiechem.

— To nieszczęsne dziecko bardzo się męczyło, a w końcu jego stan tak się pogorszył, że groziła mu śmierć. Cóż miałem począć?

Teraz Jordan przypomniał sobie historię, do której nawiązywał pop. Syn cara był podopiecznym Rasputina. Podobnie jak wiele spośród wnucząt królowej Wiktorii cierpiał na „królewską chorobę”, czyli hemofilię. Na kartach historii można znaleźć informacje, że tylko Rasputin potrafił przynieść chłopcu ulgę w bolesnych krwawieniach wewnętrznych.

— Powinieneś pozwolić mu umrzeć śmiercią naturalną w łasce Bożej — stwierdził Rhun. — Ale ty nie mogłeś. A później nie chciałeś odpokutować za swój grzech.

Jordan domyślił się, że Rasputin zamienił chłopca w potwora, aby ten nie umarł.

— Właśnie dlatego nie zasłużyłeś na przebaczenie — dokończył Rhun.

— Dlaczego uważasz, że pragnąłem przebaczenia kardynała? Że go potrzebowałem?

— Mam wrażenie, że odbiegliśmy od tematu — wtrącił Jordan. Dawne zatargi Rhuna i Grigorija nie posuwały sprawy do przodu. — Pomożesz nam znaleźć tę księgę?

— Powiedźcie najpierw, jak umarł Piers. — Rosyjski pop ujął Erin za rękę. Chciała ją cofnąć, ale tego nie zrobiła, choć powinna. — Proszę.

Opowiedziała o krzyżu w bunkrze i o śmierci Piersa w łodzi.

Grigorij otarł oczy dużą lnianą chusteczką.

— Jak to wytłumaczysz, Rhunie?

— Łaską boską — odparł sangwinista z prostotą, a zarazem z gorącą wiarą.

— Co miałyby wytłumaczyć? — dociekała Erin, spoglądając to na jednego, to na drugiego.

— Piers złamał śluby, a poza tym stworzył blasfemory i karmił się nimi, został więc splamiony. Blask słońca powinien obrócić go w popiół. — Rasputin złożył chustkę i ukrył ją w fałdach sutanny. — Tak dzieje się ze *strigoi*, którzy nie piją krwi Chrystusa. Rhun nic wam nie powiedział?

Powiedział niewiele. Tylko tyle, że słońce je zabija, a nie że spopiela. Jordan pamiętał strach Nadii, kiedy zdejmowała płaszcz z twarzy Piersa. Potem z równie wielkim lękiem uniosła go, aby mógł po raz ostatni spojrzeć na słońce. Umierał w spokoju, a nie gwałtownie; śmierć przyniosła mu ulgę. Czyżby Bóg przebaczył mu na koniec jego grzechy, czy też w żyłach Piersa nadal płynęło Chrystusowe błogosławieństwo i uchroniło go przed spaleniem? Jordan podejrzewał, że nigdy nie poznają prawdziwej odpowiedzi; poza tym mieli na głowie ważniejsze i bardziej aktualne zmartwienia.

— Mówmy o księdze — przypomniał.

Rasputin się wyprostował; widać było, że wraca do teraźniejszości.

— Niemiecki bunkier znajdował się daleko na południu. Wiecie, kiedy dotarły do niego rosyjskie oddziały? Gdybym znał datę...

Jordan odwołał się do swojej wiedzy historycznej; spodziewał się, że Erin może w każdej chwili wpaść mu w słowo.

— Ostatnie duże niemieckie zgrupowanie na południu skapitulowało dwudziestego czwartego kwietnia, ale Rosjanie prawdopodobnie wciąż ścigali niedobitki aż do oficjalnej kapitulacji Niemiec ósmego maja.

Kojarzył w pamięci kolejne daty.

— Jednak w połowie maja Rosjanie dokonywali faktycznego podziału Niemiec, tworząc zaczątek żelaznej kurtyny. Szczyt

działalności grup poszukiwawczo-grabieżczych przypadł pewnie około dwudziestego maja, ale prawdopodobnie czyściły one bunkry przedtem i potem.

Rasputin zmierzył go spojrzeniem niepozobawionym pewnej dozy szacunku.

— W istocie znasz historię.

Jordan wzruszył ramionami i mówił dalej; marzył o tym, by znaleźli księgę i zdołali wydostać się z Rosji cali i zdrowi.

— Dużo czytałem o drugiej wojnie światowej, a jeszcze więcej dowiedziałem się od dziadka, który w niej walczył. Tamten bunkier znajdował się daleko na południu i był odizolowany. Biorąc pod uwagę czas podróży i to, że Rosjanie musieli się wycofać, zanim oddziały amerykańskie rozpoczęły patrolowanie terenu, powiedziałbym, że rosyjscy żołnierze prawdopodobnie dostali się do bunkra między dwudziestym ósmym maja a drugim czerwca. Rzecz jasna, podaję daty z szerokim marginesem błędu.

Erin spojrzała na Jordana z zaskoczeniem, jakby nie spodziewała się usłyszeć od niego czegokolwiek użytecznego. Zdążył już do tego przywyknąć.

— Imponujące obliczenia, sierzancie — pochwalił Rasputin, prostując się na krześle. — I cenna informacja. Ale znalezienie księgi i tak potrwa.

Skąd Rasputin znał stopień Jordana? To było niepokojące.

— Dlaczego cenna? — spytała Erin. — Czemu daty mają znaczenie?

— Najpierw proszę mi powiedzieć, co pani chowa w ubraniu, zacna pani doktor.

A więc Rasputin zna także stopień naukowy Erin i wie, że nosi w kieszeni fragmenty cementu, elementy kasety, w której przechowywano księgę. Skąd się dowiedział?

— Wyczuwam węchem — oznajmił Grigorij.

Erin spojrzała na sangwinistę. Skinął głową, więc wyjęła jeden kamień z kieszeni.

— Sądzymy, że to mogło stanowić obudowę księgi.

Rasputin wyciągnął rękę, a Erin powoli złożyła na niej szary odłamek. Gospodarz powiódł kciukiem po wąskich liniach sadzy w miejscu, w którym kamień został rozsadzony.

Jordan się wyprostował. Jak mógł wcześniej na to nie wpaść?

— Jeśli zdobędziecie detektor materiałów wybuchowych, dopasuję do tego odłamka obiekt o tej samej sygnaturze chemicznej. Jeżeli w tej betonowej kasecie ukryto Ewangelię, na okładce księgi będą się znajdowały te same produkty rozpadu chemicznego. Pod warunkiem że nie zniszczył jej wybuch.

Zszokowany Rhun dotknął krzyża. Najwyraźniej nie wziął pod uwagę możliwości, że księga mogła ulec zniszczeniu. Oznaczałoby to, że narażają życie, poszukując czegoś, co mogło rozpaść się w proch i pył.

Rosyjski mnich skinął na Siergieja.

— Wyruszysz z moim osobistym asystentem. On pomoże ci zdobyć potrzebny przedmiot.

— My działamy zespołowo — rzekł sierżant, nie wstając z krzesła.

18.17

Rasputin zmarszczył czoło, a potem parsknął śmiechem. Erin nie sądziła, że może nienawidzić tego śmiechu bardziej niż wtedy, gdy usłyszała go po raz pierwszy. Zdziwiła się.

— No cóż, dobrze — powiedział Grigorij. — Sporządź opis dla Siergieja.

Ten wyciągnął z tylnej kieszeni notes ze spiralą w grzbiecie i złamany ołówek.

Erin wzięła kawałek betonu ze stołu i schowała do kieszeni, bojąc się, że gospodarz zechce go sobie przywłaszczyć. Najwyraźniej potrafił korzystać z okazji i nie wolno było go nie doceniać. Już i tak wiedział za dużo: że ma do czynienia z doktorem nauk, że we troje poszukują księgi i że prawdopodobnie stanowią triadę opisaną w przepowiedni. Kiedy

Jordan wymieniał możliwe daty splądrowania bunkra, w oczach szalonego rosyjskiego popa błysnął chciwy ogień; archeolożka domyśliła się, że Grigorij już mógł odgadnąć, gdzie znajduje się księga.

Nie ulegało wątpliwości, że dobrze się bawi, patrząc, jak tańczą niczym wytresowane małpki, ale czy pragnie wyłącznie złośliwej zabawy?

Gospodarz wstał i wskazał gestem czarne tabernakulum w tylnej części cerkwi.

— Obejrzymy kamienie brukowe, na które upadł car? Od nich pochodzi nazwa tego przybytku.

Erin odsunęła krzesło, Jordan i Rhun także wstali i podążyli za przygarbionym popem. Wyglądali jak triada sangwinistów: Rhun kroczył na czele, Jordan szedł z prawej strony, a Erin z lewej.

Gospodarz stanął przed tabernakulum. Cztery wypolerowane czarne kolumny podpierały ozdobny marmurowy baldachim z rzeźbionymi zdobieniami w rosyjskim stylu ludowym w formie atramentowoczarnych kamiennych kwiatów i fantazyjnych wzorów. Za małą furtą znajdowała się część wykonana z szarych kamieni brukowych. Jej prostota ostro kontrastowała z wyrafinowaną wspaniałością budowli, przypominając archeolożce, w jakim celu została wzniesiona: aby upamiętnić zamordowanie cara. Porównała w myślach wyniosłe sklepienia i połączoną terakotę z kopcami ziemi na cmentarzu Piskariowskim.

Śmierć niektórych ludzi upamiętnia się z większą pieczołowitością niż innych.

Zastęp wyznawców Rasputina ustawił się w półokręgu za gośćmi; można było odnieść wrażenie, że wiąże ich z przywódcą niewidzialna nić.

— Przychodziłem tutaj często w czasie oblężenia Leningradu — rzekł Rasputin, oparłszy dłonie na drewnianej krawędzi tabernakulum. Rękawy habitu uniosły się, ukazując gęste czarne włosy na nadgarstkach i przedramionach. — Cerkiew została zdekonskrowana. Rzym odebrał jej świętość, jednak budynek

nadawał się dla zmarłych. Zimą ta nawa służyła jako kostnica. Pod ścianami piętrzyły się stosy martwych ciał.

Erin wzdrygnęła się, wyobraziwszy sobie zamarznęte trupy zebrane niczym w rzeźni i czekające na pochówek wiosną.

— Oblężenie przeciągało się, panował coraz większy głód. Ciała zwozili drewnianymi podwodami mężczyźni, którzy przeżyli. Konie zostały już dawno zjedzone. Zmarli trafiali tutaj tak, jak przyszli na świat: nadzy. Każdy skrawek odzieży musiano odzyskać, aby żywi mogli się ogrzać. — Rasputin mówił teraz chrapliwym szeptem. — Mieszkałem w krypcie, nikt nie liczył zmarłych, było ich zbyt wielu. Wychodziłem nocą i rachowałem. Wiecie, ile dzieci zmarło w czasie oblężenia? Nie tylko z zimna, choć mróz był straszny i zebrał swoje żniwo. Nie tylko z głodu, choć i ten zabrał wielu. I nawet nie z rąk nazistów, którzy siali śmierć z nieba i z ziemi. Nie tylko za ich sprawą.

— *Strigoi*? — zapytała ze ściśniętym gardłem Erin.

— Zlecieli się niczym szarańcza, żeby pożerać słabych i głodujących, którzy się tutaj schronili. Uciekłem do Rzymu i błagałem o pomoc. — Rasputin odwrócił się do Rhuna, a ten spuścił wzrok. — Kościół w czasie wojny zachował neutralność, ale sangwiniści nigdy nie zaniechali wojny przeciwko *strigoi*. Aż do tego czasu.

Erin objęła się rękoma. W oblężonym mieście *strigoi* mogli liczyć na obfitość łatwych ofiar.

— Wróciłem z Rzymu sam jeden. Przedzierałem się przez szeregi wojsk, aż dotarłem do ukochanego miasta zamienionego w jedną wielką kostnicę. A kiedy znajdowałem umierające dzieci, ratowałem je i przygarniałem do siebie. Z własnej krwi stworzyłem armię, żeby chronić mój lud przed plagą.

Czarnym rękawem Rasputin wskazał zgromadzenie swoich akolitów.

— Widzicie zaledwie garstkę spośród zaginionych dzieci Leningradu. Anioły, które nie umarły w pohańbieniu.

Wyznawcy poruszyli się; jasne oczy spoglądały z uwielbieniem na mistrza.

— Pani doktor, czy wiesz, ilu ludzi tutaj zginęło?

Erin potrząsnęła głową.

— Dwa miliony. Dwa miliony dusz w mieście, które liczyło niegdyś trzy i pół miliona mieszkańców.

Archeolożka nigdy nie spotkała się twarzą w twarz z kimś, kto widział to cierpienie i kto policzył rosyjskie ofiary.

— Przykro mi.

— Nie mogłem stać z boku. — Rasputin zacisnął krzepkie dłonie w pięści. — I za to mnie odtrącono. Spotkała mnie kara gorsza niż ekskomunika. Za to, że ratowałem dzieci. Co by pani zrobiła na moim miejscu, pani doktor?

— Nie ocaliłeś ich — odezwał się Rhun. — Zamieniłeś je w potwory. Lepiej było pozwolić im odejść na łono Boga.

Rasputin ignorował go, jego głęboko osadzone niebieskie oczy wpatrywały się w Erin.

— Potrafi pani patrzeć w oczy umierającego dziecka, słuchać jego gasnącego serca i nic nie robić? Dlaczego Bóg dał mi tę moc, jeśli nie po to, bym ratował niewinnych?

Erin pamiętała widok swojej siostrzyczki, której serce biło coraz wolniej, aż wreszcie zamilkło. Błagała ojca, żeby pozwolił pojechać do szpitala, modliła się do Boga, by ocalił maleństwo. Jednak jej ojciec, a także Bóg postanowili pozwolić niewinnemu dziecku umrzeć. Świadomość, że nie zdołała uratować maleńkiej siostry, dręczyła ją przez całe życie.

Wsunęła rękę do kieszeni i dotknęła skrawka kołdry. A gdyby miała wtedy odwagę Rasputina? Gdyby poddała się gniewowi, rzuciła wyzwanie ojcu i odtrąciła jego interpretację woli Bożej? Jej siostra mogłaby nadal żyć. Czy można było mieć za złe Rasputinowi, że zrobił to, na co ona nie umiała się zdobyć?

— Splugawiłeś ich — oznajmił Rhun i dotknął rękawem płaszcza Erin, jakby wyczuł jej smutek. Wzrok Rasputina powędrował za tym gestem. — Nie ocaliłeś tych dzieci. Z twojej winy nie znalazły wiecznego spokoju u boku Boga.

— Jesteś o tym przekonany, przyjacielu? — spytał Grigorij i odwrócił się do sangwinisty. — A ty znalazłeś spokój w służbie

Kościółowi? Kiedy staniemy przed obliczem Boga, kto będzie miał czystsza duszę? Ten, który uratował dzieci, czy ten, który uczynił potwora z ukochanej kobiety?

Oczy Rasputina zwróciły się ku Erin.

Dostrzegła w nich mroczną przestroga i zadrzała.

27 października, 18.22

Sankt Petersburg, Rosja

Zanim Rhun zdążył zareagować na obelżywe słowa Grigorija, ktoś zakłócił wymianę zdań. Wszyscy oprócz Erin i Jordana zwrócili oczy w kierunku wejścia wspaniałej cerkwi. Zmysły sangwinisty ponownie zostały zaatakowane przez migotliwe refleksy świec w niezliczonych płytkach mozaik, we wzorzystych marmurach i na połączonych powierzchniach.

Pomimo tego przytłaczającego chaosu wychwycił bicie serca zbliżające się do zewnętrznych drzwi. Skądś znał ten rytm — ale skąd? — lecz odgłos bicia serc Erin i Jordana oraz natłok wrażeń zmysłowych spowodowały, że nie potrafił stwierdzić, co przyprawiało go o tak silny niepokój.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Erin i Jordan także się odwrócili, słysząc mocny, natarczywy odgłos.

Grigorij uniósł dłoń.

— O, zdaje się, że mam więcej gości. Wybaczcie.

Posępni wyznawcy otoczyli Rhuna i jego towarzyszy, spychając ich ku apsydzie.

Rhun wciąż spoglądał w stronę wejścia, kierując wszystkie zmysły ku tajemniczemu przybyszowi, lecz pochłonęła go woń krwi i spalonej skóry niosąca się od akolitów Grigorija. Zdenerwowany, głęboko odetchnął i pomodlił się o cierpliwość wobec przeciwności losu, co go jednak wcale nie uspokoiło.

Grigorij machnął lekceważąco ręką i zniknął w przedsionku, a następnie wyszedł w zimną noc.

— Mam już dość tego ciągłego przepędzania — oznajmił Jordan pchnięty łokciem ku Erin.

— Traktują nas jak krowy — potwierdził Rhun.

— Mnie traktują jak byka — sprostował sierżant. — Wolę zachować swoją godność, jakakolwiek by była.

Erin skrzyżowała ręce na piersi. Wydawało się, że z całej trójki to ona jest najspokojniejsza. Czyżby wierzyła, że Grigorij dotrzyma słowa i dopilnuje, by nie spotkała ich żadna krzywda? Z pewnością nie była tak naiwna. Rhun usiłował pominąć słuchem bicie jej serca i sięgnąć zmysłami za drzwi, ale Grigorij i jego późny gość za bardzo się oddalili.

— Myślisz, że on wie, gdzie jest księga? — zapytała, pokazując, że w rzeczywistości wcale nie darzy Rasputina zaufaniem.

— Nie mam pojęcia. Ale jeśli znajduje się w Rosji, nigdy jej nie znajdziemy bez jego pomocy.

— I co potem? — chciał wiedzieć Jordan. — Co on zrobi z tobą, z nami? Zdaje mi się, że nie będzie nam do śmiechu.

Rhun nieco się rozluźnił, widząc, że Jordan również przejrzał mnicha.

— Rzeczywiście.

— A ja myślę, że dotrzyma danego słowa — oznajmiła rezolutnie Erin. — To jednak wcale nie musi się okazać lepsze od tej drugiej ewentualności. Rasputin sprawia wrażenie kogoś, kto z uśmiechem na ustach prowadzi grę na wielu szachownicach.

Rhun skinął głową.

— Grigorij dotrzymuje słowa, ale trzeba uważać na każde, które wypowiada. On niczego nie mówi ot, tak sobie. A jego wyobrażenie lojalności jest... trochę dziwne.

Jordan spojrział na nieskorych do rozmowy wyznawców Rasputina, którzy pełnili rolę milczącej straży.

— Byłoby nam tutaj łatwiej, gdyby Kościół dotrzymał słowa. Powinien przyjść tym ludziom z pomocą w czasie oblężenia,

zwłaszcza że w mieście grasowali krwiożerczy *strigoi*. Może nie mielibyśmy w Rasputinie wroga.

Rhun przesuwiał różaniec w palcach.

— Naciskałem na kardynała Bernarda w tej sprawie. Przekonywałem, że Chrystus nie ocalił nas po to, byśmy zachowywali neutralność w obliczu zła. Że nakazywał nam walczyć ze złem pod każdą postacią.

Nie wyjawiał im, że w czasie wojny chciał podążyć za Grigorijem do Petersburga. Uważał nieprzekonanie Bernarda do udzielenia pomocy nieszczęsnemu miastu za jedną ze swoich największych klęsk. Być może nie mniejszą niż to, co uczynił Elisabecie.

Jeden z wyznawców Rasputina zbliżył się do trójki obcych. Był to Siergiej. Jego oczy błyszczały zimno niczym szkło.

— Przyznajesz więc, że miał rację?

— Nawet zepsuty zegar dwa razy dziennie pokazuje właściwą godzinę — zauważył Jordan, krzyżując ramiona. — A racja nie zawsze oznacza dobro.

Spór utknął w martwym punkcie.

Erin poświęciła następną godzinę na oglądanie przypominających klejnoty mozaik. Tam, gdzie było to możliwe, zatrzymywała się i dotykała ich, jakby próbowała je zrozumieć przez dotyk. Rhun wprost nie mógł na nie patrzeć. To, że te przepiękne dzieła sztuki sakralnej zdobiły jaskinię zepsucia, stanowiło obrazę dla Boga.

Jak przystało na porządnego żołnierza, Jordan usiadł przy stole i oparł głowę na blacie; kiedy nie ma nic innego do roboty, trzeba skorzystać z okazji i odrobinę się zdrzemnąć. Rhun podziwiał jego zmysł praktyczny, ale sam nie mógł się zdobyć na taki stoicyzm. Sięgnął zmysłami za mury cerkwi i wsłuchiwał się w rytm miasta, w którym zapadała noc. Szum samochodów zamierał, odgłos kroków był coraz cichszy, głosy się oddalały. W tle słychać było delikatny szmer padającego śniegu.

Naraz rozległ się odgłos kroków i szybkie bicie serca kogoś, kto zbliżał się do drzwi cerkwi. Rhun i jego towarzysze odwrócili

głowy, lecz wyznawcy Grigorija najwyraźniej zdążyli już rozpoznać przybysza, gdyż nie pofatygowali się, żeby ponownie zapędzić trójkę obcych do kryjówki.

Siergiej wyszedł do przedsionka i wrócił w towarzystwie drobnego człowieczka z tłustymi włosami i spiczastym nosem. Przybysz wniósł ze sobą chłodny zapach śniegu.

— Nie było łatwo zdobyć tego, o co prosisz — rzekł, podając Siergiejowi paczkę wielkości pudełka do butów zapakowaną w folię.

Ten dał mu zwitek banknotów, które mężczyzna przeliczył brązowym od nikotyny palcem. Schował pieniądze do kieszeni, skinął Siergiejowi głową i szybko, ukradkiem wyszedł z cerkwi.

Siergiej odwrócił się do Rhuna i jego towarzyszy.

— Teraz nasza kolej na wręczanie podarków, *da*?

18.38

Jordan wziął pudełko, otworzył mały zamek i uniósł wieczko. Gwizdnął z podziwu, jakby dostał przedwczesny prezent gwiazdkowy.

— Co to takiego? — zapytała Erin, dotykając go łokciem. Poczul świeży zapach pościeli w niemieckim hotelu i przypomniał sobie ich pierwszy pocałunek. — Jordanie?

Po chwili wziął się w garść.

— To, o co prosiłem. — Przechylił pudełko, pokazując niebieskie urządzenie elektroniczne zapakowane w szarą piankę. Były tam także baterie, paski mocujące, instrukcja obsługi oraz narzędzia do pobierania próbek. — Przenośny detektor materiałów wybuchowych.

— Wygląda jak przerośnięty pilot do telewizora. — Dotknęła palcem niebieskiej obudowy. — Tylko przycisków ma za mało.

— W sam raz — odparł Jordan. — Jeśli działa prawidłowo, może wykryć śladowe ilości materiałów wybuchowych w stężeniach rzędu jednej cząsteczki na trylion, bez względu na

to, czy jest to C-4, proch, amon lub mocznik potasu. Potrafi wyszukać praktycznie wszystko, czego próbkę da się pobrać.

— Jak działa to urządzenie? — Erin sprawiała wrażenie, że chce wziąć je do ręki i obejrzeć.

— Wykorzystuje fluorescencyjne polimery wzmacniające. — Jordan wyjął detektor z pianki i poczuł ukłucie bólu w kciuku pogryzionym przez nietoperze. — Wysyła promień światła ultrafioletowego i sprawdza, jak zachowują się pobudzone cząstki w paśmie fluorescencyjnym.

— Czy jest niebezpieczne? — spytał Rhun, podejrzliwie oglądając przyrząd.

— Nie. — Jordan włożył baterie na miejsce i włączył detektor. — Daj mi ten kawałek betonu od księgi.

Erin wyjęła kamień z kieszeni; jej zimne palce musnęły wnętrze jego dłoni. Nie wiedział, czy zrobiła to celowo, ale nie miałyby nic przeciwko temu, aby powtarzała to do znudzenia.

Rhun chrząknął.

— Wystarczy do naszych potrzeb?

— Powinno się przydać.

Jordan obejrzał ślady spalenizny na krawędzi betonu zrobionego z popiołu. Stwierdził, że próbka wystarczy do badania, położył wszystko na stole i zabrał się do pracy.

— Powinno się udać tak skalibrować urządzenie, żeby wykryć środek wybuchowy użyty do rozsadzenia cementowej kasety. To małe pudełko stanie się naszym elektronicznym ogarem.

Ledwie zakończył operację kalibrowania, gdy wrócił Rasputin. Był rozpromieniony. Na jego widok Jordan znieruchomiał. Jeśli coś radowało Szalonego Mnicha, nie mogło być korzystne dla jego gości.

18.46

Erin odwróciła się do Rasputina; Rhun stał w pobliżu. Jordan zajął się dostrajaniem detektora.

— Dobry wieczór! — odezwał się Rasputin, podchodząc ku nim. Jeszcze bardziej niż poprzednio tryskał energią i entuzjazmem. — Mam nadzieję, że sprzęt, który zdobyliśmy, jest zadowalający.

— Owszem — przyznał niechętnie Jordan. — I gotowy do pracy.

— Tak samo jak ja. — Grigorij zatarł ręce i się uśmiechnął. Cieszył się jak małe dziecko, które wie, że idzie do cukierni na lody.

— Masz informacje o miejscu przechowywania księgi? — zapytała Erin.

— Być może. Wiem, dokąd mogła trafić, jeśli została przywieziona do Petersburga w czasie, który określił sierżant.

Podszedł do Erin, położył jej rękę na plecach i skierował ku środkowi cerkwi. Archeolożka chciała odsunąć jego dłoń. Ręka jednak pozostała tam przez sekundę, była jak wykuta z kamienia. Potem z ledwo widocznym uśmieszkiem pop pozwolił jej ją odepchnąć. Przesłanie tego gestu było jasne: jestem od ciebie silniejszy i zrobię to, co będę chciał.

Na ten widok Jordan wziął detektor, wstał i zbliżył się do Erin; powodowała nim zazdrość albo obawa. Archeolożka zauważyła, że myśl ta nie niepokoi jej tak bardzo jak w Jerozolimie. Stali tuż obok siebie, od jednego ciała do drugiego płynęło ciepło.

Jordan poczuł je i jego wzrok lekko się zamglił.

Rasputin zatrzymał grupę pośrodku cerkwi. Uklęknął na kamiennej mozaice i wyjął jedną płytkę ze środka kwiatu. Siergiej podał mu metalowy pręt zakończony haczykiem tak jak łom. Rasputin wcisnął jego końcówkę do otworu i jedną ręką uniósł okrągły fragment posadzki. Ukazał się ciemny szyb prowadzący w dół.

Dżentelmeńskim gestem wskazał metalową drabinę przymocowaną do jednego boku zejścia.

Erin nachyliła się i nie zobaczyła dna, ale poczuła zapach stęchlizny.

Powstrzymała westchnienie.

Znowu schodzili do podziemi.

Rhun okrążył Jordana i pierwszy stanął na drabince, a następnie zaczął szybko schodzić.

Jordan schował detektor do kieszeni i puścił przodem Erin. Zamierzał oddzielić ją od Rasputina.

Nie miała nic przeciwko temu.

Sprawdziła, czy latarka wciąż spoczywa w kieszeni, i podążyła za Rhunem. Zimno metalu przenikało do jej palców i dłoni, gdy dotykała szczebli. Rozpoczęło się najdłuższe w jej życiu zejście po drabinie.

Jordan poszedł za nią, przytrzymując się jedną ręką. Popisywał się czy oszczędzał pogryzioną dłoń? Rana była głęboka, ale jak dotąd się nie skarżył.

Rasputin i jego wyznawcy także schodzili do podziemi.

Erin skupiła uwagę na długiej wędrówce i liczyła szczeble. Doszła do ponad sześćdziesięciu, kiedy wyciągnięta noga dotknęła lodowatego podłoża.

Rhun pomógł jej zejść z drabiny. Nie odmówiła, jej palce skostniały. Zeszła na bok, żeby zrobić miejsce Jordanowi, i wsunęła dłonie do kieszeni.

Sierżant zeskoczył z drabiny i posłał jej krótki uśmiech.

— Kiedy to się skończy, spędzimy tydzień na słonecznej plaży. Na powierzchni. Margarity na mój koszt.

Uśmiechnęła się, mimo że miała ochotę zatkać sobie nos. Powietrze cuchnęło ludzkimi odchodami.

Wypowiadane głośno słowa w języku rosyjskim przypomniały jej o obecności Rasputina, którego postać ciemniała na tle oświetlonego otworu. Schodziło za nim dziesięciu wyznawców. Ktoś zakrył metalową pokrywą otwór wejściowy i wszystko pogrążyło się w ciemności.

Pół sekundy później błysnęła latarka Jordana; Erin także zapaliła swoją.

Strumienie światła padły na wnętrze brudnego okrągłego korytarza z betonu; sklepienie wisiało tak nisko, że Jordan

prawie dotykał go głową. Zielony i brązowy zamarznęty szlam pokrywał posadzkę i sięgał ścian.

Erin walczyła z odruchem wymiotnym. Smród fekaliów napełniał jej usta i sięgał aż w głąb gardła. Powiedziała sobie, że wytrzyma. Latem na pewno jest gorzej.

Rasputin uśmiechnął się posępnie.

— Nie tak miło jak w starożytnym grobowcu, prawda?

Potrząsnęła głową.

— Obawiam się, że to podziemie wciąż służy jako grobowiec — rzekł Rasputin. — Każdej zimy bezdomne dzieci Petersburga kryją się w kanałach. Dziesiątki tysięcy. Przynosimy im ciepłą strawę i chronimy kanały przed *strigoi*, ale to za mało. W ciemności wciąż umierają niewinni, a twój wspaniały Kościół o to nie dba, Rhunie.

Sangwinista zacisnął usta, lecz się nie odezwał.

Rasputin uniósł jedną ręką rąbek sutanny niczym dama w balowej sukni i poprowadził ich dalej. Pięciu akolitów podążało tuż za nim, a druga piątka zamykała pochód za Rhunem, Erin i Jordanem.

Erin skupiła uwagę na tym, gdzie stąpa, i pilnie baczyła, by się nie pośliznąć. Aż się zatrzęsała na myśl, że mogłaby dotknąć jakąś część ciała tej posadzki. Krzepiła ją nieco świadomość, że po jednej stronie ma Rhuna, po drugiej zaś Jordana, choć nie zdołaliby we trójkę stawić czoła dziesiątce przeciwników. A nawet jedenastce, gdyż tylu ich było łącznie z Rasputinem.

Rhun potknął się i oparł o ścianę.

Jordan skierował na niego światło latarki.

— Dobrze się czujesz?

Wyznawcy Szalonego Mnicha pchnęli ich do przodu.

Rhun wciągnął powietrze do nosa, jakby coś sprawdzał.

— Czyżbym wyczuwał ursusa?! — zawołał do Rasputina. — Tutaj, pod ziemią?!

Erin pociągnęła nosem, ale niczego nie poczuła.

— Nie pierwszego lepszego, tylko samą Ursę — odparł gromkim głosem Grigorij. — Skoro już tu jesteśmy, powinniśmy

złożyć jej wizytę na cześć dawnych czasów.

Mnich skręcił raptownie w boczny tunel, kierując tam pozostałych.

Erin zauważyła, że Rhun drapie się po prawej nodze. W jego wzroku wyczytała niepokój, nawet lęk.

Jordan także musiał to dostrzec, bo ujął ją za rękę.

Brnęli jeszcze kilka minut i wtedy ona też poczuła zapach. Dorastała w lasach Kalifornii i znała tę duszną woń.

Niedźwiedź.

Jordan mocniej zacisnął palce na jej dłoni.

Rasputin zatrzymał się na skrzyżowaniu dwóch tuneli.

Tak samo jak w bunkrze miejsce oznaczone było literą X.

Tunele zbiegały się w grocie o powierzchni około dwustu trzydziestu metrów kwadratowych. Wykute z żelaza bramy ze wszystkich stron zamykały wejścia do olbrzymiej klatki. Miały postać fantastycznych drzew ze splątanymi konarami i liśćmi; przypominały bór. Ten sam wzór widniał na betonowych ścianach, które pokrywała szklana mozaika z wizerunkami drzew i ptaków. Głębokie odcienie kojarzące się z klejnotami przypominały mozaikę zdobiącą cerkiew na powierzchni.

Mimo że całość wyglądała pięknie, Erin zmagala się z mdłościami. Dusznemu zapachowi niedźwiedzia towarzyszył odór gnijącego mięsa i zepsutej starej krwi.

Jordan oświetlił wnętrze groty. Strumień światła padł na czarne futro zwinięte na wierzchołku stosu szarych kości i iglastych gałęzi.

Rasputin rąbnął dłońmi w bramę.

— Moja droga Urso, zbudź się!

Czarny kłab poruszył się, aż zatrzeszczały pod nim gałęzie i kości, a potem leniwie przetoczył się na brzuch.

Pokryty bliznami nos uniósł się i poruszył, węsząc. Stwór stanął niepewnie na czterech łapach.

Erin aż otworzyła usta ze zdziwienia. Kłab zwierza otarł się o sklepienie jaskini. Niedźwiedź musiał mieć około dwóch

metrów w kłębie, a gdyby się wyprostował, miałby zapewne cztery i pół metra wzrostu.

Potrząsnął łbem i obudził się, a następnie skierował wzrok na przybyszów. Rubinowe źrenice zabłyśły na tle bezdennej czerni. Ich blask stanowił świadectwo skażonej natury zwierzęcia. Erin poczuła, że jeżą się wszystkie włoski na jej ciele.

Zwierz rzucił się do szarży jak błyskawica.

Rhun stanął przed Erin i uniósł ręce, by jej bronić. Była mu wdzięczna, lecz na nic by się to zdało, gdyby zwierz sforsował bramę.

— Kochana Ursa — przemówił czule Rasputin, kiedy niedźwiedź zatrzymał się przed nim z poślizgiem. — Zjadłabyś coś jeszcze przed zimowym snem?

Serce Erin zaczęło bić szybciej. Czyżby szalony pop zamierzał nakarmić nimi zwierza? Spojrzała szybko na Jordana i Rhuna i odgadła, że myślą o tym samym. Nawet wyznawcy Rasputina się cofnęli, zachowując odpowiednią odległość od zagrożenia.

Niedźwiedź otarł się ogromnym łbem o żelazną bramę; czern futra przetykana była szarością. Zwierz był stary.

Rasputin wsunął rękę między kraty i popieścił jego uszy. Niedźwiedź fuknął przyjaźnie, a potem odwrócił łeb w kierunku Rhuna i zmierzwszy go spojrzeniem nienaturalnie czerwonych oczu, warknął groźnie.

— Widzisz, pamięta cię! — zachichotał Rasputin, klepiąc zwierzę pod brodą. — Wyobraź sobie! Po tylu latach.

Ręka sangwinisty powędrowała do nogi.

— Ja też ją pamiętam.

Jego mina świadczyła, że nie było to radosne wspomnienie.

— Noga, jak widzę, dobrze się zagoiła — rzekł Grigorij. — Okazałeś wtedy niepotrzebną lekkomyślność.

— Dlaczego ona jest tutaj? — zapytał z gniewem Rhun.

— Zimą nie było dla niej bezpiecznego miejsca w dziczy. Ludzie mogliby znaleźć jej gawrę. A ona ma już swoje lata i budzi się powoli. Zasługuje na to, żeby spędzić chłody w spokoju.

Rasputin podwinął długi czarny rękaw, wyjął z sutanny krótki sztylet i przeciął sobie nadgarstek. Buchnęła z niego ciemna krew. Wsunął przez kratę muskularne ramię. Zwierz znowu fuknął, obwąchał rękę i polizał ją. Długi czerwony jęzor owijał się wokół ręki mnicha i poruszał.

Grigorij nie przestawał cicho mówić po rosyjsku do niedźwiedzicy.

Erin z obrzydzeniem zakryła usta, a Jordan przełknął ślinę.

Olbrzymia łapa zwierzęcia kopnęła jakiś zaokrąglony przedmiot, który potoczył się i wyleciał przez ozdobną kratę. Zatrzymał się u stóp Erin, a ta oświetliła go latarką.

Była to ludzka czaszka.

Wiszące na niej wąskie paski mięsa świadczyły, że ofiara została niedawno zabita.

Przerażona Erin się cofnęła.

— Dość tego, Grigoriju! — powiedział stanowczo Rhun.

Rasputin odsunął białą rękę sprzed pyska niedźwiedzicy i opuścił rękaw. Zerknął na sangwinistę i jego towarzyszy.

— Aż tak bardzo ci spieszo?

— Przybyliśmy tutaj, żeby odnaleźć księgę i wyjechać. — Ciemne oczy Rhuna nieustannie śledziły niedźwiedzicę. — Tak jak nam obiecałeś.

— Owszem, obiecałem. — Rasputin wyjął z rękawa chustkę i otarł dłonie. — Chodźcie za mną.

Ruszył z powrotem do tunelu; gdy przechodził, niosła się za nim woń krwi i niedźwiedzia.

Erin chętnie za nim podążyła. Nie potrzebowała zachęty, żeby oddalić się od zwierza.

— Rhunie — powiedziała, idąc obok sangwinisty. — Co zaszło między tobą a niedźwiedzicą?

Westchnął ze zniecierpliwieniem.

— Ursę nazywano kiedyś Niedźwiedzicą Świętego Korbiniana. Znasz tę historię?

Erin skinęła głową. W dzieciństwie zmuszano ją do uczenia się na pamięć imion świętych i związanych z nimi legend.

— W drodze do Rzymu święty Korbinian napotkał niedźwiedzia, który pożarł jego muła. Później dzięki woli Bożej nakłonił zwierzę, żeby przyjęło siodło na grzbiet. Ale ten potwór, którego widzieliśmy, nie może być tamtym niedźwiedziem. To podanie pochodzi z ósmego wieku.

— Ta niedźwiedzica jest blasfemorem, a one mogą żyć bardzo długo. Korbinian natknął się na tego potwora na trakcie i go ujarzmił. Bardzo rzadko się zdarza, żeby blasfemor nagiął się do woli sangwinisty.

Erin przypomniała sobie Piersa i nietoperze, lecz nic nie powiedziała.

Jordan obejrzał się przez ramię.

— Tak duża niedźwiedzica z pewnością nadawała się na wierzchowca.

— Jak ją spotkałeś? — dopytywała się archeolożka.

— Przed osiemdziesięciu laty rozeszła się wieść o ogromnym niedźwiedziu, który pożerał rosyjskich chłopów. Piers, Grigorij i ja otrzymaliśmy polecenie, aby się go pozbyć.

— Wygląda na to, że go nie spełniliście — stwierdził Jordan.

Rasputin poczekał na trójkę gości i włączył się do rozmowy, klepiąc przy tym Rhuna w ramię.

— Nie dlatego, że nie podjęliśmy próby. Rhun wytropił jej zimowe legowisko. Piersowi zadanie się nie spodobało i odmówił w nim udziału. Jednak ojczulek okazał się bardzo pomocny po tym, jak zwierzę omal nie urwał Rhunowi nogi.

Sangwinista znów dotknął kończyny.

— Goiła się ponad dziesięć lat.

— Ursa zwyczajnie się zlekła — wyjaśnił Rasputin. — To łagodna duszyczka.

Erin pomyślała o stosie ludzkich kości w grocie.

— Na mnie nie zrobiła takiego wrażenia — zauważył Jordan.

— Kiedy razem z Piersem wyciągnęliśmy Rhuna z figlarnego uścisku Ursy, niedźwiedzica umknęła do kniei. — Grigorij potrząsnął głową. — Nie udało jej się wytropić. W końcu wezwano nas do Rzymu.

— Ale teraz ją znalazłeś — odezwał się Rhun. — W jaki sposób?

— Zawołała mnie — odparł mnich. — Kiedy opuściłem zakon sangwinistów i pogodziłem się ze swoją prawdziwą naturą, blasfemory zaczęły do mnie lgnąć.

— Wyrzutki szukają podobnych sobie — orzekł z goryczą Rhun.

— Jesteśmy tacy, jacy jesteśmy, Rhunie. Pogodzenie się z losem, a nie opieranie mu, daje więcej siły, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić.

— Ja nie szukam siły, lecz łaski.

Rasputin zachichotał.

— I znalazłeś ją po wiekach dążeń? Może łaska, której szukasz, jest w twoim sercu, a nie w kościelnych murach.

Rhun zacisnął usta.

Przez kilka minut nikt się nie odzywał. Szli w milczeniu, słyhać było jedynie chrzęst butów na plugawym lodzie.

Minęli kilka tuneli skierowanych w różne strony, a także drabiny prowadzące ku górze i w dół na niższe poziomy kanałów. Erin zwykle dobrze się orientowała w kierunkach pod ziemią, ale nie zdołałaby odnaleźć drogi do cerkwi. Jordan zdawał się coś liczyć, miała więc nadzieję, że wie, gdzie się znajdują.

Wreszcie Rasputin zatrzymał się i wszedł na metalową drabinę. Erin zaświeciła latarką w górę, lecz nie dostrzegła jej końca.

— No to naprzód — powiedział Jordan, wyciągając szyję. — Chyba nie mogę liczyć na to, że ta drabina doprowadzi nas do Starbucksa?

Wszyscy po kolei wchodzili na nią i ruszali na górę.

Okazało się, że wyszli w czystym betonowym pomieszczeniu. Erin ucieszyła się, że smród został na dole. Wciągnęła świeże powietrze do płuc, aby je oczyścić. Jedynym przedmiotem znajdującym się w komorze była szara metalowa skrzynka połączona z kablami biegnącymi do sufitu.

Rasputin nie zwrócił na nią uwagi i podszedł do drzwi z ciemnoszarej stali. Otworzył je dużym staroświeckim kluczem i przeszedł do następnego pomieszczenia. Znajdowały się tam kolejne drzwi, lecz zabezpieczone były nowoczesną klawiaturą umieszczoną na ścianie. Jego palce przemknęły po klawiszach, wybierając cyfry tak szybko, że Erin nie zdołała ich zapamiętać.

Grube stalowe drzwi otworzyły się samoczynnie niczym w bankowym skarbcu.

Rasputin przekroczył ostrożnie próg i skinął ręką na towarzyszy. Znaleźli się w ciemnym korytarzu o ochrowych ścianach. Odchodziło od niego wiele korytarzy prowadzących w różnych kierunkach. Tworzyły coś w rodzaju olbrzymiego labiryntu.

Rosyjski mnich przyspieszył kroku. Wchodzili coraz głębiej w gąszcz korytarzy i niebawem nawet Jordan przestał liczyć rozgałęzienia.

Przez dziesięć minut mijali sale, zakurzone pokoiki i wspinali się po schodkach. Rasputin zatrzymał się przed niepozornymi drewnianymi drzwiami z czarną szklaną klamką. Nie różniły się zbyt od setek innych, które minęli po drodze.

Grigorij wyjął z fałd sutanny ciężkie kółko z kluczami. Było ich z pięćdziesiąt. Pogmerał chwilę i wybrał właściwy.

Kiedy wkładał go do dziurki, Rhun stanął między nim a Erin. Jordan zajął miejsce po jej drugiej stronie. Wyznawcy Rasputina ustawili się za nimi w półkolu.

Klucz obrócił się z leniwym zgrzytem i mnich pchnął drzwi.

— Chodźcie!

Znaleźli się w mrocznym pomieszczeniu pachnącym rdzą i pleśnią. Erin poczuła drapanie w gardle i zakasłała. Trudno było orzec, od jak dawna wnętrza nie wietrzono. Jak przystało na naukowca, pomyślała, że przydałaby się maska przeciwpyłowa.

Rasputin, który stał kilka kroków dalej, pociągnął za sznurek biegnący do gołej żarówki zawieszanej pod sufitem. Mdłe, migotliwe światło padło na stosy makulatury pod ścianami.

Pomieszczenie wyglądało jak salonik w domu kolekcjonera staroci.

— Oto jesteśmy! — rzekł Rasputin i odwrócił się do swoich wyznawców. — Zaczekajcie na zewnątrz. Już jest nas tutaj za wielu.

— Ale gdzie my właściwie jesteśmy? — spytał Jordan; żarówka buczała pod sufitem.

— Pod Ermitażem — odparł rosyjski mnich. — Jednym z największych i najstarszych muzeów sztuki na świecie.

Sierżant rozejrzał się po zagraconej salce.

— Nie wygląda imponująco — ocenił.

— To jeden z magazynów muzealnych — odparł Rasputin, rzucając mu ostre spojrzenie. — Muzeum znajduje się nad nami i jest piękne.

Erin poczuła ukłucie zawodowej złości. Tak jak wielu uczonych słyszała o tym, że zbiory Ermitażu znajdują się w opłakanym stanie, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że może być aż tak źle. Zrobiła krok i spod stosu spleśniałych kołder wyskoczyło kilka myszy.

Cofnęła się przestraszona.

— A więc to tutaj przechowuje się niewykorzystane zbiory muzeum?

Rasputin tylko wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Co znaczy historia dla kogoś, kto przeżył setki lat?”.

Archeolożka wytarła dłonie o dzinsy i rozejrzała się z przerażeniem. Oprawiony w ramę obraz oparty o ścianę za kołdrami wyglądał jak oryginał drzeworytu Albrechta Dürera *Czterej jeźdźcy Apokalipsy*. Bezcenne dzieło zostało ciśnięte razem z połamanymi narzędziami i gnijącymi tkaninami. Na suficie w miejscu starego przecieku ciemniała plama pleśni.

— To na pewno nie jest właściwe miejsce — obstawała przy swoim Erin.

Rasputin tylko się zaśmiał i dobrodusznie szturchnął Rhuna.

— Doprawdy urocza jest ta twoja Uczona Niewiasta.

Sangwinista nie odpowiedział, tylko odwrócił się do Jordana.

— Możesz wypróbować tutaj działanie detektora.

Sierżant zabrał się do uruchamiania przyrządu, a Erin indagowała dalej:

— Dlaczego te zbiory nie zostały skatalogowane?

Rasputin ściągnął z jakiejś rzeźby coś w rodzaju brudnej ścierki do naczyń; zachowywał się jak człowiek szperający wśród gratów wystawionych na wyprzedazy garażowej.

— Ostrożnie! — Erin dotknęła spuszczonej głowy posągu i jego wysuniętej do przodu nogi. — To tancerz. Rzeźba Rodina, bezcenna.

— Możliwe — potwierdził Rasputin i zbliżył się do stosu oprawionych w skórę tomów; zaczął je przerzucać. Skrawki papieru spadały na podłogę.

Archeolożka zamknęła oczy. Nie mogła patrzeć na takie zachowanie i wolała nie myśleć, jakie szkody poniosły przedmioty zgromadzone w muzeum i archiwa historyczne.

Rhun przeglądał rzeczy w jakiejś skrzynce.

— Dlaczego sądzisz, że to jest właściwe pomieszczenie, Grigoriju?

— Ze względu na datę. — Rasputin dotknął pożąłkłej tekturki przybitej zardzewiałym gwoździem do ściany. — To jedna z sal, w której rosyjskie oddziały powracające z wojny pod koniec maja składały skarby zrabowane w całej Europie.

— Ile jest takich pomieszczeń? — Jordan uruchomił detektor i zaczął się przesuwać od jednej ściany do drugiej.

— Kilka — odparł mnich.

Kawał tynku odpadł od sufitu i przeleciał tuż obok głowy Erin.

— Czy we wszystkich panuje taki chaos? — Migająca żarówka przyprawiała ją o ból w czaszce.

— Jest wiele gorszych.

Westchnęła i przyłączyła się do Rhuna szperającego w skrzynce.

Pół godziny zajęło im przejrzanie zawartości pierwszego pomieszczenia. Podwładni Rasputina nie pomagali; stali w korytarzu i palili papierosy. Dym nie pomógł zbiorom, lecz

Erin stwierdziła, że stanowi tylko kolejne ziarnko piasku w klepsydrze odmierzającej czas do nieuniknionej śmierci tych skarbów ludzkiej kultury.

Rasputin wciąż zachowywał radosny nastrój.

— Jedno z głowy, ale to dopiero początek! — ogłosił i poprowadził gości w głąb wilgotnego korytarza.

Następna sala, podobnie jak pierwsza, zapchana była aż po sufit obiektami bezcennymi pomieszanymi z bezwartościowymi, lecz przynajmniej zgromadzono je według jakiegoś porządku: były to przedmioty pochodzenia wojskowego bądź militaria. Erin patrzyła na kolekcję starych rosyjskich sztandarów, stosy hełmów oraz bagnety ułożone w sągi niczym pnie drewna. Sporą część pomieszczenia zajmowało ogromne śmigło.

Sala była ogromna. Na jej przeszukiwanie można by strawić życie i nigdy nie znaleźć tak małego przedmiotu jak książka.

Naraz detektor zapiszczał.

27 października, 19.18

Ermitaż, Rosja

Jordan aż krzyknął z radości.

Nareszcie będzie można się zabrać do roboty i wyrwać z tego piekła.

— Księga jest tutaj? — zapytała Erin i podbiegła, żeby zajrzeć mu przez ramię. Poczuł jej oddech na szyi.

Musiał się odsunąć.

— Być może, nie wiem. Ale odczyt jest pozytywny. W pobliżu znajduje się jakiś przedmiot o sygnaturze chemicznej zbliżonej do nobla 808. Molekułę tego materiału wykryłem na kawałku cementu, który masz w kieszeni.

Odwrócił się, trzymając detektor w dłoni, i omal na nią nie wpadł. Przyrząd prowadził go do postrzępionych tkanin. Kiedy uniósł jedną, z cichym szelestem rozpadła mu się w palcach.

Tym razem Erin go nie zganiła. Stała tuż obok.

Jordan minął stos tkanin i szedł dalej, kierując się dźwiękiem detektora. Ten zaś prowadził go w kierunku ogromnego śmigła spoczywającego na drewnianej skrzyni na środku sali.

— Wydaje mi się, że pochodzi od miga-3 — oznajmił sierżant, dotykając ręką gładkiego metalu. — Zbudowano ich zaledwie kilka tysięcy, ale dały czadu w walkach powietrznych na froncie wschodnim.

— Czy to śmigło wzbudziło sygnał detektora? — dopytywała się Erin.

— Nieee... — Sierżant uklęknął, kierując końcówkę przed siebie. — To znajduje się pod śmigłem. Prawdopodobnie w skrzyni.

— Odsuniemy śmigło — powiedział Rhun i skinął na Rasputina.

Jordan obejrzał się przez ramię na pozostałych. Normalnie do uniesienia tego monstrum potrzeba było sześciu lub siedmiu mężczyzn. Jednak ci dwaj nie byli ani trochę normalni.

Podeszli do śmigła z dwóch stron i wsunęli ręce pod stalowe płyty. Na milczący sygnał wyprostowali się i dźwignęli metalowy element. Rozległo się stęknienie metalu. Wysięk malujący się na twarzach Rhuna i Grigorija świadczył, że nawet im trudno jest uporać się z ciężarem.

Jordan przemknął pod śmigłem, mając nadzieję, że nie upuszczą mu go na głowę. Zajrzał do skrzynki wypełnionej słomą i serce zadudniło mu w piersi.

O Boże...

— Jest tam coś?! — zawołała Erin.

Sangwinista i mnich zmagali się z masą metalu. Śmigło zakołysało się w ich mdlejących rękach.

— Nie ruszać się! — ryknął Jordan. — Wszyscy stać!

19.22

Słyszac strach w biciu serca żołnierza, a także w jego głosie, Rhun i Grigorij znieruchomieli. Obezwładniający lęk przeszył sangwinistę niczym pazury drapieżnika. Czyżby śmigło zmiażdżyło księżę?

— Co się stało? — spytała Erin. — Pomóc ci?

— Nie! — Od Jordana roznosił się zapach strachu. — Każdy zostaje na swoim miejscu, bo wszyscy zginiemy.

Odczołgał się od ściany, jego serce biło jak szalone.

Rhun czekał, śmigło robiło się coraz cięższe w jego rękach.

Grigorij posłał mu łobuzerski uśmiech.

— I znów zmagamy się, stojąc ramię w ramię, a od śmierci dzieli nas jeden krok. Jak za dawnych czasów, stary druhu.

Jordan wyprostował się powoli.

— Nie możecie położyć śmigła na podłodze. W tej skrzyni jest ładunek wybuchowy. Detektor spełnił swoje zadanie, ale namierzył bombę, a nie książkę.

— Jesteś pewny, że to bomba? — zapytała Erin.

— Radziecki pocisk przeciwczołgowy. Tak, jestem pewny.

Jak zwykle nie dawała za wygraną.

— Może książka ukryta jest pod pociskiem...

— Jeśli tak, to ja jej nie wyjmę. — Jordan wskazał ręką korytarz. — Przykro mi, koledzy, ale będziecie musieli przenieść śmigło do tamtej ściany. Nawet najmniejszy nacisk spowoduje wybuch pocisku i będzie po nas.

— Słyszysz, Rhunie? Musimy uważać — powiedział z beztróskim śmiechem Grigorij.

Pamięć sangwinisty przeniosła go kilkadziesiąt lat wstecz. Grigorij był najbardziej lekkomyślnym członkiem ich tria, wcale nie przejmował się perspektywą śmierci — ani swojej, ani towarzyszy. Dzięki niefrasobliwej brawurze wielokrotnie ocalił Rhunowi życie, lecz także je narażał.

— Powinniście się oddalić, zanim ruszymy się z miejsca? — spytał sangwinista.

— To na nic — odparł sierżant. — Jeśli ten pocisk wybuchnie, rozwali budynek i pół dzielnicy.

Serce Erin zadrżało.

— Proponuję, aby każdy pojednał się z Bogiem. — Usta Grigorija ułożyły się w dobrze znany Rhunowi półuśmiech. — A więc na trzy, tak?

Razem unieśli śmigło wyżej i powoli ruszyli w kierunku ściany. Jordan i Erin schylili się i usunęli z drogi.

Kiedy Rhun i Grigorij odeszli wystarczająco daleko, Jordan dał im znak, aby złożyli śmigło na skrzyniach obok tylnej ściany pomieszczenia.

— A jeśli w tych skrzynkach także są bomby? — zapytał Rhun; jego głos zdradzał wysiłek, którego wymagało dźwiganie ciężkiego elementu.

Jordan zaklął, twarz Erin pobladła.

— Życie wymaga ryzyka. — Grigorij zaczął opuszczać śmigło. — Nie ma sensu, byśmy ginęli z tym brzemieniem na ramionach.

Nie mieli wyboru, a poza tym Rhun wątpił, czy zdoła przenieść ciężar jeszcze o pół metra dalej. Poszedł za przykładem dawnego towarzysza. Wspólnie złożyli śmigło na stosie skrzyń.

Wszyscy czekali, spodziewając się najgorszego.

Jednak skrzynie wytrzymały.

Uspokojony Grigorij zawołał jednego ze swoich wyznawców i nakazał mu, aby rano odnalazł dyrektora muzeum i poinformował go o znalezisku. Rhun był mu wdzięczny za to, że wziął na siebie odpowiedzialność za usunięcie pocisku.

Jeszcze przez godzinę w napięciu przeszukiwali to pomieszczenie i następne; kilka razy rozległy się fałszywe alarmy. Detektor zareagował między innymi na zardzewiały tłumik ciężarówki, która dawno temu musiała się znaleźć w pobliżu eksplodującej bomby.

Kosmyk włosów Erin wysliznął się spod opaski i umorusał policzki. Rhun widział, że archeolożka z trudem znosi zamęt, w jakim się znaleźli. Bardzo przejęła się tym, że tak wiele cennych obiektów spoczywa w ukryciu; jakby zapomniała, że nie zbliżają się do znalezienia księgi.

Grigorij węszył z typową dla siebie upartą cierpliwością, która stanowiła rodzaj przeciwwagi dla jego nierozważnej śmiałości. Szalony Mnich wykazywał się starannością i przebiegłością, o którą niewielu by go podejrzewało.

Detektor odezwał się ponownie.

Erin podeszła do Jordana.

— Znów jakaś część samochodu?

— Oby nie pocisk.

Sierżant zbliżył się do rogu pomieszczenia.

Rhun podążył za nim.

Przyrząd zaprowadził ich do rozpadającego się wiklinowego koszyka, w którym spoczywały niegdyś białe prześcieradła. Na wierzchu osiadła gruba warstwa kurzu, boki kosza nadzierała czarna pleśń.

Rhun podniósł tkaninę leżącą na wierzchu. Obrus. Położył go na sekreterze w stylu Ludwika XIV i sięgnął po następną rzecz.

— Odczyt jest coraz silniejszy — powiedział Jordan. — Uważaj.

Rhun wydobył jeszcze jeden obrus, stos serwetek oraz czerwoną hitlerowską flagę.

Grigorij znieruchomiał na widok rozwijającej się flagi z czarną swastyką. Ilu jego rodaków zginęło z powodu tego symbolu? Sangwinista zwinął płachtę i rzucił ją na bok.

Erin wyjęła z kosza płócienną poszwę wypchaną przedmiotami o dziwnych kształtach. Położyła ją na posadzce i zaczęła wyjmować jeden po drugim. Był wśród nich jakiś tom, lecz okazało się, że jest to tylko niemiecka książka kodowa.

Rhun zamknął oczy. Czy przeznaczeniem Ewangelii jest pozostanie w ukryciu? Może tak byłoby lepiej, może najlepiej będzie, jeśli księga nigdy nie zostanie odnaleziona. Otworzył oczy. Nie, muszą odnaleźć ją choćby po to, żeby nie wpadła w ręce Beliala.

Erin wyjęła z płóciennego worka kilka poczerniałych puszek z sardynkami. Nagle znieruchomiała.

— Jordanie! Rhunie! Spójrzcie!

Trzymała w dłoniach fragment betonu podobny do tych, które stanowiły osłonę księgi.

Jordan przesunął nad nim detektor. Urządzenie zapiszczało.

Uradowana Erin wyjmowała z poszwy następne kawałki, aż ją opróżniła. Pokręciła głową. Księgi tam nie było.

Rhun ścisnął krzyż. Za pomocą bólu chciał powstrzymać zalew czarnej rozpacz.

Czyżby przebyli taki szmat drogi tylko po to, aby znów przeżyć rozczarowanie?

Jordan dalej badał detektorem zawartość kosza.

Urządzenie znów zaczęło wydawać regularne piski.

20.31

Erin wyjęła z kosza ostatni kawałek wytartej tkaniny. Uniosła go niczym pogrzebowy całun i wstrzymała oddech. Bała się tego, co może odkryć, a jednocześnie była podekscytowana. Jednak to, co znalazła, rozczarowało ją i zdezorientowało.

Co to może być? — pytała sama siebie.

Na dnie koszyka spoczywała niepozorna sztabka ciemnoszarego metalu szerokości około trzydziestu centymetrów i nieco większej długości. Uniosła ją ostrożnie. Była ciężka jak ołów.

Lekko rozczarowany Jordan zbliżył do niej detektor.

— To właśnie ten przedmiot uruchomił czujniki. Widzisz ślady sparzenia? Metal musiał się znaleźć w pobliżu takiej samej eksplozji.

Rhun odwrócił się z głową pochyloną nad krzyżem.

Erin nie chciała pogodzić się z porażką. Zaintrygował ją dziwny wygląd przedmiotu. Być może tego właśnie szukali — nie księgi napisanej przez Chrystusa, lecz zabytku o znaczeniu historycznym, kawałka starożytniej rzeźby.

Przypomniała sobie słowa ojca Piersa wypowiedziane po niemiecku i przetłumaczone przez Jordana.

Es ist noch kein Buch.

To nie jest księga.

Czy to właśnie miał na myśli Piers? A może ten kawałek ołowiu został zanieczyszczony przez fragmenty cementu, kiedy wrzucono go razem z nimi do poduszki?

Erin niepokoiło coś, co miało związek z fragmentami, jakaś możliwość, której nie zdążyła zbadać. Teraz jednak miała więcej kawałków układanki...

Odwróciła się i podała Jordanowi blok ołowiu.

— Potrzymaj, chcę zrobić pewną próbę.

Zebrała pokruszone fragmenty gruzu do starego prześcieradła i wyniosła na korytarz, gdzie było więcej miejsca. Wraz z tymi, które zabrała z podwodnego bunkra, miała ich tyle, że mogła się pokusić o dokładniejsze odtworzenie kasety. Może wtedy zdoła odczytać aramejski napis wyryty na jednym z nich. Uznała, że to lepszy pomysł niż grzebanie w stosach gnijących rupieci.

Dała ręką znak podwładnym Rasputina, żeby się odsunęli, i rozłożyła prześcieradło na posadzce. Ci otoczyli ją i obserwowali. Nie zwracając na nich uwagi, wyjęła z poszwy kawałki cementu. Całkowicie skupiła się na wykonywanym zadaniu; odgłosy przeszukiwania pomieszczenia przez Jordana i dwóch duchownych przycichły.

Całkowicie zagłębiła się w świecie tajemnicy.

Czyjaś ręka dotknęła jej ramienia i archeolożka drgnęła.

— Nic więcej nie znaleźliśmy — oznajmił Jordan. — Możemy przejść dalej.

— Potrzebuję jeszcze minuty.

Przykucnął obok niej.

— Co masz?

Blask nagich żarówek oświetlał znalezione kawałki cementu. Erin ułożyła je w kwadrat o boku długości około trzydziestu centymetrów. Ukazał się płaski relief i zarys kształtów aramejskiego liternictwa.

Lewa część reliefu przedstawiała szkielet, nad którym umieszczony był symbol Alfa. Na prawej stronie widniała postać tęgiego mężczyzny z symbolem Omega na głowie. Dwie postacie złączone były w wiecznym uścisku, pleciony sznur owijał się wokół gardła mężczyzny i biegł do dolnej części kręgosłupa szkieletu, wiążąc ze sobą sylwetki.

— Co to oznacza? — zaciekawiał się Jordan.

Erin bezradnie wypuściła powietrze z płuc.

— Nie mam pojęcia.

Jordan dotknął reliefu palcem.

— Widziałem już ten szkielet.

— Co takiego?! Gdzie?! — Zrobiła w myślach błyskawiczny przegląd wspólnie odwiedzonych miejsc: grobowiec w Masadzie, bunkier, rosyjska cerkiew.

— Tędy! — Wyprostował się niczym sprężyna i pędem rzucił do pomieszczenia, z którego przed chwilą wyszli. Omal nie staranował Rasputina.

Erin pomknęła jego śladem, pociągając za sobą Rhuna i popa.

— A to ci wybuchowa para — zauważył Rasputin. — Gorąca krew.

Archeolożka miała nadzieję, że jej krew pozostanie na swoim miejscu.

Jordan podbiegł do kosza i uniósł blok ołowiu. Jego powierzchnię pokrywały czarne znaki. Wytarł rękawem poparzone wybuchem miejsce.

— Spójrz!

Erin schyliła się nad jego ramieniem; dopiero teraz zauważyła niewyraźny rysunek pod śladami eksplozji.

Sierżant splunął na palce i starł nimi sadzę, odsłaniając okrągły fragment.

Z bloku ołowiu spoglądała czaszka, a od niej pod kątem biegł w dół kręgosłup.

Rysunek pasował do tego, który widniał na złożonych fragmentach kasety. Erin wyobraziła sobie zacieki z piaskowca i popiołu, które osiadały na ołowianej płaskorzeźbie i zaschły niczym glina, układając się w odbitkę obrazu umieszczonego na kamiennej pokrywie.

Jordan patrzył na towarzyszkę.

— Czy to także jest kasetka? — spytał, kładąc dłoń na ołowianej powierzchni. — Najpierw cement, potem ołów. Czy Ewangelia może kryć się w środku?

Rhun usłyszał słowa Jordana, pragnął w nie wierzyć. Ale rzecz wydawała się niemożliwa. Wyciągnął niepewnie rękę w kierunku bloku i uprzytomnił sobie, że postępuje jak Erin: dotyka, by uwierzyć w realność przedmiotu.

Czy pod ołowiem może się kryć Ewangelia Chrystusa?

Po tylu wiekach poszukiwań przestał mieć nadzieję, że kiedyś znajdzie księgę. Nabrał przekonania, że grzech, który popełnił wobec Elisabety, uczynił go niegodnym tego zaszczytu.

Jordan położył ciężki blok ołowiu na wyciągniętych rękach Erin. Archeolożka kawałkiem brudnego obrusu starła sadzę.

— Nie widzę złączeń — powiedziała, ważąc przedmiot w dłoni. — Sprawia wrażenie jednolitego. Bardziej przypomina rzeźbę niż kasetę.

Rhun zapragnął wziąć od niej ołowiany blok i zbadać go własnymi rękami, lecz stał nieruchomo.

— Założę się, że Niemcy wierzyli, że coś się kryje w środku. — Jordan stuknął w miejscu naznaczonym śladami wybuchu. — Wygląda na to, że niejedyn raz próbowali to rozsadzić. Dlatego mamy takie silne odczyty detektora.

Grigorij wiercił się obok Rhuna; wyraźnie miał ochotę osobiście zbadać obiekt. Jeśli księga wciąż znajdowała się w ołowianej kasecie, nie powinien jej dotykać. Rhun stanął między nim a Erin.

— Nie musisz się obawiać — rzekł Rasputin. — Wcale się nie ludzę, że mam uczestniczyć w spełnieniu przepowiedni.

Sangwinista dopiero teraz przypomniał sobie o prorocत्वie. Nigdy naprawdę nie dawał mu wiary, zwłaszcza po tym, co spotkało Elisabetę. Ale teraz...

— Dotknijcie kasety wszyscy naraz — zaproponował Rasputin. — Zobaczymy, może się wam ukáže.

— Czy to może być aż tak proste? — zapytał Jordan, kładąc rękę na bloku ołowiu.

Erin umieściła swoją drobniejszą dłoń obok jego dłoni.

Rhun zawahał się; nie chciał, aby prorocत्वo miało się sprawdzić w obecności Grigorija.

Ten zaś, jakby czytając w jego myślach, skinął ręką. Jego posepni wyznawcy weszli do salki. Stanowili realne zagrożenie.

Rhun położył rękę obok dłoni Jordana i Erin.

20.50

Archeolożka stała, bojąc się poruszyć.

Z jednej strony czuła chłód dłoni Rhuna, z drugiej zaś promieniujące ciepło ręki Jordana. Nie mogła uwierzyć, że ona, która poświęciła życie nauce, stoi z dłonią położoną na bloku ołowiu i oczekuje cudu. Co się z nią stało w ciągu półtora dnia? Gdyby nie było obok niej Jordana i Rhuna, czym prędzej cofnęłaby rękę i wsunęła ją do kieszeni.

Oni jednak tam byli, więc stała w miejscu i wmawiała sobie, że robi to dla nich, choć wie swoje.

Jej dłoń zaczęła ogarniać lodowaty chłód. Poczowała się martwa, jak trup. Myśl była irracjonalna, lecz nie chciała zniknąć. Księga jest martwa i nie wróci do życia na rosyjskiej ziemi.

Przypomniała sobie słowa kardynała: „Księgę można stworzyć jedynie w Rzymie”.

— No cóż, spotkało nas rozczarowanie — oznajmił Jordan i pierwszy cofnął dłoń, przerywając krąg i przyznając się do porażki.

Rhun poszedł za jego przykładem, a Erin dźwignęła blok metalu i oparła go na piersi. Czy cud by się zdarzył, gdyby miała wiarę?

Pokręciła głową.

Dość tego.

— Wiedziałem, że nie pójdzie tak łatwo — powiedział Jordan.

— Rzeczywiście. — Rasputin posłał swojemu asystentowi Siergiejowi znaczące spojrzenie i młody wyznawca wyszedł.

Erin wołała nie zgadywać, dokąd się udaje.

— Pozbierajmy kawałki kamienia i ruszajmy w drogę — rzekł Rhun.

— A dokąd ta droga prowadzi? — spytał Rasputin, blokując wyjście.

— Zamierzasz złamać dane słowo, Grigoriju? Ukraść księgę i zabić nas?

Mnich stał nieruchomo.

— Gdyby Bóg was wybrał, nie mógłbym nic zrobić, żeby go powstrzymać.

Pięciu wyznawców Rasputina błyskawicznie go otoczyło.

— Nie bądź głupcem — powiedział ostrzegawczym tonem Rhun. Mówił tak spokojnie, jakby omawiali trasę wycieczki turystycznej. — Na pewno wiesz, że nie macie możliwości, aby otworzyć tutaj księgę.

— Zdaję sobie z tego sprawę, mój drogi Rhunie — odparł z uśmiechem mnich. Erin przebiegł po plecach zimny dreszcz, który nie miał nic wspólnego z rosyjską pogodą. — W tej grze biorą udział większe siły niż ty i ja.

W drzwiach stanął Siergiej.

Podążała za nim bestia, trup, który powrócił do życia.

Wilkozor warknął, groźnie kładąc uszy na łbie. Sierść zjeżyła się na kłębie.

Bliźniak tego, którego uśmiercili na pustyni.

Tuż za nim podążała kobieta. Czułym, lecz zaborczym gestem dotykała grzbietu potwora. Energicznym ruchem głowy odrzuciła z czoła grzywę ognistych włosów. Ukazało się znajome oblicze kobiety o bladej cerze, którą Rhun ujrzał w lesie na południu Niemiec.

Tej, która kilka razy go postrzeliła.

27 października, 21.01

Ermitaż, Rosja

Rhun wpatrywał się w nią, a w jego piersi gorzał ogień. Wspomnienie srebrnych pocisków, które przebijały ciało. Kobieta była łudzaco podobna do Elisabety, miała te same srebrzystoszare oczy, wydatne kości policzkowe i nieskazitelną skórę; nawet tak samo przechylała głowę, a na jej ustach pojawiał się ten sam uśmiech pełen ukrytych znaczeń.

Ale to nie mogła być ona. Rhun zamknął oczy i wsłuchał się w jej serce. Każde jego uderzenie mówiło mu, że ta kobieta nie może być Elisabetą.

Wyrzuty sumienia ustąpiły gniewowi. Nieznajoma wykorzystwała podobieństwo do jego ukochanej, aby go nabrać i zamordować. Jej siepacze zabili Emmanuela. Niewiele brakowało, żeby jego los podzielili wszyscy towarzysze Rhuna.

Jordan odezwał się, lecz sangwinista usłyszał tylko końcówkę zdania:

— ...gość, do którego wyszedłeś dzisiaj przed cerkiew?

— Zawsze staram się być uprzejmym gospodarzem — odrzekł Rasputin.

Rhun otworzył oczy i przyjrzał się kobiecie intruzowi. Podobieństwo było nadzwyczajne, lecz fałszywe. Jak wszędzie w królestwie Rasputina, za pięknym obliczem kryło się zło.

Wyznawcy popa zdawali się jej bać. Stłoczyli się pod ścianą, żeby być jak najdalej od niej i nawet przypadkiem jej nie dotknąć.

— Widzę, że odzyskałeś siły, ojczy Korzo — rzekła z zimnym uśmiechem rudowłosa kobieta.

Jej lodowate spojrzenie prześliznęło się po Erin i zatrzymało na Jordanie. Rhun usłyszał, że jego serce uderzyło szybciej.

Wilkozor stojący u jej boku warczał, jego czerwone ślepie wpatrywały się z nienawiścią w Rhuna. Był bardzo podobny do bestii zabitej na pustyni obok Masady; mógł pochodzić z tego samego miotu. Jeśli tak, to czy wie, że sangwinista zabił jego brata?

Masada.

Rhun w tej chwili sobie uświadomił, że kobieta także musiała tam być. Nie tylko krew Piersa splamiła jej ręce.

Skinęła głową, jakby czytała w jego myślach.

— Tak szybko wyzdrowiałaś. Czyżby to krew twoich kompanów tak cię pokrzepiła?

— Piję jedynie krew Chrystusa.

— Nie zawsze — zauważyła rudowłosa. — Dawno temu splugawiłeś jednego z moich przodków.

— Mój gość opowiedział mi pewną historię — odezwał się Rasputin, grożąc Rhunowi palcem. — Ma poważny powód, żeby się na ciebie gniewać. Po tym, jak popełniłeś tragiczny błąd z Elisabetą, jedna kobieta z każdego pokolenia rodu Bathory skazana zostaje na przekłętym życiu w bólu i poniżeniu. I każda nosi na sobie piętno służby, którą pełni.

Nieznajoma odsłoniła długą szyję, na której widniał czarny odcisk dłoni.

Mimo to Rhun podejrzewał jakąś sztuczkę. Czy kobieta naprawdę pochodzi z rodu Bathory? Czy jest potomkinią pierwszej, którą uznano za Uczoną Niewiastę?

Kardynał Bernard, czytając ówczesne znaki czasu, uznał, że to właśnie Elisabeta jest Uczoną Niewiastą zapowiedzianą w prorocztwie. Okazało się, że popełnił błąd, ale czy ktoś wierzył, że Bernard podąża właściwym tropem? Czy zawładnął rodem Bathory po to, by udaremnić ziszczenie się przepowiedni? A może krył się za tym inny cel?

Rudowłosa skierowała uwagę na Rasputina, jednak nie odwróciła wzroku od Rhuna.

— Pozwól mi zabrać go razem z księgą. Podwoję zapłatę.

Oczy Rhuna się zwęziły. Komu ona służy? Kto zostawił czarne znamię na jej szyi i dlaczego?

Przychodziła mu na myśl tylko jedna osoba wystarczająco potężna, żeby zasługiwać na względy Rasputina. Tajemniczy przywódca Beliala. Ten, który nigdy nie powinien zdobyć księgi.

Przyglądał się znamieniu na szyi kobiety. Czyżby to był cień ręki tego, który kieruje Belialem? Czy kobieta i jej podwładni to jego marionetki? Wstrząsnął nim dreszcz. Mógł się jedynie modlić, by kardynał Bernard miał rację, uważając, że Belial nie zdoła otworzyć księgi. Nie udało się to ani nazistom, ani Rosjanom. Może księga sama jest swoim najlepszym strażnikiem.

Jednak Rhun za wszelką cenę nie chciał podejmować takiego ryzyka.

Obliczał szanse. Dziesięciu *strigoi*, Rasputin i wilkozor. Nie mógł liczyć na zwycięstwo w tej potyczce, a gdyby podjął walkę, Erin i Jordan prawdopodobnie straciliby w niej życie. Szansa być może pojawi się później. Jeśli pozwoli, by Bathory go pojmała, zostanie blisko księgi i będzie mógł spróbować ją odzyskać. Nie mając wyboru, pochylił głowę, zgadzając się na ten warunek.

Rasputin przyglądał mu się przez kilka sekund; widać było, że coś kalkuluje.

— Nie, moja droga, on jest na to zbyt chętny. Przyrzekłem oddać ci księgę, miał to być gest dobrej woli wobec tych, którym służysz. Ale Rhun należy do mnie. Możesz jednak zabrać jednego człowieka, jeśli w zamian twój pan obdarzy mnie później życiem, jakie sobie wybiorę.

— Co innego nam obiecałeś, Grigoriju — rzekł spokojnym głosem Rhun; mimo to pacholki rosyjskiego popa mocniej go przytrzymali. — Jeżeli ktoś ma być zabrany, to dlaczego nie ja?

— Otóż to — podchwyciła Bathory. — Dlaczego nie on?

Rasputin dał znak swoim wyznawcom, a ci niechętnie zbliżyli się do niej.

— Kieruję się własnym osądem. Nie wystawiaj dłużej na próbę mojej cierpliwości.

— Dałeś nam słowo — przypomniał Rhun. — Zapewniłeś nietykalność.

Bathory zignorowała te słowa.

— Wybacz, ojczyźnie Rasputinie. — Spojrzała najpierw na Erin, potem na Jordana. — Przyjmę twoją łaskawą propozycję, ale postawiłeś mnie przed trudnym wyborem. Na kogo padnie?

— Weź mnie — odezwał się Jordan, puszczając do niej oko. — Jestem o wiele zabawniejszy.

— Wcale w to nie wątpię. — Usta Bathory wykrzywiły się w złowieszczym uśmiechu. Srebrzyste oczy popatrzyły na Rhuna. Igrał w nich błysk okrucieństwa. — Ale wezmę kobietę.

Rhun rzucił się w kierunku Bathory, lecz gromada *strigoi* przygniotła go do ziemi, zanim zdołał do niej doskoczyć. Trzech pozostałych unieruchomiło Jordana.

— Cóż, Rhunie. — Rasputin kopnął go lekko czubkiem czarnego buta. — Ja zawsze dotrzymuję danego słowa. Każdego słowa.

Sangwinista usiłował się uwolnić. Jordan także walczył, ale wszystko na próżno. Oczy Erin się rozszerzyły. *Strigoi* chwycili ją pod ręce, nie miała szans na ucieczkę. Rhun przeklinał się za to, że głupio zaufał Rasputinowi. To także była jego wina.

Rasputin oparł ręce na biodrach.

— Bathory, moja droga, dałem słowo, że tej kobiecie nie spadnie włos z głowy, dopóki będzie się znajdowała na rosyjskiej ziemi. A ty dotrzymasz tego przyrzeczenia. Jednak przestanie ono obowiązywać w chwili, gdy branka przekroczy granicę. Wtedy wolno ci postąpić z nią wedle woli.

21.04

Erin usiłowała się uwolnić, lecz nie mogła się nawet poruszyć. Więcej podwładnych Rasputina zapełniło pomieszczenie,

przynosząc ze sobą zapach śmierci.

Rhun szarpał się ze *strigoi*, którzy go trzymali; walczył zębami i paznokciami. Krew trysnęła na ścianę, kolejni przeciwnicy przygwoździli go do ziemi.

Sierżant, który także walczył, nagle znieruchomiał. Erin otworzyła usta ze strachu. Czyżby go zabili? Może stracił przytomność?

Chciała zostać blisko niego, ale było to niemożliwe.

Czyjeś ręce chwyciły blok ołowiu. Inne dłonie założyły jej kajdanki.

Poczuła na szyi zimną obręcz i pachołki Rasputina odstąpiły od niej. Kiedy rzuciła się do nieruchomej postaci Jordana, ostre kolce wbiły się w jej gardło. Po szyi spłynęła krew.

Rozpaczliwie łapiąc powietrze ustami, zatrzymała się. W szyi tętnił ból. Obręcz była nabita ćwiekami jak psia obroża; musiały zostać zaostrome, żeby powodować większy ból. Ktoś wsunął palec pod obręcz, wyciągając kolce z jej skóry. Zacisnęła zęby, żeby nie krzyknąć z bólu.

Skupieni wokół niej *strigoi* wydali jęk. Wszystkie oczy wpatrzyły się w jej szyję. Ten, który ją trzymał, oblizwał wargi.

— Dość tego! — krzyknął Rasputin.

Przepchnął się przez ciżbę i stanął obok Erin. W ręku trzymał skórzaną smycz. Przyczepił ją do obręczy na szyi Erin i podał koniec Bathory.

— Dziękuję — powiedziała, owijając sobie smycz wokół nadgarstka. Drugą ręką ją zacisnęła.

Erin zakrztusiła się, ciasna obręcz nie pozwalała jej odkaszląć. Nie mogła oddychać. Uniosła dłonie do gardła, żeby rozluźnić ją palcami. Zimne ręce ściągnęły je w dół. Czuła, że umiera.

— Żebyśmy się dobrze zrozumiały. — Bathory spojrzała z bliska w jej twarz. — Możesz się zbliżyć do bardzo bolesnej śmierci na rosyjskiej ziemi, a ja nie złamię słowa danego Rasputinowi.

Kolana Erin się ugięły; spojrzała w zimne, srebrzyste oczy. Czy to miała być ostatnia rzecz, którą zobaczy?

— Mam nadzieję, że i ty to rozumiesz, ojciec Korzo. — Bathory popatrzyła na stos ciał stłoczonych na postaci Rhuna.

Erin ogarnęła ciemność.

21.06

Przygnieciony ciężarem akolitów Rasputina Jordan ledwie łapał oddech; miażdżyli mu klatkę piersiową i powoli dusili. Czyjeś zęby wbiły się w jego ręce i nogi.

Boże, nie pozwól mi umrzeć w taki sposób...

Jego błagalna modlitwa znalazła nieoczekiwany odzew.

— Wystarczy! — zagrzemiał daleki głos Grigorija.

Nacisk wielu ciał zelżał, wrogowie stoczyli się z sierżanta. Z ugryzień na jego rękach i nogach sączyła się krew. Kręciło mu się w głowie i przed oczami, lecz po chwili wzrok wrócił do normy.

Niewiarygodnie silne ręce uniosły go i wyprostowały. Pachołkowie Grigorija podnieśli Rhuna. Jeden wciąż leżał na posadzce i obficie krwawił.

Sangwinista walczył skuteczniej niż Jordan.

— Dokąd ta kobieta zabrała Erin? — zapytał Jordan, chwiejąc się na nogach. Musiał stracić sporo krwi.

— Daleko — odparł Rasputin ze swoim szalonym uśmiechem.

— Jeśli Bathory nie zgładzi jej po drodze, chyba wiem, dokąd trafią.

Rhun wypluł krew i otarł brodę wierzchem dłoni.

— Czemu pozwoliłeś Belialowi zabrać ją i księgę? To bezbożnicy. Na pewno wiesz, co się stanie, jeśli ją otworzą.

— Czy skończyłoby się to dla mnie lepiej, gdyby zdobyli ją sangwiniści? — Twarz Rasputina wyrażała ból. — Twój ukochany Kościół wszedł w posiadanie niezliczonych świętych

ksiąg, zapełnił nimi swoje bezcenne tajne archiwum i nigdy nie wykorzystał ani jednej, aby pomóc mnie i moim rodakom.

— Cierpieć będzie cały świat, Grigoriju. Cały świat stworzony przez Boga.

— Świat już cierpi. — Rasputin przesunął ręką po swoich długich włosach. — A twój Bóg nic nie robi. Twój Kościół też nic nie robi. Twoi ludzcy sojusznicy nic nie robią.

Rhun zrobił krok w stronę Rasputina, ale wyznawcy mnicha znów go otoczyli i zmusili, żeby się zatrzymał.

— Jeśli to nie ma znaczenia, uwolnij nas — powiedział Jordan. Rasputin parsknął śmiechem.

— Czarujący jest ten twój wojownik.

— Co dla nas zamyśliłeś?

— To, co zawsze zamyślałem. — Rasputin odwrócił się, żeby wyjść z zatłoczonego pomieszczenia. Strzelił palcami i posępna horda pchnęła za nim Jordana i Rhuna. — Pozwolę twojemu Bogu cię ocalić, Rhunie. Czy nie o to modlisz się od wieków, mój przyjacielu? O zbawienie z Jego ręki.

21.12

Dławiąc się i czując, że pali ją w gardle, Erin szła ciemnym korytarzem za Bathory, wleczone niczym pies. Tamta rozluźniła smycz tylko na tyle, by pozwolić jej oddychać.

W uszach rozbrzmiewały jej słowa Rasputina: „Gdy branka przekroczy granicę, wolno ci postąpić z nią wedle woli”.

Jeśli nie zdoła uciec, zanim opuszczą Rosję, Bathory ją zabije.

A co z Jordanem? Może już zginął.

Nie chciała w to uwierzyć.

Rhun na pewno żył; kiedy ją wyprowadzano, rozpaczliwie walczył z przeważającymi siłami. Jednak Jordan się nie poruszał, przygwożdżony do ziemi i gryziony w ręce i nogi.

Nie mógł zginąć... to niemożliwe.

Uniosła brodę, aby osłabić nieco nacisk kolców na gardło. Nawet tak niewielki ruch sprawił, że ból zacisnął na jej szyi swoje ogniste szczęki. Ćmiło jej się w oczach. Domyślała się, że ćwieki zrobione są ze srebra; obroża była prawdopodobnie przeznaczona dla sangwinistów. Wolała sobie nie wyobrażać, co by czuła, gdyby srebro było dla niej równie trujące jak dla nich.

Bathory szła korytarzami bez wahania, ufając, że jej przerażający wilk prowadzi ją bezbłędnie. Zwierz szedł przodem, czasem tylko opuszczał pysk do ziemi i węszył niczym zwykły pies. Naturalność tego zachowania wzburzyła Erin; ta bestia nie miała prawa postępować jak zwyczajne zwierzę.

— Dlaczego nienawidzisz Rhuna Korzy? — zapytała Erin chrapliwym głosem, który odbił się echem od ścian korytarza.

Smycz drgnęła i gardło archeolożki zacisnęło się ze strachu. Jednak Bathory nie szarpnęła.

— Ten stwór zrujnował moją rodzinę.

Erin wydłużyła krok, żeby dogonić prześladowczynię.

— A więc to prawda. Pochodzisz od Elisabety Bathory? W jaki sposób Rhun doprowadził ją do ruiny?

— Zabił ją i przemienił w *strigoi*. Zaczęła dręczyć kmieci, aby zaspokajać swoje żądze. W tamtych czasach nikt nie zwróciłby na to uwagi, ale potem sięgnęła po dziewczęta arystokratów i król Węgier odarł ją z bogactwa i szlachectwa, a następnie napuścił na nią Kościół. Od tego czasu...

Głos zamilkł i Bathory dotknęła znamienia czerniącego się na jej gardle.

Erin zrobiła kilka kroków.

— Co od tego czasu...

Palce Bathory odsunęły się od szyi.

— Zostaliśmy bez grosza, prześladowano nas. Pojawił się nieznajomy i zaproponował, że wskaże nam sposób na przeżycie, odzyskanie utraconego bogactwa, a także dokonanie zemsty. — Uniosła rękę; na jednym palcu lśnił pierścień z dużym rubinem. — Zwrócił nam nawet część utraconych klejnotów rodzinnych, uratował je potajemnie, zanim zaginęły na zawsze. Jednak ta

szlachetna hojność miała wysoką cenę: jedna kobieta z każdego pokolenia miała iść na służbę do surowego pana i w bólu spełniać jego wolę. To ja jestem tą kobietą z mojego pokolenia. Ta rola przypadła mnie, czy tego chciałam, czy nie chciałam.

Ostatnie słowa zostały wypowiedziane z piekącą goryczą.

Poruszona Erin kilkanaście kroków przeszła w milczeniu. Dotarły do zamkniętych drzwi, które Bathory otworzyła kluczem. Ukazały się brudne schody. Wyjęła z kieszeni latarkę i zaświeciła. Stopnie pięły się kilka pięter w górę. Czekala je długa wspinaczka.

— Chodź.

Bathory wciągnęła Erin na schody; wilkozor pomknął przodem. Obroza przy każdym kroku wpijała się w gardło Erin. Po jej szyi spływała świeża krew. Usiłowała odciąć się myślami od bólu i obmyślić sposób ucieczki.

Wilkozor dotarł do antresoli. Były tam następne drzwi. To może być jedyna szansa.

Kiedy się tam znalazły, Erin głęboko odetchnęła, kucnęła i zamachnęła się nogą, podcinając Bathory na wysokości kolan.

Kiedy ta spadała wąskimi schodami, Erin wyrwała smycz z jej ręki. Prześladowczyni toczyła się bezwładnie, a Erin skręciła w bok. Ćwieki dalej boleśnie raniły jej szyję, ale ona już nie zwracała na to uwagi. Jeśli zdoła przedostać się przez drzwi i jakoś je zablokować, może uda jej się zgubić prześladowców w labiryncie podziemi Ermitażu.

Wilk zawył, jakby wyczuł cierpienie swojej pani.

Pałające ślepie spojrzały w dół na Erin.

Oparła się o drzwi i zaczęła przy nich gmerać skutymi rękoma. Nacisnęła klamkę i wpadła w rozpacz.

Drzwi były zamknięte.

Prowadzony przez oddział akolitów Rasputina Jordan wyczuł odór olbrzymiej niedźwiedzicy. Stał mu przed oczami obraz ludzkiej czaszki, która wytoczyła się między prętami kraty. Zerknął z ukosa na Rhuna.

Ksiądz skinął głową. On także się domyślił.

Rasputin zamierzał dać ich zwierzowi na pożarcie.

Jordan czekał na odpowiednią chwilę, lecz dranie otoczyli go murem ze wszystkich stron; nie miał nawet kroku swobody. Znał ich siłę i swoją słabość. Stracił za dużo krwi, nie był w stanie dobrze walczyć. Właściwie to ledwo trzymał się na nogach.

Czy tak ma zakończyć swoje życie, jako karma dla niedźwiedzia? Przypomniawszy sobie błaganie o to, by nie paść ofiarą kłów pachołków Rasputina. Modlitwa została spełniona, a on, o dziwo, wciąż odczuwał wdzięczność. O wiele bardziej wolał skończyć w paszczy niedźwiedzia niż pod kłami *strigoi*.

Nagle przypomniał sobie twarz Erin i dotyk jej ust, ciepło jej dłoni na swojej skórze. Musi się uwolnić, musi ją odnaleźć. Z każdą sekundą Bathory oddalała się od rewiru Rasputina, jednocześnie zbliżając się do miejsca, w którym może pozbawić Erin życia. Zobaczył to charakterystyczne spojrzenie w oczach Bathory. Zamierzała uśmiercić brankę w chwili, gdy będzie to mogła uczynić, nie sprzeciwiając się woli Szalonego Mnicha.

Tylko po to, by zranić Rhuna.

Dochodzili do końca tunelu, odór niedźwiedzia stał się przytłaczający. Jordan widział już ozdobną bramę wyobrażającą leśne ostępy. Znaleźli się tuż obok niej i przyparto ich do kutego żelaza.

Niedźwiedzica leżała pogrążona we śnie. Może jest za bardzo zmęczona, żeby kogokolwiek pożreć.

Rasputin rąbnął otwartą dłonią w bramę; rozległ się dźwięk podobny do gongu wzywającego na kolację.

Potwór dzwignął się i stanął na nogach.

Nadszedł czas karmienia.

Wściekła Bathory turlała się po schodach zwinięta w kłębek i przeklinała archeolożkę. Czuła każdy ostry stopień na plecach. Wreszcie zatrzymała się na podeście schodów i rozciągnęła jak długa.

Usłyszała dwa głuchoe stąpienia i basowe warczenie. Wiedziała, że Magor warczy na wstrętą archeolożkę i wyczuła jego zadowolenie. Satysfakcję drapieźnika, który osaczył ofiarę.

— Uspokój się! — zawołała, dzieląc radość wilka. Łagodziła ona ból, gdy Bathory podnosiła się z ziemi. Będzie miała bolesne sińce, ale nie ucierpiała poważnie w trakcie upadku. Od tak dawna żyła w bólu, że prawie go nie zauważała.

Z determinacją wspięła się na podest schodów. Magor przyparł kobietę do starych drzwi, opierając łapy obok jej ramion i obnażając kły przy jej szyi. Czuła jego pragnienie rozszarpania tego gardła na strzępy. Jego pazury wbijały się w betonowy mur.

Archeolożka patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. W każdej chwili mogła zemdleć.

Bathory zdziwiła się, że jeszcze nie zemdląca.

— Nie teraz, mój drogi. — Podniosła koniec skórzanej smyczy i mocniej zacisnęła obrozę. — Przysięgam ci, że kiedy będzie to możliwe, pozwolę ci bawić się z nią tak długo, jak będziesz chciał.

Erin na drżących nogach wlokła się za nią schodami; jej ramiona się przygarbiły.

— Rozpacz i beznadzieja — drwiła Bathory. — Nie tego się spodziewałaś, kiedy wyruszałaś z Jerozolimy na te śmiałe poszukiwania, co? Myślałaś, że proroctwo nada twojemu życiu jakiś sens.

Dotarły do bocznych drzwi; otworzyła je i wypchnęła kobietę na pustą ulicę. Wiatr zmierzwił sobolowe futro dręczycielki.

— O jakim proroctwie mówisz? — spytała archeolożka, kiepsko udając, że nie wie.

Kłamstwo wymaga praktyki, a branka najwyraźniej jej nie miała.

Nagle Bathory chwyciła kobietę za rękę i gwałtownie cisnęła ją na bok srebrnej terenówki zaparkowanej przy ulicy.

Magor zawarczał.

— Nawet nie próbuj mnie okłamywać, nie jestem głupia. Nie wierzę w to proroctwo, więc niech ci się nie zdaje, że twoje życie przedstawia dla mnie jakąś wartość z powodu tysiącletniego wierszyka.

Erin usiłowała zachować równowagę na oblodzonych kocich łbach. Bathory szarpnęła smycz w górę, zmuszając ją do stanięcia na palcach. Gdyby się pośliznęła, obroża mogłaby ją zadławić na śmierć.

Bathory rozejrzała się w jedną i w drugą stronę po pustej ulicy. Nie było ani jednego świadka. Ale Rasputin i tak by się dowiedział. Nie była bezpieczna, dopóki nie oddali się od rosyjskiej ziemi.

Rozluźniła smycz, otworzyła drzwi samochodu i wepchnęła archeolożkę na tylne siedzenie. Magor wskoczył za nią do środka i zbliżył pysk do jej gardła. Ociekającym spienioną śliną jęzorem liznął krew, która sączyła się spod najeżonej ćwiekami obroży.

Erin zdusiła krzyk. Dzielna, pomyślała Bathory. Ale ma swoje ograniczenia.

— Spokojnie, Magor. Jeśli kardynał wierzy, że ona ma jakieś szczególne znaczenie, będziemy ją mogli wykorzystać jako pionek w dalszej grze.

Kobieta odwróciła głowę od wilka.

— Wątpię, czy kardynałowi zbytnio na mnie zależy — powiedziała zdławionym głosem.

— A więc nie znasz go dobrze — odparła z uśmiechem Bathory. — Tak czy owak pamiętaj, że proroctwo nie określa, w jakim masz być stanie w chwili otwarcia księgi.

Bathory dostrzegła strach w oczach archeolożki.

Bystra.

Może rzeczywiście jest Uczoną Niewiastą.

— Pewnie będziesz nam potrzebna żywa — dodała z okrucieństwem. — Ale obrażenia cielesne nie stanowią

przeszkody.

Pokręciła głową i się uśmiechnęła.

27 października, 21.20

Podziemia Sankt Petersburga

Rhun stał za kratą jaskini i obserwował Ursę, a Ursa obserwowała jego. W jej czerwonych ślepiach płonęła zadawniona nienawiść, która nie osłabła w ciągu stu lat. Z jej pyska ciekła ślina, niewiarygodnie długi jęzor oblizał czarne jak guma wargi.

Sangwinista domyślał się, że pamiętała smak jego krwi. Poczul pulsujący ból w nodze; sprawiała wrażenie, że za chwilę pęknie. Najwidoczniej jego noga także zachowała wspomnienie o spotkaniu z niedźwiedzicą.

Grigorij wsunął palce między wykute z żelaza gałęzie dębu.

— Jeśli Bóg cię kocha, Rhunie, pomoże ci uciec przed niedźwiedzicą. Pamiętasz spotkanie Daniela z lwami? Może twoja wiara zamknie jej paszczę.

Rhun nie uważał, że to będzie takie proste.

Popatrzył na terakotę w miejscu, w którym tunele się łączyły; nie zauważył żadnej luki, żadnego wyjścia. Skierował uwagę na żelazną bramę.

Otwierała się pośrodku niczym drzwi balkonowe. Dwa grube żelazne słupki po obu stronach tkwiły w umieszczonych w betonie otworach i mocowały bramę do posadzki oraz sufitu. Z boku pozostawało mniej niż dwa centymetry miejsca, a prześwity pomiędzy kutymi w fantazyjne wzory prętami wynosiły niespełna dziesięć centymetrów.

Z wnętrza jaskini nie było ucieczki.

Jordan dotknął ciepłą ręką jego ramienia. Rhun spojrzał mu w oczy, w których kryło się pytanie. Sierżant zerknął ukradkiem na Grigorija i *strigoi*. Najwyraźniej chciał zapytać, czy powinni stanąć do walki, zanim wrogowie wrzucą sangwinistę na pastwę niedźwiedzicy.

Rhun poczuł wdzięczność. Jordan do samego końca pozostawał Wojownikiem.

— Dziękuję — wyszeptał. — Nie zrobimy tego.

Jordan się cofnął, w jego oczach pojawił się lęk. Jednak widać było, że boi się o bezpieczeństwo Rhuna, nie o własne.

Ksiądz nie mógł dłużej znieść jego bolesnego współczucia. Odwrócił się do bramy.

— Jestem gotów.

Wyznawcy Rasputina chwycili Jordana za ręce, a inni przytrzymali Rhuna. Rosyjski pop otworzył ciężki stalowy zamek i rozwarł bramę.

Sangwinista został wepchnięty do wnętrza jaskini.

Ursa zwróciła łeb w jego stronę.

— Tak, kochana! — zawołał Grigorij. — Baw się nim, jak długo zechcesz!

Rhun pochylił się i okrążał z daleka niedźwiedzicę. Grota była przestronna, miała piętnaście metrów na piętnaście. Musi mądrze wykorzystywać tę przestrzeń. Bestia dotykała kłębem sklepienia. Nie zdoła jej przeskoczyć.

Nadepnął butem gałązkę i zapach świerku rozszedł się po wnętrzu. Była to jedyna naturalna woń w jaskini. Rhun odetchnął nią.

Ursa rzuciła się do ataku.

Jej olbrzymia łapa śmignęła w powietrzu z nienaturalną prędkością.

Spodziewał się tego. Kiedyś także zwierz zawsze zaczynał atak lewą łapą. Zanurkował pod niedźwiedzicą i przetoczył się po ziemi. Znalazł się pośrodku groty.

Raptem jakiś błysk przykuł jego wzrok. Podbiegł i podniósł przedmiot. Święty flakon. Złożono tu ofiarę z życia innego

sangwinisty. Rozejrzył się i znalazł inne dowody: krzyż pektoralny, srebrny różaniec, strzęp czarnego habitu.

— Niech Bóg zlituje się nad twoją duszą, Grigoriju! — zawołał Rhun.

— Bóg już dawno temu machnął ręką na moją duszę — odpowiedział pop, trzęsąc kratą. — Na twoją także.

Ursa odwróciła się pyskiem do sangwinisty.

Ten błyskawicznie rozejrzył się po wnętrzu. Jeśli jego zamordowani bracia byli uzbrojeni, w grocie mogła pozostać ich broń. Gdyby zdołał...

Ursa ponowiła atak.

Rhun nie ruszył się z miejsca.

Posadzka drżała pod jej łapami. Wsłuchiwał się w przyspieszone, mocne bicie starego serca.

Kiedy jej przesiąknięty odorem ścierwa dech owionął jego policzek, upadł na wznak i czekał, aż siła rozpędu poniesie ją nad jego ciałem. Burza ciemnego futra przepłynęła tuż nad jego twarzą. Uniósł krzyż i przeciągnął nim po brzuchu bestii. Sierść zaczęła dymić.

Niedźwiedzica zawyła przeraźliwie.

Nie zadał jej poważnej rany, ale przypomniał, że nie jest muchą, którą może zmiażdżyć jednym ruchem potężnej łapy.

Jordan wydał okrzyk radości.

Rhun przetoczył się po posadzce, jego ręce szukały przedmiotów, które zauważył przed atakiem zwierza. Leżały tam dwa drewniane kije zakończone srebrem. Znał tę broń. W jaskini musiał zginąć jego brat zakonny Jiang. Rhun przyglądał się, jak godzinami ćwiczy z kijami głęboko pod rzymską nekropolią, gdzie sangwiniści urządzili sobie siedzibę.

Poparzona Ursa rzucała łbem w jedną i w drugą stronę.

Rhun siedział nieruchomo w kucki, szacując wzrokiem rozmiary więzienia.

Zaświtał mu w głowie pewien plan. Sangwinista rzucił się w kierunku żelaznej bramy, która znajdowała się najdalej od Grigorija.

Niedźwiedzica zauważyła to i popędziła za nim.

Odwrócił się w ostatniej chwili, trzasnął ją kijem w pysk i odskoczył w bok.

Olbrzymie cielsko runęło na bramę i wyrwało z posadzki jeden ze słupków. Róg bramy wykrzywił się, jednak powstały w ten sposób otwór był zbyt mały, aby Rhun zdołał się przecisnąć. On jednak nie zamierzał uciekać w taki sposób.

Poprowadził niedźwiedzicę w przeciwnym kierunku, do miejsca, z którego Grigorij i Jordan obserwowali ten seans krwawego sportu.

Ursa pobiegła za nim. Sangwinista powtórzył manewr, lecz tym razem odskoczył w bok tuż przed bramą. Machnęła łapą i trafiła go w plecy. Ledwie go zawadziła, ale pazury przebiły skórzaną ochronę i rozdarły ciało.

Rhun jęknął z bólu, ale nie zamierzał się poddawać.

Ursa usiadła na tylnych łapach i uniosła do pyska zakrwawioną łapę. Obserwując go małymi ślepiami, zlizwała krew do ostatniej kropli, fukając z zadowolenia.

Sangwinista czekał po przeciwnej stronie jaskini obok nadwątlonej bramy. Czuł metaliczny zapach swojej krwi. Wsunął jeden kij na plecy i pod pasek, końcówkę zaczepiając o koloratkę. W ten sposób mógł trzymać drugi kij w jednej ręce, a drugą miał wolną.

Złamał kij na kolanie i położył obie części na ziemi.

Potem uklęknął na tym samym kolanie, skłonił głowę i odmówił modlitwę, aby uspokoić umysł. Złożył święty pocałunek na krzyżu pektoralnym, parząc sobie usta. Ból skupił się w jednym miejscu.

Dotknął czoła palcem wskazującym.

— *In nomine Patris...*

Następnie dotknął piersi.

— *Et Filii...*

Dotknął najpierw lewego, a potem prawego ramienia.

— *Et Spiritus Sancti.*

Na koniec pocałował znak krzyża utworzony z jego kciuka położonego na zgiętym palcu wskazującym.

Podniósł kawałki kija.

Niedźwiedzica nadchodziła.

— W imię krzyża ocal mnie przed wrogami, Panie — wyszeptał.

Ursa szarżowała, była już bardzo blisko.

W ostatniej chwili skoczył do sufitu i rozpląszczył na nim ciało, tak że znalazł się między sklepieniem a cielskiem niedźwiedzicy. Tylko sangwinista mógł tego dokonać. Przemknęła o centymetry pod nim.

Z donośnym trzaskiem rąbnęła w bramę. Drugi słupek wysunął się z betonu, brama przechyliła się o prawie pół metra. Gdyby Rhun chciał zostawić Jordana, mógł teraz uciec.

Ale on odwrócił się w powietrzu i spadł na grzbiet oszołomionej bestii. Zanim Ursa zdążyła potrząsnąć łbem, wbił połowę złamanego kija w kosmatą łapę.

Trafił bezbłędnie.

Ciężar jego ciała i rozpęd sprawiły, że srebrna końcówka kija przebiła łapę i zagłębiła się w otwór, który dawno temu wywiercono, by umieścić w nim żelazny słup trzymający bramę.

Niedźwiedzica ryknęła z bólu, który został spotęgowany przez drogocenne srebro.

Zanim zdążyła się poruszyć, Rhun przetoczył się na jej grzbiecie na drugą stronę, przekładając sobie ułomek kija do drugiej ręki.

Przyspilił nim drugą łapę, wykorzystując drugi otwór w posadzce.

Ursa runęła na beton, jej pysk wsunął się pod nadłamaną bramę. Jej przednie łapy były rozcapierzone na obie strony, cielsko ułożyło się w kształt krzyża.

Rhun ukrzyżował niedźwiedzicę.

Zawyła.

Wskoczył jej na łeb i zdjął z pleców niezłamany kij. Pocałował srebrne okucie, a potem wbił je przez oko głęboko w mózg.

Umierając, niedźwiedzica szarpała się i drgała. Słyszał oznaki śmierci w jej ogromnym, sędziwym sercu.

Dominus vobiscum.

Rhun pochylił głowę i uczynił znak krzyża nad masywnym cielskiem. Kiedy kończył modlitwę, czerwony blask zgasł w oku i pozostała jedynie czerń.

Po wielu wiekach niedźwiedzica została wyzwolona ze swojej nieczystej służby.

Sangwinista odwrócił się do prześladowców. Jego twarz wyrażała triumf i wyzwanie.

21.33

Ręce Jordana były wolne. Rozglądał się ze zdziwieniem dookoła. Otarł dłonie o płaszcz, jakby chciał oczyścić miejsca, których dotykali wyznawcy Rasputina. Czy rosyjski mnich dotrzyma słowa i pozwoli im odejść? Jeśli nie, zamierzał polec, walcząc u boku sangwinisty.

Rasputin odstąpił od bramy. Jego niebieskie oczy były szeroko otwarte.

— Bóg naprawdę cię miłuje, Rhunie. Rzeczywiście jesteś wybrany.

Rhun uklęknął, podniósł z ziemi różaniec, srebrny krzyż i flakon. Jordan był pewny, że należały do innego sangwinisty zabitego przez niedźwiedzicę.

Grigorij otworzył bramę.

Nienawiść sangwinisty do Rasputina paliła się tak silnym płomieniem, że mnich cofnął się o krok. Jego pacholkiwie pierzchli do tyłu, jakby porwał ich wichur.

— Dokąd Bathory zabrała Erin? — zapytał, cedząc każde słowo.

— Do Rzymu — odparł chrapliwym głosem Rasputin.

Sangwinista wpatrywał się w rosyjskiego mnicha, szukając prawdy w jego oczach.

— Czy to było twoje ostatnie wyzwanie rzucone Bogu?

Rasputin przechylił głowę.

— Dlaczego mnie tak potępiasz? Twój drogi Bernard chciał kiedyś wymusić spełnienie prorocтва. Dlatego umieścił cię obok Elisabethy, która rzekomo miała być Uczoną Niewiastą, i jej męża, wielkiego Wojownika. Sam wiesz, do czego te machinacje doprowadziły. — Rasputin uniósł ręce w geście błagania o wybaczenie. — Chciałem jedynie poddać przepowiednię próbie. Jeśli naprawdę jesteś jednym z zapowiedzianych w proroctwie, Bóg ocaliłby cię przed niedźwiedzicą.

— Oto jestem, ale twoja próba jeszcze nie dobiegła końca, prawda? To dlatego pozwoliłeś zabrać Erin. Rozdzieliłeś triadę, żeby sprawdzić, czy znów się odnajdziemy i wypełnimy swoje zadanie. W ten sposób rzucasz wyzwanie Bogu, tak jak kiedyś rzuciłeś je Kościołowi.

Rasputin potrząsnął głową.

— Ależ skąd. Rzucam wyzwanie tylko tobie, przyjacielu. Temu, którego Kościół kocha tak bardzo, jak mnie nienawidzi.

Rasputin odwrócił się na pięcie i machnął rękami na swoich pachołków, którzy się rozstąpili. Rhun i Jordan mogli odejść wolno.

Sierżant zaczekał na sangwinistę i razem przeszli przez posępny szpaler. Przy każdym kroku Jordan czuł rany po ukąszeniach. Włoski zjeżyły mu się na karku. Zastygł w bezruchu, spodziewając się ataku od tyłu. Byłaby to ostateczna zdrada Rasputina.

Atak nie nastąpił.

— Znajdź swoją kobietę, Rhunie! — zawołał za nim rosyjski mnich. — Udowodnij, że Kościół złożył swoją wiarę we właściwe ręce, które zostały zbrukane!

Rhun sunął tunelem w kierunku cerkwi Zbawiciela na Rozlanej Krwi, nie zauważając, że smuga jego krwi ciągnie się za nim po zamarzniętym betonie.

CZĘŚĆ PIĄTA

*I taką nową pieśń śpiewają:
„Godzien jesteś wziąć księgę i jej pieczęcie otworzyć,
bo zostałeś zabity
i nabyłeś Bogu krwią swoją [ludzi]...”*

Apokalipsa św. Jana 5, 9

28 października, 14.55 czasu środkowoeuropejskiego
Rzym, Włochy

Erin rzucała się, dręczona przez koszmary. Biła rękami ciemność, ta jednak nie znikwała. Dopiero teraz uświadomiła sobie, w jak rozpaczliwym jest położeniu, i ogarnął ją zimny strach. Rozwarła szerzej oczy, ale to nic nie dało. Tkwiła w tak ciemnym miejscu, że nie robiło różnicy, czy ma je zamknięte, czy otwarte.

Przycisnęła dłonie do policzków, zdziwiona, że w ogóle zdołała zasnąć. Jednak wyczerpanie i całkowita deprivacja zmysłowa musiały nią w końcu zawładnąć.

Jak długo spałam?

Pamiętała lot prywatnym samolotem z Sankt Petersburga wczoraj wieczorem. Cały czas miała głowę zasłoniętą kapturem, lecz usłyszała część rozmowy i wiedziała, że celem podróży jest Rzym. Lot trwał około czterech godzin. Po wylądowaniu jechali jeszcze godzinę samochodem i przed świtem znaleźli się w mieście. Słyszała klaksony samochodów, okrzyki i przekleństwa w języku włoskim; kiedy przejeżdżali jednym z głównych mostów Rzymu, poczuła zapach Tybru.

Była prawie pewna, że zmierzają w kierunku Watykanu.

Co planowała Bathory?

Czego ona ode mnie chce?

Na prywatnym pasie startowym przesiedli się do samochodu terenowego i Erin została wywleczone na zimny poranek.

Spoglądając spod dolnej krawędzi kaptura, zorientowała się, że słońce jeszcze nie wzeszło.

Potem zeszli znowu pod ziemię, korzystając ze schodów, tuneli i drabin; schodzenie po drabinie z kapturem na twarzy było trudne. Przez jakąś godzinę wędrowali podziemiami Rzymu. Erin знаła miasto dość dobrze i wiedziała, że znaczna część jego starożytnych budowli wciąż istnieje pod ziemią. Były tam połączone ze sobą katakumby, piwnice, w których trzymano wino, grobowce i tajemne kościoły.

Ale dokąd porywacze ją przyprowadzili?

Na koniec wędrówki wtrącono ją do ciemnej celi; zakrwawiona obroża nadal zaciskała się na jej szyi. Siedziała dziesięć minut pod ścianą, trzymając się za kolana; nikogo nie usłyszała, więc ściągnęła kaptur i wyczuła, że obroża jest rozpięta. Zdjęła ją z przyjemnością i cisnęła na podłogę. Zapewne zaraz potem zmorzył ją sen.

Teraz, po przebudzeniu, dotknęła palcami strupów, które utworzyły się na jej szyi.

Zawsze miała dobry zegar wewnętrzny; oceniła, że właśnie minęło południe.

Wyteżyła zmysły i usłyszała powolne sączenie się wody; echo świadczyło, że celę, w której się znajdowała, otaczała rozległa jaskinia. W powietrzu czuło się woń stęchlizny i pleśni. Wyciągnęła rękę i przesunęła dłonią po posadzce z kamienia. Dało się wyczuć ślady po narzędziach.

Czyżby grobowiec?

Wsunęła rękę do kieszeni. Naturalnie zabrali jej latarkę, lecz znalazła skrawek kołdry. Przynajmniej to jej zostawili.

Uklękła na kolanach i poruszała rękoma, zataczając coraz większe łuki. Gruba warstwa kurzu sprawiła, że jej oczy zaczęły łzawić; kilka razy kichnęła. Ocierając rękę z kurzu, poczuła drobne odłamki drewna i kamiennego pyłu.

Sięgnęła dalej i jej palce natrafiły na zaokrąglony przedmiot. Wzięła go do ręki i położyła sobie na kolanach. Kość. Pomacała ją i dopowiedziała sobie to, czego nie widziały oczy. To była

czaszka. Przełknęła ślinę, ale mimo to dalej badała dotykiem powierzchnię czaszki: wydłużony nos, mała komora czaszki, długie zakrzywione kły.

To nie był człowiek. Nawet nie *strigoi*.

Ogromny kot, prawdopodobnie lew.

Wyprostowała się, wyciągając wnioski z tego odkrycia. Musiano ją umieścić w jakimś rzymskim cyrku, na którego arenie gladiatorzy i niewolnicy walczyli ze sobą i z dzikimi zwierzętami. Jednak zwierzę, do którego należała czaszka, został pogrzebany wraz z pozostałościami spektaklu, w którym uczestniczył.

Połączyła tę informację z przebiegiem trasy, którą wieziono ją przez Rzym.

Trasa ta prowadziła w kierunku Watykanu.

W tej okolicy istniał tylko jeden wielki cyrk, którego pozostałości skrywa teraz ziemia. Watykan wzniesiono na połowie terenu tego przesiąkniętego krwią obiektu.

Cyrk Nerona.

Prawie dwa tysiące lat temu Neron dokończył budowę cyrku rozpoczętą przez Kaligulę. Wzniósł ogromną widownię dla widzów obserwujących krwawe igrzyska. Początkowo dla uciechy gawiedzi poświęcał lwy i niedźwiedzie. Jednak zarzynanie zwierząt nie wystarczyło starożytnym Rzymianom, toteż zwrócił się ku gladiatorom.

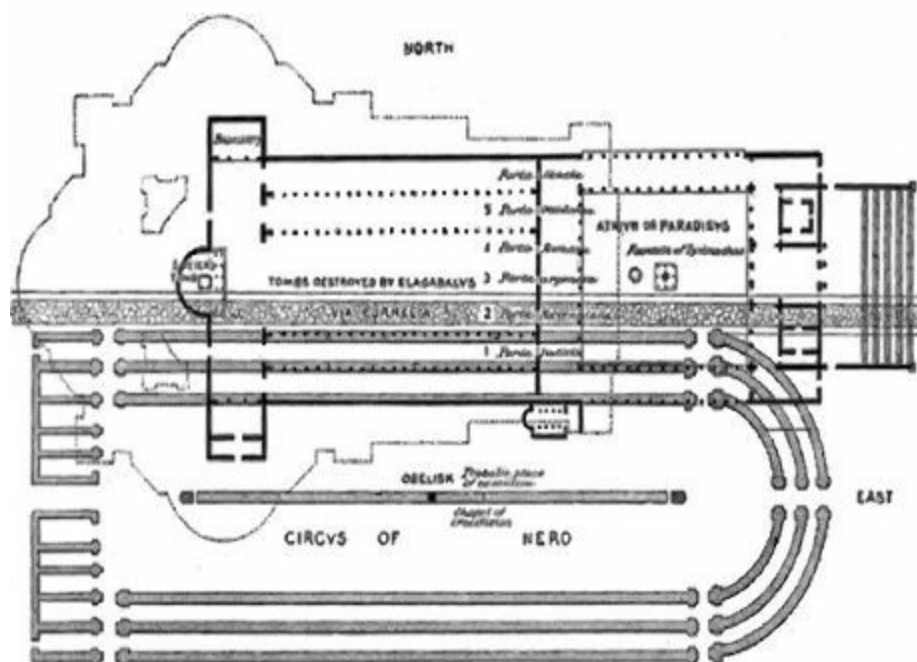
A później chrześcijanom.

Krew chrześcijańskich męczenników wkrótce zrosiła ziemię. Nie poprzestawano na rozszarpywaniu ich przez zwierzęta i gladiatorów. Wielu ukrzyżowano. Świętego Piotra przybito do krzyża do góry nogami w pobliżu obelisku stojącego pośrodku areny.

Cyrk słynął również z ogromnej liczby podziemnych tuneli, którymi transportowano jeńców, zwierzęta i gladiatorów. Zbudowano nawet proste windy, aby wwozić dzikie zwierzęta i wojowników bezpośrednio na arenę.

Erin uniosła głowę i wyobraziła sobie Bazylikę Świętego Piotra, która stała częściowo nad tym przeklętym miejscem. W czasie studiów doktoranckich w Rzymie przeczytała pracę napisaną przed stu laty przez Rodolfa Lancianiego *Pagan and Christian Rome* (Rzym pogański i chrześcijański). Zawierała ona między innymi plan z dwiema nakładającymi się budowlami: cyrkiem w kształcie końskiej podkowy i bazyliką w kształcie krzyża.

W całkowitych ciemnościach wyobraziła sobie schematyczny rysunek.



Gdyby zdołała wydostać się z celi i wspiąć na górę, znalazłaby się w pobliżu Bazyliki Świętego Piotra.

Pomoc byłaby bardzo blisko.

Z nową determinacją zaczęła badać krawędzie pomieszczenia. Miało powierzchnię około dwóch i pół metra na trzy, w jednej ze ścian umieszczono nowoczesną stalową furkę. Erin nie wykryła ani jednego słabego miejsca.

Potrzebowała czyjejś pomocy. W wyobraźni ujrzała dwie twarze: jedną bladą z ciemnymi oczami, lecz zawsze naznaczoną

dążeniem do celu, a drugą rozradowaną, z rumianymi policzkami i roześmianymi oczami w kolorze nieba.

Co się dzieje z Rhunem i Jordanem?

Wolała o tym nie myśleć.

Nie w ciemności.

Po czasie długim jak wieczność Erin zauważyła zbliżające się światło i przycisnęła twarz do prętów. Kamiennym tunelem zbliżały się cztery postacie ludzkie i zwierzę przypominające ogromnego psa. Jedna z postaci niosła latarkę. Pies szedł obok długowłosej kobiety.

Bathory i jej wilkozor.

Za nimi postępowały dwie wysokie męskie postacie przypominające braci. Wlokły trzeciego mężczyznę, którego ramiona zwisały bezwładnie. Gardło Erin się ścisnęło. Czy to Jordan? A może Rhun?

Bathory podeszła bez słowa do celi, otworzyła furtkę kluczem i ją pociągnęła.

Erin znieruchomiała. Pragnęła się wyrwać, ale nie zdążyłaby zrobić dwóch kroków w tunelu.

Wilkozor wszedł do środka.

Bathory i dwaj mężczyźni poszli w jego ślady. Wtargnął za nimi podmuch zimnego powietrza. Obaj bracia byli *strigoi*.

Rzucili mężczyznę do nóg Erin. Ten odwrócił się i jęknął. Jego twarz pokrywały siniaki, zamknięte oczy były obrzmiałe. Na rękawach i nogawkach spodni czerniła się zaschnięta krew.

— Profesor Granger? — odezwał się chrapliwie z lekkim teksaskim akcentem. Erin go poznała.

Uklękła na kolana i ujęła go za rękę.

— Nate? Żyjesz... dlaczego się tu znalazłeś?

Znała odpowiedź na oba pytania i z rozpaczą uprzytomniła sobie, że ma do czynienia ze skutkami swojej krótkowzroczności. Nie pomyślała, że sekta Beliala zacznie ścigać jej niewinnych studentów. Bo cóż oni mogli wiedzieć? Naraz wszystkie elementy ułożyły się w całość. Z grobowca wysłała zdjęcia nazistowskiego

medalu. Nic dziwnego, że Bathory wiedziała, iż powinna ścigać zespół poszukiwawczy w Niemczech.

Co ja zrobiłam?

Nie umiała sobie na to odpowiedzieć. Na drugie pytanie także.

— A co z Amy? — wyszeptała.

Nate patrzył na nią, w jego oczach zbierały się łzy.

— Nie potrafiłem jej obronić.

Erin cofnęła się, jakby dostała pięścią w twarz. Usłyszała szloch Nate'a.

— To nie twoja wina.

To ona była winna. Studentów oddano pod jej opiekę.

— Nie wiem, dlaczego się tu znalazłem — powiedział chrapliwie Nate.

Erin poczuła nagły przypływ uczucia dla młodego twardziela z Teksasu. Uścisnęła jego dłoń.

— Jakie to wzruszające — zadrwiła Bathory.

— Dlaczego go porwałaś? — Erin odwróciła się i zmierzyła ją wzrokiem. Wilkozor warknął groźnie na archeolożkę. — Zdobyłaś zdjęcia, on nic więcej nie wie. Nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.

— Niezupełnie — odrzekła Bathory. — Ma to i owo wspólnego z tobą.

Erin ogarnęło poczucie winy.

— Czego chcesz?

— Oczywiście informacji od Uczonej Niewiasty.

Bathory wyszczerzyła w nieprzyjemnym uśmiechu swoje nieskazitelnie białe zęby.

— Nie wierzę w to cholerne proroctwo — odparła zgodnie z prawdą Erin. Jak dotąd triada wyrządziła więcej szkód, niż przyniosła pożytku. Nic nie wskazywało na to, że ma po swojej stronie boską przepowiednię.

— Ale inni wierzą — stwierdziła Bathory, głaszcząc wilka po łbie. — Pomóż nam.

— Nie. — Erin wolałaby umrzeć, niż dopomóc Belialowi w otwarciu księgi.

Bathory strzeliła palcami. Wilkozor skoczył i przednimi łapami przygniół Nate'a do posadzki, pyskiem wytrącając jego dłoń z ręki Erin. Paszcza stwora zawisła tuż nad gardłem chłopaka.

Sygnal był jasny, lecz Bathory go zwerbalizowała:

— Twój kowboj nie jest mi do niczego potrzebny.

Skierowała latarkę na Nate'a. Erin starała się na niego nie patrzeć. Spoglądała na surowe kamienne ściany, niedawno założoną furtkę ze stalowej kraty oraz czarne sklepienie celi, które nikło w mroku.

Jednak jej spojrzenie wróciło do studenta. Zamknął oczy i trząsł się, ale miał dzielną minę; zapragnęła go uściskać. Bał się, a mimo to nie poprosił o pomoc. Czekał.

— Czego chcesz? — zapytała Erin swoją prześladowczynię.

— Chcę usłyszeć, co myślisz o otwarciu ołowianej kasety, w której zamknięta jest księga. — Bathory oparła ręce na biodrach. — Na początek.

— Nic nie wiem.

Wilk opuścił łeb jeszcze bliżej gardła Nate'a i warknął.

— Ale możemy o tym porozmawiać — dodała szybko Erin. — Najpierw odwołaj wilkozora.

Bestia uniosła łeb, jakby usłyszała niewypowiedziany rozkaz pani.

Nate poruszył się z ulgą.

Erin musiała dać coś wrogowi w zamian.

— Na kasecie jest rysunek. Przedstawia szkielet i mężczyznę, którzy są ze sobą związani splotami sznura.

— Tak, wiemy o tym. Wiemy także o symbolach Alfa i Omega.

Bathory odwróciła głowę w kierunku wyższego z braci; jego skóra była pokryta kolczykami i tatuażami, jego oczy ją pożerały. Zsunął sobie sakwę z ramienia, wyciągnął ciężki przedmiot i podał go Erin.

— Co jeszcze widzisz? — zapytała Bathory.

Archeolożka ujęła w dłonie zimną bryłę metalu, uważając, by nie dotknąć palcami wytatuowanego *strigoi*. Żałowała, że nie

może powiedzieć nic więcej istotnego. Co właściwie wiedziała o księdze? Pogładziła dłonią dwie postacie na płaskorzeźbie. Sylwetki ludzkiego szkieletu i nagiego mężczyzny krzyżowały się w uścisku; dodatkowo łączył je spleciony sznur.

— Księga opowiada o cudach Chrystusa — zaczęła Erin. — O tym, jaki użytek robił ze swojej boskości.

Wilkozor przestąpił z jednej łapy na drugą.

— Tyle sami wiemy — warknęła Bathory. — Jak ją otworzyć?

Erin nie odpowiedziała; zastanawiała się.

— Cuda, takie jak przemiana wody w wino, wskrzeszanie zmarłych...

Nagle zamilkła zdziwiona.

Bathory zrozumiała w tej samej chwili.

— Wszystkie najważniejsze cuda to transformacje.

— Otóż to! — Erin zdziwiła się, że jej prześladowczyni tak błyskawicznie skojarzyła. — Na przykład transsubstancjacja, czyli przemiana wina w krew Jezusa.

— A więc może ta ołowiana tabliczka naprawdę jest księgą. — Bathory podeszła i przykucnęła obok Erin; wyglądały teraz jak dwie naradzające się koleżanki po fachu. Ona także dotknęła bloku ołowiu. — Alchemicy przez setki lat poszukiwali sposobu, jak zamienić ołów w złoto.

Erin skinęła głową, potwierdzając trafność hipotezy.

— Być może to poszukiwanie ma swoje źródło w tej legendzie. Może jakaś wzmianka o Ewangelii przetrwała wieki. Przemiana ołowiu w złoto.

Bathory spojrzała na nią srebrzystymi oczami.

— Może Ewangelia musi przejść tę samą przemianę. Może szary bezwartościowy metal musi się zamienić w szczerozłotą księgę?

Nagle Erin przypomniała sobie słowa wypowiedziane przez Piersa w bunkrze.

„Księga jeszcze nie jest księgą. Jeszcze nie”.

Może stary mnich rozwiązał zagadkę. Przecież wisząc przez dziesięciolecia na krzyżu i cierpiąc, rozmyślał właśnie o tym.

Erin skinęła głową.

— Chyba masz rację.

— To ciekawy pomysł. Ale jakich składników używali alchemicy do wywołania przemiany? — Bathory stuknęła palcem w wyobrażenie szkieletu umieszczone na ołowianej płycie. — Czyżby odpowiedź ukrywał nasz kościsty przyjaciel?

— Co oznacza Alfa nad jego głową? To musi być jakaś wskazówka. — Erin popatrzyła na szkielet, a potem na postać nagiego mężczyzny i symbol widniejący nad jego głową. — I co może oznaczać symbol Omega?

— Szkielet Alfa, mężczyzna Omega. — Bathory wsunęła palce do dwóch niewielkich zagłębień, które znajdowały się w górnej części bloku.

Erin dotąd ich nie zauważyła. Wyglądały jak małe zbiorniki przeznaczone na jakąś substancję; może na składniki alchemiczne, o których wspomniała Bathory. Chciała przyjrzeć się im dokładniej.

Zanim zdążyła to zrobić, Bathory zerwała się na równe nogi; przez jej twarz przemknęła radość z odkrycia. Wyrwała blok ołowiu z rąk archeolożki.

— O co chodzi? — zdziwiła się Erin. — Co takiego zobaczyłaś?

Bathory strzeliła palcami i wilk zostawił Nate'a.

Chłopak usiadł niepewnie, gładząc się po gardle.

Przedziwne srebrzyste oczy Bathory uśmiechnęły się do Erin.

— Dziękuję za pomoc.

Po tych słowach cała trójka opuściła celę wraz z wilkozorem. Szczęknął zamykany zamek i światło oddaliło się w tunelu. Erin zbliżyła się do furty i odprowadzała je wzrokiem, aż znikło. Bathory domyśliła się czegoś ważnego.

Nate odetchnął niepewnie.

— Ona wróci.

— Ale nas tu nie będzie — oznajmiła archeolożka.

Rhun opuścił ciemny kaptur na oczy. Krył twarz przed turystami i popołudniowym słońcem, którego blask zalewał plac Świętego Piotra.

Czekał razem z Jordanem.

Po przeciwnej stronie wyłożonego trawertynem placu wznosiła się Bazylika Świętego Piotra, jej kopuła stanowiła najwyższy punkt w całym Rzymie. Z obu stron otaczała go dwoma szerokimi łukami podwójna kolumnada Berniniego; plac w kształcie dziurki od klucza mieścił się między nimi. Według architekta wyobrażała ona ramiona świętego Piotra wyciągające się do wiernych. Stały na nich kamienne posągi stu czterdziestu świętych, którzy spoglądali z góry na plac.

Rhun miał nadzieję, że go nie widzą. Wybrał tę otwartą słoneczną przestrzeń na miejsce spotkania, aby ukryć się na widoku. Liczył na to, że jeśli Bathory dotarła wcześniej do Rzymu, jej podwładni *strigoj* nie będą mogli podsłuchać wypowiedzanych tam słów. Zdawał sobie sprawę, że zachowuje się jak paranoik, lecz po wydarzeniach w Rosji wolał nie ryzykować.

Jordan podwinął rękawy. Tuż nad jego łokciem widniał ślad po ukąszeniu *strigoj*. Miał nadzwyczajną konstrukcję psychiczną. Został zmasakrowany i pogryziony, lecz niepokój o Erin dodawał mu sił. To nie byle jaki Mąż Wojownik, myślał Rhun, ciesząc się, że ma tak nieugiętego towarzysza walki.

Zewsząd otaczali ich ludzie. Jakaś matka kołysała niemowlę na biodrze. Siedzący obok młody mężczyzna przyglądał się jej piersiom; bicie serca zdradzało jego reakcję. Grupa uczennic w granatowych mundurkach szczebiotała pod czujnym okiem nauczycielki w średnim wieku w jaskrawoczerwonych okularach na nosie.

Po zatłoczonym placu przesuwała się wśród ciżby kobieta w długich dzinsach, obcisłej czarnej koszulce, słomkowym kapeluszu z wygiętym rondem i ciemnych okularach. Pstryknęła kilka zdjęć, a potem wsunęła małe aparat do plecaka, który

kołysał się na pasku na jej ramieniu. Wyglądała jak turystka, ale nią nie była.

Nadia.

Wreszcie.

Rhun czekał, nie śmiąc ruszyć przez plac, dopóki ona nie da sygnału. Nie znosił czaic się w Watykanie. Rzym od wieków stanowił jego dom i był jedynym miejscem na świecie, po którym zawsze mógł się poruszać swobodnie. Aż dotąd. Zanim wyruszył na poszukiwanie księgi, rozważał, czy się nie usunąć i nie zaszyć w podziemnym świecie medytacji, który istniał głęboko pod posadzką bazyliki. Czy teraz będzie mu to jeszcze dane?

Ruszył wzdłuż wygiętej kolumnady w kierunku starożytnej trzystopniowej fontanny. Była starsza od niego, tak jak wiele obiektów w tym mieście. Mała dziewczynka bawiła się w chowanego między doryckimi kolumnami, energiczna matka ją goniła. Niebawem zapewne wyruszą do domu na obiad.

Byстрыm wzrokiem Rhun wyłowił czerwony porfirowy kamień wśród morza szarych kocich łbów. Upamiętniono nim miejsce, w którym przed trzydziestu laty postrzelono papieża Jana Pawła II. Szkarłatny kamień przypominał sangwiniście kamienie umieszczone w sanktuarium cerkwi Zbawiciela na Rozlanej Krwi. Ta myśl sprawiła, że w tym świętym miejscu przed oczami Rhuna stało widmo Rasputina.

Sangwinista zatrzymał się przed wysokim kamiennym obeliskiem. Był on świadkiem ukrzyżowania nieprzeliczonej rzeszy chrześcijan za czasów Nerona — nawet samego świętego Piotra. Jednak od końca szesnastego wieku pełnił rolę strażnika centrum świata chrześcijańskiego. Rhun obliczył godzinę na podstawie długiego cienia rzucanego przez kamień. Do zmierzchu pozostały niespełna dwie godziny. Jeśli Belial ma w Rzymie swoich *strigoi*, muszą wcześniej wkroczyć do akcji.

Nadia zatrzymała się obok towarzysza.

— Gdzie kobieta? — Odchyliła głowę, jakby przyglądała się krzyżowi umieszczonemu na wierzchołku obelisku.

— Erin — odezwał się Jordan. — Ona ma na imię Erin.

— Porwano ją wraz z księgą.

Rhun zrelacjonował sangwinistce wydarzenia w Rosji, a na koniec przekazał jej różaniec i flakon Jianga. Zaniesie je do kaplicy pod nekropolią Bazyliki Świętego Piotra, w której mieściła się siedziba zakonu sangwinistów.

Palce Nadii zatrzymały się na chwilę na flaconie; potem wsunęła go do plecaka. Często zdarzało jej się współpracować z Jianguem.

— Kardynał wrócił z Jerozolimy do Rzymu. Przebywał w towarzystwie klauzurowych od chwili, gdy dotarła do niego wieść o twojej rzekomej śmierci. Modlił się.

Poczucie winy przenikło Rhuna. Czuł się strasznie, zmuszony do okłamania Bernarda. Był pewny, że dowiedziawszy się od Nadii o jego śmierci, Bernard pogrzeży się w żałobie. Będzie wściekły, kiedy się dowie, że Rhun i Nadia wprowadzili go w błąd. Jednak nie było innego sposobu na zatajenie swoich działań przed szpiegiem Beliala w szeregach zakonu. Mimo to nie będzie łatwo stanąć twarzą w twarz z Bernardem. Rhun spojrzał na imponującą kamienną bryłę Pałacu Apostolskiego, która górowała nad kolumnadą. Otwarto kilka okien, żeby wpuścić do środka światło i świeże powietrze.

— Zaprowadzisz nas do Bernarda? Nie ma czasu na sekrety, skoro Belial zdobył księgę.

— Oraz Erin — dodał Jordan. — Ją też mają.

28 października, 15.40

Cyrk Nerona, Rzym

— Jak to: nas nie będzie? — zdziwił się Nate. — Co to znaczy?

Erin podeszła do niego w oblepiającej wszystko ciemności i uspokajającym gestem ujęła go za rękę.

— Wydostaniemy się górą.

— Co?! Jak?!

Powiedziała mu.

Kiedy Bathory zaświeciła latarką po celi, Erin wypatrzyła możliwą drogę ucieczki. Z pewnością nie udałoby im się sforsować kamiennych murów, nowe stalowe pręty furtki wyglądały na mocne, posadzkę zaś wykuto w skale. Żadną z tych dróg nie zdołaliby uciec.

Ale była jeszcze góra!

W blasku latarki Bathory archeolożka zauważyła, że cela pozbawiona jest sklepienia. Była czymś w rodzaj szybu o czarnych ścianach biegnących pionowo ku górze.

Erin wiedziała, co to oznacza. W starożytności rzymscy niewolnicy długimi tyczkami popychali uwięzione zwierzęta tym samym kamiennym tunelem, z którego nie tak dawno skorzystała Bathory. Miały one trafić na arenę, lecz najpierw trzeba je było wepchnąć do celi, którą teraz zajmowali Erin i Nate.

W tamtej epoce kamienna posadzka przykryta była drewnianą platformą. Z czasem platforma rozpadła się na drobne drzazgi, które Erin wyczuła palcami, obudziwszy się

w celi. Kiedyś deski zbite były gwoździami i odpowiadały kształtem pomieszczeniu. Do obu ścian przytwierdzone zostały łańcuchy, które biegły do bloków na szczycie. Przechodziły one przez otwory znajdujące się po obu stronach czarnego kwadratu, który Erin dostrzegła nad swoją głową.

Niewolnicy wpychali klatkę ze zwierzętami na platformę. Później, na znak z góry, inni niewolnicy za pomocą skomplikowanego systemu lin i bloków windowali platformę z podziemnej klatki na poziom znajdującej się na powierzchni areny.

Erin i Nate musieli mieć nadzieję, że szyb prowadził do jakiegoś miejsca bezpieczniejszego niż cela, w której obecnie tkwili.

— Chodź tutaj — zachęciła chłopaka, ujmując go za rękę. — Możemy wspiąć się po furtce do szybu.

Pomogła mu wejść po poziomych prętach. Student się trząśł. Pobicie i niedożywienie wyraźnie go osłabiły.

— A teraz to, co najciekawsze — mówiła Erin, pomagając Nate'owi przytrzymać się kraty. — Zauważyłam mały pionowy otwór w ścianie szybu. Kiedyś znajdowały się w nim łańcuchy, których używano do wyciągania platformy. Jeśli nam się poszczęści, wydostaniemy się nim na powierzchnię. Ja pójdę pierwsza, ty za mną.

— Tak jest, pani doktor — odparł żartobliwym tonem; archeolożka ucieszyła się, słysząc tę nutę.

Poszukała palcami otworu w ścianie szybu. Okazał się wystarczająco szeroki; nogami można było oprzeć się o jedną ściankę, a plecami o drugą. Technika ta nazywa się wspinaczką kominową.

Erin odepchnęła się nogami od furtki i dźwignęła się do otworu. Zanim się zsunęła, zaparła się jedną nogą o ściankę. Jej plecy spoczywały na drugiej ścianie. Była w środku.

Uniosła do góry jedną nogę, a potem drugą.

— Dobrze, Nate. Teraz ty.

Niczego nie widząc, usłyszała, jak dźwiga się w jej kierunku po kracie, a potem z głuchym łoskotem spada na kamienną posadzkę.

Zeskoczyła.

— Zraniłeś się?

— Nic mi nie jest — odpowiedział głosem, który wyrażał coś zupełnie innego.

— Tym razem ty pójdziesz pierwszy.

Erin poszukała jego dłoni i skierowała ją ku kracie. Nate wspiął się, by po chwili znów spaść.

— Proszę mnie zostawić — rzekł. — Nie dam rady.

— Chcesz powiedzieć, że żyłasty zuch z Teksasu nie ma tyle ikry, by zostawić w tyle taką starą chudzinę jak ja?

— Nie chodzi o ikrę — odparł głosem człowieka, który skapitulował.

Nie chciała go drażnić, ale nie miała wyboru.

— A właśnie, że tak. Przestań się mazać i rusz tyłek. Nie wydam cię stąd tylko po to, by oznajmić twojej siostrzyczce, że zginąłeś, bo byłeś zbyt leniwy, aby się wspinać.

Nate wstał.

— Kiedyś panią lubiłem.

— Góra, dawaj!

Tym razem podtrzymała jego stopy, kiedy dźwigał się na rękach. Znalazłszy się w otworze, nie musiał używać zranionych rąk, tylko pleców i nóg.

Na głowę Erin posypały się kurz i okruchy kamieni, gdy Nate powoli sunął ku górze. Podążyła za nim; prostowała jedną nogę, unosiła kilka centymetrów w górę, a potem zapierała drugą o ścianę. I tak raz za razem, centymetr po centymetrze, wciąż do góry. Wspinała się już kiedyś w taki sposób, ale zawsze z liną asekuracyjną i latarką.

— Jak ci idzie, Nate?

— Od dawna tak bosko się nie czułem — odparł student, pokonawszy kolejnych kilka centymetrów.

Uśmiechnęła się smutno. Pewnie to była prawda.

Zrobił jeszcze kilka ruchów i nagle się pośliznął.

Chwyciła jego łydkę i przycisnęła ją do ściany. Nate zaparł się plecami i powstrzymał upadek.

Serce Erin biło w przyspieszonym rytmie. Wraz z Nate'em omal nie runęli na samo dno celi. Gdyby dopisało im szczęście, zginęliby przy uderzeniu. W przeciwnym razie czekała ich zabawa z wilkozorem, który rozszarpałby ich żywcem na strzępy.

Ale przynajmniej zginęliby, próbując ucieczki.

W otworze szybu zamajaczyło bladoszare światło.

Ktoś się zbliżał.

16.05

W prywatnym pokoju Pałacu Apostolskiego Jordan zaciskał zęby. Obnażony do pasa, leżał na brzuchu na grubym wełnianym kocu rozpostartym na wypolerowanej drewnianej podłodze.

Nadia odgrywała rolę pielęgniarki, przemywając rany od ukąszeń na jego ręce i plecach. Nie robiła tego zbyt łagodnie.

— Dziwny tatuaż — oznajmiła, zauważywszy wzór Lichtenberga, który pozostał po porażeniu piorunem.

— Tak, wiem — odparł. — Trzeba wykitować, żeby taki zdobyć.

Nadia przeprowadziła jego i Rhuna z placu Świętego Piotra sekretnymi drzwiami do Pałacu Apostolskiego, gdzie podobno mieszkał papież. Poganiani przez nią dotarli do zwyczajnie wyglądającego pokoju z białymi ścianami. Urządzony był staroświecko, stały w nim długi drewniany stół i sześć ciężkich krzeseł, a na ścianie wisiał makabryczny krucyfiks. Po spotkaniu z Piersem Jordan prawie nie mógł patrzeć na krzyże.

Starał się nie odrywać wzroku od dywanika, który pachniał jak mokra owca.

Nadia wykręciła brązową ściereczkę nad miedzianą miską; woda zaróżowiła się od krwi sierżanta.

— Gdzie jest Bernard? — zapytał Rhun, przechadzając się po pokoju. Zatrzymywał się tylko po to, żeby wyjrzeć przez okno na dziedziniec.

— Już posłałam wici — odparła Nadia, ponownie dźgając palcem Jordana.

Teraz zwyczajnie się nade mną znęca, pomyślał.

Wyjęła z plecaka szklany słoik.

— Może zapiec.

— Nie tak masz mówić — mruknął Jordan. — Powinnaś zełgać pacjentowi.

— Kłamstwo to grzech.

— Powiedziałaś kardynałowi, że zginęliśmy.

Nadia odkręciła słoik; rozniósł się zapach podobny do mieszaniny smoły z końskim łajnem.

— Co to za mikstura? — spytał sierżant, żeby zmienić drażliwy temat.

Sangwinistka nabrała mazi na dwa palce: wskazujący i środkowy.

— Lepiej, żebyś nie wiedział.

Otworzył usta; chciał domagać się odpowiedzi, lecz zmienił zdanie. Jeśli Nadii robi się od czegoś niedobrze, to lepiej nie wiedzieć, co to jest.

Nałożyła balsam na ranę kąsaną, którą miał na plecach. To było jak buchnięcie płomienia.

Jęknął i w jednej chwili pokrył się potem.

— Czuję na plecach napalm.

— Wiem.

Szybko poruszała palcami, smarując każdą ranę.

Sierżant popatrzył na ugryzienie na ręce, z którego krew sączyła się od chwili, gdy wyjechali z Rosji. Cuchnąca maść powstrzymała krwawienie. Oddychał głęboko, licząc na to, że rany przestaną piec.

— W jaki sposób odnajdziemy Erin?

Rhun wciąż spacerował po pokoju, stary dywanik tłumiał jego kroki.

— Kiedy tylko przybędzie kardynał, zorganizujemy grupę, która zajmie się poszukiwaniem Erin i księgi. Sangwiniści dysponują szeroką siecią informatorów, zwłaszcza tu, w Rzymie. Znajdziemy jedno i drugie.

Jordan uważał, że siatka informatorów zakonu jak dotąd okazywała się nic niewarta, lecz powiedzenie tego nikomu by nie pomogło. Milczał więc, a Nadia niezgrabnie bandażowała jego rany. Jako pielęgniarka nie miała przed sobą wielkiej przyszłości.

Rzuciła mu czystą koszulę, a on usiadł, żeby ją włożyć. Teraz wyglądał jak normalny facet z paroma opaskami na ramionach, a nie jak nieszczęśnik, który wymknął się spod kłów *strigoi*.

To był postęp.

Rozległo się pukanie do drzwi. Zanim ktoś zdołał do nich podejść, otworzyły się mocno pchnięte.

W progu stanął kardynał w szkarłatnej sutannie i pełnym ryszunku.

U jego boku stali dwaj mężczyźni w niebieskich pantalonach wpuszczonych w długie czarne buty, niebieskich kubrakach z płaskimi białymi kołnierzykami, białych rękawicach i czarnych beretach. Wyglądali jak żywcem przeniesieni z innego stulecia.

Jednak okazałe automaty Sig Sauer wyglądały jak najbardziej współcześnie.

16.12

Erin zamarła. Światło pojaśniało. Nie chciała, by ktoś usłyszał, że uciekają. Naraz uświadomiła sobie, jakie to śmieszne z jej strony.

Cela miała tylko jedno wyjście, a ona i Nate tkwili zaklinowani trzy metry nad posadzką. *Strigoi* potrafili słyszeć bicie ludzkiego serca, toteż ukrywanie się nie miało sensu. Jedyłą szansę skutecznej ucieczki dawało im wspinanie się w stronę otworu.

Nate przyspieszył. Jego ciężki oddech świadczył o tym, że kosztuje go to mnóstwo wysiłku. Ani on, ani Erin nie znali

wysokości szybu, więc nie sposób było odgadnąć, czy przyspieszanie ma jakikolwiek sens. Trzymała się tuż za nim, licząc na cud.

Rozległo się szczekanie wilkozora.

Dźwięk odbił się od kamienia i zabrzmiał jak ujadanie sfory piekielnych psów.

Nate się pośliznął.

Erin z całej siły przycisnęła się do obu ścian.

Niewiele to pomogło.

Uderzenie jego ciała spowodowało, że oboje polecili w dół. Głowa i ręce Erin ocierały się o ścianki szybu. Usiłowała spowolnić upadek.

Nagle oderwała się od ścian, Nate poleciał na nią.

Jednak nie grzmotnęła plecami o skałę, lecz spadła na jakąś postać i przygniotła ją do posadzki.

Chciała zepchnąć z siebie Nate'a, ale był zbyt ciężki.

Kobięcy głos wyrzucił z siebie mnóstwo słów brzmiących jak słowiańskie przekleństwa, a następnie szturchnięcia łokci usunęły Erin na bok. Archeolożka zsunęła się z Bathory nie bez odrobiny ponurej satysfakcji.

Zwalisty *strigoi* uniósł Erin lewą ręką, a Nate'a prawą. Musiał mieć ponad dwa metry wzrostu, był łysy, a jego oczy błyszczały. Miał ciemną skórę jak na przedstawiciela swojego rodzaju; nosił brudne spodnie bojówki i poplamioną białą koszulę. Muskularna klatka piersiowa wypychała materiał. Z całą pewnością nie trzymał w rękach broni. Erin skierowała wzrok niżej i zobaczyła pochwę sztyletu przy pasku.

Cisnął Nate'a na ścianę, a potem wyciągnął rękę do Bathory.

Wtem znieruchomiał, a potem cofnął dłoń.

Z rany na ramieniu Bathory sączyła się krew. Brudny biały bandaż zsunął się na jej łokieć. Musiało to stać się wtedy, kiedy Erin na nią spadła. Szwy na mięśni ramienia popękały i rana zaczęła krwawić. Bathory spojrzała w dół i zakląła, a następnie zerwała bandaż.

Wilkozor dotknął pyskiem jej nogi i zapiszczał.

— Cofnij się! — Bathory szorstkim, niemal gorączkowym gestem odepchnęła wilka. — Magor, nie podchodź!

Zwierz cofnął się o krok i usiadł na zadzie.

Erin patrzyła na tę scenę zwężonymi oczami. Ciekawe.

Bathory bez niczyjej pomocy stanęła na nogach. Kropla krwi skapnęła z jej ramienia na posadzkę. Miała osobliwy kolor, lecz archeolożka nie zdołała się schylić i przyjrzeć dokładnie, gdyż *strigoi* mocno trzymał jej rękę.

— Aleś ty przedsiębiorcza — stwierdziła Bathory, strzepując kurz ze spodni.

— Pierwszym obowiązkiem więźnia jest ucieczka — odrzekła Erin.

Strigoi otworzył szeroko oczy i gapił się na zranioną rękę swojej pani.

Erin widziała, że *strigoi* patrzył na krew nie z lękiem, lecz raczej z pożądlivością. Najwyraźniej oznaczało to, że zranienie Bathory to nic dobrego.

— Każę opatrzeć sobie ranę, a potem wrócę — oznajmiła jej dręczycielka.

Co się wtedy stanie?

Bathory odwróciła się do *strigoi*, który trzymał Erin.

— Mihirze, zostań i pilnuj ich. Niech nawet nie myślą o ucieczce.

Mihir schylił głowę.

Bathory gwizdnęła na wilkozora i ruszyła tunelem. Przed celą czekał drugi *strigoi*. Zamknął drzwi i pociągnął za kraty, upewniając się, że są zamknięte. Dopiero potem podążył za Bathory.

Erin znów została uwięziona w klatce, lecz tym razem miała za towarzysza rozjuszonego *strigoi*. Pchnął ją, a ona musiała się obrócić, żeby nie wpaść na Nate'a.

Skierował latarkę na szyb i pionowy kanał, z którego wypadli Erin i Nate.

Archeolożka pochyliła się nad studentem.

— Jak się czujesz?

Nate zamrugał powiekami.

— W życiu nie widziałem gorszego wykopaliska.

Uśmiechnęła się.

— Kiedy się stąd wydostaniemy, napiszę ci diabelnie dobre rekomendacje.

Mihir podszedł, omijając z daleka kropelkę krwi Bathory czerniącą się na posadzce. Pochylił się nad dwójką archeologów.

— Dosyć gadania.

Jego wzrok błędził po świeżej krwi, która spływała po szyi Erin. Podczas upadku także jej rany się otworzyły. Widziała narastający głód w oczach *strigoi*.

Zacisnęła zęby. Nie pozwoli się zastraszyć. Mimo to jej serce nie zastosowało się do krzepiących słów i przyspieszyło rytm. Postanowiła jednak nie zwracać uwagi na lęk i wykorzystać żądzę krwi *strigoi* dla własnego celu.

Zamiast skurczyć się w sobie, jak dyktował strach, ruszyła w kierunku Mihira. Przechyliła głowę na bok; wiedziała, że wróg wyczuje woń krwi i usłyszy lękliwe bicie serca. Rhun z trudem brał się w karby, kiedy widział płynącą krew. Mihir na pewno jest słabszy od księdza.

Wlepił wzrok w jej szyję, jego oddech stał się chrapliwy. Erin trzymała lewą rękę nisko. Miała tylko jedną szansę; wykorzysta ją, jeśli dopisze jej szczęście.

Mihir oblizwał wargi, lecz stał nieruchomo.

Potrzebował lepszego zaproszenia. Erin spięła się w sobie i przeciągnęła palcami po zranionej szyi. Nie odrywając wzroku od oczu *strigoi*, skrwawionymi palcami dotknęła jego warg.

Mihir ruchem szybkim jak błyskawica wyciągnął dłoń do jej szyi. Nate krzyknął ostrzegawczo, na ułamek sekundy zwracając na siebie uwagę potwora.

Tyle wystarczyło.

Erin przyklękała, wyszarpnęła sztylet z pochwy przy jego pasie i wbiła go tuż pod splotem słonecznym.

Strigoi zatoczył się do przodu, na białej koszuli rozlała się plama krwi.

Nate skoczył, wyrwał sztylet z ciała wroga i szybkim ruchem przeciął nim jego gardło. Mihir zwałił się na posadzkę, ciemna krew rozprysła się na kamienie. Obłoczek dymu uniósł się w powietrze, kiedy jego krew zetknęła się z kroplą krwi Bathory.

Student stał nad nim ze sztyletem i cały drżał.

Oczy *strigoi* zaszyły mgłą i znieruchomiały. Wokół niego rozlała się kałuża krwi.

— Nate?

Odwrócił się błyskawicznie do Erin, trzymając nóż w uniesionej dłoni.

— To ja — powiedziała kojącym głosem.

Opuścił sztylet.

— Przepraszam. On zrobił mi straszne rzeczy zębami...

— Wiem — odparła. W rzeczywistości nie wiedziała, lecz Nate potrzebował tych słów. — Wydostaśmy się, zanim wróci ta wiedźma.

Tym razem wzięła na siebie rolę przewodnika; latarką Mihira oświetliła ściany. Nate schował zakrwawiony nóż za pasek spodni i podążył za nią z większą energią niż poprzednio. Najwyraźniej napędzała go adrenalina, która pozostała po walce.

Erin zaświeciła w górę. Szyb nie prowadził na arenę, choć miała taką nadzieję. Zamykała go metalowa płyta. Nie mogli się wydostać, idąc prosto w górę.

Archeolożka osunęła się bezwładnie plecami na ścianę i zapała się, nie dopuszczając, by spadła na Nate'a.

Ponownie oświetliła ściany szybu i jej wzrok padł na drugi korytarz odchodzący od niego w bok. Prawdopodobnie prowadził on do sąsiedniego pomieszczenia, w którym trzymano niegdyś klatki ze zwierzętami.

Nawet tak wątła nadzieja była lepsza od pozostania w celi.

— Nate! — zawołała, wskazując światłem latarki drugi szyb.
— Spójrz!

Student się uśmiechnął.

— Ruszajmy.

Mając źródło oświetlenia, wspięli się pionowym kominem i dotarli do bocznego odgałęzienia. Znaleźli się w czymś w rodzaju małego przedsionka.

Erin zaświeciła latarką. Wyjścia strzegły kiedyś kraty, lecz teraz piętrzył się tam jedynie stos rdzy i resztki metalowych prętów.

Archeolożka przekroczyła je i znalazła się w następnym korytarzu.

Zmrużywszy oczy, zasłoniła dłonią szkło latarki.

W oddali ukazała się cienka linia bladożółtego światła.

Wyjście z podziemi.

28 października, 16.30

Watykan

Kardynał Bernard sunął korytarzami Pałacu Apostolskiego niczym chmura gradowa.

Rhun podążał za nim pilnowany przez oddział uzbrojonych gwardzistów szwajcarskich. Nadia szła po jego lewej stronie, pozornie wcale się nie przejmując. Jordan kroczył po prawej, na jego twarzy malowała się złość, nie obawa. Rhun cieszył się, że ma ich przy boku.

Wyprostowane plecy kardynała Bernarda emanowały gniewem. Purpurowa sutanna wirowała za nim. Bez wątpienia był wściekły na Nadię, że go okłamała, informując o śmierci Rhuna.

Sangwinista odwrócił głowę i spojrział na gwardzistów. Na samym końcu podążał ojciec Ambrose, nawet nie ukrywając złośliwego uśmieszku.

Przy pomocy Nadii Rhun mógł ich wszystkich pokonać, lecz nie zamierzał uciekać. Chciał wyjaśnić Bernardowi to, co zaszło, oraz zapewnić sobie jego pomoc w odszukaniu Erin i księgi. Modlił się, by nie było za późno.

Bernard otworzył kluczem drzwi do sali audiencyjnej i wpuścił więźniów.

Podszedł do okrągłego mahoniowego stołu i ciężko usiadł; następnie wskazał Rhunowi miejsce po swojej prawej stronie, które ten zwykle zajmował. Może jednak nie rozgniewał się aż

tak bardzo, myślał Rhun, przysuwając sobie antyczne krzesło na cienkich nóżkach pokryte bursztynową tapicerką.

— Rhunie — odezwał się Bernard tonem, który rozwiewał przelotną nadzieję sangwinisty. — Okłamałeś mnie. Nie kogo innego, lecz mnie.

— To ja cię okłamałam — sprostowała Nadia. — Wina spada na mnie.

Bernard machnął lekceważąco ręką.

— On na to pozwolił.

— Owszem. — Rhun skłonił głowę. — Biorę na siebie pełną odpowiedzialność.

Nadia skrzyżowała ręce na piersi.

— Doskonale. Skoro za nic nie odpowiadam, mogę sobie iść?

— Nikt stąd nie wyjdzie, dopóki w zadowalający sposób nie wyjaśnicie mi tej sytuacji.

— Oczekujesz spowiedzi? — zapytał Rhun. — To wszystko jest teraz bez znaczenia. Belial zdobył księgę.

Bernard oparł się na krześle.

— Rozumiem.

— Są w Rzymie. — Rhun położył ręce na połyskliwym blacie stołu, jakby zamierzał wstać. — Musimy ich znaleźć.

— Siadaj! — rozkazał Bernard, jakby zwracał się do psa. — Najpierw opowiesz mi, jak do tego doszło.

Rhun najeżył się w środku. Obrócił w palcach paciorki różańca, żeby się uspokoić. Dopiero wtedy zrelacjonował kardynałowi przebieg wypadków w Rosji. Mówił szybko, a Bernard raz po raz przerywał mu pytaniami, czepiając się każdego szczegółu, który budził jego wątpliwość. Umysł teologa poszukiwał niespójności, usiłował wykryć kłamstwa.

Upływały kolejne minuty.

Nie mogąc dłużej usiedzieć na miejscu, Rhun wstał i zaczął chodzić. Zatrzymywał się, żeby wyjrzeć przez okno na plac, który stopniowo pogrążał się w półmroku. Ludzie wkładali okrycia i zbierali swoje rzeczy, przygotowując się do odejścia. Za godzinę lub dwie zajdzie słońce, a wtedy *strigoi* będą mieli swobodę

poruszania się. Z każdą sekundą malała szansa, że Rhun i Jordan znajdą Erin żywą lub odzyskają księgę. Mimo to kardynał naciskał dalej.

— Jeśli ksiądz kardynał zamierza przesłuchiwać nas cały dzień — wtrącił się Jordan — to w tym czasie można wysłać ludzi w celu odszukania Erin i księgi. Może nie przybyliśmy tutaj tylko po to, by snuć bajeczki?

— Nie mówi się w taki sposób do kardynała! — naskoczył na niego Ambrose.

— Czyżby? — Jordan odsunął się od stołu, najwyraźniej zamierzając szybko uwinąć się z mnichem.

Nadia się poruszyła. Jeśli Rhun da znak, ona i sierżant gotowi byli walczyć.

Sangwinista uniósł rękę.

— Uspokójcie się...

Ktoś zapukał cicho do drzwi.

Rhun wyteńczył słuch. Pięciu mężczyzn i kobieta. Uśmiechnął się, rozpoznawszy bicie jednego z serc. Musiał się powstrzymać, żeby nie paść na kolana i nie wznieść modlitwy dziękczynnej do Pana. Odłożył to na później.

Nadia także usłyszała i zerknęła na towarzysza.

Jordan popatrzył na oboje, jego twarz o regularnych rysach wyrażała dezorientację.

Ambrose zrobił najbardziej wyniosłą minę, na jaką było go stać, i otworzył drzwi.

Weszła Erin.

Obroża, którą nałożyła jej w Rosji Bathory, pozostawiła rany i ślady zakrzepłej krwi na szyi. Miała umorusaną twarz i brudne ręce; wyglądała na wyczerpaną. Młody mężczyzna, który wszedł za nią, prezentował się o wiele gorzej.

Ale żyła.

Jordan objął ją i poczuła się wspaniale. Zamknęła oczy i oparła głowę na jego piersi. Najchętniej pozostałaby tam bardzo, bardzo długo.

— Jak się tutaj dostałaś? — zapytał Rhun. — Kim jest twój towarzysz?

Erin wyplątała się z rąk uśmiechniętego sierżanta.

— To jest Nate Highsmith. Należał do mojego zespołu badawczego w Cezarei. Bathory porwała go i przywiozła do Rzymu.

Nate podał wszystkim rękę i zmierzył podejrzliwym, zazdrosnym spojrzeniem Jordana. Dostrzegł gorący uścisk, jakim sierżant przywitał Erin.

Jordan zdawał się nie zwracać na to uwagi, na jego twarzy gościł szeroki uśmiech. Raz po raz zerkał na Erin, a ona też odpowiadała uśmiechem. Kiedy Bathory wywlokła ją z podziemnej salki i zostawiła Jordana i Rhuna w łapach Rasputina, archeolożka przeraziła się, że nigdy więcej nie zobaczy żadnego z nich.

Sierżant szybko zrelacjonował jej wydarzenia ostatnich kilku godzin.

Ona zaś opowiedziała o ucieczce tunelami z cyrku Nerona do Watykanu. Gdy tam dotarła, zażądała widzenia z kardynałem Bernardem; gwardziści szwajcarscy zareagowali natychmiast, umieszczając ją i Nate'a w areszcie.

— Ruiny cyrku! — powiedział Rhun. — Oczywiście. Ten przeklęty labirynt stanowi doskonałą kryjówkę dla zastępów Beliala.

— Dlaczego? — chciał wiedzieć Jordan.

— Znajduje się pod ziemią i jest osłonięty przed światłem, więc *strigoi* mogą nim swobodnie poruszać się za dnia. Ale co ważniejsze, cyrki to najbardziej przeklęte miejsce w Rzymie, jego piach został na zawsze splamiony krwią zamęczonych chrześcijan. To dodaje im sił, nam odbiera.

Kardynał skinął na gwardzistę i Ambrose'a.

— Wysłać oddział do cyrku. Sangwinistów i ludzi. Muszą przeszukać tunele i odzyskać księgę. I poinformować Jego Świątobliwość.

Gwardzista i ksiądz skinęli głowami i wyszli.

Bernard wypytał szczegółowo Erin i Nate'a o to, co im się przydarzyło. Długo to potrwało, lecz na koniec jego mina świadczyła, że uwierzył w prawdziwość ich relacji.

— Opiszcie mi jeszcze raz księgę — rzekł, zamykając oczy i łącząc palce w daszek.

— Najlepiej będzie, jeśli narysuję — odparła Erin, prosząc gestem o papier i coś do pisania.

Kardynał skinął głową i podał jej arkusz z papieskiej papeterii i długopis. Archeolożka szybko naszkicowała wizerunki umieszczone na książe.

— Jest to blok ołowiu wielkości Biblii Gutenberga — powiedziała i nakreśliła dziwne postacie wyryte na metalu: szkielet i mężczyznę złączonych w uścisku i związanych plecionym sznurem; nie zapomniała wspomnieć o dwóch symetrycznych zagłębieniach i greckich symbolach.

— Alfa i Omega — powiedział cicho kardynał. — To oczywiście oznacza Jezusa.

— Nie mam co do tego pewności.

Erin nie chciała się kłócić, lecz coś jej podpowiadało, że kardynał się myli.

— Ależ oczywiście, że tak! Jam Alfa i Omega, Pierwszy i Ostatni. To werset z Apokalipsy św. Jana. — W brązowych oczach kardynała płonął gniew.

Kiedy kończyła szkic, coś nie dawało jej spokoju. Nagle zrozumiała i tknęło ją chłodne poczucie pewności. W Pałacu Apostolskim wszędzie widziała podobny wizerunek. Widniał nawet na nagłówku papeterii, którą trzymała w dłoni.

Spojrzała na pozostałych szeroko otwartymi oczami.

— Wydaje mi się, że...

W tej samej chwili gwardzista mocnym pchnięciem otworzył za nią drzwi i Erin się wzdrygnęła. Wbiegł do sali, jego policzki zaróżowiły się od strachu.

— Wasza Eminencjo, ktoś włamał się do papieskiego grobowca w nekropolii!

Erin okręciła się na pięcie i spojrzała gwardziście w oczy.

— Zrobiono coś z kośćmi świętego Piotra, prawda?

Mężczyzna cofnął się zaskoczony.

— Ktoś je ukradł...

Kardynał jęknął, a Rhun i Nadia zerwali się na równe nogi.

— Oczywiście! — prawie zawołała Erin; jej serce biło jak szalone. — To jasne!

Wszyscy skierowali na nią spojrzenia.

— Wiem, jak otworzyć księgę! — zawołała.

Pamiętała minę Bathory, kiedy rozmawiały o przemianie księgi i alchemicznych katalizatorach, dzięki którym pospolity ołów może się zamienić w słowo Chrystusa.

Bathory odgadła, czym jest Alfa i Omega.

Wszystkie głowy zwróciły się ku Erin.

— Mów, i to szybko — zachęcił Jordan.

Schyliła się nad papeterią i nakreśliła papieską pieczęć.



Przedstawiała ona dwa klucze: srebrny i złoty klucz świętego Piotra skrzyżowane i związane pośrodku splotem purpurowego sznura. Papieską pieczęć i rysunek umieszczony na księdze cechowało nieprawdopodobne podobieństwo. Jednak na księdze

zamiast kluczy symbolizujących papieża widniały dwie podobnie połączone postacie.

— Święty Piotr dwa tysiące lat temu ukrył księgę — wyjaśniła archeolożka. — Musiał zobaczyć wizerunek na Ewangeli, który z upływem czasu stał się coraz bardziej znany. Przestał być tajemnicą około dwunastego wieku, kiedy skrzyżowane klucze zaczęły się pojawiać jako heraldyczne symbole papieża. Jednak pierwowzorem tego wizerunku musiał być rysunek na Ewangeli Krwi, który święty Piotr postanowił upamiętnić.

Klepnęła w papieskie godło.

— Klucze symbolizują papieństwo, postacie także. Szkielet i mężczyzna. — Odgarnęła włosy, które opadły jej na twarz. — Alfa oznacza „pierwszy”. Poniżej znajduje się rysunek szkieletu.

— Tak?

Rhun zbliżył się do Erin i wpatrzył ciemnymi oczami w twarz archeolożki, jakby mógł wyczytać z niej odpowiedź.

— Ten symbol przedstawia kości pierwszego papieża.

— Świętego Piotra! — dopowiedział kardynał. — To dlatego wykradli jego kości.

— Mają być pierwszym składnikiem, który pomoże otworzyć księgę. Wydaje mi się, że odrobina zmielonych kości świętego Piotra ma wypełnić to zagłębienie na okładce podobne do otworu na kałamarz.

Jordan drgnął.

— Piers chyba usiłował nam to powiedzieć tam, w Niemczech. Raz po raz powtarzał słowa „księga” i „kości”.

— Otóż to. — Erin stuknęła w drugą część rysunku. — Wizerunek żywego mężczyzny oznacza obecnego papieża. Omega, ostatni papież.

— Zatem potrzebują także kości obecnego papieża? — zapytał z lękiem Jordan.

Potrząsnęła głową.

— A więc czego im potrzeba? — spytał Rhun.

— Co ma człowiek, czego brakuje szkieletowi? — Erin jęła wyliczać: — Życie, ciało, krew.

— Krew? — wtrącił Jordan. — Piers także o tym wspomniał, ale po niemiecku. *Blut*.

— Drugi składnik... — Erin poczuła zimno na rękach, kiedy uświadomiła sobie całą prawdę. Spojrzała na pozostałych. — Potrzebują krwi obecnego papieża.

16.48

Rhun i Nadia biegli za Bernardem, jedno z lewej strony, a drugie z prawej; tworzyli triadę. Nie dbając już o zachowanie w tajemnicy swojej prawdziwej natury, pędzili z pełną szybkością. Ich cienie sunęły korytarzami Pałacu Apostolskiego. Ludzie zostali w tyle. Ale to nie była ich sprawa.

Rhun mknął długim przejściem prowadzącym do sypialni Jego Świątobliwości. Ściany pokryte bogato zdobioną boazerią przemykały obok. Wisiały na nich krzyże i malowidła religijne utrzymane w ciemnej tonacji. Dzieła sztuki warte były fortunę, lecz pieniądze nie mogły ocalić życia starca. Tylko oni potrafili tego dokonać.

Miej nas w swojej pieczy, Panie Boże, niech ona da nam siłę.

Drzwi papieskiej sypialni stały otwarte, światło sączyło się do ciemnego korytarza.

W środku poruszały się jakieś cienie.

Bernard wbiegł do pokoju bez zatrzymania i bez pukania, Rhun i Nadia wpadli do środka tuż za nim. Owionęła ich woń krwi. Przybyli za późno.

Jego Świątobliwość leżał na boku na podłodze, z jego przeciętej szyi na świętą sutannę sączyła się krew. Obok na podłodze leżała brzytwa, prawdopodobnie jego własna. W pobliżu sędziwej białej głowy spoczywały czerwone papieskie buty równo ustawione obok łoża. Włosy papieża, zwykle starannie uczesane, były w nieładzie. Błada, pomarszczona twarz zastygła w wyrazie przerażenia, emanujące ciepłem niebieskie oczy pozostawały zamknięte.

Obok niego klęczał Ambrose. Jego dłonie były zakrwawione. Bezskutecznie usiłował zatamować krwotok.

Bernard uklęknął obok niego; Nadia zajrzała do sąsiadującej z sypialnią łazienki, a Rhun rozglądał się, sprawdzając, czy nie kryją się tu jeszcze jakieś zagrożenia. Grube pluszowe zasłony były dokładnie zaciągnięte, pościel na prostym mosiężnym łóżku potargana. Krzesło stało dopchnięte do antycznego biurka, za którym znajdował się regał z książkami.

Rhun zrozumiał.

Zaskoczyli papieża w łóżku podczas odpoczynku; stawił słaby opór.

Sangwinista zamknął oczy i wyteżył pozostałe zmysły. W sypialni były tylko serca Ambrose'a i Jego Świątobliwości. Zapachy były dobrze znane: Ambrose, Jego Świątobliwość, pozostali sangwiniści, papier, kurz i odrobina kadzidła. Nad wszystkimi zaległa woń rozlanej krwi starca.

Rhun skierował na niego uwagę. Twarz papieża miała jeszcze mniej koloru niż w chwili ich przybycia. Oddech chrapliwie wydostawał się ze wpółotwartych ust.

— Przyszedłem, żeby mu powiedzieć i... — jąkał się Ambrose.
— Trzeba sprowadzić lekarza!

Bernard przycisnął mocno ręką ranę papieża. Nadia skinęła mu głową na znak, że w łazience nikogo nie ma, a potem szybko niczym wiatr wybiegła z pokoju.

Ambrose otarł dłonie w czarny habit. Jego serce biło ze strachu lub z szoku. Był tak blady i bezradny, że nawet Rhun go pożałował.

Dotknął dłonią ramienia kardynała.

— Musimy zabrać go do gabinetu chirurga, może jego lekarz zdoła mu tam pomóc.

Spojrzenie Bernarda spotkało się ze spojrzeniem papieża.

— Bernard! — powiedział następca Piotra ostrym tonem.

Wzrok kardynała się rozjaśnił.

— Tak.

Jedną rękę zaciskał mocno na gardle Jego Świątobliwości, a drugą wsunął pod jego barki. Rhun także chwycił papieża. Nie będzie trudno nieść drobne ciało. Serce starca było nierównomiernie i słabło z każdym uderzeniem. Bez pomocy papież długo nie pożyje.

Rhun i Bernard dzwignęli rannego i ponieśli go w kierunku gabinetu lekarskiego. Nadia sprowadzi tam doktora.

Tym razem posuwali się korytarzem wolniej. Rhun miał czas, żeby przyjrzeć się starym obrazom w ciężkich drewnianych ramach. To była ściana świętych, każde malowidło przedstawiało historię cierpienia i męczeństwa.

Kroki gwardzistów szwajcarskich dudniły w korytarzu; razem z nimi podążali Erin, Jordan i Nate.

— Jego Świątobliwość został poważnie zraniony — oznajmił oficjalnie Bernard po włosku, który był językiem jego dawno minionego dzieciństwa. Rhun od lat nie słyszał tego akcentu. Doszedł do wniosku, że kardynał wciąż jest w szoku.

Gwardziści rozstąpili się niczym woda, żeby ich przepuścić.

Nadia, tak jak na to liczył Rhun, czekała w gabinecie, a obok niej stał mężczyzna w białym kitlu z rozczochraną głową. Wyglądał tak, jakby wyciągnęła go z łóżka i przyniosła, pokonując całą drogę biegiem.

Pobladł, kiedy zobaczył, kogo niosą.

Minęli go i wnieśli rannego do starannie urządzonej nowoczesnej sali operacyjnej. Wszędzie lśniły stal nierdzewna i najnowsze maszyny przykryte folią. Na ścianie wisiał prosty okrągły zegar i ciężki metalowy krzyż.

Rhun i kardynał delikatnie złożyli Jego Świątobliwość na czystym białym łóżku. Bernard wciąż uciskał ranę.

— Zrobiono to brzytwą — oznajmił.

Do sali wbiegł drugi lekarz.

— Wszyscy muszą wyjść — rzekł pierwszy. — Zostaje tylko personel medyczny.

Zajęli się Jego Świątobliwością, Rhun zaś modlił się, żeby zdołali go ocalić. Sangwiniści nie mogli nic więcej zrobić.

Wyszedł na korytarz. Krople krwi papieża lśniły na drewnianej podłodze.

— Gdzie jest Nadia?

— Wzięła oddział gwardzistów i poszła korytarzem — odparł Jordan. — Zamierza znaleźć sprawcę.

Jeśli zamachowca można znaleźć, Nadia to zrobi. Rhun oparł się plecami o boazerię na ścianie. Bernard stanął obok niego i położył rękę na jego ramieniu. Od wieków nie dokonano skutecznego zamachu na papieża.

— Co to oznacza dla Bathory? — spytał sierżant archeolożkę.

Jej wzrok powiedział Rhunowi to, co chciał wiedzieć.

— Oznacza, że Bathory ma wszystkie składniki niezbędne do otwarcia księgi.

28 października, 17.05

Watykan

Erin żałowała, że nie ma dla towarzyszy lepszych wiadomości. Sekta Beliala zdobyła księgę oraz środki do jej otwarcia. Czy to wystarczy do dokonania transfiguracji? Czyżby zło zatriumfowało?

Nate osunął się na podłogę obok archeolożki. Po nogawce jego spodni ciekła świeża krew. Nigdy nie widziała go tak pobladłego. Oparł głowę o ścianę.

Jordan wyjął z kieszeni płaszcz butelkę wody i wsunął chłopakowi do rąk.

Nate wychylił ją jednym długim haustem. Od jak dawna nie pił? Erin nie przyszło do głowy, żeby go o to zapytać, a przecież zmuszała studenta do wysiłku niemal od chwili, gdy wtrącono go do celi.

Bernard spojrział w oczy gwardziście szwajcarskiemu i wskazał Nate'a.

— Trzeba mu udzielić pomocy medycznej. Kobiecie także.

— Najpierw Nate, ja pójdę za chwilę — powiedziała Erin.

Bernard zawahał się, lecz skinął głową. Gwardzista pomógł Nate'owi wstać.

— Nic mi nie jest.

Chłopak wyprostował się, lecz jego plecy prawie natychmiast zaczęły się zsuwać po ciemnej dębowej boazerii.

— Ależ oczywiście — przytaknęła mu archeolożka. — Mnie też, ale pozwólmy im zrobić swoje. Pójdę tam zaraz po tobie.

Nate spojrzał na nią z niedowierzaniem, lecz się nie sprzeciwiał, kiedy dwaj gwardziści poprowadzili go korytarzem. To młody twardziel, nic mu nie będzie, myślała Erin. Wolą nie przypominać sobie, jak odnoszono Heinricha. Niebawem znów zobaczy Nate'a.

Jordan wyciągnął swoją miniapteczkę pierwszej pomocy.

— Na pewno nie chcesz mu towarzyszyć?

— Szyja wygląda okropnie, ale nie jest aż tak źle — odparła uspokajająco Erin.

— Naprawdę wygląda okropnie. — Jordan wyjął flakonik z alkoholowym środkiem dezynfekcyjnym; Erin знаła ten zapach aż nazbyt dobrze.

Zacisnęła zęby, kiedy wyciągnął rękę. Jednak dotyk jego dłoni na jej szyi był lekki jak piórko.

— I co dalej? — zapytał, patrząc jej w oczy.

Serce Erin zaczęło bić szybciej.

— Jak postąpi Bathory? Gdzie otworzy księgę?

Jordan pytał w taki sposób, jakby spodziewał się usłyszeć od niej odpowiedź.

Chciała mówić, aby tylko nie myśleć o tym, że stoi tak blisko i łagodnie dotyka jej szyi.

— Dla księgi to bardzo ważne, jak i gdzie zostanie otwarta.

— Mówisz, jakby księga była istotą ludzką.

Jordan odgarnął włosy z jej szyi i oczyścił rany. Gładził wacikiem jej szczękę aż do obojczyka.

Zadrżała i przestąpiła z nogi na nogę.

— Zastanawiam się, czy ona ma coś w rodzaju świadomości. Czy ten, który ją stworzył, przekazał jej część swojej osoby.

— Zgadza się. — Kardynał poprawił purpurową czapeczkę, którą nosił na białych włosach. — Zawsze interpretowałem przepowiednię właśnie w taki sposób. I uważałem, że księga musi zostać otwarta w Rzymie. Ale gdzie?

— Jeśli świętość ziemi jest ważna dla sangwinistów — ciągnęła Erin, wyczuwając, że wpadła na coś ważnego — to dla księgi także. Które miejsce w Rzymie jest najświętsze? Grobowiec

świętego Piotra. — Erin odeszła od Jordana. Musiała pomyśleć; żeby to zrobić, odsunęła się od jego ciepła i piżmowego zapachu ciała. — Ale jeśli Belial chciałby otworzyć księgę właśnie tam, musiałby najpierw zdobyć krew papieża, a następnie kość, aby księga znalazła się w miejscu, gdzie spoczywają kości.

— To brzmi sensownie — stwierdził Jordan. — Po co robić dwa włamania: jedno, żeby ukraść kości, a drugie, by otworzyć księgę?

Dało się słyszeć bicie w dzwony. Rhun i Bernard spojrzeli na siebie.

— Co to znaczy? — zaciekawiał się Jordan, wyjmując rolkę gazy.

— Gwardziści szwajcarscy biją na alarm — odparł kardynał. — Ewakuują turystów z Watykanu.

— A więc Bathory nie ma dużo czasu. — Erin bardzo chciałaby wiedzieć, gdzie ukryła się wiedźma. Nagle zaświtała jej nadzieja. — Zaraz! Bazylika jest zbudowana nad grobowcem Piotra. Najświętsza część najświętszego kościoła w Rzymie.

Zanim dokończyła zdanie, Rhun i Bernard, którzy stali obok niej, rozplynęli się w powietrzu niczym zjawy i z niewyobrażalną prędkością pomknęli korytarzem. Nikt, kto by na nich patrzył, nie wziąłby ich za istoty ludzkie.

Jordan pokręcił głową.

— Zdaje się, że nie dbają już o zachowanie pozorów. — Uniósł brwi i wyciągnął rękę. — Masz ochotę na jeszcze jeden sprint?

Skinęła głową, a on pomógł jej wstać.

Zanim ruszył biegiem, wziął pistolet maszynowy, który Nadia była łaskawa przywieźć z Niemiec, a także rewolwer. Erin podążyła za nim szerokim korytarzem Pałacu Apostolskiego w kierunku placu. Nikt nie próbował ich zatrzymać.

Zbiegli schodami, pokonując po dwa stopnie naraz, i znaleźli się w przestronnym holu prowadzącym do brązowych drzwi, za którymi rozpościerał się plac Świętego Piotra.

Dwaj gwardziści szwajcarscy w niebiesko-czerwono-żółtych tunikach otworzyli szeroko drzwi przed Rhunem i kardynałem.

Jordan przyspieszył, żeby ich dogonić.

— My im towarzyszymy! — krzyknął.

— Pozwólcie im przejść! — zawołał kardynał, który już był na placu.

Gwardziści się rozstąpili.

Drzwi zatrzasnęły się z rozgłośnym łoskotem. Nikt więcej nie zostanie przez nie łatwo wpuszczony.

Erin zbiegała po schodach; już brakowało jej tchu. Marmurowe kolumny wznosiły się po obu stronach na wysokość ponad ośmiu metrów. Wszystko wokół było tak ogromne, że czuła się jak dziecko, które wtargnęło do siedziby olbrzyma.

Wybiegli na otwarty teren; nagle Jordan pośliznął się i zatrzymał.

Na placu był tłum. Ludzie wysypywali się z bazyliki i spomiędzy kolumnad i niczym strumienie omijali obeliski i fontanny; wszyscy kierowali się do wyjścia i na ulice. Zachodzące słońce oblewało ich twarze ciepłym pomarańczowym blaskiem.

Szwajcarzy popędzali ich niczym stada owiec.

Bernard i Rhun musieli zwolnić, gdy stanęli naprzeciwko morza ludzkich postaci.

— Złap mnie za pasek! — krzyknął przez ramię Jordan.

Erin wsunęła palce za grubą skórę.

Jordan przepchnął się przez ciżbę niczym futbolowy taran. Nie przeciskał się wśród tłumu, tak jak to czynili sangwiniści, lecz unosząc jedną rękę, trzymał się jego skraju. Ludzie się rozstępowali.

Erin starała się dotrzymać mu kroku. Jordan zawadził zranionym ramieniem o jakiegoś turystę, ale nawet się nie skrzywił.

Dotarłszy do bazyliki, odbił w lewo ku drzwiom. Rhun i kardynał przemknęli przez nie niczym purpurowo-czarny obłok.

Archeolożka spojrzała w górę. Nad ogromną kopułą bazyliki niebo mieniło się bursztynem i pomarańczą.

Słońce zaszło za horyzont.

Myśl o tym, co to oznacza, rozproszyła jej uwagę. Zauważyła mnicha, kiedy było za późno. Zderzył się z nią, puściła pasek Jordana. Mnich wymamrotał słowa, które zabrzmiały jak przeprosiny po polsku. Wyciągnął rękę, żeby klepnąć ją w ramię.

— Nic się nie stało — powiedziała.

Sierżant nie zauważył jej zniknięcia i przepchnął się przez drzwi. Dwaj pilnujący ich gwardziści patrzyli na wychodzących turystów, lecz zorientowali się i ją złapali.

Jordan, który był już w środku, odwrócił się.

— Nie czekaj! — zawołała, wiedząc, że w starciu z Bathory sierżant zdziała więcej niż ona.

Skinął głową i popędził w głąb bazyliki.

— Budynek jest ewakuowany, panienko. — Grzeczne słowa gwardzisty nie licowały z siłą, z jaką ścisnął jej ramię. — Obawiam się, że muszę panią prosić, aby...

Z wnętrza bazyliki promieniowało złote światło z oślepiającym blaskiem gwiazdy supernowej. Towarzyszył mu słodki zapach oraz ledwo słyszalne dźwięki muzyki, które sprawiały, że człowiek mimo woli wytężał słuch.

Szwajcar puścił rękę Erin i spojrzał do wnętrza.

A więc się zaczęło...

Erin musiała zobaczyć, co się dzieje. Szybko ominęła gwardzistę z boku i weszła do bazyliki. Pomknęła portykiem, potrącając turystę, który znieruchomiał tak samo jak strażnik.

Przedostała się przez drzwi wewnętrzne i dotarła do nawy głównej. Las potężnych kolumn podtrzymywał wymyślnie ozdobione sklepienie bazyliki. Erin spojrzała na odległy papieski ołtarz w centrum kościoła. Spod osłaniającego go ogromnego czarno-złotego baldachimu płynęło złote światło. Konstrukcja z brązu zdawała się drżeć wraz z tym blaskiem niczym fatamorgana nad rozgrzanymi piaskami pustyni. A może moc, stanowiąca źródło jasności, była zbyt wielka, by mogła ją pomieścić budowla wzniesiona ludzkimi rękoma.

Bez chwili namysłu pobiegła w stronę światła, omijając turystów zmierzających w przeciwnym kierunku. Jednak większość ogromnego wnętrza już opustoszała i droga była wolna.

To przypominało sprint na boisku, z tą różnicą, że Erin była pod dachem. Wiedziała, że Bazylika Świętego Piotra ma największe wnętrze ze wszystkich kościołów na świecie. Bywała w nim wiele razy, ale nigdy nie biegała. Teraz pędziła, utkwivszy wzrok w blasku sączącym się spod baldachimu.

Kiedy się zbliżyła, onieśmielił ją jego ogrom. Na marmurowych cokołach wysokości dorosłego człowieka stały spiralne salomonowe kolumny wznoszące się na osiemnaście metrów w górę. Podtrzymywały ogromną brązową czaszę z ozdobną krawędzią, zwieńczoną posągami i krzyżem.

Pod baldachimem, w samym środku bazyliki, stała Bathory.

Jej rude włosy płonęły w złotym świetle bijącym od obiektu, który trzymała w dłoniach. Rozświetlał każdą wnękę i zakątek kościoła. Wszystkie posągi i freski pulsowały głębokim mistycznym blaskiem, jak gdyby łaknęły połączenia z jasnością promieniującą od baldachimu.

W dłoniach Bathory ołów przeistoczył się w złoto.

Transfiguracja, pomyślała Erin.

Miałam rację.

Przemknęła biegiem obok ostatnich rzeźb zdobiących nawę. Jordan zwolnił, żeby mogła go dogonić. Chwycił ją za rękę i dalej biegli nawą razem w kierunku światła.

Rhun i Bernard znieruchomieli tuż przed baldachimem.

Zatrzymali się w obliczu świętości, która nawet w nich budziła lęk.

28 października, 17.11

Watykan

Krew Bathory zaśpiewała z radości, gdy złote światło oblało jej postać.

Wdychała jego ciepło i miłość. Ból, który przenikał jej żyły od dnia, w którym stała się kobietą, zaczął ustępować. Poczowała, że czarne znamię na szyi blaknie zmyte promieniującą jasnością. Jak ciemność może się oprzeć temu blaskowi?

Blok ołowiu ogrzewał jej dłonie. Pulsowało w nim bicie serca niczym w żywej istocie. Z każdą sekundą ważył coraz mniej, aż poczuła, że unosi się nad jej palcami.

Zniknął, a w jego miejscu pojawiło się szczerozłote światło.

To światło zaczarowało Bathory. Rozpaliło jej oczy, lecz nie parzyło. Mogła patrzeć w nie bez końca, zamieszkać w nim i po kres czasu zgłębiać jego tajemnicę. Złote słońce namalowane na spodniej stronie baldachimu stanowiło obramowanie wizerunku białej synogarlicy. Ptak frunął, wolny, prosto w blask.

To samo uczyniła Bathory.

Ale nie trwało to długo.

Archeolożka i sierżant skoczyli ku niej. Rycerze także się zbliżali, okrążając ją. Gwardziści szwajcarscy biegli nawą. Bathory znalazła się w pułapce. Zabiją ją, przeleją jej krew na księgę, wydrą ją jej.

Światło, jak gdyby wyczuwając lęk Bathory, zamarło. W dłoniach kobiety spoczywała księga i ciążyła jej.

Wpatrywała się w nią jak zahipnotyzowana.

Księga była oprawiona w zwykłą owczą skórę, nic jej nie zdobiło. Bathory pogładziła koniuszkami palców wytartą skórę, do jej nosa dotarł zapach starożytnych piasków.

Skąd w czymś tak prostym i zwyczajnym brała się taka jasność?

Nagle Bathory zrozumiała.

Stała jej przed oczami obraz Jezusa, oblicze zwyczajnego mężczyzny, pod którym kryło się źródło boskości.

Po jej policzkach pociekły łzy, w żyłach znów popłynął ból.

Nie musiała dotykać szyi, by wiedzieć, że znamię wróciło na swoje miejsce.

Potrząsnęła głową, żeby uwolnić się od blasku, który dalej przepełniał jej umysł. Czuła się jak wybudzona z głębokiego snu. Nie mogła jednak pozwolić sobie na luksus beztroski.

Spojrzała na wskroś bazyliki, wiedząc, co musi zrobić. Musiała wydostać się z ogromnego kościoła i zamierzała utorować sobie drogę.

Zeskoczyła z ołtarza do apsydy i podeszła do ogromnego tronu z czarnego marmuru, który tkwił wysoko na ścianie. Był to tron świętego Piotra, którego otaczali papieże oraz promienie złotego światła. Wszystkie bladły w porównaniu z tym, co przed chwilą ujrzała Bathory.

Oddalwszy się od ołtarza, wsunęła rękę do kieszeni, w której tkwił detonator. Nacisnęła klawisz.

Huk eksplozji zabrzmiał jak uderzenie pioruna za horyzontem. Posadzka podskoczyła pod jej stopami. Ładunki umieściła głęboko w nekropolii znajdującej się dokładnie pod ołtarzem, na którym przed chwilą stała.

Patrzyła z zadowoleniem, jak marmurowa posadzka pęka i rozstępuje się pod ciężkim baldachimem niczym tafła lodu. Masywna brązowa konstrukcja zadrżała, a potem zapadła się pod własnym ciężarem, wybijając ogromny otwór w posadzce.

Podstawa baldachimu grzmotnęła z łoskotem w podłogę nekropolii. Taki sam dźwięk mógłby towarzyszyć zatrząskaniu się bram niebios.

Niech więc tak będzie.

Machnęła ręką, rozpędzając pył i dym sprzed oczu, i patrzyła, jak baldachim osiada na podłożu. Tylko przechylona kopuła wystawała ponad posadzkę nawy.

Ładunki zadziały wybornie.

Szwajcarski gwardzista z krzykiem wpadł do wyrwy, gdy zapadła się pod nim krawędź posadzki.

Sangwiniści odskoczyli niczym spłoszone lwy do lewej części transeptu. Archeolożka i sierżant poszukali schronienia po prawej stronie. Następni gwardziści pędzili nawą do miejsca katastrofy.

Jednak armia *strigoi* ukryta w nekropolii nie czekała. Słońce już zaszło, mogli więc wspiać się chmarą po spiralnych kolumnach zawalonego baldachimu niczym diabelska horda wynurzająca się z ciemności Hadesu. Zaroili się na metalowej czaszy i rozbiegli po bazylice na podobieństwo mrówek uciekających z mrowiska. Mimo że świętość sanktuarium nadwątlała ich siły, szybko rozprawią się z gwardzistami i dadzą Bathory czas na ucieczkę.

Przeskoczyła z pękniętej krawędzi posadzki na ogromnego anioła tkwiącego na wierzchołku baldachimu. W jednej ręce trzymała księgę, a drugą chwyciła się połączanego skrzydła.

Huknęły strzały.

Przekręciła się tak, by anioł odgrodził ją od strzelającego. Wsunęła księgę za koszulę z przodu, żeby mieć wolne ręce, a potem rozpląszczyła się na brzuchu i spuściła nogi za krawędź czaszy. Szukała stopami oparcia na ozdobnym kapitelu kolumny. Dzięki mnogości wyrafinowanych ozdób baldachim stanowił wygodną drabinę wysokości trzydziestu metrów, która prowadziła do nekropolii, podziemnego miasta umarłych rozciągającego się pod bazyliką.

Bathory schodziła po skrzyżowanej kolumnie, trzymając się rękami wyrzeźbionych w metalu girland, które ją oplatały.

Gdzieś w głębi nekropolii zawył Magor, przyzywając panią.

Uśmiechnęła się, czując ciężar księgi na piersiach.

Razem zdołają wymknąć się z Rzymu, a może nawet uciec przed Nim.

28 października, 17.15

Watykan

Jordan stoczył się razem z Erin. Czyżby ją poturbował? Brutalnie przewrócił ją na marmurową posadzkę, kiedy nastąpiła eksplozja.

— Erin?

Wskazała ręką za jego plecy.

Większą część wnętrza bazyliki spowijała chmura pyłu, lecz Jordan, odwracając się, wyjął spod płaszcza pistolet maszynowy. Strzelił i trafił w ramię *strigoi*, który wychynął z obłoku dymu. Ciemna krew trysnęła na białe kamienie. *Strigoi* cofnął się zaskakująco powoli, jakby brodził w wodzie. Sierżant wymierzył do niego, ale nie chciał strzelać seriami we wnętrzu bazyliki.

Nie miał pewności, czy wszyscy cywile wyszli.

Nie widział daleko z powodu kurzu, ale zauważył ziejącą dziurę, z której sterczała pod kątem czarna rzeźba. Musiał przyznać, że wróg, który podłożył ładunki wybuchowe, znał się na rzeczy.

Lewą ręką pomógł Erin wstać i podał jej colta 1911.

Wzięła broń, spoglądając na rannego *strigoi*.

— Są jacyś otumanieni.

— To poświęcony teren tak na nich działa. — Jordan trzymał broń w gotowości. — Tak czy inaczej, blokują nam drogę do wyjścia.

— Co zrobimy?

Westchnął z rezygnacją; wiedział, że jeśli on się nie zdecyduje, Erin i tak będzie ściagała rudowłosą kobietę.

— Ty rządzisz.

Uśmiechnęła się, słysząc, jakim tonem to powiedział.

Wykorzystując obłok pyłu jako zasłonę, przeszli do apsydy i zbliżyli się do wyrwy. Erin podążała tuż za sierżantem, trzymając pistolet w dłoni.

Większość *strigoi* skupiła uwagę na szwajcarskich gwardzistach, którzy wbiegali do bazyliki i strzelali z pistoletów. Ich postępowanie świadczyło o tym, że cywile opuścili kościół.

Dobrze wiedzieć, pomyślał Jordan.

Razem dotarli do krawędzi wyrwy, nie zwracając na siebie uwagi. Baldachim leżał przechylony na jedną stronę. Z poziomu posadzki brązowa konstrukcja wyglądała tak, jakby miała trzydzieści metrów wysokości. Teraz wystawało zaledwie sześć metrów, co oznaczało, że czekało ich zejście w dół na głębokość dwudziestu czterech metrów. A tam, w ciemnościach, czekali *strigoi*.

Chmura pyłu zawirowała i nagle ukazały się dwie postacie.

To byli Rhun i kardynał.

— Zabrać tę kobietę z bazyliki! — rozkazał Bernard.

— Sam jej to powiedz — odparł Jordan.

Jakby na potwierdzenie tego, że nie można jej do niczego zmusić, Erin przeskoczyła z krawędzi posadzki na brązową czaszę baldachimu. Zachwiała się w tył i chwyciła jednego z mniejszych aniołów, który trzymał uniesioną koronę.

Jordan i Rhun zeskoczyli jednocześnie i znaleźli się jeden z prawej, a drugi z lewej strony Erin. Wyciągnęli ręce, żeby ją powstrzymać. Kardynał wylądował sekundę później nieco wyżej na kopule baldachimu, obok miejsca, z którego wznosił się krzyż. Jak na kardynała przystało.

— Jeśli zamierzacie tam iść — powiedział Rhun — trzymajcie się za mną.

Nie czekając na odpowiedź, zsunął się z baldachimu.

Jordan chwycił Erin za ramię, zanim się poruszyła. Spojrzał jej w oczy.

— Kiedy znajdziesz się po tamtej stronie, przejdź za kolumny. Może dojść do strzelaniny, więc kryj się za tą kopułą z brązu.

Nachyliła się i szybko pocałowała go w usta. Następnie puściła anioła, ześliznęła się po przechylonej czaszy i zniknęła w dole.

Jordan stał chwilę jak osłupiały, a potem pomknął za nią. Bez względu na wszystko musiał zadbać o jej bezpieczeństwo.

Chwycił za krawędź brązowej kopuły, położył się na brzuchu i opuścił nogi; wyczuł wiele miejsc, na których mógł oprzeć nogi i ręce. Po chwili światło padające z góry znikło i pochłonęła go ciemność. Przysiągł sobie, że kiedy koszmar się skończy, wdrapie się na najwyższy gmach, usiądzie na dachu i przez cały dzień będzie gapił się w słońce i rozkoszował podmuchem wiatru na twarzy. Teraz jednak schodził coraz niżej, podążając za jasną koroną włosów Erin. Archeolożka posłuchała jego rady i skryła się za kolumnami.

Sierżant wsunął palce w płytkie rowki złotych splotów zdobiących kolumny. Poruszał się szybko, aby dotrzeć jak najdalej, zanim dłonie się ześlizną i spadnie.

Wtem jak burza przemknął obok niego ciemnoczerwony cień.

To był kardynał.

— Mieście się na baczności! — krzyknął w przelocie. — Wróg otacza nas ze wszystkich stron!

Wspaniale.

Po chwili buty Jordana stuknęły o posadzkę. Włączył latarkę przymocowaną do lufy pistoletu maszynowego. Zewsząd wychynęły ciemne kształty. Napływały ze wszystkich ciemnych korytarzy nekropolii.

Z prawej strony wypatrzył Bathory, a obok niej ogromnego wilkozora. Minęli załom muru i zniknęli w czarnym tunelu.

— Tam! — ryknął Jordan i wskazał ręką.

Rhun i kardynał stanęli w szyku, Bernard na czele. Jordan ustawił się po lewej stronie i umieścił Erin między sobą a Rhunem. Niewiele to zmieniało, lecz bezpieczniejszego miejsca

dla niej nie było. Archeolożka uniosła broń i wypaliła w ciemność.

Jordan odwrócił się i otworzył ogień z pistoletu maszynowego. Ciemna krew trysnęła na chropowate kamienne mury.

Kardynał zmagał się z trzema *strigoi*, dowodząc swojej sprawności.

Jednak posuwając się w tym tempie, nigdy nie dotrą do tunelu.

Nagle Jordan usłyszał tuż przy swoim uchu głos dochodzący nie wiadomo skąd.

— Prowadzę posiłki.

Odwrócił się i zobaczył podobnego do cherubina brata Leopolda w okularach. Za jego drobną postacią ukazał się oddział złożony z dwudziestu sangwinistów. Spadali z baldachimowym deszczem i dołączyli do towarzyszy, przystępując do walki, zanim dotknęli stopami ziemi.

Leopold poprawił okulary na nosie i stanął obok Jordana. Wyglądał jak jego młodszy brat, nie zaś jak nieśmiertelny rycerz Chrystusa.

Jeden ze *strigoi*, jakby wypatrzywszy słabe ogniwo w szeregu sangwinistów i ludzi, wyskoczył z mroku i znalazł się tuż za drobnym uczniem. Błysk miecza stanowił jedyne ostrzeżenie.

Sierżant zareagował odruchowo. Szarpnięciem uniósł pistolet i klinga spadła na lufę zamiast na szyję Leopolda. Mimo to zawadziła o barki młodego sangwinisty, pozostawiając na nich krwawy ślad.

Oczy Leopolda się zaokrągliły.

Wściekły *strigoi* rzucił się na Jordana. Był rosły, miał ciemną skórę ozdobioną tatuażami w jasnych kolorach; z jego nosa i uszu sterczały kolczyki. Jordan zobaczył go w Niemczech u boku Bathory. Stwierdził, że musi być podoficerem w sekcji Beliala; to zaś oznaczało, że brał udział w zorganizowaniu ataku na oddział Jordana w Masadzie.

Bestia uśmiechnęła się, obnażając kły.

— Cofnij się, Leopoldzie — powiedział Jordan gotów zmierzyć się z draniem, który wciąż się uśmiechał.

Młody mnich patrzył na sierżanta oczami powiększonymi ze strachu. W rzeczywistości zaś spoglądał na to, co się działo za plecami Jordana.

Ten zaś dostrzegł w odbiciu szkieł okularów uczonego mnicha ruch jakiejś postaci.

Obrócił się w miejscu ze sztyletem w dłoni.

Chudy jak szkielet *strigoi*, wyglądający jak wymizerowany odpowiednik zwalistego pobratymca, rzucił się do gardła sierżanta, w niewiarygodny sposób rozwierając szczęki.

Jordan w półbrocie wpakował posrebrzane ostrze między szczęki aż po rękojeść.

Miłego przeżuwania.

Potwór wrzasnął i skoczył w górę jak diabeł na sprężynie, wyrrywając sztylet z palców sierżanta. Z jego pyska i tylnej części czaszki buchnął dym i trysnęła fontanna krwi.

Martwe cielsko runęło na kamienie.

— Rafik! — ryknął wściekle drugi *strigoi*.

Piekielne, przepełnione żalem ślepią wbiły się w Jordana.

— Zaboląło, co? — warknął Jordan. — Tak to jest, kiedy traci się kogoś, kogo się kocha.

Strigoi odbił się od ziemi i frunął w powietrzu. W rozdętym powietrzem płaszczu upodobił się do ikaropa wielkiego jak człowiek.

Jordan przyklęknął na jedno kolano, uniósł lufę pistoletu maszynowego i wypuścił serię. Czyste srebro wbiło się prosto w pierś potwora.

— To za moich kolegów.

Podoficer wroga zwałił się na ziemię, jego ciało dymiło. Żył jednak i mimo straszliwego bólu czołgał się do przebitego sztyletem Rafika.

Leopold podniósł z ziemi porzucony przez potwora miecz, który omal nie pozbawił go życia, i podszedł do powalonego *strigoi*.

Stwór znalazł się tuż obok tego, którego nazywał Rafikiem. Wyciągnął rękę z rozcapierzonymi palcami, żeby dotknąć go ostatni raz.

Leopold uderzył mieczem tak szybko, że obraz klingi rozmazał się w powietrzu.

Głowa *strigoi* odpadła od tułowia, wyciągnięta ręka osunęła się bezwładnie na ziemię.

Palce znieruchomiały, nie dotknąwszy Rafika. Bracia, dotąd nierozłączni, zostali na wieki rozdzieleni.

Leopold odwrócił się i rozejrzał po podziemiu, jego czoło się zmarszczyło.

— Gdzie się wszyscy podziali?

Jordan odwrócił się błyskawicznie i spojrzał na miejsce, w którym jeszcze pół minuty temu stała Erin.

Nikogo tam nie było.

Wraz z nią zniknął Rhun.

28 października, 17.34

Nekropolia pod Bazyliką Świętego Piotra

Erin odwróciła się w chwili, gdy błysnęło nad nią ostrze miecza *strigoi*.

Rhun wyrósł jak spod ziemi, prawie zwałił ją z nóg i zasłonił własnym ciałem. Błyskawicznie zrobił krok do przodu i ciał przeciwnika mieczem w gardło. Potwór padł jak ścięta łodyga.

Archeolożka rozejrzała się i zauważyła, że są sami w tunelu, którym uciekła Bathory. Spojrzała za siebie. Sangwiniści zsuwali się po kolumnach do nekropolii, by włączyć się do podziemnej batalii.

— Wróc do Jordana, kiedy będzie bezpiecznie — rzekł groźnym głosem Rhun, nie dopuszczając słowa sprzeciwu. — Ja będę ścigał Bathory.

Podwinął sutannę i zniknął w ciemnym tunelu.

Erin nie miała wyboru. Odwróciła się w stronę pola bitwy. Dochodziły stamtąd krzyki i zapach krwi. Wreszcie odszukała wzrokiem Jordana. Sierżant stał oparty plecami o metalowy cokół i strzelał seriami w otwór drugiego tunelu, z którego wysypywali się *strigoi*.

To było prawdziwe piekło, ożywiony obraz Hieronima Boscha.

Zrozumiała, że znalazła się w wąskim gardle. Jeśli nie dopadną jej *strigoi*, trafi ją pocisk wystrzelony przez swoich. Skierowała się do tunelu, w którym zniknął Rhun. Tam było najbezpieczniej.

Trzymała latarkę w lewej dłoni i świeciła w dół, a prawą ręką dotykała ściany korytarza. Spodziewała się, że natrafi na wylot bocznego tunelu. Gdyby dotarła do rozwidlenia i nie wiedziała, którą odnogą podążył Rhun, musiałyby zawrócić.

Usłyszała strzały. Dochodziły zza zakrętu tunelu; sączyło się stamtąd słabe światło.

Przyspieszyła kroku, lecz nagle rozległo się gardłowe warczenie i musiała stąpać ostrożniej.

Wyciągnęła colta, którego dostała od Jordana; rewolwer był załadowany srebrną amunicją. Dotarła do załomu korytarza i się wychyliła.

Naraz padł strzał i Erin podskoczyła.

Rhun z nienaturalną szybkością przemknął obok wilka z dymiącym pistoletem w dłoni. Wylądował i pobiegł tunelem, kontynuując pościg za Bathory, której nie było widać. Nagle wykonał ślizg i odwrócił się z niewyobrażalną gracją.

Zauważył Erin i spojrzał jej w oczy. Bez wątpienia usłyszał bicie jej serca albo spostrzegł zmianę natężenia światła, gdy podchodziła z latarką.

Ale nie tylko jego uwagę ściągnęła na siebie.

Wilkozor odwrócił się do niej z obnażonymi kłami, jego mięśnie napięły się do skoku.

— Erin, uciekaj!

Bestia poruszyła uszami, słysząc okrzyk Rhuna, ale nie oderwała wzroku od archeolożki.

Sangwinista pomknął pędem, strzelając od tyłu do stwora.

To zwróciło jego uwagę.

Z ogłuszającym warknięciem wilkozor odwrócił się, odbił tylnymi łapami od ziemi i skoczył na Rhuna. Jego cielsko zasłoniło kobiecie sangwinistę.

Padły kolejne strzały.

Uniosła colta, ale nie wystrzeliła, bojąc się, że srebrnymi pociskami trafi Rhuna.

Nagle wilk uniósł łeb. Trzymał w pysku sangwinistę. Olbrzymia bestia potrząsała nim niczym szmacianą lalką. Na

ściany tunelu tryskała krew. Pistolet wypadł Rhunowi z ręki, teraz mógł walczyć jedynie nożem.

Erin wiedziała, że musi mu pomóc. Wypaliła do wilka, mierząc w jego kłęb. Tylko drgnął. Strzelała raz po raz, licząc na to, że skumulowana masa srebra odniesie skutek. Kawałki sierści poleciały w górę, lecz bestia wciąż ignorowała archeolożkę. Rzuciła sangwinistę na ziemię i zacisnęła szczęki na jego szyi.

Rhun się nie poruszał.

Erin puściła się pędem i w tej samej chwili usłyszała przenikliwy gwizd dochodzący z dalszej części tunelu.

To była Bathory.

Wilkozor puścił Rhuna, strząsnął krew z pyska i pomknął w ciemny tunel.

Erin wcisnęła do kabury bezużyteczną już broń i podbiegła do sangwinisty. Rzuciła się obok niego na kolana. Dżinsy zaczerwieniły się od krwi, ale to nie była jej krew.

Zaświeciła latarką. Krew płynęła po obu stronach z rozdartego gardła; zabulgotała, kiedy otworzył usta, żeby coś powiedzieć.

Przycisnęła dłonie do ran. Chłodna krew momentalnie zalała jej dłonie i przesączyła się przez palce.

Sangwinista zdołał ją odkaszląć.

— Wracaj! — rozkazał.

— Kiedy przestaniesz krwawić.

Rany były głębokie i nie mogła sobie wyobrazić, aby zdołał nad nimi zapanować. Jednak pamiętała, jak kontrolował upływ krwi, kiedy byli w rezydencji kardynała w Jerozolimie.

Zamknął oczy i strumień krwi z szyi minimalnie się zmniejszył.

— Dobrze, Rhunie, dobrze.

Poszukała bukłaka, który nosił przywiązany do uda.

— Za mało...

Pojemnik wysunął jej się z ręki i upadł na ziemię. Podniosła go, otarła rękę o spodnie i poruszyła zakrętkę. Udało jej się dopiero za trzecim razem. Nie wiedziała, czy poleć winem jego

rany. A może podać mu do picia? Pamiętała, że Nadia najpierw skropiła jego rany winem.

Poszła za jej przykładem.

Sangwinista jęknął i zdawało się, że mdleje.

Potrząsnęła jego ramieniem, żeby nie stracił przytomności.

— Mów, co mam robić. Rhunie!

Z wolna otworzył oczy, lecz spojrzenie powędrowało w górę, na sklepienie. Oczy przestały patrzeć.

W Rosji Rasputin domieszał do wina ludzkiej krwi. Ta mikstura lepiej zadziałała niż samo święte wino i Rhun błyskawicznie powrócił do zdrowia.

Erin wiedziała, czego mu potrzeba.

Teraz nie było to wino.

Rhun potrzebował ludzkiej krwi.

Przełknęła ślinę i przesunęła dłonią po zranieniach na szyi, które zostały po obroży nałożonej przez Bathory.

Spojrzała w głąb tunelu. Nie było widać ani prześladowczyni, ani wilka. Erin wiedziała, że nie zdoła jej dopaść. Tylko Rhun dawał nadzieję na odzyskanie Ewangelii. Jeśli Bathory umknie z Rzymu z księgą, świat zmieni się bezpowrotnie.

Czy jest gotowa zaryzykować wszystko i uwierzyć, że jej krew uleczy Rhuna? Każda synapsa mózgu naukowca buntowała się przeciwko takiemu myśleniu.

Po ucieczce z wioski nie pozwoliła sobie ulegać przesądom, w religii nie znajdowała żadnej wartości. Zbyt dobrze wiedziała, co się zdarzyło, kiedy ojciec i matka przestali logicznie myśleć. Złożyli los maleńkiej Emmy w ręce obojętnego Boga i jej siostrzyczka umarła z powodu ich ślepej wiary.

Jednak w ostatnich kilku dniach Erin zobaczyła rzeczy niezwykle. Nie mogła ich odrzucić, nie mogła wyjaśnić w kategoriach logiki i nauki. Ale czy jest gotowa powierzyć swoje życie nadziei na cud?

Popatrzyła na leżącego sangwinistę.

W istocie nie było wyboru.

Nawet gdyby zdołała przedrzeć się do Bernarda i pozostałych sangwinistów i ostrzec ich, po Bathory nie byłoby już śladu.

Nie wolno pozwolić jej uciec z księgą. Stawka dla całego świata była zbyt wielka i Erin musiała spróbować wszystkich możliwości, nawet potęgi wiary.

Nachyliła się nad Rhunem i dotknęła nagą szyją jego zimnych warg.

Nie poruszył się.

Zerwała paznokciami strupy, które zostały na jej gardle. Zaczęła się sączyć krew. Erin znów przyłożyła krwawiące gardło do otwartych ust Rhuna.

Sangwinista warknął i odwrócił głowę. Nie chciał wypić.

— Musisz.

— Kiedy zacznę, może... — wyszeptał zbolalym głosem.

Erin dopowiedziała zdanie do końca: „Kiedy zacznę, może nie być odwrotu”.

Ważne było słowo „może”.

Jeśli chcę to zrobić, muszę zaufać nie tylko wierze, ale i Rhunowi.

Jeżeli nie podejmę próby, Belial już zatriumfował.

Przechyliła głowę na bok i przystawiła gardło do ust sangwinisty.

Krew skapywała na jego wargi.

Z gardła Rhuna wydobył się głęboki jęk, lecz tym razem głowa się nie odwróciła.

Serce Erin biło w przyspieszonym rytmie. Zwierzęcy odruch kazał jej uciekać, lecz w końcu nie była zwierzęciem. Klęczała nieruchomo, w jej głowie pojawił się obraz Daniela wkraczającego do jaskini lwów.

Dokonom tego.

Zmusiła się, żeby spojrzeć Rhunowi w oczy. Znów patrzyły, jakby kilka kropli krwi go ożywiło.

Przesunął językiem po wargach i przełknął. Ujął ją za ramiona i delikatnie nachylił ku sobie.

Stężała, wiedząc, że nadal może go powstrzymać. Sangwinista był bardzo osłabiony. Jej ciało ze wszystkich sił pragnęło uciec. Głęboko odetchnęła i poddała się wierze.

Rhun ułożył ją obok siebie na kamiennej posadzce. Uniósł się na łokciu i spojrzał na nią pytająco ciemnymi oczyma.

Całe jej ciało przenikał dreszcz.

— Erin — powiedział sangwinista, przeciągając ostatnią głoskę. — Nie, nawet za tę cenę.

— Nie zdołam dogonić Bathory i wilkozora — odrzekła błagalnie. — Tylko ty możesz ocalić Ewangelię.

Widziała, że Rhun się poddaje. Nie mógł odmówić jej logiki.

— Ale...

— Znam konsekwencje — oznajmiła, powtarzając słowa, które wypowiedziała przed zejściem do rozpadliny w Masadzie. Teraz poznawała je na własnej skórze. — Musisz to zrobić.

Usta powoli zbliżały się do jej szyi. Wyraz jego twarzy złagodniał. Nie wiedziała, co to oznacza.

Mimo to znieruchomiał.

— Nie ty...

— To zgodne z twoim ślubowaniem. — Zacisnęła dłonie w pięści i pomyślała o rzeszy ludzkich istnień, które pójdą na zatracenie, jeśli oni cofną się przed spełnieniem obowiązku. — Księga jest ważniejsza niż zasady.

— Rozumiem... Gdyby chodziło o kogoś innego, może bym to zrobił. — Zacisnął rękę na jej ramieniu. — Nie mogę pożywić się tobą.

Spojrzała mu w twarz i zobaczyła, że za koloratką i za kłami kryje się mężczyzna.

Odgarnął kosmyki włosów z jej twarzy; jego palce były bardzo delikatne, dłoń ujęła jej policzek.

Nie знаła słów, którymi mogła go przekonać do złamania ślubów kapłańskich.

Nie mogła uczynić nic, co obudziłoby w nim krwiożerczą żądzę sangwinisty.

Znała tylko jedną metodę działania.

Musi potraktować go tak, jak kobieta traktuje mężczyznę.

Uniosła głowę, nie odrywając spojrzenia od ciemnych oczu Rhuna. Nagle dostrzegła w ich głębi błysk lęku. Bał się tak samo jak ona, może nawet bardziej. Pogładziła go po gęstych włosach i zbliżyła usta do jego ust. Rhun zamknął oczy; pocałowała go. Poczowała smak krwi na jego zimnych wargach.

Przyciągając go do siebie, wyczuła ustępującą resztkę oporu. Jego usta zmiękły i rozchyliły się naturalnie jak płatki kwiatu o świcie. Jej usta uczyniły to samo.

Ciężar jego ciała przesunął się na nią.

Spodziewała się, że będzie zimny, lecz ciepło jej ciała rozgrzało ich oboje.

Dotknięcie jej języka było jak zaproszenie. Z jego ust wyrwało się jęknięcie. A może to Erin jęknęła. Wyczuła w głębi jego ust nagły napór czegoś ostrego. To było tak, jakby została przyparta do zamykającej się bramy. Jednak się nie złękła. Język z rozkoszą dotknął punktu ostrego jak kolec.

Popłynęła jej krew i napełniła usta ich obojga.

Jednak nie towarzyszył temu metaliczny smak i lęk. Wszystkie zmysły Erin buchnęły esencją życia, słodką, palącą gorączką, która odsuwała na bok wszelki strach. Niemal czuła smak swojej boskości i pragnęła więcej.

Przyciągnęła go mocniej do siebie.

Rhun przywarł do niej, dając obietnicę rozkoszy zimnej jak żelazo.

Intensywność tego doznania ją oszołomiła. Jej ciało nie potrafiło go znieść, wygięło się w łuk. Fizyczna rozkosz porwała ich oboje i pulsowała w rytm bicia jej serca.

Sangwinista oderwał usta od jej warg; były tuż, tuż, ale jej nie dotykały. Nawet tak małe oddalenie sprawiało jej ból. Rhun jęknął, jakby odczuwał to samo. Czuła szept jego oddechu na swoich wargach.

Patrzył na nią; jego oczy zrobiły się tak wielkie i ciemne, jakich nigdy u niego nie widziała. Wyzierały z nich dalekie błyski czegoś, co sięgało daleko poza grób.

Nie odczuwała strachu. Rozpaliła się w zetknięciu z ciemnością, jakby chciała ją rozjaśnić własnym światłem i rozgrzać ciepłem swego ciała.

Wygięła szyję i podsunęła mu gardło, ofiarowując swoją krew, pragnąc każdą tkanką ciała, by się jej napił.

Przyjął jej ofiarę.

Poczuła ukłucie kłów, które po chwili się zagłębiły.

Ciepło zaczęło z niej uciekać i rozgrzewać zimne wargi przywierające do jej gardła.

Wierciła się pod nim, oddając się rozkoszy. Ciemność zaczęła pochłaniać obraz, który widziała oczami. Z każdym uderzeniem tętna jej życie przelewało się do jego ciała.

Interwały między uderzeniami serca wypełniała ekstaza. Następowały po sobie z oszałamiającą prędkością; ciało Erin oddawało się czystemu doznaniu. Później czas zwolnił, przyjemność stała się jeszcze większa i bardziej intensywne. Czekala, aż jej serce przestanie bić, żeby rozkosz mogła trwać bez końca. Nic innego się nie liczyło.

Liczył się tylko błogostan.

Nagle zaczęło ją pochłaniać miękkie światło i uczucie miłości, jakiego nigdy nie zaznała. To była miłość, jakiej pragnęła od matki, od ojca i od maleńkiej siostrzyczki, która nie miała szansy urosnąć.

W głębi swej świadomości Erin wiedziała, że umiera. I była za to bezgranicznie wdzięczna.

Oddychała tym blaskiem, jakby pierwszy raz wciągała powietrze do płuc.

Nagle ich ujrzała.

Matka stała w tunelu światła, a obok niej była mała dziewczynka. Emma. Jej ramiona okrywała dziecięca kołderka z brakującym kawałkiem na rogu. Ojciec stał za nimi ubrany w starą, czerwona flanelową koszulę i dżinsy, jakby przed chwilą wrócił ze stajni. Uniósł rękę i skinął na Erin, jakby ją przyzywał. Po raz pierwszy od lat nie poczuła gniewu na jego widok, lecz miłość.

Wyciągnęła do nich wszystkich rękę. Ojciec uśmiechnął się, a ona uśmiechnęła się do niego. Wybaczyła mu i sobie także.

Jego wiązała wiara, a ją — logiczne myślenie.

W tej chwili oboje przekroczyli granice jednego i drugiego.

Raptem blask niewinności rozwiął się i pochłonęła go zimna ciemność.

Erin otworzyła oczy. Rhun oderwał usta od jej szyi. Stoczył się na bok i oparł o ścianę, drżąc. Wierzchem dłoni starł krew z ust.

To była jej krew.

Oczy Erin zamknęły się; poczuła ukłucie towarzyszące odtrąceniu.

— Erin?

Jego zimne palce musnęły jej policzek.

Drżała z zimna i samotności, trawił ją ból wszystkiego, co utraciła.

— Erin.

Sangwinista uniósł kobietę i położył na swoich kolanach. Kołysał ją, głaszcząc jej włosy i plecy.

Zmusiła się do podniesienia powiek i spojrzenia mu w oczy. Przyszło jej wypowiedzieć słowo, które zdawało się niemożliwe do wypowiedzenia.

— Idź.

Ścisnął ją tak mocno, że czuła ból.

— Idź — powtórzyła nagłaco.

— Dasz sobie radę?

Słyszał bicie jej serca i wiedział, że to niemożliwe.

— Nie zmarnuj mojej krwi, Rhunie. Niech to nie będzie na próżno.

— Wybacz — powiedział. — Nie mogłem...

— Wybaczam ci — wyszeptała. — Idź już.

Zerwał z szyi krzyż pectoralny i położył na jej piersi. Poczowała jego ciężar na sercu. Był ciepły.

— Niech Bóg cię ochroni — szepnął. — Ja nie zdołałem.

Opuścił ją na brudną kamienną posadzkę, przykrył sutanną i odszedł.

28 października, 17.44

Nekropolia pod Bazyliką Świętego Piotra

Rhun pomknął za uciekającą zwierzyną.

Ciepła krew Erin pulsowała w jego ciele mocnym, równym rytmem. Śpiewała w nim pieśń jej życia. Nigdy nie czuł w kończynach takiej mocy. Mógł biec bez końca, mógł pokonać każdego wroga.

Buty śmigały po kamiennej posadzce, jakby jej wcale nie dotykały. Prędej, coraz prędzej. Powietrze pieściło jego twarz, smugi wiatru głaskały go po włosach.

Mimo uniesienia przepełniał go żal z powodu Erin. Oddała wszystko dla Ewangelii. I dla niego. Jej wiedza, współczucie gasły tam, w ciemności. To wypełniająca Rhuna ciemność powinna konać na kamieniach, a nie blask, który ona miała w sobie.

Nie zmarnuje jej poświęcenia.

Na żałobę przyjdzie czas później.

Piżmowa woń wilkozora znaczyła szlak. Rhun wyczuwał każde miejsce dotknięte ciężką łapą, każdą kroplę krwi, mimo że rany stwora goiły się i krople krwi były coraz mniejsze.

Nie zdoła ujść pogoni.

Rhun znajdzie oboje i odzyska księgę. Odda w ten sposób cześć poświęceniu Erin.

Ona nigdy nie zostanie zapomniana, będzie o niej pamiętał każdego z niezliczonych dni życia, które go czekały.

17.55

Jordan biegł tunelem, rozglądając się za Erin.

Leopold trzymał się tuż za nim.

Wspólnie przebili się przez pierwszą falę *strigoi* i dotarli do korytarza. Jordan miał nadzieję, że Erin i Rhun dopadli Bathory i zdobyli księgę.

Po straszliwym przelewie krwi i tym całym koszmarze marzył tylko o tym, by wrócić do domu.

A wyobrażając sobie dom, widział twarz Erin.

— Tam! — zawołał Leopold i wskazał ręką. Jego bystre oczy wypatrzyły ciało zwinięte przy ścianie tunelu.

Oby to nie była Erin. Oby to nie była ona.

Sierżant wyrwał przed siebie, jeden jedyny raz wyprzedzając sangwinistę. Biegł, kierując światło latarki na leżącą postać.

O nie...

Uderzenia serca dudniły mu w uszach, kiedy rzucił się obok niej na ziemię. Błyskawicznie sprawdził jej puls na szyi. Skóra była zimna, lecz krew pulsowała ledwo wyczuwalnie.

— Żyje — powiedział do Leopolda.

— Trzyma się życia ostatkiem sił.

Młody mnich uklęknął i rozerwał płaszcz ze skóry wilkozora. Biała koszula była zakrwawiona do samego dołu. Leopold wyjął z sutanny balsam. Kiedy go otwierał, Jordan wyczuł ten sam odór, który wydzielala maść użyta przez Nadię do leczenia jego ran po ukąszeniach.

Ale czy to wystarczy?

Smarując rany Erin, sangwinista nucił modlitwę po łacinie.

Jordan patrzył, wstrzymywał oddech i cały się trząsł.

Po kilku sekundach krwawienie się zmniejszyło, a potem całkowicie ustało.

Mimo to Erin leżała nieprzytomna na ziemi; jej pobladła twarz bielila się na tle ciemnych kamieni.

Leopold oglądał jej ręce i nogi, zapewne szukając innych pokąsanych miejsc.

— Tylko na szyi.

Jordan zdjął płaszcz i przykrył nim archeolożkę. Potarł jej zimne dłonie.

— Erin?

Powieki kobiety zadrżały, jakby coś jej się śniło, a następnie powoli rozwarły.

— Jordan?

— Jestem tutaj. — Pogładził ją po lodowatym policzku. — Dojdiesz do siebie.

Kąciki jej ust leciutko się uniosły.

— Kłamczuch.

— Ja nigdy nie kłamię — odparł. — Należałem do skautów orląt, pamiętasz?

A jednak skłamał. Wiedział, że Erin nie dojdzie do siebie.

Leopold dotknął ręką ukąszenia na jego ramieniu, z którego sączyła się krew. Ugryzł go jeden z pacholków Rasputina, rana otworzyła się ponownie w czasie walki w bazylice.

— Jaka jest twoja grupa krwi?

— Zero minus, jestem uniwersalnym krwiodawcą. — Serce sierżanta drgnęło i odwrócił się do mnicha. — Możesz przeprowadzić bezpośrednią transfuzję?

Leopold wyjął z kieszeni zestaw pierwszej pomocy, mamrocząc pod nosem wskazówki. Jego dłonie śmigały z niewiarygodną szybkością. Rozpakował strzykawkę, podłączył ją do tubki, a drugą tubkę umieścił na drugim końcu.

Jordan odgarnął kosmyki włosów z twarzy Erin. Jego dłonie zatrzymały się na jej czole i policzkach.

— Wytrzymaj jakoś.

Nie wiedział, czy go usłyszała. Co mogło ją zaatakować? Gdzie się podział Rhun? Sierżant się rozejrzył, spodziewając się, że zobaczy jego ciało. Jednak w pobliżu nikogo nie było. Czyżby go porwano?

Leopold rozerwał flakon i natarł alkoholem rękę Erin; to samo zrobił z ręką Jordana.

— Proszę cię, żebyś zamilkł, Jordanie — oznajmił rzeczowym tonem młody sangwinista. — Muszę słyszeć bicie waszych serc, aby stwierdzić, ile krwi między wami przepływa. Nie chcę was pozabijać.

— Ratuj ją!

Sierżant oparł się o kamienną ścianę i patrzył na pobladłą twarz Erin.

Leopold wbił igłę w jej rękę, a potem w rękę Jordana. Ten ledwo poczuł ukłucie.

Czas włókł się w ciemności bez końca.

Leopold opatrzył bandażem szyję Erin.

— Mamy szczęście, to prosta rana. *Strigoi* zwykle nie zachowują takiej ostrożności, kiedy się pożywiają.

Jordan zadrżał na myśl, że któryś z tych potworów wbił zęby w szyję Erin.

Nie pilnowałem jej jak należy.

Po kilkunastu minutach Leopold wyjął igłę z ręki sierżanta i przykleił do rany wacik.

— Tyle krwi możesz oddać.

— Mogę oddać tyle, ile jej trzeba. — Jordan usiadł prosto. — Zrób to porządnie.

Leopold pokręcił głową; na szklach jego okrągłych okularów błysnęły refleksy światła.

— Nie nastraszysz mnie, sierżancie.

Zanim Jordan zdążył przedstawić swoje argumenty, Erin otworzyła oczy. Była oszołomiona, lecz wydawała się silniejsza niż parę minut temu.

— Hej!

Przysunął się do niej i uśmiechnął.

— Witamy z powrotem.

— Puls jest mocny — stwierdził Leopold. — Trochę odpocznie i wróci do zdrowia.

— Kto ci to zrobił? — zapytał sierżant, choć znał odpowiedź.

Erin zamknęła oczy; nie chciała mówić.

Jordan uniósł rękę i odsłonił to, co znalazł, kiedy Leopold rozerwał jej płaszcz. Był to krzyż pectoralny.

— Rhun?

Sangwinista wzdrygnął się z odrazą.

— Erin. — Sierżant starał się panować nad gniewem. — Czy Rhun ci to zrobił?

— Musiał. — Przesunęła palcami po bandażu na szyi. — Jordanie, to ja go o to ubłagałam.

Ogarnięty wściekłością, ledwie słyszał jej słowa.

Drań wyssał krew Erin i zostawił ją na śmierć.

Chciała usiąść i wszystko mu wyjaśnić.

Jordan wziął ją na ręce i przytulił do piersi. Zamknął ją w ramionach. Nadal była bardzo zimna, lecz odrobina rumieńca wróciła na jej policzki.

— Musieliśmy to zrobić, Jordanie. Musiałam go uleczyć, aby mógł ścigać Bathory. Ona uciekała z Ewangelią, a Rhun był prawie martwy.

Jordan przytulił ją mocniej; jej głowa opadła na jego ramię.

Sangwinista poprawił płaszcz, którym oboje byli przykryci, i się odwrócił. Kucając obok nich, rozejrzał się w jedną i w drugą stronę.

Sierżant oparł brodę na głowie Erin. Pachniała krwią. Zwinęła się pod płaszczem i wtuliła w jego pierś. Odetchnął niepewnie i przestał ją wypytywać.

Leopold wstał podejrzanie szybko.

— Co się stało? — spytał Jordan.

Sangwinista spojrzał mu w oczy.

— Zbliżają się *strigoi*. To jeszcze nie koniec.

18.24

Erin skrzywiła się, kiedy Leopold stawiał ją na nogi. Drugą ręką dźwignął Jordana, jakby ten ważył tyle co lalka. Sierżant

zrobił krok i oparł się o ścianę. Był słabszy, niż starał się pokazać. Transfuzja krwi dużo go kosztowała.

Sierżant położył sobie dłoń Erin na ramieniu, a swoją ręką objął ją w pasie. Chciała powiedzieć, że może iść o własnych siłach, lecz czuła, iż nie zrobi więcej niż kilka kroków. To nie był odpowiedni czas na fałszywą dumę.

— Ruszajcie!

Leopold pchnął ich, nie spuszczając z oczu ciemnego tunelu.

Archeolożka ledwo trzymała się na nogach. Ona i Jordan starali się biec, lecz poruszali się wolno nawet jak na ludzi.

Leopold stanowił ich ariergardę, trzymając miecz w pogotowiu.

Odgłosy warczenia się nasilały.

— Tam jest zakręt — powiedział Jordan. — Możemy stawić im czoło.

Leopold pchnął ich jeszcze raz, a potem machnął ręką.

— Wy idźcie, ja zostanę.

— Nie — zaprotestował Jordan, zatrzymując się.

— To wy stanowicie triadę z przepowiedni — odrzekł po prostu Leopold. — Ja mam wam służyć. Znajdźcie Rhuna, odzyskajcie księgę. To wasz obowiązek.

Jordan zacisnął zęby, lecz nic nie odpowiedział.

— Idźcie z Bogiem.

Leopold stanął na zakręcie tunelu. Jego srebrny miecz błysnął, gdy sangwinista odwracał się ku wrogom.

Nie mając wyboru, Erin i Jordan odeszli dręczeni poczuciem winy. Zostawili Leopolda. Ilu już poświęciło życie, aby oni mogli iść naprzód? Musieli złożyć hołd ich ofierze krwi, nie poddając się.

Rozległy się wściekłe wrzaski, szczęknęła stal.

Podobny do chłopca uczony sam stawał przeciwko nawale *strigoi*, ale jak długo zdoła ich powstrzymać?

Erin skupiła się na stawianiu kroków, choć nogi ciążyły jej straszliwie. Nie podda się.

Jordan świecił latarką to w jedną, to w drugą stronę. Kroczyli po wielkich, gładkich, kamiennych płytach, z których ułożono posadzkę tunelu. Nad ich głowami wznosiło się łukowe sklepienie z nierówno ociosanych kamieni.

Archeolożka straciła poczucie czasu i odległości. Cały jej świat zawęził się do następnego kroku.

W oddali zamajaczyło niewyraźne światło.

Jordan pociągnął Erin w jego stronę.

Ono zaś zabłysło mocniej.

Kiedy minęli zakręt, ukazało się jego źródło. Pochodziło z latarki przymocowanej do lufy pistoletu maszynowego. Na jego tle rysowała się szczupła sylwetka Bathory. Stała tyłem do nich, jej rude włosy spadały swobodnie na ramiona.

Mierzyła z pistoletu do Rhuna.

Kilka kroków od niej sangwinista zmagał się z wilkozorem, przygnieciony jego cielskiem do ziemi.

Tryskając pianą, bestia warknęła mu w twarz, gotowa rozerwać gardło. Jednak teraz Rhun był wystarczająco mocny, by stawić mu opór. Siły wydawały się wyrównane, lecz ksiądz musiał wyteżać wszystkie.

Skupiona na obserwacji ich zmagania Bathory nie zauważyła nadejścia sierżanta i archeolożki. Ruszyła w kierunku walczących z uniesionym pistoletem, aby zakończyć impas serią srebrnych pocisków.

Erin drżącą ręką szturchnęła Jordana, bez słów wydając polecenie.

Pomóż mu!

Ani jeden mięsień nie drgnął w twarzy sierżanta. Stał niczym skała i nie sięgnął po broń.

Dość tego, pomyślała Erin.

Wyszarpnęła colta z kabury. Podczas starcia z wilkozorem wpackowała w niego prawie cały magazynek. Dziesięć kul niemal nie zrobiło na nim wrażenia. Nie zdoła zabić go strzałami z rewolweru.

Musiała jednak coś zrobić.

Bathory, wciąż stojąc plecami do Erin i Jordana, wycelowała broń w twarz sangwinisty.

— Tak oto uwolnię siebie i ciebie.

Erin zauważyła bandaż na górnej części ręki Bathory. Jego biel lśniła w mroku.

Widok ten sprawił, że przypomniała sobie zdarzenie w cyrku Nerona. Rana Bathory otworzyła się ponownie, a ona z lękiem odepchnęła od siebie wilka. Mihir z daleka omijał kapiącą krew. Erin ani razu nie widziała, żeby *strigoi* reagował w taki sposób. Mihir starał się nie nastąpić choćby na jedną kroplę. Nagle przed oczami Erin stanął widok jego krwi dymiącej w zetknięciu ze srebrzystopurpurową kroplą na posadzce celi.

Wiedziała, co musi zrobić.

Odsunęła się od Jordana i stanęła tak, by Bathory znalazła się między nią a wilkiem, i obliczyła kąt. Ustabilizowała rewolwer, trzymając go w obu dłoniach, wycelowała i wciągnęła głęboko powietrze w płuca.

Kiedy je wypuszczała, palec wskazujący jej lewej dłoni nacisnął spust.

Huknął strzał.

Pocisk targnął ciałem Bathory, a wilkozor zawył z bólu.

Jordan odwrócił się zaskoczony, lecz Erin dalej patrzyła na wroga. Strzeliła po raz drugi.

Wilkozor odskoczył od Rhuna i biegał w kółko, szarpiąc zębami swoją łopatkę. Pocisk przeszył ciało Bathory, a następnie trafił wilka, przenosząc na sobie jej krew. Sierść stworza falowała, z rany buchał dym.

Krew Bathory stanowiła truciznę dla *strigoi* oraz blasfemorów, które stworzyli.

Bathory odwróciła się do Jordana i Erin. Krew sączyła się z jej koszuli tuż nad prawym biodrem. Wlepiała wzrok we wrogów i drwiąco wykrzywiła usta. Uniosła pistolet.

Erin stała mocno na nogach i nacisnęła spust jeszcze trzy razy.

Pociski trafiły Bathory w pierś, przeszły na wylot i wbiły się w bok wilkozora.

Bathory zatoczyła się do tyłu i upadła na ścianę. Na jej piersi utworzyła się purpurowa plama. Osunęła się na posadzkę, spojrzenie jej srebrzystych oczu wyrażało zdziwienie. Pistolet zaterkotał na posadzce i znieruchomiał obok jej bezwładnej ręki.

Wilkozor runął na kamienie z potężnym głuchym odgłosem. Krew dymiała z jego ciała i pienila się w jego pysku. Nie mogąc stanąć na nogi, czołgał się na brzuchu i skomlał. Ciągnęła się za nim ciemna smuga.

Dowlókł się do Bathory i jego łeb opadł na jej kolana. Uniosła rękę i objęła głowę wilka.

Rhun wstał i podniósł pistolet Bathory.

Wyprostował się i odwrócił w kierunku Erin. Na jej widok jego usta ułożyły się w nikły uśmiech zmęczenia i ulgi. Może było w nim coś jeszcze. Tak czy inaczej, był to pierwszy autentyczny, niekłamany uśmiech, jaki u niego zobaczyła.

Wydawał się młody, wrażliwy i bardzo ludzki.

Zrobiła niepewny krok w jego stronę, lecz Jordan ją powstrzymał.

— Nie podchodź bliżej.

Mierzył z pistoletu do Rhuna.

Uśmiech na twarzy sangwinisty znikł.

A świat pociemniał.

28 października, 18.54

Nekropolia pod Bazyliką Świętego Piotra

Magor...

Bathory tuliła do kolan wielki łeb wilka. Czowała jego ból, słyszała jego jęk. Ginał zatruty jej krwią. Srebrzysta purpura dalej płynęła z jej piersi na kolana, na których leżał Magor. Palila jego skórę, przyprawiała o nieznośny ból.

Odejdź, proszę cię... nie umieraj w taki sposób...

Chciała go odepchnąć, lecz stwór wtulał się w nią jeszcze mocniej pomimo bólu. Pragnął być z nią.

Nie mając sił, żeby się z nim zмагаć, nachyliła się, a on łypnął na nią jednym okiem. Bathory zaśpiewała mu ostatnią kołysankę bez słów. Brakowało jej tchu. Pieśń płynęła z głębokich regionów, w których nie obowiązuje żaden język. Słońce wciąż tam świeci na małego chłopca, który wśród wysokich traw łapie motyle w białą siatkę. Pieśń Bathory rozbrzmiewała śmiechem, miłością i zwyczajnym ciepłem ciała wtulonego w drugie ciało.

Świat stopniowo pochłaniała ciemność, aż wreszcie pozostało tylko przepełnione bólem oko, które wpatrywało się w nią z miłością. Patrzyła, jak purpurowy blask blednie i powoli przyjmuje miękki złoty odcień. Klątwa ustąpiła i Magor znów stał się zwyczajnym wilkiem. Posępna aura go opuściła.

Ból, który przenikał jego wielkie, pełne miłości cielsko, również ustąpił. Bathory zwiotczała i osunęła się na nie.

Jej ból także uleciał, pozostał spokój.

Kiedy oboje pochłaniała ciemność, wysłała do przyjaciela ostatnie słowa:

Chodźmy, odz szukajmy Hunora...

28 października, 18.57

Nekropolia pod Bazyliką Świętego Piotra

Rhun uklęknął przed duchem Elisabety.

Trzymał na kolanach Ewangelię i modlił się za jej duszę. Jak łagodnie i młodo wyglądała jej twarz po śmierci, gdy ulotnił się ogień nienawiści. Pozostały czystość i niewinność, które częściowo odebrał jej swoim czynem popełnionym przed wiekami.

Wpatrywał się w bladość jej długiej szyi.

Czarne znamię, duszący odcisk nieznannej dłoni, kiedyś skaziło jej urodę. Przypomniał sobie słowa Rasputina wypowiedziane w Ermitażu. Jedna kobieta z każdego pokolenia rodu Bathory była skazana na życie w służbie przepełnionej cierpieniem.

Działo się tak od czasu, gdy Rhun splugawił Elisabetę.

Kto jednak mógł czegoś takiego dokonać? Czyżby sekta Beliala? Ale dlaczego zainteresowała się rodem Elisabety? Przecież chyba nie po to, by dręczyć Rhuna. Czego nie dostrzegali? Dlaczego ktoś zerował na potomkach Elisabety Bathory?

Do czego dążył?

Teraz, gdy kobieta nie żyła, być może nigdy nie pozna odpowiedzi na te pytania. Może łańcuch przyczyn i skutków został ostatecznie przerwany.

Kiedy wstał, odmówiwszy do końca modlitwę, jego wzrok padł na skromnie wyglądającą księgę, którą odebrał Bathory.

Dzięki istocie, której życie było przeklęte, zdołał zdobyć dla świata wielkie błogosławieństwo. Może Ewangelia zawiera sekret, który pozwoli odzyskać jego duszę. Bał się nawet pomyśleć o tym, że znów mógłby stać się człowiekiem, cieszyć się biciem serca i ciepłem ciała, które można z kimś dzielić.

Erin stała kilka kroków dalej z prawej strony i czekała. Jordan trzymał pistolet w pogotowiu. Sangwinista nie mógł mieć mu tego za złe po tym, co zrobił archeolozce.

— Nie otworzysz jej? — zapytała.

Otworzył księgę i pokazał ją towarzyszom.

— Otworzyłem.

Pierwsza stronica zawierała zaledwie jeden akapit zapisany greką. Reszta strony pozostawała pusta; może trzeba było kolejnych cudów, żeby tekst się pokazał. Jednak nawet to, co ujrzeli, było zatrważające.

Dwoje ludzi podeszło bliżej; pchała ich ciekawość trawiąca tych, których życie trwa krótko.

— Co, u licha?! — jęknął Jordan. — Jeden akapit? Oby był coś wart.

Erin wpatrywała się w tekst, jakby siłą woli mogła sprawić, że ukaże się więcej słów. Czytała i tłumaczyła:

— *Zawisła groźba wielkiej Wojny w Niebiesiech. Aby siły dobra zatriumfowały, potrzeba oręża z tej Ewangelii spisanej moją własną krwią. Troje zapowiedzianych w prorocестве zanieś księgę Pierwszemu Aniołowi, aby ją pobłogosławił. Tylko tak mogą przynieść zbawienie światu.*

— Podobno jesteś księdzem — odezwał się Jordan, robiąc krok do tyłu. — Jeśli trzeba pobłogosławić księgę, do dzieła.

— Nie ja jestem Pierwszym Aniołem — odparł Rhun, dotykając dłonią gładkiej, skórzanej okładki. Jak bardzo pragnął wiedzieć, co się jeszcze pod nią kryje. Przeczynał, że to jedynie początek wielkiej prawdy. — Księga musi zostać pobłogosławiona przez pierwszego, kogoś o czystym sercu i niesplamionego czynami. Dopiero wtedy dowiemy się więcej.

— To chyba ciebie można odliczyć, co? — zakpił sierżant.

— Jordanie!

— Ma słuszość. — Rhun niechętnie oddał księgę Erin. — Nie jestem czysty. Nawet moje dzisiejsze czyny to pokazały.

— Gdybyśmy tego nie zrobili, księga by zniknęła.

Rhun zauważył rumieniec, który wystąpił na policzki Erin, i usłyszał przyspieszone bicie jej serca. Co czuła, kiedy się nią pożywiał? Co sprawiło, że się zawstydzila? Wrócił myślą do dawno minionej nocy, kiedy został przemieniony.

— Nie podoba mi się, że Erin zapłaciła taką cenę — oznajmił Jordan, patrząc mu w oczy.

— To nie był twój wybór. — Archeolożka przycisnęła księgę do piersi i się odwróciła. — Należał do nas.

Ruszyła tunelem, którym przyszli, jedną ręką opierając się o ścianę. Rhun pragnął wziąć ją na ręce i ponieść, lecz nie ufał sobie na tyle, żeby jej dotknąć.

19.04

Jordana świerzbiła ręka, żeby zastrzelić sangwinistę.

Ten wyciągnął ręce, jakby czytał w jego myślach.

— Jesteśmy jej potrzebni obaj.

Sierżant musiał przyznać, że drań ma rację. Musieli zapewnić Erin ochronę i wydostać się z podziemnej rzeźni. Jordan nie zdołałby jej obronić; tylko Rhun mógł tego dokonać.

Opuścił broń.

— Ale to nie koniec.

Sangwinista skinął głową.

— Kiedy będzie bezpieczna, musisz pójść za głosem sumienia.

Jednak teraz Jordan podążał za Erin, która się potykała. Ujął jej dłoń i oparł na swoim ramieniu, a ręką objął ją w pasie.

Stężała, okazując gniew.

Czemu ona się na mnie wścieka? To nie ja zostawiłem ją na śmierć.

Zacisnął zęby i podjął marsz. Oparła się o niego, zapewne dlatego, że nie mogła inaczej.

Rhun na podobieństwo ducha przemknął obok dwojga ludzi i zajął miejsce kilka kroków przed nimi. Wyglądał świeżo, jakby był gotów stanąć w pojedynkę do walki z watahą *strigoi*. Jeśli Erin się nie myliła, mówiąc, że stał o krok od śmierci, jej krew z całą pewnością dała mu kopa.

Jordanowi dudniło w głowie, bolały go rany, jego ręce i nogi miały dość. Zabawa w transfuzję krwi nie wyszła mu na dobre.

Sangwinista przyspieszył i sierżant stracił go z oczu.

Przeklinając chyżość Rhuna, mocniej ścisnął Erin i robił co mógł, by dogonić księdza.

Zrozumieli, dlaczego Rhun tak się spieszył, gdy minęli zakręt.

Kłęczał obok zgiętej w pół postaci ubranej na czarno.

Brat Leopold.

Rhun go podtrzymał. Młody mnich wyglądał okropnie, lecz żył.

— Księga? — zapytał chrapliwym głosem.

— Bezpieczna — odparł uspokajająco Rhun.

Usłyszawszy to, mnich osunął się bezwładnie. Rhun wziął go na ręce i ruszył biegiem w kierunku nekropolii.

Gdy dotarł do końca tunelu, przywitał go widok trupów ścielących się wokół zawałonego baldachimu. Krew *strigoi* i sangwinistów zalewała posadzkę, sprawiając, że każdy krok na tym polu śmierci był zdradliwy. Kilku mnichów patrolowało czujnie teren, lecz najwyraźniej bitwa dobiegła końca.

Tak wielu poległo za księgę, którą niosła Erin.

Czy mogła być aż tyle warta?

Jordan głęboko odetchnął: wstrząsnął nim dreszcz. Erin mocniej go objęła. Czuł nacisk księgi na boku. Zniżywszy głowę, dotknął policzkiem bandaża na szyi archeolożki.

Nigdy nie wybaczy tego Rhunowi.

29 października, 5.44

Kaplica pod Bazyliką Świętego Piotra

Kilka godzin później Erin wraz z Jordanem i Rhunem zstępowała schodami do podziemi jeszcze głębszych niż nekropolia, w której stoczyli zwycięski bój. Pozostali przy życiu *strigoi* zostali zabici lub przepędzeni. Jednego z wrogów nawrócono i rozpoczął długą drogę prowadzącą do zakonu sangwinistów.

Erin stąpała po stopniach, niosąc księgę. Z jej skórzanej okładki znów zaczął emanować łagodny blask, który padał na gładkie kamienne ściany. Im głębiej zstępowali, tym jaśniejsze stawało się światło, jakby przyciągało je źródło siły. Ale dokąd zmierzali? Rhun jeszcze nie ujawnił celu wędrówki.

Archeolożka poczuła napływ sił. Ona i Jordan spędzili parę godzin pod opieką lekarzy; dowiedzieli się, że papież przeżył operację i wróci do pełni zdrowia. Starzec był wytrzymalszy, niż można by sądzić po jego wyglądzie.

Nate też czuł się coraz lepiej.

Erin zjadła posiłek, zdrzemnęła się, wykąpała i wreszcie mogła włożyć ubrania nieprzesiknięte krwią. Również Jordan nabrał sił. Niepodobna było stwierdzić, czy za sprawą odpoczynku, czy dzięki łasce promieniującej od księgi. Erin z każdym krokiem czuła się silniejsza. Ciepło i blask przenikały podziemny korytarz, lecz także jej ciało, a być może i duszę.

W jej pamięci pozostał obraz Bathory, która umierała, trzymając na kolanach głowę wilka. Jej śmierć wydawała się

konieczna, a mimo to Erin nie mogła uwolnić się od poczucia winy; czuła, że Bathory była raczej pionkiem niż złoczyńcą. Teraz jednak odsunęła od siebie tę myśl i skupiła się na czekającym ją zadaniu.

Złote światło rozjaśniało zrobione z piaskowca mury; tunel przebito w ziemi starożytnymi młotami i kilofami. Ciągnął się kilometrami, a jego sklepienie miało postać ostrołuku niczym wewnątrz gotyckiej katedry. Jego budowa musiała trwać wiele pokoleń.

Posadzka, wyszlifowana na środku niezliczonymi stopami, okazała się gładka jak lód. Erin nie знаła takiego oblicza starożytności: nie był to ani opuszczony grobowiec, ani stara ulica, po której teraz jeżdżą samochody, a która niegdyś znała jedynie kopyta i stopy. W podziemnej katedrze powietrze poruszało się w rytmie, który wydawał się niezmienny, lecz żywy.

Tunel kończył się olbrzymią komnatą. Łukowe sklepienie wznosiło się piętnaście metrów nad głowami ludzi i przypominało wewnątrz Bazyliki Świętego Piotra.

Jednak tę komnatę pozbawiono całkowicie przepychu słynnego rzymskiego kościoła. Nie było w niej żadnych ozdób ani ornamentów, jej piękno stanowiły prostota linii i gładkość łuków, które przyciągały wzrok obserwatora i prowadziły go ku górze. Żaden element tego wnętrza nie rozpraszał ani niczego nie gloryfikował.

W przymocowanych do kamieni żelaznych uchwytach płonęły pochodnie. Wysoko na sklepieniu ciemniały smugi sadzy.

Ściany urozmaicały zaokrąglone wnęki. W każdej z nich znajdował się prosty okrągły cokół. Na większości z nich stały pieczołowicie wykonane rzeźby mężczyzn i kobiet; przeważnie byli wychudzeni tak jak Piers, lecz z ich twarzy emanowały spokój i szczęście, a nie ból.

Erin zatrzymała się, aby popatrzeć na jeden z posągów. Złote światło księgi padało na piękną kobietę z włosami do pasa i z wydatnymi kośćmi policzkowymi; jej oczy były zamknięte.

Uśmiechając się tajemniczo, trzymała wąskie dłonie złożone pod brodą w modlitwie. Blask księgi odbijał się w srebrnym krzyżu wiszącym na jej szyi.

Archeolożka nigdy nie widziała czegoś tak pięknego. Wyraz twarzy nieznaney kobiety przypominał jej oblicze matki, gdy późno w nocy śpiewała kołysanki. Ojciec dawno już spał, a ona z matką leżały przytulone na łóżku Erin.

Bliskość księgi niwelowała poczucie straty, przypominała jej, że nic nie zostało naprawdę utracone.

Patrząc na kobietę, wiedziała, że nie spogląda na rzeźbę, lecz na sangwinistkę pogrążoną w głębokiej medytacji. Rhun przelotnie wspomniał o takich ludziach.

Nazwał ich klauzurowymi.

Uśmiechnęła się i poszła dalej w głąb katedry.

— Powinniśmy zostać blisko wyjścia — odezwał się Jordan, którego w tym mrocznym otoczeniu nie opuszczała podejrzliwość.

Zerknęła na niego. Nie odezwał się słowem do Rhuna od chwili, gdy znaleźli Leopolda.

— Chcę dowiedzieć się więcej o Pierwszym Aniele — powiedziała do sangwinisty. — Jesteśmy tutaj z jego powodu, prawda?

Potwierdził skinieniem głowy jej przypuszczenie.

— Poszukujemy najstarszego. Jedyne, który może pobłogosławić księgę. Tego, który powstał z martwych.

Serce Erin biło teraz szybciej. Nawet Jordan wydawał się poruszony.

Tego, który powstał z martwych.

W ostatnich paru dniach zobaczyła tyle cudów, że nie mogła lekceważyć słów Rhuna. Stał jej przed oczami obraz krzyża, który wisiał nad jej łóżkiem w domu.

Czyżby miała spotkać tego, którego postać przedstawiono na krucyfiksie?

Tego, który powstał z martwych trzy dni po ukrzyżowaniu?

5.52

Rhun obracał w palcach paciorki różańca i odmawiał modlitwy, żeby uspokoić umysł. Przepełniał go podziw dla tego, który powstał z martwych, dzięki któremu możliwe stało się powołanie zakonu do życia, tego, który takich jak Rhun nauczył, że nawet potępieni mogą szukać przebaczenia. Bez niego Rhun byłby jedynie splugawionym zwierzęciem.

Sangwinista wszedł do wnętrza kaplicy.

Jordan drgnął, kiedy jedna z postaci tkwiących we wnękach poruszyła się i spojrzała na przechodzących.

— Te posągi są żywe. Tak jak Piers.

— Nie. — Rhun potrząsnął głową. — Nie tak jak on. Oni nie tkwią w pułapce, nie cierpią. Pragnęli znaleźć się w sanktuarium.

Erin spojrzała wokół.

— Dlaczego?

— Po latach służby wielu zostaje tutaj, żeby poświęcić swoje wieczne życie kontemplacji.

Wiedział, że niektórzy tkwili tam od tysiąca lat; do podtrzymania życia wystarczały im najniklejsze krople sakramentalnego wina.

Jordan uniósł brwi.

Rhun się uśmiechnął.

— Ja także pragnęłam znaleźć spokój w tym miejscu.

— Dlaczego z tego zrezygnowałaś? — spytał Jordan, nie kryjąc żalu, że sangwinista nie wytrwał w tym postanowieniu.

— Kardynał wezwał mnie na służbę.

Rhun cieszył się, że odpowiedział na wezwanie. Odnalazł księgę, a poza tym zetknął się z Jordanem i Erin, a wraz z nimi pojawiła się nadzieja na nowe życie. Może dzięki księdze zrzuci z siebie klątwę, będzie mógł chodzić w słońcu, nie czując bólu, jadać proste posiłki i prowadzić życie śmiertelnego księdza.

Erin poruszyła się, czuł ciepło jej ciała.

A może będzie mógł żyć jak śmiertelny mężczyzna poza murami Kościoła.

Księga zajaśniała mocniej w dłoniach archeolożki.
Rhun uklęknął i pokornie skłonił głowę.
Księga знаła jego najskrytsze pragnienia.
Z ciemności dobiegł ich odgłos stąpania. Dochodziło z czarnej
głębiny czasu.
Oto zbliżał się ten, który powstał z martwych.

5.53

Erin upadła na kolana obok Rhuna, Jordan zrobił to samo.
Księga drżała w jej rękach. Archeolożka nie była jeszcze gotowa.

— Wstańcie! — rozkazał chrapliwy głos.

Wstali jednocześnie; ich głowy pozostały schylone.

— Tyś przyniósł mi księgę, Rhunie?

— Tak, Eleazarze.

Erin zdławiła westchnienie. Eleazar? Pamiętała, że imię to
nosił ten, który ukrył księgę w Masadzie. Nie stała przed
obliczem Jezusa Chrystusa, lecz wobec innego cudu.

Wobec kogoś, kto dawno temu powstał z martwych.

Jordan przechylił głowę i spojrzał na nią pytająco. Nie
wiedział, z kim mają do czynienia.

Ona wiedziała, że nie stoją przed Chrystusem.

Eleazar to starożytna forma imienia przetłumaczona jako
Łazarz.

Oto przywódca duchowy zakonu sangwinistów, tajnego
bractwa Kościoła katolickiego. Papież sprawował funkcję
duchowego przywódcy ludzi należących do tegoż Kościoła.

Nie unosząc głowy, przekazała mu księgę, a on ją przyjął.

— Niechaj wszyscy spojrzą na księgę.

Erin uniosła głowę, wciąż bojąc się spojrzeć na Eleazara.
Mimo to skierowała na niego wzrok. Był rosły, wyższy od
Jordana. Długie białe włosy spływały na ramiona, okalając
gładką twarz. Głęboko osadzone oczy wydawały się brązowe jak
oliwki. Na surowej twarzy pojawił się uśmiech.

Obrócił księgę, tak aby wszyscy mogli ją zobaczyć, po czym ją otworzył.

Ze stronicy biło złote światło, lecz purpurowe litery spisane własną ręką Chrystusa w starożytnej grece były łatwe do odczytania. Erin już nauczyła się ich na pamięć.

Zawisła groźba wielkiej Wojny w Niebiesiech. Aby siły dobra zatriumfowały, potrzeba oręza z tej Ewangelii spisanej moją własną krwią. Troje zapowiedzianych w proroctwie zanieś księgę Pierwszemu Aniołowi, aby ją pobłogosławił. Tylko tak mogą przynieść zbawienie światu.

Łazarz rzucił jedynie przelotnie wzrokiem na zapisane słowa.

— Jak widzicie, księga jest bezpieczna. Dobrze się spisaliście. Ta bitwa została wygrana, a bez tego zwycięstwa nie byłoby żadnej nadziei.

— To brzmi obiecująco — odezwał się Jordan.

— Jednak wojna wciąż nam zagraża. Aby jej zapobiec, musicie odnaleźć Pierwszego Anioła.

Erin patrzyła na niego z niedowierzaniem.

— To nie ty nim jesteś? — spytał sierżant.

— To nie ja nim jestem — potwierdził Łazarz.

Erin rozejrzała się po ogromnej jaskini.

— A więc kim jest Pierwszy Anioł?

Czas nieznany

Nieznana lokalizacja

Tommy gmerał przy sznurowadłach. Alosza przyrzekł mu, że dzisiaj będzie mógł wyjść na dwór. Tkwił w zamknięciu zaledwie kilka dni, a czas już dłużył mu się w nieskończoność. Tęsknił do widoku nieba i do wiatru. A poza tym chciał prysnąć.

Kilka dni temu, kiedy Alosza grał w gry wideo, z jego kieszeni wypadł nóż z rękojeścią z masy perłowej. Tommy schował go pod poduszkę, a później pod materac. Teraz nóż spoczywał w jego

kieszeni. Nie wiedział, czy zdołałby kogoś zranić. W szkole nigdy nie bił się z kolegami.

Rodzice zawsze go uczyli, że przemoc niczego nie rozwiązuje, jednak Tommy doszedł do wniosku, iż bez jej użycia nie wydobędzie się z tych tarapatów. Grzeczne prośby z pewnością nie poskutkują.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich Alosza; w rękach trzymał śnieżnobiałe futro. Ten dziwny chłopak miał na sobie tylko spodnie i cienką koszulę; nie pofatygował się nawet, by włożyć bluzę. Zapewne właśnie dlatego był zawsze taki zimny.

Tommy włożył dziwne futro.

— Z czego jest zrobione?

— Z gronostaja. Bardzo ciepłe.

Tommy pogładził ręką przód futra. Nigdy nie dotykał czegoś równie delikatnego. Ile małych stworzeń musiało zginąć, aby futro mogło powstać?

Alosza poprowadził go długim holem, w górę po schodach i przez grube stalowe drzwi pomalowane na czarno. Płaty czarnej farby spadły na śnieg, kiedy Alosza zatrzasnął je za sobą.

Tommy obrócił się powoli. Znajdowali się w mieście na opuszczonym parkingu. Na brudnym śniegu przecinały się ślady wielu stóp. Niebo było zaciągnięte i ciemnoszare, jakby nadchodziła burza lub noc.

Dostrzegł szansę ucieczki i zaczął biec, lecz Alosza nagle znalazł się przed nim. Tommy odbił w prawą stronę, chcąc go ominąć i pomknąć wzdłuż ściany budynku. Alosza znów wyskoczył przed niego. Tommy zrobił zwód w lewo.

Alosza ponownie był przed nim.

Tommy wyciągnął nóż.

— Zejdź mi z drogi!

Dziwny chłopak odchylił głowę w tył i roześmiał się do obojętnych szarych chmur.

Tommy odwrócił się i chciał uciekać, lecz pośliznął się na lodzie i oparł rękami o mur, żeby nie runąć na brudny śnieg. Alosza tylko się z nim bawił. Nigdy nie uda mu się uciec. Będzie

tkwił w więzieniu, na zawsze podporządkowany młodemu okrutnikowi.

W szarych oczach Aloszy tliły się paskudne ogniki; przypominał Tommy'emu dzierzbę. Był to urodziwy mały ptaszek, lecz żywił się w ten sposób, że nabijał swoje ofiary na ciernie i czekał, aż wykrwawią się na śmierć. Ziemia wokół jego gniazda usłana była szkieletami mniejszych ptaków oraz myszy.

— Nie pozwolisz mi odejść, co? — spytał Tommy.

— On nie może ci pozwolić — zagrział głos dochodzący zza jego pleców.

Tommy odwrócił się tak szybko, że stracił równowagę. Szara breja chlapnęła na jego futro. Alosza chwycił go boleśnie za rękę i dźwignął.

Po chrześzczącym śniegu zbliżał się ksiądz w czarnej sutannie. W pierwszej chwili Tommy wziął go za księdza z Masady, gdyż tamten nosił podobny ubiór. Ten jednak był wyższy i bardziej barczysty, a jego oczy miały kolor niebieski, nie brązowy.

— Czekam na ciebie od bardzo dawna, Tommy — rzekł duchowny.

— Ty jesteś ten, o którym Alosza powiedział, że jest do mnie podobny?

— Alosza? — Mężczyzna uśmiechnął się, jakby usłyszał żart zrozumiały wyłącznie dla wtajemniczonych. — Ach, to jest... Jak wy to nazywacie w Ameryce? Ksywka. Naprawdę nazywa się Aleksiej Mikołajewicz Romanow i jest rosyjskim księciem, prawdziwym następcą tronu cesarstwa rosyjskiego.

Tommy zmarszczył brwi; pomyślał, że nieznamy żartuje.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Ksiądz uśmiechnął się i po plecach Tommy'ego przebiegł zimny dreszcz.

— Ależ ze mnie grubianin. Nie jestem taki jak ty. Jestem podobny do Aloszy.

— Kim jesteś?

— Nazywam się Grigorij Jefimowicz Rasputin. Będziemy bardzo dobrymi przyjaciółmi.

Ponad głową nieznajomego zatoczyło krąg stado szarych gołębi. W samym środku tańczył ubarwiony na biało, który w ten szary dzień znalazł promień światła. Tommy spojrzął na ptaka i przypomniał sobie gołębia w Masadzie ze złamanym skrzydłem. Wziął go w ręce, a zaraz potem jego życie runęło w gruzy.

Czy tym aktem dobroci i litości ściągnął na siebie zły los?

Zmrużył oczy, a biały ptak zniżył lot i śmignął nad jego głową. Spoglądał na Tommy'ego najpierw jednym, a potem drugim okiem.

Chłopak zadrżał i oderwał wzrok od nieba.

Oczy gołębia lśniły zielenią niczym kawałeczki malachitu.

Tak samo jak tego, który był w Masadzie.

Czy to możliwe? Czy możliwe były zdarzenia, które stały się udziałem Tommy'ego?

Za chwilę ocknę się w sali szpitalnej z kroplówką w ramieniu.

— Chcę wrócić do dawnych znajomych — rzekł, zdając sobie sprawę, że zachowuje się jak kapryśne małe dziecko.

— W ciągu swojego bardzo, bardzo długiego życia zdobędziesz rzeszę nowych przyjaciół — odpowiedział Rasputin.
— Takie jest twoje przeznaczenie.

Tommy znów popatrzył na ptaki. Zapragnął znaleźć się wśród nich i fruwać swobodnie. Dlaczego to nie mogło mu być przeznaczone?

Jak cudownie mieć skrzydła.

29 października, 5.54

Kaplica pod Bazyliką Świętego Piotra

Rhun dotknął krzyża. Wygrali bitwę. Zadrżał na myśl o tym, jak blisko byli porażki. A jednak odnieśli zwycięstwo.

Eleazar zamilkł. Odwrócił księgę ku sobie i przesuwał palcem pod wierszami, odczytując je ponownie, jak gdyby za pierwszym razem się pomylił. Jednak słowa brzmiały tak samo.

— A więc wygraliśmy pierwsze starcie — stwierdził Jordan.

— Ale co znaczy wyrażenie: „Zawisła groźba wielkiej Wojny w Niebiesiech” i to drugie: „Pierwszy Anioł”? — dociekała Erin.

— Znaleźliśmy księgę, znajdziemy i aniołka — rzekł z przekonaniem Jordan. — Idę o zakład, że jest większy od księgi. Przecież to nie może być trudne, prawda?

Erin parsknęła śmiechem.

— Jasne.

Sierżant miał rację. Już dokonali tego, co wydawało się niepodobieństwem. Rhun spojrział na Eleazara.

— Od czego zaczniemy?

Ten ściągnął brwi.

— Od prorocstwa. Powróćmy do niego.

Rhun czekał.

Eleazar wyrecytował przepowiednię:

— *Przyjdzie dzień, w którym Alfa i Omega przeleje swą mądrość na Ewangelię Krwi Bezcennej, a synowie Adama i córki Ewy będą ją mogli wykorzystać w dniu potrzeby.*

Do tego dnia błogosławiona księga pozostanie ukryta w najciemniejszej studni przez Dziewczynkę Odartą z Niewinności, Rycerza Chrystusa i Męża Wojownika.

Takoż troje wydobędzie księgę na światło. Tylko Uczona Niewiasta, Rycerz Chrystusa i Mąż Wojownik mogą otworzyć Ewangelię Chrystusa i objawić światu Jego chwałę.

— To już załatwione — zauważył Jordan. — Co mamy zrobić, żeby odnaleźć anioła?

Eleazar zamknął księgę.

— Może to nigdy nie nastąpić.

— Czemuż to? — zdziwił się Jordan, marszcząc czoło. — Przecież znaleźliśmy księgę.

Eleazar westchnął, a Rhuna opuściła wszelką nadzieję.

— Nie sposób wykluczyć, że triada już się rozpadła — oznajmił ostrzegawczym tonem Eleazar.

Co ma na myśli ten, który powstał z martwych? — zastanawiał się Rhun. Jak to możliwe, by triada się podzieliła? Przecież wszyscy byli na miejscu. Ujął jedną dłonią rękę Jordana, a drugą Erin.

Archeolożka zamknęła oczy i pobladła.

— O co chodzi? — spytał sierżant.

Odchrząknęła.

— A jeśli ja nie jestem częścią triady? Jeśli nie jestem Uczoną Niewiastą?

— O czym ty mówisz? Ależ oczywiście, że jesteś. To ty rozwiązałaś zagadkę Ewangelii, bez ciebie nigdy byśmy jej nie znaleźli. Byłaś przy tym, jak ołów zamienił się w księgę — przekonywał cierpliwie sierżant; w jego głosie nie było cienia obawy.

Jednak Rhuna przenikał lęk.

— Przypomnijcie sobie słowa proroctwa — odezwała się archeolożka. — Według niego to triada ma otworzyć Ewangelię Chrystusa i objawić światu Jego chwałę.

— I co z tego wynika? — dociekał Jordan.

Z żalem pokręciła głową.

— Nie było mnie przy otwarciu księgi, nie przekroczyłam progu bazyliki, kiedy buchnął z niej blask. Ty tam byłeś, Rhun także, ale nie ja. Stałam na zewnątrz z gwardzistą.

— Myślisz, że to ma znaczenie? — zdziwił się Jordan. — Nie zrobiłaś jednego kroku, i to ma wszystko zmienić?

— Jeśli nie ja jestem Uczoną Niewiastą, to była nią Bathory. — Erin wciągnęła głęboko powietrze w płuca. — A ja ją zabiłam.

Rhun szukał błędu w jej rozumowaniu, lecz jak zwykle nie znalazł żadnego. Wszyscy zakładali, że to Erin jest Uczoną Niewiastą z przepowiedni; była obecna w Masadzie, w Niemczech, w Rosji i w Rzymie. Jednak Bathory także znalazła się we wszystkich tych miejscach. Zawsze wyprzedzała triadę o krok. Odczytała wskazówki prowadzące do księgi i odgadła, gdzie i w jaki sposób Ewangelia ma zostać otwarta. I to ona trzymała ją w dłoniach, kiedy nastąpiła przemiana.

Sangwinista zamknął oczy, przeczuwając prawdę.

Czyżby kardynał Bernard nie pomylił się co do Elisabey Bathory? Czy właśnie z tego powodu sekta Beliala zabierała jedną kobietę z rodu i wiązała ją ze swym plugawym dążeniem? Czy sekcje chodziło o to, żeby mieć w swoich szeregach Uczoną Niewiastę?

Jeśli to była prawda, to czy sangwinista mógł mieć nadzieję, że wraz z sojusznikami znajdzie Pierwszego Anioła?

Jednak Rhun wiedział, że prawda wygląda nieco inaczej.

— Wyście wszyscy poszaleli — odezwał się Jordan, przerywając tok jego myśli. — To Erin odwalila najcięższą robotę, a Bathory nie żyje. Jeśli księga jest taka mądra, to dlaczego postawiła przed nami niewykonalne zadanie?

— Wojownik jest roztropny — oznajmił Eleazar. — Może wypowiedział słowo prawdy. Proroctwo bywa czasem mieczem obosiecznym, który ścina każdego, kto usiłuje je odczytać.

Erin nie wyglądała na przekonaną.

Eleazar skłonił głowę i skierował spojrzenie na Rhuna.

On zaś zrozumiał, że nie wszystko stracone.

— Muszę omówić z ojcem Korzą jeszcze jedną kwestię — powiedział Eleazar. — Zechciejcie zostawić nas na chwilę samych.

— Oczywiście — odrzekła Erin i oddaliła się wraz z Jordanem.

Kiedy zniknęli z pola widzenia, Eleazar odezwał się szeptem:

— Musisz poniechać tej kobiety, Rhunie. Zajrzałem w twoje serce, ale tak być nie może.

Sangwinista usłyszał prawdę zawartą w tych słowach, zapadła w głąb jego istoty.

— Tak się stanie.

Eleazar długo mierzył go twardym spojrzeniem, jakby chciał obnażyć go do kości. Odczucie Rhuna nie było dalekie od prawdy; potwierdziły to następne słowa jego rozmówcy.

— Czy istnieje inna z rodu Uczonej Niewiasty?

Rhun uciekł oczami przed tym przenikliwym spojrzeniem. Wiedział, czego dotyczy pytanie. Musi wyznać wszystkie grzechy i tajemnice, bo w przeciwnym razie świat czeka zguba.

Spojrzał na Eleazara ze łzami w oczach.

— Prosisz o zbyt wiele.

— To musi się dokonać, mój synu — rzekł z litością w głosie Eleazar. — Nie możemy wiecznie kryć się przed swoją przeszłością.

Rhun zdawał sobie sprawę, jak wiele jego rozmówca poświęcił dla świata, i wiedział, że nadszedł czas, żeby i on stanął twarzą w twarz z przeszłością.

Sięgnął do głębokiej kieszeni sutanny i wyjął lalkę znaną w pełnym kurzu grobowcu w Masadzie. Uszyta ze skóry zabawka była podarta i dawno stwardniała; brakowało jednego oka. Położył na otwartej dłoni Eleazara bolesny okruch przeszłości.

Pierwszy sangwinista żył na świecie tak długo, że bardziej niż żywą istotę przypominał klauzurowych — zdeterminowane, nieruchome postacie z marmuru.

Teraz jednak skamieniałe niemal palce zadrżały, ledwie zdolne utrzymać w dłoni maleńką, pokiereszowaną zabawkę.

Przytulił ją do piersi, jakby była żywym dzieckiem, którego śmierć oplakuje z głębi serca.

— Czy cierpiała? — zapytał.

Rhun dobrze pamiętał drobne ciało przyszpilone do ściany grobowca srebrnymi kołkami, które paliły jej ciało, aż uleciało z niej wszelkie życie.

— Umarła, służąc Chrystusowi. Jej dusza zażywa pokoju.

Rhun odszedł, zostawiając tego, który wstał z martwych, aby mógł żałować.

Kiedy się odwracał, fragment marmuru odłamał się od całości.

Eleazar pochylił głowę.

Na poplamioną twarz lalki spadła łza i się rozprysła.

29 października, 6.15

Kaplica pod Bazyliką Świętego Piotra

Rhun pędził w ciemnościach z niebywałą szybkością, ściskając młot w dłoni. Minęły wieki od chwili, gdy przemierzał pogrążone w smolistej ciemności tunele, lecz droga otwierała się przed nim, jakby jego ciało zawsze nosiło w sobie świadomość, że kiedyś tutaj powróci.

Zszedł poniżej świątyni klauzurowych, tak głęboko, jak mało kto odważał się zapuszczać. Tam właśnie ukrył swoją największą tajemnicę. Okłamał Bernarda, złamał śluby; odpokutował to, ale pokuty nigdy nie było dość.

A teraz jego grzech mógł ich uratować.

Zatrzymał się przed niepozornym murem; przesunął po nim ręką i nie wyczuł ani jednej szczeliny. Czterysta lat temu dobrze ją zamaskował.

Uniósł młot nad głowę i rąbnął w ścianę. Kamienie zadrżały pod ciosem i ustąpiły. O włos, ale jednak ustąpiły.

Uderzył ponownie i jeszcze raz. Cegły kruszyły się, aż ukazał się niewielki otwór, ledwie wystarczający, aby można się było przedostać. Niczego więcej nie potrzebował.

Przecisnął się między nierównymi kamieniami, nie zważając na to, że kaleczą mu skórę. Musiał dostać się do ciemnej komory, która znajdowała się po drugiej stronie.

Zapalił świecę, którą ze sobą przyniósł. Woń miodu i wosku rozniosła się w komorze, neutralizując odór kamienia i stęchlizny.

Bladożółty płomień odbił się na wypolerowanej powierzchni czarnej, marmurowej trumny.

Rhun zdjął wieko i odłożył je na nierówną kamienną posadzkę celi.

Powietrze wypełniła woń sakramentalnego wina. Mokra czarna powierzchnia przyjęła światło.

Zanim Rhun wyjął zawartość, zaczerpnął w złożoną dłoń wina i się napił. Do spełnienia dzieła, które go czekało, potrzebna mu będzie każda kropla świętego pokarmu. Jednak pokrzepienie, tak jak zawsze, poprzedzała pokuta.

Wędrował pieszo do Rzymu. Po tygodniach marszu dzień i noc przez zimne, spowite ciemnością górskie przełęcze jego buty, a później także podeszwy stóp zamieniły się w strzępy. Kiedy już nie mógł iść, chronił się w oddalonych górskich kościółkach; wypijał łyk wina, a później brał się w karby i znów wychodził na pustkowie.

Bernard czekał na niego w Rzymie. Zaprowadził Rhuna do miejsca położonego głęboko pod Bazyliką Świętego Piotra, gdzie ośmielali się wchodzić tylko najstarsi z ich zakonu. Tam Rhun odbył swoją pokutę. Pościł, modlił się, umartwiał. Nic nie pomniejszyło ciężaru jego grzechu.

Po dziesięciu latach Bernard ponownie pchnął go do świata ludzi. Tym razem miał się udać do zamku Čachtice i tam odbyć ostateczną pokutę. Ona zaś miała oczyścić świat z grzechu, który Rhun na niego ściągnął.

Zbrojni, którzy go otaczali, trzymali miecze w dłoniach. W ich oczach czaił się strach, ich serca biły szybko. Mieli prawo się bać.

Na czele podążali palatyn i hrabiowie, zerkając lęklonie na swoich podwładnych, jakby wątpili, czy zdołają ich ocalić. Nie byli w stanie tego dokonać, tylko Rhun mógł to zrobić. Modlił się, by do tego nie doszło. Żeby opowieści okazały się nieprawdziwe. Pogłoski o tym, że jego plugawa miłość spowodowała to wielkie nieszczęście.

Słyszał jednak także inne pogłoski... O potwornych eksperymentach dokonywanych ciemną nocą; była w nich

zawołowana sugestia, że za jej potwornościami kryje się jakiś ciemny zamysł, jakieś znamiona jej inteligencji, jej zdolności leczenia — wszystko wykorzystywane z niecznym zamiarem. To przeraziło Rhuna najbardziej: myśl, że w potworze wciąż tliła się jakaś iskra jej prawdziwej natury, która teraz była wykorzystywana w najpodlejszej intencji.

Kiedy dotarli do bramy zamku, mężczyźni zaczęli się wiercić; wydychane szybko powietrze tworzyło obłoki pary.

Palatyn zapukał w grube dębowe odrzwia zbudowane tak, by wytrzymały cios tarana. Rhun przez chwilę się modlił, żeby nikt nie otworzył, żeby musieli oblegać zamek. Jednak otworzyła służąca Anna. Wciąż miała na twarzy znamię, lecz poza tym jej twarz była nie do rozpoznania. Chuda jak szkielet i pokryta bliznami, kobieta miała na sobie jedynie poplamioną halkę, mimo że panował ziąb.

Palatyn pchnął mocno drzwi. Wnętrze tonęło w ciemnościach, ale Rhun wyczuł woń tego, co zobaczą. Poczł również słaby zapach gnijącego rumianku.

Hrabia Zrini zapalił pochodnię i wszedł do zamku. Światło padło na młodą dziewczynę leżącą nieruchomo na podłodze. Jej białe ciało pokrywały sińce. Na nadgarstkach, szyi i wnętrzu ud ciemniały plamy skrzepłej krwi.

Palatyn się przeżegnał.

Jakiś żołnierz zwymiotował na śnieg. Rhun zdjął sutannę i okrył dziewczynę. Jednak nie było w Kościele tylu sutann, by zdołały zakryć jego hańbę. To on uśmiercił tę dziewczynę, mimo że nie jego ręka podcięła jej gardło.

Kilka kroków dalej dwie dziewczyny kuliły się pod brudnym drewnianym stołem. Jasnowłosa resztką sił trzymała się życia, bicie jej serca zamierało. Sangwinista klęknął przy niej i udzielił ostatniego namaszczenia.

— Dziękuję, ojczy — powiedziała ciemnowłosa; jej głos wydobywał się z pokiereszowanego gardła.

Rhun ze wstydem spuścił wzrok. Śmierć tych dziewcząt spadała na jego sumienie, podobnie jak śmierć tych, których

Elisabeta zgładziła wcześniej. Miłość sangwinisty przyniosła jedynie śmierć i cierpienie.

Żołnierz wziął żywą dziewczynę na ręce i zaniósł w pobliże pustego kominka. Oddał jej płaszcz i rozpalił ogień, unikając patrzenia na udręczoną ofiarę. Rhun zamknął po raz ostatni powieki jej przyjaciółki. Obie były bardzo młode, niedawno osiągnęły kobiecość.

Wtem wewnątrz zamku rozdarł krzyk. Palatyn uniósł głowę, jakby chciał ustalić, skąd dobiega. Rhun wiedział, że z prywatnej komnaty Elisabety.

Wstał i wskazał drogę.

Jeden zbrojny podązał tuż za nim. Palatynowi odeszła ochota na dowodzenie, gdyż trzymał się na końcu. Elisabeta nazywała go kiedyś kuzynem. Palatyn wybrał pozostałych uczestników wyprawy ze względu na związki, które ich z nią łączyły. Każdy był mężem jednej z jej córek. Miała zostać pojmana w obecności arystokratów, tego bowiem wymagała jej pozycja.

Rhun pchnął drzwi sypialni. W ciemnym kącie siedziało dziecko i płakało. Druga dziewczynka tkwiła w najeżonej ćwiekami klatce zawieszanej wysoko w powietrzu. Elisabeta stała pod nią nago. Dwaj służący kołysali klatką tak, aby miękkie ciało dziecka uderzało w zaostrome kolce klatki. Purpurowa krew kapiała na białą skórę Elisabety.

Zdjęty trwogą Rhun walczył ze łzami. To on sprowadził na dzieci tę udrękę.

Żołnierze rzucili się powalić służących, którzy poruszali klatką.

Palatyn wystąpił przed resztę.

— Pani, wdowo Nádasy. Aresztuję cię w imieniu króla.

— Drogo zapłacisz za to najście — odparła Elisabeta. Nie próbując ukrywać swojej nagości, odwróciła się do mężczyzn. Długie, ciemne włosy się zakołysały.

Jej twarz znieruchomiała, gdy rozpoznała przybyszów.

— Ach tak. — Jej usta stężały w złym uśmiechu. — Przybyliście po śmierć.

Rhun stanął między nią i żołnierzami. Mogła zabić wszystkich, ale nie jego. Wyjął z rękawa sztylet.

— Proszę, nie zmuszaj mnie — rzekł.

Elisabeta zatoczyła się w tył.

— Czego jeszcze mnie pozbawisz, Rhunie?

Wzdrygnął się i uniósł sztylet tak, aby go widziała.

Jej piękne, srebrzyste oczy spoczęły na klindze.

— Tylko tym mnie przebijesz, księżu?

Przybliżył się. Zapach ciepłej krwi unoszący się z jej skóry go oszałamiał. Rhun zmagął się ze swoim pragnieniem.

— Ostrożnie, najdroższy — wyszeptała. — Już widziałam tę minę na twoim obliczu.

Odmówił modlitwę, a potem zarzucił jedwabny sznur na jej ręce i związał.

— Materiał przetykany jest srebrem — oznajmił. — Jeżeli spróbujesz się uwolnić, sparzy cię do kości.

— Okryć ją! — rozkazał palatyn.

Żołnierz zarzucił na zakrwawione ramiona Elisabety brudny koc.

Splotła dłonie jak do modlitwy i poszukała wzrokiem oczu Rhuna. Dojrzał tam smutek, żal, a także wciąż żywą miłość.

Rhun czekał, aż będzie mógł wrócić z przeszłości i znów znaleźć się w wilgotnej celi.

Kiedy to się stało, zanurzył głęboko ręce w palącej kąpieli ze świętego wina. Na dnie spoczywało to, po co tam przybył. Chwycił ją zimnymi dłońmi i po stuleciach snu wyjął na świat.

Wino zabarwiło wyszukaną zieloną pelerynę na purpurowo, lecz biała jak alabaster twarz lśniła tak samo jak tego dnia, w którym zanurzył Elisabetę w winie, zamiast zabić zgodnie z rozkazem Bernarda. Delikatnie odgarnął z nieruchomego oblicza długie, ciemne włosy, pogładził po czole i krągłych policzkach. Wydawała się tak samo piękna jak w chwili, w której ujrzał ją po raz pierwszy czterysta lat temu. Zanim zrujnował jej duszę i uczynił z niej *strigoi*, była zacną niewiastą i uzdrowicielką. Omal go nie uzdrowiła.

Niewiele brakowało.

Zmówił modlitwę.

Delikatne oczy Elisabety o barwie burzowej chmury otworzyły się i spojrzały na niego.

Usta się poruszyły, lecz nie wydobyło się z nich ani jedno słowo, tylko powietrze.

Mimo to Rhun zrozumiał, co usiłowała mu powiedzieć. Nadal spowita w swoim śnie, zostawiła gniew za sobą. Z jej nieskazitelnych ust wydobyły się tylko dwa słowa.

Mój ukochany...

6.30

Erin szła ciemnym tunelem, potykając się. Nie mogli korzystać ze złotego blasku księgi, toteż Jordan zaświecił latarkę. W porównaniu ze światłem księgi jej światło wydawało się zimne i mdłe. Przez cały czas nie zdejmował ręki z ramienia archeolożki.

Dotarli do zapadniętego baldachimu, którego podstawa spoczęła na dnie tunelu; kopuła nadal wystawała nad posadzkę bazyliki. Trupy znikły, a sangwiniści zasypali krew piaskiem.

Erin usiłowała omijać stopami małe wydmy, lecz piach ścielił się wszędzie. Chrząścił pod jej butami i przypominał o pustyni wokół Masady i o wykopaliskach w Cezarei. Jak potoczyłyby się wypadki, gdyby została z Heinrichem w wykopie, pociągnęła go w ostatniej chwili i uratowała przed kopytami ogiera, gdyby nie wsiadła do helikoptera? Młody student wciąż by żył, ale Belial zdobyłby księgę. Nie pozostałaby ani odrobina nadziei. Otworzyli puszkę Pandory i zło się wydostało, lecz nadzieja została. Więcej niż nadzieja: szlak prowadzący do ocalenia świata.

— Stać! — zawołał jakiś sangwinista i zastąpił im drogę; był chudy i miał długie cienkie palce. — Co tutaj robicie?

— Jestem sierżant Jordan Stone — odparł żołnierz. — A to doktor Erin Granger.

— Dwoje członków triady — powiedział z rewerencją tamten.
— Proszę o wybaczenie.

Wskazał drabinę, która stała oparta o bok baldachimu.

— Damy mają pierwszeństwo — rzekł Jordan.

Erin wspięła się na drabinę; kiedy dotarła na wierzchołek, trzeba było jej pomóc zejść na marmurową posadzkę bazyliki. Ogrom wnętrza momentalnie ją oszołomił. Wszystko było wielokrotnie większe niż gdzie indziej — od baldachimu, który osunął się na posadzkę podziemnej nekropolii, po niedosiężne sklepienie z freskiem Michała Anioła, tworzące sztuczne niebo. Archeolożka obróciła się powoli wokół własnej osi, spoglądając na białe ściany, przepyszne złocenia, pełne gracji posągi i wyrafinowane dzieła sztuki. W wielkim kościele zgromadzono wspaniałe osiągnięcia ludzkiego geniuszu.

Na ten widok Erin powzięła głębokie postanowienie.

Odnajdą Pierwszego Anioła i postarają się, żeby te wszystkie cuda były bezpieczne.

Jordan stanął obok Erin i złapał ją za rękę. Wypolerowaną posadzkę bazyliki też posypano piaskiem, który nasiąkł krwią w miejscach, w których zginęli *strigoi*, sangwiniści oraz ludzie.

Archeolożka skupiała wzrok na ozdobnych wzorach na marmurowej posadzce i uważała, by równo stawiać stopy i omijać kupki piasku. Energia, która napełniła ją dzięki bliskości księgi, dawno ją opuściła.

Jordan prowadził ją pewnie ku drzwiom ogromnego kościoła.

Zatrzymał się, nim doszli do portyku, i skręcił w lewo.

Oderwała wzrok od posadzki, żeby zobaczyć, co zwróciło jego uwagę. Była to *Pieta* Michała Anioła. Marmurowa rzeźba przedstawiała Maryję, która na zboczu Golgoty trzymała w ramionach niedawno ukrzyżowanego syna. Chrystus spoczywał na jej kolanach z głową odchyłoną do tyłu, jego ręka zwisała bezwładnie. Głowa Maryi była pochylona, jej twarz naznaczona smutkiem. Opłakiwała stratę ukochanego syna. To jego śmierć po upływie długiego czasu uruchomiła ciąg wydarzeń, którego uczestnikami stali się Erin i Jordan.

Sierżant wpatrywał się w rzeźbę.

Archeolożka odchrząknęła.

— Jordanie?

— Myślę o rodzinach, które przyjdzie mi odwiedzić, kiedy ta wyprawa się skończy: Sandersonowie, Tysonowie, Cooperowie i McKayowie. Matki będą wyglądały właśnie tak.

Erin objęła go w pasie.

Potem sierżant znów ujął jej rękę i wyszli z bazyliki na świeże powietrze poranka we włoskiej stolicy.

Zaprowadził ją do schodów prowadzących do wierzchołka kopuły.

— To długa wspinaczka — rzekł, pytając wzrokiem, czy chce się wspinać.

— Pójdę przodem — oznajmiła i ruszyła schodami w górę; stopni było trzysta dwadzieścia. Niebo przybrało barwę bladoszara. Niebawem słońce wzniesie się nad horyzont.

Erin dotarła na szczyt, oddychając ciężko. Jordan podszedł do wschodniej części kopuły i rzucił się na posadzkę. Poklepał dłonią miejsce obok siebie i archeolożka usiadła.

Niebo było już prawie białe.

— Wiesz, że zapewne się pomyliłaś, prawda? — zapytał.

Spróbowała się do niego uśmiechnąć. Docenił jej wysiłek.

— A jeśli się nie pomyliłam?

— Chcę, żebyś należała do mojego oddziału, obojętnie, czy zadanie będzie związane z jakąś przepowiednią, czy nie. Bez ciebie kręcimy się w kółko jak zgraja ciemniaków.

— Wielu ludzi oddało życie po to, by ocalić Uczoną Niewiastę — przypomniała. — Tymczasem ocalili jedynie mnie.

— Nie jesteś takie byle co. — Ucałował ją z góry w głowę. — To była wojna, Erin, a oni byli żołnierzami. W czasie bitwy zdarzają się pomyłki, giną ludzie. A ty przesz dalej, dla siebie i dla nich. Najważniejsze to nie składać broni.

Znieruchomiała w jego ramionach.

— Ale proroctwo...

— Słuchaj — powiedział sierżant i zaczął wyliczać. — Kto znalazł medal w dłoni dziewczynki? Ty. Kto odgadł, gdzie jest bunkier? Znowu ty. Kto wpadł na to, że do otwarcia księgi potrzebne są krew i kości? Ty, nie kto inny. Jesteś tak dobra, że wprawiasz mnie w kompleksy.

Erin się uśmiechnęła. Musiała mu przyznać trochę racji. Prawie do samego końca to Bathory podążała ich tropem, a nie odwrotnie.

Wyjęła z kieszeni skrawek dziecięcej kołdry i trzymała go w otwartej dłoni. Pierwszy raz na jego widok nie poczuła gniewu. Zniknął, kiedy tam, w tunelu, na progu śmierci, przebaczyła ojcu.

— Co to takiego? — zaciekawiał się Jordan.

— Bardzo dawno temu złożyłam komuś przyrzeczenie. — Poglądziła materiał palcem. — Przyrzekłam, że nigdy nie będę stała z boku, kiedy serce powie mi, że dzieje się coś złego.

— I co ci mówi teraz twoje serce?

— Że masz rację.

Sierżant się uśmiechnął.

— To mi się podoba.

Małeńki skrawek kołderki trzepotał na wietrze, gdy trzymała go w palcach. A potem wypuściła. Podmuch porwał go i uniósł ku tętniącemu życiem i gwarem miastu.

Erin odwróciła się do Jordana.

— W tym wszystkim chodzi o coś więcej niż o duchowość i cuda. Potrzebne są logiczne myślenie i dociekliwość. Znajdziemy Pierwszego Anioła.

Jordan przyciągnął ją do siebie.

— Jasne, że znajdziemy. Przecież znaleźliśmy księgę, no nie?

— Otóż to. — Oparła głowę na jego piersi i wsłuchała się w równy rytm. — A ponieważ ją znaleźliśmy, możemy mieć nadzieję.

— Spisaliśmy się nieźle, tak bym to określił — rzekł chrapliwym głosem Jordan.

Słońce wychyliło się nad horyzont, złote promienie padły na twarz Erin.

Nachyliła głowę ku sierżantowi. Pogładził ją wierzchem dłoni po policzku i położył dłoń na grzbiecie szyi.

Uniosła się i go pocałowała. Jego usta były ciepłe i miękkie, inne niż wargi Rhuna, naturalne. Wsunęła dłonie pod jego koszulę i przesunęła nimi po jego rozgrzanej skórze. Jęknął i przygarnął ją mocniej. Jego ręce spoczywały na jej plecach.

Odsunęła się. Oboje oddychali ciężko.

— Za szybko? — spytał Jordan.

— Nie — odparła, przybliżając się do niego. — Za wolno.

Epilog

Późna jesień

Rzym, Włochy

Brat Leopold rzucił kilka banknotów na przednie siedzenie taksówki; wystarczyło na zapłatę i mały napiwek. Jako skromny zakonnik nie pozwalał sobie na ekstrawagancje.

Kierowca dotknął ręką czapki, a Leopold trzasnął drzwiami i ruszył ku pobliskiej alejce. Zlustrował wzrokiem zalaną blaskiem ulicę. Od Watykanu nikt go nie śledził. Kazał taksówkarzowi skręcać i kluczyć, wjeżdżać w ślepe zaułki i wielokrotnie zawracać. Podejmował wszelkie niezbędne środki ostrożności, a i tak wysiadł z taksówki kilka przecznic przed prawdziwym celem podróży.

Długo na to czekał i ciężko pracował, więc nie zamierzał pozwolić sobie na błąd w ostatniej chwili. Gdyby to zrobił, ten, któremu służył, zgładziłby go. Leopold nie był tak głupi, żeby uważać się za niezastąpionego.

Wąską uliczką dotarł do wieżowca ze szkła i stali; na najwyższych taflach szyb widniała srebrna kotwica. Stanowiła logo firmy Argentum Corporation. W rysunku kotwicy krył się krzyż, *Crux Dissimulata*; pierwsi chrześcijanie używali tego symbolu, by okazywać wiarę w Chrystusa wobec swoich współwyznawców bez narażania się na represje. Obecnie wizerunek sygnalizował także potajemną przynależność do wspólnoty.

Gmach stanowił siedzibę szefa Beliala, który zawiązał sojusz między *strigoi* i ludźmi i kierował nim, dążąc do osiągnięcia

swojego celu. Sam jednak nie był ani człowiekiem, ani bestią, lecz kimś znacznie więcej: postacią wyklętą słowem samego Chrystusa i skazaną na życie wieczne.

A wszystko z powodu jednej zdrady.

Leopold drżał na samą myśl, że tak wiele razy zdradził swój Kościół. Nosił szatę bogobojnego mnicha, a krył pod nią serce zdrajcy posłuszne rozkazom Tamtego.

Ale czy mógł inaczej?

Stał przed wejściem oznaczonym znakiem firmy i dotknął ukrytego w logo krucyfiksu, by zaczerpnąć sił ze świadomości, że Jego sprawa jest prawdziwa i sprawiedliwa. Był jednym z niewielu, którzy podążali właściwą drogą.

Ze wzmożoną determinacją wkroczył do budynku i podał nazwisko przy stanowisku recepcyjnym. Ochroniarz zmierzył go twardym spojrzeniem, sprawdził listę gości i zajrzał do bazy danych w komputerze; następnie skierował przybysza do windy dla VIP-ów. Winda zatrzymywała się zaledwie na jednym piętrze, i tylko pod warunkiem, że pasażer miał klucz.

Kiedy drzwi windy się zasunęły, mnich zdjął z szyi krzyż pectoralny i ściągnął jego dłuższą część; był w nim ukryty klucz. Wsunął go do zamka windy. Zielona kontrolka świadczyła, że klucz spełnił swoje zadanie. Leopold westchnął z ulgą. Nigdy wcześniej z niego nie korzystał.

Drzwi się otworzyły i ukazała się recepcjonistka w eleganckim czarnym kostiumie siedząca za imponujących rozmiarów biurkiem. Leopold wypowiedział krótką modlitwę ochronną i wyszedł.

— Tak? — Ametystowe kolczyki zaśniły, gdy recepcjonistka uniosła głowę. Miała szeroko rozstawione oczy i pełne usta. Twarz z renesansowego obrazu.

— Brat Leopold — rzekł, nachylając się do wysokiego biurka przykrytego szkłem. — Zostałem wezwany.

Kobieta nacisnęła przycisk długim, purpurowym paznokciem, a potem odezwała się do telefonu. W odpowiedzi padło jednosylabowe słowo.

Tak.

Mnich nie wiedział, czy powinien czuć ulgę, czy przerażenie.

Recepcjonistka wstała i poprowadziła go długim korytarzem o lśniącej posadzce do drzwi ze szcotkowanego aluminium. Jej biodra kołysały się, kiedy szła.

Otworzyła drzwi i się cofnęła.

Musiał wejść sam. Jego uszy wypełnił szum płynącej wody.

Wkroczył do ogromnego pomieszczenia, do którego przez okna sięgające od podłogi do sufitu wlewał się czysty blask rzymskiego słońca.

Nad środkiem gabinetu górowała wielka, prostokątna fontanna. Purpurowe lilie wodne odcinały się od szarości kamiennych płyt. Woda sączyła się strumieniami po okrągłym, szmaragdowym kamieniu. Jej szmer zapewne miał być kojący, lecz szarpał nerwy Leopolda.

Mnich przyjrzał się mężczyźnie, który go wezwał. Stał zwrócony tyłem do fontanny i spoglądał przez okno, prawdopodobnie na płynący daleko w dole Tyber. Siwe włosy miał krótko obcięte i widać było pod nimi opaloną szyję; pod kołnierzykiem i drogą koszulą przeżyły się silne mięśnie. Plecy ani trochę nie ugięły się pod ciężarem życia trwającego tysiące lat.

Odwrócił się, słysząc kroki Leopolda, uniósł rękę i wypuścił małą ćmę z połyskliwymi skrzydełkami. Uleciała z jego dłoni i usiadła na szerokim szklanym biurku. Owad był w rzeczywistości miniaturowym automatem wykonanym z mosiądzu i składającym się z kółek, trybików i cienkich jak nitka drucików.

Leopold odwrócił wzrok od ćmy. Bystre oczy go taksowały.

W przestachu padł pod ich spojrzeniem na kolana.

— Stało się — oznajmił, dotykając krzyża; nie znalazł w nim siły. — Dokonaliśmy tego. Nadejdzie wielkie spełnienie.

Usłyszał zbliżające się kroki.

Skulił się, lecz nie śmiał poruszyć.

Palce mocne jak kamień dotknęły jego ramienia, ale był to łagodny, czuły dotyk miłości.

— Dobrze się spisałeś, mój synu. Księga została otwarta, zabrzmią trąby wojny. Po tysiącach lat oczekiwania moje przeznaczenie zatoczyło pełny krąg. Usunąłem Nazarejczyka z tego świata, a teraz moją powinnością jest przywrócenie Go na Jego prawowity tron. Nawet jeśli to oznacza koniec tego świata.

Leopold wydał drżące westchnienie, jego serce zaśpiewało z radości. Palec dotknął jego brody i skierował się ku górze. Patrzył na tę twarz skąpaną w jasnym blasku nowego dnia, twarz, na którą z taką samą miłością i oddaniem patrzył kiedyś Jezus Chrystus.

Po czym przeklął go na wieki.

Uczył z jego imienia synonim zdrady.

Usta Leopolda bezgłośnie wypowiedziały to imię z uniesieniem i obietnicą posłuszeństwa.

Judasz.

- ¹ Wszystkie cytaty z Pisma Świętego wg Biblii Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań—Warszawa 1980.
- ² Ewangelia wg św. Mateusza 2, 16.
- ³ Ewangelia wg św. Jana 2, 11.